

**Józef Ignacy Kraszewski**

# **Bajbuza**

## Przedślowie

I oto lektura skończona. Co bardziej sentymentalni czytelnicy ocierają ukradkiem łzę. Aż żal, że to już koniec. Ale bardziej niechaj żałują ci, którzy powieści nie przeczytali w ogóle.

J. I. Kraszewski ma ustaloną pozycję wśród czytelników. Jest Autorem znanym i lubianym, a przez to poszukiwanym w księgarniach. Nie ma biblioteczki domowej, w której nie stałoby chociaż jedno z dzieł Kraszewskiego. "Bajbuza" to jednak nie "Stara Baśń", bowiem powieść ta nie jest znana szerszemu ogółowi i dlatego, podejrzewam, nawet kupiona, spełniać będzie jedynie funkcję dekoracyjną w wielu domach. A szkoda.

Kraszewski to pisarz płodny. Pracowity. O tym wiedzą wszyscy. Wielu jednak dodaje, a czynią to na ogół intelektualiści o wysublimowanym smaku estetycznym, że nie jest on pisarzem wysokiego lotu. Opinia jak najbardziej fałszywa i krzywdząca! A oto jej skrótowa geneza. Kraszewski cały swój ogromny talent wyeksploatował do końca, nie oglądając się na własny interes, sławę. Zamiast napisać dwie, trzy powieści, jak przystało na genialnego twórcę - pozostawił ich po sobie niezliczoną ilość! I w ten sposób zamiast geniuszem, stał się po prostu utrapieniem dla genialnych krytyków, którzy najchętniej wyrokuje o Autorach cieniutkich książek. Bo na czytanie grubych są za leniwi. Na szczęście Kraszewskiego czytają ci, do których on swoje powieści adresował. I na tym polega jego nieprzemijający sukces.

Autor "Starej baśni" wiedział dobrze o co walczy. Chciał, aby historii uczono się także i z jego książek, bo ta forma podawania wiedzy jest bardziej przystępna. Był patriotą, wrażliwym na losy ojczyzny. Niepokoił go i ranił jej stan ówczesny. Nie zapominajmy, że pisał powieść w 1885 roku. Szukał przyczyn upadku Rzeczypospolitej. Chciał, jednym słowem, przez historię wychowywać. Przypominać minione dzieje i ostrzegać.

Tytułem książki jest po prostu nazwisko jej głównego bohatera - postaci dla wielu krytyków wymyślonej, dla nas, czytelników, jak najbardziej Autentycznej. Zawsze, pamiętam, przerażały mnie posłowania i różnego rodzaju wstępy, w których udowodniano niezbitcie i z całą naukową powagą, że dzieje bohaterów danej książki są fikcją literacką. Owi krytycy, na ogół ci sami, którzy odmawiali Kraszewskiemu talentu, znajdowali szczególny rodzaj przyjemności w dręczeniu łatwowiernego czytelnika. Odebrać mu do końca wszelkie złudzenia. Zabiegi tego rodzaju stosowano np. z powodzeniem w bibliście, gdzie obwieszczano triumfalnie całemu światu fikcyjność postaci Jezusa czy Apostołów.

Bajbuza istniał naprawdę. Bo nie stać było ciężko chorego Autora na wymyślanie jego przygód i perypetii w sytuacji, kiedy dysponował ogromnym materiałem pamiętnikarsko-kronikarskim. Umiał poza tym jak nikt inny szukać i znajdować Autentycznych

ludzi, po których zostały mniej lub bardziej wyraźne ślady w dokumentach rodowych czy Archiwalnych.

Słowo "Bajbuza", to jak wyjaśnia Gloger - wyraz pochodzenia tureckiego złożony z dwu członów: Baj - bogaty i buza - cielę. Czyli tłumacząc dosłownie - bogate cielę! Jak zobaczymy sami, działanie bohatera nie miało nic wspólnego z takim określeniem. Gdyby więc była to postać wymyślona, dlaczego Autor miałby ją dodatkowo obrażać? Jaki miałby w tym cel? Nazwiska nikt sobie nie wybiera, podobnie jak i losu. I dlatego pozostało takie, jakie było.

Gdyby na przykład powieść o Bajbuzie napisał Żeromski - byłby on pierwszym Judymem, który wyrzeka się wszystkiego, co dla śmiertelnika jest najważniejsze, A więc miłości i wygod domowych na rzecz ojczyzny i idei, którą dla niego jest walka o sprawiedliwość i prawdę. Kraszewski nie jest taki patetyczny jak Żeromski i dlatego o jego Bajbuzie nikt nie dyskutuje tak namiętnie, jak o Judymie. Tamten wyzywa cały świat za pomocą romantycznych gestów, ten powściągliwie, z dystansem, jak na żołnierza przystało.

Akcja powieści obejmuje lata 1596-1607. W trzech tomach pomieścił Kraszewski jedenaście lat wewnętrznych niesnasek, podziałów i dramatów nękających nasz kraj. Odrywające się z wysokich szczytów drobne kamyki i fragmenty skał, przerodziły się nagle w ogromną lawinę spadającą na barki takich ludzi, jak Bajbuza i Szczypior. Takich ludzi jak my. Jeszcze wymachują szabelkami, jeszcze pokrzykują, idą na bratobójczą walkę, Ale są to działania pozorne. Nie mogące przynieść pożądanych efektów. Lawina ruszyła. Czy to nie dziwne, że przewertowawszy trzy tomy powieści Ani razu nie trafiliśmy w niej na opis uczty? Jeśli nawet jada się tam i pije, to byle jak, bez staropolskiego ceremoniału. Bo nastał czas żałoby. Toczy się bitwy, walczy, ciągle walczy, od czasu do czasu wygrywa jakąś potyczkę, Ale nie ma radości ze zwycięstwa, nie ma zwycięzców w sytuacji, gdy wszyscy są pokonani. Jest król - marionetkowy, karłowaty, cichy i milczący, pobożny - paktujący dyskretnie z dworem rakuskim, żeniący się po dwakroć z księżniczkami Austriackimi, otaczający się cudzoziemcami, wspomagany cudzoziemskim wojskiem. Są senatorowie, podtrzymujący jego dobre samopoczucie, bo czerpią z tego namacalne korzyści. Jest marszałek Myszkowski - rozmawiający jedynie po włosku, A z drugiej strony Zamoyski odsuwany od łask, bo myśli po swojemu i śmie pouczać króla, co ma czynić. A potem jego duchowy następca i wychowanek Zebrzydowski, skumany z Radziwiłłem - podnoszący rokosz przeciwko królowi! Najnędniejsze szlachetki ośmielają się spisywać dziesiątki zastrzeżeń, wniosków i postulatów, zwanych grawaminami, pod Adresem króla. Cały kraj wziął się dzielnie do spisywania owych zarzutów, licząc na to, że sprawiedliwy król przeczyta je i rozstrzygnie po myśli ogółu. Ale nic takiego nie nastąpiło. A tymczasem mocny gmach Rzeczypospolitej zaczyna chwiać się w posadach. Lawina ruszyła. I nie będzie już ratunku. Ile potrzeba jeszcze lat, żeby doczekać się rozbiorów

Polski, wieloletniej niewoli, jarzma, które musiał dźwigać także i Kraszewski, przebywając w czasie pisania "Bajbuzy" w twierdzy magdeburskiej. A może w latach 1597-1608 istniała ostatnia szansa uratowania kraju przed upadkiem? Właśnie w tym okresie? Tylko dlaczego jej nie wykorzystano? Tyle energii, tyle sił witalnych poszło na marne. ścierały się racje i poglądy. Taktyki i sposoby wzajemnego wyprowadzania się w pole. A tymczasem gdzieś tam na uboczu pozostała ojczyzna, Polska, o której zapomniano. Polska, której nie rozumiał król, Zygmunt III Waza, przybysz z dalekiej Szwecji. Nie mogła nauczyć go miłości do tego kraju pierwsza żona, Anna Austriaczka, Ani jej siostra, obie nie znające języka polskiego, dające namacalny wyraz swojej nienawiści do wszystkiego, co polskie. Zygmunt byłby doskonałym królem w innym kraju i w innych czasach. W Polsce, gdzie po męsku, na wzór Chrobrego czy Jagiełły należało zasypiać z mieczem w dłoni, jego małe, delikatne ręce, bardziej przywyłe do lutni i robót jubilerskich - nie mogły udźwignąć ciężaru królewskiego berła. To wtedy zaczął się czas rozterek, rozdarcia i podziału, nawet w obrębie jednej rodziny. Brat szedł przeciwko bratu. I obu wydawało się, że czynią szlachetnie.

Uczciwy Bajbuza, zakochany w swoim Nadstyrzu, nie ma czasu na uprawę roli, na uciechy domowe, na rozrywki. Pochłaniają go bez reszty i Absorbują te do niczego w efekcie nie prowadzące rozgrywki i gierki polityczne. Niepokoi go i odbiera mu sen to wewnętrzne skłócenie narodu, bardziej może niż najcięższa walka z nieprzyjacielem. Tam działa pewnie, precyzyjnie i ochotnie. Tutaj nie jest przekonany do końca. Czasy panowania Zygmunta III były czasami niełatwych decyzji i wyborów, zmuszały do określenia się, co dla wielu uczciwych ludzi było dramatem. Dla naszego Bajbuzy także. Chociaż on jako humanista i erudyta potrafił głęboko ukryć swoje rozterki i wątpliwości. Staje przy Zamoyskim, i waha się. Wiąże się z królem, i też nie jest do końca przekonany o słuszności swoich racji.

Losy naszego bohatera są skromne i zwyczajne. Mieszka na odludziu, w towarzystwie wiernego druha Szczypiora, starej służki, którą kocha jak matkę, i kilku jeszcze innych przyjaciół. A obok, po sąsiedzku, mieszka piękna wdowa, księżna Teresa, do której po cichu wzdycha i która darzy go wzajemną sympatią. Jak bardzo chcemy, Aby ci już niemłodzi, uczciwi ludzie pobrali się. Ale niestety! Do owego małżeństwa nigdy nie dojdzie. Taki bogaty, przystojny, wykształcony mężczyzna dożyje swoich dni w samotności. Jego całe życie to gorączkowe szukanie wyjścia z labiryntu, w którym znalazła się Polska. Obawa, stały lęk, przed popełnieniem omyłki. Każda decyzja, którą się wówczas podjęło, nie była łatwa. Król czy rokoszanie? Kto ma rację? Kraszewski bardzo dyskretnie ukazuje skutki istnienia kompleksu króla, właśnie na przykładzie Bajbuzy. Powie on przecież: "Mamże ci się tłumaczyć? Dopóki to nieszczęsne rokoszowanie trwa, muszę mu służyć, bo mi go żal, A jużci królem naszym jest..." Nie dlatego mu służy, że ma rację,

Ale dlatego, że jest królem! Dziś okazuje się, że w sporze, który zaistniał i który skończył się braterskim przelewem krwi, najmniej racji miał właśnie Zygmunt. Też jeden z bohaterów powieści. Widziany z daleka. Pokazany tajemniczo, dyskretnie. To właśnie Zamoyski wprowadził go na tron, wygrywając batalię z Maksymilianem. Ale król odsunął hetmana od łask, bo tak mu podpowiedzieli doradcy. Epoka niefortunnych doradców zaczęła się w tamtych latach i przetrwała w dobrym zdrowiu do naszych czasów. Ten król był cały zamieniony w słuch. Podobno nic nie mówił, A jedynie słuchał. Tego, co szeptali mu zauszniczy, A następnie królowa i jej przyjaciółka, wyrażające opinie, sądy i życzenia Rakuskiego dworu.

Rokosze kontynuowali politykę Zamoyskiego. Chcieli uczulić króla na polską rację stanu. A on jej nie uznawał. Pertraktował dyplomatycznie ze szlachtą, żeby zdusić w zarodku bunt, nic w zamian nie ofiarowując. Mówił po polsku, A myślał po niemiecku. Na tyle był Polakiem, na ile się tej polskości nauczył z książek. Zamieniał wielkich wodzów na małe płotki, żeby tych pierwszych upokorzyć. Nie czynił nic, Aby doprowadzić do faktycznego porozumienia skłóconych stronictw. W czasach kiedy zewsząd zagrażali Polsce wrogowie, i potrzebna była solidarność w działaniu. Broniąc się zaciekle przed żądaniami rokoszan, dał się osaczyć przez zauszniczków. Obawa przed ograniczeniem władzy królewskiej pochłaniała całą jego energię. Uczulano go i to z dobrym skutkiem, na ten jeden Aspekt panowania w Polsce. Zlikwidowanie rokoshu miało usunąć Automatycznie wszystkie kłopoty naszego kraju. Czasy pokazały, że nie było to szczęśliwe rozwiązanie. Polska słabła. Dezorientowane rycerstwo dawało się zaskakiwać obcym wojskom, A jeśli odnoszono sukcesy, to były one udziałem wybitnych wodzów działających poza plecami króla.

Kraszewski nie oskarża króla wprost. Waha się, ostateczny sąd pozostawiając nam, czytelnikom. Ale go przecież nie oszczędza. Przypomina wiele razy, że Zygmunt zamierzał przehandlować Polskę, zrzec się tronu i wrócić do Szwecji. Jakby było mu w gruncie rzeczy wszystko jedno, co się z Polską stanie za sto lat. Byleby teraz tylko miał święty spokój.

“Bajbuza” nie jest wcale, jak by to się niektórym wydawało, zwyczajnym “czytałem”. To wielka powieść, inspirująca każdego wrażliwego czytelnika do nie kończących się rozważań. Rodzą się podczas lektury pytania, na które trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź. Wątpliwości, których nie da się rozstrzygnąć.

Niepokój głównego bohatera książki, Bajbuzy, stał się naszym niepokojem. Jego rozdarcie naszym rozdarcie. Bo on dzisiaj jest po prostu jednym z nas. Szlachetnym, dobrym człowiekiem, okradzionym ze wszystkiego i oszukany doszczętnie przez historię.

( Tadeusz Mocarcki)

Pani Stefani z Sułkowskich Kraszewskiej [żona Lucjana, brata pisarza] Na pamiątkę  
odwiedzin dnia 21 sierpnia przesyła

wdzięczny

J. I. Kraszewski

Część pierwsza





## Rozdział I

W pierwszej połowie grudnia 1586 roku do dworu w Nadstyrzu, wioski dziedzicznej rotmistrza Iwasia Bajbuzy, po kopnej drodze, przebijając się przez zasy śnieżne, podążał jeździec zakapturzony, któremu dwoje czeladzi konno towarzyszyło.

Zamieć wprawdzie była ustała, niebo się zaczynało wyjaśniać, Ale drogi były tak przysypane śniegiem, który wiatr najdziwaczniej poroznosił i poskupiał, że nawet obeznanemu z nimi trudno było się pokierować. Okolica też na w pół poleska, zarosła, lesista, dzika, wśród której małe tylko drożyny się przesuwwały w różnych kierunkach, utrudniała rozpoznanie miejsca, A wiatr był jedyną wskazówką, że się nie zbiło na stronę i nie zbłąkało. Wioski i osady, naówczas rozsypane bardzo i od siebie odległe, nie spotykały się na drodze, pora zaś trzymała ludzi po domach i na gościńcu nikogo spotkać nie było można.

Lecz podróżny na dzielnym koniu i dwaj jego towarzysze obcy być musieli z podobnymi wędrownkami w różnych porach roku i mężnie posuwali się naprzód. Siwo-jabłkowity wierzchowiec pana, choć z niego para buchała, rwał się ochoczo naprzód. Słudzy często spojerali na ziemię, gdzie wiatr zwiął śniegi, Aby się przekonać, że przynajmniej z drogi się nie zbili na bezdroże. Wtem zza gałęzi lasu, z których śnieg opadał, ukazał się wysoki brzeg Styru i na wzgórku drzewami otoczonym dachy dworu, wyglądające zza starego wału.

Zmęczonej czeladzi wyrwał się wykrzyknik z piersi, A nawet sam pan mimowolnie zawołał jakby do siebie:

- Bogu dzięki! Nadstyrze.

Tak się zwała wieś rotmistrza Bajbuzy, w której on zamieszkiwał, gdy nie był na wyprawie jakiej, na wojnie lub na usługach Rzeczypospolitej i współbraci szlachcie.

Z dała, pod całunem śniegów, który wszystko pokrywał i kształty wszelakie zatarł, niewiele dworu w Nadstyrzu widzieć było można. Nie była to pańska rezydencja Ani budowanie wytworne, choć pan jej mógł się nazwać bogaczem; niewiele dbano o powierzchowność w tych czasach, klecony wiekami, dobudowywany, przerabiany, dwór się składał z najdziwaczniej z sobą powiązanych izb, sal, komor i Alkierzy. Ponad nim wysoki dach, połamany, pogięty, z kominami olbrzymimi, wznosił się tak nieregularny, jak budowa, którą pokrywał. Jedyną ozdobą jego były herbowne Bajbuzów \* strzały, sterczące jako wietrzniki \* nad szczytami. Dworzec zresztą, choć bardzo stary i poczerniały, trzymał się krzepko i dobrze, bo wzniesiony był z olbrzymich kłód dobieranego drzewa.

O herbie Bajbuzów czytamy w "Encyklopedii staropolskiej" Glogera informację następującą:

“Bajbuza - herb polski, wyobrażający złotą strzałę na polu czerwonym, zwróconą beltem do dołu i przebijającą na wylot głowę węża przy ziemi, o którą jest ostrzem beltu oparta, pomiędzy rosnącymi na niej grzybami. Wąż ogonem dosięga piór strzały. Nad tarczą hełm, A nad nim korona szlachecka. Herb ten otrzymał w r. 1580 za waleczność murza tatarski Hrybunowicz, piszący się potem: z Bajbuzowa na Rajgrodzie Bajbuza Hrybunowicz. Pieczętują się nim osiedli na Litwie Ambroziewiczowie, Bajbuzowie, Bieńkowscy. Wyraz Bajbuza jest z pochodzenia turecki, A A złożony z dwóch: “baj” - bogaty i “buza” - “ciele”.

“Herbarz polski” A. Bonieckiego podaje imię owego murzy tatarskiego - Michał. Informuje też, że ów protoplasta rodu otrzymał herb od Stefana Batorego wraz z rozległymi ziemiami nad Sułą, Udajem, Sołonicą i Łużkiem za “posługi rycerskie przy księciu Michale Wiśniowieckim”. Chodzi tu o księcia Michała Wiśniowieckiego, kasztelana kijowskiego, ojca księcia Jeremiego, A dziada króla Michała.

Sam Kraszewski pisał tak o wiele wcześniej, bo w roku 1854, o herbie Bajbuza w szkicu “Poezja szlachecka, Legendy herbowne”, drukowanym w “Gazecie Warszawskiej” nr 332-335: “... Bajbuza - herb dziwaczny, wystawiający strzałę z obwiniętym wężem wkoło i trzy rosnące na ziemi grzyby, nadany był jakiemuś murzie tatarskiemu za zręczny wystrzał do węża...”

Wietrznik lub powietrznik ( st. pol.) - tutaj oznacza chorągiewkę na dachu, obracającą się za kierunkiem wiatru. Umieszczano na niej, zwyczajem szlacheckim, herbowy znak właściciela dworu.

Dla pana rotmistrza, który żonaty nie był, starczył ten gmach, A dwór jego niezbyt liczny i połowy izb pustych nie zajmował. Za to te, które zamieszkałe były, zdołały sprzęty kosztowne, nagromadzone od dawna i na próg wchodząc, poznać było łatwo, że tu pański mieszkał dostatek.

Panem i dziedzicem Nadstyrza był naówczas Iwaś Bajbuza. \* Rodzina, do której należał, nigdy żadnego ważniejszego nie zdobyła sobie stanowiska w hierarchii Rzeczypospolitej i nie wypłynęła nad fale szlachty, do której się liczyła. Nazwisko Bajbuzów brzmi jakoś dziko, z tatarska, choć od niepamiętnych czasów już je w księgach ziemskich zapisane znajdujemy. O pochodzeniu rodziny żaden heraldyk nie stworzył bajecznej legendy.

Informacje na temat osoby bohatera powieści, wymienionego tu Bajbuzy, zamieszczono w “Posłowniu”.

W chwili gdy się to opowiadanie rozpoczyna, rotmistrz, czynny pod Połockiem \* i we wszystkich Batorego wyprawach, ranny w jednym z oblężeń, zmuszonym był, powróciwszy do domu, z ran się leczyć i wypoczywać.

Oblężenie Połocka w wojnie Batorego przeciw Rosji odbyło się w sierpniu 1579 r., A A zatem do początku wypadków powieściowych upłynęło 7 lat.

Był to mężczyzna w sile wieku, może czterdziestoletni, Ale ciałem i duchem młody jeszcze i krzepki. Ogromnego wzrostu, szerokich ramion, wydatnej piersi, jakby do noszenia zbroi przeznaczonej, miał przy tym niemal senatorską jakąś powagę. Wyraz spokojnej, pewnej siebie siły i energii piętnował tę piękną, męską postać, której oblicze nie uderzało jednakże rysami zbyt wyszukanego wdzięku. Twarz była jakby dłutem mistrza zarysowana grubo i nie wykończona, Ale ogół rysów harmonijną tworzył całość, A czasami, gdy w nią wstępowało życie, gdy wewnątrz ogień zapłonął, Iwaś Bajbuza stawał się majestatycznym, posągowo pięknym. Takim on bywał, gdy szedł do szturm lub z kopią na koniu łamał nieprzyjacielskie szeregi.

W życiu powszednim powolnym był, rozważnym, pamiętnym na siebie, jak gdyby czuł, iż jakieś kapłaństwo w sobie nosił. Łagodny i dobry, nie dawał się z sobą zbyt spoufalać Ani męskiej swej dostojności chwilowym nawet roztargnieniem podawać w wątpliwość. Rycerz był czuwający nad sobą zawsze. Wobec tych, którzy na świeczniku stojąc, blaskiem swym zaćmiewać chcieli, spotykając dumę i nadętość, Bajbuza rósł i wcale się zatrzeć nie dawał. "Równy wojewodzie" - stało zapisane na jego twarzy i w całym człowieku. Do pokornych chętnie się zniżał, jeżeli pokora nie była kłamaną, przed pyszałkiem nigdy nie spląszczył.

Po ojcu i matce, z domu kniaziównie Kurcewiczównie, \* która reszty fortuny niegdyś znacznej wniosła w rodzinę Bajbuzów, Iwaś odziedziczył posiadłości ogromne. Nie mówiąc o przestrzeniach ziemi, których obwód na mile się liczył i zajmował znaczną część pogranicza między Wołyniem a Połesiem - skarbiec Bajbuzów, którego nikt nie znał, wedle powszechnego rozgłosu miał w sobie zawierać korcami mierzone srebro i złoto, i całe pereł skojce. Niczym było dla rotmistrza wystąpić w kilkadziesiąt koni, których same siodła i rzędy od srebra i złota tysiącami szacowano. Izba jedna pełną być miała naczyń srebrnych i pozłocistych, które na podarki przeznaczone były. Futer też, jedwabiów, szkarłatnego sukna, opon, kobierców, oręza drogiego i osobliwego zliczyć nie było można. Tak opiewali ludzie, co do inwentarzów zajrzeli.

Matka Bajbuzy, Genowefa z Kurcewiczów, wnosi do pochodzenia głównej postaci powieści związku ze znaczną kniaziowską rodziną ruską. Wskazuje na to również imię naszego Bajbuzy Iwaś, oraz imię brata jego matki, Semen. Rzecz znamienita, że w dalszym ciągu powieści Autor raczej nie wspomina imienia bohatera i kształtuje obraz dworu w Nadstyrzu według wzorów życia w zamożnym, prawie wielkopańskim, dworze szlachcica rdzennie polskiego pochodzenia.

Pomimo tych zasobów pańskich, Iwaś Bajbuza prowadził życie szlacheckie bardzo skromne, co było powodem, że go skąpym nazywano. Był zaś w istocie szczodrym bardzo, gdy szło o dobro ogólne, o sprawę Rzeczypospolitej lub o dobry uczynek.

W owych czasach przywiązywano wielkie znaczenie do dworów, którymi możni się otaczali, A były one do zbytku obsadzone i liczne. Nie mógł się i Bajbuza obejść bez komorników,

dworzan, hajduków czeladzi, Ale stosunkowo ograniczał się likiem \* ich nie bardzo wielkim. Dobierał za to ludzi, A gdy na wojnę szedł, z własnej woli na swym koszcie prowadził najmniej sto głów takiego żołnierza, iż lepszego nie miał nikt.

Lik ( st. pol.) - liczba.

Z dała na Iwasia Bajbuzę patrzący, ci, co o nim coś zasłyszeli, nawet tacy, co się o niego kiedy niekiedy ocierali, nie obcując ciągle, fałszywe sobie o nim wyrabiali pojęcie. Jedni go dumnym, drudzy mienili skąpcem, inni mieli za postrzelonego dziwaka. W istocie pospolitym ludziom trudno było sobie jasno wszystkie jego wytłumaczyć czynności. Lepiej go sądzili ci, co od młodości na niego patrzyli.

Iwaś ojca, człowieka rycerskiego, Ale nie odznaczającego się nadzwyczajnymi przymioty, utracił był bardzo wczesnie. Pozostała mu opiekunką matka, niewiasta rozumna, wielkiego ducha, i brat jej, ubogi, sterany na wojnach, zamęczony pieniactwem, chorąży Semen, książ Kurcewicz, który na łasce siostry, przy niej osiadłszy, był jej pomocą w gospodarstwie i interesach. Jejmość jednakże, posługując się nim, zwierchnię komendę zachowała przy sobie.

Pani starościna Genowefa, z kniaziów Kurcewiczów, Bajbuzina, przywiązana do jedynego syna, którego przyszłość wyobrażała sobie nader świetną, z jednej strony usiłowała mu mienia przysporzyć, z drugiej tak go wychować, Aby panem być umiał. Żyła tylko w tym dziecięciu.

Los szczęśliwie bardzo nastęrczył jej do pokierowania wychowaniem Iwasia niepospolitego człowieka, który wpływ niezmierny wywarł na swego wychowanka. Był to ubogi potomek odszczepionej gałęzi możnej rodziny pruskiej, w początkach żołnierz za młodu, później żarliwy reformator i wittemberczyk, \* czynny w kołach dysydentów, na koniec nawrócony na katolicką wiarę duchowny. W tej sukni już dostał się Wejher do domu, w którym jako przyjaciel do śmierci przemieszkiwał. Niepospolicie uczony, zamiłowany w nauce, natchnął wychowancowi upodobanie w poważnych zajęciach, chociaż natura go więcej na żołnierza stworzyła. Skutkiem wpływu Wejhera, duch rycerski połączył się w Iwasiu z miłością nauki, tak samo jak w Zamoyskim, \* który obok tytułu hetmana chlubił się swym rektorstwem padewskim.

Wittemberczyk - tyle, co wyznawca Lutra. Marcin Luter w Wittemberdze ogłosił swoje słynne tezy, A miasto owo stało się jednym z ośrodków protestantyzmu.

Jan Zamoyski ( 1542-1605) - kanclerz wielki koronny, przywódca szlachty polskiej, główna postać polityczna w czasach Henryka Walezego, Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy, znakomity mówca sejmowy i zwycięski wódz wielu wypraw wojennych. W czasie studiów prawniczych w uniwersytecie w Padwie został w roku 1563 wybranyrektorem. Była to godność przywódcy młodzieży, A nie rektora w dzisiejszym rozumieniu.

Przejście przez ogień reformy, jak nie pozostało bez skutku na Wejherze, tak się i na uczniu jego odbiło. Wiara jego była oświeconą i gruntowną. Po śmierci tego nauczyciela, który w końcu przyjacielem był tylko i bratem, Bajbuza sam już łódką swoją kierował. Książ Kurcewicz zmarł był wkrótce, A i matka, doczekawszy się zaledwie, że syn już lat doszedł młodzieńczych, odumarła go sierotą.

Z raz obranej drogi Bajbuza nie dał się już sprowadzić, poszedł nią dalej. Uczył się po troszę, po troszę wojował, wpraszając się ze swym oddziałem ochotników, gdzie tylko o szczęku oręża zasłyszał. Panowanie Batorego było dla niego doskonałą szkołą, A Zamoyski wzorem. Czasu wojny natychmiast spieszył do szeregów, A gdy na granicach pokój panował, wracał do domu i bawił się myślistwem i książkami. Do tych cech, które go w oczach ludzi czyniły dziwakiem, liczyła się główna, iż co tylko kraj obchodziło, co było interesem Rzeczypospolitej, do tego się natychmiast ofiarował na usługi. Nie żądany i nie powoływany biegł ochotnikiem, jak na wojnę. Pospolici ludzie widzieli w tym chętkę odznaczenia się, mającą go poprowadzić na krzesło senatorskie, do wyższych dostojęństw, Ale Bajbuza nigdy się nie ubiegał o nie. Że zaś zawsze o każdy wakans starało się kilku takowych, tak iż opędzić się im było trudno, Bajbuza, przeciwnie, żadnych nie czynił zabiegów i parę razy nawet Zamoyskiemu powiedział, że urzędów nie pragnie, A nagród nie potrzebuje, pozostawiono go na stronie, dziwiąc się tylko tej dumnej obojętności człowieka, który swym tytułem rotmistrza, zupełnie był zaspokojony. Nie widywano go nigdy na dworze polującego na wakanse, które się zjawiały, Ale na wieść o potrzebie, o wojnie, Bajbuza stawał pierwszy.

Tym on sobie pozyskał miłość Batorego, zaufanie i przyjaźń hetmana-kanclerza, który go innym za wzór stawiał. Był mu zaś tym sympatyczniejszym, że razem z nauczycielem swym, Wejherem, długo kręcąc się po Włoszech, przesiadując w Padwie, ucząc po różnych uniwersytetach, miał to humanitarne ówczesne wykształcenie, które najwyżej stawiało człowieka. Zamoyski, śmiejąc się, czasami tylko wyrzucał mu brak Ambicji, dowodząc, że ona też jest człowiekowi potrzebną, bo pole jego działalności rozpiera. Bajbuza dotąd jednak postępowania swego nie zmienił.

Tak do lat niemal czterdziestu dożywszy, Iwaś, można było powiedzieć, kobiet nie znał prawie i widywał je tylko z daleka. Pamięć matki dawała mu o nich wysokie wyobrażenie. O ożenieniu nie miał czasu pomyśleć dotąd i żadna z tych dziewczeczek, które po świecie spotykał, wielkiego na nim nie czyniła wrażenia. Wszystkie zarówno wydawały mu się miłe i powabne, Ale go ku sobie nie pociągały.

Pierwsza, którą się zajął żywiej nieco, była młodziuchna wdowa po jednym z książków Sanguszków, rodem Wielkopolanka, piękna jak obrazek, wykształcona, stateczna i właśnie takiego

charakteru, który na Bajbuzie najsilniejsze mógł uczynić wrażenie. Zmarły mąż jej, chociaż do moźnej należał rodziny, nie zostawił jej po sobie nic, oprócz bardzo skromnego dożywocia. Ona sama posażną nie była. Książęcy tytuł więc niemal jej ciążył przy bardzo szczupłym majątku, z którym się nie tała, wesolo znosząc prywacje, \* na które była narażoną. Była to kobieta wielkiego charakteru i energii niepospolitej. Wszelki fałsz i udawanie były jej wstrętnymi, zastosowywała się więc do tej mierności, jaka jej przypadła losem, zamknęła na wsi i nie starała po książęcemu występować.

Prywacje ( z łac.) - straty, szkody.

Bajbuza, spotkawszy ją po raz pierwszy w kościele, naprzód uderzony był niemal dziewiczym wdziękiem postaci księżnej, która nie miała nad lat dwadzieścia i łączyła w sobie urok młodości z powagą matrony. Skromny jej dwór był także na owe czasy zjawiskiem uderzającym. W sąsiedztwie później Iwaś na jakichś imieninach, obchodzonych uroczyście, bliżej ją poznał i bardzo sobie upodobał. Nie widywano go nigdy tak długo i wesolo zabawiającego się z kobietami, których unikał dotąd. Przyjaciele natychmiast wróżyć zaczęli, że się o nią starać będzie, Ale zawiedli się w oczekiwaniu.

Iwaś przyznawał, że mu się podobała, Ale otwarcie mówił, że o ożenieniu nie myślał, wiele wymagając od niewiasty, której by dał imię swe i uczynił ją dożywotnią towarzyszką. Księżna także, okazując mu życzliwość, nie zdała się chcieć go pociągać ku sobie, bo wcale zalotną nie była. Zawiazała się przyjaźń jakaś spokojna, z której śmiano się po troszę, bo jej nie rozumiano. Bajbuza głośno powtarzał, że dotąd do stanu małżeńskiego nie czuł wcale powołania. Kiedy niekiedy odwiedzał księżnę i mile spędzał u niej godzin kilka, w obcych domach spotykając się z nią, wyróżniał i chętnie się przysiadł na długie rozmowy, Ale w końcu nawet najłakomsi na plotki przestali wróżyć, Aby coś z tego być mogło.

- Ambitny jest - mówiono - chce mu się wielkiego majątku i imienia razem.

Kobiety zarzucały księżnie Teresie, że nie umiała pociągnąć ku sobie bogatego sąsiada i że każda inna w jej miejscu głowę by mu zawróciła.

Stosunki dobrej przyjaźni trwały tak nierozzerwane, A co dziwniej, wdowa, która miała wielu starających się o jej rękę wdowców majątnych, odpowiadała wszystkim, że za mąż iść nie myśli. Życie jej upływało nad krosienkami i wśród małego fraucymeru szlacheckich dziewczeczek, które wychowywała. Po wyprawie na Połock, na Wielkie Łuki, \* powróciwszy rannym do Nadstyrza Bajbuza, jak tylko zdrowszym się uczuł, pośpieszył przypomnieć się sąsiadce, która go przyjęła bardzo serdecznie, Ale Ani on, Ani ona nie zmienili nic we wzajemnym postępowaniu.

Miejscowość ta, ważny węzeł komunikacyjny na drodze do Nowogrodu i Moskwy, została zdobyta przez wojska Batorego 4 IX 1580 roku.

Zapytywany czasem żartobliwie Iwaś, którego przyjaciele księżną prześladowali, nie odpowiadał na to wcale, Ani się bronił, Ani chciał przyznać, Ażeby miał co na myśli. Przede wszystkim żołnierz, przewidywał on dalsze prowadzenie wojny jako nieuchronne, nie wierząc w powodzenie zabiegów Possewina, \* i na nowe się wyprawy gotował. Gdzież mu było myśleć o ożenieniu? Nie przeszkadzało to odwiedzaniu i przesiadywaniu u księżnej Teresy, Ale zawsze zabierał kogoś z sobą, Aby ludzkim złym językom nie dać siebie i jej na pastwę. Księżna Teresa powtarzała ciągle głośno, że za mąż iść nie myśli i po staremu byli dobrymi przyjaciółmi, nic więcej. Tylko starzy i wytrawni ludzie poruszając głowami szeptali, że prędzej czy później musi się to skończyć u ołtarza.

Possevino - Antonio Possewino, legat papieski w Polsce, jezuita; pośredniczył w układach pokojowych między Stefanem Batorym A Iwanem Groźnym. Watykan zamierzał pozyskać w ten sposób Moskwę dla katolicyzmu. Ponieważ "zabiegi Possevina" zakończyły się w roku 1582, w tym zaś momencie Akcji powieści mamy rok 1586, chodzi tu raczej o wątpliwość Bajbuzy, czy pokój między Polską i Moskwą może być trwały.

Takie było położenie Iwasia Bajbuzy w chwili, gdy chorąży Szczypior, dobiwszy się do Horodyszczu w Nadstyrzu, otrząsnąwszy ze śniegu, zapytał starego sługę, który wychodził na spotkanie, czy zastał rotmistrza w domu.

- A gdzież by na taki czas mógł się ruszyć? - odparł staruszek. - Taż to od dwóch dni taka była wiuha, że nosa na podwórze nie wytknąć.

Zabrano natychmiast ludzi i konie do gościnnych stajen, A Szczypior nie przebierając się, jak stał, wierzchnią tylko opończę zrzuciwszy, za przewodnikiem do sypialni Bajbuzy pośpieszył, który tak daleko od wjazdu w zacisznym siedział kącie, że gościa Ani zobaczyć, Ani posłyszeć nie mógł przybywającego.

Chorąży Szczypior był mniej więcej w wieku Bajbuzy, Ale powierzchowności wcale odmiennej, mały, krępy, muskularny, gorączkowych ruchów, krzykliwego głosu, zamaszysty, rubacha, żołnierz, jednym słowem, który więcej w obozach i taborach niż po pałacach i dworach zwykł się być obracać. Ale za to był to żołnierz, jakich mało, rozmiłowany w swym rzemiośle, odważny, doświadczony, przezorny. Nauki nie miał wiele, Ale z życia zaczerpnął dużo i w trudnych razach miał instynkta nadzwyczaj szczęśliwe. Jak wszystka szlachta owych czasów, Szczypior więcej był winien obcowaniu z ludźmi niż szkolonemu wychowaniu i księgom. Uczono się naówczas z żywego słowa, nie z karty, i dlatego dziś tyle w przeszłości pozostało tajemnic, bo ich nikt nie czuł potrzeby zapisywać, jako rzeczy powszechnie znanych, dziś niepowrotnie zatraconych. Otwartej głowy, wesołego humoru chorąży, jak wielka większość szlachty, znał trochę historii, łacinę rozumiał i przysłowiami jej się posługiwał, zresztą papierami i piórem się

brzydził. W obejściu się żołnierska jego prostota, charakter szlachetny, otwartość czyniły go miłym Bajbuzie.

Zapraszał go do siebie, obcował z nim jak z bratem, A potajemnie pomagał mu wiele, bo Szczypior oprócz wioszczyzny gdzieś na Białorusi nie miał nic.

Zobaczywszy go w prog, Bajbuza zakrzyknął na wpół uradowany, wpół zdziwiony:

- A toś ty mi z nieba spadł!

I obie ręce wyciągnął ku niemu:

- Bóg zapłać, bo w taką zamieć puścić się w podróż, na to potrzeba Szczypiora!

Chorąży witał się, Ale daleko mniej raźnie i wesoło, niż był zwykły; spojrzeli sobie w oczy.

Bajbuza się domyślił, że mu przyniósł coś złego.

- Co ci to, Szczypior! Zmarzeł, koń ci padł na drodze? Mów! - zawołał.

- A, bodajby mi wszystkie lepiej pozdychały - westchnął chorąży ponuro. - Nie ma co żartować!

- Na Boga, cóż się stało? - podchwycił Bajbuza niespokojnie.

- Największe nieszczęście, jakie nas wszystkich spotkać mogło! - odparł Szczypior.

- Miłosierny Boże - łamiąc ręce podchwycił Bajbuza i zwiesił je bezsilne - mów...

- Król! Król nasz umarł! \* wybuchnął głosem jakby ze łkaniem pomieszany Szczypior.

Stefan Batory zmarł 12 grudnia 1586 roku w Grodnie. Po jego śmierci krążyły po Polsce wieści, jakoby został otruty, co Kraszewski dalej notuje.

- Król! Król! - odstępując na krok, powtórzył rotmistrz. - Nie do wiary!

- Niestety! - przerwał Szczypior podchodząc machinalnie ku kominowi. - Prawda to, jak Bóg Bogiem. Nie ma go! Smutna ta wiadomość obiega już całą Rzeczpospolitą i lada chwila byłaby do was doszła.

Bajbuza stał jak osłupiały.

- To cios! - zawołał. - silny, zdrów, niestary! Cóż mu się stało?

Chorąży ramionami poruszył.

- Bóg wie jeden, Ale fama głosi powszechna, że go otruto. Było przy nim lekarzy dosyć - mówił dalej - Ani na Włocha Buccellę, Ani na Simona \* podejrzania nie ma, bo ci by byli własne życie dla niego dali, Ale kto zaręczy, że wśród tych, co go otaczali, zdrajców nie było przekupionych przez Zborowskich \* i Rakuskich praktykantów. \* Struli go, pewnie struli!

Buccella i Simon - lekarze nadworni Stefana Batorego.

Zborowscy - magnacka rodzina Zborowskich była wrogo usposobiona do Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego, który z wyroku królewskiego kazał ściąć w roku 1584 Samuela Zborowskiego, Banitę, warchoła, knującego zamachy na króla i kanclerza. Brat Samuela,



Krzysztof, został skazany na wygnanie w roku 1585 za udowodnione działanie przeciw królowi i państwu.

W swych wichrzących dążnościach opierała się rodzina Zborowskich głównie na Habsburgach, których obawiała się znów szlachta polska jako kandydatów do tronu polskiego, z powodu ich Absolutystycznych dążeń. Z tego m.in. powodu utarło się w tych czasach w Polsce powiedzenie: "praktyki Rakuskie", czyli intrygi polityczne, dążące do wprowadzenia na tron dynastii Rakuskiej, tj. Austriackiej.

Bajbuza się wzdrygnął cały.

- A, ci Zborowscy! - zgrzytnął. - Jeszcze z nimi nie ma końca!

- Mnie się widzi, to dopiero początek, teraz dopiero wichrzeć zaczną - mówił Szczypior. - W całym kraju wszystko się burzy i rusza, jak gdyby spiskowi na to hasło tylko czekali. Już słyszę, Górka, \* Czarnkowski \* i co ich tam jest Rakuszan, zbierają żołnierza, zwołują zjazdy. Jeszcze zwłoki nie zastygły, A już czuć, że go nad nami nie ma.

Górka - Stanisław Górka, wojewoda poznański, przywódca szlachty wielkopolskiej, osobisty wróg Jana Zamoyskiego, znany z zamożności i wystawnego życia. Był po śmierci Stefana Batorego głową stronnictwa rakuskiego zamierzającego na tronie polskim osadzić Arcyksięcia Maksymiliana Habsburga.

Czarnkowski - Stanisław Czarnkowski, referendarz koronny, postać znana w wewnętrznych walkach politycznych w Polsce od czasów Zygmunta Augusta. Po śmierci Batorego stał się płatnym Agentem Habsburgów. Odznaczał się gwałtowną nienawiścią do Jana Zamoyskiego. Wiele sejmów zajmował swymi prywatnymi sprawami. Starał się o godność kościelną biskupa koadiutora ( zastępcy) gnieźnieńskiego, chociaż był człowiekiem świeckim. W latach kiedy toczy się Akcja powieści, nie ustawał w intrygach politycznych mimo starości i ślepoty.

Wtem Bajbuza krzyknął z gwałtownością, która rzadko brała nad nim górę:

- A Zamoyski?!

- Nie zaśpi on pewnie - rzekł Szczypior - i jako hetman będzie miał z kim naprzeciwko nim wystąpić, Ale doczekamy się wojny domowej, gdy nieprzyjaciel zewsząd czyha. Rakuszanin z tego skorzysta.

Posępnie zamyślił się Bajbuza i w tym milczeniu przeszedł parę razy po izbie.

- Nie ma tu co rozmyślać - rzekł - powinność wskazuje koło Zamoyskiego się gromadzić, kto Boga ma w sercu. Doma siedzieć nie pora.

Obrócił się ku Szczypiorowi.

- Nie wiesz, gdzie się hetman znajduje? - spytał.

- Nie wiem. Wiadomość o śmierci króla zastała mnie u krewnych na Litwie, zbiegłem do was, Aby się naradzić i dać wam znać.

- Niech Bóg płaci! - powtórzył parę razy Bajbuza. - Myśleć tu nie ma co, około hetmana zbierać się potrzeba. Cesarscy Ani chybi już się koło Górki i Zborowskich kupić muszą. Nie wiem, czy na Gody ( Boże Narodzenie) w domu można będzie pozostać. Sejm rychło Karnkowski zwołać musi, Aby co prędzej o elekcji postanowił, A na sejm wszystkie się warchoły zbiegną. Nam też tam potrzeba być.

Wiadomość ta jak piorun padła na Bajbuzę niespodzianie.

- Nie może to być - wołał - Aby śmierć była naturalną, grozili mu i od dawna się sposobili zgładzić go ze świata. Zobaczycie, że Zborowski Krzysztof natychmiast się tu znajdzie, choć banitą jest.

- Słyszałem po drodze, że i on, i Andrzej już ze Szląska przybyli i publicznie się ukazują, przeciwko hetmanowi odgrajając - rzekł Szczypior. - Nie wątpię, że i hetman znajdzie ludzi, Ale Rakuszanie wcześniej się gotowali niż on, co pewnie tak nagłego nie przewidywał zgonu. Karnkowski z nim trzymać będzie, A to interrex. \*

Karnkowski - Stanisław Karnkowski, prymas Polski. W czasie bezkrólewia nosił prymas tytuł interrex ( łac.), król tymczasowy”, gdyż zastępczo reprezentował władzę królewską.

Bajbuza zacisnął usta.

- Gdzie król zmarł? - spytał.

- W Grodnie - rzekł Szczypior. - Mało co chorzał nawet, A teraz się medycy za łby biorą, kto winien. W tym jest ręka złoczyńcy!

Bajbuza stał jeszcze pogrążony w sobie, rękę wyciągnął ku chorążemu i położył mu ją na ramieniu.

- Słuchaj no - rzekł - struli go zbóje, czy nie, Bóg jeden wie, Ale my tego nie powinniśmy Ani przypuszczać, Ani głosić, nawet przeciwko Zborowskim, bo warchoły są, Ale bracia nasi i dzieci tej ziemi. Srom z nich padłby na naród. Wiem, że oni popełnić to mogli, niech ich Bóg sędzi, my milczmy. Gdybym na miejscu hetmana był, może bym tak ściąć kazał Samuela, jak on, dla postrachu i grozy, Ale o truciznę i morderstwo kryjome bym ich nie oskarżał.

Szczypior słuchał z uwagą. Wierzył on tak w rozum Bajbuzy, że na ślepo szedł za nim. Zamilkł więc, A rotmistrz ciągnął dalej:

- Łacno przewidywać, co nastąpi. Zamoyski pewnie którego z Batorych na tron forytować będzie, A szlachta się wilczych zębów \* boi i nie zechce ich; królowa \* poprowadzi siostrzeńca, królewicza szwedzkiego; Rakuszanie - Maksymiliana \* lub cesarza. Więcej już nie wiem kogo by można obierać. Zechcą Piasta, moim zdaniem, Zamoyski jeden godzin po Batorym panować, Ale

Ani jego nie zechcą, Ani on nie zechce. Nadto ma nieprzyjaciół. No, na ostatek Litwa, ta gotowa cara moskiewskiego dla pokoju wybierać, Ale Polska go nie przyjmie!

Wilcze zęby - znajdowały się w herbie rodowym króla Stefana Batorego.

Mowa tu o Annie Jagiellonce, siostrze Zygmunta Augusta. Projektowano jej małżeństwo z Henrykiem Walezym, znacznie jednak od niej młodszym. Małżeństwo Anny ze Stefanem batorym miało tylko formalny charakter. Zygmunt III był jej siostrzeńcem. Osadzenie go na tronie polskim planowała Anna od dawna.

Maksymilian - Arcyksiążę Austriacki z rodu Habsburgów, kandydat do korony polskiej po śmierci Batorego.

Mówił to, chodząc, Bajbuza, gdy w progu ukazał się w czarnej sukni, słusznego wzrostu, chudy i blady księżyna, który niskim polkłonem kolatora \* Witał. Z twarzy jego wyczytać było można, iż już smutną wiedział nowinę. Załamał rękę.

Kolator ( z łac.) - opiekun kościoła miejscowego ( przypis redakcji).

- Król umarł! - szepnął. - O, my nieszczęśliwi! Dysydenci głowę podniosą, A w kraju znowu nie będzie spokoju. Biada domowi podzielonemu i rodzinie rozprzężonej. Co nas czeka? Panie rotmistrzu, co nas czeka?

Bajbuza się uśmiechnął smutnie.

- Ciężka chwila do przebycia - rzekł z powagą, wskazując księdzu krzesło - Ale się wątpić nie godzi o miłosierdziu Bożym. Mamy przecie kanclerza, A około niego skupią się ludzie poczciwi.

Wtem proboszcz, ksiądz Poklatecki, zwrócił się do Szczypiora.

- A to wy, panie chorąży, przywieźliście nam wieść tę straszną? - zapytał. - Powiedzcież nam co więcej? O chorobie króla nie słyszeliśmy.

- Krótco też chorzał - rzekł chorąży, który już z trucizną nie śmiał wystąpić. - Miał Aż dwu lekarzy przy sobie, którzy się dziś spierają, jak go leczyć było potrzeba.

- Stała się wola Boża - przerwał Bajbuza. - Zarządźcie, księżę proboszczu, nabożeństwo żałobne za duszę pana. Nam trzeba myśleć, Abyśmy co rychlej innego sobie obrali i w bezkrólewiu A bezładzie nie trwali.

- A, biedna królowa! - westchnął proboszcz. - Po Henryku była słomianą wdową, po tym też przyszło jej żałobę nosić, A teraz patrzeć będzie musiała na nowego pana, któremu się jej pokłonić każą może...

- Któż wie, czy siostrzeńca jej nie wybierzemy? - odparł Bajbuza. - Jagiellońska w nim krew płynie, A połączenie ze Szwecją nie od rzeczy dla nas, bobyśmy Moskwie z nią łączniej czoło stawić mogli.

- Królowa Anna - odezwał się ksiądz - już go dwakroć przecie całymi siłami na tron forytowała, A nie powiodło się jej, miałaby być teraz szczęśliwszą?

- Być może! - zawołał Bajbuza. - Naówczas młody Zygmunt miał lata niepełne, dzieckiem był, dziś dwudziestu dochodzi, jeżeli się nie mylę, i z pomocą Zamoyskiego rządzić potrafi.

- Ale czy Zamoyski go zechce? - rzekł Szczypior.

Nikt nie odpowiedział na to.

- Stolica Apostolska - odezwał się, wzdychając, proboszcz - niechybnie Rakuszanina popierać będzie. Ma on zwolenników wielu, Ale i nieprzyjaciół niemało.

- Burzliwa będzie elekcja - dodał Bajbuza - dlatego kto żyw, A Boga w sercu ma, jechać na nią powinien i stawać w szeregach, bo warchoły nie zaśpią.

- Pamiętajcież ino - wtrącił ksiądz - Aby znowu królowi na Henrykowskie Artykuły \* przysięgać nie kazano. Dacie wy "pacem dissidentibus", \* Ale oni wam go nie dadzą, A wezmąli górę, przepadnie wiara, kościoły i z nimi Rzeczpospolita, której tyle żyć, póki Rzymu córką jest.

Henrykowskie ( lub Henrycjańskie) Artykuły zaprzysięgali królowie elekcyjni w Polsce. Oprócz gwarancji swobód szlacheckich poręczały one także swobodę wyznaniową dla różnowierców. Po raz pierwszy przedstawiono je do zaprzysiężenia Henrykowi Walezemu, skąd nazwa.

Pacem Dissidentibus ( łac.) - pokój dla dysydentów - równouprawnienie dla różnowierców.

Bajbuza milczał trochę.

- Mój ojczcie - rzekł - przebaczcie mi odmienne zdanie. Lepiej jest dysydentom pokój zaprzysięć, niż im wypowiadać wojnę. Nie ma u nas dla nich sposobnej roli, posiane nie zejdzie ziarno, A gdy zacniemy nękać ich, wywołamy siłę, którą wszelka przemoc rodzi.

- Rotmistrzu? Wy za dysydentami?! - zawołał proboszcz. - Uszom mi się wierzyć nie chce.

- Bajbuza się uśmiechał.

- Nie, ojczcie mój - rzekł - Aleśmy wzorem Batorego postępować powinni. Żydom synagogi budować pozwalamy, niech i zbory stoją spokojne. Nie pójdzie do nich nikt, dopóki do nich ucisk nie pociągnie.

Ksiądz głową poruszył.

- Zgubne to pobleżanie - szepnął - bo oni go dla nas nie mają, A zuchwali są.

- My się im obronimy - odparł Bajbuza - Ale tymczasem nie o dysydentów sprawę idzie, Zborowscy nam pokoju nie dadzą, z tymi się naprzód rozprawić należy.

- Dysydenci właśnie w ich się znajdują obozie - przerwał proboszcz.

- Tym gorzej dla nich - rzekł Bajbuza.

Przez chwilę milczeli zadumani. Ogień tylko trzaskał na kominie.

- Bóg łaskaw - odezwał się w końcu gospodarz - róbmy, co naszym obowiązkiem, resztę na Niego zdajmy. U mnie - dodał - od dziś dnia wszystko na wojennej stopie, ludzi zbierać każe, A jak skoro będą gotowi, puszcze się Albo do hetmana, lub do pana Stanisława Żółkiewskiego, Aby czynnym być i Rakuszanina nie dopuścić. Nie zechce szlachta Batorego z obawy, Aby zbyt surowym nie był, poprowadzimy Szweda, \* którego królowa niemal jak własne dziecko z dawna ukochała. Byle nam ksiądz Karnkowski szyków nie mięszał.

Szwed - królewicz szwedzki Zygmunt Waza.

Zwrócił się gospodarz do proboszcza.

- A wy, ojcze, módlcie się gorąco do Boga, Aby Rzeczpospolitą z tej toni wyratował i królowi wielkiemu godnego naznaczył następcę. Szczypiorrze kochany - zwrócił się do starego towarzysza - ty ze mną.

I uściskał go w milczeniu.

## Rozdział II

Ostra w początkach zima złagodniała w końcu stycznia. W Nadstyrzu wszystko już było w gotowości do ciągnięcia, Ale też nadchodzące tu wiadomości czyniły je obowiązkiem. To, co w pierwszej chwili przywiózł z sobą Szczypior, w zupełności się potwierdzało. Nikt nie przypuszczał nawet, Aby Zborowscy, pognębieni śmiercią Samuela i banicją Krzysztofa, na siły takie zdobyć się mogli; i nie zebraliby ich, pomimo przyjaciół swych, gdyby nie pokrewieństwo z wojewodą poznańskim, A jego niechęć i zazdrość zastarzała przeciwko Zamoyskiemu.

Hetman i on żartobliwie się niegdyś przezywali, pierwszy rektorem padewskim, drugi wittenberskim; \* dziś nienawiść Górki, śmiercią Samuela podniecona, nie znała granic, A miał za sobą nie tylko całą Wielkopolskę, Ale mnogich nieprzyjaciół hetmana i dysydentów, którzy go za głowę i wodza swego liczyli.

Aluzja do Wittenbergii, kolebki protestantyzmu, którego polscy zwolennicy, zwani w powieści dysydentami, popierali Górkę.

Na pierwszą wieść o zgonie Batorego ruszyło wszystko, co żelazna jego ręka dotąd w pozornym pokoju trzymała, żywioły niespokojne i burzliwe podniosły się gwałtownie. Oprócz Górki, stary, schorzały Arcybiskup gnieźnieński Karnkowski jawnie brał stronę przeciwników hetmana, do którego nawet list wysłał, radząc mu, Aby się nie pokazywał na sejmie. Szło o sprawę Zborowskich, którzy nie zważając na to, iż prawo sejmowi konwokacyjnemu \* o niczym więcej stanowić nie dopuszczało oprócz terminu elekcji, chcieli co najprędzej zrzucić z siebie wywołanie i wrócić do praw, jakie im odjął wyrok Batorego.

Sejm Konwokacyjny - sejm, na którym uchwalono termin i miejsce elekcji króla.

Nie zważając na to, czy Zamoyski na sejm przybyć zechce lub nie, Bajbuza gotował się stanąć przy Żółkiewskim lub połączyć z tym obozem, który stronę Zamoyskiego miał trzymać. Ludzie już się ściągnęli do Nadstyrza A Iwaś niecierpliwił słysząc o tym, co się działo na świecie, gdy on tu siedział z założonymi rękami, Aż jednego dnia zawołał na Szczypiora:

- Chorąży! jadę księżnę Teresę, sąsiadkę moją łaskawą, pożegnać; nie uchodzi, Abym cię z sobą nie wziął. Zobaczysz taką kobietę, powiadam ci taką, jakiej drugiej Ani ze świecą, Ani z pochodnią nie znaleźć.

- Oho! - przerwał Szczypior - to mi dopiero niewiasta, kiedy wy to o niej mówicie.

- Rychło i wy to powtórzycie za mną - rzekł rotmistrz - odziejże się szykownie, sanki zajadą i pojedziemy.

Szczypior był ciekawy, bo nigdy nic o księżnie nie słyszał.

- Stara, młoda? - spytał.

- Młoda i piękna - rzekł Bajbuza - Ale mogłaby być starą i brzydką, A trzeba przed nią bić czołem.

- Aż mi strach! - rozśmiał się Szczypior - Alem ciekawy.

Parę mil od Nadstyrza było do Nadługów księżnej. Szczypior nie chciał wierzyć, że do rezydencji księżnej zajeżdżali, gdy sanki ich przez wysoką, starą, krytą bramę wtoczyły się na dziedziniec i przed prosty dwór szlachecki, około którego cicho było i mało ludzi się kręciło.

Stary sługa w wyszarzanej sukni długiej, ciemnoburakowego koloru przywitał ich w progu i zaraz do izby wielkiej wprowadził, gdzie zastali księżnę nad krosnami, której młode dziewczę z książki coś czytało. Mieszkanie było skromne, Ale wyszukanej czystości i woniejące świeżością jakąś.

Księżna Teresa wstała uradowana na powitanie sąsiada, który jej przyjaciela przedstawiał.

- Przyjechaliśmy pożegnać księżną panią - rzekł - i dopraszać się błogosławieństwa.

- Dokąd? Na wojnę? - zapytała żywo.

- Tak dobrze, jak na wojnę i gorzej niż na Pohańca - odparł Bajbuza - bo na Turka idąc, serce się raduje, że się wojować będzie z nieprzyjacielem krzyża świętego, A my może z braćmi się bić będziemy musieli.

- Nie dopuści Pan Bóg - westchnęła wdowa, w którą Szczypior oczy miał wlepione jak w obraz cudowny.

Począł tedy przybyły gość rozpowiadać, co się święciło, A księżna go z wielką słuchała uwagą. Szczypior milczał. Przyniesiono wino i słodycze.

- Mościa księżno - żartobliwie odezwał się rotmistrz - rad bym zawczasu wiedział, za kim wy będziecie na to królestwo, Abym i ja z nim był.

Rozśmiała się gospoia.

- Ale ja, panie rotmistrzu - odparła - niespełna wiem nawet, kto staje na kandydata, A temu życzyć będę korony, kto ją godnie Batorego nosić będzie. Któż się do niej swata?

- Że nie zabraknie Piastów i obcych, to pewna - mówił Bajbuza - Ale najbliższy jest siostrzan królowej i Rakuszanin. Zgłoszą się i Batorowie, A bodaj wielki kniaź moskiewski.

- A wy z kim będziecie? - spytała księżna.

Ruszył ramionami rotmistrz.

- Wierzę w rozum i poczciwość Zamoyskiego - rzekł - z nim pójdę na ślepo, A to znaczy, że w żadnym razie nie z Rakuszany trzymamy, bo tych Zborowscy są.

Gdy to mówili Szczypior patrzył A patrzył na księżnę, nie mogąc od niej oczu oderwać. Wyobrażał ją sobie i piękną, i miłą, kiedy Bajbuza tak ją wielbił, Ale taką, jaką ujrzał, wcale się nie spodziewał zobaczyć.

Księżna była właśnie w tym wieku najświetniejszego rozkwitnienia, gdy kobieta jest w całej swej piękności potędze. Złotego włosa, wielkich oczu niebieskich, biała, z płcią nadzwyczaj delikatną, średniego wzrostu, kształtna, instynktowo ruchy mające pełne uroku, choć zalotną nie była, dla Szczypiora wdowa wcielała ideał kobiety, o jakiego istnieniu nawet nie marzył.

Oniemiał też na widok jej, osłupiał i siedział zapatrzony tak, że się śmiesznym mógł wydawać. Potrzebował trochę czasu, nim wyszedł z tego upojenia i do rozmowy się mógł wmięszać. Był najmocniej teraz przekonany, że rotmistrz być musiał do ręki wdowy pretendentem.

Ona tymczasem z nim wiodła swobodną, wesołą i spokojną rozmowę, Ale Szczypior w niej próżno szukał choćby cienia jakiegoś porozumienia i uczucia. Oboje teraz z kandydatów do korony wybrali zgodnie Zygmunta.

- Należy się choć to zadośćuczynienie ostatniej z Jagiellonek - mówiła gospodyni - tej biednej królowej, którą za życia rodziców w kąć zasuwano, za życia brata na uboczu trzymano, po wyborze Henryka osadzono na koszu, A ze Stefanem połączono tylko dla ceremonii. Słyszałam i wiedzą wszyscy, że kocha Zygmunta jak syna, że sobie wizerunki jego posyłać każe. Na jej może intencję po polsku go uczono. Pobożnym być ma i statecznym, młodym jest, do kraju się przywiąże, bierzcie go!

- Jam gotów! - zawołał rotmistrz - A za przyjaciela Szczypiora rękę, że tak głosować będzie, jak mu księżna każe.

Zarumieniła się wdowa mocno.

- tak, chorąży wedle mego życzenia, A wy, rotmistrzu? Przeciwno memu życzeniu? - poczęła żartobliwie.

- Ja nie wiem - rzekł spokojnie rotmistrz - Ale za to rękę, że przeciwników, jeśli się poważą nam chcieć gwałt zadać, będziemy tłukli, nie patrząc, czy trafimy na ślepotę Czarnkowskiego, czy na niecnotę Rakuszan.

Tak cały ten czas odwiedzin upłynął na bardzo ożywionej rozmowie i goście odjeżdżać mieli, gdy ich jejmość wstrzymała na wieczerzę, Ale Bajbuza zostać nie mógł. Spodziewał się Wąsowicza w domu. \*

Wąsowicz - postać historyczna, zginął od kuli zborowszczyków na sejmie konwokacyjnym w Warszawie. Kraszewski miał zamiar uczynić go znajomym lub sąsiadem Bajbuzy, Ale zapomniał widać o tej epizodycznej postaci, bo nie zastajemy Wąsowicza w Nadstyrzu. Występuje dopiero w Warszawie.

Na żart, poklękali, prosząc o błogosławieństwo, A Szczypior - domyślając się, że im by może było milej sam na sam chwilę pozostać, wysunął się zaraz. Rotmistrz zatrzymał się jeszcze.



- Mościa księżno - rzekł rękę jej trzymając - bardzo mi tęskno będzie na długo Nadstyrze opuszczać, nie dla niego, Ale dlatego, że waszej książęcej mości widzieć nie będę.

- A dlaczegoż to ma trwać tak długo? - zapytała z prostotą księżna Teresa.

- Bo z tego, co wiem, na rychłą się nie zanosi elekcją - mówił Bajbuza - potem nie zaraz pokój nastąpi. Będziemy musieli z panem hetmanem stać na czatach.

Westchnął.

- Dobra to rzecz - dodał mieć tak miłą sąsiadkę na siebie łaskawą, Ale się człowiek do niej przyzwyczaja, A potem tęskni.

- O - odpowiedziała żywo księżna - nie prawcie mi słodczy, jam do nich nie nawykła i nie smakuję w nich. Niech Bóg was szczęśliwie prowadzi i odprowadza.

Pocałował ją w rękę, spojrzeli sobie w oczy. Któż wie? Może gdyby nie Szczypior, powiedziałby coś więcej, Ale musiał zagryźć usta, skłonił się i wyszedł smutny.

Siedli do sanek.

- A co? - zapytał rotmistrz.

- Nie mam co mówić - zamruczał chorąży - pani jest osobliwej piękności i rozumu, więc wam tylko powinszować.

Rozśmiał się Bajbuza.

- Mnie? czego?

- Ano!

- Ano czego? - naglił rotmistrz.

- Juści ona wasza! - dodał chorąży.

- Tak samo jak waszmości - odpowiedział Bajbuza. - Adoruję ją, to prawda, Alem jej nie śmiał powiedzieć słowa i nie czuję się takiej niewiasty godnym. Warchoł i ja jestem - dodał wzdychając - bo my Polacy ze krwi jesteśmy warchołami, z tą tylko różnią, że jeden dla złego, drugi dla dobrego warcholi. Spokojnie żyć, powoli iść nikt z nas nie umie, rwiemy z kopyta. Godziż się kobietę narażać na to, Aby nasze ciężkie podzielała losy? Ja też w sobie czuję, że spokojnie Boga chwalić na Nadstyrzu nie będę. Korci mnie zawsze nieproszonemu palce między drzwiami włożyć, A w nie swoje wdać się rzeczy...

Szczypior słuchał.

- Obmawiacie się - rzekł - bo trudno teraz, choćby człek rybią krew miał, siedzieć spokojnie pod piecem i popijać ciepłe piwko z grzankami, gdy wszystko wre dokoła. A ułoży się potem wszystko po elekcji, powrócicie na wasz dwór i będziecie siedzieli jako i drudzy.

Westchnął ciężko Bajbuza.

Chyba mnie nie znasz! - dorzucił. - Żenić mi się doprawdy nie godzi, bo charakteru nie poprawię i zawsze mnie jakaś bieda do guza kusić będzie.

Nazajutrz po tej wycieczce już wozy ładowano, A chorąży, który towarzyszył Bajbuzie, z nim razem opatrywał stu kopijników, których pan Nadstyrza z sobą prowadził. Lud był dorodny, zdrow, silny, i ledwie czwarta część takich, co w ogniu nie bywali.

Konie i ludzie stawili się, Aż miło. Nie brakło nic, rotmistrz obejrzawszy, wesoło powrócił do komina.

- Jutro po mszy świętej w drogę! - rzekł wesoło. - Prawda, że się ma ku wiosnie! Że choć marznie nocami, Ale taja już we dnie i droga będzie pod czas dla nas i dla koni niemiła, Ano na to żołnierz nie zważa.

Jak zamierzał rotmistrz, tak się stało; kapelan i proboszcz razem odprawił mszę świętą, potajemną do niej wiążąc intencję, Aby na pokój z dysydentami nie dozwolano. Pobłogosławił ludzi. Bajbuza i Szczypior siedli na konie, chorągiew ruszyła w pięknym porządku, przez stanowniczego poprzedzana.

Cale po pańsku ciągnął zawsze Bajbuza, choć bez wystawności i przepychu A tym się odznaczał, że po drodze za wszystko płacił, stołów i stert ludzic jego nie psowali, kłótni z włościanami na noclegach i popasach nie dopuszczano.

Trzeciego dnia, gdy na większy się gościniec wybili, mogli już zmiarkować, co pod Warszawą ich czeka. Mniejsze i większe oddziały, do Zborowskich, Czarnkowskiego, Górków, Zbarażskich należące, pośpieszyły ku mazowieckiej stolicy; Ale co chwila też spotykali oddziały Zamoyskiego, Żółkiewskiego, Dulskiego, Opalińskich i tych, co z hetmanem trzymali. O ile zmiarkować było można, lik po obu stronach prawie musiał być równym, Ale hetmańscy szli cicho i spokojnie, gdy zborowszczycy wrzawliwie się parli, odgrządzając i ledwie nie wyzywając po gościńcach do walki. Swoim ludziom Bajbuza najmocniej zalecił, Aby żadnego powodu do waśni nie dawali. Układali się też tak zawsze, Aby obok zborowszczyków Ani nocować, Ani odpoczywać.

Im bliżej ku Warszawie, tym na gościńcach gęściej było. Chorążego Szczypiora z ludźmi zostawiwszy, rotmistrz się puścił przodem niespokojny, Aby co rychlej dostać języka. Gorączka ta, która mu nigdy spokoju nie dawała, gdy szło o publiczne sprawy, ogarniała go coraz mocniej. Miał zawczasu zamówiony dwór dla siebie przy Długiej ulicy, tam właśnie, gdzie się przebywających najwięcej zbierało, i wprost zajechał do niego.

Po drodze już Wąsowicza spotkawszy, który do hetmańskich należał przyjaciół, wiedział, że Zamoyski nie przybędzie, bo mu to Karnkowski odradzał, Ale Żółkiewski, Dulski i inni przyjaciele zastępować go nie omieszkają.

Oburzało to Bajbuzę.

- Gotowi sądzić, że się ich uląkł! - wołał w duchu - A to rozzuchwali. Zamoyskiemu się poddać nie godziło, Ale stanąć śmiało oko w oko. Zły początek.

Wąsowicz, który go spotkał wjeżdżającego, nadjechał tu zaraz. Młody był, A zuchwały wojak i nawykły też do przewagi hetmana. Rozumieli się więc z Bajbuzą doskonale.

Zoczywszy go na progu, wołał rotmistrz:

- A to ja tu piękne rzeczy znajduję... hetman się cofa?

Wąsowicz głową potrząsnął.

- Nie lękajcie się tego - rzekł - na początek jednak trzeba było Karnkowskiego posłuchać. Żółkiewski go tu zastąpi.

- A Zborowscy?

- Zborowscy? - przerwał Wąsowicz. - Tajemnica to jeszcze... Mówią jedni, że siłę mając z sobą, choć wywołani, wbrew banicji staną na sejmie, drudzy powiadają, że ich Górka zastąpi. Wszystko wre i kipi. W ulicach już ludzie się rąbią.

Nie wytrzymał rotmistrz.

- Gdzie Żółkiewski? - spytał. - Jest w mieście?

- U Giżych we dworze stoi - rzekł Wąsowicz.

- Idę do niego - odparł popędliwie Bajbuza, który do jutra czekać nie chciał.

- Ja z wami - dodał Wąsowicz.

W mgnieniu oka kazał sobie odzienie podać rotmistrz, konia osiodłać i pacholikowi sięść na drugiego.

- Jak to?! Samowtór myślicie na miasto? - zapytał Wąsowicz.

- Albo co?

- Znają was, żeście z hetmanem, napadnie który z ich ludzi. Weźcie poczet koniecznie.

- Tak już u was w mieście? - Nie inaczej.

Wyruszywszy w ulicę, mógł się przekonać Bajbuza, że w istocie, jeśli jeszcze do walki otwartej nie przyszło, wszystko się do niej gotowało. Wyzywające wyrazy, obelżywe łajanie latały w powietrzu, ludzie sobie pięści ukazywali, mijając się. Żwawsii chwytały za oręż, który im wrywać musiano. Zborowskich wszędzie czuć było.

Około dworu Giżych, najmątniejszych z mieszczan Warszawy, stały tłumy gęste. Do Żółkiewskiego wchodzili i wychodzili od niego ciągle naczelnicy oddziałów. W ganku Urowiecki, hetmana wierny sługa, trzymał straż. Wewnątrz izby wszystkie były pełne.

Pięknej, rycerskiej postawy, pan Stanisław Żółkiewski stał spokojnie, przyjmując tych, co się biegli radzić i słuchać rozkazów.

- Zborowscy przybyli - wołali jedni - nie ma wątpliwości. Górka ich prowadzi. Nie widział ich nikt, Ale czują wszyscy. Zobaczycie, że się w izbie pokażą.

- Nie będą śmieli - mówili drudzy - zuchwalstwo by było i lekceważenie prawa.

- A co dla nich prawo znaczy? - wyrwało się z dala.

Wśród tego gwaru przystąpił Bajbuza, osobiście znany panu wojewodzie, oświadczając, że mu stu kopijników przyprowadził.

- Nie daj Boże ich potrzebować! - zawołał Żółkiewski - Ano w porę bardzo przyjdą, bo Zborowscy i Górka mają pono do dziesięciu tysięcy, A nas na tyle dotąd nie stało.

- Niekoniecznie lik stanowi, rzekł rotmistrz.

- Zażartość na hetmana wielka - dodał śmiejąc się Żółkiewski - Zborowscy śmieją stanowić nam warunki i nie tylko domagają się odwołania dekretów banicji, Ale żądają deprekacji \* ze strony hetmana. Grożą mu więzłą!

Deprekacja ( z łac.) - przeprosiny.

Okrzyk oburzenia wznosił się dokoła.

- Ksiądz Karnkowski, który chory leżał i przybyć nie miał - odezwał się w tej chwili Szafraniec nadchodzący - przybywa leżący i każe się poprowadzić do senatu. Głowę traci. Zobaczymy go w izbie.

- Oho! - dorzucił ktoś inny - gorąco być musi, gdy się na to ważył.

Wtem Żółkiewski, obróciwszy się do przyjaciół, na rany pańskie zaklinać zaczął, Aby ze strony ich żadna zaczepka nie wyszła.

- Dajmy przykład poszanowania prawa. Zbrodnią jest czasu bezkrólewia wszczynać boje. Zmuszą nas, bronić się będziemy, lecz niech ohyda wyzwania nas nie plami.

Wszyscy się zgadzali na to.

Bajbuza rozsluchawszy się, rozpatrzywszy, z twarzą pochmurną powrócił do dworku swojego, dokąd i Szczypior nadjechał. Rozpalono ognie i do późna czas upłynął na rozmowach niespokojnych.

- To wcale do sejmu niepodobne - rzekł w końcu rotmistrz - Ale wygląda na przygotowanie do bitwy.

Nazajutrz rano ludniej jeszcze było w ulicach. Bajbuza podumawszy, A spróżnować nie mogąc, znowu się odział do wyjścia, Ale tym razem na zamek, do królowej.

Znano go wszędzie, A królowa Anna była mu szczególnie życzliwą. Z podróży włoskiej powróciwszy, przywiózł jej był pożądane wiadomości i pamiątki z Bari, \* które mieć sobie życzyła. Był więc pewnym, że mu przystępu do niej nie odmówią. Lecz i tu zjazd sejmowy dobrze czuć było. Kurytarz i drzwi były w ustawicznym oblężeniu. Marszałek dworu, osobiście życzliwy

rotmistrzowi, prosił go, Aby miał cierpliwość. Czekając więc z innymi, mógł się przypatrzeć ruchowi, jaki tu panował. Co chwila przynoszono wiadomość jakąś lub wyprawiano posłańców. Wsuwali się Rakuszanie, chcąc dostać języka, A może próbując, czy się królowę pozyskać czym nie uda. Szczególniej na mocy dawnych stosunków cisnął się ślepy Czarnkowski, lecz królowa, którą długo oszukiwał, zimno go i milcząco się pozbywała.

Bari - księstwo we Włoszech. Matka królowej Anny, Bona, żona Zygmunta Starego, Włoszka, była księżniczką Bari.

Na samym końcu prawie przyszła kolej na Bajbuzę. Królowę znalazł w towarzystwie dwóch pań, w grubej żałobie, niezmiernie zestarzałą, lecz z twarzą ożywioną jakimś promykiem nadziei. Ponieważ nikogo oprócz kobiet nie było, mogła Anna otwarcie powitać rotmistrza, nie potrzebując taić, co myślała.

- Pomagajcie mi - rzekła - Abym syna siostry mojej na tron wyniosła. Wychowałam go dla was, wprzód po polsku niż po szwedzku się uczył. Pobożny jest, dobry, łagodny. Ja go za syna przysposobiłam. - Złożyła ręce na piersiach i powtórzyła: - A! pomagajcie mi godnie.

- Wasza Królewska Mość zapewne poleciliście to hetmanowi - rzekł Bajbuza.

- Lękam się, Aby on kogo innego nie miał na myśli - szepnęła królowa. - Mówcie mu za mną i za Zygmuntem.

Głos jej drżał, patrzyła w oczy rotmistrzowi, i łzy się jej kręciły pod powiekami.

- Tylko tego pragnęłabym dożyć - mówiła dalej - Aby go posadzić na tronie, spokojną naówczas umrę.

Bajbuza nieśmiało wyraził ubolewanie nad tym, że hetman nie przybędzie do Warszawy.

- Wiem o tym - przemówiła Anna - lecz lepiej może jest, Ażeby całą siłę na sejm elekcyjny zachował. Mąż jest baczny, wie, co czyni. Bylem go dla mojego Zygmunta mogła pozyskać, nie ulękne się innych współzawodników.

Rozmowę tę przerwało przyjście duchownych, którzy chcieli powitać królowę. Bajbuza cofnął się zadumany.

Wszędzie znajdował ten sam niepokój i niepewność jutra. Nigdy może burzliwiej nie zapowiadały się sejmowe narady. Stronnictwo Zamoyskiego wywoływało głośno i stanowczo że nic ten sejm nie miał więcej do czynienia, oprócz zaznaczenia czasu elekcji. Tymczasem z drugiej strony widocznie inne mu zadanie usiłowano narzucić.

Przez cały dzień tak błądząc po mieście dla wyrozumienia, jak rzeczy stały, w końcu Bajbuza powrócił zmęczony do domu i na łóżko się rzucił. Szczypior czekał tu na niego ciekawy, A gotów wedle wskazówki się pokierować.

- A co? - zapytał.

- Co? chaos - odparł rotmistrz. - Nikt z pewnością nie odgadnie, co z tego wyrośnie. Daj Boże, Aby rozumnym ludziom udało się krwi rozlewowi zapobiec. - Westchnął. - Rozumny pan - dodał - Ale bym wolał, żeby Karnkowskiego nie słuchał i sam tu nam przewodził Zamoyski. Głowy nie mamy!

Przed wielu latami Bajbuza miał zręczność zbliżyć się do wojewody poznańskiego, tego, którego obóz przeciwny stawiał jako równoważnego z Zamoyskim. Z wielu względów była to osobistość znakomita i umysł rozwinięty i żywy. Zręczność wielka, obejście się z ludźmi umiejętnie, dar ujmowania ich niepospolity odznaczały wojewodę. Nie zbywało mu Ani na uczoności, Ani na ogładzie, A choć wstrętliwą miał powierzchowność, pański przepych, niezmiernie bogactwa, którymi blasku sobie dodawał, śmiałość i energia w postępowaniu pomagały mu do opanowywania łatwego ludzi, do pozyskiwania ich sobie. Ambicja wielka, temperament namiętny, sam rodzaj życia nadawał domowi jego urok jakiś pociągający. Dzień i noc otwarte były u Górki komnaty, stoły i kuchnie. Wesole usposobienie było panującym. śpiewano, śmiano się, wykrzykiwano, dowcipowano, A swoboda panowała Aż zbyteczna. Nic sprzeczniejszym być nie mogło z cichym i poważnym życiem hetmana nad ten wyuzdany i rozpasany sposób życia wojewody. Ludzie też płynęli do niego chętnie, mając tu więcej swobody, pobbazania i uciechy. Dysydenci mieli w nim opiekuna i obrońcę namiętnego.

Burzliwy duch Zborowskich najdoskonalej się godził z usposobieniem Górki. Jakim sposobem ten obrońca swobód niepomiernych szlachty i wolności sumienia mógł razem ze Zborowskimi stać w obozie cesarskim i prowadzić na tron Rakuszanina, którego popierał Rzym i po którym obawiano się, że obali dawną budowę Rzeczypospolitej, Aby ją zastosować do państw, które już ulegały dynastii rakuskiej, to namiętność tylko i idące za nią zaślepienie tłumaczyć mogło.

Trudno było naówczas tak samo zrozumieć Annibala z Kapui, wysłanego z Rzymu, popierającego partię cesarską i przyjmującego, naradzającego się, idącego w jednym kierunku z dysydentami, nieprzyjaciółmi Rzymu. Interes chwili zbliżał, łączył bez względu na przyszłość i następstwa.

Po namyśle Bajbuza, który miewał wybryki dziwaczne, oświadczył zimno Szczypiorowi:

- Pójdę do Górki!

- Wy? A toż po co?

- Powiem mu słowa prawdy - dodał Bajbuza.

- Na cóż się one przydać mogą? - odparł Szczypior. - Dziwuję się, że mogliście nawet pomyśleć o tym.

- A! - zawołał Bajbuza. - Ja bo mam taką naturę, że szukać muszę dróg, którymi nikt nie chodzi. Daj mi pokój!

- Idziesz więc?

- A jakże! Głowy mi nie zdejmą z karku - dodał. - Zobaczą i posłucham, co mówią. Plunę im w oczy tym, co myślę, A nie podoba się, cóż mi tam!

Bajbuza mówiąc to kazał sobie podać najbogatsze swe i najwspanialsze ubranie, ustroił się jak do króla. Ogromny, niemal jak gołębie jaje, rubin, zatknął pod szyją, i z fantazją puścił się do dworu własnego pana wojewody.

Mało kto go tu znał, A ci, co znali, koso nań spoglądali. Dwór i tu przepelniony był gośćmi. Krzyki, wołania i śpiewy słychać się dawały z daleka. Górka sam jeden, wśród paradnie przystrojonego dworu swojego i gości, z lekceważeniem magnata przyjmował ich w wytartym kożuszk i wykrzywionych butach, których barwy już rozpoznać było trudno. Z zamrużonymi oczyma pogardliwie mierzył otaczających i krzyczał głośniejsz niż oni. Wszyscy koryfeusze obozu znajdowali się koło niego, oprócz panów Zborowskich, którzy chcieli się po raz pierwszy publicznie pokazać dopiero na sejmie.

Zobaczywszy wchodzącego Bajbuzę, którego nie poznał zrazu lub go sobie nie przypomniał, Górka zmarszczył się nieco i nagle, jakby mu pamięć wróciła, powitał go grzecznie.

- Wście tu też w Warszawie? - zapytał ironicznie.

- Gdyby nie obowiązek, to ciekawość sprowadzić mogła - odezwał się Bajbuza.

- Mnie Ani jedno, Ani drugie, Ale złość i gniew tu ściągnał - rzekł wojewoda. - Skończyło się wreszcie panowanie despotów i przemocy. Moich powinowatych Zborowskich sprawa wyjść musi na stół, trzeba się było stawić.

- Juści nie na konwokacji ją sądzić - przerwał Bajbuza - my tu więcej nic nie mamy do czynienia oprócz naznaczenia terminu elekcji.

Górka się rozśmiał.

- A my inaczej myślimy! - zawołał. - Kto ma na karku miecz i infamię, ten pory nie pyta. Sejm musi między hetmanem A Zborowskimi dekret wydać...

Bajbuza się zmarszczył.

- Pozwijciez nieboszczyka króla - odparł - bo hetman spełniał wolę jego. Za co tu go obwiniać?

Górka oczyma zapalonymi zmierzył od stóp do głowy rotmistrza.

- A! Wiem, wy należycie do hetmana! - zawołał.

- Mnie się zda, że należę sprawiedliwości i prawu - rzekł zimno rotmistrz.

Wojewoda ramionami zrzymnął.

- I przysłiście mi to zwiastować? - zapytał.

- A dlaczegoż bym nie miał powiedzieć, co myślę? - począł dumnie Bajbuza, za pas kładnąc jedną rękę. - Właśnie dlatego tu zabłądził do pana wojewody, Ażeby się naocznie przekonać o tym, czemu wierzyć nie chciałem, że wasza miłość...

Wojewoda przerwał mu gwałtownie.

- Moja miłość - rzekł trzymając ze Zborowskimi i trzymać z nimi będzie, A nigdy z despotą i ciemniźcicielem! Słyszycie?

- Doskonale! - odparł Bajbuza, około którego z wolna goście się skupiać zaczęli ciekawie. - Właśnie mnie to dziwi, że razem popieracie Zborowskich i sprawę cesarską do korony, która, gdyby się utrzymała, także nam nie obiecuje swobód przymnożyć.

Bajbuza się uśmiechnął. Brwi Górki się ściągnęły.

- Za młodym waćpan jesteś, Abyś mnie uczył rozumu! - rzekł popędliwie.

- Zgoda na to - odparł Bajbuza. - Więc wy, panie wojewodo, nauczycie mnie, jak to pogodzić. Ja nie potrafię.

Chmurno spojrział na niego Górka.

- Życie waćpana nauczy - rzekł poskramiając się - iż są twarde konieczności, którym ulec człowiek musi na pozór. Nie ma tu mowy o partii cesarskiej, Ani żadnej innej pora nie przyszła, Ale sprawa pokrzywdzonych na stole...

- Więc dla niej nowe prawo chyba uchylać przyjdzie, bo stare nie dopuszcza - mówił rotmistrz.

- Waszmość tego rozstrzygać nie będziesz - rzekł Górka dumnie.

Bajbuza stał uparcie, choć wojewoda niespokojnie się oglądając, widocznie chciał go pozbyć. Stali tak przez chwilę naprzeciwko siebie w milczeniu.

- Jeżeli hetman rachuje na to, że wojsko pod rozkazami ma - począł mruzczyć Górka - omyli się na tym. My też nie jesteśmy bez ludzi.

- A godziż się dla prywaty wojnę domową zapalać? - odparł Bajbuza spokojnie.

- Nie myśmy ją rozpoczęli - krzyknął, unosząc się, wojewoda - Ale ten, co dwory bezbronne najeżdżał i zakrwawiał, co przemocą nas nękał, co sam wyszedłszy z niczego, nas chciał poniżyć i wyniszczyć. Tak - dodał wojewoda - Ale przyszedł czas porachunku. Król zmarł, szwagier jego \* jest znowu prostym szlachcicem, A my tu starsi ojczyce od niego.

Kanclerz Jan Zamoyski poślubił w roku 1583 synowicę króla Stefana Batorego, Gryzeldę. Określenie "szwagier" nie jest zatem ścisłe.

Bajbuza słuchał i głową potrząsał. Spojrział na niego Górka i zdziwił się jego spokojowi i krwi zimnej. Otoczony ludźmi, którzy zdawali się chcieć porwać na niego, rotmistrz udawał, że ich



nie widzi, A najmniejsza oznaka trwogi nie powstała na jego twarzy. Przedłużać rozmowę było próżnym. Rzucił długim, powolnym wejrzeniem dokoła.

- Czołem, panie wojewodo! - rzekł głośno.

- Czołem, mości rotmistrzu - zawołał gniew tłumiając, Górka.

Z powagą wielką, powoli, Bajbuza, rękę położywszy na szabli, skierował się ku drzwiom. Niektórzy z gości ustępowali mu z drogi, inni nie poruszali się, tych on obchodził. Milczenie panowało w izbie, przeprowadzano go oczyma. W progu nałożył czapkę na ucho i tak samo, jak w początku, krokiem mierzonym, wyszedł ze dworu wojewody.

Dopiero po chwili za nim wybuchnęły głosy oburzenia przeciw śmiałkowi, który się ważył najść tak dwór pana wojewody i zuchwale mu się stawić.

### Rozdział III

Chmurnym porankiem zimowego dnia rozpocząć się miały nareście sejmowe narady wśród tego umysłów wrzenia, które na próżno uśmierzyć usiłowano. Za Zborowskich stawał, równie jak oni nieprzejednany, gwałtowny, popędliwy, A ufający w swą siłę, Górka którego podzegał Czarnkowski. Bij, zabij! - szczwano na Zamoyskiego - chcąc mu nawet, pod pozorem bezkrólewia, hetmańską wydrzeć władzę. Usiłowania jakiegoś porozumienia, do którego ze strony Zamoyskiego stawał marszałek Opaliński, rozbiły się o opór Górki. Wśród grózb więc i wrzawy otwierał się sejm, na którym widocznie żywioły burzliwe górę wziąć miały. Występowały one zaczepnie, zuchwale, gdy przeciwna strona trzymała się tylko obronnie.

Od rana dnia tego plac przed starym zamkiem, oddzielające go od miasta zabudowania drewniane, podwórzec zamku, sienie, korytarze, sama nawet sala obrad zatłoczoną była w większej części Zborowskich i Górków służbą, uzbrojoną, groźną i coraz się więcej uzuchwalającą. Niepodobna było Ani zabronić wstępu na salę, Ani wyłączyć z ciżby najniespokojniejszych i posiedzenie zapowiadało się groźno. Mnóstwo ludzi poprzychodziło z rusznicami i pistoletami, które umyślnie podnosili do góry. Szukano Zamoyskiego oczyma, Ale posłuszny radzie Karnkowskiego hetman, Aby swą przytomnością nie jątrzyć bardziej umysłów, nie ukazał się. Stawali za niego Żółkiewski, Opaliński, Dulski i znani jego przyjaciele.

Bajbuza, pomimo odradzań chorążego, ubrał się, uzbroił i poszedł na zamek.

- Jeżeli wolno warchołom, wolno i nam się tam znajdować, A bronić hetmana. Pod pozorem utrzymania pokoju nie powinniśmy się dać zjeść w kaszy.

Ze spokojem więc, który go w najtrudniejszych nie opuszczał razach, rotmistrz poszedł, Ale znalazł już na zamku ciżbę i tłok tak wielki, że się niepodobna było prawie do izby docisnąć. Siła tylko olbrzymia i zimna krew, z jaką sobie wśród tłumu drogę torował, pozwoliła mu dobić się do drzwi. Niektórzy ze zborowszczyków poznawali go, inni domyślali się w nim nieprzyjaciela, nie szczędzono więc po drodze obelg i wykrzykników, które pogardliwym zbywał milczeniem. Z wielkim trudem znalazł się nareście, chociaż w ostatnim rzędzie tłumu, który zalegał salę, ciągle jeszcze napływem nowych ludzi ciasniej nabił.

Jednym wejrzeniem można było przewidzieć i przepowiedzieć, co się tam dziać miało. Górka i ślepy Czarnkowski, który się miotał jak opętany, skupiali większość około siebie. Na nich były zwrócone oczy i każde ich słowo powtarzane rozchodziło się po sali, przyjmowane wesołym potakiwaniem. Opalińskiego marszałka, który miał stawać w obronie hetmana, nie było. śmiały Żółkiewski stał sam jeden niemal z Dulskim, szwagrem Zamoyskiego, nie zważając na to, że pięści się podnosiły ku niemu, że go dolatywały wyrazy niedwuznaczne A obelżywe.

Jak wzburzone fale poruszał się ten tłum niespokojny, wśród którego blade twarze duchownych widać było okryte smutkiem i trwogą. Nikt naówczas zaręczyć nie mógł, że się za chwilę nie zakrwawi ta spokojna obrad sala, A Bajbuza musiał znowu dłoń położyć na rękojeści szabli, Aby w każdej chwili mógł jej dobyć. Przed nim, za nim, dokoła szydzono z hetmana, ledwie zmarłemu królowi nie szczędzono obelżywych łajañ. Żaden głos inny, oprócz tych zaczepnych, nie dawał się słyszeć. Widocznie Zborowscy górę wziąć mieli, Ale mógłże dlatego, przewidując porażkę cofnąć się rotmistrz?

- Potrzeba, Aby choć z ofiarą żywota, stanął ktoś w obronie sprawiedliwości - powtarzał w duchu.

W chwili gdy się nareście sejm miał otwierać, posłowie litewscy domagać się zaczęli o odroczenie go jeszcze na dni dziesiątek, Ale na to już wychodzący marszałek Opaliński Ani inni przyjaciele Zamoyskiego nie chcieli dozwolić przewidując, że Zborowscy czasu tego użyją, Aby się jeszcze bardziej skupić i zuchwalej wystąpić.

Wśród największego więc wzburzenia umysłów otwarły się drzwi i niespodziewanie wcale ukazał się w nich pochylony starzec, z długą do pasa brodą, w uroczystych szatach purpurowych. Był to prymas Karnkowski, którego, upadającego na siłach, dwóch kapelanów pod ręce prowadzić musiało. Karnkowski posuwał się z wolna, z widoczną trwogą na bladym obliczu, wargi mu drgały. Zborowscy i Górka pewni będą, że go mają za sobą, dali mu zająć krzesło, wstrzymując się od wszelkich oznak niechęci. Lecz milczenie, zaledwie bardzo krótką potrwało chwilę, natychmiast znowu szmerem, gwarem i wrzawą zostało przerwane. Czarnkowski i wojewoda poznański dawali znaki swoim, ruch na ławach nie ustawał, mimo że prymas mówić rozpoczął. Nie słyszano nawet pierwszych słów jego zachęcających, pobudzających do zgody i pokoju, A kilku zuchwalszych dysydentów przerwało mu szyderymi wołaniami.

Zaledwie Karnkowski, znakiem krzyża świętego i błogosławieństwem kończąc, zamknął usta, gdy w tłumie zakipiało, poruszyli się wszyscy i ponad ciżbę podniosła się znana twarz blada Andrzeja Zborowskiego. Sama przytomność jego tutaj już była najzuchwalszym wyzwaniem nieprzyjaciół, Ale szmer zdziwionych pokryły wykrzykniki zwyczajne Czarnkowskiego i gromady Wielkopolan. Zborowski zajął miejsce, A co większa, z rąk sługi, który tuż za nim szedł, wziął marszałkowską laskę i nim mógł kto zaprotestować, począł mówić. Cała mowa jego, gwałtowna, zuchwała, przypominająca tę, którą u zwłok Samuela wypowiedział w Krakowie, była nie obroną rodziny, Ale obwinieniem króla i Zamoyskiego.

Żaden głos nie odezwał się za nimi. Rotmistrz po dwakroć się podniósł, stojąc na ławie i chciał przemówić, ściągnięto go z niej, zahukano, zagłuszono. Tłum cały za Zborowskimi stał i przyklaskiwał im.

Wśród największego zamętu i burzy, która w pośrodku sali nie ustawała, zgromadzeni poczęli się na koniec rozchodzić i Bajbuzaa zduszony, zmęczony, nie dokazawszy nic, z gniewem w duszy, wprost stąd pobiegł do pana Stanisława Żółkiewskiego. Przewaga Zborowskich była tak dotykana, że walczyć z nią nawet, jeśli by sił nowych nie przybyło, niemożliwym się zdawało. We dworze Żółkiewskiego zastał rotmistrz dosyć licznie zebranych przyjaciół hetmana. Opaliński siedział o stół oparty, zniechęcony staraniem napróżnym.

- Panie wojewodo - zawołał, na próg wstępując, rotmistrz - nie wiem, kto winien temu, Ale sejm tak dziś wyglądał, jakby był oskarżycielem i króla, i hetmana, A nie ich i sprawiedliwości obrońcą. Gdyby Zamoyski tu był, inaczej by się obróciło wszystko. Niebytność jego odjęła nam siły.

- Karnkowski się tego domagał po nim - odparł Żółkiewski.

- Niedołężny starzec jest widocznie w rękach Górki i czarnkowskiego! - zawołał rotmistrz.

- Nie należało go słuchać, sejm się jak najgorzej rozpoczyna. Jutro oni zuchwalsi będą niż dziś. Wyszli z niego jako zwycięzcy.

- Do tego daleko - odparł Żółkiewski - dajmy im się wykrzyczeć.

Smutnie spuścił na piersi głowę Bajbuzaa.

- Jam tu nie do kierowania sprawą przybył, Ale do służenia jej - dodał. - Stoję więc pod rozkazami waszymi, Ale mi się dusza krwawi, patrząc i słuchając.

- Mnie także! - zawołał Żółkiewski - lecz cierpliwość mieć musimy.

Taki był początek. W ciągu dnia tego, po odniesionym triumfie, zborowszczycy jeszcze zuchwalej w mieście dokazywać zaczęli. Przyjaciołom hetmana już się w ulicach pokazywać nie było można. Zamordowano kilku szlachty, odgrażano się wprost na Żółkiewskiego i Opalińskiego, którzy jawniej występowali. Nie przeszkadzało to Bajbuzie jak najotwarciej i najgłośniej bronić hetmana, A pomimo zuchwalstwa burzycieli nikt jednak porwać się nie śmiał na niego. On i Szczypior jeździli we dwu po mieście i umyślnie się pokazywali. Rotmistrz był do najwyższego stopnia poruszony i gniewny, lecz uśmierzał się sam i czekał.

Następne posiedzenie, na które pośpieszył wcześniej, Aby się dobić lepszego miejsca, rozpoczęło się jak poprzedzające. Po Zborowskim marszałku zabrał głos Górka, poszli za nim inni nieprzyjaciele króla, już nie samą sprawę Zborowskich i śmierć Samuela A banicją jego braci wyrzucając nieboszczykowi, Ale jego i hetmana oskarżając o nadużycie władzy, o przemoc, o nieprawy szafunek skarbu, o pogwałcenie praw i przywilejów. Zaledwie kto z przytomnych głos podnosił z protestacją, spychano go, zamykano mu usta, głośzono podniesioną wrzawą.

Prawie na końcu zerwał się ze swego krzesła, domagając słowa, Czarnkowski stary, poseł poznański, ślepy warchoł, znany cesarza i rakuskiego dworu sługa, który z dwóch źródeł chciał

czepać, A przez Zamoyskiego został odepchnięty, gdy się łask coraz nowych domagał. Zdawało się, że gwałtowność napaści na hetmana coraz rosła i stawała się zuchwalszą. Mowa Czarnkowskiego doszła do ostateczności. Był to wybuch obelg, nieprzerwany potok potwarzy, wyrzutów, szyderstw i obwinień. Czarnkowski pienił się, rzucał, miotał, A że ślepotą nie dawała mu ocenić wrażenia jakie sprawiał na słuchaczach, wysiłał się, by je spotęgować. Nie była to juuz w końcu mowa posła, Ale ulicznego jakiegoś przeciwnika, gburowskie znęcanie się nad wrogiem. Kilkakroć nawet wśród otoczenia Górki marszczyły się brwi i skrzywiły usta, Ale Czarnkowski widzieć tego nie mógł i im więcej A dłużej mówił, tym jego samego silniej rozpalala namiętność. Na próżno go usiłowano powstrzymać. Siadł na koniec tak znużony, że już mu głosu zabrakło, A nim kto inny zdołał się odezwać, ponad ławę, na której siedział za Żółkiewskim, podniósł się Bajbuzaa.

- Zajadłośmci waszej przeciwko nieboszczykowi panu i hetmanowi jawne są pobudki - zawołał na głos - wiemy więc, co ważą takie potwarze. Chcieliście referendarii, odmówiono wam jej, toć największy grzech króla i Zamoyskiego. Chcieliście starostwa plockiego, nie dano go, wtóra wina. Zarządzaliście na ostatek najlepszej gratki, nie będąc kapłanem, koadiutorii Arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, i to się wam nie powiodło. "Inde irae! Inde irae!" \* dość wam tej odpowiedzi!

Inde irae! ( łac. - Stąd gniew! Taka jest przyczyna gniewu! Zarzuty Bajbuzy pod Adresem Czarnkowskiego zawierają fakty historyczne.

To rzekłszy siadł Bajbuza.

Nie wiadomo, czy wszyscy w izbie wśród gwaru słowa te, choć dosyć głośno rzecone w twarz ślepcowi, usłyszeli, Ale ci, których uszów doszły, zamilkli zmięszani. Nie można było zaprzeczać temu zarzutowi prywaty. Powstała też wśród Górki przyjaciół wrzawa ogromna i ręce się poczęły wyciągać ku Bajbuzie, jakby go na kawały rozszarpać chciały. Nie dosięgła go jednak żadna. Gniew musiał być tym głębszy i silniejszy, że nawet wśród Adherentów Zborowskich ta cynicznie wypowiedziana prawda wywarła wrażenie, które się zatrzeć nie dawało. Czarnkowski, jak wszyscy ci, którym jednego zmysłu brak, A inne się przez to zaostarzają, słuch miał czuły, żaden więc wyraz rotmistrza nie był straconym dla niego. Zbladł, zaczął się trząść i byłby może wystąpił z jaką obelżywą napaścią, gdyby w tej chwili, wśród najsilniejszego miotania się ciżby, nie podniósł się Marcin Leśniowski, kasztelan podlaski. \*

Wystąpienie Marcina Leśniowskiego na sejmie, jak i opowiedziany potem wypadek z pijanym żołnierzem, opisał Kraszewski według świadectw źródłowych. Marcin Leśniowski, kasztelan podlaski, posłował potem ze strony polskiej do Zygmunta z wiadomością o wyborze na

króla. Przebywał jakiś czas na dworze królewskim, Ale później został wskutek intryg dworskich odsunięty.

Nie należał on właściwie do żadnego obozu i liczył się do tych, których naówczas neutralistami zwano, A Herburt \* ich pilnował jako winowajców, bo nie wolno było, zdaniem jego, dziecięciu Rzeczypospolitej w sprawie macierzy obojętnym pozostać. Leśniowski wszakże był nim na pozór tylko, nie mięszał się do próżnej słów szermierki, nie miotał, gdzie na ruch daremny zмагаć się było potrzeba, Ale miał odwagę chłodną stanąć w obronie sprawiedliwości. Zborowscy, zrazu nie wiedząc, do jakiego liczył się obozu, mając go za swego, nie zahukali; wtem z pierwszych słów zaraz okazało się usposobienie Leśniowskiego do zgody i pokoju. Tego było dosyć, Aby go zaliczono do hetmana przyjaciół. Natychmiast powstała znowu wrzawa niewypowiedziana. Chwytano kasztelana za suknię, chcąc zmusić, Aby usiadł i zamilkł, łajano i grożono.

Herburt - Szczęsny Jan Herburt, krewny i domownik Zamoyskiego, Autor szeregu pism politycznych.

Na koniec, na domiar tych wybryków, w ostatnich rzędach podniósł się nad ławę pijany żołdak Zborowski z rusznicą w ręku i w oczach wszystkich ją wymierzył na kasztelana, który Ani drgnął, Ani mówić poprzestał. Ochryplym głosem żołdak z rusznicą wołał, patrząc na Górkę i na Czarnkowskiego, o którego ślepotcie zdawał się nie wiedzieć:

- Rozkażcie tylko... palę mu w łeb!

Była to kropla wody ostatnia, która naczynie pełne miała do rozlewu doprowadzić. Ze wszystkich stron to zuchwalstwo żołdaka w izbie sejmowych obrad wywołało oburzenie niezmiernie. Podnieśli się biskupi naprzód, wołając za Solikowskim:

- Otóż do czegośmy doszli z łaski waszej, panie wojewodo!

Zwracali się do Górki.

Żołdaka pochwycono natychmiast i ściągnięto z ławy, Ale wrażenie pozostało. Zborowscy sami pojęli na ostatek, że doprowadzając sprawę do takiej pogardy wszelkiego prawa, sobie samym szkodzili najwięcej. Zaczęto wołać o milczenie, A Leśniowski wśród cichego już szmeru mowę swą dokończył. Słuchano jej wśród niepokoju, wywołanego wypadkiem, nie mogącym bez następstw pozostać.

Zaledwie kasztelan skończył, gdy biskupi pierwsi opuścili swe krzesła, A za nimi znaczniejsza część senatorów wyszła z sali. Około Czarnkowskiego tylko i Górki skupiła się garść ich przyjaciół, widocznie strwożona, choć nie chciała dać tego poznać po sobie.

Bajbuza wysunął się za innymi z tą krwią zimną, którą umiał zachować w najgorszych razach. Jego wystąpienie dało go poznać tym, którzy nigdy nie spotykali i nie wiedzieli, kim był,

Ale zarazem poburzyło wszystkich przeciwko niemu. Usłyszał pogrożki dokoła, na które wcale nie zważał, Ani nawet oczu nie podniósł, Aby wiedzieć, skąd wychodziły. Dokoła wywoływano:

- Czekaj, ty zuchwały Buzo! Nie ujdiesz ty rąk naszych! Zapłacisz krwią za obelgę, zapłacisz! Jak psu mu w łeb wypalimy! Powiesić go na pierwszej lepszej gałęzi! Nie obroni cię twój hetman! Skończyło się jego panowanie!

Wykrzykniki te towarzyszyły Bajbuzie w kurytarze, na podwórzec i Aż w ulicę, na zamek. Tu spotkał Żółkiewskiego i z nim razem podszedł nieco ku jego dworkowi.

- Cóż myślicie? - zapytał wojewodę. - Hetmana trzeba o tym uwiadomić, co się tu przeciwko niemu wywołuje. Może on nie dbać o to, Ale pamięci króla nieboszczyka się to należy. Musi odpowiedzieć, powinien przybyć lub odpisać.

- Przybyć nie - odparł Żółkiewski - bo Albo stanąć od otwarcia sejmu był powinien, lub wytrwać musi w postanowieniu, Aby się nie chlubili, że go ściągnęli. Na jutro - dodał - spodziewam się list jego otrzymać. Czytać go damy.

Odwrócił się z rozjaśnioną nieco twarzą Żółkiewski ku rotmistrzowi.

- Dobrzeście ślepemu plunęli w oczy - rzekł z uśmiechem. - Mało wyrazów, A każdy z nich był policzkiem. Bóg zapłać! Nieohybnie wam teraz, jak mnie, grozić będą śmiercią.

- Ach - zawołał rubasznie Bajbuza - w to mi graj! Przynajmniej poczuję, zem tu się na co zdał. Wyszedłem z izby ostrzeliwany tymi groźbami, Aż mi się cieplej od nich zrobiło.

- Nie będą się ważyli targnąć - przerwał jadący obok Żółkiewskiego Wąsowicz, bródkę gładząc. - Jednego by zabili, A tysiące sobie narazili jawnym gwałtem. Ale pokątnie, zza węgła? Kto wie?

Żółkiewski potrząsnął głową, rozstali się. Bajbuza powrócił do dworku, w którym Szczypior oczekiwał na niego. Opowiedział mu śmiejąc się, jak Czarnkowskiego zmył i że mu się za to śmiercią odgrażano.

Chorąży to wziął mocniej do serca niż Bajbuza i strwożył się.

- Tak-li jest - rzekł - ja już was nie odstąpię. Wprawdzie dwoje rąk niewiele znaczy, Ale zawsze w razie napaści choć się oprzeć możecie o plecy moje.

- Bóg zapłać, Ale wierz mi, Szczypior, nie mam obawy - rzekł rotmistrz. - Ci, co się odgrażają, nie są straszni, gorsi, co milczą.

- A i tych tam siła być może, kiedy ich taka kupa! - zamruczał Szczypior.

Dzień się skończył na tym. Nie szli już nigdzie, A z dawnych towarzyszków broni rotmistrza nikt go dnia tego nie odwiedził. Zdziwił się tylko Bajbuza, gdy późno już pokazał się dworzaniek księżnej Sapieżynej. \*

Tak ją odtąd nazywa Kraszewski, choć na początku powieści była Sanguszkową.

- A wy tu co w Warszawie robicie? - zapytał.

Był to zaufany księżnej Teresy, stary sługa, milczący, A powolny człek.

- Mamy i my nasze małe sprawy - odparł - A księżna przy tym kazała mi się dowiedzieć i donieść o miłości waszej, bo choć to ino sejm jest, Ale się zabiera jak na wojnie krwią kończyć.

- Pokłońcież się miłościwej pani - odparł Bajbuza - A napiszcie, że przy pomocy Bożej, choć wielce pogńębieni przez warcholów, Ani się trwożym, Ani tracimy nadziei, że poczciwi wezmą górę.

Drugiego dnia potem Ani było powstrzymać rotmistrza od znajdowania się na posiedzeniu. Szczypior spróbował i cofnąć się musiał.

- Bój się Boga! - zawołał Bajbuza - gdybym jak chorym był, to bym się zanieść kazał, inaczej mnie tchórzem ogłoszą. Boże uchowaj od posądzenia nawet.

Znowu pogrozkami ścigany rotmistrz wcisnął się na salę, A zajął przebojem toż samo miejsce, co wczoraj, Aby wiedzieli, gdzie go szukać oczami. Siadł im tak szeroko i widocznie, jakby wyzywał. Dnia tego miał pociechę, że list zapowiedziany hetmana czytano, A choć go zborowszczyki przerywali łajaniem i szyderstwami, nie mógł on przejść bez skutku na umysłach. Pismo było poważne, spokojne i piękne, A kończyło się poruszającymi wyrazami. Zarzucano mu, iż się nie stawił, odpowiadał na to: \*

Autor cytuje list Zamoyskiego według źródeł historycznych.

“Przyjdę, Ale przyjdę w pokoju, bez cudzoziemskich posiłków ( mieli je Zborowscy) - zachowam się jak “bono civi” ( dobremu obywatelowi) przystoi. To, com w początkach miotanych na mnie podejrzeń powiedział, i teraz powtarzam. Mam tylko jedną córkę i jednego potomka i drogimi są sercu mojemu: tych ja wam jako rękojmię pokoju i wierności mej oddaję. Niech mnie więc jak kto chce obnosi. Jakim jestem dowiodły już sprawy, okażą i dzisiaj postęпки moje”...

śmiechem gorzkim zakończyło się czytanie, Ale co było ludzi poważniejszych w senacie, czuło, że dostojność jego naruszonym by było, gdyby obrady dłużej w ten sposób gorszący wśród wrzawy Arbitrów \* uzbrojonych, odbywać się miały. Postanowiono więc przez dni kilka zamknąć izbę dla słuchaczy i nie wpuszczać nikogo. Sprzeciwiali się temu Górka i Czarnkowski, Ale wielką większość mieli przeciwko sobie. Musieli ulec.

Arbiter ( łac. - sędzia polubowny, rozjemca. Tu oznacza uczestniczących w obradach sejmowych, słuchaczy.

Rotmistrz więc, tylko codziennie wieczorem chodząc do Żółkiewskiego, który pilno w izbie pracował, choć na próżno, mógł się o przebiegu sprawy dowiedzieć.

Zborowszczyki nie wiedząc na czym polegając, uparcie przeciwko hetmanowi stawiali, to domagając się złożenia buławy, to jakich ustępstw i upokorzenia, na które Zamoyski nigdy w życiu



przyzwolić nie mógł. Opaliński marszałek, Żółkiewski, biskup przemyski \* Baranowski, Dulski ujadali się próżno przez kilka dni z Górką i Czarnkowskim. Cesarscy partyzanci, \* czując poza sobą poparcie całego obozu, nie dawali się do żadnych ustępstw nakłonić. Rządzali, Aby za Samuela padł ofiarą Zamoyski.

Kraszewski używa stale tej reformy językowej.

Cesarscy partyzanci - cesarscy zwolennicy, stronnicy.

W kilka dni, przychodząc wieczorem do Żółkiewskiego, Bajbuza zastał go niespodzianie wybierającym się w drogę.

Dokąd? - zapytał niespokojny. - Już ciż nie opuścicie placu?

- Ja? - odparł Żółkiewski. - Nie możecie mnie o to posądzać; Ale już tu nie ma co robić, wyczerpaliśmy wszystkie środki, A pokątnemu mordercy dać się tu zgładzić, gdy człowiek czuje się potrzebnym i chce służyć Rzeczypospolitej, byłoby grzechem, Wiem, że mnie postanowili zamordować.

Bajbuza krzyknął nagle:

- Nie damy was, własną osłonimy piersią!

- Powracam do hetmana - przerwał mu Żółkiewski, rękę wyciągając - tak mi rozkazał. Jutro rano jadę, Ale w biały, Boży dzień, Aby nie sądzili, że się ich ulękę.

Strwożył się mocno rotmistrz.

- Źle to jest - zamruczał.

- Mam-li szczerze powiedzieć? - dodał Żółkiewski, zbliżając się do niego. - Wy także zemstę ich na siebieście ściągęli, jedźcie ze mną.

- Przyprowadzić was dla bezpieczeństwa chciałem sam, jeżeliście to powiedzieli - odezwał się rotmistrz - lecz zostanę tu potem. Nie ustąpię. Jeżeli ujdziem wszyscy, nadto będą tryumfowali.

Spytał potem Bajbuza o godzinę wyjazdu. Żółkiewski umyślnie nazbyt rannej nie naznaczył.

- Mszy świętej wysłucham u Panny Marii i stamtąd pociągnę - odpowiedział Bajbuzie.

- Ja też stawić się będę ze wszystkimi ludźmi moimi.

Miał już odchodzić, gdy ze złamanym czekanem w ręku wszedł sługa Żółkiewskiego. Na widok jego uśmiechnął się Żółkiewski, biorąc mu go z rąk.

- Oto, rzekł pokazując strzaskany czekan - czym mnie dziś sługa Andrzeja Zborowskiego w powrocie z zamku poczęstował. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że mierzył dobrze i rękę ma silną. Czekan o czapkę moją drasnął tak silnie, że mi ją z głowy zrzucił, A o płot się roztrzaskał, Ale czaszka moja byłaby mu się nie oparła.

Bajbuza osłupiał.

- Byćże to może?! - zakrzyczał.

- Stu ludzi patrzyło na to - odparł spokojnie Żółkiewski - człowieka tego po imieniu i nazwisku wszyscy wymieniają, Ale Ani mi dochodziŁć na nim godzi się zamachu tego, Ani czekać tu, Aby go drugi zbój z za węgła szczęśliwiej powtórzył. Do walki stanąć gotówem, Ale na morderstwo się takie narażać byłoby nierozumem. Doszliśmy już do tego, że w ulicy bezpiecznym być nie można. Jeżeli sądzicie - dodał, - że jutro nam spokojnie dadzą wyciągnąć, mylicie się. Jestem pewnym napaści, dlatego wozy moje wszystkie biorę, Aby na wypadek przemagającej siły otoczyć się taborem.

Przejęty jeszcze cały tym, co tu posłyszał, trapiiony niewymownie, Bajbuza powrócił co prędzej do domu.

- Szczypior! - zawołał od progu. - Idź natychmiast, ludzie niech wszyscy będą do dnia w pogotowiu. Przeprowadzamy Żółkiewskiego, na którego życie nastają. Dziś o włos czekaniem mu głowy nie rozbito.

Szczypiorowi znużonemu już beczynnością była to najpożądańsza nowina, jaką mógł rotmistrz zwiastować; pochwycił się więc natychmiast z taką żywością i ochotą, jak gdyby czasu mu nie miało starczyć. Wyrzekł się wieczery i snu, bo musiał do ludzi jechać i zgromadzić ich, zawsze rozprószonych po mieście, gdy nic do czynienia nie mieli.

Nazajutrz dobrze przede dniem cały oddział Bajbuzy stał już przy dworze pana Żółkiewskiego, gdzie się też jego ludzie wszyscy zebrali i wozy gotowano. Dzwonek kościelny powołał ich naprzód do Panny Marii. Żółkiewski tymczasem oddziałowi swemu i ludziom Bajbuzy dał rozkaz, Aby powoli przodem przez most jechali na Pragę, gdzie się zatrzymać mieli, tam bowiem obawiano się napaści.

Wejście do kościoła, wyruszenie oddziału Żółkiewskiego nie pozostało nie postrzeżonym przez zborowszczyków, którzy ciągle czatowali jak na wroga. Nim się msza skończyła i oddział most mógł przebyć, już ruch na ulicach można było dostrzec, o którym znać dano Żółkiewskiemu, gdy się modlił jeszcze. Nie przerwał jednak słuchania mszy świętej i dotrwał Aż do błogosławieństwa. Bajbuza go nie opuszczał. We dwu potem powolnym krokiem wyszedłszy, skierowali się pieszo za wozami, które już w znacznej znajdowały się odległości.

Zborowszczycy źle się widać obrachowali, bo zebrany ich dosyć znaczny tłum z samopałami i rusznicami, z halabardami i orężem, jaki się znalazł pod ręką, dopiero się puścił w pogoń, gdy już Żółkiewski z Bajbuzę na moście byli. Biegli wprawdzie, przyspieszając kroku, Ale dwaj ścigani, nie potrzebując uciekać, mieli dość czasu, Aby się dostać do wozów i ludzi przy nich będących.

Niepodobna się było omylić, pogoń z krzykiem i nawoływaniem na Żółkiewskiego pędziła. Natychmiast dano znak, Aby wozy związać łańcuchami w tabor. oddział Żółkiewskiego i Bajbuzy stanął w pośrodku, gotując rusznice. Tłum już następował na przychodzących do obozu, gdy Żółkiewski i Bajbuza siedli na konie.

Od oka obliczając siły, zdawało się, że zborowszczycy, między którymi wielu Szlązaków było i Niemców, likiem przechodzili we dwujnasób przynajmniej ludzi w taborze zamkniętych, Ale to była kupa niesforna, ludzie w większej części nietrzeźwi i nie mający wodza. Zdawało się im zapewne, że dosyć będzie natrzeć na garść Żółkiewskiego, Aby poszła w rozsypkę i dała się wystrzelać i zrząbać. Zobaczywszy, że się tu do twardej obrony przygotowują, zatrzymali się opodal nieco, może o jedno z łuku strzelenie.

Tymczasem z miasta, skąd widać było i pogoń i oddział, co się opasał wozami, bo ciekawi Aż na wieże powstępowali, Aby się początkowi tej wojny domowej przypatrzeć, wysłał sam Górka z rozkazem, Aby jego ludzie pierwsi nie rozpoczęli. Słysząc bowiem było dokoła takie wrzaski i wyrzekania za Zborowskich, iż widział, jak by to ich sprawę popsulo. Ze zgrozą mówiono o Zborowskich, Górcie i Czarnkowskim. Ktoś już w oczy rzucił wojewodzie poznańskiemu:

- Ciężej ci będzie dźwigać zgryzotę przelanej krwi braterskiej niż ten garb, którym cię Opatrzność napiętnowała.

Lecz rozkaz pijanych napastników pewno by nie pohamował, gdyby nie to, że mężna postawa Żółkiewskiego i Bajbuzy niełatwe zapowiadała zwycięstwo. Zaczęli tedy objeżdżać z dala tabor, jak gdyby go mieli osaczać, rusznice wymierzali, krzyczeli, rękami rzucali, Ale nie zbliżyli się.

Żółkiewski zaś z towarzyszem, ustawiwszy ludzi, wydawszy rozkazy, czekali tylko najścia, Aby się rzucić na zborowszczyków, których by nieohydnie byli nie tylko odparli, Ale pognali Aż do miasta.

Rada w radę, gdy jeszcze nadbiegli ludzie Górki, Aby Żółkiewskiemu pokój dać, ostygli goniący i zatrzymali się, gdzie stali. Z obu stron patrzano na siebie, nic nie czyniąc.

rotmistrz, mający oko bardzo wprawne, już naówczas rzekł głośno:

- Pójdą precz, jak przyszli, nie porwą się.

Wtem właśnie, gdy to mówił, jeden jedyny strzał padł nie wiedzieć skąd, bo nawet dymu nie było widać i Bajbuza się za ramię lewe pochwycił. Uczuł, jakby mu rękę potracono, A wtem Szczypior krzyknął:

- Ranili cię bestie! Ranili!

Zwrócił się pan Żółkiewski natychmiast do rotmistrza, obstępiono go, A niektórzy na zbójów rzucić się chcieli, Aby pomścić ten postrzał, Ale hałastra, która miała rozkaz ustąpienia, A

nie wiedziała, kto był ranny, zamiast się tym uzuchwalić, strwożyła się. Ten i ów więc zawrócił do miasta nieznacznie, A gdy raz się ten ruch rozpoczął, cała kupa ogromna, jak na hasło jakie odciągać poczęła w różne strony.

Bajbuzie zaraz na miejscu prosty człek bardzo też po prostu, czując kulę pod skórą blisko, nożem tęym rozciął ją i naprzód dobył ołów z rany, potem rękę obwiązał. Chiano, Ażeby zaraz z ludźmi do Warszawy powracał, Ale rotmistrz oświadczył, że puty tu stać będzie, on i Szczypior, dopóki nie przekona się, że Żółkiewski odciągnął bezpiecznie.

Z pół godziny trwało znowu, nim tabor rozwiązano, wozy pozaprzęgano i oddział gotowym był w drogę. Przez cały ten czas Bajbuza, choć mu się we łbie kręciło, bo krwi dosyć stracił, z konia nawet już nie zsiadł i wozu, który mu chciano przyprowadzić, nie przyjął.

Szczypior wściekły chodził, pięści sobie ciągle do czoła przyciskając, A zębami zgrzytając. W ten sposób zawsze się jego gniew wyrażał, z dodatkiem niewyraźnie wymawianych przekleństw straszliwych.

Kto strzelił? Było i miało pozostać na zawsze tajemnicą. Kupa, ponad którą dym się podniósł po wystrzale, najpierwsza potem z pola zesła, rozdzieliwszy się. śmiechy tylko i krzyki towarzyszyły jej odwrotowi.

Ci, co na to z dała patrzyli, ponieśli do miasta zaraz wieść, że Albo sam pan Żółkiewski, lub jego najgłówniejszy dowódca ciężko był rannym. Cieszyli się tym, Ale w domu Górki, dokąd z wiadomością pośpieszono, nie byli pono jej radzi. Wiedzieli, że im tę krew wypominać będą, A i tak już z każdym dniem, co by miała urastać ich partia, słabła i rozdzielała się. Niektórzy, zuchwalstwem oburzeni, cofali się, duchowieństwo całe z sejmu już wystąpić chciało. Sam Karnkowski, czując się głową i wodzem tych ludzi, zniechęcony, wyrzutami ich przyjmował.

## Rozdział IV

Nie chcąc, Aby sądono, iż się raną swą chlubi Albo ją obrócić myśli za narzędzie przeciwko GóÓrce i cesarskim, brzydząc się wszelkim przechwalaniem i rozgłosem, Bajbuza, choć dla wielkiego upływu krwi ledwie się na koniu mógł utrzymać, delią osłoniwszy rękę, A Szczypiorowi przy sobie jechać każąc, po pożegnaniu Żółkiewskiego pociągnął do miasta. Miewał zawsze przy swym oddziale kilku doskonałych trębaczów i flecistów, tym więc, przy towarzyszeniu bębna, który wioził dobosz na koniu, kazał grać i jakby w triumfie przez most ciągnąc, Aby nieprzyjacielowi dokuczyć.

Zborowscy pochowali się na czas, choć i oni buty wcale nie stracili, A rannym się tak chlubili, jak wprzódyczekaniem, który o mało Żółkiewskiemu nie rozbił głowy.

W mieście ten wyjazd Żółkiewskiego i na zamku uczynił wrażenie nie małe, Ale trudno było powiedzieć, na którą stronę przeważało ono. Ci, co z Zamoyskim trzymali, nie byli radzi przebiegowi sprawy na sejmie i hałaśliwemu występowaniu Górki z Czarnkowskim, Ale też Zborowscy skarżyli się, że nie dopięli, czego chcieli i widzieli, że im teraz z każdym dniem ubywało towarzyszków. Wielu spokojniejszych ludzi, nie mogąc się doprosić pomiarkowania, stawało na stronie. Ani za, Ani przeciwko. Czarnkowski tylko z cesarskimi partyzantami krzyczeli i miotali się jak przedtem, pewni, że poparci zostaną czynnie, A domagając się posiłków.

Gdy Bajbuza do miasta nazad zjechał, znalazł je już uspokojonym nieco, przynajmniej na pozór. Na drodze nikt mu nie zastąpił i bezpiecznie dostał się do dworku, gdzie za ledwie wszedłszy, musiał się w łóżko położyć.

Z zamku przysłano od królowej natychmiast dowiedzieć się o rotmistrza, bo go z okien widziano, tam i nazad z oddziałem ciągnącego, A papieski poseł Annibal z Kapui z wieży od Panny Marii cały przebieg tego wypadku naocznie oglądał. \* Szczypior dworzaninowi królowej dał wiedzieć, że Bajbuza ranny i o lekarza prosił.

Informacja ta jest nieścista. Legat papieski, Arcybiskup Annibal z Kapui, przebywał w tym czasie w Krakowie, nie w Warszawie ( patrz: "Listy Annibala z Kapui..." Warszawa 1852, wydał Aleksander Przeździecki).

Nie upłynęła więc godzina, gdy nadworny Batorego Buccella, ten sam, co się z Simoniusiem spierał o leczenie nieboszczyka przybiegł do dworku dla opatrzenia rany. Z rotmistrza, który, zaciąwszy usta, milczał, nic dobyć nie było można, więc i o ranie tyle tylko wiedziano, iż kula z niej wyrznięta dobytą została. Dopiero gdy Buccella ramię obnażył i ranę opatrzył, okazało się, że kość była nadwierzona i mięśnie potargane.

Bajbuza jeno powtarzał...

- Panu Bogu chwała! Lewa ręka! A co bym ja bez prawej na świecie robił?

Włoch, który po polsku, choć tu długo mieszkał, mówił obrzydliwie, oświadczył rannemu, że niebezpieczeństwa utraty ręki nie ma, Ale ranę pielęgnować długo będzie potrzeba. Lekarz nadworny królowej i króla, gorącego temperamentu, zjadliwy i zgryźliwy człek, który w pokoju długo żyć nie mógł, A oprócz medycyny trudnił się wszystkim, co zysk przynieść mogło, dobra skupywał, spółki zawierał, zapewniwszy rotmistrza, że go nawiedzać będzie, nakazał spoczynek i łożę.

Bajbuza znał go chciwym.

- Doktorze - odezwał się do niego - "clara pacta", \* im krócej będę chorzał, tym lepiej zapłacę. Rób sobie, co chcesz. Ja pod czas chorować nie mogę, bom tu i ówdzie potrzebny. Wprawdzie się i beze mnie obejdzie, Ale moja też ręka przydać się może, jeśli nie głowa.

"Clara pacta" ( łac.) - wyraźna, jasna umowa.

Zapewnił go Włoch, że uczyni, co tylko będzie można, Aby go co rychlej z łoża podźwignąć.

Chociaż z tej rany swej nie tylko chluby nie szukał rotmistrz, Ale wolałby był ją utaić nawet, dnia tego o niczym nie mówiono po Warszawie, tylko o czekanie rzuconym na Żółkiewskiego i o postrzeleniu Bajbuzy.

Górka, chociaż ząb miał do człowieka, który mu we własnym jego domu nauki śmiał dawać, gdy mu śmiejąc się i uradowany dworzanin przyniósł pierwszy tę wiadomość, że Bajbuzę raniono, cisnął na niego kijem, który w rękę trzymał.

- Już i tak nas Kaimami \* piętnują! - krzyknął. - Powiedzą na mnie, że się mścić chciał za jego wystąpienie.

Kraszewski wprowadza zawsze formę "Kaim", unikając równie używanej "Kain".

Zły był. W istocie mu też przypisywano, co było dziełem przypadku. Rotmistrz wielu miał wszędzie przyjaciół, bo rad pomagał, A znano go moźnym, nie zamykały się więc drzwi za dowiadującymi o zdrowie jego. Nadbiegł i dworzanin księżnej, strwożony, domagając się, Aby go do Bajbuzy wpuszczono, Ale Szczypior się temu oparł.

- Dajcie mu spocząć - rzekł niebezpieczeństwa życia nie ma; ból srogi, Ale my do znoszenia go przywykliśmy. Ręką rychło władać nie będzie, doktor jednak ręczy, że władzę przywróci.

Po odjeździe Żółkiewskiego i sam sejm już pośpieszano zamknąć, naznaczając czas elekcji, Ale w umysłach ogólnie zapadł zwrot Zamoyskiego przyjaźniejszy. Widziano w nim męża, który ład mógł jeden utrzymać, A w Zborowskich wichrycieli, co dla własnego interesu niepokój mnożyć byli gotowi. O Czarnkowskim wiedziano, że zaprzędany był, A Górka dysydentów

popierał. Duchowieństwo więc pierwsze w senacie zaczęło i na Karnkowskiego działać, Aby nie dolewał oliwy do ognia.

Bajbuzie dolegało to więcej niż potraskana kość w rękę, iż na sejmie bywać, obradom się nie mógł przysłuchiwać, A z nich słuchać musiał sprawozdania tych, co Albo na jedną, lub drugą stronę przesadzali i po swojemu tłumaczyli, co w rzeczy inaczej było. Chociaż więc Szczypior, żołnierz i “simplex servus Dei”, \* nie nadawał się na takiego posła, co dzień musiał się wciskać pomiędzy Arbitrów, Aby Bajbuzie donosić trzeźwo i zimno, co się na zamku działo.

“Simplex servus Dei” ( łac.) - prosty sługa Boży; zwykły, prosty człowiek, nie znający się na sprawach politycznych.

Zwrot najmocniej czuć się dający, A dla Górki nieprzyjaźny wywoływało domaganie się dysydentów, Aby im ich prawa, potwierdzone przez Henryka, tuż, zaraz, zapewniono. Przeciwno temu zaś jawnie i potajemnie, z wielką przebiegłością działał Annibal z Kapui, poseł rzymski papieża i duchowieństwo całe. Wahający się Arcybiskup tak był złamany i znękanym obustronnymi naleganiami i groźbami, że sam nie wiedząc, co począć, pod pozorem choroby uciekać myślał. I stało się, czego dysydenci nie przewidzieli, że z wyjątkiem dwóch, wszyscy biskupi, A z nimi Karnkowski, bez opowiedzenia się, bez pożegnania, dnia jednego rozjechali się z Warszawy. Wpadł z tą wieścią Szczypior śmiejąc się, bo wiedział, że nią uraduje chorego. Solikowski, Arcybiskup lwowski, i Goślicki, biskup kamieniecki, chociaż się z wyjazdem ociągnęli, nie ustępowali wcale i na żądanie dysydentów zgodzić się nie myśleli. Na jednym z posiedzeń, które Szczypior z właściwą sobie opisywał prostotą, Solikowski, któremu zuchwalstwem dojadł Górka, powstał cały rozżarzony, gniewny, pałający i krzycząc na głos cały, że bodaj mu życie wzięto, nie dopuści, Aby Kościół szwankował. Zerwał z głowy kaptur szkarłatny z mucetem \* i rzucił go na salę, suknię na sobie rozdarł, piersi obnażył.

Mucet - czapeczka futrzana, noszona przez duchownych.

- Strzelajcie! - zawołał.

Wśród osłupienia i milczenia, wywołanego tą sceną gwałtowną, wyszedł precz Solikowski i natychmiast z miasta wyjechał. Pozostawszy sam Goślicki, nie mógł już przeciwko całemu duchowieństwu sam jeden się okazać miększym, wyruszył więc z innymi.

Tu dopiero przerazili się wszyscy. Cały trud sejmowy szedł wniwecz, bez senatorów duchownych uchwały mogły być uznane za nieważne; sromano się takiego rozdwojenia, wyprawiono pogoń nie już za Solikowskim, na którym by nic nie wymorzono, Ale za słabszym Goślickim. A i ten ledwie nieledwie się dał uprosić. Zawrócił do Warszawy i Akt konwokacji podpisał z restrykcją: “Dla pokoju!” \* Zaszкодziło to Goślickiemu, bo go poseł rzymski zaskarżył do Stolicy Apostolskiej jako powolnego dla dysydentów. Stało się to już pierwszych dni marca.

Chodziło tu o podpisanie Aktu konfederacji, a nie konwokacji. Konfederacja był to czasowy związek szlachty, zawierany w ważnych momentach państwowych. W konfederację łączyła się szlachta w czasie sejmów elekcyjnych. Uchwały sejmowe zapadały wtedy większością głosów; nie wymagano jednomyślności. Akt konfederacji, o który tutaj chodzi, uchwalono 7 marca 1587 roku, naznaczając 30 czerwca jako dzień elekcji króla. Miejszem elekcji była Wola pod Warszawą. W istocie rzeczy chodziło tu o zgodę na zasady tolerancji religijnej, sformułowane w konfederacji warszawskiej z roku 1573, a włączone do Artykułów henrycjańskich.

Biskup kamieniecki Wawrzyniec Goślicki, słynny wówczas z uczoności, wymowy oraz zdolności dyplomatycznych, podpisał Akt z restrykcją, czyli z zastrzeżeniem, że czyni to dla dobra zagrożonego niepokojem państwa. Autor pochwała jego patriotyzm, który kazał mu wyżej cenić dobro powszechne niż interes Kościoła. Kraszewski ceni także tolerancyjną postawę biskupa i przeciwstawia ją nietolerancyjności wobec różnowierców innych dostojników kościelnych z legatem papieskim na czele.

Mogło się zdawać, że elekcja wśród tak burzliwego stanu kraju wprędce naznaczoną zostanie, aby wyniszczyć z niepewności, ale podobno wszystkie stronnictwa zwłokę wołały.

Buccella z zamku też przyniósł od królowej wiadomość, że i ona była rada przeciągniętej do ostatnich dni czerwca elekcji, aby mieć czas króla Jana III \* przekonać, iż się o tron polski dla syna czynniej starać był powinien. Cesarscy mieli nadzieję siły zebrać. Zamoyski się ich spodziewał z Węgier. Tymczasem zaś Górka z prymasem pochlebiali sobie, że zmuszą hetmana do zgody, a potem go na cesarską stronę zjedną.

Jan III - Jan III Waza, król Szwedzki, ojciec Zygmunta III. Żoną jego była Katarzyna Jagiellonka, siostra Anny, wdowy po Stefanie Batorym. Jan III niechętnie odnosił się do kandydatury Zygmunta na tron polski.

Natychmiast po podpisaniu Aktu, co żyło się z Warszawy wynosić poczęło, a byłby i Bajbuza pewnie wolał leżeć w Nadstyrzu niż tu, ale rana o podróży myśleć nie dozwalała. Ludzi jednak tymczasowo musiano, nie rozpuszczając, po wsiach rozłożyć. Szczypior wierny pozostał z przyjacielem. On, doktor Buccella i kilku dworzan królowej stanowili teraz kółko, otaczające Bajbuzę, który do zdrowia wzdychał jak do swobody, gdyż rana go w istocie niewolnikiem czyniła. Życie, do jakiego był zmuszony, chociaż wśród poczciwych i przyjaźnych ludzi, nie odpowiadało ani usposobieniu, ani nawykniom rotmistrza. Na wojnie był on żołnierzem dzielnym i starczyło mu rycerskie zajęcie na życie; bezczynny potrzebował myśleć, czytać i na duchu pracować, czego teraz nie mógł czynić, bo mu na godzinę nie dawano w samotności pozostać.

Ludzie według własnego pojęcia wyobrażali sobie, że pozostawiony sam sobie nudzić się będzie. Zabawiano go więc na gwałt, a zabawianie musiał przyjmować z wdzięcznością. Z jednym



Szcypiolem się mógł nie zmuszać i gdy się wyczerpała rozmowa czcza, odprawiał go, rozkazując sobie podać książkę. Ale Buccella, który sam dużo pisał, dla chorego zajęcie umysłowe znajdował niewłaściwym. Zakazał więc czytania. Pogniwał się Bajbuza, Włoch także i ledwie do zgody znowu przyszło. Dnie czasem utrapienia były do przeżycia trudne. Marzec wczesną zdawał się zapowiadać wiosnę. Tęsknił za nią chory, obiecując sobie, iż gdy słońce zaświeci, może mu pod drzewa, do ogródka wyjść pozwolią.

Gdy się tak wlokło leczenie, jeden z tych licznych posłów, których królowa Anna wyprawiała do Szwecji, wrócił ze Sztokholmu. Był to niejaki Kaliński, młody dworzanin, żywy i roztropny, którego Anna rada była zawczasu zalecić siostrzeńcowi, Aby mieć wiernego sługę u jego boku. Kaliński jednak, wybywszy kilka miesięcy, musiał z ważnymi listami przyjechać do Polski. Można sobie wyobrazić, z jaką go tu ciekawością, chciwie przyjmowano począwszy od królowej, Aż do sług i dworu, oczekującego na nowego pana.

Na usilne prośby chorego Buccella sprawił to, że Kaliński jednego dnia przyszedł rotmistrza odwiedzić. Lecz że mu królowa szeroko rozpowiadać zawczasu o Zygmuncie wzbraniała, dla różnych interpretacji, jakim powieści te podlegać mogły, oprócz Szcypiora i rotmistrza nikogo nie dopuszczono. Bajbuza postarał się o ujęcie sobie Kalińskiego naprzód gościnnym przyjęciem, jadłem i napojem, potem pańskim prawdziwie podarkiem rzędu na konia, którego by się nie powstydział użyć daleko możniejszy od Kalińskiego. Chłopak więc, uszczęśliwiony, całkiem się w rozmowie otworzył przed rotmistrem.

Bajbuzie, który Aż do śmieszności się troszczył o przyszłość kraju, szło o to, czego się po Zygmuncie spodziewać było można. Królowa ciotka, która jednego jego miała na świecie, straciwszy wszystkich, których kochać mogła i na ich miłość rachować, widziała w tym przybranym synu same doskonałości. Innym szło o to, jak go zimniejsze oczy i bezstronniejszy sąd miał ocenić.

- Mówże nam o przyszłym królu - zapytał rotmistrz - jeżeli się my w nim pana spodziewać mamy?

- O przyszłym panu? - podchwycił Kaliński, który trochę chłodnym jego ohbejściem się z sobą był zrażony. - A cóż? Tylko dobrze mówić można. To, co w nim widne, pochwały jest godne, Ano bieda, że nie pokazuje rad, co w sobie piastuje, milczący jest, nad wiek swój poważny i ostrożny.

- Cóż on lubi? Wojnę? - pytał Bajbuza.

- Chyba nie! - rzekł Kaliński. - Rycerskie wychowanie odebrał, nie jest mu obcym nic, Ale żeby rozmiłowany był w żołnierskim życiu, uchowaj Boże!

- Coś przecie lubić musi! - podchwycił rotmistrz, kubek nowy nalewając Kalińskiemu i dając znak Szczypiorowi, Aby go zachęcał do picia.

- Naprzód pobożnym jest wielce - mówił Kaliński. - Nad tym wprzódy i Herbest \* czuwał, A teraz Gołyński \* jezuita nie daje mu ostygnąć. Pobożny bardzo.

Herbest - Benedykt Herbest, uczony, profesor Akademii Krakowskiej, rektor słynnego Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu; potem wstąpił do zakonu jezuitów. Był przez pewien czas spowiednikiem królowej Katarzyny Jagiellonki, żony Jana III.

Książd Gołyński - książd Bernard Gołyński - wychowawca i spowiednik Zygmunta III, przyjaciel Skargi. Miał wielki wpływ na króla.

- Ależ mnichem nie będzie - odparł Bajbuza. - Dobrze to jest, nie starczy jednak dla króla. Kaliński się zadumał.

- No, naprawdę - dodał - ma on i inne zabawki, i upodobania. Ciekawy jest pięknych rzeczy, rad maluje i ze złota małe cacka wyrabia, muzykę lubi i nią się rozkoszuje. Toć to znaki dobrego serca.

- Ale ja w tym siły i energii nie widzę - odparł Bajbuza - A tej nam na gwałt potrzeba.

- Znajdą się one może, gdy się okoliczności do objawienia ich nastęczą - rzekł Kaliński. - Mówiłem wam, że w sobie dosyć zamknięty; Bóg więc raczy wiedzieć, co tam chowa.

- A powierzchowność? - badał Szczypior.

- Wzrostu średniego, postać piękna, pozór pański - odpowiedział Kaliński - płeć świeża, włos ciemnorudawy, uśmiech przyjemny. Podobać dby się mógł, gdyby chciał, lecz więcej w nim widać obawy zdradzenia się z uczuciem, niż chęci pozyskania serc sobie.

- Hej! Hej! - westchnął, obracając się na łóżku swym rotmistrz. - Coś mi to wszystko, co mówicie, mętno i smętno wygląda. Żołnierzem gdy nie zechce być, to go nie pokochamy; siły i energii gdy nie okaże, to go się warchoły nie zląkną. A wiesz on, co się tu u nas dzieje? - dodał Bajbuza.

- Za morzem, to - choć wieści dochodzą - dodał Kaliński - nie zawsze one wierne. Król Jan dla syna się boi Polski, on sam pono, gdyby nie ciotka, którą kocha jak matkę od dzieciństwa, może by też nierad Szwecji rzucić.

Tu zamilknawszy nieco, dodał ciszej Kaliński:

- Weźmiecie go, to i siostrę z nim Annę będziecie musieli razem, bo ona tam już nie znajdzie opieki; Ale ta jak niebo do ziemi do brata niepodobna.

- Jako więc? - pytał rotmistrz.

- Ano, on katolik, jak już chyba gorliwszym być nie można - ciągnął dalej Kaliński - A królewna Anna do zboru będzie chodziła. Pracowali nad nią jezuita, męczyli się i porzucić musieli;

księdza Gołyńskiego o mało żółć nie zalała, tak się tym gryzł, Ale im ją goręcej nawracali, tym ona uparciej przy swoim stała i stoi.

Zmilczał Bajbuza.

- A co nam tam do królowej - wtrącił Szczypior - niech sobie modli się, kędy zechce.

- Pewnie - rzekł Bajbuza, Ale na dworze walka powstanie, gdy i jezuici, i dysydenci mieć będą opiekę. Dziwna to sprawa i niedobra. Co robić! Cóż na to królowa nasza.

- Spodziewa się, że ją tu katolicy nawrócą, rzekł Kaliński - A ja wątpię, bo i brat, i ona twardo stać przy swym nawykli.

- Król młody - rzekł Bajbuza - byle pana hetmana słuchać chciał, A dał mu się powodować, ten go bezpieczną poprowadzi drogą.

- Myślicie? - zapytał Kaliński i trochę się zawahał. - Aliści - dodał ciszej i nieśmiało - mnie się widzi, że na to się nie zanosz.

- Dlaczego, dlaczego? - przerwał żywo rotmistrz.

Zmięszał się jakoś Kaliński i przez chwilę milczał.

- Skąd o tym wnosicie? - powtórzył rotmistrz. - Mówcie otwarcie - my was tu nie zdradzimy.

- Dlatego mi się tak widzi - zniżając głos rzekł gość - że i dawniej, i teraz królowa w listach zawsze utyskiwała na zbytnią przewagę hetmana. Jemu przypisywała ona, iż Batoroego znienawidzono, A kraj się cały prawie cały oburzał na okrucieństwo. Młody więc pan zawczasu jest przestrzeżonym, Aby się nie poddawał.

Rotmistrz głową poruszył.

- Źle by było, gdyby bez przewodnika iść chciał - odezwał się - nie znając drogi. Ktoś mu tu potrzebny. Jezuici nie starczą. Do zbawienia pokażą mu pewnie najpewniejszą ścieżkę, Ale w sprawach kraju kapłan inaczej widzi i radzić musi inaczej. Bez Zamoyskiego jak bez ręki nie potrafi się obejść. Odepchnie go, uczyni sobie nieprzyjacielem, A walka będzie niebezpieczna. Boże uchwaj, Aby się te wasze presumpcje \* sprawdzić miały - dołożył Bajbuza. - Wiele ran goić mu przyjdzie, A nowych rozterek szukać, uchwaj Panie!

Presumpcja ( z łac.) - przypuszczenie, domysł.

Z tego obrazu, jaki malował Kaliński, niewiele mogli wyciągnąć pocieszającego słuchający. Ale też Zygmunt obranym jeszcze nie był, choć już dziś przewidywać należało, że Zamoyski z obawy i wstrętu Rakuszan ku niemu się skłoni, A za nim pójdzie wielu. Królowa do ostatniego niemal grosza już, ujmując sobie ludzi, wysypała. Batorowie niewiele się spodziewać mogli, o wielkim kniaziu moskiewskim w Polsce Ani słuchać nie chciano, zostawało więc dwu tylko kandydatów: Zygmunt i Maksymilian. Jeden lub drugi obranym być musiał.

Kaliński przychodził niemal co dzień zabawiać chorego, który na gwałt się zrywał z łoża i Buccella ledwie go mógł utrzymać w spokoju postrachem pogorszenia rany, bo z niej jeszcze odłamki kości wychodziły. Ze dworu królowej Szczypior sprowadzał i innych ichmościów, Aby Bajbuzie nie dać tęsknić za ludźmi. Nie zbywało więc na wiadomościach z kraju, bo królowa, która w ciągu panowania Stefana zupełnie była beczynną i odsuniętą od wszelkich spraw publicznych, teraz znowu z gorączkową gorliwością popierała sprawę siostrzana i śledziła pilno, co się w całej Rzeczypospolitej działo.

Nie można było jeszcze przewidzieć, jak elekcja wypadnie, bo cesarskie stronnictwo miało za sobą Rzym, A zręczny i przebiegły Annibal z Kapui, choć przed królową zaręczał, że Stolicy Apostolskiej idzie tylko o wybór gorliwego katolika, mocno przeciwko Szwedowi za Rakuszaninem chodził, duchowieństwo starając się na jego stronę przeciągnąć. Litwa w znacznej części dla spokoju była za wielkim kniazem moskiewskim, Ale sama jedna przeprowadzić go nie mogła. Inni kandydaci wcale Zygmunтови nie byli straszni.

Wszystkie ogłoski o zabiegach Górki, Czarnkowskiego i ich stronnictwa, zbiegały się na dworze królowej, A stąd przynoszono je do dworku rotmistrza, w którym teraz więcej było życia niż w całym mieście.

Przysposabiano się, jednak do elekcji, którą przewidywano burzliwą i niełatwą. Z obu stron gotowano się do niej jak do wojny. Dysydenci z Górką i Zborowskimi rachowali na zaciągi zagraniczne, na żołnierza obcego z Niemiec, z Czech, A nawet Włoch i Francji; Zamoyski na Prusaków i Inflantczyków, lecz daleko więcej na szlachtę, która w nim miała zaufanie i mimo obawy przewagi widziała w hetmanie ręką utrzymaniu porządku i bezpieczeństwa osób i mienia. Odgróзки Zborowskich przeciw osobistych ich nieprzyjaciółom, zamiast ustraszyć, coraz bardziej przeciw nim oburzały. Pomiędzy dwoma obozami i ich czynnościami ta zachodziła różnica, że Zborowscy postępowali sobie wrzawliwie, huczno, groźnie, gdy hetman z powagą i spokojem do ostatecznej walki się gotował. Wołałby był z pewnością Zamoyski jednego z Batorych; być bardzo może, iż chwilę jakąś łudził się tym, że jako Piast sam obranym być może. Bezkrólewie przekonało go, że marzenia te ziścić się nie miały najmniejszego widoku, A mnożąc słabe stronnictwa, cesarskim by tylko posiłkowały, musiał się więc zbliżyć do królowej. Dla Anny było to najpożądane, bo choć się obawiała hetmana i żal miała do niego, czuła, że bez jego pomocy się nie obejdzie. Zamoyski potajemnie zniósł się z nią i słowne stanęły umowy, że hetman poprze jagiellońskiej krwi potomka.

Nikomiu to może żywszej nie sprawiło radości nad Bajbuzę, który się lękał rozdwojenia, A z wielką większością szlachty wstręt miał do Rakuszanina, bo imię jego miało znaczenie "Absolutum dominium", niewola.

Kaliński, który czekał w Warszawie na listy, Aby znowu z nimi do Szwecji płynąć, tymczasem przychodził do rotmistrza, zabawiał go i przynosił mu najświeższe wiadomości. Na zamku - powiadał - panowała obawa i niepokój o Litwę, której część tylko królowej zjednać się Udało, o podstępne knowania rzymskiego posła, o zuchwalstwo Zborowskich, na ostatek nawet o samego króla Jana, niechętnie patrzącego na wybór syna. Oprócz tego brakło najpotrzebniejszej sprężyny wszelkich czynności - pieniędzy. Królowa do ostatniego grosza wydała, co miała, Zamoyski wyszafował swoje i co pozostało po Batorym, A dało się od rodziny wyzyskać.

Gdy Kaliński tak jednego dnia lamentował przed Bajbuzą na niedostatek, szepnął mu coś rotmistrz na ucho. Kaliński wstał i natychmiast na zamek pośpieszył, A w parę godzin potem powrócił nazad. Znowu tedy szeptano po cichu, A wieczorem Bajbuza w złotym humorze powołał do siebie Szczypiora. Począł od tego, że go uściskał.

- Słuchaj, Szczypior - rzekł - nie łaj mnie. Powiadasz, że ja się nad siły zmagam, trzymając na swym żołdzie sto koni i ludzi, Alem ja na świecie sam jak palec. Jeżeli krajowi służyć nie będę, tom się nikomu na nic nie zdał. Ano, na tych stu kopijnikach nie dość.

Szczypior się zżymnął.

- Na rany Pańskie! - zawołał.

Toż to wam ostatni grosz wyszafuję! Czyż jeszcze mało?

- A mało! - odparł Bajbuza. - my od tej Rzeczypospolitej wszystko mamy, powinniśmy być gotowi zawsze oddać jej wszystko. Matka jest, dla matki za wielkich ofiar nie ma, choćby życie przyszło dać. Tymczasem - tu zniżył głos - królowa się do ostatniego halerza na elekcję wyszafowała, hetman ledwie ostatnich dziesięć tysięcy od Batorych wyrwał na wojsko, sam już nie ma w skarbonie nic. A pięknież to, że u mnie w kowanych skrzyniach, w sklepie, w Nadstyrzu tyle grosza leży na próżno? Na co mi się on zda, gdy ojczyzny nie poratuje? Rachowałem na waszeci - dodał wesoło Bajbuza - bo sam się ruszyć nie mogę dla tej rany przeklętej, lada kogo zaś do ula i miodu dopuścić nie można. Nie wódź nas na pokuszenie! A tu mi trzeba dla królowej Jej Miłości dwadzieścia tysięcy przywieźć i to nie zwlekając! Klucza, oprócz ciebie nikomu nie mogę zwierzyć - dodał rotmistrz powoli z szyi zdejmując na łańcuszku zawieszony, który podniósł do góry.

- Jedź, bracie, do Nadstyrza i przywieź ten nieszczęsny "nervus rerum", \* bez którego na świecie nic.

"Nervus rerum" ( łac-) - dosłownie nerw rzeczy; tutaj przenośnie: podstawa, sprężyna czynów ludzkich.

Szczypior węża zakąsywał co miał we zwyczaj, gdy był w trudnym razie. Z żołnierzem, z ludźmi, choćby z najrozszalańszą hałastrą, do czynienia mieć, nie obawiał się; na nieprzyjaciela

skoczyć, choćby przemagającego, gotów był zawsze, Ale od gospodarowania około pieniędzy wymawiał się i obawiał go.

- Już ty mnie - odezwał się mrukliwie do rotmistrza - użyj kędy i jak chcesz, wiesz, że się nie wzdrygnę, pójdę, Ale z pieniędzmi ja się nawet obchodzić nie umiem. Ręce walają...

- Do twoich bród ich nie przystanie - odparł rotmistrz śmiejąc się. - Zresztą, dla samej dogodności w przewiezieniu talarami nie dam, ino złotem, A to rzecz czysta.

Szczypior posmutniał.

- No, i ty tu chory, sam z tym, z pozwoleniem, smarkatym Kalińskim pozostaniesz i z Buccellą, który więcej o nabywaniu dóbr i robieniu majątku myśli niż o chorych...

- Mylisz się, jeszcze więcej myśli o pogrzebieniu Simoniusa i biją się na trumnie króla nieboszczyka gęsiami piórami, Aż strach! Ale do rzeczy. Jutro jedziesz do Nadstyrza. Najlepszych ludzi, konie, wozy weź z sobą; ruszaj bez zwłoki i przywoź mi dwadzieścia tysięcy.

- Ależ to majątek! - zawołał Szczypior. - Cóż ty z tym zrobisz?

- Prosta rzecz, pożyczę królowej - dodał Bajbuza - A że i nasza kasa dla tej choroby mojej doktorami i Apteką wyczerpana, kilka tysięcy i nam się przyda. Pieniądze leżą.

Szczypior słuchał zdumiony.

- Drzwi do piwnicy pod podłogą sypialnej izby - mówił dalej rotmistrz - pokaże ci Sawka stary. Znijdziesz po wschodach, A oto masz klucz, który ci pierwsze drzwi otworzy. W prawo od nich jak ręką sięgnąć, w murze cegła jest ruchoma, A w komurce za nią kluczy reszta, która drugie zamki ci odemknie. W piwnicy, znowu na prawo, skrzynia z workami, każdy z nich po tysiącu złotem. Sawka ci pomoże wynieść do skrzyni podróźnej, włożycie ją na wóz, okryjecie workami i skórą, wiu ha!... i An powrót tu do mnie!

Bajbuza mówił to z taką radością, jakby nie ofiarę czynił, Ale dobrodziejstwo odbierał.

- Królowej posłużyć - rzekł - wielka to cześć dla mnie i pociecha, A bez tego złota i Nadstyrze, i ja się obejdę łatwo!

Szczypior ciągle wąsa kasał.

- Wolałbym, żebyś mi izbę kazał zamiatać! - zawołał w końcu.

- Szczypior mój - wtrącił Bajbuza - nie pytam, czy ci to miło, czy nie, Aleśmy sobie wzajem wszyscy służyć powinni. Musisz jechać.

- Jużci pojedę - odparł smutnie chorąży - bo nie ma rzeczy, której bym nie uczynił dla ciebie, Ale bodajbyś pieniędzy nie miał nigdy, kiedy ja je mam wozić.

- Wiosna śliczna, konie dobre, droga znajoma - rozśmiał się Bajbuza - nie kwaś się daremnie. Jedź i po wszystkim!

Wieczorem, gdy Szczypior już swoje sakwy przysposabiał do podróży, nadszedł Kaliński.

- Powiedz królowej - odezwał się do niego rotmistrz - iż jutro wysyłam po pieniądze dla niej. Dali Batorowie Zamoyskiemu dziesięć, ja królowej pożyczam dwadzieścia, Aby spokojną była. Odda mi, gdy zechce i będzie mogła.

Kaliński, który się nie spodziewał, Aby jego utyskiwania tak szczęśliwym były uwieńczone skutkiem, chciał natychmiast na zamek powracać, Aby dać znać Annie, Ale go Bajbuza powstrzymał.

- Nie masz się czego śpieszyć - rzekł - najlepiej będzie, gdy pieniądze przywiozą, wprost je oddając, sprawić niespodziankę.

- Ale tymczasem zmaga się i frasuje - wtrącił Kaliński. - Pociesz się i uspokoi.

Nie dając się długo zatrzymać, chłopak powrócił na zamek zaraz, A choć królowa z fraucymerem już była na wieczornych modlitwach, kazał oznajmić, iż w pilnej przychodzi sprawie. Nastraszyła się nieco królowa, bo w ciągłej niepewności, zmęczona, wszystkiego się teraz obawiała, Ale rozjaśniona twarz Kalińskiego uspokoiła ją.

- Najjaśniejsza Pani! - zawołał kłaniając się rozpromieniony chłopak - przynoszę dobrą nowinę. rotmistrz Bajbuza, rzadki człek, bo jemu podobnych ze świecą szukać, dwadzieścia tysięcy złotych na potrzeby Waszej Królewskiej Mości kazał przywieźć z domu i jak tylko nadejdą, złoży je u nóg Waszych.

Królowa Anna zrazu nie wierzyła uszom.

- A cóż on chce za to? - zapytała zdumiona.

- On? On prosi tylko, Abyś Wasza Królewska Mość przyjęła je, nie frasując się o oddanie. Człek to do innych niepodobny i dlatego może Zborowscy go postrzelili, Aby nie dawał złego przykładu drugim. Jutro jedzie zaufany jego przyjaciel i pośpieszy z powrotem.

Złożyła ręce królowa.

- A! Niechże mi go Buccella rychło do zdrowia przyprowadzi - zawołała - Aby mu choć podziękować mogła; da-li Bóg, że mój Zygmunt obranym zostanie, postaram się o to, Aby mu dobre jego dla nas serce zawdzięczył. Powiedz mu to Kaliński.

- Uchowaj Boże - szepnął chłopak, który już znał Bajbuzę. - Obraziłby się, gdyby mu nagrody nadzieję uczyniono.

Na zamku poweselało zaraz, Ale ze dworku rotmistrza też, który czuł się coraz lepiej, A o Zborowskich odbierał wiadomości coraz im mniej pomyślne.

Wszyscy byli dobrej myśli. Zamoyskiemu przybywali sprzymierzeńcy, Tęczyński, wojewoda krakowski, Zborowskim niechętny jak cała rodzina, od czasów Samuela i Wapowskiego, \* Szafraniec, wojewoda sandomirski, na Litwie wojewoda wileński Radziwiłł, nie licząc Żółkiewskiego, Opalińskiego, podkanclerzego Baranowskiego i innych. Ponieważ cesarscy jawnie

wtargnięciem zbrojnym zagrażali, druga też strona musiała w ludzi się i zaciągi wcześniej sposobić, Aby móc siłę odeprzeć siłą.

Niechęć rodu Tęczyńskich do Zborowskich wywodziła się od czasu zabójstwa w roku 1573 Jędrzeja Wapowskiego, krewnego Tęczyńskich, kasztelana przemyskiego, przez Samuela Zborowskiego.

W maju wstał nareście Bajbuza mogąc się przechadzać z ręką na podwiązaniu, wychudły i znękany, Ale ducha podnieconego i niecierpliwy, Aby mógł czynnie wystąpić, A przydać się na co. Szczypior, wedle wszelkich rachub mający być z powrotem, opóźnił się, co rotmistrza niepokoiło, nie o grosz, którego bezpieczeństwa był pewnym, Ale o człowieka. Pierwszych dni czerwca chorążego jeszcze z powrotem nie było. Co dzień prawie przychodził się o niego dowiadywać Kaliński i odchodził z niczym smutny. Królowa nie śmiała go już pytać, badając tylko oczyma. Na ostatek Bajbuza najzwawszemu ze swych ludzi, najlepszego konia dosiąść rozkazawszy, wyprawił przeciw chorążemu, Aby powrót jego przyspieszył.

Skróty:

fr. - francuski; gr. - grecki; łac. - łaciński; niem. - niemiecki; st. pol. - staropolski; węg. - węgierski; wł. - włoski..nv

Część pierwsza ( c.d.)



## Rozdział V

Bajbuza siedział wieczorem pode dworkiem w cieniu starych lip, które już bujny liść okrywał i zabawiał się rozmową co dzień powstającą o zaciągach, o oddziałach, o knowaniach Czarnkowskiego i Górki, gdy ponad płotem otaczającym podwórko ukazała się twarz uśmiechnięta, ogorzała i rumiana Szczypiora.

Zerwał się rotmistrz, naprzeciw niemu biegnąc z otwartymi rękami. Chorąży właśnie z konia zsiadał, A wozy idące za nim nadciągały i przy nich wysłaniec, co ich powrót miał przyśpieszyć.

- Szczypiorze, leniwcze - krzyczał, ściskając go Bajbuza - A cóż się z tobą stało! - Jużem oczy wypatrzał, piersi wywzdychał za tobą, A kląłem, co wlezie!

- Ano nie mogło być inaczej! - rzekł węzłowato chorąży. - śpieszyłem, jakem mógł; gdy się dowiesz, dlaczego się opóźnił, sam mi to pochwalisz.

- Nie! Jeżeliś koni oszczędzał - odparł Bajbuza - nie miałeś racji, jeżeli siebie...

- Ale kto by tam o sobie myślał! - przerwał oburzony Szczypior. - Ot, to mi pięknie człowieka o to posądzać!

- Więc cóż masz na obronę? - zapytał rotmistrz.

Szczypior znowu zagryzł wąsa.

- Chodźmy do izby - rzekł - rozmówimy się.

Bajbuza niecierpliwym nalegał.

- Anibyś ty mógł odmówić, Ani jam się wymawiał od tego - rzekł Szczypior. - Księżna Sapieżyna - miła twoja sąsiadka, wybierała się do Warszawy, do królowej Jej Miłości, na której dworze wychowaną była. Dwór ma własny nieliczny, prosiła mnie, Abym jej towarzyszył. Rozumiesz, iż z niewiastą się nie tak pośpiesza, jak samemu z czeladzią. Stąd zwłoka.

- Jak to?! - zakrzyknął uradowany Bajbuza, nie mogąc ukryć, jak mu ta wiadomość miłą była. - Księżna jest tu?!

- Właśnie, gdy my tak o niej rozprawiamy, zajeżdża na zamek w gościnę do dawnej pani - rzekł Szczypior kłaniając się. - Żłem zrobił??

Uściskał go w milczeniu Bajbuza.

- Ale cóż ją pod ten czas, gdy tu się na burzliwą elekcję zabiera, mogło sprowadzić?

- Nie wiem - rzekł uśmiechając się, Szczypior. - Niespokojna była o królowę, ciekawą może, na ostatek i o waszmościny zdrowiu rada się była naocznie przekonać, bo tam rozniesiono wiadomość, żeś rękę utracił.

- Ach - przerwał rotmistrz - o mnie się pewnie troszczyła mniej. Prawdziwym powodem, że się jej na wsi nudziło, A królowa może dała jej wiedzieć, że rada by ją widziała.

Zwrócił się do Szczypiora.

- Może w tym i coś więcej jest, o czym ty nie wiesz, bo królowa rada by młodą wdowę wyswatać i ma pono dla niej napatrzonego na Litwie magnata. Kaliński mi o tym wspominał.

Gdy tak rozmawiali, czeladź tymczasem z wozu ciężką skrzynię wносиła pod dach, do sypialni pańskiej, A tuż i Kaliński zwierzywszy, że pieniądze nadejść musiały natychmiast się stawił.

Bajbuza był już w siłach odziać się i sam stawić przed królową, przynosząc jej swą ofiarę, Ale mu ta myśl wstrętną była. Musiałby podziękowań słuchać, A może obietnic. Z drugiej strony wabiła go do zamku przytomność księżnej, za którą tęsknił, lecz ze dwojga pierwszy wstręt od przechwalania się z tym, co czynił, przemogła. \* Spojrzał na rękę swoją.

Składnia i sens zdania niejasne. Prawdopodobnie Autor chciał napisać, że w Bajbuzie przemógł wstręt do przechwalania się.

Buccella mi zakazuje ciasnej sukni wdziwać i ręki męczyć, do zamku więc jechać nie mogę, królowej pilno. Szczypior mnie wyręczy i z Kalińskim pieniądze zawiezie.

- A wy? - zapytał chorąży.

- Ja? No, pozostanę tu, na ławie, pod lipą - dodał Bajbuza - i po wszystkim.

Po obiedzie więc, jak postanowił, worki znowu w mniejszy sepecik zamknawszy, Szczypior posłuszny zawiózł je królowej.

Spodziewała się widzieć rotmistrza i zapytała o niego zdumiona.

- Przyjaciel mój - odparł Szczypior - kazał mi przeprosić Waszą Królewską Mość, iż sam przybyć nie mógł. Ręka mu jeszcze dolega, A Buccella broni ją męczyć i odziwać się. Choć pragnął więc, Ale sam się stawić nie zdołał.

- A cóż wam zlecił - spytała Anna - w rzeczy tych pieniędzy, które mi pożyczca?

- nic, oprócz żebym je u stóp Waszej Królewskiej Mości złożył - dodał, kłaniając się, Szczypior. - innego polecenia nie mam.

Wtem księżna Teresa, która może w nadziei zobaczenia Bajbuzy wyszła była razem z królową, spytała cicho Szczypiora:

- Jakżeś go waszmość znalazł? Chory jest jeszcze?

- Chorobą tego nazwać nie można - odparł Szczypior. - Żołnierzowi rana, to tak, jak miłościwym paniom, gdy która się przy krosnach igłą zakole. Nie ma się co wiele troszczyć, Ale palce zawiązać potrzeba.

Uśmiechnęła się królowa.

- Rotmistrz - dodał chorąży - musi o to dbać, Aby ranę wygoił, bo elekcja za pasem, A tam może na nową się przygotować nam potrzeba. Chce być zdrów, Aby na koń się pań hetmanowi lub wojewodzie ruskiemu stanąć do boku.

Królowa podniosła oczy do góry.

Bóg nas uchwyci od rozlewu krwi - rzekła - i elekcja się odbędzie spokojnie. Może ja to po kobiecemu sądzę, Ale mi się zdaje, że im większe siły z obu stron się gotują, tym pewniej walki nie rozpoczną, boćby brat przeciw bratu stawać musiał.

Księżna podchwyciła żywo:

- A, wymodlę u Boga, że nas od tej największej klęski uchroni!

Na tym się kończyła rozmowa, A Szcypior, pożegnawszy się, chciał już wynieść, gdy go na bok odwołała księżna.

- Pozdrówcie rotmistrza ode mnie - rzekła śmiejąc się - i powiedzcie mu, że rada bym mu za eskortę podziękowała. Niechże prędko zdrów będzie.

To mówiąc i zarumieniwszy się jak dziewczeczka, skłoniła się chorążemu i pośpieszyła za królową.

Nazajutrz sekretarz królowej przybył z zapytaniem, jak ma skrypt, który ona wydać chciała na pożyczone pieniądze ułożyć. Bajbuza go spoił, nakarmił i odesłał z odpowiedzią:

- Powiedz waszmość królowej, że ja nie Żyd, Ani lichwiarz, pieniądze rad daję, A jej zostawiam obmyślenie, jak i co napisać zechce. Mnie to obojętne, spokojny jestem.

Jak gdyby przy lepszej myśli i sił przybyło Bajbuzie, od tej chwili cudownie się krzepił, A rana goiła na podziw, co Buccella swoim smarowaniem i maściom przypisywał i chwalił się z nich przed królową. A że na myśli wojnę z Simoniuszem miał ciągle, nie wstrzymał się od dodatku:

- Rad bym, Ażeby ten nieuk, ten szalbierz, ranę był widział i kości, które z niej wychodziły i jakim gojenie prowadził, A rękę znowu tak uczynię silną, jak była! Kto wie, kość nowa może jeszcze twardsza będzie niż pokruszona!

Próba wkładania sukni poszła szczęśliwie i ręka też podwiązywania nie potrzebowała, A że Bajbuzie bardzo pilno było znowu na koń się pań, lice ująć i przygotować się do elekcyjnych nierwczasów, nie słuchając więc już lekarza, sam sobie dał swobodę zupełną i naprzód jej użył, Aby do kościoła pójść Panu Bogu podziękować, że kula nie w głowie utkwiała, potem zaraz na zamek się stawić. Że do królowej Jej Miłości idąc wystroił się w najlepsze szaty, jakie miał, to się samo z siebie rozumie, Ale Szcypior milczący pomyślał, że nie na samą królową miał bacność, starając się pańsko i rycersko wystąpić. Prześladował go księżną, Ale rotmistrz z żywością wielką się opierał posądzonom.

- Daj ty mi pokój - mówił - ja sobie kobietami głowy nie zaprzętałem Ani je znać chcę. ZŁote, powiadają, jarzmo małżeńskie, Ale gdyby było i drogimi kamieniami sadzone, wolę mieć szyję swobodną, niż je sobie nakładać. Księżnę wielce szanuję, Ale i ona niewiastą jest, A ja się ich boję. Człowiek żonaty, nierad z domu ociężuje, przyjdą dzieci, musi dla nich zbierać, więc nic już nie może, ręce związane. Świata z niego nic. Daj mi pokój.

Na zamku, jak się spodziewać było można, od królowej Jej Miłości doznał najwdzięczniejszego przyjęcia.

- Niech Bóg waaszmości zapłaci - odezwała się wzruszona, ze łzami na oczach - iżeś miał litość nad wdową, która tej Rzeczypospolitej życie swe całe i mienie poświęciła, A teraz, co ma najdroższego, rada by jej dać. Weźcie Zygmunta, którego ja za syna mego dawno Adoptowałam. Strzegłam i pilnowałam tego wraz z siostrą, Aby się wychował, jak przystało królowi polskiemu. Katolik gorliwy, języka dobrze świadom, czuje się dziecięciem tej ziemi jako ja. Bóg da szczęśliwie wam panować będzie. Ja tylko tego dożyć pragnę, Aby mu jagiellońską koronę na skroń włożyć.

- Miłościwa Pani - odezwał się Bajbuza - my też wszyscy z serca tego pragniemy, Aby on nam panował, A gdy hetmana ma za sobą, o czym nie wątpię, pewnym być może, iż rakuskiego kandydata zwycięży. Potrzeba tylko, Aby, da-li Bóg wybrany zostanie, co rychlej tu sam przybywał i rządy objął, bo Rakuszanie wichryć nie omieszkają. Wszczęła się tedy rozmowa zaraz w tym przedmiocie, który królowę najżywiej obchodził i przyciągnęła tak, że Bajbuza ledwie stojącą w orszaku królowej księżnę mógł powitać z daleka. Wydała mu się teraz po kilku niewidzenia miesiącach jeszcze piękniejszą niż kiedykolwiek, zachwycającą, A choć przed Szczypiosem niewiast się zapierała, oczu od niej oderwać nie mógł.

W czasie tego posłuchania właśnie oznajmiono Arcybiskupa Solikowskiego, A rotmistrz usunął się na stronę i miał teraz zręczność bliżej księżnę widzieć, A rozmówić się z nią. Dziękowała mu naprzód za Szczypiora, dowiadywała się o zdrowie, A rotmistrz ją zapytał, czy długo tu bawić myśli.

- Sama nie wiem - rzekła - czasem mi się zdaje, że królowej jestem potrzebną. Następują chwile, w których się dla niej też ważne losy korony tej rozstrzygać będą. Nie zawadzi, gdy ją życzliwe serca otoczą. Jam wszystko jej winna, A choć służką powolną chciałabym się wypłacić.

- Będiesz więc księżna - odezwał się Bajbuza - patrzeć na te smutne rozterki nasze, które na elekcji wybuchnąć muszą. My się gotujemy mężnie stawać przy hetmanie. Spodziewamy się iż siły zbierze, Ale jaki temu koniiec Pan Bóg da, On tylko wie.

- Dobry! Dobry! - prędko podchwyciła księżna.

Zawahała się nieco i dodała:

- Jam tu teraz na tym dworze tak, jak obca. Osób się wiele zmieniło. Nie potrzebuję was prosić, nie mając opiekuna, Abyście jako sąsiad mój pamiętali o mnie. Wdową jestem!

- Ale długo nią nie pozostaniecie - rzekł Bajbuza wesoło. - Co do mnie, mówić nie potrzebuję, zjem tu jak wszędzie gotów na usługi wasze. Wdzięczny będę, gdy mi pozwolicie pisać się sługą.

Skłoniła się księżna. Spojrzeli sobie w oczy.

- Waćpan zmizerniał przez tę ranę - rzekła.

- A księżna pani odmłodziłaś z tą wiosną przerwał Bajbuza. - Jam się haniebnie wymęczył, nie tyle cierpieniem, co beczynnością. Drudzy się krzatali, jam leżeć musiał przykuty, jeżeli nie do łoża, to do izby. Dla mężczyzny taka niewola śmierci się równa. Ale teraz - dodał wesoło - siądę na koń i wyciągnę w pole z podwójną ochotą i rozkoszą, bom wygłodniał!

- Królowa mi zestarzała - szepnęła księżna, przedłużając rozmowę, cierpiała też wiele.

- Odżyje, gdy siostrzeńca zobaczy - rzekł Bajbuza.

- O nim tylko mówi i marzy - dodała księżna. - Winien też jej Bóg miłosierny, Aby tę pociechę miała i na tronie go ujrzała.

Królowa wychodziła z sali, więc i księżna z nią, pożegnawszy uprzejmie Bajbuzę, ustąpić musiała. Wrócił do domu rotmistrz rozmarzony i Szczypior nawet postrzegł, iż choć nic w ustach nie miał, jakby upojonym się wydawał. A że kłamać i udawać nie umiał, przyznał się, że mu miłym było i królowę widzieć, i swą sąsiadkę księżnę, za którą tęsknił.

Szczypior się ośmielił odezwać:

- Toć chyba dobrowolna tęsknota, bo wam, panie rotmistrzu, łącno by było na nią patrzeć zawsze.

To mówiąc się uśmiechał.

- A to jak? - zapytał Bajbuza.

- Przecież ona wolna i wy także - odezwał się Szczypior.

- Co się waćpanu śni? - odparł na to Bajbuza, ramionami ruszając. - Jam prosty szlachcic, A ona księżna; ona młoda, ja poczynam siwieć; piękna, jam brzydki. Jakże mi się tu porywać z motyką na słońce!

Chorąży się uśmiechnął.

- Presumpcji \* za wiele, wada wielka - odezwał się - Ale też za małe o sobie rozumienie, szkodzi w życiu. Księżna by za was wyszła z ochotą wielką, A tak to ją jaki Kostka wam sprzed nosa pochwyci.

Presumpcja ( z łąc.) - tu w znaczeniu odmiennym niż w przypisie 51 tom I, mianowicie w znaczeniu zarozumiałości, nadmiernego wyobrażenia o sobie.

- Kostka? Jaki Kostka? - pochwycił poruzony rotmistrz - o żadnym Kostcem nie słyszał.

- Mnie o nim Kaliński rozpowiadał - odezwał się Szczypior. - Syn to jest wojewody sandomirskiego, który się tu przy dworze królowej za kobietami kręci i sławę z tego ma, że im głowy zawraca. Pierwszy strojniś i zawsze najpiękniej ubrany, Ale to fraszka, gdyby mu natura nie dała twarzy, która niewiasty zachwyca. Chwałą go niepomiernie, A nawet i z tego, że piękniejszych bielszych rąk u mężczyzny nie widziały.

śmiał się Szczypior patrząc na swoje, które czarne były i namulane, A i Bajbuza, choć dosyć kształtne miał widać na nich było, że często łuk naciągały, A popręg i siodła i oręża chwycić się nie wzdrażyły.

- Mój Szczypiorze - odezwał się - jeżeli mężczyzn z białych rąk cenić będą, ja nie stanę w rzędzie kompetytorów \* do nagrody. Męska dłoń namulaną być powinna. Wstydzilibym się, gdyby mnie z waszym Kostką utrapionym z białych rąk chwalono.

Kompetytor ( z łac.) - ubiegający się.

Po wielu innych - ciągnął dalej przyjaciel Szczypior - powiadają, że teraz Kostce nasza księżna bardzo w oko wpadła. Porzucił wszystkie inne, którym się zalecał, i teraz prawie z zamku nie wychodzi.

Zadumał się Bajbuza.

- Rad bym go poznał - rzekł.

- O, to nie będzie trudno - mówił Szczypior - wszędzie go pełno. Hej, hej! Żal by było księżnej za jednookiego.

- Drwiesz ze mnie, czy co? - podchwycił Bajbuza. - Pięknym go mienisz, upodobanym kobietom, A mówisz, że jednooki jest.

- Tak, bo choć oczu ma dwoje, Ale na jedno nie widzi - dodał Szczypior - o czym nie lubi, Aby mówiono. Na oku tego nie znać, że go niezręczny cyruklik przed laty pozbawił.

Chwilę zaledwie pomyślawszy, Bajbuza dodał:

- Cóż Kaliński mówi, jak księżna jest dla niego?

- Wcale grzeczną i uprzejmą być ma - rzekł Szczypior.

Rotmistrzowi zadrgała twarz.

- Chwała Bogu - rzekł szybko - chwała Bogu! Rad bym ją widział ubezpieczoną i zamężną. Wdowieństwo dla tak pięknej i młodej niewiasty, przy swobodzie, jaką daje, niedobre jest. Księżna jej nie nadużyje pewnie, to prawda, Ale dosyć dwu takich panów Kostków, Aby potwarz na nią rzucono. Byłem wojewodzica sandomirskiego poznał, sam mu dziewosłębem gotówem być.

Szczypior ramionami ruszył.

Tymczasem o swataniu, o Kostce i o kobietach nie pora było myśleć, A nazajutrz już rotmistrz musiał kopijników swych, ściągających się, lustrować i na nowo oddział swój doprowadzać do porządku. A ponieważ żywiej się tu poruszać mogło przypaść w tej wojnie, którą przewidywano, i Szczypior, i Bajbuza postanowili ludziom swym, miasto całych kopij długich, dość ciężkich i w obrotach w polu niezręcznych, dać lekkie, połowiczne, które i ściągnąć, i zaopatrzyć było potrzeba w proporce z barwą, po której by się ludzie łąco poznawali. Oprócz tego od karwaszów począwszy do plat \* na nogach, każdą zbroję dowódca pilny obejrzeć musiał i w worek u siodła żołnierzowi zajrzeć, czy w nim zamiast łyk, pęt, noża, szydła itp. nie wetknął flaszki z gorzałką.

Karwasz ( z węg.) - nałokietnik żelazny jako część zbroi; plat ( z niem.) - blacha ochronna, również część zbroi rycerskiej.

Dni więc schodziły szybko obu dowódcom, A rotmistrz temu zajęciu rad był, chociaż mu się serce razem krajało.

- Gdybyżeśmy się na nieprzyjaciela wybierali - mówił - radować by się można, Ale kto wie, przeciw komu i rusznice, i kopie skierować będziemy musieli. A wszystkiemu winni warchołowie, jak Górka, dla których nic świętego nie ma.

Kopiejnicy na ostatek z nowymi proporcami, z odnowioną bronią, w świecących jak zwierciadła zbrojach byli gotowi i gdy się rotmistrz dowiedział, że hetman do Warszawy się zbliża, ruszył razem ze Szczypiosem na spotkanie jego nocą, Aby orszak Zamoyskiego pomnożyć.

W mieście już wiedziano o tym, że hetman ciągnie i wiadomość ta przyczyniła się do uspokojenia umysłów; doznano bowiem na sejmie konwokacyjnym, jak bez niego o ład było trudno.

Przybywał Zamoyski pierwszy, jakby gospodarz i dozorca, Aby później nadciągającym nie dopuścić nieładem i samowolą mieszać porządek. Miasto się wysypało patrzeć na wspaniały ten wjazd, który z okazałością pańską, powagą wielką, w spokoju i karności się odbył. Ludu, dworu, rycerstwa, oddziałów broni różnej, ochotników, jak Bajbuza, liczba znaczna bardzo towarzyszyła hetmanowi; szły wozy, wieziono namioty, A że w polu stać miano, wszystko, co w obozie potrzebnym być mogło. Nie obyło się i bez ciurów wlokących za rycerstwem, Ale Zamoyskiego ciury nawet, jak powiadano, lepiej wyglądały niż niejednego żołnierze. Przy odgłosie surm, trąb, bicia w kotły, z rozwiniętymi chorągwiami, Zamoyski konno, w towarzystwie Żółkiewskiego, Dulskiego i znacznej liczby rycerstwa przeciągnął przez miasto i połączywszy się z marszałkiem Opalińskim, który nań czekał, wprost na miejsce sobie wyznaczone, przez niego jechał, obozem się rozkładając pomiędzy Powązkami, folwarkami miejskimi i wałami. A że od napaści pewnym być

nie mógł i mniejszą, choć dzielnego żołnierza liczbą rozporządzał, natychmiast się okopywać kazał.

Nazajutrz, nim jeszcze wojewoda poznański nadszedł ze swą zgrają ogromną, hetman z wybranym poczem, do którego Bajbuza należał, pojechał naprzód na zamek do królowej, już na niego oczekującej. Wielka tu panowała radość, bo choć Anna żal miała do Zamoyskiego i obawiała go się, teraz na nim wszystkie jej spoczywały nadzieje. Spotkanie było zimne może, Ale z obu stron życzliwe i otwarte, o ile być mogło. Hetman oświadczył królowej, iż Zygmunta popierać będzie.

- Chociażby nam tej na rycerstwie i żołnierzu stojącej Rzeczypospolitej - rzekł - zdał się doświadczony wódz, Ale mamy nadzieję, że przysły pan nasz na ludzi doświadczonych radzie się opierając, z dobrą wolą podola temu posłannictwu, jakie Bóg włoży na jego ramiona. My mu wszyscy krwią i mieniem służyć gotowiśmy, jakeśmy nieboszczykowi służyli.

Zmięszana królowa żywo zaręczać zaczęła hetmanowi, iż siostrzan jej ludzi zasłużonych oceni i pójść za nimi nie omieszka.

Rozmowa przeszła zaraz na niebezpieczeństwa chwili, na knowania cesarskich, na Litwę, mówiono o Zborowskich i królowa Anna uradowana okazanym jej poszanowaniem, odetchnęła swobodniej po widzeniu się z Zamoyskim, śpiesząc za nie Panu Bogu podziękować.

Chociaż o usposobieniu nuncjusza Annibala z Kapui bardzo był dobrze uwiadomionym Zamoyski, natychmiast po zamku pojechał z całą swą komitywą pokłonić się Arcybiskupowi Neapolu, Aby go publicznie, głośno i jawnie zapewnić, że jako wierny syn Kościoła, nie spuszczając z oczu spraw religii katolickiej, w przyszłej elekcji działać będzie. Chytry Włoch, który codziennie prawie cesarzowi w cyfrowanych listach znać dawał, jak tu stało stronnictwo jego, w głos jednak oświadczył, że Stolica Apostolska nikogo nie popiera, nie zaleca, nie daje pierwszeństwa, Ale tylko nad interesami religii czuwać będzie i dla niej opiekuna i obrońcę chce mieć w przyszłym królu. Nietrudno było Zamoyskiemu w nuncjuszu poznać i przeniknąć cesarskiego sprzymierzeńca, Ani Annibalowi z Kapui, po krótkiej z hetmanem rozmowie, nabrać przekonania, iż walka z tym człowiekiem nie będzie tak łatwą jak się może wydawała. Lecz cóż znaczył, w przekonaniu Annibala z Kapui, najmędrszy wódz i statysta obok potęgi cewarskiej i siły, jaką Rakuszanie rozporządzali?

Natychmiast po hetmanie pośpieszający Górka z Czarnkowskim i wszystkim, co się im około siebie skupić udało weszli tłumnie, w znacznej odległości, naprzeciw Zamoyskiego zajmując rozległą przestrzeń. Ciekawi, którzy się temu wjazdowi przypatrywali, dziwić się musieli, co tu niemiecki, szląski i cudzoziemski żołnierz mógł robić, A w ogóle tak zbierana drużyna, iż jak w wieży Babel w obozie ich rozmówić się było trudno jednym językiem. Brzmiały tu one wszystkie



tak niesforno, jak u wodzów w głowach myśli się snuły. Szło Zborowskim i ich przyjaciółom, Aby liczbą Zamoyskiemu zagrozili, o dobór się nie starano. Stał najlichszy żołnierz obok najlepszego, rycerstwo polskie obok niemieckich zaciężnych, stąd kłótnie, spory, wrzawy i tumulty nieustanne. Desydencki żołdak, któremu się zdawało, że wyzwoliwszy się z religijnych praw, powinien był okazywać, jak się czuł swobodnym, dokazywał i szalał. Górcę, który sam gwałtownym był, A zuchwalstwo za męstwo brał, wydawało się to wszystko pożądanym. Prorokowano pewne zwycięstwo dwa razy silniejszej, bo do dziesięciu tysięcy liczącej gromadzie Rakuszan.

Na pierwsze posiedzenie hetman już był gotów, Ale go przyjaciele otoczyli i nie dopuścili gardła ważyć. Szczypior, który się wszędzie umiał wcisnąć, był niepozorny, A mimo prostoduszności swej lisem się w potrzebie podszywał, wypadkiem dostał języka, iż na radzie u zborowszczyków stanęło, gdyby się hetman sam, bezbronny, z kilku tylko przyjaciółmi do szopy udał, napaść go na drodze i zamordować. Bajbuza z tym poszedł zawczasu do pana wojewody ruskiego, A ten oznajmił hetmanowi. Dulski radził z poczem i zbrojno ruszyć, Ale to by było za pogwałcenie praw, za nowe zuchwalstwo okrzyczanym. Po długich naradach, nie pozostało nic nad to, by hetman się jeszcze od pierwszych posiedzeń wstrzymał i dał wyburzyć namiętnościom. Zasadzka, o której się przekonano, iż w istocie uczynioną była, spelzła na niczym.

Tymczasem wybuchnęli zaraz na posiedzeniu Zborowscy wszyscy, domagając się, Aby hetman, który tyle ludu zbrojnego przywiódł z sobą, ustąpił precz. Nie chcieli pod mieczem jego i grozą do obrad przystępować. Z obu stron posypały się też same żądania i zarzuty. Hetman gotów był wojsko oddalić, Ale się domagał, Aby Górcę i Zborowscy swoje też precz odprawili. Tłumaczył się Zamoyski, że sił nie dla przemocy, Ale dla bezpieczeństwa potrzebował, A chociaż warunków zgody sobie przedłożonych nie przyjął, pokoju zamącić nie myśli i uczciwemu pojednaniu nie jest przeciwnym.

Ponieważ do niczego przystąpić nie było można wprzódy, Ażby się jakiś “modus vivendi” obmyślił pomiędzy przeciwnymi obozy, nastęrczyli się pośrednicy do układania warunków. A że spokojny hetman dosyć łagodnie postępował i na niektóre z nich przystać był gotów, Górcę z Czarnkowskim Szafrąncowi i Firlejowi, wybranym za pośredników, wprost oświadczyli, że żadnych ustępstw nie uczynią. Buta ich urosła właśnie tym, że przez Arcybiskupa Neapolitańskiego w największej tajemnicy od cesarza odebrali zapewnienie rychłego poparcia. Mając cesarza za sobą, Górcę słuchać już nie chciał o układach żadnych, wprost groził, A z prawa się śmiał. Ledwie silnym wystąpieniem i groźbą też wymogli na nim pośrednicy, iż z kolei przybywać będą na obrady, Aby się z hetmanem nie spotykali, inaczej wybuch i przelew krwi był nieuchronny.

Można sobie wyobrazić zniecierpliwienie i gniew tych, co hetmana otaczali, A jego zimnej krwi i spokoju ducha pojąć nie mogli. Gdy z drugiej strony na obozowisku Rakuszan i Górcę

wrzawa, śpiewy i wczesne pieśni zwycięskie się rozlegały, pod powązkami panowała cisza, Ale rycerstwo upokorzone szemrało. Jeden Bajbuza rozumiał to i pochwalał.

Zamoyski udał się do szopy, zimno przedłożył swą sprawę, odparł zarzuty, A ustępstw dalszych odmówił.

- Idzie na zgubę swoją! - wołał Górka wściekły. - Zaślepiła go przeszłość, śni mu się, że to jeszcze Stefan panem.

Zborowscy, niecierpliwi jeszcze od niego, z każdym dniem gniewliwsi, że się im dotąd nic nie udało uzyskać, doszli do ostatecznego rozdrażnienia. Chociaż znaczna bardzo przestrzeń dzieliła ich od wojsk hetmana, podkradano się wieczorami, nocami, życia nikt nie był pewien, bo pijane żołnierstwo, bezkarnością ubezpieczone, szło pod wały hetmańskie jak na łowy. A gdy potem wieczorami przy stołach Górki opowiadano, co dokazywali Niemcy i Szlązacy, radość panowała nadzwyczajna.

Szczybior znowu dnia jednego dał wiedzieć o zasadzce, A chociaż się raz jego przestroga sprawdziła, lekceważono ją. Zamoyski w biały dzień się czuł bezpiecznym. Na samym wstępie pod szopę z towarzyszącymi mu Wacław Wąsowicz postrzegł wymierzoną ku Zamoyskiemu rusznicę i gwałtownie go popchnął, gdy w tejże chwili kula mu piersi przeszła i padł u nóg hetmana. \* Pijany zborowszczyk, któremu w rękach rusznica dymiła jeszcze, Ani nawet myślał uchodzić, tak był pewien, że mu się nic nie stanie; żałował tylko, iż samego Zamoyskiego nie trafił.

Wypadek historyczny, jak i wspomniany potem fakt zamordowania kanonika inowrocławskiego Brzezińskiego oraz podpalenia szopy, służącej za miejsce obrad sejmowych.

Rozruch się wszczął wielki i wchodzących zborowszczyków krzykami zaczęto smagać. Sprawa by może przybrała rozmiary większe, gdyby sam hetman nie zażądał, Aby ją pokryto milczeniem.

- Wstyd nam uczyni to w obliczu obcych narodów.

Zaledwie się to stało, drugiego dnia strzelono z niewiadomej przyczyny do kanonika inowrocławskiego, stojącego przy biskupie swym i nie było wątpliwości, że go kula dysydenta położyła.

Trwoga na ostatek ogarnęła samych nawet Górki przyjaciół, który z Czarnkowskim razem szalał, nie znając w tym szale granic. Mogli postrzec, że się od nich i współnictwa z nimi usuwali ludzie umiarkowańsi. Nie było tajnym, że po Wąsowiczu i Brzezińskim na hetmana czyhano i jego koniecznie pozbyć się chciano. Rachowano na to, że stronnictwo bez wodza rozbije się i padnie w ręce rakuskich praktykantów, którzy pieniędzmi i obietnicami sypali.

Ani widać było końca temu wszystkiemu. Karnkowski wahający się, niepewien, na którą przechylić się stronę, Górcę i Zborowskim dozwalał się coraz szerzej rozpościerać i zuchwalej

rzuć. Ale hetman nie ustępował. Strzelano, zasadzano się nadaremnie. Gdy niebezpieczeństwo groziło jawne, A boju uniknąć chciał, Zamoyski do siebie zwoływał na radę, tak, że pod szopą sami Rakuszanie swobodnie sobie poczynali.

To ich tylko niepokoiło, że szopa stała bliżej obozu hetmana niż ich zbiorowiska. Zamoyski, gdyby tak chciał być gwałtownym, jak oni, łatwo by ich tu mógł osaczyć i krwawy zatargom położyć koniec. Jednego wieczora rozprawiano o tym głośno pod namiotem pana wojewody poznańskiego, A następnej nocy jeszcze się w obozach do snu nie kładli, gdy z czterech rogów podpalona budowa ogromnym płomieniem buchnęła. Chcieli się ludzie hetmana rzucić na ratunek, lecz Zamoyski kazał się wstrzymać. Wśród nocy łatwo mógł powstać tumult, A hałastrą Górki i Czarnkowskiego czyhała tylko, może gotowa do napaści. Dano więc spłonąć szopie swobodnie, A nazajutrz hetman się dowiedział, że nową bliżej obozowiska prymas budować kazał.

- Nie pójdziemy do niej - rzekł chłodno Zamoyski - boć już wiemy, że obrady są niemożliwe, A nie o nie chodzi, Ale o przelew krwi, którego my ohydy dla sławy narodu uniknąć chcemy. Wszystko to na dobre się obrócić musi, A warchoły same sobie wstydlivy koniec gotują.

Nalegali przyjaciele na hetmana o stanowcze kroki i działanie. Uśmiechnął się.

- Cierpliwości - rzekł - Górka padnie przez to, że jej nie ma.

## Rozdział VI

Na zamku, dokąd z różnych stron częstokroć bałamutne dochodziły wieści o tym, co się działo na Woli, w szopie i obozach Zamoyskiego A Górki, królowa, po niewieściemu sądząc, A tego, co wrzawliwszym było, lękając się, trwożyła i płakała. Uspokajano ją na próżno, traciła chwilami nadzieję.

W istocie w mieście, jak to zwykle bywa, sądono z wrzasku o powodzeniu, A że Zborowscy strzelali, zabijali, krzyczeli, Zamoyski zaś siedział cicho, cierpiał, patrzył i dał się im tak pokazać całemu światu, że się ich nawet przyjaciele ulękli, - królowa sądziła już, że sprawa jej jest przegrana, ciągły więc tu niepokój panował A strachy. Ci, co królowej sprzyjali, A lękali się Rakuszan, przesadzoną trwogą swoją nie dawali jej pokoju.

Patrząc na to księżna, która miała lepsze nadzieje i inne wyobrażenie o położeniu, posyłała do rotmistrza, zaklinając go, Aby przez litość nad królową co dzień jej znać dawał, jaki był istotny stan rzeczy i co się w obozach działo.

Bajbuza, chociaż teraz był w swym żywiole i niezmiernie czynny, zawsze mu tego wszystkiego było za mało. \* Utyskiwał przed Szczypiosem, że nadto spokojnie i cierpliwie siedzieć musieli. Rozumiał tego potrzebę, bo mu ją wojewoda ruski, z którym się co dzień, widywał, tłumaczył, Ale bolał nad tym, że się, jak chciał, poruszać nie mógł. Z wielką więc ochotą podjął się na żądanie księżnej co dzień się na zamek dowiadywać i zdawać tam sprawę z tego, co się w obozie działo. Przy tej zręczności co dzień mógł widywać wdowę, A choć się zapierał, żeby miał myśleć o niej, choć ją wydawał to za Kostkę o pięknych rękach, to za innych, królowę otaczających, po cichu do niej wzdychał. Za postrzał w rękę otrzymany, który go tak długi czas w niewoli więził, miał już na wąs namotany odwet zborowszczykom, Ale do niego przybyło zabójstwo Wąsowicza, który padł ofiarą za Zamoyskiego i kanonika Brzezińskiego, drażniły codzienne zaczepki, przedrwiwania i napaści, na które wystawieni byli. Rotmistrz, pomimo całej swej krwi zimnej, bezkarnie puścić tego nie mógł.

Zdanie, którego składnia jest błędna, poprawny jego kształt winien wyglądać: "Bajbuzie (...) zawsze tego wszystkiego było za mało".

- Strzelają oni do nas - mówił do Szczypiora - wolno tedy i nam do nich popróbować. Zabijać się nie godzi, Ale bronić Pan Bóg dozwala, więc, przy podanej zręczności, Szczypiorze mój, celuj i pal. Ja postanowiłem sobie jednego z nich na tamten świat od razu nie wyprawiać. Dysydenci są, idą wprost do piekła, trzeba mieć litość, A nuż się który nawróci? Będę ich tak strzelał, Aby tylko łotry nam szkodzić nie mogli. Oni mnie strzaskali lewą rękę, A ja im prawą muszę odbierać.

Rozpoczął tedy na zborowszczyków polowanie rotmistrz, A że strzelał doskonale, jak sobie postanowił, tak się spełniało. Najwięcej ich w prawą dłoń lub rękę trafiał, tak, że najlepszych strzelców kilku musieli się iść lizać do miasta.

Z obu stron zawziętość jak największa się wszczęła, z tą różnicą, że Bajbuza nie okazywał jej po sobie, spokojnym był, na oko nie zważał na nich, A ludzie Górki i Zborowskich czyhali na niego, zasadzali się, drogę mu zastępowali nieustannie z krzykiem i wrzaskami. Sądzili, że go tym odstraszą. Nie znali go.

Był w swoim żywiole, A choć od rana do wieczora czynny i co dzień musiał się przedzierać do zamku dla królowej, nocy nie dosypiać, ludzi swych w porządku utrzymywać, życie co chwila ważyć, wszystkiego tego było mu jeszcze mało.

- Mój Szcypiorze - mówił co dzień prawie, wzdychając - niby się to my krzątamy, Ale to, jak koń na deptaku, ciągle drepczemy w miejscu. Co mi to za pociecha, że ja tam którego z tych łotrów postrzelę i zaskomli. Tymczasem w obozie ich tak szumi, jak w początkach, skutku nie widać. Ja bym na nich, gdy się popiją, kiedy nastąpił mocno i wszystkich rozproszył, dobre zrobiwszy jatki, Ale hetman każe mieć cierpliwość! Niech i tak będzie! Po jednym postrzelonym na dzień, czasem po dwu, mnie to nie nasyci.

Szcypior, który często towarzyszył do zamku rotmistrzowi, A przy napaściach także się brał do rusznicy, nie strzelając tak celnie, kilku ubił w miejscu; Bajbuza im ręce tylko odejmował. Wściekali się na niego, Ale rady mu dać nie mogli. Co dzień im się mimo ich obozowiska przejeżdżał, czasem kłaniał i o zdrowie tych, których postrzelił, dowiadywał; świstały mu kule mimo uszów, Ale żadna nie tknęła.

Zamoyskiego rachuba okazała się w końcu rozumną; Górka i Czarnkowski z każdym dniem tracili sprzymierzeńców, do hetmana prawie co wieczora ktoś przychodził, przejednywał się i przyrzekał iść razem. Bezładu i bezprawia, jakie panowało w obozie zborowszczyków, nie mógł żaden stateczny człek wytrzymać. Przyczyniało się do odrazy i to, że Rakuszanów się obawiano, A u Górki o niczym słyhać nie było, tylko o tym, jak Maksymilian wtargnie, jak zagarnie kraj, porozpędza szlachtę oporną itd. Zarzucano Batoremu i Zamoyskiemu samowolę, A zapowiadano daleko straszniejszą obcego mocarstwa, które ztawoło się nie o elekcji myśleć, Ale o podboju. Nikt nie chciał na sumieniu mieć wprowadzenia Rakuszan: cofali się jedni po drugich. Rozzłoszczony Górka widział to, Ale tym zajadlej się trzymał cesarza i najszałeńsze roił plany.

Przyszło wręście do tego, że Arcybiskup Karnowski, który główną ich był podporą, widząc, jak rzeczy stały, że co dzień Górki odstępowano, A on coraz stawał się despotyczniejszym, wahać się począł.

Czarnkowskiemu naprzód powiedział otwarcie:

- Strzeżcie się, bo was odbiegna wszyscy.

- My się tego nie boimy! - krzyknął ślepy. - Znajdziemy radę, choćbyśmy i sami pozostali.

Przyjdą nas popierać landsknechty \* cesarskie.

Landsknechty ( z niem.) - żołnierze zaciężni piechoty niemieckiej w XV i XVI wieku ( przyp. red.).

O tych landsknechtach gdy poszły wieści, szlachta bardzo się krzywić zaczęła. Baczniej patrzący mogli już tego dojrzeć, że choć w obozie Górki zawsze było tłumno i wrzawliwie, Ale wiele głów i wodzów ubyło i co przedniejsi stronili od nich. Natomiast około Zamoyskiego się skupiano.

Jednego dnia powracając z zamku, na drodze Bajbuza, którego dobrze znano, w ulicy został wstrzymany przez księdza, który mu dał znak, że chce z nim mówić. Rotmistrz, konia zatrzymawszy, zsiadł zaraz i podszedł ku niemu. Duchowny się obejrzał bacznie dokoła, bo nie chciał być postrzeżonym na rozmowie z Bajbuzą i naprzód mu się dał poznać jako kapelan prymasa Karnkowskiego.

Po niejakim wahaniu odezwał się do rotmistrza:

- Uczyńcie tę uwagę panu hetmanowi, iż z dawana księdza Arcybiskupa nie odwiedza. Złe to jest.

- Ale jakże ma tam jechać, gdzie może postrzał otrzymać - odparł Bajbuza - gdy księdza Arcybiskupa ciągle nieprzyjaciele jego sami otaczają.

- A! wszystko się to zmienić może - szepnął ksiądz. - Mówcie hetmanowi o tym, iż nasz pasterz zbliżyć do niego życzy i porozumieć. Dokuczyły nam wybryki tych ichmościów, A choć ich ksiądz nuncjusz w opiece ma, gotowiśmy ich odstąpić. Zwierzam się wam z tego poufnie. Polecenia nie mam żadnego od nikogo, Ale widzę, jak się w sumieniu swym nasz ojciec A pasterz męczy, czuję to, że rad by naprawił, co się złego stało. Niech hetman krok uczyni. Nie zdradzajcie mnie, A starajcie się wpłynąć na niego.

To mówiąc prędko uszedł kapelan, A Bajbuza z tym do hetmana pośpieszył, któremu w cztery oczy z rozmowy swojej zdał sprawę.

Zamoyskiemu twarz się rozjaśniła.

- Widzisz - rzekł do rotmistrza - wy wszyscy niespokojne, rycerskie, A raczej warcholskie duchy, bo co Polak, to warchoł po troszę, wy mi ciągle wymawialiście bezczynność i wyczekiwanie, A i kunktacja się czasem na coś przydała. Widzisz waszmość, że kiedy wóz pełen, koza do niego przyjdzie na końcu. Nam co dzień przyjaciół przybywa, ich co dzień, ktoś odstępuje. Ani się spostrzegą, jak sami w obozie z żołnierzstwem najemnym pozostaną, szlachty nawet na nasienie nie mając.

Tu hetman dodał z uśmiechem:

- Waszmość też im, słyszę, sporo nastrzelałeś ludzi!

- Ja? - odparł Bajbuza. - Ależ bronić się muszę, A nie zabiłem w śmierć pono Ani jednego, daję im czas na skruchę, pokutę i przejednanie z Bogiem.

Przejażdżki codzienne do zamku, choć prawie zawsze życie trzeba było ważyć na zasadzkach, jedyną stały się pociechą Bajbuzy. Bardzo często puszczał się sam, niekiedy Szczypior Albo który z czeladzi mu towarzyszył. Rzadko się obeszło, Aby zza węgła, zza płota, nawet już w mieście zza parkanu w jakiej ciasnej uliczce nie strzelono do Bajbuzy. On zaś tak był gotowym do odpowiedzi, że ledwie kula świsnęła, już zmierzył w dym - i bardzo często krzyk się dawał słyszeć. Rotmistrz wychodził cało. Kilka razy drasnęły go kule, Ale niektóre z nich na stalowej koszulce, której nie zrzucił, pospłaszczały się, inne ledwie sińce lub odrapanie po sobie zostawiły. Raz z zasadzki palnął ktoś do niego z kuszy i bełt konia ranił szpetnie, tak że go dobić było potrzeba.

Pomimo to wszystko, patrząc na Bajbuzę, można było sądzić, że z mięsopustu powracał Albo na weselisko jechał, tak mu z tym było dobrze. Skarzył się potem jednak zawsze na bezczynność.

- Co mi to za robota! - mówił. - Nie ruszamy się z miejsca. Na zamku ja królowę Jejmość, jak mogę pocieszam; niekiedy kłamię przed nią pobożnie, bo mi starej, biednej żal, Ale nie wiadomo, kiedy temu koniec będzie. Z rakuszanami tak się ostrzeliwać, do niczego, ich by napaść i precz wymieść. Ci, co z cesarzem trzymają, niech sobie do niego idą. Z Panem Bogiem, płakać po nich nie będziemy. Ale rozumne to są lby, bo juści wiedzą, że cesarz ich głaszcze, póki potrzebuje, A potem "pacem dissidentibus" nie zachowa.

Co dzień tedy pod wieczór rotmistrz do zamku jechał. Uprosił tylko Szczypior to przynajmniej dla bezpieczeństwa, Ażeby co dzień sobie inną drogę obierał, konia innej maści i suknię różną brał, Aby go tak łącznie poznać i napaść nie mogli. Jechał też, A powracał innymi ulicami.

Na zamku najczęściej oczekiwał już na niego Kaliński i wnet księżnie dawał znać. Wprowadzano Bajbuzę do gabinetu królowej, gdzie nowiny dnia jej opowiedział, Ale strzegąc się takich, które by ją zasmucić mogły. W istocie też sprawa, choć powoli szła coraz lepiej. Królowa potem szła się modlić i Bogu dziękować Albo do Szwecji pisać, A rotmistrza marszałek przyjmował i księżna, do których się i dworacy ciekawi przyłączali, Aby co nowego posłyszeć. O napaściach, postrzałach i niebezpieczeństwie, na jakie się narażał, nie pisał nigdy Ani słowa Bajbuza i księżna by nie wiedziała o nich wcale, gdyby Szczypior o tym nie szepnął. Ulękła się więc i chciała już te codzienne wycieczki powstrzymać, Ale rotmistrz nie odstąpił od raz przyjętego obyczaju.

- Szczypior przesadza - rzekł - puknie tam czasem kto dla postrachu, Ale niebezpieczeństwa żadnego nie ma. Strzelają tak, że żaden z nich w ścianę od stodoły nie trafi. Ja się ich wcale nie boję, A mnie wieczorna przejażdżka jedyna w dniu miła godzina, bo powietrza wiosennego chwycę, no i księżnie jejmości pokłonić się, i królowę uspokoić mogę.

Nie w smak tylko było może Bajbuzie, że niemal co dzień przy księżnie spotykał owego pięknego wojewodzica sandomirskiego, Kostkę, który się jej jawnie zalecał, choć ona sobie z niego żartowała. Koso na niego patrzył Bajbuza, Ale to nie pomagało.

- Gach to jest - mówił Kalińskiemu - którego by księżna się pozbyć powinna. Innym do niej drogę zapiera, bo myślą, że o rękę się dobija, A to młodzik, który do pięciu naraz gotów się zalecać, o żadnej nie myśląc. Zdaa mu się może, iż na wdówkę trafiwszy, nie ma się czego obawiać, bo sama jest i bez opieki, Ano wiedzieć by mu nie zawadziło, iż choćby się za nią Sapiehowie nie ujęli, to jest stary Bajbuza, który nie da jej krzywdy uczynić. Waszmość mu to powiedz - dodał rotmistrz. - Ja go nierad przy niej widzę, bo wiem, że się nie myśli żenić, A ją sobie lekceważy... - Nie dokończył Bajbuza.

Kaliński nie miał nic pilniejszego nad przestrzeżenie Kostki; wojewodzie zaś, choć białe ręce miał i na gaszka wyglądał, tchórzem nie był. Nie podobała mu się przestroga.

- Słuchaj, Kaliński - rzekł - powiedz swemu Bajbuzie, że ja już bakałarza z dawna pozbyłem i nie potrzebuję go. Zalecam się, gdzie mi się podoba, A gdy mnie kto o rachunek pyta, ja go też mogę zagadnąć, jakim prawem? Rotmistrz wdowie Ani brat, Ani swat, może by rad sam się zalecać, A twarzy nie ma gładkiej jak ja!

I śmiał się Kostka, A że jako syn pana wojewody miał się za coś lepszego od rotmistrza, którego i nazwisko mu brzmiało niesmaczno, więc następnego dnia, gdy Bajbuza przybył, umyślnie jeszcze natarczywiej się począł około wdowy uwijać. Księżnie musiało to być nie w smak przy rotmistrzu, niedługo więc powiedziawszy, odeszła, zostawując tych ichmościów samych przy winie i przekąskach. Kostka na dobitkę uwiązał się do rotmistrza z drwinami, na co on z początku nie zważał, Ale w końcu coraz ostrzejsze słówka polatywać zaczęły.

- A waszmość - spytał Bajbuza pana Kostkę - z kim trzymasz?

- Jak to, z kim?! - podchwycił oburzony młodzian. - Widzisz mnie waszmość przy królowej, jawna rzecz, że do warchołów się nie liczę.

Rotmistrz głową potrząsnął.

- Toć by to teraz lepiej do nas, do obozu, na Wolę, pod hetmańskie rozkazy - rzekł - niż tu, na zamku siedząc, z dala patrzeć, jak się tam wszystko gotuje i wre. Nawet pan Herburt neutralistów nie chwali.

- Jać wiem i sam, co mam czynić, A rad nie potrzebuję - dumnie odparł Kostka.



- Nie są to rady - rzekł rotmistrz. - Czyn waszmość, co mu się podoba; jam się tylko oświadczyć chciał, co mam o kim trzymać.

Cała twarz młodzikowi spłonęła.

- Mości rotmistrzu - zawołał - szukacie zaczepki! Trzymajcie o mnie, co chcecie, Ale to wiedzcie, że ja płochliwy nie jestem. Zechcecie się spróbować, nie pierzchnę z placu.

Z wielką powagą powstrzymał go Bajbuza.

- Nie tak gorąco - rzekł. - Ja nikogo wyzywać nie zwykłem nigdy, A dziś tym bardziej, gdy Rzeczpospolita się krwi naszej domaga i nie godzi się nią szafować lekkomyślnie. Nie mam też powodu pana wojewodzica o nic sekować, tylko dodam jedno: jestem z dawna przyjacielem księżnej; widzę was co dzień przy niej. Jeżeli naprawdę myślicie się swatać, jej rzecz was przyjąć lub odprawić, A na ludzką obmowę ją narażać... ja, jako przyjaciel, nie dopuszczę.

Kostka stał zdumiony.

- Naukę mi waszmość dajesz?

- Przestrozę.

- Jakim prawem?

- Innego nie mam nad to, że gdy widzę, jak kogo napadnie człek zuchwały, bronię.

Wojewodzic po karabeli uderzył.

- Na zamku jesteśmy - rzekł cicho Bajbuza - więc tu się za oręż brać nie przystało i kara za to główna. Zechcecie mnie gdzie indziej szukać, nie uciekam.

To powiedziawszy, za czapkę wziął rotmistrz, pożegnał się i wyszedł.

Kostka nierychło przyszedł do siebie. Rwał się biec za Bajbuza, Aby go wyzwać na rękę i ledwie go Kaliński powstrzymał.

Rotmistrza z daleka tylko znając wojewodzic go sobie szlachetką wyobrażał bez znaczenia, bez majątku i przyjaciół. Dopiero go teraz objaśniono, że stu kopijników na swym żołdzie i przez siebie wystawionych Zamoyskiemu przywiódł, że dwadzieścia tysięcy złotych królowej pożyczył, A choć się tym nie chlubił, możliwym panem był, urodzonym z kniaziówniej, spokrewnionym z wieloma domami znacznymi na Litwie i Rusi. Opowiadano mu też, iż męźniejszego żołnierza, A szlachetniejszego człowieka trudno znaleźć było i wszyscy go szanowali.

Ostygl nieco Kostka, dowiedziawszy się o tym, Ale przynajmniej dostać mu chciał kroku, Aby nie odstępować księżnej. I trudno mu ją było porzucić, bo choć wiele kobiet wówczas szalało za pięknym Kostką, A młoda panna Dulcka, Zamoyskiemu pokrewna, była mu przez rodzinę rajoną, wojewodzic się szalenie w pięknej wdowie rozmiłował. A nie tyle może urok jej wdzięków go pociągał, co umysł, dowcip, jakieś czarodziejstwo, którym ona wszystkich ujmowała.

Z dziewczkami jak Dulaska więcej na oczy niż na słowa mógł Kostka zaloty odbywać; z księżną swobodniejszą zabawiał się godzinami, zapominał, odejść od niej nie mógł, odszedłszy tęsknił i czuł, że bez niej szczęśliwym być nie może. Gotów więc był nawet naprawdę starać się o jej rękę, Ale rodzina jego z ubogą, z wdową, niezbyt też majątnemu nie mogła dozwolić ożenienia. Tymczasem więc Kostka, nie patrząc głęboko w przyszłość, pozostał na swym czasowym stanowisku.

Nazajutrz gdy znowu przyjechał Bajbuza, Aby królowej oznajmić, iż hetman się rychłego końca kazał spodziewać, zastał Kostkę przy księżnie. Nie rzekł nic.

Przy wieczerzy na zamku jednak, już się do niego nie zwracając, z księżną zagadnął:

- Kostkę tu widuję co dzień. Miałżeby szczęście podobać się Waszej Książęcej Mości?

- Mnie? Wojewodzie?! - uśmiechnęła się piękna pani. - A, nie! Ale ja miałam nieszczęście wpaść mu w oko, A że go niewiasty pono popsuly, bo się jego piękności nie mogą nachwalić, zda mu się, że kędy się zwrócić raczy, zwycięży. Nie mam nic przeciwko niemu - dodała - Ale mi jest tak obojętnym, jak Szczypior!

Bajbuza węża pokręcił.

- A dlaczegoż, księżna, mu nie dasz poznać, że tu próżno czas marnuje? Rodzina mu, jak mi mówiono, Dulską dawno przeznaczyła, odprawcie go do niej.

Księżna Teresa popatrzyła na swego opiekuna.

- Dziękuję wam za życzliwą i dobrą radę - rzekła. - Nie mogę go się zbyć, dopóki nie da mi do tego zrzeczności. Bądźcie spokojni. Dulskiej go ja nie odbiorę. Dla mnie i za młody, i za piękny.

Tak tedy wszystko w zawieszeniu zostało, A Bajbuza przyjeżdżał, dopóki mógł, do zamku. Teraz jednak często od obozu odstąpić i ludzi samych pozostawić było mu trudno. Zamoyski go też potrzebował. Nowy zwrot rakuscy kandydaci, Arcyksiążęta Ferdynand i Maksymilian, w sprawie swej uznali koniecznym. Doniesiono im, że Górkę i Czarnkowskiego ze Zborowskimi wszyscy odstępowali, że na nich rachować nie było można. Próbowali więc, wprost już do Zamoyskiego się udając, pozyskać go sobie. Nie było nocy, Ażeby jaki tajemny poseł, Stanisław Ciołek, z listami do hetmana się nie zjawił. \* Starania te i za późne były, i rozbiły się o rachubę Zamoyskiego, że młody król, zaledwie dwudziestoletni, bez doświadczenia, jemu tron będąc winien, da mu się też powodować. Obietnice Arcyksiążąt, jakkolwiek daleko bardzo sięgające, nie mogły się z tym równoważyć, co hetman dla siebie i dla kraju uważał za najlepsze. Oprócz tego sam prymas znudzony, zniechęcony przez Górkę, który mu narzucał swoje wymagania dla dysydentów, oświadczył Zamoyskiemu wprost, iż w izbie, publicznie, głośno, gotów jest głosować za Zygmuntem. W ten sposób zwycięstwo prawie już zapewnionym było.

Sens zdania niejasny wskutek zniekształcenia, prawdopodobnie przez drukarza i niedbałą korektę pierwodruku.

Niespodzianie jak piorunem rażeni zostali Rakuszanie i stronnictwo Zborowskich, gdy stary Karnkowski, którego od niejakiego czasu ostyglejszym dla siebie widzieli, wprost się za Zygmuntem oświadczył. Nieopisany tumult powstał w szopie. Podniesionym głosem gdy prymas wywołał to imię, powstał Andrzej Zborowski:

- Cóż to? Nie pytając o głosy nikogo, prymas nam już króla narzuca?

- Nie narzucam go - odparł Karnkowski - Ale mój głos za nim daję.

- Kogóż myślicie okrzyknąć? - podchwycił Zborowski.

- Tego, kogo większość wybierze - rzekł Karnkowski. - Co do mnie, ja Niemca mieć nie chcę i nie życzę.

- Niemca?! - krzyknął Górka. - Albo Szwed nie tyle wart, co Niemiec?

- Matka jego Jagiellonka, ze krwi królów naszych - dodał starzec - A co Szwed, to nie Niemiec.

Krzyki, mowy urywane, uszczypliwe, szyderskie zapełniły szopę. Karnkowski milczał. Tymczasem Górka i Czarnkowski czy przygotowani za wcześniej, czy natychmiast dawszy znak do swojego wojska, kazali mu ku szopie wyruszyć i gdy się tu spierano, ujrzeli senatorowie nadciągające zaciężne pułki, A na czele ich kilka dział, które puszkarze Niemcy wprost na szopę wykierowali. Spodziewano się nieochybnego starcia, do którego musieli być Rakuszanie przygotowani, bo nuncjusz, jak powiadano, kazawszy się zaprowadzić na wieżę kościoła, św. Jana, z niej miał walce się przypatrywać, która w znacznej części jego była sprawą.

W mgnieniu oka szopa się zaczęła opróżniać; wyprowadzono prymasa do kolebki, inni konie dosiadać zaczęli, wybiegali pieszo. Zamieszanie wszczęło się gwałtowne, w którym jednak spokojny i na wszystko przygotowany, A świadom planów Rakuszan Zamoyski, nie dał się uprzedzić. Na dany spod szopy przez Dulskiego znak oddziały hetmana, A z nimi i kopijnicy Bajbuzy niemal pierwsi z okopów wyciągać zaczęli. Z drugiej strony księżęta Ostrogscy wyprowadzali swój lud w pole; szedł marszałek Opaliński, ukazał się wojewoda sandomirski, Szafraniec. Górka i Czarnkowscy spostrzegli, że na nieświadomych nie wpadli i że tu gotowość była, choćby do walki. Strzymali się trochę, gdy prymas Karnkowski, widząc już przeciwko sobie stojące pułki, z kolebki na konia się kazał wsadzić i stanął pomiędzy dwoma szykami. W jedną i drugą stronę wysłał od siebie zaklinając, Aby do bratniej krwi rozlewu nie doprowadzono. Mowa Karnkowskiego, A więcej jeszcze postępek uczyniły takie wrażenie na szlachcie, która Górcę towarzyszyła, że się naprzód usuwać zaczęła. Jak tylko z jednej strony ujrzano cofających się do

obożu, Zamoyski swoim też wnieść za wał nakazał. Bajbuza ze swymi kopijnikami, który się wyprosił na pierwszy ogień i starcie, z zalem odciągnąć też musiał.

Znowu tedy rodzaj rozejmu nastąpił, z którego korzystano, Aby wszelkimi środkami hetmana na stronę rakuską przeciągnąć. Gotowi byli nawet Zborowscy niewielkim kosztem za Samuela się dać przebłagać.

Co się pod te dni działo w namiocie hetmana od świtu do nocy, A raczej od jednego poranku do drugiego, bo i noc od narad i poselstw wolną nie była, opisać trudno. Bajbuza też rad temu, że czynniej i żywiej się krzątano około zakończenia elekcji, we zbroi i nie rozbierając się trawiłnoce całe, gotów na posługi.

Królowej tymczasem dano znać, iż hetmana ujęli rakuszanie; strach padł na nią. Nadbiegł Kaliński po języka, którego rotmistrz zapewnił, że wszystko, co rozsiewano, fałszem było.

Wszystko by się było rychlej i pomyślniej może skończyło, gdyby z jednej strony zdrada i odstąpienie Spytka Jordana, \* z drugiej wieść o ukazaniu się banity Krzysztofa Zamoyskiemu nie pomieślały szyków. Spytak Jordan stał dotąd przy hetmanie, chociaż blisko związany ze Zborowskimi powinowactwem, bo nawet na Spytków zamku i w ich grobach ciało Samuela pogrzebiono. Marszałek Andrzej Zborowski potrafił go w ostatniej chwili ująć, ubłagać i Spytak opuścił hetmana, A tym znaczne siły mu odjął.

Spytek Jordan - postać historyczna, jak i historyczne jest jego wystąpienie przeciw Zamoyskiemu.

W tej samej chwili, korzystając z wahania się, jakie odstępstwo wywołało, wywołaniec Krzysztof w kilkaset koni, wbrew banicji, urągając się prawu, wjechał do Warszawy i publicznie się począł ukazywać. Było to urągowaniem i wyzywaniem hetmana.

Rotmistrz nasz, A oprócz niego i znaczna część sił Zamoyskiego, musieli strzec osoby jego, bo zuchwały podczaszy nie tylko się odgrażał, Ale po ulicach i po drogach napadał.

Zamoyski w pierwszej chwili zdradą Spytka i zjawieniem się Krzysztofa Zborowskiego był jakby porażonym. Żółkiewski i Dulski jednak nie potrzebowali długiego czasu, Aby go przekonać, iż sprawa przez to nie została przegrana. Sam on odzyskał natychmiast męstwo swe i krew zimną.

Dla rotmistrza chwila to była godowa. Jemu powierzono świeżo przybyłych A zuchwałych ludzi podczaszego trzymać na wodzy i poskramiać. Bajbuza był w swym żywiole i przybrawszy sobie Szczypiora, jednego Węgra, który mu się nastęrczył, i brata zabitego Wąsowicza, mającego do pomszczenia nieboszczyka, nie schodził prawie ze straży obożu i gościńców, od miasta do niego prowadzących. Ilu tam zborowszczyków postrzelali, ilu w mieście po gospodach natłukli, zasadzając się na nich, nie liczyli. Wszystko to jednak nie na wiele się przydało.

Z przybyciem Krzysztofa, który nie zmęczony jeszcze był, przebiegły, chytry, A jako banita musiał się najgorliwiej starać, Aby Zamoyskiego zgłębić, zaczęło iść widocznie gorzej coraz. Już cofnięcie się Spytka dawało do myślenia, że za nim drudzy mogli pójść. Nie wiedziano dobrze, co się u Górki i Zborowskich działo, bo choć głośno wykrzykiwano, ważniejsze zamysły tajemnica okrywała. Potrzeba było koniecznie mieć kogoś w obozie rakuszan.

Ponieważ najczynniej, A najskromniej służył im Bajbuza, zwrócił się do niego Żółkiewski, czyby nie znalazł człowieka, co by się szpiegowania podjął.

- Panie wojewodo - odparł rotmistrz - takich co szyję dadzą, postawię wam dosyć, Ale zdrajców ja Ani żywię, Ani cierpię, choć by dla mnie zdradzać chcieli.

Żółkiewski zamilkł, lecz tegoż wieczora zgłosił się szlachetka, który brata miał pisarzem u Czarnkowskiego ślepego i ofiarował tropić i donosić. Mogli więc na przyszłość rachować, iż o obrotach Zborowskich wiedzieć będą.

Tymczasem jednak okazywało się, iż jakkolwiek zacięci przeciw hetmanowi, szczerze czy nieszczerze Zborowscy ofiarowali mu zgodę, na jakich chce warunkach, byle razem z nimi Maksymiliana królem dał okrzyknąć.

Położenie było tak krytyczne, że hetman zrazu nie odpowiadał nawet i niemal gotów był już na Rakuszanina się zgodzić. Przyczyną tego, że na utrzymanie wojska, na przedłużoną walkę brakło pieniędzy. Hetman się do ostatniego grosza wycieńczył. Zborowskim z Wrocławia przychodziły ciągle zasiłki, tu ze Szwecji nie dawano nic, A królowa też przestała łożyć. Dla mizernego grosza dać się zmóc, było Zamoyskiego strapieniem wielkim, lecz ostatnie środki wyczerpał.

Królowa oczekiwała szczęśliwego już końca, gdy ranka jednego hetman, rzadko się pokazujący na zamku, o posłuchanie jej poprosił. Wyszła naprzeciwko niemu niespokojna Anna, poczynając od przywitania, że w nim jedyną ma nadzieję.

- A, Miłościwa Pani - zawołał hetman - A ja już tylko w Bogu mam jedyną, że nas chyba cudem uratuje! Zborowscy popierani przez cesarza wojsko mają liczne, my też musimy je przeciw nim utrzymywać. Koszt wielki, A końca nie widać. Przychodzę do Waszej Królewskiej Mości radzić się i prosić, co poczniemy. Jam już bez grosza i nie mam go skąd dostać.

Przerażona staruszka złożyła ręce.

- Wszystko, com miała, oddałam - zawołała - posłowie szwedzcy nie przywieźli nic, A u Gdańszczan na próżno o pożyczkę prosili. Gdybym chciała dać więcej, nie mogę, bo nie mam.

Hetman westchnął ciężko. Opisał królowej położenie swe, żalił się, dodał w końcu, iż go kuszono takimi warunkami, tyle obiecywano dla kraju, że wobec nadzwyczajnych trudności, nie wiedzieć było, co poczynąć.

Rozpłakała się Anna i te łzy jakoś Zamoyskiego poruszyły. Zamilkł. Naradzano się jeszcze nad środkami, uchwalono słać do Gdańszczyzn, do księcia pruskiego, do Szwecji. Z tym Zamoyski późno w noc w towarzystwie swoich wiernych do obozu powrócił i w swym namiocie się zamknął dla rozważenia, co mógł i musiał uczynić, Aby wyjść bez sromu. Zborowscy naglili o pojednanie, byle szedł z nimi, Ale możnaż im wiarę dać było?

Północ już nadchodziła, gdy około namiotu ruch się wziął jakiś i hetman, kogoś ze swych przewidujący, powstał. Jakież było jego zdziwienie, gdy w podniesionej zasłonie wnijsia ujrzał sędziwego Karnkowskiego. Arcybiskup stary był, chory, znużony, A mieszkał w klasztorze Bernardynów na mieście, przybycie więc jego ważnymi musiało być spowodowane pobudkami. Ale starzec sięść musiał i zmęczenie swe wydychać, nim począł:

- Przychodzę po to - rzekł - Aby wam oświadczyć, żem gotów ogłosić królem Zygmunta. Na co czekamy? Czego się ociągać? Okrzyknijmy go... kość będzie rzucona, uprzedzimy Rakuszan... pierwszeństwo też ma swoją wagę. Z tym przybyłem i pozostanę tu... Nie zwlekajmy, niespodzianką ich weźmiemy. ślijcie do Opalińskiego, do Dulskiego, do wszystkich swoich, niech się natychmiast gotują.

Ranek dnia 1 sierpnia zastał cały obóz w ruchu. Litwini, tylko dotąd zupełnie na stronie trzymający się, nie dawali się ściągnąć Ani na jedną, Ani na drugą stronę, oprócz jednego Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Negocjując z nimi, czekano nadaremnie do południa.

Wtem Zborowscy i Górka z wojskiem się też poruszać zaczęli, A prymas strwożony natychmiast o przyspieszenie elekcji wołał i naglił. Wcale się nie spodziewali rakuszanie tego zuchwałego kroku sądząc, że i tym razem ruch się na niczym skończy, gdy po śpiesznym objechaniu rycerstwa nagle wzniosły się okrzyki:

- Niech żyje, niech nam panuje długo i szczęśliwie Zygmunt III!

Z jednej strony radosne to wołanie, z drugiej grom wrzasków i krzyków głuszył. Zborowscy jak wściekli biegli na radę do Górki.

## Rozdział VII

Odśpiewawszy "Te Deum" \* u świętego Jana wraz z całym dworem królowej i hetmana, rotmistrz nasz dnia tego po wielu nieprzespanych nocach i trudach z obozu się do dworku przy Długiej przeniósł, zabierając z sobą Szczypiora i Cezara Wąsowicza, A Węgra zostawiwszy przy kopijnikach w obozie. Wszyscy byli nadzwyczaj wesłej myśli, A rotmistrz posłał po wino i po jedzenie, chcąc wieczór spędzić, A bodaj noc na gawędce z przyjaciółmi. Posłał też zaraz na zamek po Kalińskiego, bo sam od kilku dni nie mogąc być u królowej, Ani o niej, Ani o księżnie nic nie wiedział. Tej zaś choć stale się wypierał, więcej go ona obchodziła, niż okazywał po sobie. Posłany wyrostek natychmiast Kalińskiego przyprowadził.

Te Deum ( laudamus) ( łac.) - Ciebie Boże ( chwalimy) - początek i nazwa kościelnego hymnu dziękczynnego, śpiewanego dawniej z okazji pomyślnych wydarzeń. ( przyp. red.).

- Nowego króla zdrowie pić będziemy - zawołał, ściskając go w progę i serdecznie witając, Bajbuza - nie chciałem tego uczynić bez ciebie. Rad bym też Pękosławskiego mieć, starostę sandomirskiego, co się spisał tak gracko, Ale tego nie wiem, czy wyszukam. Dzięki jemu uprzedziliśmy Zborowskich i rakuszan.

- A czymże się Pękosławski do tego przyczynił? - zapytał Kaliński. - O Bożym świecie nie wiem!

- Jawne to przecie - śmiał się rotmistrz. - Wiesz, że Arcybiskup, chwiejący się jak trzcina, chylił się to na jedną, to na drugą stronę, wiesz, że mieszkał w klasztorze u Bernardynów, Ale o tym nie wiesz może, iż gotowy mieli statek na Wiśle, Zborowscy i Górka, Aby go wykraść i kazać mu Maksymiliana okrzyknąć. Otóż Pękosławski, prawda że z rozkazu hetmana, Ale się dzielnie uwinął, klasztor obszedł A staruszka na wygodniejsze mieszkanie na zamek przeprowadził.

- O tym wiem, że mieszka od dni kilku na zamku, Alem słyszał, że królowa go zaprosiła, Aby tu lepszą wygodę miał.

Bajbuza ręką podrzucił.

- Dosyć, że Pękosławski nas uratował. Uprzedziliśmy cesarskich i teraz już chyba koniec.

Rotmistrz żwawo się na obcasie zakręcił podśpiewując, chwycił Kalińskiego za barki i krzyknął wesoło:

- No, A na zamku, na zamku! - Toż to jubileusz być musi!

- Bywa różnie - odparł Kaliński - królowa śmieje się, modli, Ale płacze; przewiduje, że na tym nie koniec jeszcze. A tu z tymi Szwedami jak z kamienia. Ile razy przyjdą listy, gryzie się i lamentuje, bo nic postąpić, nic dać, nic uczynić nie chcą, jakby nam łaskę wyświadczyli, że królewicza raczą na tron nasz posadzić! Na biedną królowę patrząc, Aż się serce rozdziera.

Skrzywił się Bajbuza.

- Wszystko się to ślicznie, pięknie załatwi - rzekł. - Król Jan, choćby Szwedem był, pomiarkuje w końcu, że nasza Rzeczpospolita coś jest warta. Szwedzkie bory, lasy, skały i jeziora srogie nie dostoją przy naszych żyznych łąkach i ługach. \* Chleba mamy i dla siebie i dla drugich podostatkiem, mięsa też, mamy oboje czym posolić i rycerskie ręce, co tych skarbów obronią. Mało królestw tym się pochwali. Na niczym nam nie zbywa oprócz ładu i spokoju, Ale warchołów wybijemy z pomocą Bożą. Król Jan, bodaj zdrów był, panuje, jak powiadają, nad chłopami tylko, A syn będzie mieć zaszczyt rycerstwu przodkować. Przecie się na tym w końcu poznają!

Ługi ( lub łęgi) ( st. pol.) - mokre łąki, pokryte zaroślami.

I przerywając nagle, dodał Bajbuza:

- A księżna pani, A imćpan wojewodzie Kostka, co robią?

Kaliński głową poruszył.

- Kostka, Kostka! - rzekł. - Rad bym, żeby wam całą kością w gardle nie stanął. Szaleje za księżną, A że ona go wyśmiewa po troszę, on to wszystko wam przypisuje i zaklina się, słyszę, iż na żywot wasz godzić gotów.

- Niech próbuje - odparł chłodno rotmistrz - Ale kto na cudzy godzi, ten swego nastawić musi. No, A księżna jejmość?

- Księżna? - mówił Kaliński, trochę się zzymając - księżna się śmieje z niego, to prawda, Ale... niewiasta zacna, stateczna, A zawsze niewieściego w niej coś jest.

- Cóżże to upatrzył? - zapytał Bajbuza.

- Nadto jest litościwą, A powolną, daje mu się w siebie wpatrywać i coraz szaleć mocniej - mówił dalej Kaliński. - Bawi się nim jak pieskiem lub papugą.

Jemu się tymczasem coraz bardziej w głowie zawraca.

- To jego sprawa! - mruknął Bajbuza. - Na zamku uroczyste nudy, niechże się gachem zabawi; A on głowy powinien pilnować, Aby mu się nie zawracała.

- No, A na Kostce nie dosyć - dodał Kaliński, który nie bardzo księżnę lubił - królowa prowadzi do niej drugiego pretendenta i temu ząbki wyszczerza.

- Któż to taki?

Szpakowaty już książę Olelkowicz z Litwy; "dicitur", \* że bogaty, Ale i niepowabny, i dzieci ma dorosłe.

Dicitur ( łac.) - mówią.

- Podobał się jej? - zapytał rotmistrz.

- Któż to spenetruje? śmieje się jemu, Kostce, wam, A co u niej w sercu, ona tylko wie. Powiada, że za mąż nie chce, do klasztoru też nie ma ochoty, więc co?

- A ty jej zabronisz na wdowim stołku siedzieć - zapytał Bajbuza - jeśli się jej spodobało?



Rozmowa byłaby się może przedłużyła, bo rotmistrz rad o księżnie słuchał i mówił, Ale na jasne okna dworku Bajbuzy coraz nowi goście napływali i drzwi się nie zamykały.

- Witaj! "vivat Sigismundus!"

- "Vivat! Vivat!"

- Jutro może - wtrącił przybywający Wnorowski, rotmistrz - Zborowscy tak samo okrzykną: "Vivat Maximilianus!" Bo gotują się, choćby we dwu senatorów z jednym biskupem elekcję drugą bez prymasa dokonać, A potem orężem sobie drogę do tronu gotować. Maksymilianowi do Krakowa bliżej niż Zygmuntowi, A gdy zamek opanuje, ukoronują go.

- Tylko to bieda - rozśmiał się rotmistrz - że do zamku Ani do Krakowa go nie puszcza. Zawczasu o tym myślano.

- Do zamku - wtrącił Wąsowicz - może być, Ale na mieście, gdzie Niemców siła cesarzowi przychylnych...

- A, nie wróżcież złego, do kata! - zawołał, bijąc w stół oburącz gospodarz. - Nalewać kubki i "Vivat Sigismundus!"

Znowu tedy okrzyknięto, Aż w ulicy słyhać było:

- "Vivat Sigismundus!"

I z ulicy strzał w tej chwili wpadł w okna, zabrzączała szyba, kula świsnęła około uszu rotmistrzowi. Rzucono się zaraz w pogoń za złoczyńcą, Ale Ani śladu go już nie było.

W chwilę potem wesołość powróciła.

- Macie dowód - rzekł Wąsowicz - że z nimi nie koniec. Gdyby o Zborowskich szło, dałoby się zagodzić, Ale tu cała rakuska siła przeciwko nam, A tej się lekceważyć nie godzi. Dodajcie k temu szalonego Górkę, wściekłego Czarnkowskiego, mściwych Zborowskich.

- Dodaj sobie, kogo chcesz, mój Wąsowiczu drogi - przerwał Bajbuza - my się ich wszystkich razem nie ulękniemy. Jeden hetman nasz stanie za wielu.

Zwróciła się rozmowa na wojenne sprawy, na uzbrojenie. Szczypior począł wywodzić, że Landsknechty niemieckie lepiej są zbrojne. I na to Bajbuza nie chciał pozwolić.

- Ja ci powiadam, że nasze zbroje, co je Włoch w Samsonowie wykonywa, nie ustąpią niemieckim. Mało co pośledniejsze są korczyńskie, A świątnickie, \* dla mieszczan przeznaczone krakowskich, im w samą miarę starczą. Niemcy nas nachodzą, myśmy u siebie w domu. Wątpię nawet, Aby się Maksymiliana obwoływać ważyli. Gdzie i kto?

Samsonów - wieś w powiecie kieleckim, gdzie nieco później od niniejszego opowiadania, bo w r. 1598, włoski przedsiębiorca Caccio założył piec hutniczy do wytapiania rudy żelaznej i wyrabiał różne rodzaje broni oraz zbroje. Korczyn nad Wisłą słynął wtedy z wyrobu prochu. Wieś świątniki w powiecie krakowskim, znana od dawna z wyrobów ślusarskich.

Tak rozprawiano, jedząc i zapijając ochoczo, A Bajbuza, jak sam ducha nie tracił, tak drugim go dodawał.

- Elekcja skończona - mówił - szopę mogą raz wtóry spalić, już nam nie jest potrzebna, szlachcie pilno do żniw, rozjedźcie się, my z oddziałami w pole, póki tu cesarskich najście grozi, musimy czujni być i na młodego pana czekać.

- Stąd tedy o młodym panu powieści różne - bąknął Wąsowicz - że oo. Jezuitów lubi bardzo.

- I Batory się nimi posługiwał - przerwał Bajbuza - nie szukajmy przedwcześnie w nim, co naganiać, chwalmy lepiej. U nas i tak Aż nadto zawsze czernidła i plotek.

Podniósł kubek.

- Należy też królowej jejmości "vivat" - dodał - bo gdyby nie ona, już by nam Rakuszanin na pewno na karkach siedział. O Zygmuncie nie pomyślałby nikt, on zaś sam, jak widać, Ani ojciec, o tron by się nie starali. Ostatnia kropla krwi jagiellońskiej w szwedzką by ziemię wsiąkła.

- To prawda - przerwał Kaliński - iż królowa trzeci raz już swojego Zygmunta forytując na tron, do ostatniej niemal łyżki zastawia... Chciała go mieć, gdy Henryka obierano, Ale dzieckiem był. Potem gdy Stefana podniesiono, i wówczas się nie posiadło, Aż nareście pociechę tę sobie u Boga uprosiła, ostatni grosz na to wyszafowawszy.

Od królowej przeszli na hetmana, bo rotmistrz jego zdrowie pił.

- Gdyby nie on, popadlibyśmy w ręce Zborowskich i rakuskich panów - odezwał się. - Co się tyczy cesarskich rządów, ja tam nie wiem, czy by one tak straszne dla nas być miały, jak drudzy powiadają, Ale srom się dostać Rzeczypospolitej w ręce Górków, Czarnkowskich i Zborowskich. Smutna rzecz wojna domowa, Ale my jej nie poczniemy.

- A uniknąć nie potrafimy - dorzucił Wąsowicz.

Dniało już, gdy ostatnie jeszcze zdrowie królewskie wypiwszy, rozchodzić się poczęli, A Bajbuza po wielu nocach bezsennych, gdy padł na posłanie, snem kamiennym zasnął.

W Warszawie i na zamku teraz hetman rozpoczął układy z posłami szwedzkimi o "pacta conventa," \* tymczasem na przedmieściach rozłożeni Zborowscy i cesarscy pod Tarczynem i Powsinem wojska rozmieścili, biesiadując A pijąc zabierali się do drugiej elekcji.

Pacta Conventa ( łac.) - umowa między każdym nowo wybranym królem A przedstawicielami szlachty, tycząca się specjalnych warunków, które król w czasie panowania miał spełnić.

Każdy ich ruch i czynność hetmanowi były wiadome; często nawet bardzo tak upojone żołdactwo, schodzili ludzie Zamoyskiego, że mu wielką klęskę zadać mogli, Ale rozpoczynać

pierwszy wojny hetman nie chciał. Niemal trzy tygodnie już upłynęło od wyboru Zygmunta, gdy na zamku dowiedziała się królowa, iż wieczorem, około dziewiątej na półzegarzu, Woroniecki, biskup-nominat kijowski Maksymiliana królem okrzyknął i w kościele "Te Deum" cicho odśpiewano. Garstka tych, co go mianowali, tak była szczupłą, iż elekcja śmieszną się wydawała; lecz nie szło Ani o jej prawomocność, Ani o zachowanie form wymaganych, Ale o pozór tylko, który by Maksymilianowi z wojskiem wtargnąć dozwalał.

Królowa Anna strwożyła się i zapłakała znowu. Hetman milczał, Ale niezmiernie był czynnym. Dwa obozy przeciwne ocierały się w Warszawie o siebie. Już i naszemu rotmistrzowi dłużej tu pozostać nie było można. Zamoyski ciągnął go z sobą do Krakowa, którego bronić musiano od przewidzianego najścia wojsk cesarskich.

Ponieważ nade dniem wyciągać musieli, Bajbuza wieczorem poszedł żegnać królowę. Tak mówił, w istocie jednak oprócz niej księżnę widzieć chciał, której w ostatnich czasach nie mógł nawiedzić. Kaliński tylko mu donosił o niej i ukłony A pozdrowienia przywoził. Chociaż wojna taka, gdzie się brat z bratem mógł spotkać, nikomu się Nie uśmiechała, A najmniej Bajbuzie, rad był, że w pole się wyrwie. Życie to na pół w mieście, pół pod namiotem, wśród niepokoju ciągłego i wzajemnych zasadzek, dokuczyło mu wręcz. Strzelanie zza węgłów oburzało. Z wesołą twarzą stawiał się na zamku, gdzie znalazł zwykle towarzystwo królowej jej podżyłe panie przyjaciółki, osiwały dwór, doktorów i urzędników. Wśród tych głów szronem okrytych jak kwiatek wiosenny błyszcząła księżna Teresa i ku niej też chciwie się oczy wszystkich zwracały. Zobaczywszy rotmistrza, sama pierwsza zbliżyła się do niego.

- Kaliński mi powiada, że opuszczacie Warszawę - rzekła. - Sądziłam, że pozostaniesz, rotmistrzu, jako straż przy królowej.

- A, nie! Hetman mnie ciągnie z sobą! Iść muszę - rzekł Bajbuza - dłonie świerzbiją, Aby tych zuchwalców skarcić, którzy już wszelką miarę przebrali. A wy, księżno?

- Ja? - odparła wdowa oczy spuszczać. - Czasu wojny na wsi, chociażby nawet w naszym cichym kącie nad Styrem, siedzieć jednej kobiecie trudno. Królowa mnie chce mieć przy sobie. Nie mam też nic lepszego do czynienia.

- No - przerwał śmiejąc się Bajbuza - i weselej wam tu, bo na pretendencjach, jak słyszę, nie zbywa.

Spojrzała mu w oczy piękna wdowa.

- Trudno mi zabronić zbliżać się do siebie - rzekła - Ale ja o żadnych nie myślę, bądźcie pewni.

- Nie widziałbym też w tym nic dziwnego Ani zdrożnego, gdybyście myśleli, odezwał się Bajbuza.

- Wiecie - przerwała mu księżna - żem tego świętego stanu małżeńskiego zakosztowała. Nie zostawił mi on po sobie wspomnień, które by do ponowienia ślubów zachęcały. Dlatego wdową chcę pozostać.

- A cóż pocznie piękny Kostka? - zapytał Bajbuza.

- Nie wiem, ożenią go z Dulską zapewne - dodała księżna.

- A kniaź Olelkowicz? - szepnął rotmistrz.

Zarumieniła się zapytana.

- I o tym wiecie? - wtrąciła. - Ale ten by mi mógł być ojcem.

- Właśnie dlatego mężem by sobie życzył zostać, Aby przy was odmłodził! - śmiał się Bajbuza. - Nie chcecie i jego?

Księżna tylko ruszeniem ramion odpowiedziała.

- Słyszałem i o jakimś Spytku \* - dorzucił Bajbuza.

Kolejny konkurent do ręki księżny Teresy nie jest identyczny ze Spytkiem Jordanem, postacią historyczną ( patrz przypis 9). Wspomnianego tu drugiego konkurenta starego kniazia Olelkowicza, trudno też identyfikować z którymś z żyjących wtedy Olelkowiczów.

Nastąpiło milczenie.

- Wszystko więc wam donoszą - odezwała się po chwili.

- Bo wiedzą, że mnie to żywo obchodzi, co księżnie szczęście lub... frasunek przynieść może - rzekł Bajbuza.

Westchnął nieznacznie, lecz jakby się uląkł tej oznaki uczucia, począł zaraz żartować sobie z Kostki i jego odgrózek.

- Ten mnie gotów zgładzić - rzekł - bo posądza, iż ja mu u was sprawę psuję. To pewna, że naprawiać jej nie myślę, bo młokos mi się śmieszna wydaje lalką, zakochaną w sobie. O Olelkowiczu to tylko wiem, że stary, bogaty i że dzieci by nierade były drugiemu małżeństwu, więc przeszkadzać będą, A później by nieprzyjaciółmi się stały. Na ostatek Spyttek - mówił powoli Bajbuza - wielkiej rodziny, A miernego mienia, niezbyt młody, w życiu być ma trudnym i popędliwym.

- Ale ja, wiercie mi, o żadnym z nich nie myślałam i nie myślę - żywo wtrąciła księżna. - Dajcież mi pokój z ożenieniem. Raczej bym rada was wyswatać.

Bajbuza spojrział na nią zdziwiony.

- Mnie? Mnie?

- Dlaczegoż by nie?

- Bo ja rychlej na mnicha niż do stadła stworzony jestem - mówił Bajbuza. - Przeżyłem lat tyle samowolnym panem, iżbym może inaczej żyć już nie umiał. Oprócz tego dla kraju nic dotąd

nie uczyniłem, A wiele bym zrobić pragnął. Na ostatek tak się przypóźniłem przez nieudolność moją, że siwieć poczynam. Nim się wysłużę Rzeczypospolitej, klamka zapadnie.

Mówił to ze smutkiem jakimś głębokim, chociaż starał się wesołym okazać. A że wdowa mu nic już odpowiedzieć nie umiała, zwróciła się rozmowa na przyszłego króla. Ponieważ rotmistrz ciekawym był, poszła księżna do królowej wyprosić na chwilę wizerunku Zygmunta, który ona przy sobie nosiła. Bajbuza ciekawie się w niego wpatrzył. Wyobrażał on przystojnego dosyć, poważnego wyrazu twarzy młodzieńca, Ale malarz nadał mu i dumy, i jakiejś zaciętości tyle, iż fizjognomia nie pociągała ku sobie. Było w niej coś zamkniętego, tajemniczego, A przy młodości odbijającego przedwczesnym ostygnięciem.

Oddając wizerunek, rotmistrz nie rzekł Ani słowa.

- Podoba się wam? - zapytała go Księżna.

- Z malowanego o żywym sądzić trudno - szepnął Bajbuza - czymś obcym i cudzoziemskim mnie odstręcza. Wiem, że pięć, czy sześć języków umie, że między tymi i polski być ma, którym do matki pierwsze w życiu wymówił wyrazy, Ale czy on ten język i nas kochać będzie?

- Królowa za niego ręczy - pośpieszyła księżna.

- Daj Boże! - zamknął rotmistrz. A że godzina późną była, A do dnia ku Krakowu miał ciągnąć, począł się więc zegnać.

- Do widzenia w Krakowie - odezwała się z pewnym wzruszeniem piękna pani - i niech was Bóg szczęśliwie prowadzi.

Smutnym, smutniejszym niż na zamek wszedł, powrócił Bajbuza, którego przeprowadzał Kaliński.

We dworku już nagie tylko ściany i ławy zastali. Konie były osiodłane, Szczypior piwem grzanym na drogę się krzepił. Węgier, który przy szklance wina siedział, odezwał się do wchodzącego rotmistrza, iż wedle wszelkiego podobieństwa na tej drodze ku Krakowu, którą ciągnąć miał i hetman, i oni, oddziały Górki spotkają.

- Ale hetman powiada - dodał - iż tak zawsze nad ranem po spędzonej u beczek nocy, głębokim snem spoczywają, że będziemy mogli bezpiecznie ich pominąć i nikt się nie przebudzi.

- A toćby pora właśnie napaść i wybić to paskudztwo! - krzyknął Bajbuza.

- Uchowaj Boże! - zawołał Węgier. - Rozkaz jest najwyraźniejszy pana hetmana, Abyśmy pierwsi nie rozpoczynali i nie porywali się. Jeżeli śpią, mamy ich pominąć.

Rotmistrz wargi zakąsił.

- Taki jest rozkaz hetmana? - zapytał.

- Sam to z ust jego słyszałem - odparł Węgier.

- A więc spełnimy, co nakazano - zamknął rotmistrz. - Na koń!

- Na koń! Na koń! - powtórzono na podwórku.

Dzień się robić zaczynał, gdy oddział poruszył się w porządku i milczeniu z rotmistrzem i Szczypiosem na przedzie. Miasto spało jeszcze oprócz tych, których wyciągające oddziały hetmana pobudziły. Sierpniowy poranek duszny był, chmurny i zdawał się zapowiadać burzę. Pominęli już ostatnie dworki i chatki za miastem w ogródkach rozsiane i wyjeżdżali w pole, gdy w lewo, tuż ponad gościńcem, ukazał się obóz Górki i Zborowskich. Połamane wozy, porozbijane beczki, kilka zdechłych koni, rozsypane kawały drzewa, pokruszone kopie, wszelkiego rodzaju śmiecie naprzód znaleźli nad drogą. Ale tuż... o dziwo, na ziemi rozciągnięte leżały, we śnie najgłębszym pograżone straże obozowe!

Rotmistrzowi to niedbalstwo tak się wydało dziwnym i nieprawdopodobnym, że oczom prawie nie wierzył własnym. Staął.

- A toćby ich tu w tym śnie i wyrzezać, i powiązać, i zbić można na miazgę, nimby się opamiętali i za oręż pochwycili!

Rusznice w istocie stały o wał poopierane, broń z dala była rozłożona. Bajbuza drżał.

- Hetman ich pominąć kazał, nie zaczepiając - rzekł Szczypior, który po twarzy rotmistrza poznał, jak niezmierną miał ochotę wpaść na tych ciurów.

- Spełnimy rozkaz hetmana - odezwał się stłumionym głosem Bajbuza - Ale na miłość Bożą, niech ja się choć zabawię!

Skinął na Węgry i wskazał mu na uśpione straże.

- Kardoszu mój - szepnął - nic im nie czyni, Ale to są żołnierze, myśmy też nimi. Straż śpiąca to wstyd dla wszelakiego rycerstwa. Macie przy siodłach postronki. Każdemu z nich, zatknąwszy głowę, po pięćdziesiąt...

Węgier się uśmiechnął, Bajbuza, nie czekając spełnienia rozkazu, natychmiast jechał dalej. Odwróciwszy się tylko, on i Szczypior mieli przyjemność widzieć, że polecenie rotmistrza spełnione zostało ( historyczne - objaśnienie Autorskie). W milczeniu, bo im nie dano ust nawet otworzyć, A spali jak zabici, czeladź wojskowa przykładowie ich chłostała. Oćwiczeni, wyrwawszy się z rąk, uciekali do śpiącego obozu, Ale wstyd im krzyżeć nie dawał.

Gdy pominięto straże i czaty, i okop, które niedbale usypany opasywał obozowisko, na znak Szczypiora uderzono w kotły i bębny, zagrały trąby i surmy, A kopijnicy, których szkarłatne z białym proporce długie wiatr szeleszcząc unosił, rażno kłusowali ku Krakowu.

Kto o tej chłości haniebnej zawiózł do Warszawy wiadomość nie było wiadomym, Ale dnia tego śmiano się ze straży oćwiczonej na zamku, szadzono z niej na ulicach, A Górka, któremu usłużny jakiś komornik doniósł o tym, wpadł w niewysłowioną wściekłość. To pewna, że nie tyle

by go bolało może, gdyby mu straż wyrżnięto w pień. Pogarda, z jaką sobie postąpił Zamoyski, (bo to na jego naturalnie rachunek wciągnięto), była nieznośniejszą nad wszystko.

Po tej bolesnej nauce oddziały też Zborowskich, Górki, Czarnkowskiego, Jazłowieckiego ruszyły się, gdyż rakuszanie chcieli ubiec Kraków, spodziewając się co chwila przybycia Maksymiliana.

Ale temu właśnie zapobiegł Zamoyski. Zamek i miasto były obwarowane, strzeżone, zawarte. Pozostawały przedmieścia tylko, szczególnie Garbarze Niemcami osiedlone, gdzie Zborowscy, rakuscy stronnicy, wcześniej zawiązali stosunki. Tu starczył dla mieszczan urok imienia cesarskiego, Aby ich pociągnąć. Zdawało się im niepodobieństwem, Ażeby potężnemu panu Zamoyski sam z garstką zaciężnych mógł podolać. Niemcy tutejsi obietnicami wielkimi złudzeni, gotowi byli wpuścić pomiędzy siebie żołnierzy. Obsadzenie przedmieścia mogło dać w ręce rakuszanom miasto same, A to posiadłszy i o oblężenie zamku mogli się kusić. Wszystko to knowało się w tajemnicy i milczeniu, Ale hetman miał swych ludzi wszędzie i języka dostał zawczasu.

Zmuszeni zdobycie Krakowa odroczyć do zebrania sił znaczniejszych, A potrzebując mieć jakiś punkt oparcia, gdzie by nadciągającego Maksymiliana przyjąć mogli, Górka ze Zborowskimi pośpieszyli ku Wiślicy, która jako miejsce przyszłego zjazdu szlachty wyznaczona została. Zajęcie jej w istocie było opanowaniem stanowiska ważnego. Miasto, pomimo murów i bagien je otaczających, pozbawione załogi, ubieżone zostało dość szczęśliwie przez Krzysztofa. Zarazem Andrzej oburzającym gwałtem pierwszy krok swój czynny oznaczył. Dowiedziawszy się o pobycie sandomirskiego kasztelana Stanisława Tarnowskiego we dworze starościńskim w Stopnicy (o którą się dobijał z nim razem u Stefana), nocą wpadł na domostwo, zajęte przez niego i rodzinę. Zabito kilku dworzan, uwięziono jego, żonę i dzieci, zabrano pieniądze i kosztowności, i Tarnowskiego w pętach odesłano do Wiślicy. Gwałt ten z pewnością nie poprawił sprawy Zborowskich, którzy się nim okazali wierni swemu charakterowi. Czyniło go wstrętniejszym jeszcze bezkrólewie, w czasie którego bezpieczeństwo publiczne obwarowane było najsurowszymi przepisami.

Wymuszono na Tarnowskim za przywróconą swobodę wyrzeczenie się starostwa, zabranych pieniędzy, uczynionych szkód i krzywdy wyrządzonej.

Wiślicę zajętą Zamoyski natychmiast musiał odzyskać i pociągnął z największym pośpiechem, z całą swą siłą. Łączył się z nim Tęczyński. Zborowscy nie spodziewali się, nie mogli przewidywać tak nadzwyczaj prędkiego przybycia, rachowali też na to, że obrona Krakowa wstrzyma hetmana. Zamknięci w mieście Zborowscy gotowali się do obrony rozpaczliwej, Ale nie myśląc o zdobywaniu warowni, hetmanowi starczyło zawarcie ich w niej i uczynienie

bezwładnymi. Po spędzeniu dział z wysepki, z której oblegających rażono, Zborowscy musieli nieruchomie pozostać w murach.

Nie tracąc chwili, zjazd zwołany do Wiślicy postanowił hetman odbyć pod Wiślicą, w oczach niemal Zborowskich, którzy Ani mu przeszkodzić, Ani w nim udziału brać nie mogli. Stąd wysłano, nie po raz już pierwszy, posłów do Arcyksięcia, którzy mu uchwały obrad i nieprawość jego wyboru mieli okazać żądając, Aby w granice Polski nie wkraczał.

Zygmunt już stanął podówczas w Gdańsku. Po odbytych naradach opuszczono Wiślicę, nie myśląc jej oblegać. Poczęły się harce, zabiegi, podstępne zmywy, Aby to Kraków ubiec dla Maksymiliana, to z drugiej strony obronić się, zaskoczyć, nieprzyjaciela onieśmielić.

Bajbuza ze swymi kopijnikami, choć ich niewielu miał, Ale że na nich rachować było można, ciągle przy hetmanie się trzymał. Jako żołnierzowi to życie czynne, całe na czatach lub w potyczkach, nie dające spocząć, Ale trzymające człowieka w ciągłej gorączce oczekiwania, było mu pożądanym i miłym, lecz w nim nie jeden tylko był żołnierz. Dawał się rycerskiemu duchowi unosić i ciągnąc w pole zapominał o wszystkim, lecz gdy pod namiotem później przyszło mu spocząć samemu, podumać, rozważyć, ocenić, co się to około niego działo, człowiek brał górę i smutek go ogarniał.

Nigdy jeszcze w życiu z takiej strony niekorzystnej nie przypatrywał się tej braci swej, którą kochać pragnął, A zmuszony był się nad nią litować. Tysiące przykrych wątpliwości piersi mu wypełniało i głowę uczuciami i myślami, którym się obronić nie mógł. Nie miał się nawet przed kim wypowiedać i poskarżyć. Toteż przychodziły na niego takie godziny pograżenia w sobie i nieprzewycięzonego smutku, że Szczypior, zastając go z głową wspartą na rękach i brwiami ściągniętymi, posądzał o wcale inne powody tego znekania. Przypisywał mu taką okrutną tęsknicę za śliczną ową księżną Teresą.

Naprawdę zaś Bajbuza, który tak gorąco, ciałem i duszą się rzucił w ten wrzątek i zamęt spraw publicznych, doznawał tego rozczarowania, jakie spotyka każdego, co długo sobie roił, snuł, tworzył świat po swej myśli i sądził, że go takim znajdzie. Tymczasem rozbijał się na nim o tyle samolubstwa, dziecinnych fraszek, dumy i próżności, chciwości, rozpasania, lekkomyślności, A tam, gdzie trafiał na poczciwych, znajdował ich tak biednie na duchu wyposażonymi, że mu cała odpadała ochota do mieszania się do tego bezładnego ruchu.

Jednego dnia stary Arcykapłan był z Górką i Zborowskimi nazajutrz przechodził do hetmana. Spytek od hetmana przerzucał się do obozu Górków. Rzymski poseł popierał dysydentów. Od każdego można się było spodziewać zdrady. W samym hetmanie, którego znakomitego charakteru Bajbuza nie mógł zaprzeczyć, chwilami grała duma ogromna i chęć panowania. Pomiędzy wodzami stronnictw najmniejsze powodzenie budziło zazdrość.



W ostatnich dniach Bajbuza dowiedział się poufnie, iż dotąd wiernie trzymający stronę hetmana marszałek Opaliński, przestraszony tym, że Zamoyski znowu może i za tego panowania opanować umysł młodego króla, zaczynał w wielkiej tajemnicy zbliżać się do rakuszan i Górki.

Codziennie te doświadczenia, nieustanne zmiany, które nie zawsze szlachetności charakterów dowodziły, zraziły rotmistrza. Odpadła go ochota do poświęceń i pracy, nie wiedział, w którą iść miał stronę. Chorągwią dla niego dotąd był hetman, zaczynał nawet o nim wątpić.

Potrzeba było jednak dotrwać na stanowisku do końca, choćby przez ciekawość, jak się miał ten zamęt tak długo przeciągający ukończyć. Nie uszło przyjaciółom i towarzyszom broni rotmistrza to jego ponure zadumanie, szukali przyczyny i trafiali zawsze tylko na księżnę, o której on właśnie teraz może mniej myślał, bo ta tragikomedia życia publicznego, w którą był wmięczany, podnosiła go nad poziom powszedni.

## Rozdział VIII

Królowa Anna, drżąc, oczekiwała przybranego syna, o którym sądziła z jego listów, z opowiadań o nim ludzi, z przeczuć własnego serca, A razem z tym jednak na modlitwach do Boga czuła, że ta postać, jaką miała przed oczyma, której się spodziewała, taką, jaką ona ją sobie tworzyła długimi laty, mogła być marą tylko i złudzeniem, Zygmunt zaś wcale inną rzeczywistością. Ostatni ten zawód w życiu, które było go pełnym, byłby ją zabił.

Jak tylko się królowa dowiedziała, iż Zygmunt ze Szwecji wypłynął i był spodziewanym w Gdańsku, nie mogąc sama pośpieszyć na jego spotkanie wśród kraju z powodu partyzantów Maksymiliana nie wszędzie dla niej bezpiecznego, musiała czekać na siostrzana w Piotrkowie. Kaliński się ofiarował, bądź co bądź, dotrzeć do Gdańska, A tam znaleźć środki, posły, ludzi, Aby królowę ciągle uwiadamiać o podróży Zygmunta.

Nie wiedziała o tym wcale Anna, że stary król Jan III, zrażony naleganiami Polaków o ustąpienie Estonii, pod błogosławieństwem synowi nazad powracać kazał i zrzec się korony. Nie wiedziała i o tym, że przy boku młodego pana będący księża Gołyński, Rabe \* i inni tak mu malowali stan nieszczęśliwy Rzeczypospolitej, iż młody pan postanowił już był w duchu koronę mu ofiarowaną, jakby ona była jabłkiem do zjedzenia, ustąpić Arcyksięciu Austriackiemu Ernestowi z warunkiem tylko, Aby sobie siostrę jego Annę wziął za żonę. O tych wszystkich strasznych, poczwarnych planach stara królowa nie miała pojęcia. Nie były też one tak głoszone, Aby poza izby króla młodego w świat wylecieć miały.

Ksiądz Rabe - Justus Rabe, jezuita, kaznodzieja i spowiednik na dworze Zygmunta III

Ofiarę Kalińskiego przyjęła królowa z wdzięcznością wielką, kazała mu dać listy do Ich Miłości Panów Rad Miejskich Miasta Gdańska, do kilku burmistrzów, zmogła się na dosyć szczupły wiatyk dla niego i Kaliński ruszył.

Jak sobie tam w miejscu radę dawał, nie wiadomo, lecz mimo niepozorności swej, prostoty, umiał trafiać do celu i listy jego były tak dla starej królowej pożądane, iż nigdy, może od siostr dawniej, niecierpliwiej oczekiwanymi nie były. Rozumie się, iż poczciwy Kaliński, już o dwór się ocierając, do tyła był dyplomata, iż nie wszystko pisał, jak widział, i co było smutniejszego, zachowywał dla siebie. Listy do królowej, rodzaj gazetek pisanych, brzmiały uwielbieniem dla młodego pana i podziwem nad zapalem, jaki okazywano mu, wszędzie przyjmując pożadanego. Inną drogą zmienione nieco gazetki te słał Kaliński przyjacielowi Bajbuzie, który go tak owym rzędem i czaplą kitką ujął za serce, iż go czczył i wielbił, A podnosił nad wszystkich. Do królowej też nadzwyczaj było posłowi jej trudno napisać prawdę o towarzysze Zygmunta, siostrze jego Annie, która z nim razem przybywała, Ale różniła się od niego całym niebem, jak się naówczas wyrażano.

Króla młodego otaczali jezuici, A gdy się pośmiać chciał, przychodził w wyszarzanej laika sukience ksiądz Kapusta, "nomen omen", \* prostoduszna istota, który głupekowatymi odpowiedziami go zabawiał.

Wojciech Kapusta przebywał istotnie w otoczeniu Zygmunta III. Prawdopodobnie nie był księdzem, Ale bratem zakonnym ( laikiem) u jezuitów. Nomen omen ( łac.) - imię wróżebne, nazwisko charakteryzujące właściciela. Otoczenie jezuickie Zygmunta III opisał Autor według źródłowych przekazów historycznych, jak i ściśle scharakteryzował prawdziwe zamiary rodziny królewskiej Wazów wobec Polski. To samo tyczy się postaci i roli królowy Anny.

Królowna Anna przy sobie księży katolickich znosić nie mogła, zowiąc ich bałwochwalcami, papistami, faryzeuszami, tak że częstokroć i Zygmunta, i jego towarzyszków do rozpaczki przyprowadzała. Nawracać ją nie było sposobu, wymóc na niej nawet przyzwoite milczenie trudno było, tak że najczęściej rozdzielano króla młodego od niej, zostawiano ją samą i musiano przez szpary patrzeć, gdy sobie do towarzystwa ministrów protestanckich ściągnęła. Czyniła zaś to często na przekorę bratu, A więcej jeszcze jezuitom przy nim będącym, którzy nie śmiejąc wojować z kobietą, z królowną, udawali, że nie słyszą, udawali, że nie widzą, czynili, jakby nie rozumieli. Postępowanie to gorszące królowej Anny, starano się zatrzeć, pokryć, osłonić, gdy ona przeciwnie chciała je mieć głośnym. Stąd nieustanne szorstkie starcia, A dla Zygmunta niewyczerpane źródło utrapień. Jakkolwiek księża byli pewni, iż umysł młodego króla opanowali i nie potrzebowali się obawiać, Aby im go wydarto, wpływ siostry, słuchanie jej ironicznych naigrawań z katolickich obrzędów, z relikwii, z nabożeństwa, niepokoiło stróżów sumienia.

Kaliński, który dzięki listom i pozawiazywanyim stosunkom wszędzie się umiał docisnąć, A zaraz pierwszego dnia do Leśniowolskiego się dostał, który z królem przybywał, z dworem szwedzkim i z duchownymi się poznał, uderzony był zafrasowaniem, smutkiem, widoczną niechęcią, z jaką Zygmunt witał nową swoją ojczyznę. Znalazł go dziwnie chmurnym, milczącym, dumnym i uciekającym co chwila do swych pokojów, do swej poufalej służby, do swych tajemniczych zajęć i nabożeństwa. Pobieżny nawet uśmiezek nie zjawił się na twarzy posępnej Zygmunta. Wszystkim wydał się on pięknym, lecz Ani w nim jagiellońskiego nic, Ani polskiego nie było. Hiszpan, Szwed, cudzoziemiec był jakiś, choć po polsku powoli, Ale czysto mówił i pięknie. W kraju, jak Polska, gdzie tak niepomiernie puszczano wodze swadzie, przywiązywano taką wagę do retoryki, sypano mowami z taką ochotą, król milczący z trudnością mógł podbić serca. Po Batorym, który po łacinie i z żołnierskim lakonizmem się odzywał, mruczek taki, który mówić po prostu nie chciał, smutnym był nabytkiem. Ani twarzą, Ani mową serc sobie nie mógł pozyskać.

Od domowników się dowiedział Kaliński, że pan młody był jednak nadzwyczaj obdarowanym od natury i do wszystkiego zdolnym. Co się tyczy rycerskich spraw, świadczone, że mężnym był, Ale się w wojskowej sztuce i zabawach nie kochał. Lubił za to kant, \* muzykę, obiecywał sławną utrzymywać kapelę i własnoręcznie do kościołów wyrabiać monstrancje i kielichy. Talenta te Kalińskiego czyniły niemym. A cóż by robili złotnicy przy Grodzkiej ulicy? To mu przyznawał poseł królowej Anny, że się nader pańsko stawił i znać w nim było na pierwszy rzut oka potomka wielkiego rodu.

Kant ( z łac.) - śpiew.

Królowej Annie ręce drżały, odbierając te listy poufne. \* Obok nich przychodziły i od samego Zygmunta serdeczne, Ale sztywne i kancelaryjnym stylem układane. Królowa na próżno szukała w nich tej oznaki jakiejś poruszenia serca, która dla niej nade wszystko droższą by była. Tak z jednej strony odbierając doniesienia od Kalińskiego, z drugiej wieści od Krakowa sprzeczne, raz o powodzeniach hetmana, to znowu o siłach gromadzących się groźno Maksymiliana, który swoją elekcję zawsze za najprawowitszą w świecie uważał, królowa nie miała chwili pokoju i pociechy. Była to prawdziwa tortura moralna, w której zimno i upał mieniały się nieustannie, nadzieje i zwątpienia. Ludzie nie oszczędzali jej najprzykrzejszych baśni, zmyślań, postrachów. Jedyną pociechą było tylko, że przedniejsi senatorowie, prymas, panowie, czoło narodu, śpieszyli połączyć się z Zygmuntem, jako z wybranym przez się monarchą, jedynym, jakiego uznawali.

Znowu zdanie o błędnej składni. Winno brzmieć: “( ...) kiedy odbierała te listy poufne”.

Chwili, gdy na ostatek marzenie lat długich się ziściło i Anna mogła siostrzana, syna w nim uściskać, tego, co się w jej sercu działo podówczas, żadne by pióro nie opisało. W duszy nuciła tę pieśń ziszczonych nadziei, których się już nie spodziewała dożyć: “Teraz odpuść mnie Panie...” Syn ten przybrany wydał się cudownie pięknym, zjawił opromieniony wszystkimi przymiotami, jakie tylko zamarzyć dlań mogła. śmiała się, płakała, obejmowała go, klękała przed nim i nawet lodowaty chłód przybysza musiał nieco tajać, gdy się znaleźli sam na sam.

Uprzedzoną była królowa o Annie, którą witała czule, Ale z pewnym zakłopotaniem, A ona też wcale się ciotce nabijać \* nie myślała.

Nabijać się ( st. pol.) - wyraz używany przez Kraszewskiego stale zamiast powszechnego “narzucać się”.

I król, i ona, gdy się znaleźli sami w komorze zamkniętej, na zapytanie, jak się im Polska podobała, odpowiedzieli, że wyglądała smutnie i ubogo. Była to też pora jesienna, w której kraj zaden pięknym wydawać się nie mógł, A droga, jaką przebywali, nie wiodła najpiękniejszymi okolicami.

W Piotrkowie długo spoczywać nie było można. Zarówno z przybyciem Zygmunta nadeszła wiadomość, że jazda Maksymiliana opanowała Przedborz, A Opalińskiego oddział rozbiła i w części w niewolę zabrała. Oprócz tego pochwycono pacholika, wysłanego tu umyślnie, Aby miasto podpalił, i w istocie pożar został podłożony. Przez dni dwa nie rozbierał się król i spać nie kładł. Czuwali wszyscy, ściągano oddziały, spodziewano się napaści.

Maksymilianowe ufcie, wyprawione dla opanowania Piotrkowa, uznały go wszakże trudnym do zdobycia i, popłoch tylko wznieciwszy, cofnęły się. Ale, co gorzej, szlachta wielkopolska i sieradzka, która się do króla ściągała, znużona powoli rozchodzić się zaczęła. Siły Zygmunta się uszczuplały. Doradzono królowi nocą i potajemnie wyciągnąć do Warszawy.

Był to ruch, jak się okazało, umyślnie na obalamucenie nieprzyjaciela tylko obrachowany. Puszczono wieści, że Zygmunt do Szwecji powraca, tymczasem on nagle wstecz się do Krakowa skierował, przeszedł Pilicę pod Nowym Miastem, potem Wisłę pod Korczynem i tym sposobem rzeką się od obozu Maksymiliana obwarował.

Królowa z Anną udały się do Warszawy. Pożegnanie z Zygmuntem kosztowało łez wiele. Ona, co wszystko poświęciła, Aby go do tego tronu doprowadzić ofiarami niezmiernymi, musiała z ust jego usłyszeć, że gotów zrzec się korony dla Ernesta i Anny, A sam woli do Szwecji powracać.

Pierwsze te dni panowania najprzykrzejsze na nim uczyniły wrażenie. Słyszał tylko o rozterkach, widział kraj rozdarty, nie było nadziei przejednania; młody, niedoświadczony, gdy i ojciec nalegał, Aby się cofnął, przyznał się ciotce, iż nad wszystko wolałby to uczynić.

Anna padła łzami zalana, nie znalazłszy wyrazów na odpowiedź. Zygmunt z takim chłodem jej oświadczał to postanowienie swoje, z takim niemal okrucieństwem, że słowa tymi miłość jej dla siebie na chwilę zachwiał. Oburzyła się na niewdzięczność, lecz nie rzekła słowa. Jeszcze jeden ten zawód, to była śmierć.

Szczęściem litościwi ludzie otaczający Zygmunta, Leśniowolski, biskupi, którzy wyjechali na jego spotkanie, potrafili to zniechęcenie wystawić jej jako rzecz przemijającą, jako słowo na wiatr rzucone, którego spełnienia nawet o własną cześć troskliwość dopuścić nie mogła. Zmuszono niemal króla, Aby szedł dalej. Kraków był już blisko, dociągnął do Wieliczki, dano znać Zamoyskiemu, który tu nadbiegł razem z wielu senatorami i duchownymi.

Maksymilian zmuszony był się cofnąć, nie mając nadziei zdobycia Krakowa, po odniesionej tu klęsce, w której Zamoyski, A przy nim rotmistrz nasz cudów męstwa dokazywali.

Bajbuza zapomniał wśród upału tej morderczej walki o smutkach swych, znowu się przeistaczając na wojaka. Trupami usłane zostało pobojuwisko, zdobyto łupy wielkie, A mieszkańcy przedmieścia, którzy zdradą wprowadzili do niego Maksymiliana żołnierzy, w pień wycięci zostali. \* Na tych zgliszczach rotmistrz stojąc, gdy ochłódł, chciał prawie skruszyć szablę i

wracać do domu, tak mu krwią zapłynęło serce. Widok tych okrucieństw, zdziczałego żołdactwa, obmierzył mu rycerstwo. Szczypior poznać go nie mógł, gdy blady, A z zasępioną twarzą powrócił nocą do izby przeznaczonej dla spoczynku. Wszystko dokoła wrzało radością zwycięstwa, której jeden Bajbuza nie podzielał. Nie umiano tego sobie wytłumaczyć. Następnym dni tak go mało już obchodziło, co się działo, że gdy mu oznajmiono, iż razem z hetmanem ma naprzeciw króla jechać, ledwie się zgodził na to, Aby swą szmelcowaną kazać dobyć zbroję i towarzyszyć kopijnikom.

Chodzi tu o fakt historyczny krwawego odwetu na mieszkańcach przedmieścia Krakowa, Garbarze, przeważnie Niemcach, którzy porozumieli się z wojskami Maksymiliana co do podstępnego opanowania bramy Szewskiej, celem łatwego zdobycia miasta.

- Ale cóż bo ci jest, rotmistrzu? - wołał Szczypior, który dwa razy lekko ranny śpiewał po całych dniach, tak mu zwycięstwo serce rozszerzało. - Co ci jest?

- Nic - rzekł Bajbuza - po prostu już mnie jatki te ostatnie do walki zraziły. Zda się to-li na co - Bóg wie? A ludzkich żywotów, A rodzin i szczęścia wieleśmy zgrabili i zniszczyli? Od takich wojen Panie Boże strzeż i uchowaj, A jeszcze nie wiemy, jakiego się pana tym kosztem dobijamy.

Ruszył ramionami.

- Szczypior stał, słuchał i wcale nie zrozumiał. Wstyd mu się do tego przyznać było. Szanował wielce Bajbuzę i wierzył zarówno w rozum jego i serce, coś więc w tym tkwić musiało. Szczypior pojąć tego nie umiał.

Bajbuza, którego już po listach Kalińskiego w części wielka ciekawość oglądania nowego pana odpadła, ledwie się nieledwie dał namówić na to, Aby w orszaku hetmana jechał go spotykać. Lecz raz się zaprząwszy, trzeba było ciągnąć do końca. Mruknął tylko:

- Król przybywa, ukoronujemy go nareście i niech się to raz wszystko skończy. Zborowskim i Górkom przebaczym i niech pokój zakwita, A my z tobą pojedziemy na Podole Tatarów bić, to lepiej.

Szczypior, który Ani tak głęboko, Ani tak daleko wzrokiem nie sięgał, zmilczał.

Trzeba było tedy kopijnikom nowe proporce kazać szyć, drzewce pościerane malować i złocić, konie im dokupowywać, bo Bajbuza musiał wystąpić, choćby dlatego, Aby się Szczypior za niego nie wstydział.

Gdy przyszło do odziewania się w drogę, chorąży stoczył jeszcze raz walkę z przyjacielem, zmuszając go do włożenia na ramiona najbogatszego sahajdaka, do przybrania konia w turkusowy rząd i kapę szytą itd.

Bajbuza od tej rzezi garbarzy u Szewskiej bramy ciągle krew widział na sobie. Z obojętnością człowieka, który do tego nie przywiązuje wagi, dał wręście Szczypiorowi

rozporządzać się, jak chciał, i z posępnym obliczem pojechał za hetmanem, który rozpromieniony śpieszył - zwycięzca - pewien najwdzięczniejszego przyjęcia.

Przyjęcie króla po świeżych wypadkach, gdy się na nie przygotować nie miano czasu, zostawiało wiele do życzenia i nie było tak wystawnym i wspaniałym, jak hetman i senatorowie pragnęli. Uczyniono jednak, na co się zdobyć było można.

Wyjechał w poczcie okazałym z duchowieństwem i panami senatorami świeckimi w liczbie dosyć znacznej hetman Zamoyski. Wszystkich oczy zwrócone były na króla, który z powagą nad wiek swój, zimny, sztywny, z chmurą na czole, nie okazując najmniejszego poruszenia, A Zamoyskiemu żadnego szczególnego względu, przyjął przemówienia i powitania radośnie. Można się było z obejścia się ostrożnego z hetmanem domyśleć, iż uprzedzonym i przestrzeżonym być musiał i więcej może obawiał się go, niż skłonny był do oddania się całkowitego, jak się niektórzy lękali. Wiedziono go potem uroczyście na Kaźmierz, na Stradom, przez wały, ponad murami miejskimi Aż do strzelnicy. Wszędzie lud mnogi, świątecznie poubierany, ciekawo tłoczył się i cisnął dla oglądania oblicza młodego pana, który nawet, zbytniej ciekawości nie okazując, zaledwie oczy podnosił.

Przed strzelnicą oczekiwali nań mieszczanie krakowscy, burmistrze, wujtowie, ławnicy, kupcy i panowie kolegiaci Akademii Krakowskiej. Dalej stały oddziały wojskowe postrojone, jak który mógł, najochędzniej, gdzie i rotmistrz nasz ze swymi kopijnikami niepoślednie miejsce zajmował, bo ludzie jego końmi uzbrowieniem i barwą do najcelniejszych należeli.

Bajbuza mógł podjeżdżającemu się przypatrzeć i zwrócił nań oczy ciekawe, Ale z martwej twarzy i spuszczonej powiek, z postawy jakby odrętwiałej nic wnieść nie mógł. Nie pociągał ku sobie młody pan nikogo. Tu hetman wystąpił znowu, garść wojsk zalecając królowi i za wierne jej ręką służby.

Jak na pierwszy występ, Zamoyski miał nawet szczęście złożyć przybyłemu panu łupy na jego przeciwnikach zdobyte, dwie buławy, trzy chorągwie pod Krakowem Maksymilianowym odjęte, działa, zbroje i wozy.

Na szańcach wiodących do Kleparza miano czas sklecić nocą kilka bram zwycięskich z godłami i napisami. Na jednej ze trzech siedział w gnieździe orzeł biały, trzymający w szponach snopek \* Wazów i wrywanymi z niego kłosami karmił młode ptaszęta. Była to pierwsza z tych mnogich Alegorii, do których herb szwedzki tak obfitego miał dostarczać wątku. Zygmunt zaledwie chłodnym okiem roztargnionym rzucał na te wysiłki miasta, które uczyć go pragnęło. Tłumaczyło to położenie kraju i stolicy, lecz wjazd ten na nią nie odznaczał się uczuciem, nie wywołał Ani zapału, ni radości.

Snopek znajdował się w herbie rodu królewskiego Wazów.

Na twarzach począwszy od Zygmunta, nic wyczytać nie było można oprócz znużenia, A hetman, który z początku dosyć się zdawał ożywionym, powoli także ostygł. Oko jego badało Zygmunta, A doświadczenie dozwalało mu czytać w nim już uprzedzenie przeciwko sobie.

We Floriańskiej Bramie zatrzymał króla raz jeszcze imieniem senatu Biskup kamieniecki Goślicki i długą, zbyt długą mową witał go, składając mu życzenia i błogosławiąc: - "Prosperere, procede et regna!" \*

Prosperere, procede et regna! ( łac.) - w swobodnym tłumaczeniu: Panuj szczęśliwie!

Z całego dnia tego jedyną chwilą, w której uderzyły serca i rozjaśniły się czoła, była ta, gdy Zygmunt na ostatek podniósłszy oczy Goślickiemu odpowiadając odezwał się po polsku! Dźwięk tej mowy w jego ustach wywołał nieopisany zapach i zapłacił za wrażenia, jakie poprzedziły ten moment uroczysty. Mowa ta w jego ustach była jakby ślubem z narodem i ziemią.

Wszystko to tak przeciągnęło przybycie do kościoła na Wawelu i na zamek, że nabożeństwo dziękczynne odbyło się już nocą, przy świecach, A na spoczynek król zaledwie mógł się udać po północy.

Bajbuza, który pragnął własnymi oczyma wróżbę przyszłości wyczytać w Zygmuncie i śledził każde jego poruszenie, udał się na Wawel za nim, ludzi swych odprawivszy, dotrwał na nabożeństwie i późno powrócił do czekającego na niego Szczypiora.

Jedno pytanie powtarzało się wszędzie:

- A cóż król? A cóż młody pan?

Powszechnie chwalono postawę pańską i powagę, Ale znajdowano go zimnym. Drudzy tłumaczyli to nieśmiałością. Bajbuza, który się nieraz w życiu przekonał, że ludzie na ludzi w tajemniczy sposób jakiś działają przy pierwszym zaraz najczęściej zetknięciu się z sobą, milczał, bo odebrane wrażenie było słabe i niejasne. Postać ta została dlań tajemnicą.

Na obliczu hetmana czytali wszyscy więcej troski niż radości z doprowadzonego do końca trudnego wyboru. Nie ulegało wątpliwości, że jemu tylko i królowej Annie winien był Zygmunt swe powołanie na tron. Zamoyski przewidywał, że brzemień wdzięczności będzie tak ciężkim, iż król z niego jakimkolwiek pozorem wyzwolić się będzie starał. Życie powinno go było nauczyć, że nie ma nic do dźwigania trudniejszego, wstrętliwszego nad wdzięczność i że w naturze ludzkiej jest dobroczyńców nienawidzić, bo dobrodziejstwo jest rodzajem upokorzenia. Nie mylił się też przeczuwając, że począwszy od marszałka Opalińskiego, od królowej, od senatorów wielu, którzy pierwsi się do króla zbliżyli, wszyscy już nastraszyć musieli go niezmierną przewagą hetmana, potęgą jego, znaczeniem za Batorego, roszczeniami, jakie na przyszłość stawić będzie, Aby w miejscu niedoświadczonego młodzika panować. Wszystko to zawczasu odstręczało i odpychało od Zamoyskiego.



Bajbuza, którego oskoczyli powracającego z zamku przyjaciele, na pytania ich naglące odpowiedział, że nie może wcale sądzić z pierwszego wejrzenia o królu.

- Tyle wiem, co i ichmość wszyscy, że przystojny jest i ostrożny, A w sobie zamknięty. Wczorajszego dnia na chwilę się nie dał poruszyć i lodowatym wejrzeniem mierzył wszystko.

Nazajutrz z zamku tyle tylko przyniesiono, iż wyszedł do panów senatorów w bardzo wytwornym, hiszpańskim stroju, który naówczas na europejskich dworach był modnym.

Rozumie się, iż hetman od rana był na zamku, usiłując się przybliżyć, wyrozumieć pana, zając to stanowisko, jakiego się tu spodziewał i sądził, że ma do niego prawo.

Po mieście tymczasem chodziły najsprzeczniesze wieści, które snuto z półgębkiem puszcanych postrzeżeń osób, które królowi ze Szwecji towarzyszyły lub od Gdańska z nim jechały. Jawnym było, że od wylądowania na brzeg nie widziano go Ani razu wesołym, uśmiechniętym, swobodnym. Przez pół dnia siadywał zamknięty z duchownymi swymi, jak mówiono, na modlitwie, A przystęp mieli łatwy tylko ci, których księża polecali i wprowadzali.

Bajbuza, pomimo iż sam nie uczuł się pociągniętym do młodego pana, bronił go żarliwie:

- Nie sądzcież, czekajcie. Obecny jest, onieśmielony, nie zna ziemi, po której stąpa, niepewien jest jeszcze nawet, czy się na niej utrzyma. Mówią, że napędziły go listy ojcowskie, nakazujące mu porzucić koronę i do Szwecji powracać. My się domagamy od niego Estonii, \* król Jan jej dać nie chce, A Zygmunt też nie myśli zniechęcać ojca i dla nas czynić ofiar.

Wspomniana tutaj, jak również w wielu innych miejscach powieści, sprawa Estonii - to jeden z głównych powodów rozdzwiewu między królem i szlachtą. Estonia należała wtedy do Szwecji. Zygmunt działał skrepowany przyrzeczeniem danym senatowi szwedzkiemu, że żadnej z dzielnic Szwecji do Polski nie przyłączy. Ze strony polskiej stawiano znów przyłączenie Estonii jako warunek objęcia tronu. Zygmunt był tu od początku zmuszony do działania dwulicowego. Sprawa Estonii stała się też jedną z przyczyn długotrwałych wojen dynastycznych między Polską i Szwecją.

Na zamku trwały ciągle narady i układy, którym nie było końca. Zygmunt się okazywał niewzruszenie upartym. Stał przy swoim. Z zamku rozeszły się szept, że gotował się Austriakom koronę ustąpić i przefrymarczyć. Oburzenie to wywoływało. Jedni nie chcieli wierzyć, drudzy się już odgrazali. Słowem, pierwsze wrażenia tych dni, które często stanowią o przyszłości, nie były dla króla pomyślne.

Hetmana widziano z czołem posępnym, dumnie się przesuwającego po mieście. Leśniowski miał go o knowaniach przeciwko niemu ostrzegać, których też skutki jawnymi były. Król się Ani zbliżyć, Ani otwarcie przed nim wywnętrzyć nie chciał. Słuchał milczący, odpowiadał półsłówkami.

Drugiego dnia hetman, wychodząc od niego zrażony, spotkawszy się z Leśniowolskim, odezwał się do niego z przekazem:

- Cóżęście to nam za nieme diable przywieźli?

Odstęczony, dotknięty już brakiem zaufania, Zamoyski tym silniej stał przy wymaganych przez naród warunkach, żądał odstąpienia Estonii. Zygmunt odmawiał. W kilka dni po próżnych sporach i naracach król się zerwał z siedzenia zniecierpliwiony:

- Wolę tę koronę stracić - zawołał - niż postąpić przeciwko mojemu sumieniowi i przekonaniu!

Drzwiami rzucił silnie i wyszedł.

Taki był skutek pierwszych rokowań i pierwszego zbliżenia się do hetmana, któremu król wszystko był winien.

Mówiono o odłożeniu koronacji, dopóki król nie podpisał wymaganych paktów, Ale w końcu ociąganie się z tą uroczystością, która miała związać nieodwołalnie obie strony, okazało się wszystkim tak groźnym wobec Maksymiliana, który obstawał przy swym wyborze i z wojskiem zagrażał, że hetman ulec musiał i ostatnich dni grudnia naznaczono uroczysty ten obrzęd odbyć, na który zjechać miał Karnkowski.

Rotmistrz nasz nie pozostał przez ten czas beczynnym, chociaż na pozór mógł się nim wydawać. Chodził na zamek, słuchał, patrzył i starał zdać sobie sprawę z położenia, Aby wiedzieć, co czynić miał dalej. Wedle jego rozumienia, z którym się nie tał, należało wszelkimi możliwymi środkami koniec położyć rozterce, wyjść w pole, ścigać nieprzyjaciela, oczyścić z niego Siewierskie i granice Szląska, zmusić warchołów do poddania się i pokój zyskawszy, goić rany, łąd nadwerężony silnie zaprowadzać. Ale nikt go nie słuchał.

Najboleśniejszym dla rotmistrza było, iż widział pomiędzy królem A tym, który mu dał koronę, coraz wydatniejszy rozbrat. Hetman zamiast stać obok, występował w imię narodu przeciw elektowi.

- Wszystko to bardzo się źle zapowiada! - mrucał Bajbuza. - Mam ochotę kopijników bodaj zdawszy na Szczypiora, sam do Nadstyrza powracać.

Nie ruszał się jednak z Krakowa. A nuż ręki jego jeszcze potrzebować będą? Czyniło to prawdopodobnym wtargnięcie Maksymiliana ku Krzepicom i Wieluniowi.

Niechętni Zamoyskiemu, którzy go przy królu nieradzi widzieli i odsunąć usiłowali, wołali wniebogłosy, Aby wyciągał w pole. Tam było jego miejsce. Bajbuza wtórował, Ale nie wszystko było w gotowości, żołnierz nie opłacony i zniechęcony, broni brak, wstrzymywały. Na koniec doprowadzono hetmana do tego rodzaju gorączki i zniecierpliwienia, które dłużej się ociągać nie dozwalały.

Szczypior wpadł uradowany z tą nowiną do Bajbuzy, który nad Boecjuszem \* siedział, że w pochód wyruszą. Księża poszła w ką, odezwał się rycerz w zniechęconym rotmistrzu. Oblicze mu się rozchmurzyło. Uściskał Szczypiora.

Boecjusz - rzymski filozof i mąż stanu ( 480 - 525 n.e.), Autor słynnego dzieła "De consolatione philosophiae" ( "Pociecha filozofii"). Ukazując swego bohatera zatopionego w lekturze poważnych dzieł, podkreśla Kraszewski wyjątkowość postaci Bajbuzy, odróżniającego się od tłumów szlacheckich nie tylko przez ciągłą troskę obywatelską, Ale i przez wykształcenie.

- Wydawaj rozkazy!

Maksymilian, nie życząc sobie stoczyć bitwy, dopóki by nie otrzymał oczekiwanych posiłków, z niezbyt wielkim ludem cofnął się do Szląska, pewien będąc, że na terytorium cesarstwa hetman go ścigać nie będzie i nie pogwałci granicy. Lecz Zamoyski musiał ze szczęśliwego składu okoliczności korzystać, z ubezpieczenia się Maksymiliana, z nieświadomości jego obrotów i z nadeszłych świeżo posiłków siedmiogrodzkich.

Jasną i mroźną nocą księżycową hetman wyciągnął śpiesznie ku Byczynie, gdzie się znajdował Maksymilian. Posiłki dla niego już się też zbliżały. Andrzej Zborowski, jako wódz wcale nie odznaczający się dotąd, dowodził. Z innej wcale strony spodziewano się hetmana, który osobiście wziął udział stanowczy w bitwie. On dał hasło do boju, gdy drudzy chcieli stanowczą rozprawę do jutra odroczyć, on sam przebrany podjeżdżał rozpoznawać położenie wojsk Maksymiliana.

Była to jedna z tych walk, w których geniusz wojskowy Zamoyskiego zajaśniał największym blaskiem. Korzystał on ze wszystkiego, z nieświadomości o przyciągających Maksymilianowi posiłkach, z niepewności, od której strony uderzy, z gruntu, na jakim się potykać miano, z godziny zapału, który mogła rozważa ostudzić. Pośpiech stanowił o powodzeniu, A zwycięstwo o panowaniu Zygmunta, który zniechęcony już cofnąć się był gotów, najmniejszą spotykając trudność do przełamania. Najdzielniejszych miał z sobą do pomocy rycerzy Zamoyski: Żółkiewskiego, Potockiego Jakuba, Koniecpolskiego, Urowieckiego.

Maksymilian też znaczną liczbą dział wsparły, rachując na przewagę swoich wojsk, A na niedoświadczenie ochotnika i zaciągów polskich, stawał nie bez nadziei zwycięstwa do boju.

Pierwsze hasło Adły trąby ze strony Zamoyskiego. Ruszyły polskie pułki pierwsze, gdy Maksymilian nie poruszał się wcale. Zapał, z jakim rzucono się do walki, w pierwszej chwili mógł stratą męznego Hołubka ostygnąć, Ale nie postrzeżono jej. Pułki Stadnickich polskie, kopijnicy przeciwko polskim też kopijnikom walczyć musiały. Była to walka braterska, straszna, oburzająca, Ale razem do szału mogąca podnieść męstwo rozpaczliwe. Hołubek zabity, Żółkiewski ciężko ranny, wszystko zdawało się wróżyć nieszczęśliwy koniec, gdy Zamoyskiego ukazanie się ze

strony, z której się go nie spodziewano, osaczając Maksymiliana, jedyny ratunek wskazywało w ucieczce. Arcyksięcia uprowadzono z placu boju do miasteczka Bieczyny, gdy wojska już były rozprószone, rozbite, a Zamoyski, nie tracąc czasu, opasał go zewsząd, aby uciec nie mógł.

Rotmistrz nasz był właśnie w tym spotkaniu, które kopijników jego naprzeciw Stadnickiego pułkowi walczyć zmuszało. Poznali się natychmiast Polacy z obu stron, ale z żarliwością jakąś mściwą rzucili się do walki. Nie ma strasniejszego nad taki kaima bój. Każda z tych przywiedzionych do ostateczności stron usiłuje swojej winy na przeciwniku pomścić. - Bij! Zabij! - krzyčeli jedni i drudzy - obelgami się obrzucając. Kopijnicy Bajbuzy, których Szczypior powstrzymał nieco, dali Stadnickiego ludowi uderzyć na siebie, nie poruszając się. Byli pewni, że ich nie złamią. Napastnicy zmięszali się, splątali, kopij wiele padło nie skruszonych, ale wyrwanych impetem z rąk. Ciężkie zbroje nie dawały się obrócić i odwet Bajbuzy był straszny; gniótł on zbity nieporządnie tłum, którego część na ziemi leżała, podnieść się nie mogąc. On sam znalazł się naprzeciw Stanisława Stadnickiego, dowódcy i dwaj zapaśnicy z ogromną siłą uderzyli na siebie. Stadnicki padł wysadzony z siodła, ale w tej samej chwili kula, ze strony trafiając pod rękę rotmistrzowi, tam, gdzie oprócz kolczugi nie miał innego okrycia, przeszła ją i utkwiała w prawym boku. Uczuł ją dopiero, gdy ciepła krew płynąc po nim zaczęła, ale rozogniony nie przestał walczyć, aż osłabły z siodła się zsunął i padł na pobojuwisku.

## Rozdział IX

Gdy Bajbuza oczy otworzył i potoczył nimi dokoła, spotkał naprzód zwieszoną nad sobą twarz smutną Szczypiora. Zimny wiatr przekonał go, że byli w polu jeszcze, leżał na wozie. Około niego krzżeli się ludzie.

- Bitwa? - zawołał głosem słabym.

- Wygrana! - odparł krzykliwe Szczypior. - Wygrana, zwycięstwo wielkie, sam Arcyksiążę w niewolę wzięty! Zamoyski triumfuje... Łupy ogromne... wojna skończona... Nieprzyjaciel w rozsypce.

Przymknął oczy i złożył ręce rotmistrz.

Wierny druh dodał żywo:

- Rana sroga, bo krwie straciliście dużo, nim ją zatamować było można. Przeleżeliście długo na polu... Jam głowę tracił szukając, A tu mróz i wichrzysko. Teraz już wszystko pójdzie jak z płatka... konie i wóz gotowe, ja wam tu nie dam leżeć, powoli pociągniemy do Krakowa, gdzie i o lekarzy, i o staranie łatwiej.

- A Zamoyski? - spytał rotmistrz.

- Cały wyszedł! - wołał Szczypior.

- Żółkiewski?

- Ranny w nogę od kuli działowej, Ale mu pono nic nie będzie - mówił chorąży.

- Z naszych?

- Kopijnicy się bili dzielnie, zginęło ich ze dwudziestu, ranni wszyscy prawie, Ale te rany się nie liczą, gdy na nogach są. Na placu boju do dwóch tysięcy golonych polskich głów leży, A pewno nie mniej długowłosych. Walka była mordercza - pośpiesznie i gorączkowo ciągnął dalej Szczypior - Ale pięknieśmy się bili i nie pierzchnął nikt. Płakać nam po mężnym Hołubku!

- Zginął?

- Trzema kulami go przeszyli.

Wydobyć się stąd i dostać do Krakowa nie było łatwym, Ale Szczypior, na Węgra zdawszy dowództwo, nie odchodził już od wozu Bajbuzy. Znaleźli się też przyjaciele inni, Albo lekko ranni, lub nawet zdrowi, którzy do Krakowa towarzyszyć się ofiarowali, A jeden z nich, nie mogąc Ani kolasy, Ani kolebki dla chorego dostać, zdobył gdzieś mniejszy wóz zwany brożkiem, w którym wysłano łoże i osłoniętego firankami skórzanymi bezpieczniej i wygodniej na ostatek dowieziono do Krakowa.

Tu już zawczasu doktor i łoże, i wszystko w najętym dworze było przygotowanym, tak że Bajbuza, niewiele stosunkowo przecierpiawszy, znalazł się jak w domu. Na lekarzach naówczas nie

zbywało; znalazł się tu za Zamoyskim przybyły Buccella, A dawny Aptekarz króla Stefana, który też znalazł się na ranach i balsamach, Angelo Caborto, ofiarował się na posługi.

Chociaż osłabiony krwi upływem, Ale silnie zbudowany, Bajbuza przychodził do siebie, tak że mu wyzdrowienie ku wiosnie rokować było można.

Znalazła się też niespodziana opieka, na którą nikt rachować nie mógł, może rotmistrzowi nie nazbyt pożądana, Ale i tej odepchnąć nie było można, zwłaszcza, że się zbyt natrętnie narzucała. Do przyjaciół młodości Bajbuzy i jego towarzyszków broni należał zamożny szlachcic, żołnierz dzielny, Jeremi Borzkowski, żonaty z krakowianką Wężówną, sławną z piękności kobietą. Temu Borzkowskiemu za drużbę do wesela służyć musiał Bajbuza, A dziwnym losem potem on go też poległego pod Połockiem pogrzebał. Od tego czasu o Ewie z Wężów Borzkowskiej mało co słyszał rotmistrz, wiedział tylko, że z rodziną męża ułożywszy się o oprawę, w Krakowskie powróciła.

Już Bajbuzie znacznie być lepiej poczynało i rana się goić obiecywała, gdy dnia jednego Szczypior wszedł śmiejąc się.

- Szczęście bo macie, Iwaś, do gładkich twarzyczek - odezwał się - A toż to, gdyby się tylko nie malowała, bo to się jej na nic nie zdało, piękna jak obrazek jejmość wdowa po Borzkowskim, na gwałt się tu ciśnię, Aby waszmości pielęgnowała.

Przypomniał ją sobie zaraz rotmistrz.

- Ewusia? A ona co tu robi?

- Co robi? Nie wiem! - śmiał się Szczypior. - Wiem tylko, że ma swój dwór własny w Krakowie, że się stroi jak obraz cudowny, że młoda i piękna i że się do was na gwałt napiera... Nie chciałem jej puścić, pozwolenia waszego nie wzięwszy, A nie wiem, czy zechcecie ją widzieć.

- Czemuż nie! Wdowa po moim drogim Jeremim! - odparł rotmistrz. - Byłem tylko się trochę mógł przyodziać.

Nazajutrz otwarły się drzwi szeroko i Szczypior puścił, poprzedzaną zapachem jakimś, jejmość panią Ewę Borzkowską tak strojną, jakby nie do łoża chorego, Ale na zabawę jaką się wybrała. Wprawdzie ona nigdy inaczej na świat się nie pokazywała, bo być piękną uważała siebie za święty i jedyny obowiązek. Zalotna do najwyższego stopnia, zręczna, żywa, Ewa Borzkowska, słynęła z tego, iż zawracała głowy, Ale czy nie chciała, czy nie umiała wyjść za mąż, dość, że zaloty zawsze jakoś się dla niej niefortunnie kończyły. Nie zdawała się sobie tym przykrzeć.

Lat miała dwadzieścia i kilka, A świeżość dziewczęcą i wesołość niczym nigdy nie zachmurzoną. Po mężu i po rodzicach dosyć znaczne otrzymawszy mienie, używała go ochoczo, rażno, głośno, nie lubiąc spokoju, A nieustannie nowej szukając rozrywki. Z dawnych czasów

przypominał sobie rotmistrz, iż dosyć mu się przypodobać starała, że go bawiła szczebiotaniem płochym i trzpiotowatością swoją, która jej doskonale przystawała.

średniego wzrostu, czarnobrewa, czarnooka, biała jak mleko, z rumieńcem lekkim, który moda ówczesna nakazywała sztucznie ożywiać barwiczką, z perłowymi ząbkami, które lubiła pokazywać w uśmiechu, zręczna, smukła... Ewunia stroiła się tak, że jej tego współzawodniczki przebaczyć nie mogły. Miała dar i umiejętność ubierania swej piękności i podnoszenia jej. Taż sama czasem suknia, zasłonka, klejnoty, coraz inaczej zużytkowane, połączone, nową jej dawały krasę. Mistrzynią w tym była.

Lubiła też, Aby przed nią padano. Mężczyźni, A więcej jeszcze zazdrośnice kobiety, zwały ją płochą; ona ruszeniem ramion na to odpowiadała. Z ludzkich złośliwych oszczerstw żartowała, lekceważąc je. Oprócz piękności twarzy miała Ewunia głos piękny i muzykalne wykształcenie, które podobno sławnemu Diomedesowi Catonowi, \* muzykowi podskarbiego Kostki, lubownika wielkiego kunsztu tego, zawdzięczała. A i na dowcipie jej nie zbywało.

Diomedes Caton - słynny śpiewak, kompozytor i lutnista pochodzenia włoskiego.

Taką to czarodziejkę jednego poranka wprowadził Szczypior do pokoju, w którym rotmistrz przyodziały siedział nad włoską księgą, świeżo mu z księgarni Marangoniego przyniesioną. Bibliopola \* ten naówczas zaopatrywał uczony świat i miłośników ksiąg w Krakowie we wszystkie europejskie nowości, których liczba niewielką była. U niego też zaopatrywali się w polemiczne rozprawy zarówno katolicy, jak dysydenci.

Bibliopola ( z gr.) - księgarz.

Chociaż lat kilka upłynęło od czasu, gdy piękną Ewunię widział rotmistrz, tak mało była zmienioną, tak nieśmiertelnie wydawała się młodą, iż poznał ją od razu.

Weszła cała jakby obłokiem woni owiana.

- Rotmistrzu, ukarż mi swych przyjaciół i służbę! - zawołała. - Nie chcieli mnie puścić i byli tak dzicy i okrutni, że się i prośbie, i uśmiechom, którymi ich przekupić chciałam, oparli. Alem sobie powiedziała, że szturmem was zdobędę. Moje miejsce było z dawna przy łożu chorego, rannego przyjaciela mego kochanego Jeremka!

O kochanym Jeremku mówiła tak swobodnie i wesoło, jakby od lat wielu nie spoczywał w grobie.

Wesoły głosik niewieści mile polechtał może ucho rotmistrza, twarzyczka ta przypomniła mu czasy dawne, wstał więc, rozjaśnionym licem witając pięknego swojego gościa.

- Dziękuję wam, śliczna pani moja! - odezwał się. - Ale po cóż wy się macie zasmucać widokiem kalectwa i cierpienia? Wam od życia należy wesele.

- A sądzicie, że ja nim dzieląc się z wami, wyczerpię to, które mam w duszy? A! Nie! - zawołała, siadając na krześle, które jej podawał wyrostek. - Przecież życiu waszemu już żadne nie zagraża niebezpieczeństwo? Nie będziecie kaleką dla jednej kuli!

Obejrzała się dokoła.

Izba, w której leżał rotmistrz, bardzo skromna, pobielona, z małymi okienkami, miała jednak tak bogate przybory kobierców, opon jedwabnych, naczyń srebrnych, które Szczypior posprowadzał mimo jego woli, iż całe pańsko wyglądała.

- Mieściecie się w takiej lichej komorze - dorzuciła - gdy ja w moim dworze byłabym wam chętnie dała najlepsze komnaty i daleko wygodniejsze pomieszczenie! Mam do was żal wielki.

- Ależ się nie godziło, choćby rannemu - rzekł rotmistrz - najeżdżać dom wdowi i odstraszać waszych przyjaciół.

- Ja lepszych od was i droższych mi nie mam! - grzecznie odstrzebiła wdowa. I tak poczęła się wesół rozmowa, która bawiła rotmistrza samą lekkością swoją, Ale do niej nie przywiązywał wagi. Zdawało mu się bowiem, iż zadość grzeczności uczynowszy piękna Ewunia, odwiedziwszy mężowskiego przyjaciela, łatwo i prędko o nim zapomni.

Tymczasem stało się inaczej; trzeciego dnia potem pukała Borzkowska znowu do drzwi i ze Szczypiosem się kłóciła, że jej do Bajbuzy puszczać nie chciał.

- Ale bo waszmość, z przeproszeniem, gbur jesteś! - wołała na głos tak, Aby rotmistrz z trzeciej izby mógł posłyszeć. - Jakże można niewieście wzbraniać wnijsia? Ja jestem dawną znajomą Bajbuzy, mąż mój był jego przyjacielem. Chcę go nawiedzać i pielęgnować w chorobie, A nie dać mu się nudzić.

Tak znowu szturmem wzięwszy komnatę Bajbuzy, weszła już jakby do domu, zajęła miejsce, A po przywitaniu, jak z rogu obfitości zaczęła sypać wiadomościami, gdyż stosunki mając nader rozgałęzione, wiedziała wszystko, co się działo, kłamało, zamierzało u dworu i "vox publica" dla niej nie miała nic skrytego. PŁoche to było szczebiotanie, Ale przychodziło po długich dniach ciszy i jednostajnego spoczynku, więc prawie było pożądanym Bajbuzie. Słuchał go uśmiechając się, A nawzajem wdowa wszystko, co rotmistrz jej mówił, z wielką, natężoną przyjmowała uwagą i poszanowaniem.

Wprędce bardzo zapanowała i nad Szczypiosem, który dobro i prostodusznie widział w niej poczciwe, litościwe kobiecisko. Wśliznęła się więc tak nieznacznie w życie Bajbuzy, iż wszyscy w końcu mówiąc o nim, wspominali o niej i wzajemnie. A chociaż w chorobie samej, gdy najcięższą była, piękna Ewunia wcale nie pielęgnowała rannego, nazywało się teraz powszechnie, iż ona się dla niego poświęciła.



Ani mogło postać w głowie rotmistrzowi, Ażeby ten stosunek miał jakie znaczenie i wagę. Piękna wdowa sama opowiadała o tylu swatających się do jej ręki, iż można się było spodziewać zamążpójścia prędkiego, A Bajbuza, śmiejąc się, mówił Szczypiorowi, że oto drugi może raz dla niej dziewosłębem będzie.

Raz się przekonawszy, że szczebiotania jej słucha chętnie rotmistrz i że ono go bawi, ze szczególną troskliwością się poczęła wysilać na to, Aby świeżuteńkie mu i najpewniejsze przynosić wieści. Miał je i z innych źródeł Bajbuza, lecz w ogóle pocieszającymi nie były.

On, jak wielka bardzo część przyjaciół hetmana, rachował na to, iż Zamoyski ster rządów przy młodym królu obejmie. Na to jednak zarządził wcześniej dawny przyjaciel hetmana, teraz pokrywomy przeciwnik, marszałek Opaliński. Starał się młodemu królowi odmalować go jako człowieka nienasyconej Ambicji, już posiadającego taką potęgę w kraju, iż zagrażał władzy monarchy. Malowano mu, jaką miał przewagę nad Batorym, A samo nawet postępowanie i zwycięstwo odniesione w czasie bezkrólewia dowodziło, czym był Zamoyski.

Młody Zygmunt dość już miał dumy, Aby narzędziem w ręku takiego wszechwładnego magnata być nie chciał. Stąd zimne naprzód przyjęcie przez króla, milczenie jego, usuwanie się od hetmana, okazywane mu niedowierzanie i niewdzięczność. Ze swojej strony Zamoyski czuł się i doswyc silnym, i czystym w sumieniu, Aby się nie płaszczyć. Stał jakby wyzwany do boju. Zamiast pierwszego doradcy króla, był obrońcą praw narodu u niego. Stosunek się zaostrzył.

Piękna wdowa wiedziała najmniejsze szczegóły o każdym posłuchaniu, jak gdyby na nie patrzyła, A powtarzała słowa króla, naśladowała poważny i uroczysty głos Zamoyskiego. Minka jej układała się inaczej, gdy przedstawiała Leśniowolskiego, moderującego zbyt ostre sądy i mitygującego pana marszałka Opalińskiego. Wszystko to potwierdzało się tak dowodnie, iż Bajbuza o prawdziwości doniesień wątpić nie mógł, A bolał go ten stan rzeczy jako zapowiedź przyszłości groźnej.

Na ostatek nie omieszkała Ewunia pod pieczęcią największej tajemnicy donieść Bajbuzie, iż młody król z uprzedzającą grzecznością, nadszkakiwaniem był dla więźnia spod Byczyny, którego hetman w Krasnymstawie trzymał. Na dworze króla żywiono, jak ona utrzymywała, jak największe dla rakuskiego domu współczucie. Szeptano już, że Zygmunt skorzysta ze zbliżenia się, Aby przefrymarczyć koronę, A razem pozbyć się siostry. Koronę pewnie przyjęto by ochotnie, gdyby Zygmunt nią miał prawo rozporządzać, Ale Anny, uparcie trwającej przy swych przekonaniach religijnych, żaden Arcyksiążę nie mógł wziąć za żonę.

Projekt ten, chociaż niby trzymany w tajemnicy, szlachta sobie z oburzeniem powtarzała. Król zamiast zyskiwać sercal, odstręczał je od siebie. Wszystko to niecierpliwilo, zrażało, zniechęcało rotmistrza, który stanowczo zapowiadał Szczypiorowi, że kopijników rozpuści i nazad

do Nadstyrza powróci. Tymczasem tylko myśleć o tym jeszcze nie można, bo rana nie pozwalała. Nie dała też ona Bajbuzie Ani się znajdować, Ani widzieć z dala nawet obrzędów pogrzebowych króla Stefana, na które królowa wdowa zjechała.

Wiedziano na dworze o tym, że młody pan, wyjechawszy naprzeciw przybywającej ciotki, pozdrowiwszy ją u bram miasta, już wyprzedzając chciał się puścić z powrotem na zamek, gdy poważna Jagiellonka, dbała o swe dostojęństwo, powiedziec mu poleciła, iż powinien być u jej kolebki jechać, bo to się przynajmniej należało. Znajdowali to wszyscy słusznym iż się o swe dostojęństwo upomniała.

Razem z królową, czego się nie bardzo spodziewał Bajbuza, przyjechała księżna. Dowiedział się o tym późno i natychmiast Szczypiora posłał z pozdrowieniem do niej, dowiadując się, czyli nie miała co do rozkazania. Lecz chorąży trafił snadź na uprzedzoną już księżnę, której doniesiono usłudnie, iż Bajbuza był rozmiłowany w Borzkowskiej, która go niemal co dzień odwiedzała i z nią go już żeniono. Przyjęła więc chorążego bardzo zimno, dziękując sąsiadowi za pamięć o niej. Nie wspomniała wcale o tym, co tu słydszała, lecz tak się pokazała zmienioną Szczypiorowi, iż był tym smutnie uderzony. A że około dworu słuchy chodziły razem, jakoby Kostka swych zalotów nie poprzestawał, A nawet Aż tu za księżną przyciągnął, połączył to w jedno Szczypior i odniósł Bajbuzie utyskując, że go bardzo chłodno przyjęto, A powodem temu nie co innego być musiało, tylko staranie i zabiegi Kostki, pomyslnym uwieńczone skutkiem.

Bajbuza, słuchając zarumienił się mocno, zaciął usta, Ale natychmiast przybrał twarz wesołą.

- Cóż ty mi to tak żalobnym tonem zwiastujesz? - rzekł do przyjaciela. - Cieszyć się trzeba, że jej Pan Bóg dał szczęście po myśli, jeżeli tylko to małżeństwo szczęśliwym nazwać można.

- Ja bo czego się innego spodziewałem! - zamruczał Szczypior. - Niewiasta jest piękna, stateczna, serce do was miała, wyście też ją miłowali, bo choćbyście się zapierali, jam tego pewien, byłem więc pewnym, że się pobierzecie!

- Patrzże ty na mnie - odezwał się Bajbuza - czy ja do małżeństwa stworzony jestem Albo w niewieście sentyment obudzić mogę. Starym ciurą jestem, A gorzej niż to jeszcze, na pół klerykiem, co jeśli nie na siodle harcuje, to nad papierami oczy i głowę psowa. Nie mam do małżeństwa przymiotów, A raczej na żołnierza lub mnicha... jedno z dwojga. Dlatego gdybym nawet się rozmiłował w kobiecie, nie będąc pewien, że jej szczęście dać mogę, po rękę nigdy nie sięgnę.

- Trochę mnie tym uspokoiłście - rozśmiał się Szczypior - bo, przyznaję się wam, obawiałem się, Aby ta utrapiona szczebiotka Ewunia nie opanowała was i nie zaprowadziła do ołtarza.

Bajbuza parsknął śmiechem głośnym.

- Tak-li to ludzi znasz, mój poczciwy Szczypiorze? - zapytał. - Prawda, że Borzkowska bardzo natrętną jest i zalotną, Ale tak samo ze mną, jak z drugimi, nic to nie dowodzi i do niczego nie doprowadzi.

Na ostatek długo obiecywane uzdrowienie, przychodzące tak powoli, ziściło się i rotmistrz wstał, chodził, A odziewać się zaczął, obiecując sobie wkrótce odzyskać swobodę, by użyć jej natychmiast i do Nadstyrza powrócić. Cały ten przebieg wypadków, którego był czynnym świadkiem, od pierwszych starań o wybór Zygmunta, Aż do jego przyjazdu do Polski, czynności Zamoyskiego, stosunki stronnictw, obroty ludzi gorzkie pozostawiły mu wspomnienia, przykre i bolesne wrażenie, upokarzające o charakterach pojęcie. Bajbuza, który z gorącością taką rwał się do czynu i uważał sobie za obowiązek poświęcać się dla dobra publicznego, widział teraz taki zamęt wyobrażeń, taką różność zdania, w samym zaś Zamoyskim tylekroć wahanie się, A niekiedy i pobódki Ambicji własnej, że tym mocniej o sobie zwątpił i o tym, czyby podołał innej sprawie, krom rąbania i rozpraszania nieprzyjaciela. Wcale inaczej wystawiał sobie zadanie życia swego. Ostygł teraz i zwątpił.

Szczypior widział tylko jedno, iż cierpiał i nieswój był, Ale bardzo poziomo wypisywał to babom i tłumaczył Kalińskiemu:

- Nie ma na świecie nic zgubniejszego, jak gdy człowiek między podwiki się wda. Żeby jak rozumnym i silnym był, nie przymierzając jak nasz rotmistrz, nie obroni się, oplaczą go. Naprzód się wieszał przy księżnie, no, niechby tam jeszcze, teraz go bodaj opanowała ta Ewusia, znajomość jakaś z dawnych czasów, A ta ma takie ostre szponki, że jak pochwyci, nie wypuści. On jej nie ujdzie, A jak się z nią ożeni, to przepadł. Będzie najnieszczęśliwszym, zamęczy się i zatruje.

Kaliński nie śmiał powadze Szczypiora się sprzeciwić.

- Tuby go może co rychlej stąd z Krakowa wywieźć, gdy już leków, Aptek i doktora nie potrzebuje. Ewusia ta przecie nie pojedzie za nim.

- Wywieźć? - podchwycił Szczypior. - Tego Ani ja, Ani się nikt podjąć nie może, bo on ma swą wolę upartą, której się nie zrzeka, chyba na korzyść niewiast.

Kaliński dowodził, że Kostka, chociaż za księżną gonił i głowę postradał, Ale ona o nim nie myślała wcale, A rodzina go zawsze do Dulskiej podskarbianki ciągnęła dla wiana.

Po przybyciu Kalińskiego, który przy królowej stale był A dla rotmistrza tajemnic nie miał, przybyło nowe źródło informacji o młodym królu. Bajbuza z niezwykłą sobie, gorączkową ciekawością o niego się dowiadywał, jak stoi u narodu, czy sobie na miłość u kogo zarobił, czym się zajmuje, kim otacza? Wszystkich szczegółów o tym dostarczał Kaliński, który codziennie na życie młodego pana patrzył.

- Milczący jest - mówił - na oko poważny, szczególnie gdy wie, że na niego ludzie patrzą, Ale gdy się zamknie w kółku poufalszym, rad się lada czym zabawia. Widywano go w dziedzińcach w piłkę grającego z księdzem Kapustą. Piłkę tę, A raczej kręgle, ktoś nieszczęśliwie podpatrzył, wieść o nich szeroko się o świecie rozbiegła; miano to za ogromną zbrodnię, że majestatu swojego nie szanował. Mówiono dalej, że ze złotnikiem dworskim pracował około rzemiosła, rąk królewskich niegodnego, że z malarzem Holendrem malował, że z kimś znowu Alchemią się i tygielkami zabawiał, A na ostatek nawet karty, karty na stole u niego widziano! Wszystkie te rozrywki dowodzące, że się okrutnie nudził i usiłował czymś zająć, niemal mu poczytywano za zbrodnię.

Dalej szło, że się samymi jezuitami otaczał, Ale pomiędzy tymi występowała piękna postać księdza Skargi, który właśnie był kaznodzieją dworu mianowany. Największym zaś zarzutem i powodem niechęci było, że król miał wielką cześć dla rakuskiego domu i dla niego sympatię. Przewidywano już, że będzie sobie miał za największy zaszczyt i szczęście z domem tym się połączyć, którego w Polsce się tak obawiano.

Zamoyski obchodził się też ze swym więźniem Maksymilianem ze względnością największą. Dawano mu wszelką możliwą swobodę na krasnostawskim zamku, Ale o niewiele chodziło, by korzystając z niej nie uszedł. Spisek już był ułożony. Miał się spuścić z murów po sznurze i z nocy korzystając, biec do granicy, nie podpisawszy układów i nie zabezpieczywszy Polsce, że się jej zrzecze, A nadal niepokoić nie będzie. Szczęściem w czas doszło to do uszów Zamoyskiego, który strażę podwoić i czujność powiększyć nakazał, tak że ucieczka się stała niepodobieństwem. Hetman, wolność przywracając więźniowi wojennemu, chciał z tego dla Rzeczypospolitej wyciągnąć korzyści. Mówiono, że król nierównie się powolniejszym gotów był okazać. Już naówczas przewidywano, że nieprzyjaciel i przeciwnik Zygmunta, dom rakuski, wkrótce zapewne stanie się jego sprzymierzeńcem.

Nie spuszczano z oka w Wiedniu nigdy raz usnutego planu, któremu owo sławne "Tu felix Austria nube..." \* służyło za podstawę. Małżeństwa mogły drogę utorować do spadku. Szlachta, co się tak opierała zażarcie rakuskiemu panowaniu, widziała się zawiedzioną i oszukaną, bo już, już, o małżeństwie przebąkiwano. Nie wiedziano tylko, czy sam król miał jaką Arcyksiężniczkę poślubić, czy siostrę za Arcyksiążęcia wydać. Ale siostry tej obawiali się wszyscy, nikt jej nie chciał. Ze zgrozą szeptano, że chodziła do zboru, A cała zręczność i umiejętność nawracania, którą słynęli jezuiti, o jej twardej upor niewieści się rozbiła.

Tu felix Austria nube... ( łac.)- - pełny tekst powiedzenia: Bella gerant Alii, tu, felix Austria, nube "Niech inni prowadzą wojny, ty szczęśliwa Austrio, zawieraj związki małżeńskie". Jest to Aluzja do licznych małżeństw dynastycznych Habsburgów.

W tej chwili przełomu właśnie się miała szala na stronę katolicyzmu przechylić. Dysydenci ruszali się jeszcze i dawali znaki życia, Ale siły tracili co chwila. W tych rodzinach, w których mieli najdzielniejszych obrońców i opiekunów, synowie najgorliwszych protestantów wykupywali i palili wydane przez ojców dzieła. Kościoły poobracane na zbory wracały duchowieństwu. Nowa wiara, nigdy nie tknąwszy ludu, wstrętliwa mu, obca, ograniczała się magnatami, szlachtą, nielicznym mieszczaństwem i miała na sobie piętno egzotyczne. Szerzono ją w języku pospolitym, Ale pospolitą i dostępną wszystkim uczynić nie zdołano. Zwrot już był widoczny. Zaburzenia i rozdwojenia czasu bezkrólewiołów w których po jednej stronie stali zawsze dysydenci, po drugiej katolicy i duchowieństwo, przyczyniły się też może do zrażenia od "nowinek", których pierwszym skutkiem było sianie waśni, rozterek, nie tylko w narodzie, Ale nawet w rodzinach.

Rotmistrz, gdy się tylko dosyć silnym uczuł, by mógł wyjść z domu i na świat się pokazać, musiał naprzód, przez należne dla niewiasty względy, odwiedzinami pięknej Ewuni za jej starania około siebie się wyplącić. W towarzystwie Szczypiora poszedł się do jej dworku pokłonić, A trafił w taką godzinę, że mógł o życiu i obyczajach swej dobrej przyjaciółki najlepsze powziąć wyobrażenie.

Nie spodziewano się go tu wcale. Izba gościnna pełną była młodzieży. Na stole wino stało i konfekty. Dwie piękne towarzyszkę dopomagały gospodyni w zabawianiu gości, A dla ludzkiego oka stary, zgarbiony, głuchy, daleki krewny jejmości siedział w krześle i drzemał.

Swoboda i wesołość panowały tu jak największe. Wejście Bajbuzy w pierwszej chwili zmięszło nieco wdowę, przy której właśnie siedział kasztelan i za rękę ją trzymając, na ucho jej coś prawił. Lecz nadto była pewną siebie, Aby ją cokolwiek mogło na długo rozbroić. Natychmiast zrobił kasztelan miejsce nowo przybyłemu. Towarzystwa pewna część zniknęła, w izbie ciszej się stało i poważniej, nawet głuchy staruszek się przebudził, uśmiechnął i spokojnie do nowego snu zmrzył oczy. Bajbuza wesoło się nastroiwszy do tonu, jaki tu znalazł, chwilę porozmawiawszy z piękną wdową, wychyliwszy malutki kubek za jej zdrowie, wprędce się wycofał.

- A co, Szczypiorze - odezwał się do niego w ulicy - nieprawdaż, wesoła wdówka?

Chorąży ramionami ruszył.

Nazajutrz Bajbuza pojechał na zamek, nie do króla, bo nie miał Ani powodu, Ani ochoty mu się stawić, Ale do starej królowej wdowy, która tu była jeszcze. Znalazł ją, zaprawdę lepiej, niż się spodziewał. Wszystkie swe złożywszy na Zygmuncie nadzieje, łudziła się i widziała je urzeczywistnione. Dla niej przyszłość była różową i świetną. Tłumaczyła wszystko tak, Aby się pocieszyć i uspokoić mogła.

W rozmowie naturalnie znalazł się hetman. Królowa Anna od panowania Batorego miała do niego żal i urazę, nie przejechała tym, że dał koronę siostrzeńcowi. Zimno wyraziła się o nim podnosząc, jak sownie nadaniem dwóch starostw na dziedzictwo Rzeczpospolita wynagrodziła jego zasługi. Ten dar był zarazem odprawą, miał znaczenie zapłaty długu sownej, Aby pozbyć się hetmana. Królowa Anna wyraziła się też, dając do zrozumienia, iż nowy król nowych potrzebował ludzi.

- Miłościwa pani - odezwał się rotmistrz. - Hetman dał dowody, że wcale jeszcze starym nie jest. Widzieliśmy go pod Byczyną.

Od królowej, przy której księżnej nie było, Bajbuza się dopytał do swej sąsiadki domagając, Aby mógł ją pozdrowić. Wyszła też do niego z uśmiechem nadrobionym na ustach, tak piękna, jeśli nie piękniejsza, niż była, nie okazując wcale, Aby żal jaki mieć mogła.

Cieszę się - rzekła - że was zdrowym widzę, przyjacielom waszym przyczyniliście stachu niemało.

Rotmistrz podziękował ukłonem.

- Zostajecie w Krakowie? - zapytała księżna po chwili.

- Nie - rzekł Bajbuza - powracam do Nadstyrza zdaje mi się, że tu już niepotrzebny. Wojna tymczasem skończona, król ubezpieczony na tronie, ludzi około siebie ma dosyć.

- Moglibyście i wy przy nim pozostać - odpowiedziała księżna - takiego rycerstwa zanadto mieć nie można. Zdalibyście się tutaj.

- Nie sądzę - śpiesznie przerwał Bajbuza. - Jam do dworu, A dwór dla mnie nie stworzony. Osobna to umiejętność obracać się około monarchów, dworować, bronić się od zawiści, stać na straży, łaskami się nie popsuć, oziębłością nie zrazić. Ja żołnierzem jestem przede wszystkim. Dopóki pokój, będę około mojego pracował zagona, zdrowiej mi w tamtym powietrzu. A wy mościa księżno - dodał - wróćcie nam kiedy na wieś?

Zarumieniła się piękna pani i oczy spuściła.

- Nie wiem - rzekła z pewnym wahaniem i jakby ośmielając się, siłą woli dokończyła: - Królowa Jej Miłość mnie swata.

- A! - wyrwało się mimo woli z ust Bajbuzie.

- Tak jest - mówiła coraz odważniej księżna. - Królowa mnie swata. Smutno jest na całe życie samą i bez rodziny pozostać.

- A więc? - spytał Bajbuza cicho.

- Prawdopodobnie - odparła wdowa - będę musiała... Jest to już prawie postanowione.

Bajbuza nie śmiał zapytać o imię wybranego, Ale księżna się sama domyśliła pytania i rzekła spokojnie:

- Królowa dla majątku życzyła mi kniazia Olelkowicza, Ale wiek jego i rodzina nie były stosowne. Pan Spytek Jordan zdaje mi się...

Nie dokończyła.

Rotmistrz na próżno w pamięci szukał tego Spytka.

- Nie jest on jednym z tych możliwych bardzo Spytków - dodała księżna - fortuna znaczna, Ale obciążona, wdowiec, ma dzieci, Ale człowiek jest miły i zdaje mi się charakterem mojemu odpowiedniejszym. Tak - dokończyła z uśmiechem smutnym - trzeba się zabezpieczyć od osamotnionej starości.

Bajbuza stał, słuchał, serce mu się dziwnie ścisnęło, budziła w nim litość, gdyż mówiła o swym przyszłym małżeństwie z jakąś rezygnacją męczennicy raczej niż nadzieją lepszego bytu.

Nie odpowiedział nic. Radzić Ani odradzać nie śmiał, rzecz się zdawała postanowiona, skończona.

- Dajże Boże szczęście! - rzekł w końcu po namyśle. - Wasza Księżęca Mość wiesz, żem jej zawsze życzył jak najlepiej. Nie znam pana Spytka, Ale z tego, że go Wasza Księżęca Mość wybrała, już wiele o nim trzymam. Niech Bóg błogosławi.

Skłonił się. Księżna podniosła oczy.

- No, A wy? - zapytała. - Słyszałam, żeście także postanowili stan zmienić.

- Ja, ja? - oburzony podchwycił Bajbuza. - Któż to tak nedorzeczną baśń mógł spleść Waszej Księżęcej Mości. Ja? Anim myślał! Ani mi to w głowie! Nie stworzony jestem na męża i zawsze to powtarzam, żołnierzem mi być lub mnichem.

- Jak to? - poruszona niezmiernie i nie tając się ze zdziwieniem, podchwyciła wdowa. - Nieprawdą jest, że myślicie się żenić z wdową Ewą Borzkowską, która was w chorobie pielęgnowała i nie wychodziła od was?

Bajbuza ramionami poruszył.

- Ewunię Borzkowską - rzekł - prowadziłem do ołtarza, gdy szła za nieboszczyka Jeremiego, dawna to moja znajoma, Ale płocha jest, młoda i jam nigdy o niej nie myślał!

Widocznie zmieszana się księżna, A Bajbuza, nie chcąc przedłużać rozmowy, zakończył:

- Niech Bóg błogosławi! Wracam do Nadstyrza. Jeśli mi co macie do polecenia, rad służę.

W milczeniu skłoniła mu się tylko księżna, której twarz okrywał rumieniec, A w oczach dwie brylantowe łzy świeciły i nie odpowiedziała już nic.

Zadumany powrócił rotmistrz do dworku.

- Szczypior - zawołał, wchodząc we wrota - już my tu nie mamy co robić! Żywo wydaj rozkazy, niech wozy smarują, konie kują i sakwy wiążą. Jedziemy do Nadstyrza. Tęsno mi za wsią moją!

Koniec części pierwszej

Część II



## Rozdział I

Upłynęło lat parę. I w Rzeczypospolitej, i w cichym i spokojnym Nadstyrzu zaszły zmiany, które życie sprowadza. Sama nawet naszej powieści główna postać pod wpływem czasu i okoliczności uległa pewnemu przeistoczeniu. Był ci to zawsze ten sam w głębi rotmistrz waleczny A marzyciel wielki, który się był gotów dla Rzeczypospolitej naprzód, potem dla wszelkiej ludzkiej, poczciwej i zacnej sprawy poświęcić, Ale doświadczenie, doznane zawody na ludziach ostudziły go znacznie. Życie zamknął w ciasniejszych szrankach, mniej już poza wsój kąć i ziemię wyglądał na widownię rozleglejszą, nie sądząc się do działania na niej powołanym. Za to w ciasniejszym tym kółku był on sługą wszystkich, rozjemcą i pomocnikiem, A w spełnieniu tego, dobrowolnie na siebie wziętego obowiązku, nie można go było nawet o chętkę zdobycia jakiejś wziętości posądzić. Niczego się bowiem nie dobijał, A często dla przekonania szedł wbrew ludziom, narażał się im, ścigał krzyki i nieprzyjazne przeciw sobie objawy. Patrzano na niego jednak z poszanowaniem, bo wszystkie te zwykłe sprężyny, co pobudzają ludzi do działania: miłość własna, próżność, chęć z bogacenia się, uzyskania władzy i przewagi obce mu były. Posądzał go niejeden, że się tak świętym czyni przez próżność jakąś, lecz najpilniej badając jego czynności, nic mu zarzucić, cienia na nim znaleźć nikt nie mógł. Potwarz spływała po nim jak woda po kamieniach, obmywając, A nie nadwerężając. Przyjaciele i niechętni szanować go musieli.

Dwór w Nadstyrzu powoli, nieznacznie się zaludnił. Przybył naprzód z rotmistrzem nieodstępny jego, poczciwy, oddany mu cały Szczypior, człek prosty, nie orzeł, Ale roztropny, nie mający też do orlego polotu najmniejszej chętki, druh i sługa wierny. Chociaż żołnierz z powołania, dał się skłonić Szczypior, że tymczasowo tu na spoczynek pozostał.

- Ja cię niewolić nie chcę - rzekł mu, gdy przybyli do Nadstyrza, Bajbuza. - Siedź, póki ci tu doberze, A nie kosztuje ofiary. Zateśkniesz w pole, konie masz, oręż jest, pachółków ci dam, ruszaj. Tymczasem pilnego jeszcze nie ma nic, A co ty będziesz robił tam na leżach lub na granicy? Zawszeć droga otwarta, tymczasem spoczniij.

Szczypior się na to chętnie zgodził. Lasy dokoła w kluczu i majątnościach Bajbuzy były ogromne, A zwierza pełne, psy miał rotmistrz doskonałe, stajnie były pełne koni. Było się czym i zabawić, i czego pilnować. Sam Bajbuza też chętnie od czasu do czasu na łowy ciągnął i w lesie przesiadywał w szałasie.

Sąsiedztwo bliższe i dalsze, gdy się o rotmistrzu dowiedziało, że z wielkiego teatrum, od dworu, od hetmana, z boju pod Byczyną przybywał, ciekawe nowin i człowieka, napływało do Nadstyrza. Dworzec stary, obszerny, stał gościnnie otworem, choćby największej liczbie przybywających. Przyjeżdżał szlachcic z tym, że miał wieczorem powracać, zostawał na noc, A często i tydzień przesiedział.

Za jednym, który opowiadał, co słyszał i widział w Nadstyrzu, płynęli i drudzy ciekawi. Starzy się legitymowali tym, że nieboszczyka znali i jejmość z kniaziów Kurcewiczów, macierz pana rotmistrza, inni mu się przypominali, że na jednej z nim ławie w szkole, choć z daleka, siedzieli. Rad był wszystkim, A nie chciał lub nie mógł po całych dniach siedzieć z nimi, zastępował go Szczypior, zawsze gotów do pustej gawędy i do kubka.

Potem nieznacznie poczęto Bajbuzę pociągać za pośrednika i rozeznawcę, że spokojnego umysłu i sprawiedliwym był. Zwaśniła się szlachta, jechał jeden z nich, jak w dym, do Bajbuzy, A rotmistrz chętnie się zgadzał zgodę czynić i od sądów odciągać. Ale kto się nie czuł praw, ten do niego się nie uciekał, bo się przekonano wprędce, że najlepszego przyjaciela potępił, gdy spawę miał złą

- Ja cię kocham bardzo - mówił. - Gotówem wszystko dla waszeci uczynić, Ale sumienia przyjaźni nie sprzedam. nie masz słuszności za sobą.

Znano go z tego, że nielitościwym był prawdomówcą, lecz nawet gdy najprzykrzejsze musiał komu czynić wyrzuty, czynił to łagodnie i bez gniewu; starał się błąd wytłumaczyć, winę zmniejszyć, rankory łagodzić.

Bywało, że szlachcic obrażony tym, iż za nim nie poszedł krzyknął:

- Z przyjaźni kwita!

Kłaniał się naówczas Bajbuza i mówił:

- Z Panem Bogiem.

A najczęściej potem, ten co kwitował tak porywczo, wracał nazad i przeproszał.

Wiedziano, że choćby setny raz był obrażony zawsze się dał przebłagać. Zburczał tylko, bez gniewu. Samo potem jakoś z tego urosło, że rotmistrz gdy zasłyszał o bezprawiu, o kłótni, o zgorzeniu jakim, choć go nie wzywano przybywał, Aby zwaśnbionych jednać i pokój przywrócić. Bywało tak, że mu nadąsany przymówił:

- Nie wdawaj się w to, co do ciebie nie należy.

- Jak nie należy? - odpierał Bajbuza. - A to mi się podoba! Szlachtą jesteśmy, do jednej rozrodzonej należymy rodziny, jakże to może być, Abym ja się w tej sprawie nie czuł interesowany? Uczynisz waszeć bezprawie zakałę przez to - nam wszystkim. Jeżeli ja temu zapobiec mogę, tom powinien. Nie zechcesz mnie słuchać, wola twa, Ale ja w sumieniu uczuję się czystym, zem choć ratować próbował.

Drudzy się wyśmiewali, gdy im te prawdy głosił, i powiadali:

- Na kazalnicę się powinien był sposobić!

Koniec końcem na okół nie było nad niego. Zazdrościli mu ci, co się za wziętością ubiegali, lecz drogi nikomu do niczego nie zagradzał. Wielu utrzymywało, że w końcu duma jego

się odkryje i sięgnie po jakieś dostojęstwa. Wiedziano o tym, że go znał i cenił hetman, że dobrze był ze Stanisławem Żółkiewskim, że jako rycerza i jako człowieka wysoko u dworu położeni szanowali go, że miał mir u królowej wdowy, która, prawdę rzekłszy, dotąd mu pożyczonych pieniędzy nie powróciła, A Bajbuza milczał i nie upominał się. Zdawało się więc wszystkim, że się to skończy na jakiej kasztelanii, starostwie, A bodaj potem wyższym krześle. Ale o tym tu wcale słyhać nie było, A Szczypior śmiejąc się upewniał, że gdyby mu ofiarowano krzesło, nie przyjąłby go może.

Będzieli Rzeczpospolita potrzebowała oddziału i ręki dzielnej, wystawi znowu kopijników, da pieniędzy, Ale się o zapłatę za to upominać nie będzie, bo powiada, że to czyni dla ojczyzny milej jako syn, A od matki nagrody syn nie wyciąga.

Ci, co tego zrozumieć nawet nie mogli, milczeli, głowami potrząsając. Bajbuza w ogóle na ludzi się nie oglądał, chwalili go, nie nadymał się, ganili, szedł swą drogą, nie oglądając się.

Przekonywano się tak często, iż po sobie słuszność miewał i co przepowiedział, to się ziściło, iż potem bieżono do niego po radę i zdanie.

- Cóż to z tego będzie? Co czynić mamy?

Ale rotmistrz ostrożnym był, A gdy rzeczy niepewien się czuł, milczał lub otwarcie zeznawał:

- Czekajcie, nie dojrzało to jeszcze, sądzić nie pora. Ja nie rozumiem.

- No! - mówiła szlachta - jeżeli Bajbuza nie rozumie, to już my się nie mamy co porywać.

Oprócz Szczypiora, który już się tak zasiedziało, że nie myślał opuszczać Nadstyrza, choć czasem zdawało mu się, iż tu jest gościem, liczba rezydentów z każdym dniem rosła. Działo się to nieznacznie, niepostrzeżenie, bez żadnej o to umowy. Zjawiał się jakiś biedak, który nie wiedział, co ma począć z sobą, często nie sam nawet, Ale z dwójgiem czeladzi i z kilku końmi.

Nikt go tu nie znał, on nikogo. Szczypior naprzód gości takich przyjmował, A wiedział, iż nikogo odprawić nie godziło się. Szły więc konie do stajni gościnnych, czeladź do czeladnych izb, wóz pod szopę, A gość dostawał komorę lub choćby łóżko, z kim drugim dzieląc izbę. Siadał potem do stołu, opowiadał "curriculum" vitae, \* słuchano go i pobyt się przeciągał, bo mu tu było jak u Boga za piecem.

Curriculum Vitae ( łac.) - życiorys.

W ten sposób dostał się tu naprzód po powrocie rotmistrza niejaki Rożek, szlachcic, który przy Hołubku był pod Byczyną. Stanowiło to rodzaj pobratynstwa, bo mogli mówić o tym sławnym A oplakany boju, gdy się pierwszy raz pono od niepamiętnych czasów krew polska od oręża polskiego polała. Rożek był rycerz dzielny, miał tego niewątpliwe dowody na całym ciele, bo rzadko tak porąbanego szpetnie widzieć było można człowieka, Ale też bezwstydnie kłamał. W

uniesieniu czasem takie prawili duby smalone, że ludzie od śmiechu pękali. Pił też i jadł okrutnie, A gęba mu się nie zamykała. Sam jeden jak palec, odarty dosyć, z troskami za kulbaką starą, na koniu skóra i kości, przybył do Nadstyrza. Kto go tu przyłał? Opatrzność Boża. Rotmistrz starego już, kalekę niemal, ubogiego, przyjął jak najserdeczniej. Szczypior mu otwarcie powiedział:

- Siedz sobie, póki chcesz, chleba ci nie pożałują, koń się odpasie i ty wydobrejesz na lepszej stawie, Ale zachowuj się spokojnie, burd nie rób, bo on tego nie lubi. Przestrzegam też, jeżeliś po żołniersku nawykł do wiejskich bab się zalecać, że u nas to nie uchodzi.

- Cóż, klasztor? - Rozśmiał się Rożek.

- Zwij to tam jako chcesz - odparł Szczypior - Ale wiedz, że gdy do Bajbuzy dojdzie skarga, nie masz co, ino konia siodłać i ruszać precz.

Rożek nadto głodnym był, A opatrzone go z rozkazu rotmistrza przez szatnego zaraz tak sownie i konia mu pielęgnowano, że gotów był do wszelkich praw domu się zastosować. Bajbuzie się nie naprzykrzał. Przychodził do stołu, zabawiał opowiadaniem, śmiano się z niego, A potem szedł spać do gościnnej izby. Tu chociaż zegarka nie miał, czy wytrąbiono na obiad lub wieczerzę, czy nie, miał taki instynkt przedziwny, że punkt o godzinie, gdy do stołu siadać było potrzeba, znajdował się już na miejscu. A że częstokroć dla gości przekąski i niejedną raz podawano, stawał dla towarzystwa, choćby się najczęściej powtarzało i gotów był przepijać do każdego, ile razy było potrzeba. W kilka tygodni tak już tu przystał, oswoił się, poznał nawet ze psy podwórzowymi, wszystkich kuchtów umiał po imieniu i nazwisku mianować, jak gdyby się tu narodził. Szczypiorowi był wielce dogodny, bo go wyręczał w łajaniu, A kłał tak zamasywiście, dobitnie, iż można było powiedzieć, wykwinie, coraz z nowymi inwencjami, że i to zabawiało nawet.

Ponieważ do kościoła parafialnego dosyć było daleko, A rotmistrz dbał o to, Aby bez Boga nie był on sam i służba, z dawna więc kazał postawić kaplicę przy ogrodzie. Ale czasu tych różnych wypraw, chociaż już była pod dachem, nie dokończono jej wewnątrz i pustowała. Po powrocie spod Buczyny zawinął się rotmistrz i kaplicę nie tylko dokończono wewnątrz, Ale we wszystkie Aparaty zaopatrzone. Łożył na to po pańsku, nie żałując i mówił:

- Występujemy dla królów, A dla Króla królów byśmy skąpic mieli? Prawda, że On tego nie potrzebuje, bo Jemu lasy hymny śpiewają i rzeki się modlą swym szumem, A świątynią Jego świat cały, Ale my, biedni ludziska, musimy Go do kościołów dla siebie wpraszać, bośmy mali i inaczej byśmy Go nie widzieli i nie zrozumieli, A co najgorzej, zapominali o Nim.

Gdy kaplica była gotową, obejrzał się za kapelanem Bajbuza. Chciało mu się zakonnika, Ale o tego niełatwo było, musiałby się mieniać, bo za klasztorem zawsze żyć nie mógł. Tymczasem nastreczył się przypadkiem ksiądz o kulach, dla nóg chorych, biedny, bo mu probostwa dla zdrowia dostać nie było można, A nie miał nikogo, co by mu wyrobił takie gdzie by wikary za niego

obowiązki spełniał. Ten ksiądz, Jacek Rabski, którego żywot pono był bardzo burzliwy i nieszczęśliwy, jak do portu dopłynął do Nadstyrza. Jeździł tak biedny prawie o żebranie, A choć dobrego rodu, nie wstydził się tego i mówił:

- Pan Bóg mnie tak pokarał, z ręki Jego wszystko przyjąć potrzeba.

Jak innych gości, księdza też uczciwie ugoszczono w Nadstyrzu. Spytał go zaraz rotmistrz, czy mszę świętą odprawić ma prawo i zdoła. Odpowiedział Rabski, że gdzie tylko kościół po drodze, wszędzie nie omieszkiwał, A choć o kulach do ołtarza szedł, przy ołtarzu mógł się bez nich obejść.

Kaplica już była przez biskupa łuckiego poświęconą, nazajutrz proszono Rabskiego o mszę świętą. A że rzadko się ona tu odprawiała, kapliczka była pełna i nabożeństwo się odprawiło, jak nie można piękniej. Sam rotmistrz, który ministranturę doskonale pamiętał, służył do mszy ze Szczypiolem.

Rabski przy stole i w rozmowie okazał się, kim był, to jest wielce obytym ze światem i ludźmi świadomym, A nawet odczytanym człowiekiem. Miał tylko jedną wadę, która później dopiero jawną się stała, temperament tak gwałtowny, że czasem, nie umiejąc się powstrzymać, wybuchał i od zmysłów niemal odchodził. To nieszczęśliwe usposobienie i niemoc do panowania nad sobą wszystkich nieszczęść, A nawet choroby księdza Rabskiego były przyczyną. Ale w domu rotmistrza, między mężczyznami, mniej to było niebezpiecznym niż gdziekolwiek indziej. Nie zapraszał go zrazu rotmistrz Ani on może myślał o tym, by tu mógł pozostać, Ale Bajbuzę zdjęła litość wielka.

- Co ten nieszczęśliwy z sobą pocnie - mówił w kilka dni potem do Szczypiora. - Gdyby się tylko jako tako chciał zachowywać, A burzy mi nie wzniecał, chętnie bym go za kapelana wziął. Niechby choć w niedzielę mszę świętą odprawił, zdrowiej by u nas z tym było. Co myślisz?

Szczypior miał zwyczaj zawsze to myśleć, co Bajbuza. Znajdował więc wniosek jego doskonałym. Postanowiono poczekać, pomyśleć, A księdza wstrzymywać. Temu zaś tak było dobrze w Nadstyrzu, iż Panu Bogu dziękował, że choć kilka dni odetchnie. Natura w księdzu Rabskim była szlachetna, Ale krew popsuta i zburzona. Każda niepoczciwość go poruszała i gniewała niewypowiedzianie, A gdy się uniósł, rosło stopniowo uniesienie, czasem Aż do szału, gdy go chciano powstrzymać.

Bajbuza zmiarkował, że chcąc go mieć znośnym, nie potrzeba było niczym drażnić. On też sam, tyle już wycierpiawszy, przez krewkość swoją, zaczynał się poskramiać. Doradził mu ktoś, Ażeby gdy w sobie do porywczosci tej czuje skłonność, póty ust nie otwierał, dopóki Ojciec nasz i Zdrowaśki nie zmówi. Skutkowało to nieźle i Rabski się mitygował. Raz zaś w usposobieniu

łagodnym człowiekiem był najmiłszy w świecie, z tym tylko, że ta żółć, którą w sobie nosił, czyniła go zbyt surowym ludzkich spraw sędzią. Sądził bez miłosierdzia.

Po kilku tygodniach pobytu w Nadstyrzu objął tu Rabski kapelanią. Dano mu do tego chłopaka, którego z sobą przywiózł, pomoc dla posługi, dobre mieszkanie, wygody, A nawet wolność przychodzenia lub nie do wspólnego stołu. Miał oprócz tego książki, ciepły kąpiel, ludzi, gdy chciał; nie mogło mu być lepiej. Na obiady, chyba gdy zbyt brzydka pora była, nie przychodził, inaczej zawsze się stawiał i "Benedicite" \* odmawiał.

Benedicite ( łac.) - początek psalmu 65 - 133: Benedicite Deum Dominum... - Chwalcie Boga Pana..., używany jako modlitwa przy stole.

Na ostatek przybłąkał się tu jeszcze niejaki Przygodzki. Ten też niegdyś służył rycersko, potem gospodarzył, wreszcie nowicjat u bernardynów rozpoczął, wywłókszy się wprędce, w mieście osiadł, A nawet handlował kosztował, Ale nigdzie nie wytrzymał. Utrapiony był człowiekiem z tym, że coraz mu nowe myśli i zachcianki przychodziły, zapalał się do nich i nigdzie nie wytrzymał. Jąkał się przy tym, śpiesznie i śmiesznie mówił, co go czyniło w towarzystwie pociesznym. A że obudzając śmiechy, nie gniewał się i znosił je, znoszono go. Przygodzkiego tu przez litość przygarnięto, bo już nie wiedział, co czynić z sobą i z tym się oświadczał często, iż sobie życie odbierze. Szczypior dowodził, że i tego nie uczyni, bo nimby węzła zaplątał na stryczek, już by mu się odechciało, A gdyby się miał topić, toby go woda zimna odstraszyła.

Pomiędzy innymi przymiotami tego nieszczęśliwego było, że na myślistwie się znał, szczególnie na wabikach, sidłach i różnych kunsztach łowieckich, A również do łowienia ryb był wprawny, czy z sakiem, czy z wędką, czy z niewodem. Miał więc w Nadstyrzu robotę, A znudziło mu się w lesie, szedł nad rzekę i tak żył tu jakoś, nie wyrывая się dalej.

Po przybyciu do domu, Bajbuza się o księżnę dowiadywał razy kilka, Ale w majątku o niej nie wiedziano nic, oprócz że się spodziewać nie kazała. Potem nadeszła wiadomość, iż księżna została panią Spytkową i że miała wraz z mężem zjechać do majątności na czas krótki dla obejrzenia jej.

Z powodu tego, gdy mowa była o Spytkach Jordanach w ogóle, A Rabski genealogie wszystkie znał doskonale, chwalać się tym nawet, że panu Paprockiemu \* wiele dawał niegdyś wskazówek, trafił zaraz na tego, który miał być mężem pięknej księżnej Teresy. Był to człowiek majątkowo bardzo już, jak się wyraził, cienko śpiewający, choć włości były obszerne. Dzieci przy tym z pierwszego małżeństwa miał dorosłe. Sam on zaś, wielki włóczęga, niegdyś po wszystkich dworach europejskich znany, ulubieniec księcia Ferrary, w łaskach u cesarza Rudolfa, znany na francuskim dworze, miał być, zdaniem księdza Jacka, wielce ujmującym, miłym, światłym, gładkim ze wszech miar człowiekiem. Nic mu zarzucić nie było można, bo i w sztuce rycerskiej

celował, i mówić umiał, i umysłu był bardzo przenikliwego, Ale statku w tym nie było. Opowiadano o nim historie różne, jakie po dworach tych miewał, zawsze zakończone smutnie, A wszystkich ich powodem były kobiety.

Bartosz Paprocki ( ok. 1540 - 1614) - Autor dzieła "Herby rycerstwa Polskiego".

- Jeżeli się Albo, sam już postarawszy, umiarkował, lub go żona młoda potrafi w mierze utrzymać, uspokoić i uczynić sobie wiernym, szczęśliwą z nim być może. Lecz przysłowie powiada: czym się skorupka za młodu napoi, tym na starość cuchnie. Tego się obawiać należy.

Oczekiwano potem długo na przybycie państwa Spytków do majątności, którą księżna dożywociem trzymała, Aż przyjechali nareście. Doszła wieść o tym, że dworno bardzo, szumno, świetnie, ludno przybyli i ledwie się pomieścić tam mogli.

Wkrótce potem Spytek sam zjawił się z odwiedzinami w Nadstyrzu, politycznie bardzo dziękując rotmistrzowi za okazywaną niegdy terażniejszej żonie jego sąsiedzką zyczliwość i opiekę.

To, co Rabski o nim mówił, całkowicie się sprawdziło. Spytek był, Acz niemłody, mężczyzna piękny jeszcze bardzo, w obejściu się więcej Włoch niż polski szlachcic, wymówny nie tylko we własnym, Ale w pięciu czy sześciu obcych językach, prawdziwy kortedżianin. \*chodził nawet ubrany z włoska lub hiszpańska twierdząc, iż polski struj i golona głowa niewygodną była. Podobał się rotmistrzowi, bo się może o to starał, lecz Bajbuza uczył i otwarcie potem oświadczył, że w tym wszystkim, co tak pięknie mówił, wiary nie miał. Lekko, płocho, A nadto względnie dla drugich odzywał się o wszystkim.

Kortedżianin lub kortezanin ( z wł.) - dworzanin.

Rzecz oczywista, iż Bajbuzie natychmiast należało odwiedzić tego sąsiada, A rad był księżnę zobaczyć. Pojechali więc ze Szczypiosem oba. Tłumaczył się Spytek iż, będąc gościem sam, przyjmować ich nie mógł, jakby pragnął. Wyszła księżna. Bajbuza ją znalazł smutnie zmienioną, bladą i choć się siła na to, Aby szczęśliwą okazała, wszystko mówiło, iż nią nie była. Mąż okazywał dla niej miłość i względy, jakie może we Włoszech nie raziły, wychodząc na okaz, Ale w Polsce one dziwnymi się wydawały, bo u nas poszanowanie uczuć człowiekowi najdroższych było takie, że ich przed publiką nie obnażano.

Spytek nie na męża, Ale raczej na "cavaliere" starającego się wyglądał. Ona, ciągle się rumieniąc, skłopotana, zmieszana przyjmowała te objawy tak dalece, iż prostoduszny Szczypior mówił potem:

- Chyba on to dla ludzi tylko takim się okazuje czułym, bo ona to przyjmuje, jakby się zuchwałemu kłamstwu dziwiła.

śmiał się z tego Bajbuza, lecz instynkt Szczypiora pono nie zawiódł. Spytek o swych majątnościach, dobrach dostatkach i zamku starym mówił też nadto wiele, A ludzie służebni, gdy wracali do Nadstyrza, rozpowiadali, że we dworze wcale dostatków i zamożności widać nie było.

Rotmistrz przykro był uderzony tym, iż na twarzy księżnej Teresy szczęścia, którego się spodziewała, nie wyczytał. Stosunek ze Spytkiem zresztą trwał krótko, bo on tu nie bawił długo. Wypuścił majątność żony dzierżawą, przy czym sobie dokończyć kazał parę tysięcy i raz jeszcze odwiedziwszy Nadstyrze, nagle potem z żoną zniknął.

Z tego, co nowy opowiadał dzierżawca, wnosić było można, że ów pan rozległych włości, w tej chwili żadnym był grosza bardzo. Ludzie podszeptowali, iż z żoną dosyć się ostro i bezwzględnie obchodził.

Zasmuciło to wielce Bajbuzę, Ale miał też wiele innych powodów do niepokoju i troski. Wszystko, co go dochodziło ze stron różnych, jakoś panowania świetnego i spokojnego nie rokowało. Wprawdzie wiadomości pod owe czasy przychodziły niezbyt pewne, często zafarbowane przez tych, co je przynosili. Nie drukowano jeszcze dzienników, biegały z rąk do rąk przepisywane korespondencje, A te w głąb kraju przychodziły późno. Szczególniej przykrym to było Bajbuzie, którego sprawy publiczne nie przestawały obchodzić, choć miał teraz pewien wstręt mieszać się do nich.

Dowiadywał się ze wszech stron i jak najdobitniej, że między królem A Zamoyskim rozbrat był stanowczy. Ale słuchając o nim tu, w Nadstyrzu, nie wiedzieć, co było myśleć. Miałli słuszność młody król, że hetmanowi się powodować nie dawał, A do Radziwiłłów skłaniał, czy Zamoyski, który w imię kraju domagał się tego, czego dać nie chciano?

Z bliska poznawszy hetmana, Bajbuza za nim ciągnął, Ale z drugiej strony ci, co go o dumę, chęć panowania, o Ambicję nienasyconą obwiniali, także nie bez pewnych podstaw zarzuty te mu czynili.

Po owej bytności w Rewlu \* i widzeniu się z ojcem, gdy potrzeba było całej siły biskupa Baranowskiego, Aby Zygmunta wstrzymać od opuszczenia Polski, w chwili właśnie, gdy jej wojna z Turkiem zagrażała, miał Zamoyski chwającego się z tego czynu biskupa zburzyć:

Zygmunt III widział się z ojcem w Rewlu ( w Estonii) w sierpniu 1589 r.

- Było go puścić! Z Panem Bogiem, niechby sobie do Szwecji powracał. My nigdy z niego nie zrobimy króla prawdziwie polskiego. Mamy już takie szczęście! Mówi on po polsku, Ale myśli po niemiecku, A gdyby nie królowa wdowa, na zamku by słowa chyba w języku naszym nie posłyszeć. Otaczają go Szwedy, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, A weneracja \* dla domu rakuskiego górą nad wszystkim.

Weneracja ( z łac.) - szacunek, podziw, cześć.



Ten rozbrat pomiędzy królem a hetmanem, gdy coraz się wybitniejszym stawał, coraz głośniejszym, a przywodziło różne fakty, które miały zniechęcić Zamoyskiego, między innymi oddanie pieczęci nie temu, którego kanclerz zalecał, a potem usunięcie ode dworu wszystkich, co hetmanowi byli przyjaźni, między innymi i bardzo umiarkowanego Leśniowolskiego, co to króla ze Szwecji przywiózł, dał wielce do myślenia Bajbuzie. W prawości i prostocie swego ducha nie mógł on pojąć tego, aby mąż tak wielki, jak Zamoyski, o którym on miał wyobrażenie tak wysokie, dla jakichkolwiek względów prywatnych, z pobudek miłości własnej mógł działać.

- Źle być musi z królem, kiedy hetman staje przeciwko niemu i zgodzić z sobą nie mogą!

Chętka go brała niezmierną sięć na koń, ruszyć bodaj wprost do Zamościa, który właśnie się naówczas budował, rozrastał i na jakąś vicestolicę przerabiał, stanąć przed dawnym wodzem i wprost go spytać:

- Wytlumacz mi, dlaczego to czynisz? Nie można pojednać was, abyście szli razem, zamiast stać jako nieprzyjaciele?

Lecz natychmiast przychodziła mu uwaga, jakim on prawem mógł tak przemawiać do hetmana? Chodził jednak niespokojny i zachmurzony. Wieści po kraju tymczasem uparcie się szerzyły, że król, chociaż do Szwecji nie odjechał, ciągle z dworem rakuskim rokował, aby mu odstąpić korony. Oburzało to Bajbuzę. Jakimże prawem?! Nie była ona dziedziczną! Mógł ją porzucić jak Henryk, ale nią frymarzyć nie miał najmniejszego prawa. Nie było tak dalece z kim w Nadstyrzu o tym rozprawiać oprócz księdza Rabskiego. Rotmistrz się niepokoił. Niekiedy sumienie go dręczyło. On tu na wsi sobie spokojnie zażywał wczasu, a kraj tymczasem na łup był oddany prywatnie i ludziom, którzy o jego losy nie dbali. Bajbuza byłby chętnie się poświęcił i bodaj ostatni grosz dobył ze skrzyń w lochu stojących, ale w którą się tu obrócić stronę?

Po długich rozmyślach, zasłyszawszy, że król znowu w Krakowie gościł z królową wdową i królewną Anną, nie mówiąc nikomu powodów, jakie go skłaniały do podróży, w miejscu swym na gospodarstwie zostawiwszy Szczypiora, z małym poczem, pod pozorem błahym, wyjechał do Krakowa. Istotną pobudką było, aby na własne się przekonać oczy, co się tam działo. Wiara w Zamoyskiego czyniła go już nieufnym, prawie niechętnym królowi. Mając ten cel na widoku, Bajbuza naturalnie nie potrzebował śpieszyć, jechał rozglądając się i rozszuchując, a że ze służby wojskowej znajomości miał liczne, badał każdego, z kim się zetknął.

Ogólne usposobienie w kraju znajdował wszędzie prawie królowi niechętnie. Duchowieństwo tylko sławiło go z pobożności wielkiej, a szczególnie jezuici wynosili pod niebiosa, bo oni tu największy wpływ mieli. Rotmistrz miał to szczęście z dawnych lat znać księdza Piotra Skargę, o którym mu powiedziano, że królewskim kaznodzieją byłznaczony, a że

z nim niegdyś wielce się był poprzyjaźnił i był jego wielbicielem, cieszył się tym, że od niego prawdy się dowie i na tym, co mu ksiądz Skarga powie, będzie mógł polegać.

Tymczasem podróż ta powolna do stolicy, w ciągu której go kilka razy dawni towarzysze bronili zatrzymywali i odciągali, coraz większym niepokojem i niepewnością umysł jego napełniała. Narzekano powszechnie, skarżono się, utyskiwano, malkontentów nie mniej było jak za Batorego.

- Może to w naturze naszej jest - rozumował Bajbuza - że my nigdy się tym, co mamy, nie zaspokajamy, A coraz lepszego szukamy. Może to i dobrym jest, że nam powszedni chleb nie starczy, A na ziemi chcielibyśmy stworzyć "civitem Dei", \* Ale gdzież do tego królestwa weźmiemy obywateli.

Civitem Dei ( łac.) - państwo Boże.

Zdawało mu się chwilami, że warcholskiego ducha należało poskromić, wszakże do tego dążył hetman za Batorego, A tu teraz on sam warcholić poczynał... Rodziła się tedy wątpliwość w jego umyśle, kto tu miał słuszość. Którą drogą iść?

- Nim mi się uda zobaczyć hetmana - mówił sobie - spotkam się z księdzem Skargą. Ten mi powie prawdę.

Przypominał sobie z przyjemnością te czasy, gdy dawniej go widywał w skromnej celi, wśród ksiąg, gdy umysł znużył pracą, odpoczywającego przy ręcznej robocie i przy żywej rozmowie, razem klejącego pudełeczka, oprawiającego księgi, malującego obrazki dla dzieci, szyjącego nawet, gdy było potrzeba, i naprawiającego skromne suknie swoje. Ta prostota obyczajów przy umyśle wyższym, przy takim darze słowa, że nawet w powszednich stosunkach wywierało ono wrażenie porównawcze, napełniało Bajbuzę czcią i uwielbieniem dla niego. Mówił myśląc o nim:- "Ecce homo!" \*

Ecce homo ( łac.) - oto człowiek; domyślnie: człowiek szlachetny, doskonały, wzór do naśladowania. Powieściowy portret księdza Skargi ( właściwe nazwisko: Pawęski) został przez Kraszewskiego namalowany według tradycyjnych wyobrażeń o tym wielkim kaznodziei. W istocie rzeczy, jak wszyscy przedstawiciele zakonu jezuitów, spełniał on na dworze królewskim ściśle określoną rolę polityczną. Król był posłusznym narzędziem w rękach przedstawicieli Kościoła. Rolę taką spełniał zresztą Skarga z głębokim przekonaniem o jej użyteczności dla dobra kraju.

Dawniej wyrazy te w zapale stosował do hetmana, teraz już jakoś zwątpił o nim nieco. Człowiekiem dla niego był, Ale tym, o którym mówił rzymski poeta, iż nic ludzkiego obcym mu nie było, nawet słabości. Bajbuzie się nie podobało to fundowanie wielkości własnej i stolicy przeciw stolicy, Akademii przeciw Akademii, dworu przeciwko dworowi. Opowiadano mu, że hetman gromadził około siebie możnych, tworzył stronnictwo, zabierał się może na sejmie stanąć

przeciwko królowi. To mu hetmana czyniło mniejszym, słabym, Ale go nie potępiał, bo chciał wiedzieć, słyszeć i przekonać się, czy to, co opowiadano, prawdą było istotnie.

Z głową pełną najsprzeczniejszych pogłosek, zdań, rozsiewanych szyderstw i przekąsów, sam nie wiedząc, w czym prawda była, dobił się Bajbuza do Krakowa. Pierwszy niemal, z kim się tu spotkał, był poczciwy Kaliński, który we dworze bawiąc, jak gąbka nasiąknął tym, w czym był zanurzony. Potrzebował go tylko nieco pocisnąć, Aby z niego dobyć, co chciał. Kalina przybiegł uradowany, A humor jego urósł jeszcze, gdy zaraz na wstępie otrzymał gościńca, parę pistoletów kosztownych, jakimi się pochlubić było można. Ust mu nie potrzeba było otwierać. Przyniesiono wino i przekąski, Kaliński siadł i potoczyły się opowiadania o dworze, o królu, o królownie, o już po cichu obmyślanym małżeństwie, których Bajbuza słuchał z nadzwyczajnym zajęciem. Na pierwsze zapytanie o hetmana, Kaliński ręką zamachnął.

- Nieprzyjaciel nasz jawny jest! - zawołał.

## Rozdział II

Tegoż wieczora zapytał Bajbuza o księdza Skargę, bo w tym największą ufność pokładał. Ksiądz Skarga był w Krakowie na dworze i wymową jego zachwycali się tu wszyscy. Widzieć się z nim mógł każdy, chociaż zajęty był bardzo swą polemiką z dysydentami i innymi pracami, A na świat i między ludzi nierad wychodził.

- Juścić mnie, starego sługę swojego, gdy zapukam do celi, wpuści.

- Nie wątpię - rzekł Kaliński - Ale jeżeli przez niego chcecie co u króla sobie wyrobić - ja bym raczej radził do Gołyńskiego, spowiednika i doradcy się zwrócić. Ten tu więcej znaczy niż ksiądz Skarga, który do świeckich spraw niechętnie się mięsza.

Bajbuza śmiać się na głos zaczął.

- A, Kalino ty, Kalino moja! - zawołał - jakże ty mnie znasz, gdyś posądzić mógł, że ja do Krakowa przybyłem, Aby się o coś starać i coś u króla wyrabiać? Człecze pocziwy! Ale cóż mi król dać może?

Kaliński się zmięszał.

- Gadaj zdrów, wszystko! - zawołał.

- Ale ja niczego nie chcę - mówił rotmistrz. - Bogatszy jestem niż król, bo więcej mam, niż potrzebuję; o honory i tytuły się nie dobijam, panowania i rozkazywania nie jestem chciwy! Jedno mi może król uczynić dobre, gdy się przekonam, że kraj pokochał i że kraj go nawzajem kocha.

- Ba! ba! - syknął Kaliński. - Otóż to właśnie psuje nam hetman i przeszkadza do tego. Królowi stawia na drodze zawady we wszystkim. Podejrzewają go nieustannie. Wszystko złe, co on uczyni. Odsunąć musiał Leśniowolskiego, o czymście pewnie słyszeli, bo ten hetmana stronę trzymał. Na to miejsce mamy Radziwiłłów, A ci są potęgą nie tylko na Litwie. Marszałek Albert u króla teraz w estymie wielkiej, dalej idzie jeszcze poufalszy podkomorzy Bobola, no i podkanclerzy Tarnowski.

- Wszystko ludzie nowi - odparł rotmistrz.

- Starzy zdradzili go - mówił Kaliński. - Hetmana i hetmana mu narzucać chciano, A Zamoyski nie przy królu, Ale ponad królem stać chciał. Dość już i tak, że wielką buławę dzierżąc, władzę ma ogromną.

Westchnął, popił Kaliński i głos zniżając, dodał:

- Między nami, król chce się żenić z Austriaczką i to mu za złe mają.

- Może nie bez powodu - odparł Bajbuza - bo się u nas wszyscy boją i wpływu, i zamachów rakuskich, A nikt tego szlachcie nie wybije z głowy, że król w układy wchodził z Arcyksięciem Ernestem o odstąpienie mu korony.

Kaliński zamilkł.

- Ja tam o tym nie wiem - rzekł po namyśle - Ale gdyby istotnie tak zrażonym był, toć go raczej trzeba jednać sobie i łagodzić niż rozjątrzać. Dochodzą tu nieustannie wieści o zjazdach, na których przeciw królowi mówią zuchwale, A wszystko to z naprawy hetmana.

- A więc z nim już tak źle jest?

- Ośmielił się gwałtownie królowi czynić wymówki za mianowanie podkanclerzym Tarnowskiego i to tak zuchwale, że go potem przepraszać musiał.

- Ale przeprosił! - dodał Bajbuza.

- Tak jest, Ale zgoda taka, to jak szata raz rozdarta, którą choćby najrzęczniejsza szwaczka zszyła i złatała, zawsze ślad zostanie.

- Masz słusność - odparł rotmistrz. - Ja też nieskończenie ubolewam nad tym, że młody król nieco względniejszym nie był dla tego, który sam mu tron dał, walczył i cierpiał dla niego.

Kaliński się uśmiechnął.

- U nas na dworze powiadają, że on to wszystko nie dla króla przecie czynił, A dla siebie. Rakuszanin ma być groźny.

- Mylisz się, mój Kalino - rzekł Bajbuza. - Wiem o tym najlepiej, bom z ust Żółkiewskiego słyszał, dawali mu Rakuszanin, co by ino chciał, Aby go sobie pozyskać i starostwa i ziemie, i pieniądze, i tytuły, Ale się nie sprzedał.

- Bo wiedział, że Rakuszanin by mu słowa nie strzymał - rzekł Kaliński.

- My tu teraz Zamoyskiego inaczej sądzimy.

- Słyszę i dziwuję się - odparł Bajbuza - A serce mi się ściska. Król bez niego bezsilnym będzie.

Kaliński głową potrząsnął.

- Myśmy się go powoli obawiać przestali - odparł wesoło.

Takim był rozmowy początek. Nazajutrz Bajbuza spoczywał w gospodzie, A miał ją u kupca w Rynku, który mu sprawy jego tutaj załatwiał. Zwano go Kaniczem. Z okien mieszkania widział cały ruch w Rynku i Kraków mu się wydał ożywionym dosyć, Ale żywiół w nim niemiecki znowu brał górę. Szczególniej Austiaków snuło się mnóstwo, których z włosów i ze strojów poznać było łatwo.

Ktokolwiek z dawnych znajomych dowiedział się o rotmistrzu, który sobie serca ludzkie jednać umiał, przychodził go witać. Każdy też z sobą, sam o tym nie wiedząc, coś przynosił. Stanowczo widać było, że tu około króla Zamoyski nie miał przyjaciół, sarkano na niego tak, jak dawniej na Zborowskich, że niepokój mnożył, wodę mącił, że wszystko chciał zagarnąć. Bolało to Bajbuzę, który w początkach nie mogąc się powstrzymać, stawał w obronie hetmana, Ale w końcu jednogłośnie wyrzuty zmusiły go zamilknąć i czekać, dopóki by się lepiej nie rozpatrzył. Zdawało

mu się rzeczą niepojętą, Ażeby ten mąż, który Batoremu dopomagał tak dzielnie do utrzymania ładu, do poskromienia wybuchów, dzisiaj szedł razem z Kazimierskimi i sam się zaciągał w szeregi przeciwników króla.

- Nie - mówił w duchu - ludzie są złośliwi, nie rozumieją hetmana, okłamują go, spotwarzają. Ten, który na gardle ukarał Samuela i zmusił do milczenia sejmowych krzykaczy, niepodobna, Ażeby sam postępował teraz jak oni. Młody Zygmunt nie jest przecież tak twardym, jak był Batory.

Parę dni spędziwszy na rozmyślach, rotmistrz w końcu przystroił się, jak godziło na zamek, i poszedł naprzód pokłonić się królowej wdowie. Tu go wprawdzie przyjęto zaraz, obiecując posłuchanie, Ale mógł dostrzec, że nie był zbyt pożądanym gościem, czego przyczyny nie rozumiał.

Przychodził z sercem pełnym poszanowania. Królowa Anna, niedługo kazawszy czekać na siebie, wyszła do niego, widocznie pomieszana, w żałobnych szatach, których nie zrzuciła, zestarzała mocno na twarzy, pochylona nieco, Ale zawsze poważna i majestatyczna. Za nią z dala postępowały dwie towarzyski, które nieco opodał pozostały. Trzymała w rękach piękny, kamienny różaniec, który palce jej machinalnie, gorączkowo przebierały. Uśmiechnęła się z dala Bajbuzie i naprzód pozdrowiwszy go po włosku, natychmiast poprawiła się i poczęła po polsku mówić do niego. Rotmistrz składał życzenie i pozdrowił ją, ciesząc się, iż widział spokojną teraz na krakowskim zamku, u portu, szczęśliwą. Królowa westchnęła głęboko.

- A tak - odezwała się - przyplłynęliśmy w istocie, lecz port jeszcze nie osiągnięty, szukamy wnijsia. Wiele jeszcze pozostało do czynienia. Mamy utrapień podostatkiem i z ojcem króla, i ze Szwedami, z własnymi nawet nieprzyjaciółmi, którzy nam pokoju nie dają.

Tu królowa, jakby się już zanadto wymówiła nieostrożnie, zwróciła rozmowę nagle:

- Przychodźcie pewnie, mój rotmistrzu, o swoją należność u mnie się upomnieć. Nie mogłam dotąd jej wam spłacić, przebaczcie.

Bajbuza zaprotestował, bo w istocie teraz dopiero przypomniał sobie dług i postrzegł, że krok jego fałszywie tłumaczonym być może.

- Ale ja wcale nie z tą myślą tu przybyłem, Abym się upominał - odezwał się żywiej. - Wiem, że teraz Wasza Królewska Mość masz wiele wysdatków jeszcze, A ja czekać mogę.

Rozjaśniła się zaraz twarz królowej i czulszą się stała dla Bajbuzy. Zbliżyła się ku niemu.

- Może bym wam czym u króla mogła usłużyć - rzekła. - Wprawdzie zarzucają go prośbami, wyciągają zewsząd ręce, na każdy wakans jest po dziesięciu kandydatów zasłużonych, A każdy potem przysparza nam dziewięciu niechętnych, Ale dla was będę się starała.

Sczerwienił się rotmistrz jak dziewczeczka, tak mu to posządzenie przykro zabrzmiało.

- Najjaśniejsza Pani - odparł - Bóg mi świadek, ja o nic nie myślałem i nie myślę prosić, bo mam wszystko, czego potrzebuję, A staranie o honory innym przekazuję. Rad bym tylko widzieć Waszą Królewską Mość spokojną, szczęśliwą, A króla też, w zgodzie ze wszystkimi.

- Królowa Anna niedowierzająco słuchała, wpatrując się w niego; sądziła, iż Albo on jej, Albo ona jego nie zrozumiała dobrze.

- Ja - rzekła - bardzo chętnie będę pośredniczką i pomocą wam u króla, powiedzcie mi tylko otwarcie, jeżeli co macie na myśli. Sama nie mogąc, poproszę Radziwiłła, uczyni to dla mnie.

Bajbuza stał zdumiony.

- Najmocniej zaręczam Waszej Królewskiej Mości - powtórzył - że wcale o nic prosić nie myślałem. Jest dosyć takich, których datkami jednać potrzeba, niech mnie Bóg uchwata, Abym się do nich liczył.

Królowa słuchała z nie mniejszym zadziwieniem.

- Nie wam Bóg płaci - rzekła. - Nadejdą może lepsze czasy, nie zapomniemy o was.

Spytała go, czy na długo przybył do Krakowa; odpowiedział Bajbuza, iż sam nie wie, ile czasu tu pozostanie i wspomniał, że rad by widział hetmana.

- A! Tu się go pewnie nie doczekacie - odpowiedziała Anna chmurno - wiele miałam z powodu jego do przecierpienia za życia nieboszczyka króla, którego on do surowości skłaniał, A potem winę jej na niego składał; teraz zaś nie mogąc królowi narzucać swych myśli, przeciwko niemu knuje i nieprzyjaciół mu przyczynia.

- Wasza Królewska Mość przebacysz mi - odezwał się rotmistrz, iż ja pana hetmana bronić będę. Ludzie go tu zapewne takim malują, jakim nie jest. Niepodobna, Aby królowi przymnażał trudności, sam go utwierdziwszy na tronie. Osobiste porozumienie łatwo by to wyjaśniło.

- Ale hetman siedzi w swoim Zamościu, A król go szukać nie może - odezwała się królowa i przypomniawszy sobie zapewne w tej chwili Spytkową, wtrąciła z uśmiechem:

- Sąsiadki waszej, księżnej Sapieżynej, którąście się opiekowali, nie znajdujecie już przy mnie. Skłoniłam ją do tego, że rękę oddała Spytkowi, który wart był, jak sądzę jej wyboru.

Bajbuza opowiedział, że widział młode małżeństwo. Po kilku jeszcze słowach obojętnych, królowa wdowa rada temu, iż Ani o dług nie naglił, Ani o nic prosić nie myślał, bardzo go uprzejmie pożegnała. A że się rzadko trafiło, Aby ktoś niczego nie pragnął, dodała przy pożegnaniu:

- Mój rotmistrzu, bądźcie co do rozporządzenia w mocy króla, A dowiedcie się zawczasu, piszcie do mnie, pomogę wam, A król pewnie mi nie odmówi.

Bajbuza zmilczał, nie chcąc już przedłużać tą treścią mu przykrew rozmowy.

Stąd wprost poszedł szukać na zamku mieszkającego księdza Skargi, który jako kaznodzieja królewski przy kościele miał pomieszczenie. Ojcowie jezuici nie mieli jeszcze w Krakowie podówczas "Collegium", które później z takim przepychem dla nich wzniesione zostało. Kaznodzieja króla, jako zakonnik i mnich, mieścił się bardzo skromnie w dwóch izdebkach niewielkich, zarzuconych księgami, Ale czyściuchnych i wesołych. Nikt nigdy go nie zastał próżnującym. Jeżeli nie klęczał na modlitwie, czytał, pisał lub zabawiał się jakąś ręczną robotą po staremu. Z postaci jego poznać było można męża, w którym pokój Boży panował, którego dusza w harmonii była ze światem i nie wzdragała się walce dni powszednich. Bój ten nie mącił pokoju wewnętrznego ducha. Nawet gdy z kazalnicy gromił lub Jeremiaszowe żale i skargi głosił, duch ten pozostawał spokojnym, bo ponad ziemskimi się unosił strefami i mieszkał wyżej nad nie.

Z tym spokojem na twarzy znalazł go rotmistrz, który w progu począł się uniewinniać, że mu przychodził czas zabierać. Ksiądz Skarga go sobie przypomniał zaraz i powitał wesoło.

- Słyszałem - rzekł - żeście byli ranni pod Byczyną.

- Dawno się to już zabił i zapomniało - odparł Bajbuza. - Gorzej tylko, że owo zwycięstwo nie wydało takich owoców, jakich po nim spodziewaliśmy się. Zdawało się, że pokój wewnętrzny przyniesie, przejedna, zagładzi wspomnienia przeszłości.

Ksiądz Skarga słuchał, może nie odgadując konkluzji, A Bajbuza dodał wzdychając:

- Bolesna to rzecz, że hetmana przy królu nie ma.

Zmilczał w początku ojciec, poprawił księgi na stole, czekał, czy rotmistrz nie zmieni przedmiotu rozmowy.

- Tak - odezwał się w końcu - smutna to, że hetman się od króla oddalił i zajął stanowisko, z którego źli korzystać mogą i zechcą, lecz nie ma w tym winy młodego pana naszego. Ludźmi jesteśmy, nikt Zamoyskiemu wielkich nie odmówi przymiotów, szkoda, że ma też słabości ludzkie, że żądza panowania, do którego nawykł za nieboszczyka króla, zamiast ustąpić, wzrosła. Szkoda, bo z rad jego byłby król mógł korzystać.

Zamilkł.

- Ja - odezwał się otwarcie rotmistrz - służyłem pod nim, nawykłem szanować go i wierzyć w niego, mnie też szczególnie dotyka, iż go tu nie widzę, A słyszę czynione mu zarzuty. Siedzę teraz na wsi, nie jestem obeznany z tym stanem spraw, jaki się z nowego położenia wyrobił, i wdzięczem bym był ojcu, gdyby mnie raczył objaśnić.

Ksiądz Skarga długo mu popatrzył w oczy, jakby badał szczerłość tego pytania.

- Rotmistrzu - rzekł - bardzo to rzecz jest prosta, że obowiązkiem jest na polu bitwy słuchać hetmana, A czasu pokoju króla, który ponad nim stoi i władzę swą ma nie nadaną mu przez nikogo, Ale z Bożej łaski, i namaszczon jest do rozkazywania.



Bajbuza nie miał co odpowiedzieć. Milczał długo, rozwiązanie wątpliwości było tak stanowcze, iż nic już nie pozostawało, tylko je przyjąć i nim się zaspokoić. Po małym przestanku jednak rotmistrz o swej podróży do Krakowa mówić zaczął i boleć, że po drodze tyle głosów słyszał niechętnych dla króla, szczególnie z powodów jego skłonności dla rakuskiego dworu.

Ksiądz Skarga westchnął tylko.

- Miejmy nadzieję - rzekł - że powoli, gdy ludzie lepiej króla młodego poznają, ocenić go też potrafią słuszniej. Skarżyli się na Batorego, on tak surowym Ani chce być, Ani potrafi, prędzej by może wyrzekł się tronu, niż do takich, jak nieboszczyk przeciw Zborowskim, środków uciekał. Wiecie pewnie, że w Rewlu, ledwie biskup Baranowski skłonił go do powrotu, tak był zrażonym.

- Cóż by naówczas świat rzekł na tę nieszczęśliwą Rzeczpospolitą naszą - odezwał się Bajbuza - gdyby po ucieczce Henryka, po męczeństwie Stefana, drugi król, koronę zrzuciwszy, uciekał od nas?!

Westchnął ksiądz Skarga i dodał:

- Trudno lub niepodobna przewidzieć przyszłość; naszą rzeczą spełniać najbliższy dnia obowiązek. Modlimy się tylko o chleb powszedni i przyszłość też zakryta przed nami. Troska dnia każdego starczy mu.

Wszystko to nie uspokoiło jeszcze Bajbuzy. Czuł, że powinien się był wypowiadać szczerze, chciałli stąd zaczerpnąć jaką pociechę i skazówkę postępowania. Odezwał się więc:

- Jam wprost przyszedł do was, ojcze, uspokojenia sumienia szukając. W kraju widocznie znowu podział na obozy się gotuje. Ci, co przy Zamoyskim stoją, na prawach się opierają i bronią ich.

Ksiądz Skarga przerwał:

- Przypomnijcież sobie czasy niedawne, gdy ten Zamoyski sam praw istniejących Rzeczypospolitej zmiany życzył, znajdując, że one zbyt swawoli i rozkiełznaniu posługiwały. Dziś król jest na tym stanowisku hetmana, A Zamoyski, niestety, jeżeli nie doszedł do tego, jakie zajmowali Zborowscy, niedaleko już od niego stoi.

- Potępiacie więc go? - spytał Bajbuza.

- Nikogo nie potępiam - odparł ksiądz Skarga - kto czystym sercem służyć chce Pospolitej Rzeczy, Ale mylić się tu może każdy.

- A król?

- Do króla "gratia status" \* się zastosować daje - rzekł Skarga.

Gratia Status ( łac.) - wypowiedź Skargi można rozumieć tak, że w stosunku do osoby króla obowiązuje Gratia Status, czyli wzgląd na rację stanu, dobro państwa. Wobec tego

działalność króla nie powinna podlegać takiej krytyce, jak działalność innych ludzi. "Gratia status" oznacza też łaskę stanu, czyli przywilej władzy.

Znowu Bajbuza milczeć musiał. Ośmielił się w ostatku odezwać z tym, że króla o zamiar frymarczenia koroną obwiniano.

- Nie jestem wtajemniczony w te Arkana - rzekł, uśmiechając się, ojciec Skarga - i nie wiem, czy należy wierzyć wszystkiemu, co złośliwość ludzka wymyśla. Rozpuszczane wieści te dowodzą tylko, jak król ma nieprzyjaciół wielu, A to go w tych panowania początkach nie może natchnąć wielką miłością dla kraju.

Z całego tego toku rozmowy rotmistrz już mógł wyrozumieć, że tu hetman w niczyich oczach nie był usprawiedliwiony. Wszystko niemal złe jemu przypisywano.

Ksiądz Skarga, któremu to badanie uciążliwym być zaczęło, starał się na lżejsze przedmioty odwrócić rozmowę. Zapytał Bajbuza o królową Annę, Ale żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Była to bolesna rana, której dotykać nie śmiano. Obok króla, najgorliwszego katolika, ta uparta dysydentka, w biały dzień chodząca do zborów, które się otwierały tym śmielej, dolegała może więcej królowi i jego dworowi niż wszystko, z czym tu walczyć przychodziło. Milczano o niej i ksiądz Skarga, spuściwszy oczy, nie odpowiadał długo.

- Mój rotmistrzu - rzekł w końcu - Bóg jeden wie, dlaczego do każdej czary, którą człowiekowi wychylać przychodzi, kropla gorzkiego piołunu musi się przymieszać. Gorycz to wielka; módlmy się, Aby kielich ten Pan Bóg od nas odwrócił.

Na próżno potem starał się jeszcze Bajbuza rozmowę przedłużyć, ksiądz Skarga dał mu do zrozumienia, iż go powoływało zajęcie obowiązkowe, pożegnać się więc i oddalić musiał. Spodziewał się stąd wynieść pociechę i uspokojenie, jasne pojęcie dalszej drogi, A wychodził zachwiany, niepewien i smutny.

Powrócił też do gospody chmurniejszy, niż wyszedł. Kaliński, który tu już czekał na niego, wesół, rad z siebie, nie patrzący daleko, nie rozbierający tak troskliwie położenia, zdał mu się godzien zazdrości. Dla niego wszystko było jasnym i pewnym. Był królewskim sługą, czynił, co mu kazano, i nie był za nic w sumieniu odpowiedzialnym.

- Co bo wy się tak frasujecie o przyszłość - rzekł wesoło, z kilku słów Bajbuzy wyrozumiawszy jego niepokoję przyczynę. - My, maleńcy ludzie, nic nie poradzimy przeciwko sile wypadków, więc po co tu sobie łamać głowę? Wiecie co? Pani Borzkowska, Ewunia wasza, dowiedziała się o przybyciu, zaklęła mnie więc na wszystko najświętsze, Abym was do niej przyprowadził. Kobiecie odmówić się nie godzi.

- No cóż? Za mąż nie wyszła? - zapytał Bajbuza.

- A nie! - rozśmiał się Kaliński. - Ma tylu do wyboru, że się nie może ważyć, kogo wziąć, A mnie się widzi, że najchętniej by wam rękę podała.

- A! A! - rzekł rotmistrz - wybić jej to z głowy potrzeba, Abym ja się kiedy miał żenić. To nie moje powołanie. Nadtom długo swobody kosztował. Ale chodźmy do Borzkowskiej.

Zastali tu wszystko tak, jak przed paru laty porzucili, nie zmieniło się nic, tylko malowana twarzyczka wdowy nieco się wydawała zmęczoną i przywiędłą, chociaż ruchy i mowa młodociane były do zbytku.

Z zapalem powitała Ewunia rotmistrza, ciesząc się, że przecież za Krakowem zatęsknił, który też tęsknił za nim.

- Za mną? - przerwał rotmistrz. - Alem ja nikomu na nic nie przydatny, sobie i ludziom ciężarem. Jedyna rzecz, do której od biedy bym może służyć mógł, to wojna, A dzięki Bogu, ta się nie obiecuje, bo wielka groza od strony Turków, zaczepkami Kozaków wzniecona, ustała. Pokój zapewniony, A ja skazany na chodzenie za pługiem.

U Ewuni mówiono już wiele o przyszłym małżeństwie króla, o którym jeszcze nikt właściwie nie wiedział, czy przyjdzie do skutku. Utrzymywała się jednak uparcie ode dworu zawierająca wieść, że jedna z Arcyksiężniczek jest już dla króla przeznaczoną, że układy się toczą.

- Naówczas i Kraków odżyje - mówiła piękna Ewunia. - Stara królowa modli się i siedzi zamknięta, A rachunki jej czas pochłaniają, młoda królowa nikogo tu oprócz dysydentów swych, Szwedów i Niemców, znać nie chce. Na zamku nudy śmiertelne przerywane tylko muzyką, Ale my jej nie słyszymy, chyba w kościele. Zabaw nie ma żadnych, król w ciasnym się kółku zamyka.

Ludzie się oburzają - dodała piękna Ewunia - iż król rakuską chce wziąć dziewczkę. A co nam to szkodzi, bylebyśmy królowę młodą mieli?

- Tak, tak - zamruczał siedzący na boku jeden z przyjaciół wdowy - Ale się jejmość pani mylisz sądząc, że młoda królowa tu życie wniesie. Przybędzie tylko ojcom jezuitom do procesji i nabożeństw gorliwa promotorka, nic więcej, i do dziś król sam jeden się modli, to będzie we dwoje.

- A wy mu to za złe macie, że się modli? - zapytał Bajbuza.

- Bo zakonnikiem nie jest, Ale królem - rzekł kwaśny gość - A gdy on tercjarskie i jezuickie odprawia chóry, senatorowie czekać nań muszą. Wpuszczą ich nareszcie potem, mówią, pytają, A słowa z niego dobyć nie mogą. Dopiero po naradzie z ojcem Gołyńskim przez usta Radziwiłła lub Tarnowskiego przychodzi odpowiedź.

Nie mógł wytrzymać rotmistrz i przerwał:

- Ale bo wy tu jak widzę, w królu widzicie wszystko złym tylko, chociaż nie miał Ani czasu, Ani zręczności dać się wam poznać.

Wstał z kąta poruszony ów Antagonista królewski.

- Waszmość widzę - odezwał się - regalistą \* jesteś, Ale to stąd pochodzi, że na króla z daleka patrzysz, A my tu sprawy jego bliżej oglądamy. Gdyby nie królowa wdowa, nie byłoby na dworze do kogo przemówić po polsku, taka tam siła Niemców, A dla nich wszędzie najpierwsze miejsce. Dalej ojcowie jezuiti prym wodzą, oni dyrektorami sumienia, w ich ręku wszystko. Ojciec Gołyński tu królem, A nie Zygmunt III. Wesołym młodego pana nigdy nie widział nikt, choć się, słyszę, zabawia, Ale zamknięty ze swymi, gdzie i karty na stole widują. Kości tylko braknie, Ale i te przyjść mogą, choć na mieście ich zakazują.

Regalista ( z łac.) - zwolennik króla, członek królewskiego obozu politycznego.

Cofnął się rotmistrz przed tym potokiem plotek miejskich i zmilczał. Czoło mu się zmarszczyło. A choć piękna wdowa usiłowała go rozbawić i rozśmieszyć, wyszedł stąd zgorszony.

Spieszył do stolicy w nadziei, że stąd pociechy jakiejś zaczerpnie, A przekonywał się, że tu wszędzie gorzej stały sprawy, niż z dala je sobie wyobrażał. Ochota go brała puścić się stąd jeszcze do Zamościa, Ale zarazem obawiał się, Aby tam jeszcze gorszego czegoś nie dostał. Pomiędzy Zamościem A stolicą przepaść już była.

Wytrwał jednak Bajbuza dni kilka jeszcze, Aby z pierwszych wrażeń nie sądzić ostatecznie o położeniu; Ale dni te potwierdzały je tylko i zwiększały obawy, Aby do zajść między koroną A buławą \* nie przyszło. Kaliński mu na wieczere przyprowadzał zawsze kogoś z dworzan króla, od których nic nad narzekanie na hetmana nie mógł posłyszeć.

Korona A buława - król i Zamoyski jako hetman wielki. Odznaką tej godności była buława, jak symbolem godności króla - korona.

Już się prawie zabierał zniechęcony do Nadstyrza powracać, gdy przypadkiem dowiedział się o przybyciu jednego z zaufanych hetmanowi, daleko z nim spokrewnionego, doswyć głośnego z rycerskich czynów i pod Byczyną też czynnego Urowieckiego, przy którym się naówczas znajdował. Nie mogło się nic pomyślniejszego trafić dla niego. Urowiecki był zupełnie wtajemniczonym w to, co hetman zamierzał i myślał. Żołnierz był, człowiek szorstki, surowy, mężny i nie ulegający nikomu, A prawdomówny, gdy raz usta otworzył, choć nie zwykł był mówić wiele. Od Byczyny nie widział go Bajbuza, Ale dowiedziawszy się, iż na mieście był, natychmiast pobiegł do niego. Serdecznie się powitali.

- A wy co tu robicie? - zawołał Urowiecki. - Przecież wątpię, Abyście się mieli zapisać w poczet sług króla, który nas chce zaprzedać Rakuszaninowi.

- Ja? - odparł Bajbuza. - Ale jam tu właśnie języka dostać przybył, bo zgoła nie rozumiem, co się dzieje. Siedzę już dni kilka i nie stałem się mędrszy przez to. Nauczcie mnie.

- Nie wiecie więc o niczym? - zapytał Urowiecki.

- Ale o czymże mam wiedzieć?

- O tym, że nas król własny zdradza i sprzedaje! - krzyknął popędliwie stary wojak.

- Byćże by to mogło? Nie sąż to niechętnych plotki? - ośmielił się wtrącić Bajbuza.

- Tak by można sądzić - żywo począł Urowiecki - gdyby nasz hetman, czarno na białym, z podpisem własnej ręki króla dowodów na to nie miał, że koronę Rakuszaninowi chce odstąpić, A sam do Szwecji powrócić. Bogdajby go był ksiądz biskup Baranowski w Rewlu nie wstrzymywał, rychlej byśmy końca doczekali.

- Cóż więc hetman czynić myśli? - zapytał Żółkiewski.

- Co obowiązek nakazuje - mówił Urowiecki. - Nie ma tu już co oszczędzać majestatu, potrzeba go pozwać przed sejm, niech się tłumaczy, potrzeba dowody położyć, A jeśli senatorów potrafi sobie pozyskać i wyśliźnie się nam, mimo jawnych dowodów winy... ha! bogdajby rokosz zwołać przyszło!...

Wyraz ten jak grom zabrzmiał w uszach rotmistrza. Rokosz, zwołanie całego tłumu szlachty, kto żyw dla obrony praw, dla wojowania z majestatem, było środkiem ostatnim, Ale zarazem groziło wybuchem wojny domowej. Rzadko dotąd, nawet jako groźba, wyraz ten dawał się słyszeć.

- Rokosz - zawołał Bajbuza - Ależ to straszna jest rzecz! Wy to najlepiej wiecie, jak za Stefana hetman tę swawolę szlachecką poskramiać pragnął, A swobodę nawet ograniczyć. Mógłże by on dziś sam do najniebezpieczniejszego uciekać się środka i węzły już tak luźne do reszty zwolnić? A toż wojna domowa!

Urowiecki westchnął ciężko.

- Wszystko to prawda - rzekł - Ale czasy się zmieniły. Król się zmienił, wszystko inne. Maż hetman pozwolić na to, co by nawet dziedzicznemu monarsze nie przystało, Aby elekcyjną koronę ktoś sprzedał lub ustąpił? I komuż jeszcze? Temu, kogo Rzeczpospolita z dawien nawykła za nieprzyjaciela uważać?

Bajbuza pochwycił się za głowę, Ale straszna ta wiadomość tak mu się zdała nieprawdopodobną, że choć ją z ust Urowieckiego słyszał, zawołał:

- Ależ frymark ten prawdąli jest?

Stary rotmistrz zżymnął się.

- Iwasiu mój - odezwał się, nawykły go tak nazywać - Albow ci to nie mówił, że dowody czarno na białym mamy? Nie starczy ci tego? Jedż ze mną do Zamościa, hetman ci pokaże listy, nie zaprze się król ręki własnej. Mamyż to utaić? Możemyż dopuścić, Aby się frymark dokonał i najazd może wywołał? Wojna tak czy inaczej nieunikniona.

Bajbuza spuścił głowę smutnie.

- Ale - dodał Urowiecki - być bardzo może, iż odsłaniając złe, zapobieży mu, uczynim je głośnym, ruszy się, co żywo, do obrony praw. I król z Radziwiłłem swym i Tarnowskim.... Naówczas...

- Ale któż przewidzi, co się stać może? - wtrącił stary. - To pewna, że my za sobą mamy prawo, słusność, sprawiedliwość. Hetman lekkomyślnie nic nie przedsięwzię, gdy raz rękę na pługu położy, orać będzie.

Na tym się rozmowa z Urowieckim skończyła, A rotmistrz do gospody powróciwszy, natychmiast konie i wozy do podróży kazał sposobić. Nie miał już tu na co czekać, Ani się nic nowego spodziewał.

### Rozdział III

Szczypior i Rożek znaleźli się na ganku, Aby przyjąć przybywającego rotmistrza, Ale mu zaraz z twarzy wyczytali, że pociechy z sobą nie przywoził żadnej. Wrócił, jeżeli być mogło, smutniejszy i niespokojniejszy, niż był przed podróżą. W Nadstyrzu zaraz ożyło wszystko, bo bez niego dziwna tu panowała martwota i cisza; A jedną z przyczyn jej była nieobecność płci pięknej, na którą szczególnie Rożek i Przygodzki utyskiwali. Płeć tę reprezentowała sama jedna staruszcza, pewnie osiemdziesięcioletnia, która jednak o wieku swym dokładnych nie miała wiadomości. Zwała się ona Leszczakowską, była od pół wieku już wdową i wychowywała rotmistrza, który ją jak matkę kochał i szanował. Leszczakowska, powiernica wszystkich jego myśli, utrapień, trosk, nie wychodziła już prawie ze swoich izdebek, chyba latem, o kijku. Siedziała z pończochą i z krzesła zarządzała domem. Nie było dnia, żeby raz lub dwa nie odwiedził ją rotmistrz, nie posiedział u niej i nie zdał jej sprawy z tego, co się działo w domu. Był nawet tak delikatnym, że w rzeczach gospodarstwa domowego, z obawy, Aby jej mimowolnej nie uczynić przykrości, nic nie rozkazał, nie poradziwszy się Leszczakowskiej. Nazywał ją matusią.

Jak zwykle, tak i teraz rotmistrz z konia zsiadłszy, uściskawszy Szczypiora, powitawszy Rożka, spytawszy, czy nie ma co nowego i dowiedziawszy się o przyjściu na świat dwojga źrebiąt, poszedł wprost do Leszczakowskiej i ręce jej pomarszczone ucałował z uczuciem wielkim.

- Matusiu, A cóż z tobą? Jak tam kaszel? Co mówią nogi?

- Chrypi w piersiach, chrypi - odparła staruszka, która siedziała z głową obwiązaną chustką farbowaną w safranie i uśmiechem uszczęśliwionym witała wychowanka. - Co tam o mnie starej myśleć i pytać, Ale cóż z tobą? Co z tobą? Przywiózłeś jaką pociechę do domu? Co się na świecie dzieje?

Rotmistrz usiadł przy niej.

- Źle matusiu moja, Albom ja tak głupi, że nie rozumiem nic, lub nie do rzeczy się wszystko składa. Król zupełnie z Zamoyskim zerwał, A hetman przeciwko niemu występuje. Kto ma słuszość, kto tu winien? Bóg święty wiedzieć raczy. Zdaje się, że młody pan, nienawykły do rządzenia, A jeszcze w kraju, w którym monarcha władzy Absolutnej nie ma, trochę sobie za śmiało poczyna. Zdaje mu się, że jego wola wszystkim, A tu się u nas trzeba i na powszechny konsens oglądać. Stąd konflikt. Hetman też, ja nie wiem, czy winien, czy winni ci, co króla do niego zrazili, dosyć, że nasion wiele do niezgod zasiano, A wszystkie oparte na rakuskich praktykach.

Staruszka, którą Bajbuza przyzwyczaił do podobnych spowiedzi, słuchała z zajęciem.

- A z kimże ty, moje dziecko? - zapytała. - Naturalnie, że z hetmanem... Toć twój wódz ulubiony.

- Rad bym z nim, tak - westchnął Bajbuza - lecz w takiej jestem niepewności, że gotówem się od wszystkiego powstrzymać, Aby nie zbłądzić.

Leszczakowska rozśmiała się, głową potrząsając.

- Gdzie byś ty zaś miał spokojnie wysiedzieć, gdy się wszyscy ruszą, A publiczna sprawa powoływać będzie! O, już w to ja nie uwierzę! Rada bym dla ciebie, Abyś raz o sobie pomyślał, zamiast zawsze troskać się o to dobro powszechne, Ale już ciebie nic nie zmieni. Żenić się nie chcesz, rodziny nie masz, więc ci kraj rodziną.

- Najgorszym to - wtrącił powstając, Bajbuza, że człowiek nie wie, kędy iść i z kim trzymać. Na Tatara lub Turka, na Rakuszan zatrąbią, zabębnią, siadasz na koń i rzecz skończona; A tu, wybieraj między panem Zamoyskim, A królem Jegomością. Nigdy tak mocno nie czułem, że głupim jestem! - dokończył smutnie.

Leszczakowska zaprotestowała, całując go w głowę. Nadchodził czas wieczerzy, poszedł powitać resztę domowników. Wszyscy już czekali około krupniku z półgęska, którego woń przyjemnie się rozchodziła po jadalni. Ksiądz Rabski pośpieszył czule witać i odmówić "benedicite". Siedli, A Rożek zabrał głos dla opowiadania dziejów czasu niebytności rotmistrza, do których swym obyczajem sporo cudowności domięszał.

Wstawszy raz w nocy, widział około księżycy dziwne zjawisko, górą krzyż, z jednej strony miecz, z drugiej miotłę, co miało jego zdaniem oznaczać wojnę, bodaj domową. W jednej ze wsi sąsiednich, przyszło na świat cielę o dwu głowach, co także było przepowiednią bardzo niedobłą. Żydzi mówili coś już o Turkach, A oni byli zawsze uwiadomieni najlepiej. Nawet z dwojga nowo narodzonych źrebiąt, jedno miało strzałkę niezwykłych kształtów, co nie było bez znaczenia. Konstelacje się składały bardzo dziwnie.

śmiał się z tego ksiądz Rabski, chociaż w ogóle wpływowi gwiazd na losy ludzi i narodów nie zaprzeczał.

Przygodzki z rozmaitych ruchów świata zwierzęcego i z ryb czynił też wnioski, Ale czysto meteorologiczne.

Szczypior wyliczał, co zabili w lesie i jak szły polowania. Władarz mówił o gospodarstwie. Spodziewano się w tym roku obsiać łągi i mieć z nich plon obfity, bo woda tyle lat z rzędu je zalewała, że chyba w tym roku musiała im przebaczyć.

Wszyscy domownicy oczekiwali nawzajem wiadomości, jakich im mógł udzielić ze stolicy rotmistrz, Ale badany odpowiadał zimno i krótko, że tam nowego tak dalece nie było nic. Mówiono tylko na pewno o bliskim króla ożenieniu, na nadchodzącą wiosnę, A żoną miała być Arcyksiężniczka rakuska.

Wszyscy na to głowami poruszyli, bo wstręt i obawa tego domu były powszechne.



Pod koniec już wieczery, Szczypior jakby sobie dopiero teraz przyzypomniał najpilniejszą rzecz, o której zabył.

- A toć ja panu rotmistrzowi najciekawszej nowiny nie zwiastowałem.

Zwrócił się Bajbuza, powątpiewając, Aby coś dla niego tu ciekawym być mogło.

- Księżna Teresa, myślę się, pani Spytkowa - rzekł Szczypior - sama jedna powróciła do majątku, pono z nowym mężem wyżyć nie mogąc. A że majątność wypuszczona w dzierżawę, A dzierżawca przypożyczył, zagadka to jest więc, z czego ona tu żyć będzie? Sam nawet dwór w części zajęty przez dzierżawcę, A to człek prosty, gbur i zawadiaka. Bajbuza Aż się na siedzeniu poruszył.

- Prawdali to?

- Najpewniejsza - dodał Szczypior. - Księżnej, chcę mówić, Spytkowej, sam nie widziałem, Ale od proboszcza słyszał. Nie jest to tajemnicą dla nikogo. Spytek nie tylko że jej majątek puścił i pieniądze zagarnął, klejnoty jej u Żydów pozastawiał, Ale tak się z nią obchodził, A pożyczcie z powodu jakiejś Włoszki w domu stało się tak przykrym, że jejmość uchodzić musiała. A że jej konie pozamykano, kolebkę zabrano, więc pożyczonym brożkiem, parą koni się tu, o jednej słudze i pacholiku dostała.

Zapałał gniewem Bajbuza.

- Jam to zaraz temu małżeństwu źle rokował! - zawołał. - Spytek mi się nie podobał, choć i gładki, i rozumny człowiek, Ale serca w nim za grosz nie ma. Księżnej piękność go oczarowała, A miłować jej z poszanowaniem nie umiał. Szkoda biednej niewiasty.

Nie mówił więcej przy stole Bajbuza, Ale nazajutrz konia sobie z rana podać kazał i nie wypocząwszy po podróży, puścił się zaraz do pani Spytkowej.

Wszystko, co mu opowiadał Szczypior prawdą się okazało. Jejmość zajmowała we dworze dwie izdebki, których jej z trudnością dzierżawca Zawałowski ustąpił. Nie chciała zrazu przyjąć rotmistrza, wstydząc się go, Ale się nie dał odprawić i natarczywie słudze powiedział, iż od progu nie odejdzie, dopóki dopuszczonym nie będzie. Otwarty się więc drzwi w końcu i płacząca Spytkowa pokazała. Ze wzruszeniem przystąpił do niej rotmistrz. Nie tała się już przed starym przyjacielem. Pożycie z tym lekkomyślnym człowiekiem było niemożliwe, musiała uchodzić. Gotową była tu ubóstwo znieść raczej, niż tam urąganie się miłośnicy jakiejś Włoszki, która usiadła się \* na to, Aby ją wygnać.

Usiąść się ( st. pol.) - uwziąć, zawziąć się.

Bajbuza miał ochotę wielką wyzwać na rękę Spytka i ubić łotra, Ale nie uchodziło to, niestety!

- Tak, jak jest, przecież pozostać nie może. Ja tu wszystko za pozwoleniem waszym urządzę lepiej. Naprzód Zawałowski mi musi iść precz, ja mu dam inną dzierżawę, potem, czego brak, to się znajdzie, A Wasza Miłość odetchniesz swobodniej. Jesteśmy dawno sąsiadami, jam się zawsze szczylił tym, że z prawa naturalnego opiekę miał nad wdową. Teraz tym bardziej nad pokrzywdzoną obowiązany jestem.

Zaprotestowała Spytkowa ręce łamiąc.

- Zlituj się, rotmistrzu! Co ludzie powiedzą. Spytek będzie miał pozór do rzucania na mnie potwarzy. Cała wina spadnie na nieszczęśliwą.

- Na to ja poradzę - odparł Bajbuza. - Obawiasz się wasza miłość ludzkich potwarzy, Ale moja noga tu nie postanie od dzisiejszego dnia, A choćbym najszcześniejszym był służąc jej, uczynię to za pośrednictwem, nie będę się narzucał. Zostawcie staranie o tym mnie. Złym gębom potrafię nakazać milczenie.

Zawałowski przewidywał pewnie już z rotmistrzem rozprawę, znał jego zamożność, słyszał o przyjaźni dla księżnej, przygotował się więc skorzystać z gratki. Bajbuza go znał tylko z daleka, Ale wiedział, że szlachcic w dorobku litości mieć nie będzie. Szło mu o to, Aby dzierżawcy się zbyć co rychlej, A Spytkowej przywrócić tu wyłączne panowanie. Krótko więc A węzłowato rzekł do Zawałowskiego:

- Słuchaj waszmość, panie Onufry... Wszak tak wam imię?

- Istotnie! - skłonił się Zawałowski.

- Rzecz jest taka. Z dzierżawy ustąpić musisz i to, jeśli nie dziś, nie jutro, to jak najrychlej będzie można. Zapłaciłeś za nią temu Spytkowi, wiem ile, i to coś mu dopożyczył, A to coś mógł włożyć i coś się zbierał zyskać, i rumacją, i zawód, zapłacę ci też. Daj kredki.

Tym pośpiechem zmieszany Zawałowski zaprotestował.

- Ależ to prepotencja... \* pogadajmy... posłuchaj waszmość.

Prepotencja ( z łac.) - użycie siły.

Nie mam czasu - rzekł rotmistrz dawaj kredkę.

Szlachcic się nastawił.

- Tak nie idzie! Ja tu przy prawie stoję! - zawołał.

- A ja niewiasty praw bronię i za waszmościne krzywdy itd. płacę sowicie. Czegóż więcej chcesz?

- Pogadajmy - jękał szlachcic uparty.

- Mówię ci, że ochoty, Ani czasu nie mam, dawaj kredkę.

Zawałowskiemu już nie o pieniądź szło, Ale o obrażoną miłość własną, że go rotmistrz tak samowolnie rugował. Począł następować sierzdisto.

- Jam tu w moim domu - rzekł - impozycji \* nie ścierpię!

Impozycja ( z łą.) tutaj: narzucanie cudzej woli.

Spojrzał na niego z góry Bajbuza.

- Wierz mi - rzekł - że ja wszystkich prawa szanować umiem, A szczególnie słabszych. Krzywdy ci uczynić nie chcę, Ale wody z tobą warzyć nie mogę. Biedna kobieta cierpi, jam jej opiekun. Nie zdasz się po dobrej woli, i to prędko, jutro najadę i wywiozę cię precz. Zapłacę potem, A choćby więzę odsiedzę za gwałt popełniony, to mi wszystko jedno, Ale Spytkowa czekać w lichym Alkierzyku na twoje zlitowanie nie będzie. Masz wóz i przewóz, dasz kredkę, czy nie?

Zawałowski się w głowę poskrobał. Było to dobrym znakiem. Z drugiej izby przestraszona połowica dawno mu ukazywała na migi, że ulec był powinien. Poszedł w milczeniu po kredę i położył ją na stole przed rotmistrzem, który natychmiast ostygł.

- Dyktuj - rzekł.

“drzyj łyka, póki się dają” - w duchu sobie powiedział szlachcic, leniwie przystępując do stołu.

- Ileś dał? - począł badać Bajbuza.

Kłamać nie było można, trzeba było naprzód prawdę wyznać, dopiero gdy przyszło do imdemnizacji, \* szkód, zysków i tp., Zawałowski zażądał nad miarę wiele. Krzywił się Bajbuza, Ale nie sprzeczał. Sum wymaganych nie pisał jednak, Ale to, co sam uznawał sprawiedliwym. Parę razy Zawałowski palcem zatarł napisane cyfry, A rotmistrz je z zimną krwią przywrócił, nie mówiąc ni słowa. Dawał mu się wykrzyczeć, narzekać, kłać, w piersi bić, i pisał, co słusznym widział.

Indemnizacja ( z łac.) - wynagrodzenie za uczynioną szkodę.

Przyszło na koniec do Addycji. \* Bajbuza ją zrobił, sprawdził, od stołu wstał i protestującemu szlachcicowi rzekł:

Addycja ( z łac.) - dodawanie.

- Masz, jakem ci mówił, wóz i przewóz, jeżeli jutro nie przyjedziesz po pieniądze, moi ludzie tu będą o południu i oczyszczą dwór. Pozwiesz mnie o gwałt, najazd, o co chcesz. Dam się raz, drugi skondemnować, \* zaapeluję, będę cię po sądach wodził, Abym za chciwość ukarał. Odbierzesz swoje, Ale dobrze się wymęczywszy. Jeżeli ci to w smak, jak wola i łaska! Ja, com powiedział, cuzynię.

Skondemnować ( z łac.) - skazać.

Przecież gwałt!

- Czasem człowiek musi go popełnić! - westchnął Bajbuza. - Nad biedną niewiastą litość mam. Krzywda wam się nie dzieje. Samowolą grzeszę, Ale gwałtu tego na sumieniu mieć nie będę.

To mówiąc, gdy się już ku progowi zwracał, ulękła się sama Zawałowska i wpadła, prosząc za mężem. Nastąpiła zgoda. Szlachcic natychmiast się wynosić przyrzekł.

- Pieniądze, jeśli chcesz, jedź ze mną, napiszesz cesję, \* skwitujesz z pretensji i płacę ci je bez zwłoki.

Cesja ( z łac.) - zrzeczenie się pretensji.

Wszystko się na tym skończyło, że rotmistrz musiał kubek wina wychylić, chleb przełamać, posłuchać lamentów Zawałowskiej, Ale wyszedł potem zupełnie spokojny do Spytkowej.

- Proszę miłość waszą, Abyście byli spokojni, Zawałowskiego tu jutro nie będzie. Do stajni, do spiżarni, co potrzeba, Szczypior przywiezie. Ja to rozumiem dobrze, iż mnie się pokazywać nie wolno.

Pocałował w rękę milczącą jejmość, siadł na konia i pognął do Nadstyrza.

Domownicy się uradowali, tak im wesołym głosem odezwał się na ganku. poszeptał coś ze Szczypiozem, A nazajutrz w godzinie obiadowej Zawałowski w żupanie siarczystym, \* w kontuszu burakowym, w pasie najlepszym, jaki mu po ojcu się dostał, nadjechał, wielce Akomodujący się, \* pokorny i greczny. Podpisał cesję, kwity, reces \* co chciano, drżącą ręką zagarnął przygotowane pieniądze, podochocił sobie przy stole i odjeżdżając poprzysiągł Rożkowi, z którym się najwięcej zbliżył, że za rotmistrzem w ogień był gotów i w wodę.

siarczysty - żółtawozłoty.

Akomodujący się ( z łac.) - tutaj: godzący się z faktami, z sytuacją.

Reces ( łac) - zrzeczenie się.

- To, panie, człowiek! - wołał nieco ochryłym głosem - to, panie, jest bohater! Pod Byczyną, gdyby nie on, nigdy by Maksymiliana nie wzięli i to generalnie wiadomo. Zamoyski, gdy go przy nim nie stało, cienko śpiewa. Ale takich właśnie ludzi na krzesła nie promowują, bo się ich boją. Więc siedzi na wsi, nic nie znaczy, Ale gdyby na szlachtę huknął: Za mną panowie bracia! to by się posypali za nim tysiącami. To, panie, człowiek!

Miał potem wielką ochotę Bajbuza do Spytkowej pojechać, sam się przekonać, jak jej tam szło, czy czego nie brakło, Ale pocziwe poszanowanie dla kobiety, która swe dobre imię jedno miała, wstrzymywało go. Posyłał Szczypior tylko, który gorlisie spełniał rozkazy.

Nadchodziła wiosna, gruchnęła nagle wiadomość, iż król się żeni. Dzień nawet wesela został wyznaczony. Żeni się z Arcyksiężniczką, do czego praktyki jakieś przywiązywano. \* Szlachta się poruszyła jak pszczoły w ulu, Ale już zapobiec było niepodobna. Król miał za sobą część senatorów i Ani myślał zważać na burzę, która się zrywała.

Zygmunt III poślubił 30 maja 1592 roku, wbrew opinii szlacheckiej, Arcyksiężniczkę Austriacką Annę. "Praktyki", o których dalej mowa, oznaczają intrygi polityczne ( rakuskie).

Zamoyski zwołał zjazd do Lublina, a tu w głos rozległy się zarzuty czynione królowi przez hetmana. Zadawał mu nie już same małżeństwo, skojarzone bez zgody senatorów i narodu, ale jakieś podstępne układy, których dowodem były pochwycone listy własnoręczne króla.

Nie dopominano się u Maksymiliana o poprzysiężenie układów zawartych w Będzinie, samowolnie i pod niebytność podskarbiego otwarto skarb Rzeczypospolitej, pieniędzy na zapłatę żołnierza z kwarty użyto na prywatne króla potrzeby, rozdawnictwa dostojęństw bezprawne i wiele innych nadużyć rzucono w oczy młodemu królowi zamiast podarku weselnego. Po całym kraju grawamina \* te przepisywane, komentowane biegły z rąk do rąk i najspokojniejsze jątrzyły umysły. Wszystko to zwiastowało zamach na ustawy same Rzeczypospolitej, było przepowiednią tego "Absolutum doninium", którego się tak obawiano.

Grawamina ( z łac.) - tutaj: zarzuty, pisma oskarżające, obciążające.

Z tego zjazdu głośnego w Lublinie \* Zamoyskiego przyjaciele jechali z żalami do króla, a na ich czele wojewoda krakowski, Firlej, lubelski wojewoda Zebrzydowski, Firlej, kasztelan Radomski, Herburty, Lanckorońscy, Oleśnicy, Gorajscy i wielu innych. Z drugiej strony w poselstwie szli Solikowski, Maciejowski, Gomoliński, biskupi, a z nimi Ostrogski, Tęczyński, Stadnicki. Miał król obrońców naprzód w duchowieństwie, potem w ważniejszych rodach, gdy Zamoyski, niestety, opierał się na dosyć burzliwych żywiołach, które powołać musiał.

W roku 1592 miały miejsce dwa olejne zjazdy szlachty i części magnaterii; opisany poprzednio zjazd w Lublinie i zjazd w Jędrzejowie, na których formułowano zarzuty przeciw rządowi Zygmunta i jego małżeństwu. Obydwa zjazdy wysyłały poselstwa do króla.

Ten krok uczyniony do króla, prawie był bezskutecznym. Odkładano wszystko do sejmu. Król dostojęstwa swego znajdował niegodnym, aby rękojmię dawał, gdy mu wiary odmawiano.

Wbrew więc hałasom małżeństwo przyszło do skutku, a lekceważenie życzeń i skarg narodu dało się uczuć i umiano je wyzyskać przeciwko królowi.

- Czyni co chce, nie pyta nikogo! Absolutnym się już czuje - wołali przyjaciele Zamoyskiego. - Jeżeli temu się nie położy końca, niedługo sejmu i rad potrzebować nie będzie.

Na chwilę świetne uroczystości weselne odciągnęły trochę umysły. Rotmistrz posłał Szczypiora, aby w Krakowie języka dostał. Mniej już czuły dla króla i dla królowej wdowy, gdy teraz subsydia rakuskie im przyływać musiały, wyprawił chorążego z listem i prośbą, aby mógł też swą należność odzyskać.

- Nie nalegaj bardzo - rzekł mu na wyjeździe - wszelako darowywać nie widzę dziś potrzeby i królowa ze swych posiadłości mężowskich musiała już coś uezierać.

Zabawił poseł czas dosyć długi, A nie powrócił Aż w czerwcu, lecz przywiózł relacją szczegółową, gdyż do Krakowa przybywszy przede dniem wesela, na własne oczy wszystko oglądał.

Powszechny naówczas głos był, że wesele króla przypominało jeszcze dobrze Krakowianom pamiętne hetmana Zamoyskiego z Batorówną, Ale mu z wielu miar nie dorównywało. Wprawdzie rycerstwa się około króla zebrało daleko więcej, bo go do siedmiu tysięcy liczono, Ale zresztą wszystko, zwłaszcza dwór młodej królowej, nie wydał się świetnym, bo więcej nad półsetek z sobą towarzystwa nie miała. Jechała z nią matka, biskup wrocławski i hrabia Lichtenberg. Kolebka wytworna, w której wjeżdżała, była darowaną przez króla.

- Zygmunt - opowiadał Szczypior - wyjechał naprzeciw niej do rozbitych namiotów za miastem, gdzie Tarnowski ją witał, A biskup wrocławski mu odpowiadał. Od królowej Anny mówił Gościński i cały orszak ruszył do miasta; królowa młoda z matką w ośmiu woźnikami zaprzęzonej, wyłacanej kolebce, w drugiej wdowa królowa Anna z siostrzenicą, królewną szwedzką, panie dworu i panowie. W Bramie Floriańskiej stała uszykowana piechota miejska, ubrana z włoska, w niebieskich sukniach z bramowaniem srebrnym. Łuki tryumfalne wystawione były przy Kleparzu, u kościoła Panny Maryi Myszkowskiego, kasztelana wojnickiego, i przy Grodzkiej ulicy. Na wszystkich stały muzyki i śpiewacy, A u zamku, przy bramie z dwoma piramidami, dziesięć panien kasztelanowej oświęcimskiej, Padniewskiej najpiękniej się popisały. Rozrzucano też wybite umyślnie srebrne pieniądze z palmami dwoma, które rzeka przedzielała, A one się wierzchołkami z sobą łączyły. "Amor distantia iungit". \*

Amor distantia iungit ( łac.) - miłość łączy oddalone ( ludzi oddalonych).

Szczypior się wszędzie prawie umiał wcisnąć, bo i w kościele na koronacji się znajdował, i o sporze wiedział między kardynałem Radziwiłłem A Arcybiskupem lwowskim, który ślub chciał dawać. Korony ze skarbca bez podskarbiego wzięto, Ale z jego przyzwoleniem.

Zaraz potem królowa wdowa zachorowała, jak powiadano, zgryziona tym, że z siostrzenicą szwedzką jadąc, nasłuchiwała się od niej różnych przeciwko obrzędom katolickim przekąsów. Na ucztę też wielkiej po koronacji nie była królowa wdowa.

Widowiska na zamku w istocie, jak opowiadał Szczypior, bardzo przypominały z wesela Zamoyskiego pamiętne jeszcze, jako obłoki Wolskiego, żółw Myszkowskiego, Akteon przez psy pożarty, Neptun w wozie przez delfiny ciągnionym, Orfeusz zstępujący do piekieł, Wisła z wodnymi nimfami itp.

Stanisław Miński, wojewoda łęczycki, który niedawno był żonę utracił, reprezentował Orfeusza do piekieł zstępującego za Eurydyką. Wprawdzie mówiono, iż tu, jak na onym weselu hetmana, obłoki się nie zapaliły, Ale też ochoty i wesela czuć nie było.

Na drugi dzień, w niedzielę, popisywało się rycerstwo w turniejach, które igrzyskami były tylko dla oka, A nikomu się nic nie stało, bo nawet z konia się nikt nie zwałił. Znowu potem kunszta wyprawiano różne, puszczano ognie sztuczne, okazywano tryumf Perseusza. Wieśniaka reprezentował Stadnicki, A Piotr Myszkowski, starosta chęciński, Wezuwiusz, ciągniony przez czterech krokodylów, wystawił.

Szli jeszcze przed królestwem Jazłowiecki i Sieniawski, przebrani po persku, potem Etiopowie i znowu rycerze do turnieju, Ale z tego tak jak nic nie było, bo noc nadeszła i król dał znak, że ma dosyć.

Wszystko to opisując Szczypior dodał, co słyszał, iż się tam po troszę wyśmiewano i z ludzi, i z komedii, nie bardzo do uroczystości tej dobrze zastosowanych. Zważano też, że król turniejami wcale się nie zajmował, A nawet je przerwać rozkazał, co przypisywano temu, iż go sprawa rycerska w ogóle wcale nie pociągała.

Natychmiast potem, jakby uciekając, oboje młodzi państwo do Niepołomic się udali.

Szczypior przed weselem nie mogąc się dobić do królowej wdowy, gdy ta potem zasłabła, czekać musiał, Aż go przyjąć raczyła. Oddał zawczasu list rotmistrza i królowa uprzejmie go powitała, obietnic wielkich nie szczędząc, lecz razem oświadczając, że skarb jej z powodu wesela wyczerpany został, więc teraz nic nie może dać. Natomiast insynuowała, iżby coś u króla dla rotmistrza wyjednać mogła, Ale Szczypior w imieniu jego podziękował, mając polecenie żadnych nie przyjmować faworów od dworu, Aby one go nie wiązały. Odesłany potem do podskarbiego królowej, chorąży się z nim musiał długo targować o termin wypłat i z biedą zapewnienie pozyskał, że po troszę spłacać będą należność.

Miał już z tym powracać do domu Szczypior, gdy ze zjazdu w Jędrzejowie, który przeciwko królowi zwołano, nadjechali do Krakowa posłowie i Zygmunt z Niepołomic musiał zjechać dla nich do Krakowa. Zatrzymał się też i chorąży, Ażeby usłyszeć, jak się to skończy.

Wrzawy wniecano wiele z zarzutów królowi czynionych, Ale dwór sobie z tego wszystkiego nie zdawał wielkiego czynić frasunku i odpowiedziano lekko, A Radziwiłłowie podyktowali dodatek w końcu uczyniony, Admonicją burzliwej szlachcie, Aby na zjazdach swych z większym poszanowaniem królewskiego majestatu się obchodziła. Kardynał zaś Radziwiłł, któremu zarzucano, że w praktykach rakuskich udział miał czynny, tłumaczył się dumnie i ostro.

Zetknięcie się więc z posłami jędrzejowskimi nie tylko nie złagodziło nieporozumienia i nie sprowadziło skutku, Ale zdawało się do nowego rozjątrzenia dawać pobudkę. Posłowie skarżyli się, że ich lekceważeniem zbywano, dwór sarkał na marszałków, A szczególnie na hetmana, bo jego już głową ich wytykano.

Zasypywano Szczypiora pytaniami ze wszech stron, tak że ciekawości nadstyrzan wydołać nie mógł. Opisywać im musiał wszystko, począwszy od stroju króla i królowej Aż do łuków i bram krakowskich, ich przystrojenia, napisów, Alegoryj, komedyj, na które patrzył, i wreszcie odprawy posłów i wrażenia, jakie ona uczyniła. Powtórzył im, co już naówczas z ust do ust chodziło, A co później stary prymas Karnkowski niezgrabnie w mowie swej przytoczył, że Zygmunt może dlatego panować w Polsce nie umiał, bo się na ojca zapatrywał, który nad chłopami królował, gdy tu rycerstwu przewodniczyć przychodziło. Znaczyło to, iż tam, w Szwecji, władza niczym ograniczoną nie była, tu zaś z prawami stanu i starodawnymi przywilejami liczyć się należało. Z jednej tedy strony król sobie poczynał dosyć śmiało, z drugiej szlachta butnie, A Zamoyskiemu przypisywano, że ją do tego ośmielał i pobudzał.

Szczypior o tym wszystkim z prostotą sobie właściwą opowiadał, powtarzając słowo w słowo, co słyszał, nic prawie nie dodając z siebie, nie roznamiętniając się Ani za, Ani przeciw. Szanował on wielce Zamoyskiego, Ale i królewski majestat czynił na nim wrażenie, A potęga rakuskiego domu z nim połączona przyczyniła się do powiększenia jego blasku. Walka między tronem A narodem dla Szczypiora nie wydawała się tak groźną Ani tyle znaczącą, co poważnie i surowo wszystko biorącemu Bajbuzie.

Chorąży pewien był, że jak za Batorogo, wielka wrzawa skończy się na nicyzm, rozwieje, A przy władzy zostanie zwycięstwo. Powtarzał on, co niegdyś głosił Zamoyski, iż polskie piwo zwykło się bardzo burzyć w początkach, Ale wprędce siłę traci.

Samo to małżeństwo króla, zawarte wbrew powszechnemu wstrętowi, dowodzić się zdawało, że na opór szlachty Zygmunt zważać nie myśli. I jak szlachty butę przypisywano Zamoyskiemu, tak królewską samowolę Radziwiłłom.

- Cóż hetman na to wszystko? - pytał niespokojnie Bajbuza.

- Powiadają, że nie ustąpi i na przyszłym sejmie ma kórła pozywać do tłumaczenia, żądając inkwizycji i dochodzenia prawdy zarzutów, jakie mu czyni.

Dowiadywał się też, kto z senatorów popiera hetmana, kto z nim idzie, na jaką siłę on rachuje, Ale Szczypior mało o tym wiedział, w ogóle dość sobie lekceważąc groźby i powtarzając, co u dworu mówiono, że się hetmana nie obawiają, A władzę jego ograniczyć nawet potrafią.

Na ostatek, gdy się już ten przedmiot wyczerpał, chorąży wziął na stronę rotmistrza i dodał po cichu, co go doszło o Spytku. Ten jakoby dowiedziawszy się, iż Bajbuza żonie jego w pomoc przyszedł, bronił jej, dzierzawę dla niej skupił, głośno się miał odgrażać, iż nieproszonego opiekuna rozumu nauczy. Przypisywał on jemu i jego intrygom zniechęcenie żony dla siebie, A nawet ucieczką jej z domu.



Postąpił sobie Szczypior płochą, plotki te powtarzając rotmistrzowi, którego znał, iż on sobie najmniejszego zarzutu czynić nie dopuszczał. Powtarzał on to nieustannie: Imię moje bez skazy wziętem i takim je po sobie pozostawię! O pogrożkach i obwinieniu posłyszawszy, uniósł się straszliwie Bajbuza.

- Cóż to ten Włoch sobie myśli! - krzyknął. - Powinien przecież wiedzieć, że ja się nikogo w świecie nie lękam, A zamiast czekać na niego, Aby on mnie szukał, sam go znajdę i zmuszę odszczekiwać potwarz niecną. Do mnie ona nie przystanie, Ale biednej kobiecie przykrość uczyni.

Uśmierzał go Szczypior, dowodząc, że wszyscy znali Spytka z jego lekkomyślnych przechwałek, A na paplanie jego nikt uwagi nie zwracał i nie godziło się mu nadawać większą wagę, podnosząc i biorąc do serca, Ale rotmistrz uspokoić się, nie mógł nawet tym zapewnieniem, że królowa Anna, która o wszystkim wiedziała, Spytka do siebie przypuszczać zabroniła i tłumaczyć się mu nie dała. Znano go ze wpraw dawnych.

Dał więc i Bajbuza na teraz pokój pogoni za oszczercą, odkładając rozprawę z nim do pierwszego spotkania, Ale tym oględniej musiał postępować, Aby do nowych plotek nie dostarczyć treści.

- Na przyszły sejm - poddawał mu Szczypior - na który się wszyscy wybierają słuchać, jak też król tłumaczyć się będzie z tego, co mu zarzucają, pewnie i wyjechać zechcecie. Jeśli się Spytek nastęrczy, naukę mu dacie, A gonić za nim nie warto.

Rotmistrz wcale dotąd pewnym nie był, czy na sejm ten pojedzie, Ale zaczynał się namyślać, czyby istotnie nie wypadało bliżej się przypatrzeć temu, co się w kraju działo. Na rękę też było pokazać się na świecie z odkrytą przyłbicą, Aby nie sądzono, że dla pogrózek Spytka zamyka się w domu. Ciekawość i chciwość czynu dawna zaczynała w nim budzić się znowu, oskarżał się o ostygłość i o grzeszne zapisanie w szeregi neutralistów, których sam potępiał.

- Wiesz, Szczypior - rzekł do przyjaciela - gotój ty dla mnie do drogi ludzi i konie, trzeba się przewietrzyć.

## Rozdział IV

Powiedział sobie Bajbuza, że dla rozpoznania i osądzenia położenia, nigdzie się udać nie było właściwiej, jak do hetmana. Bądź co bądź był to mąż ze wszech miar pojmujący, co Rzeczypospolitej było potrzeba. Dał tego dowody za Stefana. Nikogo się nie obawiał, nic już nie miał do pożądania, chyba jedną koroną, Ale tej nie chciał, tak jak żadnych dostojenstw nie pragnął.

Pojadę mu się pokłonić do Zamościa, w którym nie byłem nigdy, będzie mi rad, nauczę się czegoś.

Tegoż wieczora przy posiłku napomknął o Zamościu tym nowym, który od lat dziesiątka rósł tak w oczach cudownie i spytał księdza Rabskiego, czy tam nie bywał.

- Jak to nie bywałem! - odparł ksiądz. - Alem ja w bliskiej okolicy mieszkał, gdy jeszcze Zamościa na świecie nie było, tylko zameczek na wysepce, w Skokówce, nad Topornicą. Pojedźcież no teraz, co się za miasto włoskie zbudowało, wyrosło, jaki handel, co za gmachy, jarmarki, składy, ilu tam Ormian? Już jeżeli co, to Zamość najlepszym jest świadectwem potęgi hetmana. Rzekł i stało się. Dziś już Zamość ze Lwowem, z Lublinem, z Warszawą walczyć może. Stolica to nie możnego pana, Ale jakby udzielnego książęcia. I takim by Zamoyski dawno był, gdyby tylko chciał.

Teraz, gdy dwór go ku sobie nie nęcił, wojna nie odrywała na granice, Zamoyski cały się oddawał temu swojemu dziełu, które potomkom chciał jako ordynację nienaruszalną na wieki zostawić. Około króla zbierała się garstka, przy Zamoyskim zawsze były gromady i tłumy szlachty i panów. A od czasu, gdy został zmuszony przeciw królowi występować, pomnożyło mu się jeszcze przyjaźnych i Adherentów. Skupiali się wszyscy przy nim.

Nie czekając więc na zwołanie sejmu, Bajbuza wyruszył sam, bo Szczypiora musiał, choćby dla czuwania nad Spytkową pozostawić, Ale z poczem świetnym, co się zowie, z prawdziwym pańskim dworem. On sam wcale o tę wystawę nie dbał, Ale stara Leszczakowska inaczej by go nie puściła, dbając o honor domu. Musieli jechać hajducy w barwie, musiało iść parę koni powodnych, para wozów okrytych, A czeladzi i pacholików też sporo. W taką podróż, gdzie się na każdym kroku spotkać z kimś było można, nawet na wypadek potrzeby wieszono rzeczy, co się chyba na podarki tylko przydać mogły. Zwyczaj ten obdarzania się trwał od dawnych bardzo czasów, nie przybywano bez gościńca, nie rozjeżdżano się bez upominków. Pościeli żadnej wozic nie potrzebował rycerski taki człek, bo jej nie używał; kobierzec, wojłok, skóra jaka, poduszka, często wprost z kulbaki zdjęta, starczyła, Ale za to jedzenie dla siebie, dla czeladzi, dla koni nawet potrzeba było mieć. Siodeł, łąków, kulbak, terlic zapaśnych się brało zawsze kilka, opon i kobierców więcej, niż było potrzeba, A srebra też choć trochę, Aby okazać zamożność. Dla

Bajbuzy najczęściej nie rozpakowywano nawet, Ale na wypadek wozić się z tym musiał. Nie puściłaby go Ani stara matusia Leszczakowska, Ani Szczypior.

I tak jednego poranka, po obejrzeniu w podwórzu koni, wozów i ludzi, pożegnaniu domowników, dosyć smutny puścił się w drogę Bajbuza, na prost do Lublina i Zamościa. Pora letnia była, dni gorące, podróż więc odbywała się w znaczniejszej części wieczorami i rankami, A w skwary odpoczywano po gospodach. śpieszyć się nie potrzebował Bajbuza, swobodnie więc, stanowniczego przodem śląc, posuwał się dalej. Po drodze, ponieważ mało uczęszczanym jechali gościńcem, nie spotykali prawie nikogo. Do dworów nie lubił zajeżdzać rotmistrz.

W Lublinie stanął odpocząć, spodziewając się tu spotkać może z kim ze znajomych dawnych. Znalazł w istocie starego Mrocza, niegdy rycerskiego człeka, Ale teraz więcej siedzącego przy kubkach za stołem niż na koniu i rozpowiadającego tylko o dawnych swych czynach przesławnych. Od niego dowiedział się, że hetman w Zamościu na nowym zamku był, A na gościach mu nie zbywało, bo się do sejmu gotowano gorąco.

- O, będziecie mieli tam i na co patrzeć, i czego posłuchać - rzekł mu Mroczek - A hetman was przyjmie serdecznie, bo o swoim żołnierzu pamięta!

Z natężoną ciekawością jechał Bajbuza do Zamościa, powziąwszy już wielkie wyobrażenie o tym mieście, jak grzyb z ziemi nagle wyrosłym, Ale to, co tu zobaczył, przechodziło wszelkie spodziewanie. Miasto w znaczniejszej części murowane, z domami i kamienicami piętrowymi, wspaniale się wznosiło, kurtynami \* zamknięte, warowne, potężnymi bramami i basztami opatrzone. Kilka kościołów, zamek nowy, cekhauzy, \* ratusz majestatycznie się przedstawiały. Mimo woli w rynku otoczonym domostwy z Arkadami, przypominały się miasta włoskie, których Zamość był naśladowaniem. Wszystko nowe było jeszcze jak z igły, bo nie więcej nad lat kilkanaście poczęło się tu ruszać. Dawniej około zameczku Skokówki ledwie mała i nieznaczną znajdowała się osada, teraz sklepy, giełda, gospody, ratusz, Ormianami szczególnie napelnione, z Lublinem mogły iść o lepszą. We wszystkim tu wykształcony smak pański czuć i widać było, Ale też i naśladowanie obyczaju włoskiego.

Kurtyna ( z fr.) - tu: ściana wału obronnego.

Cekhauz ( z niem.) - zbrojownia.

Wjechawszy przez Lubelską bramę, na której w kamieniu rzeźbiony widać było wizerunek wielkiego króla Stefana, dostał się do środka miasta Bajbuza ulicą szeroką i prostą. Tu, pomiędzy nią A wrotami Szczembrzeszyńskimi, wznosił się nowy zamek w stylu też włoskim, ze trzema pięknymi wieżami i podwórcem obszernym, murem wkoło opasanym. W rogach wznosiły się cekhauzy. Pańsko i książęco się to oku stawiało, A szczególnie murów obfitość i piękne ich kształty podziwienie obudzały.

W rynku, gdzie sobie gospody szukał Bajbuza, który domy wysokie pod Arkadami otaczały, ratusz z wieżą i inne miejskie budowy niemniej wspaniale o bogactwie miasta świadczyły. Ruch ogromny, szczególnie kupców Ormian, których twarze wschodnie łatwo dawały rozpoznać, panował około giełdy, sklepów i ratusza, wag i gospód. Wcale też w ogóle nie był ówczesny Zamość podobnym do innych miast w Koronie; czuć w nim było jakby świeże przesadzenie, niby roślinę obcą, co się miała dopiero z gruntem, na którym rosła, oswoić, Ale już się widocznie przyjęła.

Uderzało i to, że tu nic starego, jak po innych miastach, nie było, żadnych szczątków, wszystko świeże, nowe, błyszczące, A dostatnio i szeroko rozłożone, dla przyszłej ludności. Chatek, domków i dworków ubogich, których nawet w Warszawie, nie opodał od zamku, dosyć się znajdowało, tu nie widać było. Drewniane na dalszych ulicach i w przedmieściach dwory już budowy były okazańszej i misterniejszej. Z lada budą się tu nikt nie wazył. Hetman chciał mieć tę swą stolicę taką, Aby z pierwszymi miastami walczyć mogła, A że ją "ex radice" \* całkiem nową tworzył, nadawał jej rozmiary swej myśli i nadziei. Był pewien, że to ziarno raz posiane się rozrośnie i rozkrzewi, A sami Ormianie, znajdując gościnne przyjęcie, opiekę, samorząd własny, chętnie tu napływać będą, z sobą razem swego przedsiębiorczego przynosząc ducha. Zanosilo się też na to. Potęgi ówczesnej hetmana nic lepiej znamionować nie mogło nad to piękne miasto, jakby za dotknięciem różdżki wyrosło i już kwitnące.

Ex radice ( łac) - od korzenia, od fundamentów.

Rotmistrz, który z dawna miał uwielbienie dla wodza i dla statysty, chociaż ono ostatnimi czasy osłabło, gdyż widział zmianę kierunku, nie mogąc jej sobie wytłumaczyć, na nowo się przejął tą czcią dla niego. Właśnie pojęciom jego odpowiadał ten mąż, którego po czynach sądzić należało. Wszystko, czego dotknął, zakwitało i rosło.

Umieściwszy ludzi i konie w gospodzie, Bajbuza naprzód się do Urowieckiego na zamek dowiedział, Aby mu posłuchanie wyrobił. Ten przyjął go otwartymi ramionami i zapewnił, że hetman mu jako miłemu gościowi rad będzie. Chciał go nawet z ludźmi i końmi na zamek brać, Ale rotmistrz podziękował.

- Gdybyście wszystkich, co was tu najeżdżają, na zamku ugoszczali, nie stałoby miejsca dla nich. Jam już w gospodzie się rozłożył i tam pozostanę.

Na zamku dnia tego pusto nie było. Między innymi znajdował się i pan Mikołaj Zebrzydowski, \* skoligacony blisko z Zamoyskim przez zaślubienie ciotecznej siostry jego Herburtówny, pan, jak głosił Urowiecki, wielkich zdolności, Animuszu rycerskiego, ulubiony hetmanowi. Oprócz niego i innych wielu krewnych, A stronę Zamoyskiego trzymających, zjechało się właśnie dla przedsejmowej narady.

Mikołaj Zebrzydowski ( 1553 - 1620) - bohater historyczny drugiej części niniejszej powieści, marszałek koronny, wojewoda krakowski, główny organizator rokoszu przeciw Zygmunтови. Fakty historyczne dotyczące się tej postaci, przedstawił Kraszewski na ogół ściśle z dziejami tego okresu, Ale w charakterystyce i ocenie Zebrzydowskiego nie szczędził cieni i nie usiłował przedstawić pełnych przyczyn jego postępowania.

- Ja tam, mój kochany rotmistrzu - odezwał się Bajbuza - do radym się żadnej nie zdał, uczyńcie to tylko dla mnie, Abym się panu hetmanowi pokłonić mógł i "privatim" chwilę posłuchania uzyskał.

Miało to nastąpić nazajutrz rano, A tymczasem Urowiecki, któremu na sercu leżało pochwalić się pańską rezydencją, poprowadził Bajbuzę, pokazując mu jej wspaniałość i urządzenie smaaakowne.

W istocie nie było to podobnym do zwykłych, widywanych gdzie indziej zamków i dworów, nie było blasku zbytniego Ani wytworności pieszczonej, Ale dzieła włoskiej sztuki, rzeźby, obrazy, sprzęty okazałe, opony, królów godnymi czyniły Apartamenty hetmańskie. Zbrojownia, biblioteka, kaplica ze szczególnym zamiłowaniem były urządzone. Tuż wznosiła się już nowa, wspaniała kolegiata, A innych też kilka kościołów troskliwość o wiarę dowodziły.

Nazajutrz rano w sypialni swej, nader skromnie wyposażonej i namiot przypominającej, hetman przyjął dawnego swego sługę.

Bajbuza, pomimo iż w postawie pięknej nic się nie zmieniło i znurzenia na niej wiek nie wypiętnował, znalazł Zamoyskiego zestarzałym. Włos mu siwiał już mocno, Ale oko pałało, twarz miała zawsze ten sam wyraz energii i spokoju, w którym coś rycerskiego razem i coś statysty się łączyło. Parę kroków postąpił naprzód pan hetman, witając człowieka, którego znał zacność, Ale razem i pewne butne dziwactwo.

- Cóż was to do mnie sprowadza - odezwał się uśmiechając - mój rotmistrzu kochany? Jeżeli jaka potrzeba interwencji do króla i dworu, to ci zawczasu oznajmić muszę, źleś trafił. Nikogo polecać nie mogę, bom za wroga poczytan.

- Wasza miłość raczycie sobie przypomnieć - odparł Bajbuza - że ja do ludzi żądających czegoś u dworu, A dopraszających się łask i nagród, nie należę. Przybyłem z czym innym. Rad bym Rzeczypospolitej służyć, A w niepewności jestem zaprawdę, jak to dziś uczynić, Aby nie pobłądzić. Za nieboszczyka króla widzieliśmy cel, wyście byli z nim, mogliśmy z zamkniętymi oczyma kroczyć, dziś rodzi się wątpliwość. Samiście to głosili, że warcholstwo poskromić potrzeba, władzę królewską umocnić, A dziś wy, panie hetmanie, przeciwko niej występujecie?

- Tak jest, mój rotmistrzu - rzekł hetman - Ale ja i moi nie występują przeciwko władzy; idzie nam o to, Aby ona, korzystając z tego, żeśmy ją dali, nie przefrymarczyła nas i nie zaprzedała.

Głośna to rzecz, o której i wy wiedzieć powinniście, iż król Jegomość rozpoczął z dworem rakuskim traktowanie o to, że mu koronę polską gotów jest ustąpić, byle się na tronie szwedzkim utrzymać. Są na to dowody piśmienne. Zdradził król kraj i zaufanie, sprzedaje wręście, co jego własnością nie jest. Możemyż na to pozwolić, Aby nas jako trzodę baranów na targowicy sprzedano?

Oślupiał rotmistrz.

- Mogłoby to być?! - zawołał.

- Niestety, mam dowody w rękę, A na sejmie pozwę króla, złożę je, okażę, zmuszę, Aby się tłumaczył. Bądź co bądź, odsłonięta intryga niebezpieczną być przestanie. Widzisz tedy, dlaczego naprzeciwko króla stoję, którego ja sam na tron wyprowadziłem. Ludzie ci powiedzą, że Zamoyski się mści za to, iż nie otrzymał dla Tylickiego podkanclerstwa, dla kogoś tam krzesła lub łaski, dla siebie stanowiska, do którego rościł prawo! Wszystko to fałsz i potwarz, dzierżę buławę i władzy mam dosyć, więcej jej nie pragnę, Ale nie mogę dopuścić z żadnej strony nieposzanowania prawa. Nie przebaczyłem Zborowskiemu, bo się urągał z władzy i dekretów, nie mogę pobłażyć królowi, gdy się tu sądzi dziedzicem i chce rozporządzać nami. Myśmy przecie ludzie wolni i tej swobody, wiekami wyrobionej, bronić będziemy tak samo, jak swawoli będziemy się opierać. Rozumiesz mnie?

- Sejm więc obnaży te knowania - rzekł Bajbuza.

- Tak jest, musi - odparł hetman. - Przyjdzie to nie bez zgorszenia i boleści, nie bez rozbratu z tymi, co lub nie widzą daleko, lub w rakuskie pęta oddać się gotowi, lecz raz jasno stanąć i wytłumaczyć się potrzeba. Znam ja niebezpieczeństwa tego kroku, który czynię, lecz z dwojga złego muszę wybierać mniejsze. Na cóż by się zdała ta wielka władza hetmańska, gdyby ona dopuściła rakuskim pułkom zająć Rzeczpospolitą, A małej garści przekupionych lub obalamuconych podpisać upadek tego państwa?

Rotmistrz słuchał.

- Smutna to ostateczność - rzekł po namyśle. - myśmy dotąd chorowali na bezład i swawolę, wy to najlepiej wiecie i znacie. Nie może szlachcie naszej nic miłszym być, jak "contra majestatem" hałaśliwie wystąpić, Ale gdy raz zakosztuje znowu owocu zwycięstwa, gdy król ustąpi, gdy wezmą górę, jutro zażądają więcej, A coraz więcej i, jak mówił nieboszczyk Stefan, król zejdzie na malowanego.

- Obawa twoja, mój rotmistrzu, niepłonna - westchnął Zamoyski - Ale też od króla się obwarowawszy, Aby nas nie zaprzedał w rakuską niewolę, władzy mu w domu ukrócać nie będziemy. Niech panuje, niech rządzi.

- A potrafiż on to? - szepnął Bajbuza.

- Zadałeś mi ciężkie do rozwiązania pytanie - rzekł Zamoyski. - Dumę i Ambicję królewską ma, Ale siły własnej mu brak, musi ją czerpać na stronie. Tu więc O. Bernard, kardynał Jerzy, Bobola \* i inni podszeptują będą, radzić, kierować. Nie bez tego, Aby i rakuski wpływ czuć się nie dał. Chwalono nam go - dodał hetman - iż się po polsku uczył, umie i mówi. Tak ci jest, lecz po niemiecku myśli, A żona go całkowicie cudzoziemcem uczyni. Zresztą, Bóg jeden wie przyszłość! - westchnął Zamoyski.

Kardynał Jerzy - kardynał Jerzy Radziwiłł, kilkakrotnie w powieści wspomniany, był również gorącym zwolennikiem jezuitów. Bobola - Andrzej Bobola, urzędnik dworski za Zygmunta Augusta, sekretarz króla Stefana Batorego, był w szczególnych łaskach u Zygmunta III, jako zwolennik jezuitów. Zygmunt III mianował go kolejno burgrabią krakowskim i podkomorzym koronnym. U współczesnych miał opinię intryganta dworskiego i posłusznego narzędzia jezuitów.

- Widzicie - dodał - wypowiadałem się wam szczerze. Tajemnic w tym nie ma. Ja mój obowiązek uczynię, przy mnie stanie gromadka tych, co poprą, reszta zaś oczywiście króla bronić i uniewinniać zechce. Niefortunnym był wybór. Mogliśmy się go pozbyć, gdyby biskup Baranowski z Rewla go do Szwecji puścił. Co teraz będzie, gdy król Jan umrze? Bóg wie. W czynnościach i sprawach ludzi Opatrzność zawsze sobie zachowuje ostatnie słowo.

Nie chciał już rotmistrz męczyć dłużej Zamoyskiego pytaniami i odwrócił rozmowę, unosząc się nad Zamościem samym, który po raz pierwszy oglądał. Uśmiechnęło się oblicze poważnego męża.

- Jedyne to dzieło - rzekł - które mi się powiodło i które przy pomocy Bożej doprowadzę może do końca. Miasta nam są potrzebne, zamków też brak, handel nasz wzmóc się powinien. Mamy co wywozić i czym obcych żywić. Oprócz szlachty, oprócz włościan rzemiosło i kupiectwo zakwitnąć musi, gdy tylko rozumnie posiłkować nim się nauczymy. Jeżeli ja nie dokonam, com zamierzył, Bóg da, że syn mój \* dalej dzieło po myśli ojca prowadzić będzie.

Niestety, jedyny syn Jana Zamoyskiego, Tomasz, mimo starannego wychowania, nie posiadał zdolności wielkiego ojca; nie prowadził dalej rozbudowy gospodarczej i kulturalnej Zamościa, opisanego w tym rozdziale z dość dużą ścisłością historyczną.

Rozmowa przeszła na szczegóły, na trudności, jakie w kraju spotykało każde nowe przedsięwzięcie, potem na wojnę, której hetman od strony Wołoszy i Multan się lękał. Bajbuza słuchał i tak wpływowi słowa i myśli hetmana uległ, iż wyszedł uspokojony, przekonany, że z nim i za nim iść było obowiązkiem.

- Prywatny w nim nie ma - rzekł w duchu - nie popsuły go czasy złe. Jest, jakim był.

Tego dnia zabawiwszy jeszcze w Zamościu, wieczorem znowu poszedł na pożegnanie do hetmana. Tym razem nie zastał go samym. Oprócz Herburtów znajdował się Mikołaj Zebrzydowski,

o którym już od Urowieckiego słyszał. Mąż to był w wieku średnim, liczący naówczas lat czterdzieści, powierzchowności rycerskiej, postawy pańskiej, oblicza wielką nacechowaną dumą. Nadzwyczajne uwielbienie, Aż do czci jakiejś posunięte, objawiał względem Zamoyskiego, przed którym korzył się, słuchał go milcząco, potakiwał mu, Ale tuż względem innych szorstko, dumnie, gwałtownie występował.

Hetman zdawał się go oceniać i lubić, chociaż w rozmowie hamować często musiał. Obchodził się z nim z łaskawością wielką, jakby z synem rodzonym, często bardzo zwracał do niego, widać było, że na niego rachował i rad się nim posługiwał. Lecz ilekroć własną myśl Zamoyskiego podniósł Zebrzydowski, natychmiast ona inną przybierała barwę i namiętnie brzmiała, A krańcowo. Hetman śmiał się i prostował, Ale ten zbytek ognia go nie raził.

Rozmowa i tego wieczora obracała się około króla i dworu. Wiedziano tu już, że młoda królowa, otoczona Niemkami, żadnej z pań, żadnej nawet ze sług polskich przystępu do siebie nie dawała, że jawnie im niechęć okazywała, A król też od ożenienia więcej się jeszcze odosobniał i zamykał, oprócz swoich wybranych nie dopuszczając do siebie nikogo.

- Dworu polskiego się spodziewać nie możemy - mówił Zebrzydowski. - Jeszcze może dopóki królowa Anna żyje, którą siostrzan szanuje i czasem jej słucha, cień pozostanie jagiellońskich czasów; zemrze ona, wszystko się przemieni.

W ciągu rozmowy Zebrzydowski namiętnie podniósł zasługę kanclerza, który odważnie przeciwko królowi występował, Aby nie dopuścić zamachu na Rzeczpospolitą grożącego jej bytowi; cieszył się tym, że Zygmunt upokorzony zostanie, tłumaczyć się będzie zmuszony, A wszystkie jego rachuby w nic się obrócą.

Bajbuza ośmielił się odpowiedzieć na to:

- Wieleśmy winni wdzięczności hetmanowi, to pewna, Ale ostateczność ta smutna w takim państwie, jak nasze, gdzie władza królów małą jest i ograniczoną, jeszcze ją podkopywać musi. Bo nie zaprzeczycie temu, iż powaga królewska na inkwizycji ucierpi, A szlacheckie zuchwalstwo nasze się wzmoże. Nie zechcemy potem słuchać, choćby co najszlachetniejszego nakazywał.

Ostro spojrział na mówiącego Zebrzydowski.

- To są dalsze następstwa - rzekł - którym zapobiec czas będziemy mieli, dziś najpilniejsza rzecz ratować sam byt nasz. Choćby nam na bezład chorować przyszło, życie naprzód trzeba utrzymać, A w sprawie praktyk rakuskich o sam żywot chodzi.

Nie mógł temu zaprzeczyć rotmistrz i zamilkł. Hetman milczał i po długim przestanku szepnął tylko:

- Gdyby nam nieba nie wzięły Stefana, gdyby on żył, inaczej by Rzeczpospolita wyglądała i zabezpieczoną byłaby na przyszłość. Nieubłagana śmierć jego wszystko w gruzy zmieniła.



Przez wieczór cały toczyły się tylko rozmowy o publicznych sprawach. Bajbuza słuchał więcej, niż się odzywał i wyszedł z tym przekonaniem, iż Zamoyski czynił, co było koniecznym i że z nim iść stało się obowiązkiem, choć mogło wydawać rebelią niemal.

Dzień jeszcze potem spędził na oglądaniu miasta, zamku, kościołów, giełdy, sklepów Ormian. Nagadał się do syta z Urowieckim, A na ostatek pożegnał z zamiarem powrotu do domu, dopóki by na sejm jechać nie przyszedł czas.

Dążył właśnie do swej gospody wieczorem, gdy w ulicy przed nią spostrzegł przechadzającego się człowieka, którego zobaczywszy, stanął nasepiony, A potem się cofnął, jakby spotkania z nim chciał uniknąć.

Był to mężczyzna lat średnich, miernego wzrostu, krępy, który chodził tak, jak koń na lince puszczony dla popisu, cały w krygach, podrygach, kręcąc się, głową rzucając, to się biorąc w boki, to dziwnie przebierając nogami i wierząc biodrami. Zdawał się raczej tańcować niż chodzić. Strój dosyć pomięty, wytarty, ubogi, Ale czupurny, krótko A kuso uwydatniał jeszcze pocieszne ruchy. Czapeczka czerkieska na ucho ułożona, szabelka mała na skórzanych rapciach dopełniały stroju. Twarz okrągła, rumiana do zbytku, z niezmiernie wysadzonymi na wierzch oczyma ciemnymi, z wąsem najeżonym do góry, przystałaby była więcej trefnisiowi niż szlachcicowi, za jakiego szabla go brać kazała.

Z ust rotmistrza dobył się mimo woli wykrzyknik:

- Do licha! Taż to Gubiata!

W istocie był to, jak się sam głosił, Porfiry Gubiata, litewski szlachcic, który już dał się we znaki Bajbuzie, bo go miał przez parę lat przy sobie.

Niegdy, jadąc do Krakowa raz, Bajbuza na drodze spotkał idącego pieszo, wielce odartego i żałośnie wyglądającego szlachetkę przy szabelce. Szlachcic pieszo była to Anomalia pod owe czasy taka, że widząc go zsiadłego z siodła, wędrującego na piechotę, musiał się każdy zatrzymać i wywiedzieć, co się stało, iż szedł na piechotę. Bez ręki, bez nogi się obejść łatwiej było szlachcicowi niż bez konia. Mógł być chabet najobrzydliwszy, Ale dopełniał człowieka. Zobaczywszy tak kroczącego po błocie pana brata, zatrzymał się Bajbuza i począł go wypytywać, co nieszczęścia było przyczyną. Trafił na wymównego i wielomównego, tak że przez pół mili stępią jadąc, słuchać musiał opowiadania wszystkich nieszczęśliwości, jakie dotknęły Porfirego Gubiata. Obżałowany miał sposób opowiadania zabawny, retoryka jego przeplatana była szyderstwem, tak że i zajął rotmistrza, i litość w nim obudził; kazał mu dać konia i kulbakę, wziął go ze sobą i Gubiata umiał mu się tak wysługiwać, że go zawiózł do Nadstyrza. Ale tu powoli zaczęły się pokazywać istotne przyczyny, dla których owemu Gubiacie powodzić się nie mogło. Nie był bez zdolności i sprytu, lecz razem miał wszystkie nałogi i namiętności, które na łotra

wykierować mogły. Był kostera namiętny, niepohamowany, tak że do ostatniej koszuli zgrywać się był gotów; A w ostatku i cudze przegrać; pił jak gąbka, kłamał, Aż się za nim kurzyło, słowa nie dotrzymywał nigdy, na ludziach, co mu dobrze czynili, pocziwej nie zostawiał nitki. Słowem, im się go bliżej poznawało, tym robaczliwszym owocem się okazywał. Zgromiony padał na kolana, A potem po cichu kłął i groził.

Kilka wybryków, na których go pochwycono "in flagranti", zmusiły Bajbuzę precz go wygnać z Nadstyrza, Ale opatrzonego niezgorzej, Aby nędzy nie cierpiał, dopóki by sobie nie znalazł zajęcia.

Po dwakroć potem goły i odarty do miłosierdzia pańskiego powracał Gubiata i znowu przeskrobawszy musiał być wypędzony. Na ostatek wyświecono go już z Nadstyrza z tym, że jeśli się pokazał raz jeszcze, czekają go i plagi na kobiercu, i co gorszego może jeszcze. Zniknął tedy Gubiata.

Nic dziwnego, że zobaczywszy go przechadzającego się przed oknami swej gospody, Bajbuza skrzywił się i starał uniknąć z nim spotkania. Nałożył więc drogi, obszedł gospodę dokoła, wśliznął się do niej z tyłu i czekał, Ażby natręt precz uszedł, spodziewając się mu ujść nazajutrz o świecie. Nie wątpił bowiem, że na niego tu wyczekiwał.

Tymczasem szlachcic, świadom obyczajów rotmistrza, tak umiał się urządzić, iż do drzwi jego się dostał, nim pośpieszono je przed nim zamknąć, i znalazł się oko w oko z Bajbuzą.

Rotmistrz już mu ręką wskazywał, Aby precz szedł, gdy Gubiata, nie zważając na to, wołać począł:

- Bóg świadek, przychodzę jedynie w interesie waszej miłości, powodowany tą czią weneracją i wdzięcznością, jaką w sercu mym, ja, robak mizerny, chowałem, chowam i chować nie przestanę dla heroicznej osoby miłości waszej!

Tu w piersi się uderzywszy, nim słowo mógł wtrącić Bajbuza, ciągnął dalej szparko i coraz głos podnosząc:

- Drogiemu życiu miłości waszej grozi niebezpieczeństwo! tak jest. Na złamanie karku biegłem tu, Aby przestrzec i uchronić miłość waszą od zbójckiego zamachu.

Rotmistrz się rozśmiał.

- Wasza miłość śmiejesz się - wołał Gubiata - i mówisz sobie: Bzdurstwo jest i kłamstwo, bo to głosi ten niecnota, łotr, kostera, pijanica Gubiata. Tak? A ja przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, że choć Gubiata łotr, Ale słowa jego złote, prawdę mówi i wasza miłość życie mu winien będziesz!

Bajbuza nie przestawał śmiać się.

- Nie frasuj się ty o życie moje - rzekł. - Potrafię je obronić. Ruszaj z Panem Bogiem!

Gubiata stał jak wryty.

- Choćbyś mnie miłość wasza kijem stąd pędzić chciał, nie pójdę - rzekł - odpowiem jak ów starożytny mąż: "Bij, Ale słuchaj!"

Rotmistrz począł się śmiać mocniej jeszcze.

- Mości Gubiato - rzekł - znamy się już nadto, Abym się ja ci dał wziąć na takie postrachy i kłamstwa. Ruszaj z Bogiem, pókiś cały!

- No, dobrze, pójdę, idę, Ale czekajcie, dopóki nie powiem, z czym tu przyszedłem. Potem każecie mnie za drzwi wyrzucić, jeżeli na to zasłużyłem, Ale, miłościwy panie, Gubaita łotr, niezdara, kostera, pijanica, wszystko to prawda, A serce ma i tym sercem miłość waszą kocha, tak że żywot za nią dać gotów.

Odchrząknął i nogę jedną naprzód wysadziwszy, ciągnął dalej:

- Jakim sposobem doszło do wiadomości mej, iż pan Spytek Jordan zasadzkę na rotmistrza powracającego uczynił i na życie godzi, mówić nie potrzebuję. Proszę tylko przekonać się, iż zasadzka ta w samej istocie istnieje.

ściągnął brwi Bajbuza.

- Gdzież ona ma siedzieć? - spytał pogardliwie. - Jaka jej siła?

- Gubiata stał się śmielszy.

- Widzicie, miłość wasza, że nie plotę koszałków, że przynoszę wam prawdę! Aha! Pytacie, gdzie? Chcecie wiedzieć ilu? więc i ów potępiony Gubiata na coś się przydać może! Aha! Aha!

Trochę zwycięsko brzmiały te słowa i Bajbuza się zmarszczył.

- Spytek więc tak ograniczonym jest, że chcąc mnie podejść, publicznie to głośi? - rzekł szydersko. - Gdyby istotnie miał ten zamiar, czyżby go roztrąbiał zawczasu?

- Nie trąbił i nie roztrąbiał - odparł uroczyście Gubiata - Ale ja mam uszy ku podsłuchiowaniu i umiem wydobyć z ludzi, co mi potrzeba. Zbierał i werbował ludzi do tej napaści, chciano mnie zaciągnąć, dałem się ująć, Aby się o wszystkim dowiedzieć. Spytek mieć będzie zbieranej, lichej drużyny głów może do pięćdziesiąciu. Niewiele to warto, Ale po nocy na gospodę wpaść, na śpiących, niespodzianie, bezbronnych pokonać, łatwo i lada ciurom.

To mówiąc Gubiata już zabezpieczony, że go nie wypędzą, przystąpił bliżej i wymienił miejsce, podał szczegóły, nie pozwalające wątpić, iż na ten raz nie kłamał, choć może dodawał i powiększał.

Zamyślił się rotmistrz. Miał sposób dwojaki uniknięcia niebezpieczeństwa: Albo sam napaść na zasadzkę, czekając na nią przygotowany, lub inną udać się drogą, Aby jej uniknąć. To

mu się zdawało właściwszym. Nie rozgadywał się już obszerniej z Gubiata, dobył sakwy i począł liczyć pieniądze. Szlachcic, który się może innej nagrody spodziewał, wzdychał.

- Ja bym miłości waszej do Nadstyrza towarzyszył! - wyjąknął. - Przez te czasy, wiele biedy doświadczywszy, wielce się poskromiłem. Teraz mnie Ani poznać. Kości i kart w ręce nie biorę, choć mówią, że sam król młody w karty grawa, Ale co wolno królowi, nie godzi się Gubiacie. To się wie. Co się tyczy pijatyki, także zarzekłem się ekscesu. \* Chodziłem do spowiedzi pod laskę, \* z całego żywota i mogę powiedzieć, że odrodzonym, nowym spod niej wyszedł. Miałbyś miłość wasza ze mnie sługą doświadczonego, wiernego, bywałego, jakiego Korona ta drugiego nie okaże.

Eksces ( z łac.) - nadużycie.

Spowiedź pod laską - spowiedź u biskupa, tzw. spowiedź generalna, z całego życia.

- Dziękuję ci - odparł Bajbuza - nie może to być. Raz i drugi próbowałem cię, wiem, że jesteś niepoprawionym, szukaj służyby gdzie indziej, u mnie jej dla ciebie nie ma.

To mówiąc, wskazał na talary rozłożone na stole, które Gubiata skrzętnie zgarniać począł do chusty brudnej, gdyż mieszka na pomieszczenie ich mu brakło.

- Bóg zapłać - rzekł - Ale gdybyś miłość wasza inaczej się rozmyślił!

- Nie mogę.

Szlachcic stał jeszcze chwilę.

- Konika w dodatku - szepnął. - Ja po niego sam dobiegnę do Nadstyrza, bo z podróży oczywiście nie dostanę.

Bajbuza obojętnie głową poruszył. Gubiata wyszedł nareście.

## Rozdział V

Nie czekając poranku, zaraz po wyjściu Gubiaty rotmistrz kazał konie siodłać i wozy zaprzęgać. Szło mu o pośpiech, Aby się przekonać, czy istotnie groźba zasadzki mogła być przyprowadzoną do skutku. Powrotną więc podróż zmienioną drogą odbył Bajbuza w bardzo krótkim czasie, bo konie miał doskonale, wytrzymałe, A nie żałował ich. Do Nadstyrza przybył, co mu się nigdy nie trafiało, po nocy. Zbudzony Szczypior wybiegł przestraszony w jednej koszuli, przeczuwając, że pośpiech ten nie był daremny.

W niewielu słowach Bajbuza mu opowiedział, o co szło i co zamierzał uczynić Miejsce na zasadzkę oznaczone odlełym było o mil osiem od Nadstyrza. Natychmiast chorąży poszedł ludzi zbierać i gotować na tę wyprawę, której Ani celu, Ani kierunku nie zwierzał nikomu. Szło i o to, Aby się nie wydało przed czasem i o białym dniu Szczypior już swój oddział lasami prowadził.

W całym tym ruchu na owe czasy nie było nic tak nadzwyczajnego; najazdy A wymiary samowolne sprawiedliwości, opanowywania dworów, porywania ludzi, przytrafiały się ciągle. Zborowski tak pochwycił niedawno tarnowskiego i ograbił. Mszczono się krzywd dawnych, jeden drugiemu w pomoc przychodził. Nie było więc dziwu, gdy kto swoich ludzi zażył w ten sposób.

Szczypior do podobnych wycieczek jedynym był człowiekiem. Baczny, ostrożny, prędki A mężny, umiał niespodzianie najść, osadzić, miał instynkt miejscowości i zręczność starego partyzanta.

Miejscem wskazanym była mała osada w lesie i przy niej gospoda, której w podróży ominąć nie było można. Przodem wysłano po język człowieka, który nie od strony Nadstyrza, Ale z przeciwnej miał nadjechać, Aby na miejscu się przekonać, czy zasadzka nie została zmyślona. Szczypior z oddziałem czekał na wiadomość nie na gościńcu, Ale opodal w lesie. Posłaniec pod wieczór wrócił z uwiadomieniem, że Spytkowa gromada dokoła gospody była rozprószona.

Chorąży więc, przybywając późno od lubelskiego traktu, miał tu zastąpić Bajbuzę. Wszystko się jak najskładniej powiodło. Mniemany rotmistrz zajął nieopatrznie niby gospodę, nie stawiając straży i natychmiast rozłożył się na spoczynek. Tymczasem gospodarza i ludzi, co by zdradzić mogli powiązano, oddział się rozłożył w szopie i przygotował tak, Aby mógł wycieczkę zrobić, A tył zająć napastnikom.

Widziano ich nadciągających po cichu, okalających gospodę, zabierających się do wtargnięcia w nią. Szczypior doskonale przygotowany czekał. Zdawało mu się nawet, że dowodzącego Spytka widział, który ludzi rozstawiał.

W chwili, gdy ciury się rzuciły z okrzykiem na szopę, łamiąc wrota i płoty, dano do nich naprzód tak rześistego ognia, iż kilkunastu rannych padło. W tej samej chwili część ludzi ze Szczypiosem wyskoczyła tyłami i osaczyła jeszcze po wystrzale nie mogących się opamiętać

napastników. Spytek, który blisko stał, natychmiast po danym ogniu w las pierzchnął sam; z ludzi jego, oprócz ranionych, zagarnął w niewolę kilkunastu Szczypior i w niespełna godzinę wszystko było szczęśliwie skończone. Powiązani jeńce śpiewali, o co ich pytano, bojąc się, Aby ich nie brano na męki.

Zwycięstwo otrzymane niemal ciężko Szczypiorowi, bo co miał z jeńcami począć, zrazu sam nie wiedział. Zabierać tych ciurów do Nadstyrza nie zdało mu się potrzebnym, oćwiczonych więc kazał puścić, rannym dał iść, gdzie zechcą, spisawszy wszystkich, A jednego tylko, który mógł opowiedzieć więcej, A ranny był mocno, na wóz zabrano.

Wszystko się to odbyło tak szybko i szczęśliwie, że gdy Szczypior powrócił zwycięsko, śmiejąc się i jeńca oddając, rotmistrz ledwie oczom wierzył, iż poszło tak gładko. Nie było co zresztą Ani na Spytku sędownie poszukiwać ukarania za gwałt zamierzony, Ani sprawy rozgłaszać przykrej, która i tak się niepotrzebnie musiała po świecie rozejść. Z rannym ciurą ponieważ się tu obchodzono po ludzku i miano litość nad nim, wszystko więc wypowiedział, co tylko znał, A przeklinał Spytka, że się dał wciągnąć. Rotmistrz o całej sprawie nakazał milczenie i sam Ani już o tym wspominał. Dowiedziała się jednak sąsiadka i opłakała wypadek, którego była przyczyną.

Bajbuza pojechać do niej Ani pocieszyć nie mógł, Aby do nowych potwarzy nie dać powodu. Pewnym był zresztą, iż Spytek po próbie tej więcej się już na niego nie porwie. Wyparł się on najuroczyściej współudziału w zasadzce i pojechał sam do królowej Anny skarżyć, że go niegodziwy Bajbuza złośliwie obwiniał dla zohydzenia. Mówiono o tym przez czas jakiś, Ale sejm nadchodził i umysły czym innym zaprzątnięte nie miały czasu powszednimi sprawami się zajmować.

Bajbuza nasz, chodź się starał sam poskromić i zmusić do spokojnego siedzenia w domu, A wyczekiwania wypadków, choć sobie wmawiał, że żaden obowiązek nigdzie go nie powołuje, złej swej natury zwyciężyć nie mógł. Rwał się duchem precz, w świat, Aby o publicznej rzeczy miał świadomość, A gdyby można i udział jakiś w pracy około niej.

Stara, poczciwa Leszczakowska na próżno go starała się przekonać, że on, żołnierz, gdy wojny nie ma, powinien spokojnie w domu siedzieć, orać swą grzędę, A panom senatorom zostawić troskę i pieczę o Rzeczpospolitą.

- Co to do ciebie należy - mówiła, jakby jeszcze do dziecka - czy się tam król Jegomość z kim kocha lub kłóci? Ty przecie nic nie poradysz, nie przerobisz, A darmo się mięszać... śmiech.

- Ale, matusiu kochana - prawil Bajbuza - ja mojej natury nie mogę przerobić. Ciągnie mnie tam. Chciałbym o wszystkim wiedzieć, być, słuchać, no i słowo rzec czasem, które choć proste, Ale poczciwe i szczere, zaważyć może.

Rozumna staruszka śmiała się.

- Mój Iwaś - mówiła - to bałamuctwo, że ci się gwałtem chce być statystą, całe życie zwichnęło. Nie lepiej by się ożenić, gospodarzyć, no i w potrzebie na koń sięść, boś do rycerskiego rzemiosła stworzony, Ale nie do tej gadaniny sejmowej! do tego są biskupi i senatorowie.

- Nie wszystko oni widzą i rozumieją jak my - odpowiedział Bajbuza. - Już niech będzie, co chce, A ja sobie na sejm, choć jako Arbiter, pojedę, nie wytrzymam.

Staruszka, choć ramionami ruszała, nie sprzeciwiała mu się.

Szczypior się tak urządził, że tym razem mógł towarzyszyć rotmistrzowi. A że na Rożka i na Przygodzkiego domu zostawić nie było można, A ksiądz był chory i nazbyt popędliwy, Leszczakowska za stara, musiał rotmistrz uprosić sąsiada, Aby mu na dwór miał oko.

Sejm się zapowiadał jako burza okrutna straszny. \* Po drodze, po gospodach, posłowie głośno się odgrażali. Ucieczka Henryka była jeszcze pamiętną, A tu drugi już panujący kraj chciał, jak mówiono, potajemnie opuścić i srom mu uczynić wzorem Henryka, który także o koronę targi rozpoczynał, frymarcząc nią. Na króla i królowę gromy zewsząd leciały; opowiadano o nich obojgu wszystko, co zrazić i zniechęcić mogło. Ci, co króla otaczali, w równej byli ohydzie; Zamoyskiego stronę wielka popierała większość.

Sejm się zapowiadał jako burza okrutna, straszny - następujący potem opis sejmu inkwizycyjnego ( 1592), czyli śledczego, zaczerpnął Kraszewski z głównego źródła, które wykorzystał przy pisaniu powieści, mianowicie z dzieła J. U. Niemcewicza: "Dzieje panowania Zygmunta III", Warszawa 1819

Pytano tylko, gdy się królowi dowiedzie, że winien był zdrady kraju, co dalej? Na to nikt odpowiedzieć nie umiał. Byli tacy co mruzcili: - Ukarać go nie możecie, tylko upokorzyć i zniechęcić! Do czegoż się zdała inkwizycja? - drudzy dowodzili, że zarzuty czynione należało koniecznie udowodnić.

Sejm się zjechał tak już burzliwie usposobiony, że przeciwnicy - regaliści i hetmańscy - po ulicach się niemal do boju wyzywali.

Zaraz na wjeździe do miasta rotmistrz postrzegł garstkę małą dworzan króla, których poznać było można po tym, że z hiszpańska po niemiecku się nosili, która w głos i jawnie, wyzywająco naśmiewała się z wielkiej gromady nieco podochoconej szlachty. Tak byli pewni bezkarności, że choć ich tam znajdowało się niewielu, A nasi by ich mogli zgnieść, czuli, że się im nic nie stanie. Miało to swe znaczenie.

Nim do najętego dworku dojechał Bajbuza, także w ulicy spotkał Kalińskiego, który się przy królu teraz znajdował, A że w nim wdzięczność nie wygasła za ów rzedzik ofiarowany niegdyś, A Kaliński w żadną się politykę nie wdawał, przystał zaraz do rotmistrza i towarzyszył mu do mieszkania.

Bajbuza rad był, że języka dostanie. Po drodze ciągle słyszał przeciw królowi głosy; ostrożnie więc zapytał o to kortedziana.

- Co tu u was słyhać? coś ponoć na króla się strasznie gotują?

Kaliński obojętnie ramionami poruszył.

- Ale to wszystko przebrzmi sobie bez skutku - rzekł. - Szlachta będzie zawodziła i krzyczała, będą inkwirowali, \* hałasowali, A nasz król na to zważać nie myśli. Ja co dzień słyszę, co się o tym mówi u dworu. Kardynał powiada, że dosyć będzie kilku słów ze strony króla, A zagodzi się wszystko. Na włos się Najjaśniejszy Pan nie da przez to ze swej drogi sprowadzić. Milczy on, oczy spuszcza, rzadko się poruszy, Ale gdy co powie i raz się na co waży, z pewnością nie ustąpi.

Inkwirować ( z łac.) - badać sędownie, prowadzić śledztwo.

Zapewnienie to Kalińskiego, po tym, co słyszał w Zamościu rotmistrz, dziwnym mu się wydało. Ze strony Zamoyskiego na tę inkwizycję rachowano ogromnie, A tu król sobie ją lekceważył! Miał więc i czuł jakąś siłę za sobą...

O tym Kaliński nie wiedział wcale. Lecz tak mało wagi przywiązywał do tego sejmku i rozpraw, że ciągle to o koniach, to o zabawach, to o muzyce coś rozpowiadał.

- Za nieboszczyka Stefana muzyki Ani było słyhać - mówił - chyba surmy i kotły. Za terażniejszego króla nasłuchamy się największych śpiewaków i lutnistów i "capelli" najdoskonalszych, bo na to on żałować nie będzie. Mamy już wybornego śpiewaka Adesa, którego pan Kostka królowi ustąpił; Diomedes Kato też do nas przejdzie od niego, jest już Włoch Fulvio, Ale na tym nie koniec. Król sam gra na klawicymbale i cytrze, A może i śpiewa, Ale tylko na chwałę Bożą... ZŁoży się przy dworze "capella" taka, jakiej u nas nigdy jeszcze nie było. \*

Wymienione tu zostały nazwiska muzyków i śpiewaków, którzy rzeczywiście przebywali na dworze Zygmunta III, bardzo rozmiłowanego w śpiewie i muzyce.

Rotmistrz wężem pokręcił.

- Byle tylko było o czym wesołe pieśni nucić - wtrącił.

- A dlaczegoż nie ma być? - odparł Kaliński. - Wszystko się składa, jak nie można lepiej. Pokój, chwała Bogu, byle tylko kozactwo się ustatkowało! Ludzie się garną do dworu!

Kaliński mówił to z tak głębokim przekonaniem, iż rotmistrz Ani się myślał z nim sprzeczać. Dziwiło go tylko, jak z dwu stron widziane położenie zupełnie się różnie wydawało. Kto widział lepiej?

W pierwszych dniach po zebraniu się sejmku burza zapowiedziana podniosła się w istocie o wybór marszałka sejmowego, na którego się zgodzić nie umiano. Namietności, jeszcze nie zużyte, w całej sile naprzód się tu z całą gwałtownością wylały.



Zamoyski, który to piwo znał tak dobrze, jak kardynał Radziwiłł, nierad był temu, iż się zbyt burzy, bo mu siły nie stanie na najważniejszą godzinę. Na ostatek jednak zgodzono się na Paca, Ciwuna \* witebskiego, którego mało kto znał, A nikt się nie obawiał.

Ciwun lub Cywun - szlachecki urzędnik ziemski w województwach płockim i wileńskim oraz na Żmudzi.

Podkanclerzy Tarnowski, ten sam, którego król przeciwko woli hetmana mianował, bo był pewnym, że mu przypieczętuje, co zechce i oszczędzi dopraszania się przyłożenia wielkiej pieczęci przez kanclerza, zabrał głos.

Bajbuza słuchał z wielką uwagą. Ton jego był ten sam, co poczciwego Kalińskiego. Tarnowski zarzuty lekko odpierał, nie nadając im wagi, obiecywał od króla spełnienie przyrzeczeń, tłumaczył opóźnienie, A w końcu zażądał oprawy \* dla królowej.

Oprawa ( st. pol.) - zapis, zabezpieczenie majątkowe.

Po tej mowie inkwizycyjny sejm zdawał się o sto mil od swego zadania, którego król Ani słuchać, Ani na serio brać nie chciał.

Widział go rotmistrz w czasie mowy siedzącego na tronie w postawie dumnej, obojętnego na to, co się wkoło działo, dobywającego niekiedy jajkowatego zegarka, któremu się przypatrywał. Ani obawy najmniejszej, Ani nawet zniecierpliwienia nie widać było na twarzy.

Szlachta i niektórzy senatorowie rozgorączkowani, wszystko wkoło wydawało się na inny ton nastrojone. Król stał wyżej ponad te gwary i niepokoje.

“Jedno z dwojga - pomyślał Bajbuza - Albo on taki pewny swego, że tu mu się nic stać nie może, Albo doskonały komediant, Ale Ani znaku, żeby myślał o tym, iż jego majestat o zdradę będą sądzić”.

Dnia tego skończyło się, że Zygmunt wyszedł, Ani się zmarszczywszy, A zwrócił się od tronu do drzwi takim krokiem, jakby ruszał na przechadzkę.

Następnego dopiero dnia prymas Karnkowski go rozjątrzyć potrafił. Staruszek “Interrex, Arcykapłan, pierwszy dostojnik w państwie, mówił sobie w senacie tak, jakby siedział u komina w pałacu swym wśród prałatów.

Zaraz w początku mowy zwrócił się do króla z ojcowskim upomnieniem.

“Pamiętaj, królu, na przysięgę twoją, bierz przykład z poprzednika twego Henryka, który ze ją złamał, zginął marnie. Panujesz ludziom wolnym, władasz szlachcicami zacnie urodzonymi, którym równych nie masz w żadnym narodzie ( !). A zaś nie wiesz, iż zacności jesteś większej niż ojciec twój, który, jak mi powiadają, chłopom tylko panuje... Pamiętajże, co ów śp. król nasz Stefan mówił: “Poskromię ja kiedyś tych królików szwedzkich i przepiszę im spokojnego zachowania się warunki”.

Król się zerwał jak piorunem rażony; uwłaczające dla ojca i dla niego wyrazy poruszyły go gniewem, zbliżył się do prymasa z wyrzutami, chociaż starowina Karnkowski Ani pojmował, żeby się obraży miał dopuścić.

- Alem ja - odparł - nie dlatego to mówił, Abym majestatowi króla Jego Mości Szwedzkiego chciał uwłaczać! Ja tego we zwyczaju nie mam. Porównując z sobą królestwa, musiałem to powiedzieć, proszę, Abyś mi Wasza Królewska Mość tego za złe nie brał. Ja chcę króla naprawić, Ale nie obelżyć.

Posłowie go tłumnie popierać zaczęli, Ale owo naprawianie popsuło sprawę. Królowi obelżywym się zdało, Aby go kto śmiał chcieć naprawiać! Wszczęła się wrzawa, zagłuszono staruszką, który z kolei znowu począł się zżymać.

Zwrócił się do posłów, którzy byli najzwawszi:

- Panowie posłowie! He? co to za rozum wasz? Wniosków jeszcze nie było, A wy już chcecie mówić i sejmować? A cóż tedy znaczyć będzie Arcybiskup, senat cały, kiedy go poseł głuszy i mówić im nie daje! Ja tu podobno ze wszystkich waszmościów jestem najstarszy! Lat czterdzieści na dworze królów naszych strawiłem, A nie pamiętam takiego nieładu, jaki tu dziś między posłami panuje!

Przystąpił senat do głosowania. Wtem Zamoyski się podniósł, A oczy wszystkich na niego. Wstał poważny, chłodny, dumny i miał postawę pedagoga wśród uczniów. Niejednemu się przypomniał rektor Akademii padewskiej.

- Miłościwi panowie! Ja tylko z powinności mej przypominam wam przysięgę świętą, że każdy z nas obowiązany jest, cokolwiek szkodliwego dla Rzeczypospolitej postyszy, donosić, zatem co kto słyszał o praktykach rakuskich, o wyjeździe króla, o frymarkach koroną, pod obowiązkiem sumienia powinien tu wyznać, nic nie tając.

Siadł potem. Król, gdy mówił, Ani spojrzął na niego.

Najdłużej prawił, co słyszał, pan wojewoda trocki, w taki sposób jak prymas, prostodusznie, na obwijanie się nie zmagając:

- U nas po Litwie chodziły już wiadomości, nie tylko że król miał ( koronę) ustąpić Arcyksięciu Ernestowi i wyjeżdżać się zabierał, Ale że już ją ustąpił. Powiadano, że w tym celu zaciągi czyniono na Węgrzech, Szląsku i Kozaków do Warszawy sprowadzać miano, że Stolica Apostolska już to potwierdziła.

Dodał potem, że po ożenieniu króla z Austriaczką, wnet Polaków ode dworu oddalono, A tym, co pozostali, królowa taką niechęć okazywała, iż wytrwać im było trudno; od nikogo z Polaków szklanki wody przyjąć nie raczyła, żadna z pań do niej nie uzyskała przystępu, same Niemki.

Gdy raz zaszło Aż do takich plotek ulicznych, oczywiście obfitość się znalazła zarzutów, z których i król, i senatorowie śmiać się musieli. Inkwizycja schodziła na jakąś zabawkę bez znaczenia i król znowu siedział bardzo spokojny.

Tymczasem był to tylko materiał do inkwizycji, więc mianoli ją dalej prowadzić, czy dać jej pokój? Trudno jest dać wiarę temu, Ale rozprawy o to, czy ustanowić, czy nie, inkwizycję, trwały całe dwa tygodnie.

Kaliński w doskonałym humorze co dzień przychodził.

- At! - mówił - czas upływa, nie ma nic i nic nie będzie, nie stanie czasu na inkwizycję. Umyślnie się to tak przeciąga, A potem... bywajcie zdrowi! Król się pożegna i co postanowi, to będzie.

Bajbuza biorący do serca wszystko, pobiegł z tym do hetmana.

- Panie hetmanie - rzekł - mnie się zda, że przeciwna strona rachuje na to marnotrawstwo czasu.

- A my mu zapobiec nie możemy - rzekł hetman - być może, iż oni się chytrze tak obliczyli, że nas znużą, że my się wyczerpiemy. Szlachty już dużo ucieka, inni ziewają, gorącość pierwszych dni uszła. Tak u nas zawsze!

Po długim, długim milczeniu, gdy już wszyscy byli zmęczeni dostatecznie, jednego dnia król głos zabrał.

Trzeba przyznać, iż mowa ta, czy on ją sam, czy Tarnowski lub Radziwiłł układał, była rozumna, umiarkowana i gdyby nie to rozdrażnienie, Aby koniecznie inkwizycję uczynić, A króla na ławę oskarżonych posadzić, mogła w istocie doprowadzić do porozumienia. Król na wszystko się zgadzał, czego od niego wymagano.

Zatem zerwały się głosy za i przeciw, A Zebrzydowski i hetmanowe stronnictwo parło koniecznie do inkwizycji.

Zygmunt po pierwszej swej mowie, na której skutek wiele liczył, gdy się przekonał, że ta jeszcze nie była dostateczną, poparł ją drugą. Wstyd mu było obwinionemu być przywiedzionym do tego, Aby jego własne sługi ( bo tego się domagano) przeciwko niemu świadectwo wydawały. Ze wzruszeniem, z przejęciem powtórzył swe obietnice, zobowiązania i w końcu rozpaczliwie prawie dołożył:

- Czegóż więcej żądać możecie? Jeżeli nie dopełnię warunków, przez to samo odpadam od korony.

Ale i tego już nie dosyć było. Król, widocznie rozdrażniony, w tej chwili może, gdyby był mógł, rzuciłby tę koronę cierniową z głowy. Prymasowi żal się zrobiło go, nakłaniał do zgody. Można było przestać na Oświadczeniu króla uroczystym.

I byłby sejm przystał, Ale Zamoyski nie mógł odejść, nie dopiąwszy celu, nie pomściwszy się. Wystąpił on o inkwizycję ostro i kwaśno, szorstko zwrócił się do króla:

- Prosimy, Abyś Wasza Królewska Mość dalej z nami szczerze szedł, bośmy członkami Rzeczypospolitej, Ale nie własnością Waszej Królewskiej Mości.

Tu hetman rozwiódłszy się obszernie nad położeniem, nad naturą obwinień, zażądał, Aby pisma i dowody zdrady króla roztrząsano, osądzono i ich Autentyczność wypróbowano. Cel był dopięty. Przed narodem, przed światem hetman pokładał własnoręczne pismo króla do Arcyksięcia Ernesta. Hetman kazał czytać Artykuły obwinienia na zjeździe jędrzejowskim uchwalone. Oprócz tego mógł świadczyć o praktykach Leśniowolski, przytomny tu, który był posyłany z listami, jeździł w poselstwach.

Położenie króla było straszliwe, stał pod pręgierzem, pod którym go nielitościwy hetman postawił. Nie mógł i nie śmiał się zapierać, nie chciał przyznać, milczał. To dumne milczenie pańskie było jedynym ratunkiem.

Ktoś z bardzo niezręcznych obrońców podsunął, iż pisma były sfalszowane, że jakiś pisarek w kancelarii podrobił. Wymieniono go po imieniu, kazano pochwycić i uwięzić w Działdowie, dano go na męki, Ale się do niczego nie przyznał. Czytano list jakiegoś Szweda, który zapowiadał, że Zygmunt na żaden sposób w Polsce pozostać nie może. I dwór, i szlachta, i cały sejm, który był nieco ostygł, znowu się rozgorączkował.

Zamoyski się skarżył, że Niemcy królewscy i jego gwardie, niejaki Reder, dowódca i ciury, napadali na posłów; rzucono się raz nawet na hetmana. Szlachta wołała, Aby król przez Niemców odprawił. Z tego wszystkiego wynikł zamęt, wrzawa, pogrożki i rozdrażnienie ostateczne.

Po inkwizycji należało iść dalej, coś postanowić, zamknąć ją. Zamoyski się wstrzymywał od wniosku, A inni sami nie wiedzieli, czego żądać mieli.

Rotmistrz każdego dnia wychodził z tych posiedzeń jak z łaźni. W końcu przed sobą sam wyznawał, że toku sprawy nie zrozumiał. Ile razy mu taka trudność nie rozwikłana stawała na drodze, szedł do hetmana. Po tych gorszących odkryciach, których czytanie Ćwiklińskiego "urbi et orbi" \* objawiło, prostoduszny Bajbuza sądził, że chyba król się nie utrzyma na tronie, że hetman pójdzie dalej. Tymczasem znalazł Zamoyskiego spokojnym, obojętnym i prawie chłodnym. Własna jego gorączka z tą zimną krwią hetmana pogodzić się nie mogła. Przypadł z nagłym zapytaniem:

Ćwiklińskiego Urbi et orbi - z polecenia Zamoyskiego odczytywał na sejmie oskarżenie przeciw królowi Ciekliński (nie Ćwikliński), prawdopodobnie Piotr, poeta i tłumacz, związany z dworem Zamoyskiego. Ciekliński był potem sekretarzem i podczaszym na dworze Zygmunta III.

Urbi et orbi ( łac.) - dosłownie: miastu i światu; tutaj: wobec wszystkich, do publicznej wiadomości.

- Panie hetmanie, cóż to z tego wszystkiego wyrośnie? Co dalej?

- Nic - odparł Zamoyski z powagą - uczyniliśmy do ostatecznej granicy, co było można i godziło się; król wie, że go oszczędzać nie będziemy, że podwójnej polityki prowadzić u nas nie może. Ma doskonałą naukę, czyż nie dosyć? Daliśmy go pod sąd ogółu, dowiedliśmy, że nie gołymi słowy, Ale pismami i faktami obudził w nas niewiarę. Teraz wręście gotowiśmy jego oświadczeniami się zaspokoić, bo sami czuwać będziemy. Cośmy żądali, to otrzymaliśmy.

Senatorowie, nazajutrz występując w roli rozjemców, zwrócili się do posłów, Aby sobie spokojnie do domów jechali, A na nich zdali resztę. Więc wrzawa znowu; posłowie praw swych wspólnego z senatorami naradzania się i stanowienia nie chcieli ustąpić. Na koniec wspólnie nic nie postanowiwszy, rozjeżdżać się zaczęto, bo termin upływał.

Ostatniego dnia rotmistrz, chodząc po dworku, pytał się sam siebie, po co tu przybył? I z czym powróci?

- Słuchaj, Szczypior, wiesz ty, cośmy na podróży na sejm wygrali, bo ja nie! - odezwał się rotmistrz.

- Ja? Ja wiem - rozśmiał się chorąży. - Koń nam zdechł jeden, drugi okaleczał. Ukradziono nam roztruchan, rozdarto kobierczyk, jam nie dospał i nie dojadł... ot, i po wszystkim.

- To pewna, że ja też mądrzejszy stąd nie powrócę - dodał Bajbuza. - Nieszczęśliwa to namiętność - westchnął po chwili namysłu - chcieć koniecznie "rerum cognoscere causas!" \*

Rerum cognoscere causas ( łac.) - dosłownie: poznać przyczyny rzeczy, dotrzeć do istoty rzeczy; poznać, kto ma słuszość w toczącej się walce politycznej.

- A co, rotmistrzu? Pakować by się do Nadstyrza?

- Jak chcesz.

Nadciągnął Kaliński.

- Nie mówiłem! - zawołał od progu - wszyscy się rozjeżdżają. Sejm się rozlazł, A jeżeli myślicie, że król na włos zmieni, co wprzódy postanowił, to go nie znacie. Ani jednego Niemca nie odprawi, to pewna, A zechce jechać do Szwecji, to pojedzie, i gdyby z Austriakiem podobało mu się układać, tyle tylko że kogo innego wybierze na posła. Pan Zamoyski! Pan Zamoyski! Prawda, że nadokuczał królowi, Ale nasz pan, gdy zechce być głuchym, umie i zmilczeć potrafi, A swoje zrobi. Gdy go hetman zmartwi, kardynał pocieszy, na ostatek uklękną z księdzem Bernardem, zmówią pacierze i Ani znaku!

Nazajutrz Bajbuza wyruszył do domu, Ale zły i poprzysięgając sobie, że spraw publicznych więcej Ani będzie się starać wyrozumiewać, Ani się mięszać do nich.

- Zawołają na wojnę, pójdę! A te sejmy...!

Ręką rzucił i nie dokończył..nv

Część II ( c.d.)

## Rozdział VI

Z wielkim nawet wysiłkiem i pracą niełatwo się zmienia natura człowieka; może on namiętności zwyciężyć, Ale ich objawianiu się nie jest w możności zapobiec. Sprawdziło się to na rotmistrzu Bajbuzie, który do domu powrócił z postanowieniem mocnym zwrócenia się ku gospodarstwu, oczekiwania spokojnego na wojnę, ograniczenia wręście rycerskim rzemiosłem. Chciał umysł swój odzwyczaić od tego nieustannego zaprzątania się sprawami publicznymi, na które wpływać nie mógł, A częstokroć nawet znaczenia ich się dobadać nie umiał. Lecz próżne to były usiłowania. Siedział wprawdzie w zapadłym kącie, dokąd nawet wiadomości dochodziły leniwo, A najczęściej z prawdą niezgodne i namiętne przekręcane, Ale i tu łapał w powietrzu pogłoski, męczył się, wnioski z nich wyciągając i z księdzem Rabskim rozprawiał godzinami o sprawach Rzeczypospolitej, królu, hetmanie itp. z duszy pragnął dla Rzeczypospolitej pokoju, Ale dla siebie życzył wojny. Ona go jedna mogła na szerszą wyprowadzić widownię, postawić znowu z boku ludzi czynnych i odżywić. W tej cichej Atmosferze wsi zamierał i drętwiał.

Najlepiej tego dowodziły pobieżne notatki, które starym obyczajem w przeznaczony na to księdze od czasu do czasu zapisywał.

“Silvae rerum” \* takowe znajdowały się naówczas po wszystkich szlacheckich domach, A cudzoziemcy podróżujący po Polsce, starzy genealogiści, jak Paprocki, świadczą, że się żadna rodzina nie obchodziła prawie bez takiego rocznika. Notowano w nim najrozmaitsze rzeczy, tak jak się składa do śpizarni, co na jutro przydać się może, A godnym jest zachowania. Urodziny dzieci, zgon starszych osób, nabywanie majątności stały tu obok doświadczonych przepisów gospodarskich dla Apteczki domowej, obok dowcipnych i złośliwych wierszyków, opisów wypadków osobliwych, wyroków w sprawach głośnych, umów, epitalamów \* itp. Listy znaczniejszych osób zwłaszcza teraz, gdy się kraj na obozy dzielił, przepisywano też skwapliwie, rzadko co obcego do spraw krajowych mieszając, bo te głównie chciano podać pamięci potomnych. Sąsiad sąsiadowi użyczał pochwyconych wiadomości i kopii dokumentów.

Silva rerum ( łac.) - dosłownie las rzeczy; tu: zapiski, notatki różnego charakteru, prowadzone przez szlachtę w specjalnej księdze.

Epitalamy ( z gr.) - utwory poetyckie z okazji zawieranych małżeństw.

Bajbuza też miał taką “Silva” troskliwie utrzymywaną, do której nawet osobny pisarek był przeznaczony, który dłuższe diariusze przepisywał. Sam rotmistrz notował, co się jego, majątności, budowli i wydatków znaczniejszych tyczyło, Ale częstokroć powstrzymać się nie mógł od zapisania z tęsknotą swego osamotnienia i życzeń, Aby go jaka potrzeba znowu na świat wyprowadziła.

W Nadstyrzu wiele też było do czynienia, Ale małych rzeczy. Bawił się Bajbuza ogrodem i hodowlą zwierząt, założył mały zwierzyńcyk, jaki naówczas każdy pan możniejszy mieć się starał, sadił wino, szczepił płonki, posyłał po nie daleko i zaprowadził tu pierwszy gruszek i jabłonie koniackie, porteńskie, uriateckie, \* A nawet lipy do nowej ulicy w ogrodzie przez Gdańsk z Holandii dostał, bo je z piękniejszego liścia i kwiatu sławiono.

Jabłonie koniackie, porteńskie uwiaterskie - gatunki jabłek, o nazwach dziś już nie używanych.

Ale to wszystko niespokojnemu umysłowi temu nie starczyło. Oddalenie znaczne od miast głównych, od gościńców uczęszczanych i składów handlowych sprawiało, że i wiadomości tu opieszale dochodziły. Nie miewano ich inaczej jak z Łucka, z Ostroga, Zasławia lub od zakonnych konwentów, \* które z sobą w całej prowincji były w stosunkach.

Konwent ( z łac. ) - zgromadzenie, klasztor ( przyp. red. ).

Znano Bajbuzę z hojności wielkiej dla zakonów żebraczych i innych, zjeżdżali tu więc często i kwestarze, i starsi, zbierający składki na kościoły i klasztory. Gody to naówczas były w Nadstyrzu, gdy ks. przeor jaki, przełożony, gwardian przybywał, bo każdy z nich coś miał do powiedzenia, A często przywoził ciekawe dokumentów odpisy, z których korzystano.

Bajbuzę zaś szczególnie zajmował zawsze trwający ten konflikt pomiędzy królem A hetmanem, który dla niego nie siebie samego znaczył, Ale szlachtę i naród, po stawał w ich imieniu. Zakończenie sejmu inkwizycyjnego, na którym się zanosilo na tak doniosłe postanowienia, A skończyło na niczym, było dlań zagadką. Rozmyślając jednak nad nią, nie mógł Zamoyskiemu tego nie pochwalać, że do ostateczności się nie posunął, pokazał się czujnym, A królowi wręście pofolgował. Dworski zaś obóz inaczej to tłumaczył, nie powolnością Zamoyskiego dobrowolną, Ale zręcznym i śmiałym postępowaniem, jeśli nie króla, to jego rady.

Po sejmie już głuche tylko dochodziły tu wieści ku końcowi roku, iż ze Szwecji oczekiwano jakichś ważnych wypadków, które, jak zawczasu przewidywano, króla musiały skłonić do podróży. Tym razem wszakże zapobieżono i obwarowano, że król samowolnie, bez dozwolenia sejmu, odjeżdżać nie mógł. Sprawdziły się przewidywania i rotmistrz zanotował przez dominikana księdza Tomasza przywiezioną wiadomość, iż król Jan III życie skończył, A Zygmunt musiał dla objęcia po nim tronu płynąć do Sztokholmu. Sprawilo to w kraju pewne poruszenie, Ale połączenie dwóch koron na jednej głowie dla Polski nie było bez korzyści, mogło jej dodać siły. Razem z tym wrócono, iż w Szwecji spokojnego panowania Zygmunt mieć się Nie spodziewał. Zwołać musiano sejm dla dozwolenia na wyjazd. Razem z tym królowi pierworodna córeczka się narodziła, A że jej dano imię Anny, w domu więc królewskim były teraz Anna wdowa, Anna królowa, Anna królewna szwedzka, siostra króla i Anna nowo narodzona.



W Krakowie, jak słyhać było, wyjazdem się tylko i wyborem w drogę zaprzętało, bo i o tym pomyśleć musiano, kogo królowi dać, kogo pozostawić i jak go przystojnie opatrzyć itp.

Mniej jednak te sprawy rodziny obchodziły rotmistrza, który notował swoją tęsknotę za wojną i pocieszał się, że oręż nie spoczywał, bo go książę Ostrogski na Kozaków podniósł zwycięsko. \* Jawnym to było, że we własnym interesie prowadzone praktyki rakuskie, kozactwo pobudzające przeciwko Turkom, na Rzeczpospolitej ramiona spadały, bo ona za Kozaków odpowiadała, a pohamować ich trudno było, gdy im pieniędzmi i podarkami w pomoc przychodził cesarz.

Książę Konstanty Ostrogski stłumił w r. 1593 powstanie Kozaków i chłopstwa ukraińskiego, dowodzone przez Krzysztofa Kosińskiego.

Następnego roku król powrócił szczęśliwie i sejm zwołano do Krakowa, choć szlachta wolałaby go być mieć w sejmowym mieście, jak wówczas zwano Warszawę.

Bajbuza, zasłyszawszy, iż hetman o Tatarach zamyślał, niespokojnie się zaraz poruszył i Szczypiora posłał się dowiedzieć, czyby jego tam gdzie nie potrzebowano, bo mu się ta bezczynność wielce przykrzyła. W niedostatku innego zajęcia czytał nawet polemikę księdza Skargi z dysydentami, ale ta go tak gorąco nie obchodziła już. W Polsce cały ten ruch był na schyłku, co było gorliwszych reformatorów wynosili się z niej lub w kilku niedogaśnych trzymali ogniskach.

Powrócił śpiesznie Szczypior nazad z manifestem hetmana "de publica negligentia, \* w którym on szlachcie zarzucał zaniedbanie obowiązków i niestawienie się w porę przeciwko Tatarom, którzy okrutnie pokucie zniszczyli, a jeden Jakub Potocki i Włodek przeciwko nim wystąpili.

De publica negligentia ( łac.) - o zaniedbaniu obowiązków publicznych. Charakter manifestu tłumaczy Kraszewski zgodnie z jego treścią. Wykorzystując pozór niedbałych notatek Bajbuzy w "silva rerum", autor referuje w skrócie i mało precyzyjnie jeśli o chronologię chodzi, dzieje trzech lat 1592-1595, idąc za swym głównym informatorem, J. U. Niemcewiczem. Wymienieni w dalszym ciągu Jakub Potocki i Włodek ( wojewoda Bełski) są to postaci znane z historii wojen ówczesnych.

Można sobie wystawić, jakim bodźcem dla rotmistrza był ten manifest "de negligentia." Zapisał w księdze: "Policzek od hetmana otrzymaliśmy! Czy zasłużenie? Nie wiem, a to wiem, że na gwałt ludzi zbieram i do pana Żółkiewskiego lub do hetmana ciągnę pod Samborz". \* Nie miał też czasu już Bajbuza dziennika utrzymywać i mało co notował. Widać tylko z późniejszych rejestrzyków i zapisek, że pod Samborzem w istocie był, aby opłakiwać to, iż Tatarzy łupieżce uszli bezkarnie; że chciał do Jazłowieckiego \* się udać potem, który myślał o wygnaniu z Krymu

Tatarów. Nie przyszło jednak do tego, A że naprędce wówczas wybierając się z Nadstyrza, Bajbuza i ludzi nie dosyć wziął, i wybór ich niedobry uczynił, powrócił więc nazad, Aby tu ze Szczypiosem na następną wyprawę lepiej się przygotować.

Samborz Sambor, skąd się Tatarzy wycofali na Węgry, po uprzednim splądrowaniu ziem polskich ( 1595).

Mikołaj Jazłowiecki, starosta śniatyński, snuł istotnie takie plany.

Zimą więc przybrał dwór i okolica nową postać, bo się bardzo czynnie około sztyftowania \* nowego oddziału krzątano. Nawet Rożek, który więcej językiem niż ręką czynnym był, przydał się dla dozoru ludzi. We dworze sprowadzeni krawcy, rymarze, A nawet płatnerz jeden, szyli, kuli, i majstrowali tak dobrze, iż z kuźni ogień się wziął, szopy spłonęły i ledwie konie wyratowano.

Sztyftowanie oddziału - zaciąg ludzi i ekwipunek.

Rotmistrz, jak tylko miał co do czynienia, natychmiast zdrowszym się czuł, weselszym, i gdy przychodził do wspólnego stołu, cieszyli się nim wszyscy, tak odmłodził. Widząc to już nawet stara Leszczakowska nic nie miała przeciwko wyprawie, bo ona Bajbuzę znowu na nogi postawiła. Szczypior też krzątał się śpiewając.

Wydatki były znaczne, bo wielu rzemieślników z daleka i za drogie pieniądze sprowadzić było potrzeba, Ale też zapasy znaczne miał dom stary, które tylko z kurzu otrzeć, oczyścić było potrzeba, rzemień poprawić lub przyprawić. Okazało się przy tym, że bardzo stare zbroje, z doskonałej stali i roboty wybornej, dla wagi swej przydatnymi być nie mogły. Czy to, że się ludzie teraz mniejszymi i słabszymi rodzili lub wojowania sposób był inny, Ano dawnych zbroi użyć było trudno. Karwasze stare bechtery, platy \* tak były ogromne, że i dwa kaftany pod nie podłożywszy, jeszcze w nich żołnierzowi za przestronno było. Płatnerze więc mieli co czynić, A dla pośpiechu wiele gotowego oręża sprowadził Bajbuza, na kosztą się nie oglądając.

Karwasze bechtery, platy - części dawnej zbroi żelaznej. Zob. przyp. 4 tom II.

Zapisał w dzienniku swój wielki smutek rotmistrz z powodu, iż Wołyń z ceł na Wołyniu nawet na potrzebę publiczną nic ustąpić nie chciał, \* Ale Bajbuza wkrótce potem już tu nie był i na żadne postanowienia wpływać nie mógł, bo zaledwie ludzi swych ściągnął, uzbroił i opatrzył, z wielkim pośpiechem udał się do hetmana, A z nim razem już leżał pod Linkowem, naprzeciw nawale tureckiej bardzo stosunkowo szczupłą mającym siłę. Pisać naówczas dziennika nie chciał, Ani mógł Bajbuza, czynnym będąc dniem i nocą na strażach.

Na sejmie w Krakowie w roku 1596 istotnie szlacheccy posłowie wołyńscy sprzeciwili się takiemu projektowi uchwały.

Z Zamoyskim razem, zuchwale dosyć wkraczającym na Wołoszczyznę, \* był rotmistrz nasz, gdy Wołochy po ujściu Roznana i Michała wojewody przybyli, poddając się Polsce i

hospodarowi, jakiego im Rzeczpospolita wyznaczy; był potem w obozie nad Prutem i towarzyszył mu potajemnie do Jass wycieczce dla obejrzenia zamku. Rotmistrzowi czasu snadź nie stawało na zapisywanie nawet miejsc w pochodach przebywanych, A notatki pozostały tak luźne, że z nich tylko o pracowitości jego powziąć można wyobrażenie. Zawsze bowiem prawie w najniebezpieczniejsze się wpraszał stanowisko, najpilniej czuwać musiał i osobą swą nieustannie służył hetmanowi, dla którego nadzwyczajną cześć wyrażał. śmiało zajęcie Wołoszczyzny, bez upoważnienia, A nawet wiadomości króla, że naganionym być musiało przez nieprzyjaciół, przewidywał to Zamoyski i tylko szczęśliwy obrót okoliczności mógł go uniewinnić rotmistrz wszakże zapisywał ciągle wielką radość swą z tego, iż śmiało A zuchwale hetman kroczył, odpowiedzialność biorąc na się, gdy konieczność wymagała.

Kraszewski w maśl przyjętej zasady, Aby informować o wypadkach historycznych nawet mniejszej wagi, zreferował tu dzieje wypraw wojennych Zamoyskiego i Stanisława Żółkiewskiego przeciw Wołoszczyźnie, Tatarom i Kozakom w latach 1595-1596. Z zasadniczymi problemami treściowymi oraz ideowymi powieści informacje te nie mają związku, A poza tym są chaotyczne i pobieżne. Zadaniem ich jest utrzymywać chronologiczną ciągłość kronikarskiego opowiadania. Powstrzymujemy się w tym fragmencie od komentowania drobnych szczegółów geograficznych i historycznych.

Ze spotkania z Tatarami nad Prutem, Bajbuza zapisał tylko poniesioną w niebacznym ludziach swych stratą i niektóre szczegóły o szczęśliwym potem z nieprzyjacielem układach, gdy siły jego przewyższały o wiele te, którymi Zamoyski rozporządzał. Nigdzie się lepiej nie sprawdziło, jak tu owo starożytne "Aksioma", że "Audaces fortuna iuvat". \*

Aksioma ( gr. ) - pewnik; Audaces fortuna iuvat ( łac. ) - szczęście sprzyja odważnym.

Nawet podarków wielkich chciwym zawsze Tatarom nie potrzebował dawać Zamoyski, jedną suknię ze złotogłowu i jedną czaszą pozłocistą zbywszy dwu starszych. Bajbuzę, jak pisze, chciał hetman razem z Potockim i Chańskim tymczasowo na Wołoszczyźnie zostawić, Ale rotmistrz się wyprosił, przenosząc czynniejsze życie nad załogę w obcym kraju. Nie przewidywał, jak pisze, że wkrótce tu do rozprawy przyjdzie, z której polskie rycerstwo chlubnie się wywiąże. Szczypior zaś pono najwięcej żałował, iż w znacznym łupie, jaki podówczas na Roznanie zdrajcy zabrano, nie miał żadnego udziału.

Zapisał w dzienniku Bajbuza głośne naówczas zarzuty czynione Zamoyskiemu o nadużycie władzy hetmańskiej, niechęć i zazdrość dworu, gdy zwycięstwa usprawiedliwiły hetmana i radość swą z tego, iż ulubiony mu, A coraz w oczach jego rosnący mąż ze wszelkich imprez swych tak szczęśliwie wychodził. Zarówno wielkiej bystrości w przewidywaniu następstw, jak składowi pomyślnemu okoliczności hetman to był winien.

W następnym roku zapisane znajdujemy przeniesienie się Bajbuzy do boku hetmana polnego Żółkiewskiego, którego przyszłym następcą zwycięzcy spod Byczyny proroczo mianuje. Z Żółkiewskim już rotmistrz uganiał się za Nalewajką i Łobodą i był z nim pod Białocerkwią. \* Ale w notatkach swych ledwie daty i gdzieniegdzie stanowiska zajęte lub opuszczone pobieżnie zapisywał. O Kijowie zaś i obozie pod monasterem Pieczerskim, \* odsyła piszący do osobnego opisu, którego w papierach nie masz. Jakkolwiek krótkie z tych mozolnych pochodów i pogoni są zapiski rotmistrza, czuć w nich, jak teraz w żywiole swym był i rad z tego, iż spoczynku nie miał, A jednej sprawie rycerskiej się mógł poświęcić.

Nalewajko i Łoboda - przywódcy powstania kozackiego w latach 1594-1596. Powstanie zostało rozbite przez wojska kwarciane i prywatne poczty panów, dowodzone przez hetmana St. Żółkiewskiego. Nalewajko został stracony.

Monaster Pieczerski ( ławra Pieczerska) - zabytkowy klasztor prawosławny w Kijowie ze starymi katakumbami, czyli grobowcami podziemnymi.

Tu u przeprawy niebezpiecznej przez Dniepr, ulubiony i wierny rotmistrzowi Szczypior, nieostrożnie za łodzią konia prowadząc, przez niego w wodę ściągnięty, o mało nie utonął, Ale go sam Bajbuza, rzuciwszy się w rzekę, wyciągnął z niej.

“Otóż - pisze - jakie to szczęście nad rzeką się urodzić, A zawczasu nauczyć rybiego rzemiosła. Gdyby nie Styr, nie udałoby mi się Szczypiora zbroją obciążonego ratować, za co Bogu niech będą dzięki, zem przyjaciela wiernego, który niejedną raz mnie życie ocalił, od pewnej śmierci salwował”.

Po uspokojeniu kozactwa i wydaniu Nalewajki, gdy Żółkiewski na sejm śpieszył do Warszawy, Bajbuza z częścią oddziału uszczuplonego powrócił do Nadstyrza, A nie przewidując, żeby tak rychło znowu ciągnąć mu przyszło, rozpuścił kopijników. Po dosyć długiej w domu niebytności, nie dziw, iż mu powrót do rodzinnego ogniska smakował, czego dowodem notatki wesołe i przypomnienia przebytych niebezpieczeństw. W Nadstyrzu, z wyjątkiem strat i wypadków, które wszędzie i zawsze czas przynosi z sobą, znalazł Bajbuza wszystko w porządku, A nawet bardzo już zgrzybiałą Leszczakowską swą, ożywioną, przytomną, na podziw pamiętną najmniejszej rzeczy. Ksiądz Rabski też powitał go tu dziękczynną modlitwą, A Rożek i Przygodzki tak rumianymi policzkami, iż się na brak piwa i gorzałki, gdyby chcieli, uskarżać nie mogli.

Z sąsiedztwa wnet kto żyw śpieszył do rotmistrza na opowiadania o Tatarach, Wołochach i Kozakach, o których, zwłaszcza ostatnich, wiele miał i on, i Szczypior do mówienia rzeczy nowych.

Spytał naturalnie Leszczakowską Bajbuza o panią Spytkową i dowiedział się, że samotnie, w ciszy, spokojnie u krosien swych z dziewczeczkami sierotami w domu siedziała, swobodniej nieco

oddychając, gdyż Spytek nagle w towarzystwie młodego Ostrogskiego za granicę wyjechał, którego dopóki w kraju gościł, zawsze się obawiała.

- Daj Bóg, Aby nie powrócił - westchnął rotmistrz, A pomyślał sobie, iż po latach tylu raz przecie sąsiadkę odwiedzić, nie narażając jej, będzie mu wolno.

W pierwszych jednak dniach od ogrodu, stajen, stodół, śpichrzów począwszy, tyle miał do oglądania, iż za wrota nawet wyjść nie znalazł czasu, A oblegali go domownicy, czeladź, służba, leśnicy i wszyscy, którzy nie widząc go, za nim tęsknili. \* Miał bowiem miłość wielką u ludzi, choć ich na pozór nie pieścił, A często szorstko ofuknął, Ale za to łagodnie postępował z nimi. Na ostatek, gdy się już pierwsze te powitania odbyły, A Rożek, siłą nakłamawszy, teraz milczał, bo mu wiele zarzucano nadużyć czasu niebytności pana, wybrał się ze Szczypiorem razem do Spytkowej. Miał to przekonanie, gdy wojował i z dala się od domu obracał, że zapomniał o niej nieco, lecz przekonał się po wzruszeniu, z jakim zbliżał się do jej domu, iż tak mu drogą była, jak przedtem.

W pierwodruku brak wyrazu "go", bez którego zdanie byłoby trudno zrozumiałe.

Spytkowa zaledwie mogła wiedzieć o jego powrocie i nie spodziewała się wcale, gdy stanął przed nią. Poznała też łatwo, bo chociaż ogorzał mocno, Ale tak zdrowo i młodo wyglądał, iż mu jego wieku nikt nie dawał. Natomiast biedna kobieta, choć życie prowadziła dosyć spokojne i niczym nie zakłócone, znacznie zestarzała. Nie straciła na tym jej piękność, zawsze jeszcze uderzająca, Ale młodości reszta ze łzami uleciała.

Okrzykiem radości przyjęła tak miłego i dawno nie widzianego sąsiada, o którym tyle tylko wiedziała, iż ciągle wojował. Począł się rotmistrz dowiadywać o zdrowie, A utyskiwać na to, że na samotność skazaną była, lecz jejmość znajdowała, że jej to życie najmilszym było i nie zamieniłaby go na żadne inne. W istocie królowa wdowa wzywała ją do siebie, chciała pono przy królowej Austriaczce umieścić, Ale Spytkowa dziękowała odmawiając, bo się do życia na dworze powołaną nie czuła.

Miała ona tam dawne przyjaciółki, które jej o wszystkim, co się w Krakowie działo, donosiły, mogła więc i ciekawość Bajbuzy zaspokoić opowiadaniem o królowej, o królu, o pożyciu małżeństwa i ludziach, jacy tam je otaczali. Upewniała rotmistrza, że Anna Austriaczka, która wiedziała o tym, że się w niej Niemki obawiano, wymogła to na sobie, Aby się języka poduczyć i kilka pań i panien polskich do siebie wzięła. Niemniej dwór to był zawsze więcej cudzoziemski niż polski, chociaż Ani królowej, Ani królowi nic zresztą zarzucić nie było można, oprócz dumy, nieprzystępności i zamykania się w ciasnym kółku ulubieńców.

Panował tu zawsze ojciec Bernard, przewodnik sumienia królewskiego, A obok niego stali Bobola, Wolski, \* ksiądz Tarnowski \* i szczupłe dosyć kółko.

Wolski - Mikołaj Wolski, miecznik koronny, potem, od r. 1599, marszałek nadworny Zygmunta III. Przebywał długo na dworze Austriackim i dlatego został duszą stronnictwa rakuskiego. Najbardziej zaufany doradca Zygmunta III.

Książd Tarnowski - Jan Tarnowski, piastował kolejno szereg godności na dworze Zygmunta III. Jako powolny planom królewskim, został zamianowany podkanclerzem koronnym. Potem był kolejno biskupem poznańskim, kujawskim, wreszcie Arcybiskupem gnieźnieńskim.

Zrażony przeciw Polakom, którzy mu w pierwszych latach po przybyciu wiele przykrości wyrządzili, Zygmunt szukał rozrywek różnych, do których mało towarzystwa potrzebował. Wiadomo też było powszechnie, że muzyka, pobożne ćwiczenia i czytania, zabawki złotnicze i malarskie króla rozrywały. Na koniu jeździł niewiele i myślistwem, tak przeszłym królom upodobanym, mało się zajmował. Wyciągano go czasem na łowy, na które jeździł więcej dlatego, iż mu wypadało się na nich pokazać, niż z zamięłowania.

Z listów swych powtórzyła Spytkowa Bajbuzie, jakie krzyki powstały na dworze przeciw samowoli Zamoyskiego, który nie tylko króla, Ale Ani sejmu, Ani rady nie pytał, gdy na Wołoszczyznę wtargnął. Szczęściem powodzenie usta potem nieprzyjaciołom zamknęło.

Nie śmiał Bajbuza pytać jejmości o własne jej położenie, lecz gdy się Szczypior nieco oddalił, sama ona opowiadać zaczęła, iż mąż jej fortunę ojczystą prawie całą strwoniwszy, do Włoch się puścił i wątpiła, Aby chciał powrócić.

- Mój rotmistrzu - dodała w końcu - bardzo to mnie boli, żem ja twoją dłużniczką od dawna, bom ci mój spokój winna i byt terazniejszy, A nie wiem, jak i kiedy przynajmniej pieniędzy dług spłacę, o serdecznym nie mówiąc.

- Wielce ja będę obowiązany - przerwał Bajbuza - gdy o obu tych długach mniemanych zechcecie zapomnieć i nie mówić więcej. Pieniądzy wcale nie potrzebuję, A sam wdzięczny jestem jej, żeś mi choć skromny uczynek dobry spełnić podała zrzeczność.

- W niemożności uiszczenia się wam teraz - zawołała Spytkowa - pamiętałam o tym, Ażebym na majątku zapewniła świętą należność.

- A nie tęsknoż wam na tym odludziu? - pytał rotmistrz.

- Nie - odpowiedziała jejmość - mam spokój i swobodę, dwa wielkie dobrodziejstwa, zajmuję się sierotami, bawię w ogródku i około gospodarstwa, modlę, czegoż więcej może mi być potrzeba? Parę nawet zacnych niewiast z sąsiedztwa odwiedza mnie i żyję z nimi, A choć są proste sobie wieśniaczki, mile się zabawiam z nimi.

Spytała potem Bajbużę, czy myślał dłuższy czas na wsi, w domu pozostać, na co on odpowiedział uśmiechem.

- Jeden Bóg wie, co mnie czeka! - rzekł. - Mam to mocne postanowienie, dopóki siły służą, z orężem w ręku służyć Rzeczypospolitej, gdy inaczej nie umiem i nie mogę. Zatrąbią na wojnę, pojedę pewnie; cicho będzie, siedzieć muszę w Nadstyrzu i zagon mój uprawiać. Jest też tu co czynić. Stawy zakładać, ogród sadzić, budynki oprawiać, konie moje ulubione hodować. Nie zarzekam się wszakże, gdy Albo hetman, lub Żółkiewski, który godnie go kiedyś zastąpi, powołają, choć stary, pójść z nimi czy na Turka, na Wołoszę, na Kozaków lub gdzie będzie potrzeba. Tymczasem jednak cicho.

Tak w rozmowie o wyprawach odbytych, do której i Szczypior się wniósł, spędziwszy godzin parę, Bajbuza pożegnał panią Spytkową, bardzo ożywiony powracając do domu. Szczypior go po dawnemu wymówkami prześladował, iż się Nie ożenił z wdową, dla której tyle okazywał sentymentu.

- To pewna - rzekł rotmistrz - żem ja żadnej niewiasty, tak jak tej, nie miłował, Ale, chorąży mój, im człowiek szczerzej kogo kocha, tym mocniej dba o szczęście jego, A ja sobie nie pochlebiałem, Abym jej był godzien i mógł jej przyszłość zabezpieczyć. Lepiej się stało, żem nie poślubił, boby nieustannie słomianą wdową, jako teraz, musiała siedzieć samotnie, gdyż ja i dla najmilszej w świecie żony konia i szabli bym się nie wyrzekł.

To mówiąc westchnął.

- Dziś już to próżne żale - dodał - bo włos siwieje, krew stygnie, A o ożenieniu myśleć nie mora, choćby nawet wolną kiedy była.

Dorzucił i to Bajbuza, że mu się sprawy wołoskie nie wydawały skończonymi i bodaj znowu tam ciągnąć przyjdzie.

- Wołałbym na Tatarów - dokończył - bo z tymi prosta sprawa; lud dziki, Ale zdrady nie zna, gdy z Wołochy, choćby przysięgali, opisywali \* się i przyrzekali, nigdy zaufać im nie można.

Opisywać się - obowiązać się, zadeklarować na piśmie.

Przyszła zaraz w tych dniach wiadomość o bliskim wyjeździe króla do Szwecji i na sejm wołano dla uchwały o podróży, Ale na ten się Bajbuza nie myślał wybierać. Nie ulegało wątpliwości, iż musiano na wyjazd pozwolić. Nakazywał później Zamoyski do rotmistrza, chcąc go mieć w orszaku królowi towarzyszącym do Sztokholmu, Ale się Bajbuza wymówił, za morze sobie nie życząc.

- Ciekawym obcych krajów - rzekł - Ale na teraz kości chcę całe mieć, Aby na granicy jeszcze z nieprzyjacielem się ucierać, w Szwecji zaś bodaj one niepewne.

Wyjechał zaraz potem król, \* wedle opowiadania tych, co się na to patrzyli, z wielką wystawnością, z pocztami dobornymi, z kilku panami senatorami, królowę z sobą zabrawszy, tak

że tylko nowo narodzona, miła córeczka z królową wdową pozostała, A czego tam doświadczył w Szwecji, wiadomo, i to że Polakom winien był może, iż powrócić mógł cało.

Zygmunt III wyjechał do Szwecji w roku 1598, Aby nie dopuścić do objęcia władzy królewskiej w Szwecji przez swego stryja Karola Sudermańskiego. Wyprawa skończyła się niepowodzeniem wojskowym i politycznym. Obóz zwolenników Zygmunta III w Szwecji został rozbity. Zygmunt III wyjechał z polski 20 lipca 1598 roku, wrócił 30 października tegoż roku. Żona jego Anna zmarła 31 stycznia 1598 roku, nie mogła więc brać udziału w wyprawie do Szwecji, jak twierdzi Kraszewski. Oddziały polskie stanowiły straż przyboczną Zygmunta III w tej wyprawie.

Naówczas też już przepowiadali ci, co bystrzejszym umysłem rzeczy te przenikali, iż bodaj się na tronie szwedzkim nie utrzyma dla Sudermańskiego i dla swej wierności Stolicy Apostolskiej, gdy tam już dysydenci tak się wzmogli, że dysydentami niemal katolicy byli, bo się ich liczba co dzień zmniejszała, Zygmunt zaś przy papieżu stał i choć dysydentów prześladować nie myślał, sam wraz z władzą swą panującą religię chciał w sobie reprezentować. Słowem katolicką Szwecję mieć chciał, gdy ona już się wyzwoloną czuła.

Następne lata Aż do wyprawy nowej na Wołoszczyznę Bajbuza się nie ruszał z Nadstyrza, Najdalej tylko do Łucka niekiedy i do Ostroga czyniąc wycieczki Albo Dubno odwiedzając dla zjazdów i narad ziemiańskich. Pilno jednak się przysłuchiwał temu, co wkoło się działo.

Okryła w tych czasach żałobą dwór śmierć królowej Anny, której wielu żałowało, A Zygmunt niepokieszonym był po niej. Zostawiła mu po sobie potomka, królewicza Władysława. Bardzo jakoś wkrótce, A zawczasu po zgonie jej zaczęto prorokować, iż król, będący jeszcze w sile wieku, o drugą żonę starać się będzie.

Z tych lat kilku upłynionych, A nawet z wyprawy na Wołoszczyznę powtórną, żadnych notat nie pozostawił Bajbuza Albo też one zatracone zostały. W wielkiej księdze karty próżne Albo listami cudzymi zajęte i dat kilka luźnych, których znaczenia odgadnąć trudno. Szczególniej dotyczące się spraw hetmana diariusze i listy skrzętnie tu są zapisywane, do których Bajbuza na marginesach swą cześć i uwielbienie dla Zamoyskiego nieustannie powtarzał.

“Nie miała dotąd Polska - pisał - męża jemu równego, chyba w tych zamierzchłych czasach, o których my tak mało wiemy, że ich mężów i bohaterów mierzyć nie zdołamy; A niełatwo i u obcych się znajdzie, który by i piórem A umysłem, i orężem A rycerstwem razem połączonymi zrównał jemu. Nie wiem nawet, co wyżej w nim cenić: Cnoty wodza czy rozum statysty. Los nasz chciał, Aby po śmierci Stefana, pod berłem, które więcej go się lękało, niż mu posiłkowało, żać i walczyć musiał. Zamiast więc wspólnie iść, myślą zgodną, król A hetman patrzyli na się okiem nieufnym: pierwszy zazdroszcząc sławy i potęgi, drugi lękając się i nie



pokładając ufności w panu. Raz rzucone podejrzenie o frymarki, A zbliżenie się potem do rakuskiego dworu, w oczach narodu królowi szkodziło i serca mu odbierało. Czując, że miłości pozyskać nie może, król też kochać nie umiał. Wiedział dobrze Zamoyski, iż są niezatarte wspomnienia, których okupić trudno. Pierwsze kroki zwichnęły całe owo panowanie”.

O zwycięstwach Zamoyskiego w Inflantach \* nie zapisano też nic prawie, tak że niepewną jest rzeczą, czy rotmistrz w nich uczestniczył, Ale z wierności jego dla hetmana wnosząc, domyślać się godzi, iż mu towarzyszyć musiał.

Walki z Karolem Sudermańskim o Inflanty prowadził Zamoyski w latach 1601-1602. Po nim dowództwo objął Karol Chodkiewicz.

Na dworze triumfy te zamiast wdzięczności zazdrość i coraz żywszą niechęć obudzały. Przyszło do tego, iż śmiano posądzać Zamoyskiego o podbudzanie tych buntów, które uśmierzał. Król się nie taił z odrazą swą, ze wstrętem nie tylko dla hetmana, Ale dla tych wszystkich, którzy z nim trzymali, przy nim stali, Albo nawet tylko jego czyny wynosili. Każda wygrana bitwa zdawała mu się przysparzać na dworze wrogów. A że usłudni o tym donosili hetmanowi, zniechęcony nareście i znużony zdał dowództwo i już chory powrócił do Zamościa.

Nie wiek podeszły, bo nad lat sześćdziesiąt i trzy nie liczył, Ale niepokój i waliki nieustanne na koniec i tego olbrzyma złamały. Powiadano, że zarówno o los kraju, jak o przyszłość syna niepokojąc się, obojga nie wiedział, komu powierzyć. Opiekę wręście nad małoletnim Tomaszem zapowiadał złać na Mikołaja Zebrzydowskiego, który coraz więcej u niego wziętości i zaufania zyskiwał. Z energią też i mocą charakteru, A zupełnym oddaniem się Zamoyskiemu zasługiwał na nie.

Na jakiś czas ukołysane niechęci przeciwko królowi odezwały się jako odpowiedź na krzywdę hetmanowi wyrządzoną. dwór obwiniał Zamoyskiego, jego stronnictwo powstało znowu przeciwko Zygmunтови, rakuszanom i praktykom. Przyłączyli się do niego dysydenci, których lekceważono, i garść wyznawców wschodniego obrządku, która na unią z Kościołem rzymskim godzić się nie chciała. Na czele ich stał znakomity rodem, bogactwem i osobistymi przymiotami książ Ostrogski \*

Książ Ostrogski - Konstanty Ostrogski ( zob. przypis 5), wojewoda kijowski i marszałek wołyński; pan olbrzymiej fortuny na Wołyniu i Ukrainie. Nie przystąpił do unii brzeskiej w roku 1596 i pozostał przy wyznaniu prawosławnym. W sprawach wewnętrznych przedstawiciele prawosławia wśród magnaterii ziem wschodnich łączyli się z protestantami i kalwinami.

Zamoyski znalazł się w ten sposób po stronie różnowierców, chociaż gorliwy katolik i razem z Batorym niegdyś jezuitów opiekun, których kilka kolegów założył z nim i Akademię Wileńską im powierzył. Teeraz stał w imię wolności sumienia i paktów zapewniających ją po

stronie królowi nienawistnej, zmuszony po tylu bojach i zwycięstwach toczyć walkę nową razem ze sprzymierzeńcami, których raczej znosił, niż pożądał. Dysydenci nadawali temu obozowi charakter i barwę, która Zamoyskiemu miłą i sympatyczną być nie mogła.

Zastępca przyszedł jego i spadkobierca, Mikołaj Zebrzydowski, wszystko, co hetman zamyślał i osnuł, rozwijając i posuwając z siłą niepohamowaną i przesadą niebezpieczną, zapowiadał temu obozowi koleje ciężkie i nieprzejednaną walkę. Zamoyski umiał się utrzymać na stanowisku umiarkowanym i pośrednim, Zebrzydowskiemu popędliwość i zuchwalstwo wydawały się dowodem siły. Stary hetman hamować go musiał, uśmiechając się i sądząc, że ten zbytek siły w Zebrzydowskim z czasem przyszedłszy do równowagi, wyrobi w nim męża przyszłości, godnego zastępcę po nim.

Pod takimi wróżbami miał się sejm roku 1603 rozpocząć, na który gotowano się już warcząc i odgrążając się. Zażegnane burze powracały, A król, raz je przebywszy szczęśliwie, miał nadzieję, że i teraz spełźnie wszystko na pogrózkach.

Bajbuza, którego spoczynek już nużył, powołany listem, rozkazał swojemu dworowi też w podróż na sejm się gotować. Szczypior miał mu towarzyszyć. Wiadomości z Zamościa przybywające zapowiadały, że walka będzie żywą i gorącą. \*

Układ sił politycznych i zarysowujących się przeciwieństw został przez Kraszewskiego opisany zasadniczo zgodnie z faktami historycznymi.

## Rozdział VII

Sejm już się rozpoczął w Krakowie natychmiast po Godach. Miasto było pełne i tłumem niespokojnym nabite. Zamoyskiego oczekiwano jeszcze, leżał chory w Proszowicach, na otwarcie przybyć nie mogąc. Niektórzy z panów, należących do przeciwników króla i dworu, z ogromnym przepychem i tłumnymi pocztami się ściągali. Pomędzy tymi odznaczał się Aleksander, książę Ostrogski, \* głowa Rusinów, którzy połączyć się z Katolikami nie chcieli. Stawili się też dysydenci w znacznej liczbie. Wieść naprzód głucha, później coraz dobitniejsza, krążyła o tym, że król po śmierci żony Anny miał poślubić rodzoną jej siostrę Konstancję.

Aleksander Ostrogski - syn księcia Konstantego, wojewoda wołyński.

Wiadomym było powszechnie, że Kościół ślubów z siostrami rodzonymi zabraniał stanowczo i uważał je za kazirodce. Rzym mógł z łatwością rozgrzeszyć o dopuścić wyjątku, Ale zamiar ten nadto nieprzyjaciołom króla dobrego przeciwko niemu dostarczał oręża, Aby go natychmiast nie pochwycono. Wrzawa powstała niewypowodziana. Małżeństwo to zakazane mogło nie tylko na króla, Ale na królestwo sprowadzić pomstę Bożą i niebłogosławieństwo. Dozwolone nawet, nie było godziwym, kraj cały był przeciwko niemu. Tylko zakon stojący u tronu milczał, Albo szeptał, że Rzym miał prawo wiązania i rozwiązywania. Błogosławieństwo papierza było błogosławieństwem Boga. Ponieważ raz już o żonę z domu rakuskiego król wyszedł z walki zwycięsko, spodziewał się i teraz przy swoim utrzymać.

Trochę stęskniony za gorętszym życiem rotmistrz wpadł tu jak w kipiątek, miał podostatkiem hałasu, sporu, narad i okrzyków.

Kaliński zjawił się natychmiast do niego, chociaż wiedział, że Bajbuza już stanowczo ze dworem wziął rozbrat i stał przy hetmanie. Ale to nie przeszkadzało komornikowi królowej wdowy stałej mu dochowywać przyjaźni. Bajbuza uściskał go śmiejąc się.

- Wojenny człek - zawołał do niego - stawia się na sejm pomimo to jak do szeregu, bo na nim przyjdzie do walki. Cóż król? Żeni się?

Kaliński nierad by był mówić o tym. Spuścił oczy:

- Być może.

- Z Rakuszą! Z rodzoną siostrą nieboszczki królowej! - wtrącił Bajbuza. - Ależ pobożnym jest, Kościołowi posłusznym! Książniczek dosyć po świecie, cóż za grzeszne zamięłowanie dla rakuskiego domu.

Kaliński, nie lubiący rozpowiadać, \* nie chcący się sprzeczać, skrzywił się i nie odpowiadał.

Autor jakby zapomniał, że w poprzednich spotkaniach z Bajbuzą kazał Kalińskiemu być gadułą i plotkarzem.

- Hetman już jest? - spytał Bajbuza.

- Spodziewają się go, leży w Proszowicach chory - odparł Kaliński cicho.

Przyniesiono wina, przybyły częstował, nie poprzestając badać i pytać. Dworak też wkrótce pod wpływem i napoju, i rozmowy ożywionej, stał się otwartzym.

- Hetman - rzekł - już by też powinien spocząć nieco. Nawet gdy go przy królu nie ma, czuć wszędzie, cięży nad nami, rozkazuje, chce rozporządzać. Oto i teraz marszałkowstwo po Zebrzydowskim hetman chce, Aby oddano Wolskiemu, nadwornemu marszałkowi, Albo wojewodzie lubelskiemu, Aby miał swoich u boku pana; Ale dla tego samego, iż on nalega, dziś król je konferował \* Zygmunтови Myszkowskiemu. \*

Konferować ( z łac.) - tu: przekazać, powierzyć ( przyp. red.).

Istotnie nominacji urzędników nadwornych dokonywał Zygmunt III tak, Aby usunąć ze swego otoczenia wszystkich sympatyków Zamoyskiego. Wymieniony tu Zygmunt Myszkowski, mianowany marszałkiem wielkim koronnym, został przyjęty do rodziny i herbu przez Gonzagę, księcia Mantui. papież Klemens Vii dał mu tytuł margrabiego. Szlachta uważała go za człowieka obcego, który podsuwa królowi Absolutystyczne plany.

Z uśmiechem radośnym po odniesionym zwycięstwie tym Kaliński spojrzał na Bajbuzę.

- Król musi być swobodnym. Tylicki się wymawia chorobą od oddania laski - dodał - myśli, że doczeka hetmana, A hetman to przerobi, Ale król kazał mu powiedzieć: nie zdasz mu natychmiast laski, ja ją sam z tronu oddam Myszkowskiemu. Tylicki usłuchać musi.

Zataił ręce Kaliński.

- A sądzisz, że to dobrym jest, gdy król starego naszego bohatera, którego szanuje naród cały, podrażni?

- Król powinien okazać, że królem jest i że nikomu podlegać nie chce - dodał Kaliński.

- Mogę ci to tylko powiedzieć - wtrącił rotmistrz - że się wszyscy skupią około Zamoyskiego, tym ohotniej, gdy go ujrzą pokrzywdzonym i odpychanym. Król sobie gotuje dużo goryczy, A właśnie teraz, gdy małżeństwo wyjdzie na stół, nieprzyjaciele nie w porę.

- My się ich nie boimy! - butnie odparł Kaliński.

To zaufanie w sobie poniekąd otwarcie sejmu usprawiedliwiło. Odbyło się ono spokojnie, Ale na wstępie Myszkowski, biskup krakowski, w senacie, Krzycki w izbie poselskiej podnieśli ogromne zasługi hetmana i jego tryumfy w Inflantach \*

Kraszewski się myli. Mowy pochwalnej na cześć Zamoyskiego nie wygłosił w senacie biskup Piotr Myszkowski, stryj wspomnianego Zygmunta, bo nie żył już od roku 1591. Zamoyskiego witał biskup Maciejowski, A w izbie poselskiej marszałek Feliks Krzycki. Mogą to być również omyłki drukarskie w I wydaniu powieści.

Kaliński, który co dzień po sesji przychodził do rotmistrza, zaczynał tracić tę gęstą minę, z jaką wprzód występował.

Na zamku, w mieście, zaczynały się ucierać wrogie sobie żywioły. To, co otaczało króla, na każdym kroku stawało przeciwko burzliwej szlachcie, A rycerstwo na zamku, nie zważając na majestat, gospodarowało hałaśliwie jak w domu.

Z rozkazu króla, dla powstrzymania tłumów, które z wrzawą i tumultami wtargały na dziedzińce zamkowe, towarzysząc to Ostrogskiemu, to Zebrzydowskiemu, zaciągnięto łańcuch żelazny we wrotach, tak, Aby wozy, konie i jezdni, otaczający senatorów na zewnątrz pozostać musieli. Ludzie księcia Aleksandra łańcuch ten jednego dnia rozerwali i pokruszyli i z większą jeszcze wrzawą pod okna królewskie wpadli.

Kaliński mówił o tym po cichu, utrzymując, że ukarani być muszą zuchwali, A nazajutrz łańcuch mocniejszy jeszcze zaciągnięty zostanie.

- Król nie ustąpi! - dodał.

- A co będzie, gdy po wtóre łańcuch porąbią? - spytał Bajbuza.

Nie może to być! - rzekł dworzanin. - Nie śmieją!

Wieczorem jednak o łańcuchu mowy nie było, gdyż w istocie służba księcia Aleksandra natychmiast go zrabowała i zniszczyła, A kniaź na zamek wjechał jak zwykle z całą swą czeredą.

Na posiedzeniach dysydenci tak samo zuchwale poczęli się rzucać na duchowieństwo. Obóz Ostrogskiego wraz z nimi nie dopuszczał nic postanowić, domagając się naprzód naprawy swych krzywd i zabezpieczenia swobód. Z izby poselskiej wpadali kupami różnowiercy do senatu, Aby mu w oczy rzucać wymówkami i groźbami. Duchowieństwo wystawione było na obejście się obelżywe i bez poszanowania.

W ulicach, po gospodach rozprawiano o projektowanym małżeństwie króla namiętnie, z goryczą i niechęcią. W senacie Zamoyski wystąpił przeciwko temu związkowi stanowczo, silnie, tym mocniej mu się sprzeciwiając, że szło o nowy związek z tym domem rakuskim, który małżeństwami nabywał kraje i na nie rachował. Ogromna większość potakiwała hetmanowi, A król nie znalazł dość przyjaciół, Aby się skutecznie oprzeć temu prądowi. Sejm schodził na systematycznym oporze przeciwko wszystkim uchwałam.

Rotmistrz, który osobiście nigdy się nie dawał przeciągnąć niechęcią lub przyjaźnią, gdzie o rzecz publiczną chodziło, był milczący i niepewien siebie. Co dzień chodził do hetmana, do Urowieckiego, A nawet do Zebrzydowskiego, do którego się zbliżył, Aby się nauczyć czegoś, A zniechęcał tym, że osobiste wstręty i związki spotykał wszędzie. Nie wszczynał sporów, Ale się marszczył. Bądź co bądź, w jego przekonaniu król był winien głównie. Niespokojny w sumieniu, niepewien, czy się nie myli w swych sądach, nieszczęśliwy Bajbuza błędził od jednej gromadki

ludzi do drugiej, słuchał, ważył, rozpytywał i gniewał się sam na siebie, że stanowczego sądu wydać nie mógł o tym, co się działo.

- Mój Szczypiorze - mawiał wieczorem, powracając do domu i rozdzielając się, Aby spocząć - widzisz mnie ciągle zasepionym i zbiedzonym, Ale jak że nie mam takim być? Króla bym rad miłować i szanować, nie mogę; hetmana czczę i poważam, A i ten mi czasem się nie podoba i razi. Bodaj to wprost żołnierzem być, na chorągiew patrzeć, iść, gdzie wskażą i bić się, A w innych sprawach niepewność największa i sumienny człowiek jak w lesie.

- A, Bożeż ty mój mileńki! - odparł po swojemu z litewska Szczypior. - Co bo wy, kochany rotmistrzu, głowę sobie psowacie nad tym, jak tam ludzie pokierują sprawami Rzeczypospolitej? Ja wam powiem: ...wierzę w Opatrzność, powiadam sobie: Pan Bóg kieruje, "fiat voluntas Tua", \* i maszeruję z innymi. Co my mamy szperać i mędrować?

Fiat voluntas Tua ( łac.) - bądź wola Twoja ( niech się dzieje Twoja wola).

A tak, mój Szczypior, to dobre dla ciebie, bo ty masz poczciwą naturę spokojną, A we mnie szatan jakiś ciekawości i mędrowania bruździ. Pracuję nad sobą i męczę się. Ot i teraz - dodał - przyszłość nam znowu gotuje konflikt nieunikniony między hetmanem A królem. Sumiennie, co tu zrobić? Za kim iść?

Szczypior śmiał się łagodnie.

- Rotmistrzu ty mój! - rzekł. - A toż idziesz bo zawsze z Zamoyskim, więc po cóż zmieniać? Nie żałowałaś tego, żeś się mu dał pociągnąć. Zatem, co głowę łamać?

Bajbuza ciężko stęknął.

- Szczypior mój kochany - rzekł - hetman stary i chory. Uchowaj Boże na niego nieszczęścia, nie stanie nam go, co my sieroty poradzimy?

- Przecież po nim ktoś buławę obejmie - rzekł naiwnie Szczypior - Albo Żółkiewski, Albo Chodkiewicz, A zatem...

- Tyś prostoduszny, mój bracie - rzekł Bajbuza. - Buławę po Zamoyskim obejmie nie wiem kto, Ale kto będzie jego wielkiego ducha i rozumu spadkobiercą? Słyszałem go sam sto razy uzalającego się na to, że nie ma ludzi już, którym by na sercu dobro ogólne leżało. Rozumiesz ty to? Chcą buławy, znaczenia, sławy, rozgłosu, Ale dla Rzeczypospolitej się poświęcić, jej się oddać, dla niej żyć, nad nią czuwać, tego nie umie nikt. A to umiał Zamoyski!

- No, A pan wojewoda krakowski Zebrzydowski, toż to powiernik i ulubieniec hetmana.

Bajbuza pokręcił wąsem i dziwną minę nastroił.

- Tak ci jest, hetman go kocha, wierzy mu i niemal swym spadkobiercą chce mieć. Ma mu oddać opiekę nad synem, zda mu i nad wielkimi swymi myślami dla ojczyzny opiekę. Mąż jest

nieustraszony, energiczny, króla się nie lęka, prawdę mówi i rzeże każdemu, wiele zalet ma, Ale czy ty myślisz, że to drugi Zamoyski?

- Ano? - spytał Szczypior.

- To ja ci powiem, że nie - rzekł stanowczo rotmistrz. - Ja na niego patrzę, słucham, ja bym w duszę jego rad przeniknąć, Ale... gdzie mu do hetmana. Przy nim on świeci, bo od niego światło bierze; zgaśnie ono, będzie kopcił.

- No, Albo ja tam wiem! - zawołał chorąży. - Mnie się widzi, o tym by darmo nie gadać. Co pomoże?

- A cóż będzie z krajem? - rzekł Bajbuza.

Na to pytanie, rzucone niemal tragicznie, poczciwy Szczypior stanął naprzód z usty otwartymi, jakoby go nie rozumiał, potem się zżymnął:

- Jak mi Bóg miły, wy bo sobie szukacie tylko troski i przedziecie ją dobrowolnie. A co my poradzimy na to?

- Właśnie że każdy z nas się powinien starać i troszczyć o to - odparł rotmistrz.

- Już chyba nie ja! - dokończył Szczypior.

Po długiej chwili jakiegoś milczenia i dumy \* Bajbuza wstał.

Duma - tu w znaczeniu zaduma.

Szczypior sądził, że go może już te bałamutne myśli odeszły, Ale rotmistrz się odezwał:

- Masz słusność! Masz słusność! Na wszelki wypadek trzeba mieć ufność w hetmanie. Kiedy on Zebrzydowskiego swoim następcą wyznacza, czyż my mamy być rozumniejsi od niego? Nam, mnie trzeba się też zbliżyć do Zebrzydowskiego, lepiej go poznać, chęć?

- Ano pewnie! Pewnie! - potwierdził Szczypior, rad, że się raz ta dla niego nieznośna rozmowa kończy.

Z całym poszanowaniem i miłością dla Bajbuzy, zacny pan chorąży za rodzaj choroby w swym przyjacielu miał to mądrowanie w sprawach publicznych.

- Bo to się na nic nie zdało - mówił - A od tego oszaleć można!

Nazajutrz, wierny zawsze raz powziętej myśli, szedł już Bajbuza submitować się panu wojewodzie Zebrzydowskiemu.

Mieszkał naówczas Zebrzydowski w kamienicy przy zamku będącej i do króla należnej, w której dawniej posłów cudzoziemskich mieszczono, szczególnie takich, których na zamku samym mieć nie chciano, A w mieście ich pilnować, zaopatrywać było ciężko. Trwał jeszcze naówczas starożytny zwyczaj, szczególnie względem posłów od Moskwy, od Turek, od Tatarów zachowywany, że ich od granicy brano na koszt króla, żywiono, prowadzono, kwatery opatrywano, A gdy przyszło do posłuchania, nawet im szaty kosztowne i futra dawano, które wdziewali na

posłuchanie. Niemało na to skarb wydawał, bo posły Tatarów i Turków podawali często więcej ludzi i koni, niż mieli, brali na ich utrzymanie pieniądze, A na ostatek, gdy poselstwo było odprawione, jeszcze znacznieszym wszystkim podarki w pieniądzech, futrach, koniach, naczyniach srebrnych się należały.

Dom ten, który z dawna zajął był Zebrzydowski, zwał się Poselską Gospodą Albo Giełdą, A królowi potrzebnym był. Posyłał więc raz i drugi, Aby z niego Zebrzydowski ustąpił. Wojewoda Ani myślał. Właśnie dnia tego, gdy Bajbuza nadchodził, Zebrzydowski w ganku domu stojąc, z przysłanym pisarzem i burgrabią rozmawiał zaperzony.

- Król mi tego domu pozwolił - mówił. - Mnie on teraz potrzebniejszy niż kiedy. O inne się pomieszczenie nie starałem, bom ufał w łaskę kólewską, A tu mi nagle, fora ze dwora, zapowiadacie mnie, wojewodzie, który tu gospodarzem jestem. Król, król ma gmachów dosyć! Ja wam mówiłem i powtarzam: nie pójdę stąd!

Burgrabia począł cicho mruczeć, że wyraźną było wolą króla, iż chciał dom ten mieć swobodnym i to rychło, bo się czasu wesela przyszłego spodziewał gości i na ten dwór rachował.

- Powiedzcie królowi, że ja go też potrzebuję - krzyknął dumnie wojewoda - A łatwiej panu o kamienicę niż mnie. Ale to wszystko sprawa pana Myszkowskiego, czuję ja w tym rękę jego. Z kamienicy nie ustąpię!

Pisarz i burgrabia pokłonili się i poszli. Zebrzydowski cały drżący powrócił z ganku do izby gościnnej, wiodąc za sobą Bajbuzę. Rad był, że miał przed kim się wylać ze swym żalem. Rotmistrz, idąc za nim, mógł się domowi, o który szło, przypatrzeć. Nie wiedział dotąd, iż to była własność królewska i wielu, tak jak on, mieli kamienicę za Zebrzydowskiego dom. Tak ją nawet już zwano, zapomniawszy, że się Gospodą Poselską niegdyś zwała.

Wojewoda, od dawna się w niej rozposażył, gospodarzył jak u siebie. ściany były powybijane dla powiększenia izb, dobudowywano, przerabiano. Zebrzydowski nowe błony posprawiał od czoła, pomalował, ozdobił. Był najpewniejszy, że tu do końca życia pozostanie. Żądanie króla, którego podmuch \* przypisywał Myszkowskiemu, wprawiało go w okrutny gniew.

Podmucha - podmowa - poduszczenie.

- Otóż to, jak nas sobie ten Niemiec chce pozyskać - mówił do Bajbuzy. - Wie dobrze, iż z Zamoyskim trzymam, pomścić się inaczej nie może, to mi wydrzeć chce, co się stało moją dożywotnią własnością. Słyszał to kto co podobnego? Jam się sobie spokojnie i ufnie rozłożył jak w domu, A oni mnie jak jakiego intruza, jak lada czeladź i służbę pędzą precz! Alem ja tu przecie wojewodą! Nie ustąpię!

- Może byś miłość wasza - wtrącił Bajbuza - sam o to się łagodnie z królem rozmówił?



- Ale ja łagodnie mówić nie umiem, kiedy we mnie wszystko kipi! - zawołał Zebrzydowski. - A potem to sprawa zauszników, A z tymi ja nie chcę mieć do czynienia.

- Więc użyć by pośrednictwa.

- Prosić i kłaniać się! Ja? - przerwał Wojewoda. - Nigdy w świecie. Król mi dał kamienicę, siedziałem w niej tyle lat, prawo mma. Wprost się oprę i nie ustąpię. Nie będą śmieli mnie rugować!

Widząc wielkie rozdrażnienie wojewody, który po komnacie chodził, bił pięścią o stoły i krzesła rozrzucał stojące na drodze, Bajbuza usiłował rozmowę sprowadzić na inne przedmioty, Ale Zebrzydowski powracał do króla z zaciętością.

- Wypowiada nam wojnę! - wołał. - My mu taką odpowiemy, że ją popamięta! Czasu dosyć miał do zrobienia sobie nieprzyjaciół, A zwolenników, oprócz jezuitów i obcych, nie ma. Właśnie w tej chwili, gdy nas potrzebuje, Abyśmy mu do ożenienia tego nie przeszkadzali, drażni i jątrzy. Zobaczy, co z tego wyniknie. Cały kraj przeciwko temu małżeństwu oburzony. Nie dopuścimy go! Katolicy, dysydenci, Grecy, \* wszyscyśmy zgodni, że to małżeństwo występne, grzeszne, kazirodcze.

Grecy - wyznawcy kościoła prawosławnego, zwani też schizmatykami.

Wojewoda wybuchał tak ciągle.

- Jedź, mój rotmistrzu - rzekł w końcu - rozgłoś, co się to dzieje. Pana wojewodę krakowskiego król Jego Mość z nadanego mu mieszkania ruguje! Niech ludzie sądzą. Nie ja, Ale dostojeństwo moje dotknięte jest, w imię jego nie mogę ustąpić.

Jakie potem, gdy Zebrzydowski się z hetmanem naradził, wypadło postanowienie, Bajbuza nie wiedział. Przez dni kilka nie spotykał się Ani z hetmanem, który chory leżał, Ani z Zebrzydowskim, Ale go w końcu ciekawość wzięła dowiedzieć się, na czym się to wszystko skończy, i po tygodniu wstąpił do Gospody Poselskiej. Było to w rannej godzinie. W bramie spotkał burgrabiego, który szedł powolnym krokiem ku kamienicy, z wielce zafrasowaną twarzą.

- Czołem!

- Czołem!

- Znowu tu waszmość do pana wojewody? - zapytał rotmistrz.

- Jak widzicie - westchnął burgrabia, podżyły człek, flegmatyk, który nie lubił się ujadać, A że powolnym był, chętnie się nim posługiwano i popychano go. - Jak widzicie, idę po szósty czy siódmy raz słuchać łajania i odgrózek pana wojewody, choć posłem tylko jestem. Wojewoda ustąpić nie chce, A król mocno zagniewany. Dziś mi kazano ostatecznie oświadczyć, że taka jest niezmienna wola królewska.

Burgrabia się poskrobał w głowę.

Wyprzedził go rotmistrz do pokojów Zebrzydowskiego, którego zastał już i tak rozjątrzoną księżną Tarnowską, za jakąś winę jemu przypisywaną.

Gdy mu oznajmiono burgrabiego, podskoczył wściekły.

- Tego już nadto! - krzyknął. - Puście go tu!

Wszedł nieśmiały krokiem stary urzędnik zamkowy.

- Co mi waćpan powiesz! - zawołał Zebrzydowski, postępując ku niemu.

- Miłościwy panie, mnie nie winujcie, ja to niosę, co mi dają. Król Jego Mość sam oświadczył kazał raz jeszcze, iż kamienicy tej potrzebuje i prosi, A domaga się, Abyście ją w jak najprędszym czasie opuścili i opróżnili. Wola ta i wyrok na żaden sposób zmienić się nie może, kazano mi to oznajmić i powiedzieć.

Zebrzydowski bladł, czerwieniał się, patrzył po otaczającym dworze i przyjaciołach, myślał. Raptem buchnęło mu z ust:

- Dobrze! Wyniosę się z kamienicy, wyniosę, Ale niech król patrzy, Aby się za to z królestwa onego nie wyniosł!

Słuchający zdrętwieli, sam wojewoda żałował może wyrazów, które mu gniew na usta wyrzucił, Ale ich już cofnąć nie mógł.

Burgrabia rad, że usłyszał, przyrzeczenie wyniesienia się, nie odpowiadając nic, pokłonił się tylko, zawrócił i wyszedł.

Zebrzydowski głosem wrzącym od gniewu wołał Marszałka dworu.

- Maczuski - wołał - precz stąd pędzą pana wojewodę krakowskiego, rozumiesz! Natychmiast mi się wynosić, nie prosim o fryszt, \* bodaj w ulicę wyrzucić wszystko, Ale Ani ćwieczka im mojego nie zostawić. Błony moje pozabierać, com tu postawił, zburzyć, posadzki kamienne moje wyrzucić precz. Król mojego nie potrzebuje, A ja się bez królewskiego obejść. Wnet mi stąd wynosić.

Fryszt ( z niem.) - zwłoka, przesunięcie terminu.

- Dokąd? - zapytał Maczuski nieśmiało.

- Jest dwór bratanka mojego, ja natychmiast tam jadę, znajdziemy i inne pomieszczenie. Zebrzydowski sobie pałac postawić może, stać go na to. Konia mi dać! Konia!

We dworze ruszyło się wszystko, zamęt powstał. Zebrzydowski nie ochłonawszy jeszcze z gniewu, drżący wskoczył na siodło i jak nieprzytomny popędził ulicą, A czeladź nieodstępna za nim.

Przez cały dzień potem gawiedź uliczny stała dokoła kamienicy, przypatrując się, jak ją ludzie Zebrzydowskiego burzyli niemal. Starano się spełnić ściśle rozkazy pana i przejść nawet jego wolę gorliwością. Sypały się więc szyby, łamały drzwi, burzono ogrodzenia, A dwór

niedawno jeszcze okazały, czyste, piękne, wyglądał jak pustka po najeździe nieprzyjaciela. W takim stanie objął ją burgrabia, gdy w nocy ostatni wóz pełen desek, obdartych rynien i lada jakiego łomu z podwórza wyciągał. \*

Cały epizod z opuszczeniem kamienicy ma charakter historyczny. Niektórzy historycy podawali go za główną przyczynę wybuchu rokoszu.

Tegoż wieczora, w maleńkim kółku królewskim o. Bernard składając ręce i podnosząc oczy ku niebu, po cichu opisywał, jak niewdzięcznie znalazł się wojewoda względem swego dobroczyńcy, i ze zgrozą powtarzał słowa jego świętokradzkiej odgróźki:

- Ja się wyniosę z kamienicy, Ale król się z tego królestwa wynosić będzie musiał. Zygmunt, jak zawsze, pozostał na pozór nieczułym i nie odparł Ani słowa. Z tą krwią zimną, którą miał za Atrybut konieczny królewskiego majestatu, znosił on wszystko w swym życiu. Nie zapominał nigdy, Ale się też gniewał i unosił tak rzadko, iż prawie go nie widywano w uniesieniu, poruszonego, A uśmiech na ustach był widocznie owocem jego woli, nie usposobienia.

Każdy ruch jego, słowo, wejrzenie było obrachowane; królem nie przestawał być nigdy i może tylko przed trybunałem pokuty czuł się na chwilę człowiekiem.

- Zebrzydowski - dodał ojciec Bernard - "quod Deus Avertat!" \* niejedyn jeszcze kielich goryczy gotuje wam, Miłościwy Panie, Ale cnota wasza umie każdą boleść uczynić zasługą i chwałą.

Quod Deus Avertat ( łac.) - niech to Bóg odwróci.

W mieście też tego wieczora niebaczna pogróżka wojewody była powtarzana i komentowana. Znano Zebrzydowskiego energię, jego potęgę, stosunki i gwałtowność charakteru. Przyjaciele króla ubolewali nad wypadkiem, lecz raz zażądawszy oddania kamienicy, król nie mógł wydanego cofnąć rozkazu. Stało się więc. Ale wojna i tak się już zapowiadała, przybywał tylko jeden zuchwały bojownik do szeregu jawnie, gdy potajemnie byłby stał i tak za nimi.

Kaliński przyleciał z doniesieniem do Bajbuzy, gdy ten mu usta zamknął prostym:

- Jam tam był, słyszałem. Cóż mówią na dworze?

- Nikt się przecież pana wojewody nie ulęknie - odparł Kaliński. - Poważni ludzie litują się nad nim, iż nie umie ważyć i hamować słów swoich. Król ruszył ramionami, drudzy oburzeni. Jak sobie pościele pan wojewoda, tak się wyśpi.

Bajbuza głową zaczął rzucać.

- Kaliński mój - odezwał się - bierzecie sobie lekko i człowieka, i wypadek, który może później królowi siła przyczynić frasunków. Dopóki hetman żyw, nie dopuści on wybryku żadnego, będzie prawdę mówił królowi, Ale się zuchwale przeciwko niemu porywać nie da. Cóż, gdy Zamoyskiego dni policzone, jeśli się nie mylę. Chory jest, złamany, uchowaj Boże na niego

śmierci. Zebrzydowski stanie w jego miejscu, A z tym nie łatwa sprawa, bo w nim więcej krwi i cholery, A zółci niż pomiarkowania.

- Cóż to? - zawołał Kaliński. - Miał król dla fantazji pana wojewody ulec i dom mu oddać, kiedy oto właśnie ma tyle poselstw przyjmować? Słyszałem, jak o. Bernard mówił: "dozwól kurze grzędy..." Byłoby tak, że po Gospodzie Poselskiej Zebrzydowski się i na zamek wnieść był gotów. A że się odgraża, to co? Odgrają się na naszego pana już od początku, A co mu zrobili? Ożenił się raz, jak chciał, ożenił się i po wtóre, jak zechce. Będą na sejmach się burzyć i wyburzą, A król to uczyni, co mu się podoba.

- Kiedyście tak swego pewni, winszuję wam - odezwał się Bajbuza - i nie mówmy o tym więcej.

Kaliński chwycił za kubek.

- I tak lepiej będzie - rzekł. - Mówmy o czym innym. Ano! Wiecie i słyszeliście pewnie o tym, że Spytek, co się z waszą sąsiadką żenił, A pono miał jakieś z wami zajście...

- Ze mną? Żadnego! - zawołał żywo rotmistrz.

- Spytek ów, pono w komitywie któregoś młodego Ostrońskiego, udał się był do Włoch, A oto słyszę, z nim się poróżnowszy, w bardzo mizernym stanie przywłókł się nazad do kraju i do Krakowa.

- A co mnie on obchodzi! - zamruczał Bajbuza. - Szkoda tylko, że go Włosi wypuścili.

Mówił wprawdzie rotmistrz, że go Spytek nie obchodził, lecz w istocie przykro mu było dowiedzieć się, że znowu go jejmość mieć będzie jako groźbą ciąglą nad głową swą.

Myślał jeszcze o tym, gdy następnego dnia w ulicy, przed oknami dworku zjawił się Gubiata. Przechodził się wzdłuż okien tam i sam, obdarty i oszarpany gorzej, niż był w Zamościu, Ale z twarzą zawsze czerwoną i minami A ruchami, jakby łamane sztuki chciał pokazywać. Zobaczywszy w oknie Bajbuzę, pokłonił mu się i stanął. Domyślił się rotmistrz, że go nie puszczano do niego i dlatego w ulicy wartę odprawiał. Zawołał Szczypiora, mając przecucie, że Gubiata pewnie znowu coś mu o Spytku przyniesie.

- Uczyn tak, mój przyjacielu - odezwał się - Aby Gubiaty nie puszczając, wszelako dali mu się wkraść do mnie. Ciekawym, co ten pijanica przynosi, bo już od dawna snuje się około nas.

W pół godziny potem Gubiata niby przebojem, zdyszany, wtoczył się do izby, po której rotmistrz się przechodził.

- A tyś tu znowu! - zawołał Bajbuza.

Gubiata ręce złożył.

- Rotmistrzu, widzicie - krzyknął - dla miłości waszej głowę ważę, bo mnie twa czeladź niepoczciwa o mało nic na rohatynach nie rozniosła. Wy sobie spokojnie siedzicie, A wróg wasz

znowu czyha na zdrowie i życie miłości waszej. Spytek "redivivus" \* powrócił ze Włoch, powiada, że go tam zieleniną karmili w lecie, więc się bał, Aby zimą siana nie był zmuszony jeść. Na was on całe swe nieszczęście składa. - Ten - mówi - winien, zem z żoną zwaśniony, że u niej chleba nie mam Ani kąta. Nie będę żyw, jeśli pomsty nad nim nie wywrę. A, co gada! Co gada! Królu mój, uszy wędną słuchając! Musiałem do was przyjść i donieść, było to sprawą sumienia, A u mnie, gdy o sumienie chodzi - dodał - furda i życie! Zbiera już Spytek ludzi.

redivivus ( łac.) - zmartwychwstały.

- Takich jak waszmość Gubiato? - przerwał szydersko Bajbuza. - Czyż sądzicie, że się go złękne?

- Pewno, że nie! - zawołał Litwin. - Ale i o najmniejszym nieprzyjacielu wiedzieć potrzeba. Mnie jak się raz prosty kleszcz w skórę wpił na karku, to go Aż z nią wyrzynać było potrzeba. Dajmy, że Spytek kleszczem jest, A wpić się mu dać? Musicie odczekać. Dlatego było moim obowiązkiem do was się z niebezpieczeństwem żywota dostać, bodaj i zawołać: Cave! \*

Cave! ( łac.) - strzeż się!

Rotmistrz, którego retoryka Gubiaty zawsze do śmiechu pobudzała, uśmiechał się, A Litwin, któremu to pochlebiało, ciągnął dalej:

- Tak jest, zajadła sztuka ze Spytka, prawda, że jemu, jak i mnie, u szczytu pomyślności strącanym być w błoto biedy i niedostatku, z onym wielkim imieniem Spytków, które nosić musi, gdy suknie wytarte przy tym, A w żołądku burczy, nie miła to rzecz. Więc się pomścić chce, więc na was zwała ów wypadek cały i głosi, że wy go zgubiliście. I niechby sobie krzyczał! - dodał Gubiata. - Wiadomo, że nie wszystkie głosy idą w niebiosy, Ale Spytków Jordanów rodzina jest można, enatorska, więc choć małej odrośli swej nie da tak uschnąć marnie Albo raczej zgnić. Ujmą się, będziecie mieli wrogów w nich strasznych.

Tu Gubiata oczyma rzucił, badając usposobienie Bajbuzy i ciągnął dalej ostrożnie:

- Nie moja to rzecz, wam, wielki bohaterze A panie mój, czynić refleksje; jestem nędzną kreaturą i robakiem, Ale wy trzymacie jawnie z hetmanem, o tym wszyscy wiedzą, wy chodzicie do pana wojewody krakowskiego, A do dworu nigdy, A Spytkowie właśnie około króla, więc tam wam nieprzyjaciół łatwo pomnożą.

- I co - zapytał Bajbuza - Albo ja od króla i dworu czego potrzebuję?

Gubiata zamilkł, potarł głowę i najeżył szorstkiego wąsa.

- Miłościwy panie - dodał - tego nadgniętego Spytka trzeba znać, to jest taki człowiek, co się na wszystko waży, bo nic do stracenia nie ma. Napaść, najść, bodaj struć gotów. A któż nam i tej naszej Rzeczypospolitej takiego heroicznego rycerza jak wy zastąpi?

Parsknął śmiechem Bajbuza na głos.

- No, czegoż chcesz więcej? - przerwał. - Jużes mnie ostrzegł, dziękuję ci, w sumieniu jesteś spokojnym.

- Tak, heroiczny panie - zawołał Gubiata - w sumieniu jestem spokojnym, Ale nie w żołądku!

Uderzył się po nim.

- Zredukowany wielce ten biedny żołądek - westchnął. - Nie kłamię, Ale częstokroć dzień cały o surowej rzepie bez soli spędzać mi przyszło. Ofiarowałem to wprawdzie jako post Panu Bogu i różnym patronom, Ale mi się nikt nie wywdzięczył.

Rotmistrz z wolna już dobywał sakwy.

- Mam litość nad wami - rzekł - Ale czas, mój Gubiato, Abyś się ustatkował, czas wielki!

- Rotmistrzu, miłościwy panie - przerwał Litwin. - Nikt nade mnie stateczniejszym nie może być. Nie mam za co dokazywać, A we wszystkich tu browarach podły naród, Ani darmo, Ani na borg nie dadzą kropli. Zaś przyjaciół, którzy by mi odpłacili to, co ja z nimi przepiłem, odszukać nie mogę. Czas rekolekcji przyszedł dla nieszczęśliwego Gubiaty.

Na stole przed nim leżały już talary, które mu Bajbuza przez litość dał znowu, patrzył na nie okiem pożądlwym, Ale razem ostrożnym.

- Serce wasze litośne jest - rzekł Ale co mnie po tej garsteczce grosza, to się pochłonie po długim poście i spragnieniu. Gdybyście, miłość wasza, chcieli mnie znowu do dworu swego na jurgielt wziąć, służyłbym jak... lew!

Rotmistrz się zwrócił ku niemu.

- Chociaż z ciebie nie tylko żołnierz lichy, Ale ciura nawet niedobry, Ano, gdy na wojnę będę iść, wezmę cię, Ale tylko na wojnę.

- Ba! - odparł Gubiata krzywiąc się i chowając do kieszeni talary - na wojnę! A gdziez nogi?

Tu wystawił obrzękle swe, w butach brudnych, stopy zgrubiałe i niezgrabne.

- Około domu jeszcze bym się zdał, Ale na wojnię...

Głową potrząsnął. - Nogi całuję! - szepnął i wyszedł.

## Rozdział VIII

Z wyjazdem do domu ociągał się Bajbuza, chociaż miał już i miasta, i wrzawy, i niepokój, w którym żył, dosyć. Szczypior, który go znał, widział i czuł, że w nim wewnątrz, jak on się wyrażał po prostu, "robiło". A że w takich razach najlepiej go było samemu sobie zostawić i czekać, Aż się coś "urobi", nie nalegał Ani na wyjazd, Ani na żadne stanowcze postanowienie. Słuchał go przy misce i kubku roztrząsającego, czy lepiej było iść do Inflant z Chodkiewiczem, czy wracać do Nadstyrza i czekać, Ażby hetman pozdrowiał, A zawezwał go do siebie, bo nie wątpił, że Zamoyski jeszcze w pole wyciągnie. Kusiła go mocno walka z Sudermańskim, której już raz zakosztował. \*

Karol Sudermański ogłosił się w roku 1604 królem Szwecji jako Karol IX. Nowa wojna o Inflanty przyniosła Polsce zwycięstwa, z których najważniejsze było pod Kircholmem, gdzie dowodził wojskiem Karol Chodkiewicz rok ( 1605). Politycznie zwycięstwo to nie zostało wyzyskane. Dynastyczne interesy Zygmunta III wpłatały Polskę w długotrwałe wojny ze Szwedami. Zob. przyp. 6082.

- Tam byśmy my, mój Szczypiorze, zdali się Chodkiewiczowi - mówił. - Wódz to dzielny; prawda, że ogniście popędliwy, Ale w wodzu czasem i to nie szkodzi. - Patrzył potem w oczy Szczypiorowi, jakby czekał, Aż ten mu powie:

- Ano, idźmy do Inflant - Ale chorąży sobie dał słowo, że się biernie zachowa.

- Iść by do Inflant? - powtarzał potem w kilka godzin. - Chęć?

- Jeżeli chcecie? czemu nie? - mruzczał Szczypior.

- A tobie jak się zdaje?

- Ja pójdę zawsze, gdzie wy zechcecie.

Bajbuza milczał, chodził i tarł czuprynę.

- Ja ci się przyznam - rzekł w końcu. - Jestem podłą kreaturą w oczach własnych. Proszę ciebie, nam by koniecznie potrzeba iść na Sudermańskiego, prawda? Otóż widzisz, tak mi tej kobiety żal, że ją na Spytka napaść bezbronną muszę rzucić, iż siły nie mam iść, gdzie powinno się woła. Ale gdy mnie tu nie stanie - ciągnął dalej - ten podły człek zbierze takich łotrów, jak sam, gotów najechać, porwać, ograbić. Żoną jest, nikt mu słowa nie powie. Co tu począć? Co tu począć...

W tej niepewności pozostał Bajbuza dni kilka. Raz pod wieczór wysunął się z dworku bez Szczypiora, obiecując zaraz powrócić. Kazał na siebie czekać z wieczernią. Tymczasem nie tylko pora jej nadeszła, przeszła, Ale noc się zrobiła, A rotmistrza z powrotem nie było. Nigdy się nie trafiało, Aby tak, nie dając znać o sobie, dał się komu zbałamucić. Szczypior, choć wiedział, że się bardzo o niego obawiać nie było potrzeba, zaczynał być niespokojnym. Około północy zrobił się

rumor około domu, wybiegł chorąży i z przerażeniem spostrzegł rotmistrza na noszach leżącego, krwią oblanego, którego miejscy pachołkowie nieśli.

Blady był, Ale przytomny i zobaczywszy Szczypiora zawołał:

- Cyt, nie ma o czym mówić! Przypadek... Zbóje mnie w ulicy napadli dla mieszka. Pięciu na jednego, co za dziw, zem ranny, Ano, nic nie ma! Krwi mi upuścili dużo.

Mówił to z pośpiechem wielkim i obszerniej nie chciał się tłumaczyć. Szczypior posłał zaraz po doktora, A sam zajął się wygodnym umieszczeniem rannego i opatrzył ranę.

Płatnięty był haniebnie przez ramię raz Aż do kości, A drugą rękę miał w kilku miejscach porąbaną. W głowę też go raz cięto, Ale słabo, bo skórę ledwie rozplątał zbój. Dla Bajbuzy rany takie nie były Ani nowością, Ani rzeczą straszną, tym razem jednak utrata krwi, osłabienie, długie leżenie bez pomocy, gdyż z początku przytomność stracił od uderzenia w głowę, czyniły wypadek dosyć groźnym. Stary Buccella ruszał głową, mruczał i nie był wcale spokojnym o niego. On zaś sam nadrabiał wesołym humorem i zatrował sobie.

Szczypior nade wszystko się pragnął dowiedzieć, jak przyszło do tego napadu, gdzie, słowem szczegółów żądał o nim, A rotmistrz zzagqadywał i zbywał powtarzając:

- Głupstwo... Zbóje... nie ma mówić o czym.

Znał nadto dobrze Bajbużę, Aby się tym zaspokoić; dla niego cały ten wypadek jakoś tajemniczo wyglądał, niezrozumiale właśnie dlatego, iż rotmistrz o nim mówić nie chciał. Co gorzej, gdy na pytania Buccelli, Szczypiora i innych potem ciekawych przyjaciół odpowadał, plątał się, i chorąży uważał, że raz inaczej, to znowu różnie opisywał i zbójów, i napaść samą, i walką z nimi. Nigdy się zaś nie trafiało rotmistrzowi, Aby niecałą prawdę mówił, Albo ją dobrowolnie przekręcał. Musiało więc coś być w wypadku tym, co Bajbuza chciał zataić, A nie mając w tym wprawy, plątał się. Chorąży tego nie podnosił, Ale słuchał milczący i głową kręcił, wąsa motał. Napaści po ulicach oddalonych od miasta wprawdzie się trafiały; było dosyć ciurów i gawiedzi różnej, Ale rotmistrz nie chadzał tam, gdzie się to mogło przygodzić. Zbóje też prości, bodaj najśmielsi, na takiego olbrzyma i siłacza, dobrze uzbrojonego, niełatwo by się porwali. Nie mieściło się to w głowie Szczypiorowi, lecz gdy sam na sam próbował badać, Bajbuza się niecierpliwił i usta mu zamykał.

- Cóż ty u licha mnie sekujesz tą inkwizycją? - wołał. - Ja sam nie wiem dobrze, jak się to stało. Jedem mnie uderzył zaraz w ramię, drugi w łeb, oszołomił... padłem.

Najdziwniejszym zaś z tego było, że gdy, wedle własnego opowiadania, padł i przytomność utracił, zbóje mogli go bezkarnie obedrzeć, tymczasem Ani pieniędzy, Ani oręża, Ani najmniejszego strzępka nie brakło. Bajbuza to tłumaczył, że ktoś zbójów musiał spłoszyć, lecz gdyby tak było, zaraz by rannego zobaczył i ratował, nie dał by mu tak długo we krwi się plawić,



Aż nadeszli wiertelnicy \* i otrzeźwiwszy go, wzięli na nosze, niosąc do dworku. Takich niejasnych w tym rzeczy było wiele. Rotmistrz na pytania, niecierpliwie się zzymając, odpowiadał:

Wiertelnik ( z niem.) - urzędnik miejski nadzorujący nad dzielnicą.

- Nic nie pamiętam! Kat ich wie! Daj mi pokój!

Szczypior w końcu doszedł do tego przekonania, że w tym tkwiła jakaś tajemnica. Rotmistrz burdy popełnić Ani się dać w nią wciągnąć nie mógł; zresztą byłby się przyznał do śmiertelnego grzechu, gdyby w tym coś do ukrywania w interesie cudzym nie było.

Rany doprowadzały go do rozpaczony nie dla bólu i niebezpieczeństwa, na jakie narazić mogły, Ale że powstrzymywały go w chwili, gdy, jak powiadał, gotowym już był na wyprawę infancką.

- A tu nim człowiek wydobrzeje - wołał - oni tam Sudermańskiego zbiją i ja z łyżką po obiedzie bym chyba przyszedł.

Klął tedy, A Szczypior mu dopomagał.

Jak skoro rany cokolwiek się zablizniać poczęły i opatrywanie ich już umiejętnej ręki balwierzy nie potrzebowało, natychmiast kazał rotmistrz do drogi się sposobić.

- Ja w Nadstyrzu prędzej wyzdrowieję, mnie tam samo powietrze uleczy; kup mi lada brożek lub kocze, \* połóżcie mnie i wieźcie. Zlituj się!

Kocze, częściej koczy i kocz ( z węg.) - powóz półkryty.

Uparł się tak przy swoim, napierając się domu, że się mu sprzeciwić nie było można. Szczypior nawet wołał go stąd wywieźć, bo nadchodzili ciągle znajomi, A opowiadając o tym, co się w kraju działo, drażnili go.

Wszyscy byli przeciwko królewskiemu małżeństwu z Austriaczką Konstancją; chciano mu się opierać siłą, wrzało więc ciągle, A że Zamoyski był też przeciwny, dochodziło do tego, iż książę Ostrogski Janusz, kasztelan krakowski, pisał do Zamoyskiego i mówił publicznie:

- Jeżeli się hetmanowi tak zdawać będzie, całą szlachtę wsadzę na koń i nie dopuszczę Rakuszance przystępu do kraju! \*

Mimo gwałtownego sprzeciwu Zamoyskiego i jego obozu, król Zygmunt III ożenił się z Arcyksiężniczką Konstancją, siostrą zmarłej żony Anny.

Hamować musiał hetman. Gorączkował się i chory słuchając tych rozpraw; lepiej więc było dla niego z tego zamętu go wziąć, Aby spokoju zażył.

Wyruszono tedy, Ale podróż, A raczej pochód to był jakby żałobny. Wlec się musieli po złych drogach noga za nogą; chory ciągle jeszcze uspokoić się nie mógł. Szczypior prawie nieodstępnie lub szedł przy nim, Albo z nim jechał. Po drodze zaś, gdzie kogo spotkali, zatrzymywano, trzeba się było tłumaczyć, rozpowiadać.

Po tych śmiertelnych nudach w ostatku dowlekli się jakoś do Nadstyrza, gdzie już na nich oczekiwano. Co żyło, wybiegło przeciwko ukochanemu panu, nawet staruszcza o kiju. A płakali widząc go tak wybladłego i osłabłego, Ale on się śmiał i radował.

- Już co tam Bóg da, to da, Aby w domu, na swym gnieździe! - wołał. - Tu człowiek inaczej oddycha, mnie się zaraz polepszy.

Jednakże ta nadzieja nie zaraz się spełniła. Po długiej podróży choremu było gorzej i musiał leżeć A odpoczywać, odżywiając się rosółkami Leszczakowskiej. Wszyscy domownicy służyli mu z tą miłością, jaką natchnąć im umiał. Jeśli nie Szczypior, zawsze Albo ksiądz Rabski, lub z biedy Rożek i Przygodzki siedzieli na posłudze, bawiąc go, jak umieli. Na gościach też nie zbywało, Ale jednym, którego się wcale nie spodziewał Ani on, Ani nikt, była Spytkowa, która pod pozorem, iż do Leszczakowskiej przybyła, zajechała do dworu w Nadstyrzu. Gdy mu o tym powiedziano, Bajbuza gwałtem chciał odziać się, choć na nogach utrzymać nie mógł, A Szczypior ledwie wymógł, iż się okrywszy opończą, kazał pod rękę wyprowadzić do niej. Lecz nim się dźwignął, Spytkowa zawiadomiona we drzwiach już stała.

- Proszę - rzekła - od łoża Ani kroku! Przybyłam tylko widzieć was na oczy własne i przekonać się o zdrowiu. Wiem, że odwiedziny kobiety dla chorego niewczesne, Ale wytrwać nie mogłam.

Rotmistrz coś bełkotał, rękę przyłożywszy do serca. Spytkowa przystąpiła kilka kroków, usiadła, uśmiechnęła mu się, starała go ożywić i wlać otuchę. Prawdziwie też czarodziejsko podziały te odwiedziny.

- A, królowo moja! - wołał Bajbuza. - Gdyby mnie dziesięciokroć srożej raniono, czyżby mi dzisiejszy dowód waszego dobrego serca dla mnie nie był setną nagrodą? Krwi nie żałuję.

Próbowała Spytkowa rozpytywać o wypadek, Ale się strasznie zmięszał i to, co jej powiedział, wcale nie objaśniło o nim.

Zabawiwszy chwilę, jejmość podała mu rękę i odjechała nazad, Ale po sobie zostawiła wrażenie takie, iż Bajbuzy trudno było poznać. Odżył, nawet o straconych dla siebie Inflantach zapomniał, choć one mu na sercu leżały.

Było to właśnie pod ten czas, gdy listy i gońce o zwycięstwie odniesionym pod Kircholmem wieść przyniosły. Łzy się toczyły rotmistrzowi, gdy czytał pismo owego Krajewskiego z chorągwi Niewiarowskiego, \* którego dobrze znał, A co go Sudermański w niewolę wzięwszy, badał o Polaków i wierzyć mu nie chciał.

Choć Autor traktuje "owego Krajewskiego" jako osobę znaną i Bajbuzie, i czytelnikowi, nie ma o niej poza tym żadnej wzmianki w powieści.

Przyniesiono potem opis bitwy pod Kircholmem. Cóż to była za radość i za zazdrość względem tych, co w niej uczestniczyć mogli.

- Zbójcom, co mnie zrabali, krew moją daruję - wołał Bajbuza - Ale tego, iż mnie rozbroili i bezczynnym uczynili, nigdy!

Powoli jednak od tego dnia, gdy go Spytkowa nawiedziła, począł Bajbuza coraz żywiej przychodzić do siebie. Szcypior co dzień Leszczakowskiej donosząc, jak spał, co mówił, jak się czuł chory, dodawał teraz:

- Już mi się tak widziało, jakby życia rotmistrzowi miało się odechcieć, Ale widzę, że znowu żywiej się porusza i ma nadzieję wprędce siły odzyskać. O ranach nie ma co i mówić; zdrowe ciało, to się goją w oczach niemal, chodź ciężkie były.

Przywieziono z Krakowa osobliwy i zalecony bardzo balsam gojący, którego użycie przyczyniło się także do prędszego wyleczenia. Jedno tylko cięcie przez ramię, głębokie bardzo, jeszcze się całkiem nie zamknęło, Ale rana coraz zmniejszała. Bajbuza się niecierpliwił przy codziennym opatrywaniu, znajdując, że nigdy jeszcze tak się opieszale nie zablizniały rany, jak teraz. - Wieku to wina! - mówił wzdychając.

Sejm pod ten czas miał być zwołany na początek następnego roku do Warszawy, \* A rotmistrzowi stęsknionemu za ludźmi i za publicznymi sprawami, do których zawsze czuł pociąg, chciało się koniecznie na nim znajdować. Zapowiadał on się burzliwszym jeszcze niż poprzedzające, z powodu małżeństwa królewskiego i buty szlacheckiej, która wyrosła znacznie w ostatnich czasach. Pomiędzy pospolitym rycerstwem, A panami i senatorami, co dawniej się nigdy nie dawało czuć, rozdział się tworzył i dwa obozy przeciwne. Dotąd bowiem jedno w Rzeczypospolitej szlachectwo było, A w nim stopnie dawała tylko zasługa pojedynczym ludziom. Nie było dostojęństw dziedzicznych i tytułów żadnych. Panowie zaś, którzy jeżdżąc po krajach obcych, napatrzyli się i nasłuchali różnych zaszczytów granicznych, grafów, margrafów, baronów, książąt, naśladować to chcieli w Polsce i od cesarzów i królów wyjednywali sobie różne denominacje, których w domu też zażywać próbowali. Tak Myszkowscy od Gonzagów sobie ich nazwisko i tytuł wyprosili, A drudzy, jak Radziwiłłowie, mieli je od cesarzów. Szlachta na tę innowację niechętnym okiem patrzyła i opierała się jej jako nowy stan w Rzeczypospolitej stworzyć mogącej. Stąd na ostatnich sejmach już coraz dobitniej między izbami senatorską A poselską czuć się dawał Antagonizm, nieufność, wypowiedziana niemal walka. Panowie się więcej około tronu i króla skupiali, szlachta przy hetmanie, Zebrzydowskim i przeciwnikach rakuskich praktyk i związków. \*

Mowa o sejmie zwołanym na początek roku 1605 do Warszawy.

Uwagi Autora o cudzoziemskim pochodzeniu tytułów magnackich, o niechęci szlachty do nich, dalej o powstawaniu na tym tle ugrupowań politycznych za Zygmunta III są historycznie ściśle. Istotnie, szlachta skupiała się wokół Zamoyskiego i jego niby spadkobiercy, Mikołaja Zebrzydowskiego, A magnaci, senatorowie, zwolennicy Absolutnej władzy królewskiej, tworzyli partię tzw. regalistów ( "rex" - król).

Zamoyski głosił otwarcie niebezpieczeństwo podziału szlacheckiego stanu na magnatów tytułowanych i prosty gmin herbowny. Liczbą czując się silniejszą, szlachta przygotowaną była bodaj tłumnie i gromadnie swoich praw dochodzić, A nowych przywilejów nie dopuścić, czując to, że magnaci "Absolutum dominium" popierać będą.

Listy, które od Urowieckiego czasem odbierał Bajbuza, zachęcały go też, Aby na sejm następny zjechał do Warszawy. Rotmistrz pisał, iż Zamoyski na zdrowiu czuł się coraz gorzej i w dniu urodzin swych, kończąc rok sześćdziesiąty trzeci życia, gdy mu wieszowano, iż szczęśliwie klimakteryczne \* lato przebył, odparł wzdychając:

Klimakteryczny - tu: krytyczny, niebezpieczny dla życia. Klimakterem ( z greckiego - szczebel) nazywano każdy rok siódmy w życiu człowieka czy w dziejach narodu. Miał on przynosić, krytyczne zmiany.

- Po sześćdziesięciu i trzech latach każdy rok klimakteryczny.

Pragnął więc mocno Bajbuza choć o tyle się wygoić, Aby móc do Warszawy zjechać dla przysłuchania się naradom. Szczypior był temu przeciwnym.

- Ledwieście wypoczęli i wydobrzeli po ranach - mówił do niego - już was tam coś ciągnie, Aby się znowu zburzyć, zmęczyć i nadaremnie nagniewać na sejmie. Nie pomożecie tam nic, A ucierpicie siłą.

Rotmistrz nie dawał sobie mówić tego.

- Szczypiorze ty mój! - wołał - chcesz mnie tu uwędzić w Nadstyrzu, Ale ja ruchu i życia potrzebuję, dajże mi, kiedym beczynny, choć posłuchać, jak drudzy pracują, A wreście i hetmana starego zobaczyć, A pokłonić mu się. Urowiecki pisze, iż postarzał bardzo, posmutniał; krto wie, jak długo pożyje. Zawsze na mnie łaskaw był, rad mnie widywał, chciałbym u jego boku jeszcze na tym sejmie stanąć. Niech ludzie widzą, że przyjaciół ma, którzy go nie odstępują.

Zaczęto się więc zawczasu do Warszawy sposobić, posłano dwór nająć, poszły przodem wozy ze śpiżarnią i obrokami dla koni, bo czasu pobytu rotmistrz swój szlachecki dom trzymał otwartym. W ostatku i Bajbuza dla siebie dzień odjazdu naznaczył, Ale wprzód jeszcze pojechał pożegnać Spytkową.

Przyjęła go jejmość tak uprzejmie i serdecznie, jak zwykle, i choć się nie spodziewała go wstrzymać, próbowała mu podróż tę odradzić.

- Zaledwieście siły odzyskali - mówiła - A już znowu się narażać chcecie na stratę ich, bo sejm was zmęczy.

- Tęskno mi do hetmana - odparł rotmistrz. - Chcę go widzieć koniecznie, A i ten konflikt z królem o małżeństwo jak się rozwiąże dobrze z bliska widzieć i słyszeć

Rozśmiała się Spytkowa.

- Was bo - rzekła - nic od zajęcia sprawami publicznymi nie odbiegnie - do nich byliście stworzeni. Domowego szczęścia cichego nigdy by wam nie było dosyć.

- Nie miałem go nigdy - odparł Bajbuza - Ani o nim marzyłem. Jako żołnierz musiałem być zawsze gotowym sięść na koń, więc z moim losem niczyich wiązać nie chciałem. Życia tak znaczniejsza część upłynęła, A dziś jam już stary! Czymś jednak żyć potrzeba i człowiek się żywi sprawą ogólną, gdy własnej mu braknie.

- Wracajciez rychło - przy pożegnaniu cicho dodała Spytkowa. - Wszyscy my tu na was niecierpliwie i tęskno oczekiwać będziemy, A ja o sobie nie mówię, bo wyście mi jedynym opiekunem na świecie.

Łzy jej w oczach błysnęły, rotmistrz do ręki się pochylił, ucałował ją i umknął co prędzej.

Podróż do Warszawy w porze chłodnej przy zmiennym powietrzu nie była wygodną Ani pośpieszną, Ale Bajbuzie ruch i czynniejsze życie przywróciły trochę dawnego rycerskiego ducha i humoru.

Po drodze mało nie na każdym popasie i noclegu spotykali się ze szlachtą, tłumnie na sejm ciągnącą, A bardzo niechętnie dla króla i dworu usposobioną. Narzekano też na panów senatorów, iż posłom na poprzedzających już sejmach wszelką władzę prawodawczą wydrzeć usiłowali, izbie poselskiej głos odejmowali, sami rozstrzygać wszystko pragnęli. Zachęcano się do czynnego oporu, spodziewając wodzów w Zamoyskim i Zebrzydowskim.

W samej Warszawie jeszcze burzliwiej wrzało wszystko i miotano się, A oczy były na Zamoyskiego zwrócone. Przybywał on, Ale gdy go po raz pierwszy zobaczył rotmistrz, uląkł się i serce mu się ścisnęło. Nie ten już był człowiek, co przedtem; na twarzy i w mowie czuć było znużenie żywotem, A gdy o przyszłości mowa przychodziła, oglądał się na Zebrzydowskiego, jakby mu ją chciał powierzyć.

W początkach zaraz pomiędzy posłami A senatorami przyszło do sporów, cisnęli się posłowie do izby, nie dawano im miejsca, odstrychali się więc i osobno naradzać chcieli. Raziły ubogą szlachtę dwory panów, z którymi na sejm zjeżdżali, jak Sieniawski, który, oprócz dworu i przyjaciół, stu husarów prowadził jak na wojnę.

Wystąpił zaraz Zamoyski z mową o sprawach Rzeczypospolitej, w której nikogo nie oszczędzał, Ani króla, Ani opieszalej szlachty, która na obronę kraju nie tak gorliwie śpieszyła, jak

była powinna. Mówił hetman przeciw rozluźnionej karności wojskowej i związkom, wspominał o sprawie tytułów cudzoziemskich i chociaż na niego samego kładziono tę potwarz, iż się dla siebie i syna o tytuł książęcy starał, otwarcie rzekł, zapierając się tego:

“Co do mnie, wolę z tą cną bracią moją równej wolności zażywać, jakoż, dali Bóg, i najmniejszego szlachcica równym sobie kładę we wszystkim. Z tej to nierówności pochodzi luksus, każdy bowiem pnie się i chce się jak najhojniej okazać”.

Tknął wręście owego nieszczęsnego małżeństwa króla z Rakuszą i rzekł otwarcie: “Zamysł Waszej Królewskiej Mości żenienia się z siostrą nieboszczki śp. królowej polskiej wcale mi się nie zda. Przez ożenienia dom rakuski poujarzmił królestw tyle, nadto, jest to obrzydliwe, zakazane od Boga, A wiesz Wasza Królewska Mość, iż Pan Bóg za grzechy królów zwykł lud wszystek karać. Z miejsca więc mego i sumieniem senatorskim nie pozwalam na to i przeczę”.

A że i to na króla kładziono, że za życia swego miał zamiar królewicza Władysława koronować, napomknął hetman, iż to by monarchię na dziedziczną zmieniło i pozwolić też na to nie godziło się.

“Nie minie korona syna Waszej Królewskiej Mości - dodał - Ale dwie rzeczy potrzeba po temu. Daj mu Wasza Królewska Mość przystojne wychowanie, wyjmij go spod opieki kobiet. Druga rzecz potrzebna, Aby cudzoziemcy byli od wychowania królewicza oddaleni...”

Z otwartością potem zarzucał hetman królowi, że obietnic narodowi uczynionych nie spełnił, zamków na Ukrainie nie wznosił, innych nie poprawiał, A sam otaczał się cudzoziemcami, Szwedami, Niemcami, Hiszpanami i radą młodą, której się dawał powodować, potajemnie korespondując z cudzoziemskimi monarchami.

“Z pokojów swoich królewskich tajemne listy posyłać raczysz - mówił - do innych krain, przez cudzoziemce targujesz Albo pono sprzedajesz nas, Wasza Królewska Mość, A Rzeczpospolita dlatego przysięgłe pieczętarze mieć chciała, Aby żaden list królewski bez wiadomości ich nie był pisany Ani posłany”.

Na ostatek nawet groźbą zakończył to ostre nader przemówienie, przypominając, że królów, nie dotrzymujących przysięg, wyganiano z Korony, A innych w ich miejsce wybierano.

“Jeżeli więc i Wasza Królewska mość nie obaczysz się, Ani poprawisz, nam nie pozostanie nic, tylko Waszą Królewską Mość za morze wyprawić...”

Był to łabędzi śpiew wielkiego męża, przejęty goryczą, jaką go napoiły lata ostatnie, A zakończenie jego brzmiało uroczyście jak modlitwa:

“A wy, cnotliwe dusze Tarnowskich, Tęczyńskich, Ostrorogów, jakich już dziś nie widzimy, którzyście niegdyś wiernie ojczyźnie służyli, A dziś w wiekuistej chwale na oblicze Boga

patrzacie, uproście nam, ojczyźnie naszej, wspólne pomnożenie szczęścia w domu, zwycięstw nad nieprzyjacioły”. \*

Wyjątki z mowy Zamoyskiego przytoczył Kraszewski za dziełem Niemcewicza: “Dzieje panowania Zygmunta III”.

Można sobie wystawić, jak na to usposobienie umysłów, z którym sejm się zebrał, podziałać musiała mowa ta, z otwartością nieograniczoną wygłoszona, którą chciwie pochwycono, komentowano, roznoszono, zwiększając nawet jej znaczenie.

Była w niej w istocie nieubłagana, ostra, może za rześko i nieopatrznie, Ale z potęgą wielką wypowiedziana prawda. Naganiał surowo Zamoyski zadarcie się z moskwą o Dymitra Samozwańca. \* “Dziś niektórzy ichmość mimo woli stanów wtargnęli do Moskwy, jakiegoś Dymitra na tron prowadzą. Słyszeliśmy, że ten Dymitr był zadławiony, dziś znowu żyje! Cóż to, czy jaką komedię Plauta lub Terencjusza grają przed nami!” \* Przypomniał hetman, że radził przymierze z Iwanem Wasilewiczem uczynione zachować.

Dymitr Samozwaniec - przy zbrojnej i politycznej pomocy Polski Dymitr Samozwaniec uzyskał tron carski w roku 1605 w walce z carem Borysem Godunowem. Dymitr zwał się w istocie Gryszka Otriepiew. Ożenił się z Maryną Mniszchówną, córką wojewody Sandomierskiego, Jerzego Mniszcha. Popieranie kandydatury Dymitra na tron carski narażało Polskę na konflikt z Moskwą.

Plautus Titus Marcius - komediopisarz rzymski z III - II w. p.n.e. Publius Terentius Afer - komediopisarz rzymski z II w. p.n.e.

Mowa jego, można powiedzieć, sejmowi cały jego charakter nadała. śmiałość Zamoyskiego pobudzała też innych do odwagi. Posłowie, zawezwani do izby senatorskiej, odmówili przyjęcia, póki by im godnego ich miejsca nie uczyniono. Spierano się o wszystko i już przewidzieć było można, iż sejm, zamiast sprowadzić uspokojenie w umysłach, zwiększył rozdrażnienie i zasieje niebezpiecznych roszczeń ziarno. Skończyło się na tym, że coraz mocniej się rozgorączkujący posłowie poszli do grodu i Artykuły przeciwko królowi podawszy do ksiąg, powrócili tylko pożegnać Zygmunta, rozjeżdżając się do domów. Mówiono, że król potem zapłakany wyszedł z sali.

Nikt nie przewidywał wszystkich następstw tego nowego rozjątrzenia i rozdarcia, Ale na dworze króla mówiono niemal głośno, że jeśli dalej się posunie burzliwość szlachty, korona do siły uciec się będzie musiała dla obrony praw swych i dostojęstwa.

- Zarzucają królowi Jego Mości, że się Szwedami i Niemcami otacza, A możeż być inaczej, gdy swoi wszyscy przeciwko niemu powstają?

Winę tego podburzenia składano całą na Zamoyskiego; najbliżsi tylko, Zebrzydowski, Tylicki, Głębicki, w obronę go brali i męstwo obywatelskie wynosili pod niebiosa. Sam on milczał posepnie, może zbytniej swej żalując otwartości, wiedząc, jakie wywarła skutki.

Na ustach Zebrzydowskiego już drgał złowrogi wyraz rokosz. Był on tak zapomnianym, tak niejasne dawał pojęcie prawa, na którym się opierał, iż zaledwie rzucony, potrzebował objaśnień i tłumaczenia. Wielu go wcale nie rozumiało. Powtarzano sobie pytanie, na które odpowiedź gotował zięć Zebrzydowskiego, Smogulecki: "quid est" rokosz? \*

Smogulecki - Maciej Smogulecki, "kanclerz" rokoszu, Autor wielu pism rokoszowych, m.in. broszury pod tym łacińskim tytułem, który przetłumaczony na język polski brzmi: "Co to jest rokosz?"

Zdaje się, że Ani myśl, Ani zamiar obwołania rokoszu nie zrodziła się za życia hetmana. Osłabiony już, wedle ówczesnego zwyczaju Zamoyski, przygotowując się do corocznej kuracji wiosennej, wyruszył w kwietniu z Waarszawy do Zamościa.

Bajbuza, żegnając go raz ostatni, gdy zobaczył w krześle siedzącego, posepnego, z czołem pofałdowanym, niespokojnego, rozdrażnionego sobą i sprawami Rzeczypospolitej, miał jakby przecucie, że go już nie ujrzy więcej. Wszyscy jednak hetmana i siebie tym się pocieszać starali, iż wiosna siły mu powróci, odżywi i pokrzepi.

Rotmistrz także wśród poruszonych do zbytku żywiołów szlacheckich dłużej wytrwać nie mogąc, natychmiast wybrał się do Nadstyrza. Wiózł z sobą zamiast pociechy troskę. Zdawało mu się, że co chwila posłyszeć może złowrogą wieść:

- Umarł Zamoyski! \*

Jan Zamoyski zmarł 3 lipca 1605 roku, mając 63 lata.

Przecucie to nie było daremnym i pierwszych dni czerwca rozeszła się już pogłoska, że hetman życie zakończył. Bajbuza wierzyć temu nie chciał, wyprawił bojarzyna swego do Zamościa z listem do Urowieckiego, który smutną przywiózł odpowiedź.

"Stało się - pisał rotmistrz - wszyscyśmy sierotami. Tego, który lat tyle przewodniczył nam, A stał na straży Rzeczypospolitej, już nie ma. Z dawna w nim odzywało się to zgonu przedwczesnego przecucie. Liczył lat sześćdziesiąt i trzy zaledwie, Ale mu ich wiele znoje i troski podwójnie rachować kazały. Od śmierci Batorego, Albo raczej od Zborowskiego sprawy, nieustanną walką były dni jego. Myśmy się wraz z jejmością i synaczką łudzili nadziejami lepszymi. Wiosenna kuracja, chociaż jak zwykle osłabiła go nieco, obiecywała potem nowym odżywić wigorem. Od kilku niedziel na zmienne powietrze wiosenne wychodzić mu nie dawano, siedział więc, niecierpliwie oczekując końca leków. Dnia wtorego czerwca cieszyliśmy się rumianemu licu, któremu świeżość zdawała się powracać. Wstał dnia następnego zdrów i wesół, z



rodziną, jejmością, Tomaszem, z przyjaciółmi i z nami rozmawiając, uprzejmie i z dobrą myślą. Razem z nami siadł do stołu, A choć niewiele jadł, wstał pokrzepiony, udając się włoskim obyczajem na poobiednią sjęstę i drzemkę. Czuwał zawsze ktoś przy nim na zawołanie, gdyby się przebudził. Wtem jejmość zawołano, gdyż po śnie otwarłszy oczy, słabym i mdlejącym się uczuł. Przybiegła pani i synaczek, myśmy też pośpieszyli niemało strwożeni, chociaż groźnego jeszcze nic nie przewidywano. Tymczasem z onych mdłości, na rękę jejmości pani modląc się, skonał spokojnie”.

Okazało się później, jak donosił Urowiecki, iż wszystko zawczasu przygotowane było i rozporządzone, począwszy od skromnego pogrzebu, Aż do opieki nad dziecięciem i wdową. Ta, jak z dawna wiedziano, powierzona być miała Zebrzydowskiemu, którego śmierć hetmana od razu na wysokie stanowisko zastępcy jego podniosła. Ciężar to był na ramiona silne, Ale niespokojne, zbyt wielki. Wojewoda krakowski w pierwszej zaraz chwili okazał to, mową nieopatrzoną, zapowiadając nieubłaganą walkę i spełnienie tych wszystkich żądań zmarłego, które on w ostatniej swej wyraził mowie.

- Spadkobiercą mnie swym uczynił - mówił głośno Zebrzydowski - niegodzien bym był tego zaszczytu, gdybym, bodaj życia stawiając, nie starał się, Aby jego dezyderia \* się spełniły, A te też cały naród podziela, krom tych, którzy królowi schlebiają i do zdrady mu posiłkują.

Dezyderia ( z łac.) - pragnienia, zamiary, plany.

Listy, które z różnych stron nadchodzić zaczęły do Nadstyrza, wprawiły i rotmistrza w niepokój wielki. Dopóki hetman żył, ślepo szedł za nim, teraz się uczuł znowu na rozdrożu. Z królem i dworem nie myślał się jednoczyć, A od Zebrzydowskiego dzieliła go nie jakaś niechęć ku niemu, Ale obawa, Ażeby zbyt gwałtownie się nie rzucił przeciw królowi, szlachtę za sobą ciągnąc. Jak bardzo wielu innych, Bajbuza nie dobrze rozumiał znaczenie wyrazu tego, który teraz z ust do ust sobie podawać zaczynano. Krążyły wprawdzie wykłady i odpowiedzi na pytanie: “quid est” rokosz?, Ale dzieje nie dawały jasnej odpowiedzi, zatarły się tradycje jego, jeśli jakie były. Musiano w ostatku tworzyć fałszywe, Aby się podeprzeć nimi.

Oprócz Zebrzydowskiego, zięć jego, pełen energii, ruchawy, czynny, śmiały A wymowny Smogulecki, Wielkopolanin, którego czasu sejmu rotmistrz widywał często, już naówczas podrzucał tę myśl, że jeśli król uparcie przy małżeństwie stać będzie i rakuskich praktykach, rokosz przeciwko niemu zwołać potrzeba. Nie co innego też Zamoyskiemu narzucał Janusz Ostrogski \* ofiarując całą szlachtę na koń wsadzić i postawić na granicy, Aby Rakuszanek nie dopuściła.

Janusz Ostrogski, książę Ostrogski Janusz, syn sławnego Konstantego, był kasztelanem krakowskim. W przeciwieństwie do ojca, który trwał przy prawosławiu, przeszedł na katolicyzm.

To, czego następstw się lękał Zamoyski, Zebrzydowskiemu ze Smoguleckim wydawało się narzędziem najdzielniejszym. Z ust do ust więc podawano sobie: rokosz, to jest pospilate ruszenie szlachty, przeciwko królowi i jego stronnictwu.

Bajbuza miał wstręt i do wyrazu, i do tego, co on mógł w sobie zamykać jako ziarno.

- Więc wojna domowa - mówił do Szczypiora. - Najstraszniejsza klęska, jaka na naród spaść może. Bracia przeciwko sobie. Kaimowska walka. Uchowaj nas Panie od niej! Uchowaj Panie!

- A cóż będzie, gdy szlachtę powołają - mrucał Szczypior - czy myślicie w domu siedzieć, patrzeć i słuchać z założonymi rękami, zostać neutralistą? Albo pójść króla ratować...?

- Gdyby nie to, że hetman stał przeciwko niemu - odparł Bajbuza - kto wie, co bym uczynił, Ale wierzę tak testamentowi zmarłego, jak ślepo wierzyłem żyjącemu. Około króla obozem cudzoziemcy i kortezany. Ledwie bym nie życzył Tatarów, wojny, niebezpieczeństwa jakiego, które by nas od domowej zawieruchy salwowało. Co pocniemy?

- Możemy czekać - rzekł Szczypior.

Co dzień z rana zrywał się tak Bajbuza, spragniony wiadomości. Te, które mu przynoszono z Łucka i Ostroga, wszystkie brzmiały ogólnym przeciwko królowi oburzeniem. Zebrzydowski na nowo podrażniony, że po Zamoyskim starostwo grodeckie krakowskie, \* zamiast jemu, dostało się Myszkowskiemu, głośno już do wystąpienia się gotował. Dysydenci i Grecy z nim się łączyli. Znowu sejm zapowiadano na rok następny, gdy ze swojej strony Zebrzydowski szlachtę wołał do Proszowic. \*

Starostwo grodzkie krakowskie uchodziło za urząd szczególnie ważny. Jak każde starostwo dawało posiadaczowi duże dochody, w tym wypadku zaś, z powodu bliskości dworu królewskiego, było stanowiskiem umożliwiającym wielkie wpływy polityczne. Co do Myszkowskiego, patrz przypis 65 t. II

Chodzi o sejm w roku 1606, który zwołano na 7 marca do Warszawy. Jak każdy sejm, tak i ten poprzedzano uniwersałami królewskimi do sejmików szlacheckich. Zebrzydowski ze swymi zwolennikami, wykorzystując falę niezadowolenia szlachty, z polityki wewnętrznej i zagranicznej króla, chciał wyrzeć nacisk na sejm i dla osiągnięcia tego zamiaru zorganizować wcześniej szlachtę. Z jego inicjatywy zwołano zjazd do Proszowic, gdzie odbywały się sejmiki ziemi krakowskiej. Podobny zjazd, Ale już całej prowincji małopolskiej, odbył się w Korczynie. Ogłoszono tam na dzień 9 IV 1606 r. zjazd całej szlachty polskiej w Stężycy, osadzie miejskiej u ujścia Wieprza do Wisły, gdzie Zebrzydowski miał starostwo. Były to zjazdy niejako prywatne, ze względu na odbywający się w Warszawie sejm. Informuje o tym Autor w dalszym ciągu rozdziału.

Zerwał się Bajbuza do tej podróży, rozmyślił potem i nie jechał. Posłał Szczypiora już samego, Aby mu języka przywiózł z tego zjazdu, który, w czasie sejmku niemal zwołany, zapowiadał głośny rokosz. Chorąży z Proszowic dał tylko znać, że dla lepszego rozsluchania się do Korczyna jechać musi i czekać kazał na powrót swój. W marcu wręście zjawił się oczekiwany niecierpliwie chorąży, przeciw któremu wybiegł Bajbuza.

- Co przywozisz? Wojnę czy pokój?

- Sam nie wiem, wszystką szlachtę ciągnie i woła na zjazd do Stężycy w kwietniu Zebrzydowski. Król na sejm, wojewoda ciągnie do siebie na obrady przeciwko niemu.

Rotmistrz nie rzekł nic zrazu, wypytywał, badał, słuchał i męczył się.

- Spadkobiercą jest po hetmanie - zamruczał w końcu. - Nie przyjsć na jego zawołanie, byłoby zdradzić nieboszczyka! Dziej się wola Boża! Pojedziemy do Stężycy!

## Rozdział IX

Rzekło się to łatwo - do Stężycy, Ale gdy Szczypior, który nic taić i umalować nie umiał, począł opowiadać o Proszowicach, A o tym, co w Stężycy zamierzano, Bajbuza się wahał.

Chwytał się za włosy wołając:

- Zgadnij Jezu, kto cię bije! Co tu robić, co tu robić? Do Stężycy jechać, jak ze wszystkiego widać, na bratnią wojnę? A nie jechać nigdzie, to człek się nie zdał na nic, A ruszyć na sejm, to regaliści pociągną ku sobie, przeciw testamentowi hetmana!

Potem znowu w godzin kilka wołać kazał Szczypiora.

- Nie ma tu co myśleć i czynić, ja do Stężycy muszę! Zwołują wszystką szlachtę. Tam zobaczymy dopiero, czy pójdziemy z Zebrzydowskim, czy nie. Gotować się do podróży, musimy do Stężycy!

Przy wieczerzy zwracał się do księdza Rabskiego:

- A ty, co mówisz, księżuniu? Z kim tu iść? Nie stało nam hetmana, sami nie wiemy, co czynić z sobą. Otóż co to jeden człowiek w Rzeczypospolitej znaczy. Cegielka, klucz w sklepieniu! Wyjmą ją, runie wszystko!

Ksiądz Rabski rozumnie mówił:

- Czemuż nie jechać? Niech rotmistrz jedzie, A nie podoba się tam narada i postanowienie, można powrócić.

- Juściż mnie bez przekonania nie wezmą! - wołał Bajbuza. - Rzeczypospolitej służyć do zgonu, Ale pyszałkom i warchołom nigdy!

Szczypior, który się wszelakich rzeczy nasłuchał, wtrącał:

- E, prawdą A Bogiem i jedna strona zanadto krzyczy i rzuca się, i druga zbyt nieszczerze, A podstępnie postępuje. Ja króla Jego Mości nie winię, Ale mu radzę nie zważać na wrzawę, swoje robić. Uspokoić ich lada czym, A postawić na tym, co postanowione. Król też milczy Albo mówi niewyraźnie. Ci grzeszą siłą i zuchwalstwem, A regaliści chytrąścią.

- Niech nas Bóg ratuje! - wołał Bajbuza.

Gdy już podróż do Stężycy postanowioną została, rotmistrz wziął na stronę Szczypiora i uściskał go naprzód:

- Radź ty mi.

- W czym?

- Gdy my się stąd oddalimy, Spytkowa niepewna w domu. Wrócił jej mąż i czyha na to, Aby ją pochwycić. Mnie się trochę lęka, A gdy się dowie, że ja w Stężycy, on tu przybieży.

- Na to rada łatwa - odparł Szczypior. - Ja was nierad rzucam, to prawda, Ale wiem, jak wam o tę niewiastę chodzi; zostanie ja na straży, A bądźcie spokojni, że tak obstawię dwór i wieś, A

sam będę na czatach, iż go nie dopuszczę. Rożkowi tego powierzyć nie sposób, bo burdę zrobi i hałasu tyle, że naokół wszyscy wiedzieć będą, co grozi. Innego nikogo nie znam. Zostawcie mnie.

- Nie może być inaczej, pojedę sam - westchnął Bajbuza. - Czas jest do Stężycy,znaczony dzień, drogi kawał. Ruszę jutro.

- O Spytkową bądźcie spokojni, włos jej z głowy nie spadnie.

W milczeniu uściskał go rotmistrz i zaraz mu się lice rozjaśniło. Teraz już jechał do Stężycy spragniony tego, co się tam dziać miało. Z dala dochodziły głosy: rokosz.

- Nie rokosz ci jeszcze, bo na niego nie wołano, Ale może w Stężycy go uchwałą.

Leszczakowska, która o swego wychowanka tak się lękała, jakby on jeszcze niedoświadczonym był wyrostkiem, poczęła mu zalecać, Aby warcholów unikał.

- Wszyscy mówią - stękała - że tam się straszne gotują rzeczy.

- Byle nie wojna! - westchnął Bajbuza. - Nie mam ci ni brata, ni swata, Ale gdyby przyszło na swoich iść z szablą dobytą, zdawałoby mi się, że rodzonych morduję. O Jezu miłosierny!

Z takimi myślami wyruszył rotmistrz z domu. Kawał dobry drogi prawie się z nikim nie spotykał i nie mówił, Ale na większym gościńcu zaczęło być gęsto od ludzi. Szlachta ciągnęła nie jak na sejm Albo na pospolity zjazd, Ale niemal jak na wojnę. Niektórzy możniejsi jechali we dwadzieścia i pięćdziesiąt koni i zbrojnych hajduków lub husarzy.

Po sejmach się od lat wielu, dla tego swego niespokoju ducha, włócząc Bajbuza, na dworze Zamoyskiego mnóstwo ludzi poznał. A że gościnnym był i schodzili się do niego chętnie znani i nieznan, nabył takiej wziętości, do której się i dziwaczne nazwisko przyczyniało, iż mało go kto nie znał.

A znali go i z tego, że chorował na dobro i miłość Rzeczypospolitej, że jej służył, A nigdy żadnej nagrody, żadnego urzędu nie przyjął. Były to owe czasy, gdy jeden na przykład Opaliński Łukasz umiał sobie piętnaście starostw wyprosić, więc ten, co służył ciągle, A żadnego nie chciał rósł w oczach szlachty. Zwali go, śmiejąc się, Katonem. \* Na gościńcu, jak się tylko mijać począł, zatrzymywano go ciągle.

Katon - Marcus Portius Cato ( 95-46 p.n.e.), od miejsca urodzenia zwany Utyceńskim. Rzymski mąż stanu, żyjący za czasów Juliusza Cezara, znany z republikańskich przekonań oraz nieposzlakowanej cnoty i uczciwości.

Niezmiernie rozogniona szlachta ciągnęła do Stężycy, gotowa królowi, gdyby wszystkich jej wymagań nie zaspokoił, wypowiedzieć posłuszeństwo, wydać wojnę, ogłosić kaptur \* i nową elekcję. Krzyczano publicznie, że tak, A nie inaczej być musi.

Ogłosić kaptur - kapturem zwano konfederację szlachty po śmierci króla na czas bezrządów, dla utrzymania jedności i porządku. Ogłoszenia "kaptura" za życia Zygmunta III oznaczałyby jego detronizację.

Dnia jednego w małej miejscowości na noclegu już tak wszystkie gospody znalazły zajęte Bajbuza, że gotów był na rynku namiot kazać rozbijać. Wtem z pobliskiego domu wyszedł szlachcic lat średnich, skromnie ubrany, niepokorny wcale, w szarej opończy, A rotmistrz w nim poznał Piotra Smolika. \*

Piotr Smolik - szlachcic znany w całej Polsce zarówno z zasług wojennych i cnot rycerskich, jak i z doskonałego dowcipu. Wiele jego żartów i powiedzeń krążyło po Polsce i zostało zanotowanych w rękopisach.

Kto bo go naówczas nie znał. Jak Stańczyk był za Zygmunta, słynny z dowcipu, tak teraz Smolik, rodzaj ubogiego Diogenesa, który od nikogo nic nie potrzebując, prawdę wszystkim mówił. A było go pełno wszędzie. Wchodził do największych panów, nie kłaniając się zbyt nisko, A ubiegano się za nim, tak zdrowe zdanie miał, które zawsze tak przystroił, iż się nim ubawił każdy, nawet ten, kogo ubodło. Smolik poznał Bajbuzę po samym wzroście i zamachu.

- Rotmistrzu - krzyknął - w izbie u mnie na dwu miejsca dosyć, niechaj ludzie obozują, ty się rozgość ze mną! Ja niewiele potrzebuję, byle ławy szmat pod noc, gdzie bym grzeszne kości do snu położył.

- A, pan Piotr! - zawołał rotmistrz.

- Do usług.

Wszedł, witając go, Bajbuza.

- Zgoda - rzekł - wy mnie dajecie dach, A ja proszę na wieczerzę, bo wóz mam z sobą i kopcidy, który nam co przyskwarzy.

- Zgoda - odparł Smolik.

- Do Stężycy? - zapytał Bajbuza.

- A juści! - rozśmiał się szlachcic. - Jakżeby się tam beze mnie obeszli! Gdy rozumnym zabraknie rozumu, muszą go u trefnisia, jakim mnie zowią, pożyczyć. A wy? - dodał.

- Ja też do Stężycy - westchnął rotmistrz. - Nie taję, że z niepokojem w duszy, bo co to z tego wszystkiego będzie?

- Może nic! - rzekł Smolik.

- To by jeszcze nie najgorzej było.

- A może się poczubimy - dokończył szlachcic - i to by może niezłe było. Teraz na Sudermańskiego, na Tatarów nas nie stawało, A na rokosz gromady płyną. Znak to jest, że nam się kara Boża należy i nie minie.

- Cóżescie wy, regalistą? - rozśmiał się Bajbuza.

- Ja? Różnie bywa - odparł Smolik. - Pod czas bywam regalistą, pod czas warcholę, czasem mi króla żal, A czasem szlachty. Spotkałem dziś po kolei dwóch Pękosławskich, \* Prokopa naprzód, onego mężnego zbója, którego pewno znacie, potem Stanisława, sandomirskiego starostę. Pytam się pierwszego choć wiedziałem dobrze, iż do Zebrzydowskiego ciągnie: - Wasza miłość dokąd? - Moja miłość tam - zawołał - gdzie jak najprędzej szabli będzie dobyć potrzeba, więc do wojewody! Nauczymy króla rozumu. Ja go zatem: "Zgoda, A was kto go będzie uczyć?" "Nie wiem" odparł i pojechał. Mil parę dalej zjeżdżam się ze Stanisławem.

Obydwaj Pękosławscy, Prokop i Stanisław, są postaciami historycznymi, przy czym ich rozbieżne poglądy polityczne odtworzył Kraszewski wiernie.

Czołem, A wy dokąd?

- Ano do Warszawy, na sejm.

- Na sejm? Do boku króla? - A jużci! Warcholów trzeba przetrzepać i pokazać im, co jest "maiestas regia", której nie szanują. A ja mu na to: - Tylkom co pominął pana Prokopa, ten do Zebrzydowskiego pociągnął pod Stężycę. A co będzie, gdy wy z królem, A on z wojewodą na placu boju się spotkacie?

- Palnę po łbie pana brata - odparł Stanisław. - Nie moja wina, że między rokoszan wzięł.

Spojrzał Smolik na Bajbuzę.

- Co wy na to?

- Ja? ja? - zawarczał rotmistrz. - Niech Bóg uchwata i nie dopuści, Aby do tego przyszło! Takich Pękosławskich znalazłoby się wielu więcej... i bracia by się mieli zabijać dla...

- Dlatego, że król Zebrzydowskiego wyrugował z uzurpowanej kamienicy! - dodał śmiejąc się Smolik. - Tak powiedzą głupcy.

Na wpół żartując, wpół bolejąc siedli za stół do wieczerzy, przy której Smolik, choć o smutnych mówił koniunkturach, zachował wesołe ciągle usposobienie.

- Szczęśliwiście - westchnął Bajbuza - bo was ten zamęt nie pozabwiał spokoju umysłu i nie karmi goryczą.

- A co by pomogło, gdybym płakał! - odparł pan Piotr. - śmiechem człowiek prędzej ludzi naprowadzi niż gniewem i fukaniem, ja też wszystko w śmiech obracam, Aby nie płakać.

- Cóż wy myślicie? Co się stanie? - niespokojny wtrącił znów Bajbuza.

- Na burzę się wielką zebrało - mruknął Smolik. - Bywa z takich wielkich chmur mały deszcz, Ale też i obrywają się one, A niszczą! Kto tu zgadnie, co nas czeka? Z jednej strony król, pan Wolski, Bobola, Myszkowski, ojciec Bernard, jezuici, A z drugiej Stadnicki Diabeł, \* Herburt,

co go Szczęsnym zowią, A Złym by go - przystało, Pękosławski Prokop i co było warchołów. Sam Zebrzydowski za kilku stanie.

Stadnicki Diabeł - Stanisław Stadnicki, magnat, właściciel dóbr łańcuckich, słynny warchoł, Awanturnik i gwałtownik, zwany dlatego Diabłem. Był zwolennikiem Zebrzydowskiego, Ale w krytycznym momencie wycofał w roku 1606 swe oddziały z rokосу; słynął ze swych krwawych zwad granicznych z Łukaszem Opalińskim, właścicielem Leżajska i z księżną Anną Ostrogską, posiadającą dziedziczne dobra w Jarosławskiem.

- A Żółkiewski? - westchnął rotmistrz. - bo on w mych oczach następcą hetmana jako rycerza, gdy wojewoda zastępuje go jako statysta.

Smolik głowę w ramiona zanurzył ( był to ruch mu własny, gdy miał czym bryznąć).

- Żółkiewski musi iść z Zebrzydowskim, boć dwie rodzone sobie Herburtówny mają, A wojewoda statystą... takim jak i ja. Pierwszemu nie dadzą Potoccy zastąpić Zamoyskiego, drugi nie potrafi nikogo. Ale ja na komedie patrzeć lubię - dodał Smolik - A tu się nam ucieszna gotuje. Kto lepiej zagra, przykłaśniemy, A wszystkim Aktorom Rzeczpospolita zapłacić musi! Oj zapłaci! Zapłaci!

- Byle bez krwi się obeszło!

- Hm? - wtrącił Smolik. - A toć waszmość czytał pewnie, że gdy u Greków grano teatrum, kozła bito na ofiarę... Ktoś tu i u nas nim musi być.

Mało nie do północy gwarząc tak, przesiedzieli. Smolik drwił i żatrował, Ale wzdychał.

Nazajutrz Bajbuza nie wstał jeszcze, gdy szlachcica, który konie miał liche, powoli jechał, A może się ich wstydził, w gospodzie już nie było. Pociągnął przodem.

Ale na towarzyszach w podróży tej tak nie zbywało, A coraz ich więcej przybywało ku Stężycy i niektórzy jechali z takimi pocztami, jakby istotnie przeciwko nieprzyjacielowi ciągnąć mieli. Stroili się wszyscy do nuty pana Zebrzydowskiego.

- Kaptur ogłosić i nową zwołać elekcję, jeśli król wszystkim żądaniom wnet zadość nie uczyni ( a były między nimi i takie, które nie w jego mocy zaspokoić było).

Mało kto, tym zuchwalstwem przerażony, widział niebezpieczeństwo i starał się umysły uśmierzać A uspokajać. Na niektórych jednak twarzach czytał rotmistrz zafrasowanie i z ust wyrzywały się wyrazy łagodniejsze. Dobrze było rzecz: Kaptur - Ale co on za sobą pociągał?

Pod Stężycą już całe pułki spotykał Bajbuza i zrobiło mu się markotno i straszno, Ale dowódcy tych sił, Szczęsny Heerburt, Stadnicki, Zebrzydowski, Smogulecki, zwycięsko zawczasu podnosili głowy i wesoło już tryumfy zapowiadali.

Nie dojeżdżając rotmistrz stanął w lesie obozem, koniom odpocząć. Sam był, A na duszy mu niewymownie stało się ciężko. Musiał sobie powtarzać dla uspokojenia sumienia, iż Żółkiewski



przecież w tym obozie się miał znajdować. Noc była wiosenna, Ale chłodna, księżyc w pełni, las liście puszczać zaczynał. Nie tylko Bajbuza, Ale wielu jemu podobnych, pod noc do S.stężycy nie chcąc ciągnąć, namioty tu porozbijało. Nad gościńcem paliły się ogniska, pasły konie.

Rotmistrz wyszedł nade drogę, którą i teraz bezprzestannie jezdni i wozy ciągnęły. Stał tak, spoglądając na to obozowisko, które mu czasy wojenne, lepsze przypomniało, gdy duży wóz kryty się zbliżył, rosłymi końmi ciągniony. Na wozie w czarnych sukniach, w czapkach z kun charakterystycznych siedzieli dwaj duchowni. Jeden z nich bladej twarzy, z krótko postrzyżoną bródką, różaniec w ręku trzymał i modlił się, cały zatopiony w Bogu. Księżyc oświecał wóz tak jasno, iż w jednym łatwo poznał Bajbuza dawno już nie widzianego księdza Skargę.

Było to dla niego tak pożądanym zjawiskiem, iż nie mógł się powstrzymać, Aby do wozu się zbliżywszy, nie pozdrowił go po chrześcijańsku. Skarga się żywo przeżegnał i pochylając przypatrywał stojącemu nad drogą. Nazwisko swe wymienił rotmistrz. Kazał się zatrzymać woźnicy ks. Skarga i z wolna z wozu wysiadł ku niemu.

- Niech konie wythną - rzekł do wiozącego. - Zawsze jeszcze w czas staniemy. A wy co tu robicie, mości rotmistrzu? - zapytał łagodnie.

- Ciągnę z inną szlachtą do Stężycy - rzekł Bajbuza. - Jeszczem tam nie był, więc i nie wiem, co poczynać mają.

- Nic dobrego pewnie - westchnął ksiądz Piotr - bo się po tych, co zwołują, spodziewać nie można, Aby im istotnie na sercu troskliwość o dobro Rzeczypospolitej leżała. Daj Boże, Aby wielkich nieszczęść nie stali się przyczyną.

- Nie przypisuję sobie - odezwał się powoli rotmistrz - Abym w tych rzeczach widział jasno następstwa, Alem nawykł był pod chorągwią nieboszczyka hetmana iść, A gdy tego nam nie stało, za tym podążam, komu on ją zlecił.

- Człowiekiem był - rzekł Skarga - i omylił się. Nie o Rzeczpospolitą im idzie, Ale o to, Aby królem zawładali i nim rządili. Aż nie widzicie, kto tu teraz sprężyną i pobudką?

Zatrzymał się na chwilę i dodał:

- Rozpatrzcie się: dysydenci są wszędzie, różnowierców dłoń i nieprzyjaciół Kościoła porusza wszystkim. Ci, co najgwałtowniej krzyczą, Janusz Radziwiłł, \* Ostrogski, Zebrzydowski, Stadnicki, Smogulecki, z Kościołem Albo zerwali, lub dają się tym, co nań nastają, prowadzić. Smogulecki wprawdzie przez lat cztery teologii się uczył i księdzem chciał zostać, A teraz na złe zażywa, co mu nauka dała! Przypatrzcie się bliżej, dysydentów to dzieło, nieprzyjaciół wiary sprawa. Nie może kapłan z Przenajświętszym Sakramentem ulicą przejść, Aby go panowie dysydenci nie zelżyli, A gdy ich ukarać przyjdzie, krzyczy Radziwiłł o gwałt na jego pachółkach popelniony.

Wymieniany często w tej części powieści książę Janusz Radziwiłł był wpływowym magnatem litewskim. Wytrwale pozostawał przy luterzańskim wyznaniu, dlatego nienawidzili go jezuici, którym odpłacał wzajemnością. Po upadku rokoszu wyjechał za granicę. Zmarł w roku 1621.

Skarga mówił wzruszony wielce i głos mu zamarł w piersiach.

- A wy, ojcze, tu - przerwał Bajbuza - jakimże wypadkiem?

- Nie wypadkiem - umyślnie jadę - rzekł Skarga. - Posłał mnie król w tej nadziei, że słowem potrafię nawrócić zbłąkanych. Szczególniej by na to łaski Bożej potrzeba, Aby mnie posłuchać chcieli.

Rotmistrz, któremu ciągle po myśli chodził Żółkiewski, cicho zapytał o niego.

- Niestety - odparł ksiądz - zdaje mi się, że i jego znajdę z Amalecytami, \* Ale nie rozpaczam, iż prędko omyłkę uzna i choć go krwi węzły z nimi łączą, do końca nie pójdzie z nimi.

Amalecyti - lud koczowniczy, który mieszkał na pustyni między Palestyną a półwyspem Synaj. Walczył z Izraelitami. Skarga, który często przytaczał w swych kazaniach Stary Testament, nazywa rokoszan Amalecytami.

Po chwili ośmielił się rotmistrz natrącić, iż król pewnym słusznym żądaniom zadość czyniąc, mógłby może ten pożar ugasić.

- Nie wiecie więc, że na wszystkich sejmach Najjaśniejszy Pan nasz przyrzekał i zaręcza, że spełni, co tylko jest w jego mocy, Ale go słuchać nie chcą. Na małżeństwo nieprawie krzyczą ci, co w wielożeństwie lub grzechu jawnym żyją. Rzym przecież dla ważnych pobudek dyspensę dał, A ten, co wiązać i rozwiązywać ma prawo, błogosławi związkowi. Jakimże prawem mu się ci przeciwia, którzy dla siebie żadnemu ulegać nie chcą?

Bajbuza byłby go bodaj całą noc słuchał, tak rzewny ten, przejęty głos kapłana do duszy mu trafiał, Ale woźnica mruczał, A ksiądz Skarga przypomniał sobie podróż pilną. Pożegnał więc rotmistrza.

- Jedziesz - rzekł - A więc pamiętaj, że do zgody i pokoju każdy ma nakłaniać obowiązek.

W chwilę potem wóz potoczył się dalej szlakiem przez księżyc oświeconym ku Stężycy, A Bajbuza długo stał w miejscu zamyślony, ze sumieniem się swym rachując.

Następny ranek odsłonił oczom rotmistrza widok, który wszelkie jego przewidywania i to, o czym po drodze słyszał, przechodził daleko. Około sześciu tysięcy szlachty obozem leżało dokoła, wśród rozbitych namiotów i poustawianych w tabory wozów, A działo się to właśnie w chwili, gdy zwołany był sejm. Król stał odosobniony, kupiono się około zbuntowanych kilku przywódców. Ksiądz Skarga swoje do Zebrzydowskiego poselstwo sprawował, Ale jaki był jego skutek, o tym nic się dowiedzieć nie było można. Brzmiało i warczało wszystko rokoszem jako

nieuniknioną ostatecznością. Zebrzydowski powołany, Aby na sejmie przed senatem swe żądania przekładał, odpowiadał uparcie, nie chcąc ich poddać sądowi niczyjemu. Żądał niemal posłuszeństwa bez roztrząsania i rozsądzania sprawy. Zła wola była widoczną.

Nasz miłośnik Rzeczypospolitej, który dobra jej tylko szukał, poczciwy, A nigdy nie pewien, w którą ma iść stronę, liczący się z sumieniem, trwożliwy o nie, wpadł w ten tłum już nagromaczony pod Stężycą jak w fale rozhukanego morza. W głowie chodziło mu jeszcze to, co słyszał od księdza Skargi, A tu już dokoła przejeżdżającego zatrzymywały głosy ochryple, rozgorączkowane, namiętne.

Szło naprzód o to, Aby sobie znaleźć bodaj jakiegokolwiek ciasne miejsce i na nim się taborkiem położyć, A potem iść między panów braci i od nich uczyć się, co dalej czynić przystało. A tu nawet proste zajęcie kawałka ziemi, gdzie by namiot rozbić było można i ognia rozłożyć, wykopawszy ognisko, stawało się nadzwyczaj trudnym. Gdziekolwiek stanęły wozy i konie, przybiegał już "primus occupans" \* jakiś i wrzeszczał, że tu zatknął wczoraj jeszcze chorągiewkę swego pana, tylko nie wiedzieć, kto ją śmiało naruszył. Z miejsca więc na miejsce błędzić przyszło Bajbuzie, nie mogąc stanąć i spoczść. Inni gwałtem zajmowali sobie stanowiska, czego on czynić nie chciał. Czas upływał, konie i ludzie się męczyli, pędzono nieszczęsnego z miejsca na miejsce.

Primus occupans ( łac.) - ten, kto pierwszy zajął dane miejsce.

Błądził więc ponury i kwaśny, gdy z dala ujrzał w czwał nadbiegającego ku sobie, A potykającego się co krok z powodu nóg obrzękniętych Gubiata. Ten tu już był jak w domu.

- Rotmistrzu, A co? Miejsca widzę nie macie! - krzyknął. - To wszystko przez to, że Gubiata odprawiliście. Ja natychmiast was obsadzę.

Obejrzał się. Kawał pola przy płocie, który od niego ogród oddzielał, stał wolny. Miejsce było pochyłe, tak że woda, na wypadek deszczu, spływała z niego.

Gubiata pochwycił od kopijnika półkopię i wbił ją w ziemię.

- Tu! - krzyknął.

Wtem przypadł z wraskiem niedaleko na ziemi z garnkiem między kolanami siedzący szlachcic.

- Miejsce to ja okupowałem wczoraj!

- A jam je pozawczoraj zajął - odparł Gubiata, stając przeciwko niemu. - Ruszaj precz, chceszli być cały i z garnuszkiem!

Zaczynali się z sobą ujadać już, A Bajbuza chciał dalej jechać, gdy szlachcic z garnkiem popchnięty salwował się ucieczką. Kopia wbita stała.

- Tu rozkładać obóz! - zawołał Gubiata - A kto będzie śmiało rościć do placu prawa, po łbie go, to Argument najlepszy!

Nikt się już jednak nie sprzeciwiał. Stanęły wozy, rozbito co prędzej duży namiot Bajbuzy, ludzie natychmiast zaczęli się rozgospodarowywać i dla koni wbijać koły, które naturalnie, niedaleko ich szukając, z cudzego płotu powyrywali. Gubiata, korzystając z okazji, wcisnął się między czeladź i objął rodzaj zwierzchnictwa nad ciurami.

Tymczasem Bajbuza pod namiotem co najspieszniej suknie podróżne zrzuciwszy, odziewał się, Aby wyjść i szukać tych, z którymi się naprzód widzieć i rozmówić potrzebował, z Zebrzydowskim i Żółkiewskim przede wszystkim. Innych Zamoyskiego przybocznych nie widział tu Ani o nich słyszał.

Na placu gwar panował straszliwy. Zbierano się gromadkami. Gdziegdzie stał na pieńku lub na postawionej ławce mówca, szeroko rozwodząc grawamina \* przeciw królowi. W innych kupkach czytano paskwiluswy i śmiechy się rozlegały. Niektóre z nich były gwałtowne i bezwstydne, zuchwałe i pełne obelg najbrutalniejszych przeciwko Zygmuntowi, Rakuszanom i jezuitom. \*

Grawamina ( z łac.) - oskarżenia.

Rokosz pozostawił po sobie całą literaturę. Została ona wydana w trzech tomach jako "Pisma polityczne z czasów rokoszu Zebrzydowskiego ( 1606-1608)" przez Jana Czubka. Kraków 1916 tom I: "Poezja rokoszowa", tom II i III: "Proza". Oczywiście znajdują się tam pisma pełne obywatelskiej troski, nie tylko paszkwile.

Niedaleko od miejsca, które z pomocą Gubiaty udało się opanować rotmistrzowi, wiedać było nędzny stoliczek, pochwycony gdzieś w chacie mieszczanina, pochyło stojący, choć grudkami ziemi popodpierany, i przy nim siedzącego z zakasnymi rękawami skryptora, który z ogromnym piórem gęsim, maczając je we flaszeczce na sznurku uwieszanej, spisywał coś na Arkuszu żółtego papieru. Skryptor z głową pochyloną na ramię prawe, z zakąszonymi usty, rzucał oczyma wkoło i to się porywał, do pisania, to zatrzymywał nagle, bo go stojący dokoła odrywali, jedni krzykiem, drudzy nawet rękami targając.

Pochyleni nad stołem, dalej zwieszani na ich ramionach ichmość panowie szlachta spór zajadły mieli o dyktowane grawamina. Szło o spisanie ich jak najbardziej szczegółowe. Jeden podawał do punktów, iż król Jego Mość przyrzekł komuś z dóbr swych wydzielić grunt, A nie dotrzymał tego; drudzy chcieli tylo, Aby główniejsze spisywać przeciw królowi zarzuty. Wrzawa nie dawała dobrze zrozumieć, o co chodziło, bo zarazem kilka punktów roztrząsano namiętnie. Skryptor był w rozpacz. Zaledwie rozpoczął punkt nowy, gedy mu niecierpliwy palec szlachecki zamazywał i plamił Akt ledwie zagajony.

Grawamina, których w Proszowicach było punktów dwadzieścia kilka, A w Korczynie pono czterdzieści, w Stężycy dochodziły do pół seciny i nie widać im było końca. Nalegano

szczególniej na to, Ażeby król wszystkich cudzoziemców precz ode dworu usunął, z Arcyksiężętami się nie ważył Ani obcować, Ani listować, najemnego żołnierza oddalił, A rozdawnictwo i szafunek urzędów i starostw nie od faworów, Ale od zasług uczynił zależnym. Kto zaś o tych zasługach sądzić miał, nie było jasno. Wnosili inni, Aby dla dozoru nad kórólem Jego Mością zawsze trzech senatorów u boku jego z obowiązku przemieszkiwało. Nieufność była jawną. Podejrzenie, iż koronę chciano Rakuszanom sprzedać, wyrażało się bardzo szorstko i dobitnie.

Bajbuza stał i słuchał tych płaczących się z sobą grawaminów coraz nowych, które skryptor zapisywał i mazał, rozpaczliwie palce sobie potem ze stawów wyciągając, gdy ktoś dgo w bok potrącił.

Tuż stał przy nim Smolik ze swą skromną i niepozorną postawą człowieka, który umyślnie ubożego na duchu gra rolę.

- Czołem, panie Piotrze - odezwał się, rad, że go spotkał, Bajbuza - A co?

“Optime” - \* odparł Smolik. - Chodzę i zbieram do torby grawamina, Aby ich jak najwięcej zgromadzić. Sądzę jednak, że je przewiać będzie potrzeba, bo plewy w nich dużo.

Optime ( łac.) - najlepiej, doskonale.

- Nie wiecie co o panu hetmanie Żółkiewskim? - zapytał rotmistrz.

- Tyle tylko, iż tu jest, Ale Żółkiewski niewidocznym, cicho siedzi.

- A wojewoda?

- Ten też na naradach z Ostrogskim zamknięty i oblicza nam nie ukazuje.

- A Stadnicki?

- Słysząc go Aż tu - rozśmiał się Smolik. - Nastawcie ino ucha. On to powtarza: Kaptur, kaptur!

- Oho! - przerwał Bajbuza - toć chyba za szparko, bo pierwej się trzeba jednego zbyć, nim drugiego obierać będzie.

Smolik mu się do ucha pochylał.

- Oni obaj z Herburtem już “pacta conventa” za nadrą mają dla Batorego. \*

W czasie rokoszu Herburt zalecał na tron jednego z rodu Batorych; Gabriela.

Położył palec na ustach.

- Ale o tym cicho, sprawa gardłowa - szepnął.

Tymczasem grawamina się sypały, A każdy swoje przodem chciał stawić, Aby na szarym końcu ich nie zaniedbano.

Bajbuza słuchając marszczył się, bezład i rozterki przyprowadzały go do rozpacz.

Smolik się uśmiechał i głową przerzucał z ramienia na ramię.

- Zapiszcież pana Gładzkiego! - krzyczał jeden zza ramion. - Małżonce jego Krystynie... za zasługi wojenne.

Smolik parsknął.

- Pięćdziesiąt włók na Żmudzi! - kończył krzykliwy.

- Ale naprzód wpiszcież Unikowskiego Mikołaja, bo to datuje od króla Augusta! Słyszysz... pisz... Przyłuki i Pieszonomie, dwie wiosce. \*

Dwie wiosce - dawna forma liczby podwójnej ( dualis); dziś dwie wioski.

- Pobór łanowy i szosowy, czopowe i dawne żydowskie pogłówny - \* wołał inny - prywatą na bok!

Nazwy danin i opłat na rzecz skarbu państwa.

Zamazano palcem Przyłuki.

ścisk około stolika zaczynał być tak wielki, iż sam stół przechylił się na pisarza, A pisarz z pieńskim, na którym siedział, obalił na ziemię. Tumult powstał.

- Chodźmy! - rzekł Smolik. - Tu już grawaminom koniec położono, Ale się z nimi dalej spotkamy.

- Ja ich słuchać nie myślę - wtrącił Bajbuza. - Muszę pójść do Żółkiewskiego; ten dla mnie miarą będzie, co czynić mamy.

Nie zatrzymał go Smolik. Rotmistrz z wielką trudnością się przedzierając wśród tłumu, który częścią konno, w części pieszo zalegał przestrzeń ogromną, dopytywał o hetmana Żółkiewskiego. Nie wszyscy wiedzieli o nim.

Tymczasem otwarty namiot mu się nastarczył, w którego podniesionym wnijściu kilku stało. Z dala już dostrzegł gwałtowne rąk ruchy i poznał z widzenia sobie znanego Diabła Stadnickiego, który podniesionym głosem coś dowodził, A pięścią w górę rzucaną popierał. Przy nim nie mniej gorączkowo miotał się Herburt, na którego licu brzydkim, Ale wyrazu pełnym i rozumnym namiętność poznały stare ścieżki, którymi chodziła od młodości jego. Rysy to były ruchome, zmieniające się, w których grał temperament niepohamowany.

Dokoła dwóch tych najgorętszych rokoszu zwolenników tworzyła się gromada ciekawa, która powoli coraz mocniej odczuwała gwałtownie jej na pastwę rzucane słowa, w których już miary ni powściągliwości najmniejszej nie było. Obelżywe wyzwiska dodawano do imienia króla, A szlachta je witała wesołymi śmiechy. Tu różnowiercy szczególnie pobożny faryzeizm karcili. Ojciec Bernard stał z Bobolą pod pręgierzem.

Gdy w innych kołach o Estonię, o stosunki w Prusiech i Inflantach głównie naciskano tu osobistości wychodziły na plac ulubieńcy króla: Wolski z Alchemią swą, niemiecka służba,

zausznicy Aż do czeladzi. Malowano króla jako sybarytę jakiegoś, który zamknięty rozkoszował się z faworytami swymi pustymi zabawki, nie przystojącymi dostojeństwu panującego.

Ktoś z boku rozpoczął czytanie mszy świętej przerobionej dla króla, Aby go podać z jezuitami w ohydę i pośmiewisko. Tu i owdzie głośno brzmiało "Absolutum dominium", A wyrazu tego dosyć było, Aby roznamiętnić najchłodniejszych.

Bajbuza, nie długo tu postawszy, dopytał wręście do wojewody Zebrzydowskiego, Ale ten był zamknięty jeszcze i nikogo nie dopuszczano do niego.

W tłumach opowiadano, że panowie senatorowie przybywali z Warszawy, wysłani dla rokowania z Zebrzydowskim. \* Pocieszyło to nieco rotmistrza, bo mniej rokoszowo się zapowiadało.

Senat wydelegował do Zebrzydowskiego do Stężycy następujących swoich członków: biskupa plockiego Baranowskiego, plockiego wojewodę Krasieńskiego i Andrzeja Przyjemskiego, kasztelana gdańskiego.

Odprawiony z niczym u wojewody, zniechęcony nieco, poszedł Bajbuza do Żółkiewskiego, Ale i ten na naradzie gdzieś się znajdował i mówić z nim nie było można. Pół dnia tak przewędrowawszy pomiędzy kołami i kółkami, nasłuchawszy się pogrózek coraz ku wieczorowi gwałtowniejszych, w miarę jak się ludzie wzajem rozgrzewali, rotmistrz z niemałą trudnością dobił się na powrót do swoich ludzi, przy których znalazł nieodstępny już dla samego kociołka, Gubiatę.

Ten, choć od namiotu niedaleko odchodził, doskonale wiedział, co się gdzie działo, lecz z jego sprawozdania czuć było tylko, że się wahali wszyscy i krok dalej do rokoshu każdy ważył, widząc w nim wojnę.

Nazajutrz bardzo rano Bajbuza był u hetmana. Znalazł go w domku lichym, za stołem, samego jeszcze i smutnie zadumanego.

- Wasza miłość, nie wiem, czy mnie sobie przypomnieć raczysz - odezwał się rotmistrz. - Dopóki żył Zamoyski, szedłem ślepo za nim, nie stało go, jam nie statysta, A Rzeczypospolitej chcę służyć, przychodzę do was, dajcie wskazówkę. Sam ja niewiele ważę, Ale, uchwaj Boże, siły będzie potrzeba, ludzi mam dobrych do boku, wedle przemożności postawić mogę.

Hetman wstał, witając go, Ale chmurnym obliczem.

- Chcecie tego ode mnie - odparł smutnie - czego ja sam nie mam pewności, w którą się pokierować stronę. Szwagier mój, wojewoda krakowski, za gwałtownie przeciw królowi sprawę podnosi, już się głosy o rokoshu odzywają, Ale w wielu grawaminach ma on słuszość i w tym, że nas król niejeden raz zawiódł, bo go źli doradcy uwodzą tym, że bezkarnie może, co chce. Zaburzy

się kraj rokoszem, zło z tego wyniknąć może większe niż z królewskiego wahania się i niesłowności. Powiedźże sam, Azali jasnym, co czynić mamy?

- Tymczasem szlachta już kipi i wre. Rokosz w powietrzu - odparł Bajbuza.

- Któż wie? Panowie senatorowie wczoraj przybyli. Wprawdzie nie odniosą do Warszawy nic pocieszającego - rzekł hetman - bo Zebrzydowski wezwany na sejm się iść wzbrania, Ale układy nie zerwane, może porozumienie nastąpi, gdy król postrzeże, iż coś uczynić musi. Jam nie pewien, Ani też waszmość, rotmistrzu, nie śpieszcie z tym, co postanowicie, nie wiążcie się.

Na te słowa wszedł Bykowski, kasztelan łęczycki, i rotmistrz się cofnął.

Błądził znowu, rad pomiędzy dniem wczorajszym A następnym upatrzeć różnicę. Mała była ona i nie na korzyść tych, co pokoju pragnęli, bo żywioły burzliwe, jak drożdże rzucone do kadzi, całą ją poruszały. Nawet ci, co wczoraj chodzili zimni, poczynali się zżymać. Najnieprawdopodobniejsze potwarze w końcu, powtarzane, nabierały jakiegoś pozoru rzeczywistości.

Nad wieczór na placu rumor powstał. Nowy jakiś ferment przybywał. Gubiata już biegł, Aby świeżego dostać pieczywa, dopóki by nie ostygło. W godzinę potem był z powrotem wraz z Syrejką Litwinem, którego najlepszym swym przyjacielem, kumem, bratem i pokrewnym nazywał. Syrejko, sługa Radziwiłłowski, był naocznym świadkiem tego, co zaszło w Warszawie, A teraz się na Stężycy odbić miało.

- Mów serdeńko, A nie lżyjże - dokończył, przedstawiając go, Gubiata - mów!

- Ot, jak to było, króliku mój - począł Syrejko, który już po kilkakroć opowiadanie to powtarzając, dobrze się go nauczył.

- Król Jego Mość w senatorskiej izbie siedział, do której posłów powołał. Prawda, że gdy senatorowie razem i posłowie do jednej się zepchną, ciasno bywa, Ani słoweczeczka, Ale pan Myszkowski, marszałek koronny, który wiadomo, jak stoi u króla, stanął na przesmyku i nie puszczał: - A tyś co zacz, poseł?

Tedy Ansz pan Zienowicz, księcia jegomości przyjaciel i sługa, gdy go odepchnął laską pan Myszkowski, porwał się na niego do szabli. Krzyk, wrzawa! Zawołał Myszkowski na straż i nie patrząc, że Radziwiłłowski sługa, kazał go wziąć pod halabardy. Miotającego się i krzyczącego uprowadzili. \*

Incydent z Zienowiczem na sejmie jest historyczny.

Wtem my, których nas w podwórku było więcej niż królewskiej straży, uderzyliśmy na Alarm. Pobiegł Szargiełło do księcia, który na górze był: - Zienowicza pod straż wzięto!

A tu nasi na wschody i straż króla cisną. Szczęściem, że zobaczywszy to księżę, z okna począł wołać na swoich, Aby się nie ważyli szabel dobywać. O włos by była krew pociekła! Ale



sam jak piorun spadł zaraz na dół, pieniać się z gniewu i krzycząc: - Co ty mi będziesz tu dokazywał i przewodził, ludzi lżył, wypychał i imać kazał? Dlatego, że on domownikiem mym, A jam u was nie w łaskach, znęćacie się nad nim. Nie zniosę tego! Nie zniosę!

I zawołał na posłów, Aby go przemocą uwolnić pomogli.

Tumult się stał Aż w izbie senatorskiej, król pobladł, bo i szcęk szabel słychać było. Posłowie jednym głosem zawtórowali księciu: "Puszczaj Zienowicza!"

Ze strony zaś Myszkowskiego poczęli wołać: "Jak śmiał pod bokiem króla szabli dobywać, kara za to na gardle!"

- Ot, jak było! Ale zmusili Zienowicza, że marszałka przeprosił i puścili go bez sądu.

- Ano, księciu naszemu tego było nadto - dodał Syrejko - nazajutrz posłów zabraliśmy litewskich do nogi i z sejmu precz do Stężycy.

Przybycie to Litwy i Radziwiłła dało się zaraz uczuć. Dolało oliwy do ognia. Dnia tego rokosz się coraz gęściej i gwałtowniej rozlegał. Króla nie poprawi! - wołano.

- Wypowiedzieć mu posłuszeństwo i kaptur ogłosić! - kończył Diabeł Stadnicki. - "Remedium" jedyne: rokosz. Gdy człek zachorzeje niebezpiecznie, krwi puszczenie jedno leczy. "Remedium unicum", \* rokosz!

Remedium unicum ( łac.) - jedyne środek zaradczy, jedyne lekarstwo.

I wkoło echem brzmiało: "Rokosz!"

Koniec części drugiej

Część III

## Rozdział I

Zamość od śmierci hetmana jakby duszę postradał, która mu dawała życie. Nie tą już był stolicą obrad poważnych i strażnicą bezpieczeństwa publicznego, stał się gniazdem chorobliwego niepokoju. Zamiast wielkiego męża, który żywiły wszelkie w mierze utrzymać umiał, rządził tu i przewodził opiekun ( rodziny) i spadkobierca ( idei) hetmana - Zebrzydowski. Nigdy może dobitniej się nie sprawdziło to wielkie prawo, iż miara we wszystkim o znaczeniu czynów ludzkich stanowi, A kto jej nie zna i nie czuje, ten tym samym ogniem, co wczoraj grzał, jutro zniszczy i spali.

Na pozór ten to sam był ogień w piersi wojewody, który ożywiał nieboszczyka, lecz Zebrzydowski nie hamował go Ani uśmierzał, Ale rozdmuchując, pożar nim niecił. Powtarzał on na pozór słowo w słowo to, co mówił zmarły, też same czynił królowi wyrzuty, tegoż zdawał się pragnąć, Ale popędliwością niepowściągniętą grzeszył. Zdawało mu się, że do zburzonej A ślepej szlachty odwołując się, mogąc jej, jak mu zaręczali pochlebcy, sto tysięcy na koń wsadzić, miał w rękach swych los Rzeczypospolitej, króla, wszystko. Widział się zawczasu panem. Duma go upajała.

Na zamku, gdzie przemieszkiwał teraz, ścisk był nieustanny. Zwołany zjazd do Lublina \* gotowano. Wojewoda siedział w myślach zatopiony nad stosem listów, które rozrzucone przed nim leżały. Był ranek wiosenny, przez okno otwarte łagodne powietrze zdawało się wciskać, Aby koić i uśmierzać, Ale Zebrzydowski, czytając doniesienia i rzucając je, coraz się bardziej unosił.

Zjazd Stężycki powołał szlachtę do Lublina na dalsze obrady.

Wtem w progu ukazał się, drzwi ostrożnie uchylając, Stanisław Ponętowski, \* znany szaleniec i gwałtownik, co dawno już obwoływał Rzeczpospolitą bez królów, A teraz obok Stadnickiego, Herburta, Pękosławskiego, Smoguleckiego mógł stanąć nieprzejednaną swą gwałtownością i zuchwalstwem. Była to jedna z tych żagwi płonących, które pod strzechę podłożyć dość było, Aby pożar wzniecić. Jak z drzewa wyciosany, gruby, silny, ruchów niezręcznych i ostrych, z ramionami w górę podniesionymi, w których głowa na grubym karku siedziała, czarny, opalony, porąbany, głównie sływał z szalonego męstwa i wymowy piorunującej. Umiał przemawiać do braci szlachty, której wymowy nie potrzeba było wytwornej, Ale dosadnej. Tak jak bigos i flaki wolała niż pulpety i pianki słodzone, tak i to słowo grube, brudne często, Ale śmiało, porywało ją i zdobywało.

Stanisław Ponętowski - jeden z najczynniejszych rokoszan, występował szczególnie ostro przeciw królowi.

Zebrzydowski, z wielu względów sam do niego podobny, chociaż wychowanie więcej go ogładziło, lękał się Ponętowskiego, A oszczędzać go musiał. Przez niego, przez Pękosławskiego,

przez zięcia swego, Smoguleckiego, mógł na gromady ludzi puścić, co chciał Aby je poruszyć. Tylko Smogulecki się niedarmo przez lat cztery teologii uczył w seminarium w Rzymie, obok siły i śmiałości miał przenikliwość i zręczność, gdy Ponętowski od siekiery rąbał.

Ponętowski w progę się zatrzymał nieco, jakby o wnijsia pozwolenie prosił i czekał na nie.

- Chodź - westchnął, papier rzucając, wojewoda. - Jakież tam duch wieje?

Ponętowski myślał krótko.

- Ono to tak, jak przed burzą bywa - rzekł. - Przerzuca się wiatr. Czujesz go z północy, już ci zadął z południa, ledwieś się opamiętał, wieje ze wschodu.

Ruszył barkami ogromnymi.

- A jak ono jest, to jest - dodał. - W skórze króla Jego Mości nie chciałbym być. Nasłucha się, naje, napije żółci dosyć, nim Albo go zmożemy, lub wygonim. Ale ja za wypędzeniem głosuję.

Nic nie odpowiedział Zebrzydowski, zadumał się.

- Nie tak to łatwe, jak ci się zdaje - odezwał się po przestanku - A najgorsza rzecz, że my nikogo pewnymi być nie możemy.

Milczał trochę.

- Cóż ty myślisz? Szwagier mój, pan hetman Żółkiewski, który wie i pamięta nieboszczyka rady i wolą, czy sądzisz, że ja pewnym go być mogę?

- Ano! - rzekł Ponętowski.

- Nie jestem go pewnym - kończył wojewoda. - Księcia Janusza Ostrońskiego \* sądzisz, że już sprawie naszej zyskał? Gdzie tam! Waha się. Innych siła duchownych i świeckich senatorów na dwu stołkach siedzą.

Książę Janusz Ostroński - syn Konstantego. ( zob. przypis 52 w tomie II). Udział jego w rokoszu miał istotnie taki charakter, jaki Autor przedstawił. Powszechnie słynęła jego zmienność; łączył się raz z jedną, raz z drugą stroną.

- A po cóż na senat i senatorów rachujecie? - wybuchnął Ponętowski. - Macie za sobą ogromne tłumy szlachty, senatorowie ucichną przed tą nawałą.

- Mamy szlachtę? - odparł wojewoda. - Waszmość jesteście tego pewnym? Tak, mamy ją, A jutro? Przyjdzie z pozwoleniem lada truteń, A pocznie jej dowodzić, że ja ją okłamuję, A po królu się wszystkiego spodziewać można, sądzisz, że nie zwróci się do regalistów? Hej, hej! Beczka piwa silniejsza czasem będzie od Argumentu.

- Ja nie trzymam o nich tak źle - rzekł Ponętowski - A to wiem, że do burzenia i wywracania nie ma jak ona. Budować, to co innego. Do Inflant ciągnąć pod rygiem wojskowym i

tam skórę nastawiać na kule nie w smak im, A pod Stężycę, do Lublina zjechać się i poburzyć, A moc swoją okazać, w to im graj.

- Patrzeć tylko trzeba, Aby pasza była dla koni, A w domu żniwa nie strzymały! - szydersko rzekł Zebrzydowski. - Pracujcie, Aby do Lublina się gromadnie zebrano, pracujcie!

- O to troski nie ma.

Rozmowa się miała Adalej tak ciągnąć, gdy Zebrzydowski ujrzał przez Urowieckiego prowadzonego Bajbuzę, który w paradnym stroju szedł, dopraszając się posłuchania; Ale zobaczywszy Ponętowskiego, trochę przystanął. Znali się, rotmistrz krzykacza nie lubił, A że wstręty są prawie zawsze wzajemne, Ponętowski mu to oddawał, bo oprócz tego zazdrościł, widząc go bogatym, sławionym z męstwa i szanowanym. Czując, że wolałby był rotmistrz mieć go czasu rozmowy z wojewodą za drzwiami, umyślnie się strzymał Ponętowski.

Zebrzydowski go witał uprzejmie, pamiętny tego, iż hetman cenił w nim rycerza i człowieka wielkiego charakteru. Bajbuza, Acz mu się otwarcie rozmówić przy niemiłym świadku nie było dogodnym, nie chciał okazać znowu, Aby go krzykacz onieśmielał.

- Ja tu do miłości waszej przychodzę - odezwał się - jako do spadkobiercy naszego wielkiego wodza. Jam człek wolny, rad Rzeczypospolitej skórą i mieszkam, krwią i majątkiem służę, Ale dziś my wieśniacy, ziemianie, nie wiemy, kędy iść.

- Jak to? - podchwycił wojewoda - przecież to jak na dłoni. Z królem dziś tylko kortezany nikczemne, regaliści przekupieni i Niemcy trzymają, prawy syn tej Rzeczypospolitej - z nami.

- I jam tak sądził Aż do Stężycy - odparł Bajbuza.

- A tam co się stało?

- Powziąłem wątpliwość; idziemy wprost do domowej wojny. Po wtóre, nie miejcie za złe szczerości mojej, królewska władza potrzebną jest, powaga też, jeżeli ją zachwiejemy i obalim, zamęt powstanie powszechny. Dziś my króla nie posłuchamy, słusznie, A jutro wojsko nie posłucha hetmana i uczyni związek, tak jak my rokosz. Tymczasem Tatarzyn kraj splądruje. Zniszczyć ład łatwo, Ale go zaprowadzić trudno.

- Oho, oho! Regalista! - zamruczał Ponętowski. - Czyś waszmość u jezuitów się uczył?

- Nie - rzekł spokojnie Bajbuza - Ale prosty rozsądek to wskazuje. Upominajmy się o to, co nam należy, Ale "cum debita reverentia", \* A bez rokoshu obejść się możemy.

Cum debita reverentia ( łac.) - z należytych szacunkiem.

Zmarszczył się straszliwie Zebrzydowski.

- Mądre to są maksymy w księgach - rzekł - A gdy o żywot, o swobodę najdroższą, "Aurea libertas", gdy o prawa chodzi, my tymi konsyderacjami \* się nie możemy rządzić. "Pereat mundus, fiat iustitia!" \*

Konsyderacja (z łac.) - wzgląd, poważanie, szacunek; tu oczywiście: dla osoby króla.

Pereat mundus, fiat iustitia! (łac.) - Niech zginie świat, byleby stała się sprawiedliwość!

- A gdyby i bez "pereat" można sprawiedliwość otrzymać? - spytał Bajbuza.

- Jak, jak?! - zakrzyknął wojewoda - folgowaliśmy i folgujemy królowi, Ale im my łagodniejsi, tym on zuchwalszy. Nareście nie chcemyli, Aby nas zaprzedał, musimy nastąpić na niego całą mocą naszą.

Tu się powstrzymał nieco wojewoda, tak jak był zwykł tajemniczo zawsze, nie dopowiadając, zamruczał:

- Nie chcę umysłów doprowadzać do ostatecznego zburzenia, dlatego nie mówię jeszcze wszystkiego, co bym mógł, co wiem, na co dowody mam. Gdybyście to wiedzieli, co ja, włosy by wam powstały na głowach! Tak jest. Dlatego milczę, moderuję się.

Bajbuza spojrział nań badająco.

- My o tym wiedzieć nie możemy? - zapytał.

- Nie, nie! - zawołał wojewoda. - To są "Arcana status", \* w swoim czasie odsłonię je, obnażę i zgrozą umysły wasze przerażę. Król winien daleko więcej, niż sądzicie, nie ma dla niego przebadfczenia. Nie dziwujcie się, gdy Stadnicki już kaptur wywołuje. Złamane są pakta, zdradzone zaufanie nasze.

Arcana status (łac.) - tajemnice stanu, czyli państwowe.

Rotmistrz wstrzymał się od odpowiedzi długo, A Ponętowski tryumfował, wąsa targając i uśmiechając się.

- Z tym wszystkim - dodał Bajbuza - ostateczność to smutna, że na ślepo iść musimy i wszelki porządek A hierarchią łamać, bo się one nieprędko dadzą przywrócić.

- Daleko łatwiej i szybciej, niż sądzicie! - zawołał Zebrzydowski. - Ustaną przyczyny, skutek zniknie. Przypombnijcie nieboszczyka, jakim on był za Batorego, A jakim się stał za Niemca? Tamego podpierał, temu w drogę wchodził, bo i on te tajemnice, przeniewierstwa i zdrady znał, które mnie przekazał. A ja dziś ich nie głoszę dlaego, Aby tej Rzeczypospolitej nie wywrócić i nie zmięszać.

- Cóż za straszne groźby! - rzekł rotmistrz.

Wojewoda zapatrzył się w papiery.

- Straszne - powtórzył.

- A zwierzyć tej tajemnicy, panie wojewodo, nikomu nie możecie? - spytał Bajbuza.

Dumnie i szorstko, jak gdyby Bajbuzie chciał dać do zrozumienia: - Przynajmniej nie wam! - odparł Zebrzydowski:

- Nikomu!

Rotmistrz, nie zważając na wyzywające, szyderskie wejrzenie Ponętowskiego, odezwał się po chwili:

- W trudne położenie wprawiacie, miłość wasza, tych, którzy jak ja, życiem i mieniem chcą służyć Rzeczypospolitej, Ale jasno by wiedzieć radzi, dokąd idą i jak daleko zejść mogą.

Szybko przerwał mu obrażony już Zebrzydowski:

- Więc na was rachować nie można?

- Dopóki mi sumienie dopuszcza - rzekł spokojnie Bajbuza. - Całe życie moje dobijałem się do tego, Abym rozumiał, co czynię, A ślepo nie kroczył. Dopóki przekonaniu mojemu gwałt się nie dzieje...

- A gdy wam się nie zda - przerwał szydersko Ponętowski - gotowicie z pola bitwy ustąpić?

Bajbuza ostro mu popatrzył w oczy. Nie odpowiedział nic.

- I zmienić z dnia na dzień chorągiew nic by was nie kosztowało? - dodał Ponętowski - A rycerska cześć?

Wstrzymywał się rotmistrz od wybuchu.

- Posłuchajcie - rzekł z góry poglądając na warchoła. - Gdbyście w podróży spotkali nie znanego człowieka i obcowali z nim, A towarzyszyli mu, zaś wśród niej ukazano by go wam jako zbójcę i łotra, nie porzucilibyście go?

Zmieształ się nieco Ponętowski, nie wiedząc, co odpowiedzieć na razie, A wojewoda zwracając do niego, jakby Argumentu nie słyszał, wykrzyknął:

- Większość ich taka jest! Dziś idą z tobą, Ale jutro wiatr inny zawieje, na wierność rachować nie można.

- Gdyby rzeczy jasno stały - przerwał Bajbuza - Ale w ciemnościach kroczyć...

- Szliście przecież nieraz z Zamoyskim, nie pytając go! - odparł Zebrzydowski.

- Przebaczcie, panie wojewodo - począł rotmistrz. - Wiedzieliśmy zawsze, dokąd szedł, czasem droga tylko, jaką nas prowadził, nie była jasną. Byliśmy pewni, że do wojny domowej nie zaciągnie, że u króla o nasze prawa się upomni, Ale go poniżyć i dostojeństwa jego nie da sponiewierać.

- O, regalista! - zamruczał Ponętowski. - Cóż to wam tak chodzi o ten majestat pański?

- Bo ja w nim widzę Rzeczypospolitej "maiestatem" - rzekł Bajbuza. - Nie poszanujemy króla, jutro tak samo senatorów, bo tego już posłowie przykład dają. A dalej co? Żołnierz wodza słuchać nie będzie, no i chłopstwo pójdzie na ichmościów. Przykład z góry!

Wojewoda rzucał się gniewny.

- Nauki nam dawać myślicie? - odparł z dumą.

- Nie, ja sam się od miłości waszej nauczyć chcę, co o tym trzymacie, A spowiadam się z tego, co mam na sercu - rzekł Bajbuza.

- Nie pora się wam tłumaczyć - popędliwie przerwał Zebrzydowski. - Nikt was nie zmusza iść, gdzie nie ma woli i łaski, Ale... pamiętajcie, kto nie z nami, ten przeciwko nam!

Ponętowski uśmiechał się, od stóp do głów mierząc oczyma gniewnymi Bajbuzę. Stali chwilę milczący. Rotmistrz z wolna czapkę zdjął z rękojeści szabli, na której wisiała; zabierał się odchodzić.

- Mojej ubogiej rady nie potrzebujecie - odezwał się w końcu - lecz wielu ze mną jest tego przekonania, żeby nim się do ostateczności, to jest do ogłoszenia rokoszu, dojdzie, wyczerpać wszelkie porozumienia sposoby. Król skłonny jest...

- Do czego? Do oszukania nas?! - krzyknął Ponętowski. - Albo paktów nie poprzysiągł, Albo Estonii nie obiecał? Zamki miał budować? Cośmy zażądali, przyrzekł, A co z tego? I teraz nas uwiedzie, okłamie, A gdy się rozejdziemy, on na swoim postawi i sprzeda nas jak barany na rzeź rakuskiemu!

Wojewoda potakiwał słuchając.

- Bajbuza jeszcze raz się zwrócił ku niemu.

- Więc choćby do domowej wojny przyszło...? - zapytał.

- Nie może do niej przyjść - przerwał wojewoda. - Gdybyśmy już na placu stali przeciwko sobie, nie pójdzie brat na brata. Króla porzucą z jego Niemcami samego!

- Na placu żołnierz wodza słuchać musi - odezwał się rotmistrz. - Na to rachować nie godzi się.

Wtem Ponętowski, nie dając dalej ciągnąć Bajbuzie, wołać począł:

- Po co to wywodzić tak subtelnie? Jesteście w duchu regalistą, spodziewacie się może starostwa lub innej łaski? Nas nie nawrócicie.

Zarumienił się Bajbuza i niecierpliwie dłonią po szabli uderzył, Aż zadźwięczała.

- Nigdy regalistą nie byłem, na dworze nigdy nie gościłem, królami jeno z dala widział, o żadną łaskę nigdy się nie starałem, bo jej nie potrzebuję. Chleba z łaski Bożej mam dosyć i z drugimi go jeszcze dzielić mogę, Ale do wojny z bracią i do wywrotu wszelkiego ładu, którego u nas nie ma nadto, nie chcę pomagać.

Szydersko się począł śmiać Ponętowski.

- Bez urazy, mości rotmistrzu! - zawołał. - Cóż to za wielka ta pomoc wasza i jakie ona znaczenie mieć może.

- Ja też jej nie przeceniam - rzekł Bajbuza. - Postawić mogę stu kopijników i moim sumptem ich utrzymywać, Ale moich stu za drugich trzechset nie dam. O kilka tysięcy złotych dla

Rzeczypospolitej mi nietrudno, bo jej do ostatniej koszuli oddać gotówem wszystko. Małe to są i drobne ofiary, Ale każdy z nas, wedle przemożności.

To mówiąc i już nie patrząc na zmieszanego nieco Ponętowskiego, dorzucił na pożegnanie:

- Przebaczyć proszę, panie wojewodo, zem się mu narzucił, objaśnienia żądając. Człowiek musi wiedzieć, dokąd idzie.

- No i cóż myślicie teraz? - zapytał Zebrzydowski, któremu kopijników żal było utracić i wpływu, jaki rotmistrz na rycerstwo wywierał.

- Pozostanę w ekspektatywie \* tego, co się wyjaśnić musi - rzekł Bajbuza. - Dopóki można i ja, i ci, co jak ja trzymają, wojnie domowej zapobiegać będziemy.

W ekspektatywie ( z łac.) - w oczekiwaniu.

Ponętowski tyłem się zwrócił do rotmistrza, jak gdyby już z nim nawet mówić nie chciał. Wojewoda także w papierach grzebać począł, dając mu poznać, iż rad się zbyć.

Bajbuza lekkim pokłonem pożegnał go i krokiem wolnym postąpił ku drzwiom, A zaledwie się za nim zamknęły, gdy Ponętowski zakrzyknął:

- Oto ich macie, tych mędrków, których ja się więcej niż jawnych nieprzyjaciół obawiam! Będą przy nas i oboziech naszych wisieć, Aż jednego dnia pójdą precz do szeregów królewskich. Żadna z nimi rachuba nie pewna, Ale z nim jak bez niego! - lekceważąco dodał.

- Mylisz się - przerwał wojewoda. - Bajbuzy kopijnicy jakich drugich poszukać, A i on sam nie bez wpływu, człowiek możny, bez rodziny, A niczym go nie ująć, bo Ani grosza nie żądny, ni tytułu!

Rotmistrz od wojewody wprost do starego znajomego i towarzysza Urowieckiego poszedł na pożegnanie. Ten oczekiwał na niego.

- A co?- spytał.

- Nie rozumiem pana wojewody - rzekł Bajbuza. - Mówi, iż wielką tajemnicę za nadrą trzyma, A nam jej zwierzyć nie chce. Do wojny domowej i do wypowiedzenia królowi posłuszeństwa idzie wprost, A ja, z nim tak daleko nie posunę się, Ale jeszcześmy nie w rokoshu, zobaczymy, co się w Lublinie okaże i wywiąże.

- Do Lublina więc? - spytał Urowiecki.

- Muszę - mówił Bajbuza. - Długom się ważył i namyślał. Na ślepo iść z nikim nie mogę. Zobaczę, co pocznie Żółkiewski.

- Ten z nami! - wtrącił Urowiecki.

- Do czasu! Zobaczycie! - odezwał się Bajbuza. - Znam go, mówiłem z nim, czytam mu z twarzy, iż nie pewien jeszcze. Nawykł do karności jako wódz; gdy się wszystko rozstroi i rozprzęże, on stanie po tej stronie, gdzie ład i posłuszeństwo zobaczy.



W kilku słowach potem pożegnawszy Urowieckiego, Bajbuza wrócił do gospody i kazał w podróż się do Lublina gotować. Po namysłach i walkach z samym sobą, Bajbuza w końcu postanowił czekać i patrzeć, jak się obróć sprawy rokoszowe, A stanąć tam, gdzie mu sumienie każe. Z małym więc pocztem posunął się do Lublina, A hajduka z listem do Szczypiora wyprawił.

“Przyjacielu mój - pisał do niego. - Jeżeli się nie mylę, zbiera się na srogie zawichrzenie, A bodaj na Kaimowski bój. Rośnie zajadłość przeciwko królowi, A im on powolniejszym się okazuje, tym pan wojewoda wymaga więcej i zarzuca cięższe winy.

Ja w tych dla ojczyzny koniunkturach bolesnych nie mogę pozostać bezczynnym widzem. Po cóż bym się na świecie przydał? Na wszelki przypadek musisz mi moich stu kopijników ściągnąć na nowo i Albo ich pogotowiu mieć, lub mi ich słać. Klucz ci posyłam, Aby grosza nie zabrakło, Ani go żałuj, A co ja z nim lepszego do uczynienia mam? Dała mi go ta miła ojczyzna nasza, dla niej też służyć ma, gdy jej zagraża niebezpieczeństwo. Kilka tysięcy złotych mnie też tu potrzeba, bo nierychło powrócę, Ani się ta zawierucha skończy.

Wziąłbym cię do siebie, Szczypiorze mój, bo mi bez tej prawej ręki bardzo źle, Ale co pocznie Spytkowa, gdy Ty tam na straży nie będziesz? Łotr, co się jej mężem zowie, czyha na to, Aby ją obedrzyć, A na mnie się pomścić, iż niewinnej bronię niewiasty. O siebie się nie lękam, bom świadom, z kim mam do czynienia, Ale o jejmość bardzo. Jeżeli znajdziesz kogo, co by tam ciebie zastąpił na straży, przybyawj.

Kopijników, choć dziś mi jeszcze nie potrzeba, Ano kto wie, kiedy to jutro naskoczy, gdy się oni przydadzą? Trzymać ich będę, choćby mnie zjeść mieli.

Jak długo się ta burza przeciągnie, Ani ja, Ani nikt nie odgadnie. Zależy to i od króla Jego Mości, i od tych, co królikami być chcą, i od niezbadanej woli Bożej.

Zważ wszystko - kończył to pisanie Bajbuza. - Z ufnością się na ciebie zdaję. Spytkowej zaś, choćby się ona bezpieczną sama czuła, nie zdawaj na łaskę Bożą, bobym sobie miał do wyrzucenia, gedyby, uchowaj Boże, najmniejsza ją przygoda dotknąć miała. Czasy to są wielkiej turbulencji i zamieszania, łatwo złemu człowiekowi z nich korzystać.

Znasz mnie i wiesz, że ja na świecie nikogo nie mam droższego mi nad tę niewistę. Czuwać nad nią muszę dla mojego sumienia, dla serca i przez miłosierdzie, bo tak jak ona dla mnie jedna na świecie, tak ona za opiekuna, sierota, mnie tylko ma.

Słowo jeszcze, mój miły Szczypiorze. Tyś zwykł się w wydatkach na grosz oglądać, ja go też dla siebie nierad wyrzucam, Ale tam, gdzie potrzeba, nie żałuję. Nie żałujże i ty, Ani w sprawie bezpieczeństwa Spytkowej, Ani na kopijników. Muszą być tacy, Abym się ich nie powstydził.

“De publicis” ci nic nie piszę, bo papier zdrajca, A ja jeszcze nie widzę jasno, jak się wszystko obróci. Znasz mnie, zem regalistą nie był, A dziś często zachciewa się Niemca tego

bronić. Co uczyni hetman nie odgaduję. Ja z placu już nie zejść, dopóki się zamieszka ta nie skończy. Leszczakowskiej powiedz, niech się modli za nas, A i księdzu Rabskiemu na intencją “pokoju między panami chrześcijańskimi” poleć modlitwy.

Damasczeńskich szabli, ile tam zapasu jest, przywieź z sobą, zdadzą się. Kopijnikom skóry, Aby na barki mieli, każ Ormianom sprowadzić...”

W tym podnieconym stanie ducha z Zamościa wprost się udał rotmistrz do Lublina, dokąd zjazd został zwołany, z mocnym postanowieniem Asystowania wszelkim obradom tych, którzy już jako rokoszanie występowali i podzielenia losu, A czynnego służenia w tym obozie, który, wedle niego, mieć będzie słuszność za sobą.

Tak samo, jak on w tym terminie, bardzo wielu rozstrzygnąć nie umiało, po czyjej ona była stronie. Słuchając wywodów tych, co przy królu stali, wydawać się mogło, iż przeciwnicy jego dla prywaty samej wicherzyli. Jednemu krzesła, drugiemu starostwa, innemu buławy lub laski odmówiono. Zebrzydowski ostatecznie oprócz gospody i starostwo grodzkie miał na sercu. Wszedłszy zaś w to koło, w którym głos zabierali Smogulecki, Herburt, Ponętowski, Pękosławski i sam pan wojewoda, można było mniemać, że naród oszukiwany, łudzony o słuszne prawa swe się upominał.

Burzył się czasu sejmów nieboszczyk Stefan Batory, gdy mu Kazimirski \* zuchwale przycinał, Ale czymże to było w porównaniu do tych głosów niepoczciwych, lżących, jakie się pod Stępczą, pod Sandomierzem, w Proszowicach słyszeć dawały, w których król wyśmiany, poniżony, odarty z majestatu, jak obwiniony na ławie przed sądem występował. Stawiano go pod piłatem (pręgierzem) na pośmiewisko wswzystkim.

Kazimirski Mikołaj - namiętny obrońca swobód szlacheckich, na sejmie w roku 1585 zuchwale występował przeciw królowi Stefanowi Batoremu i wniósł protestację przeciw jego wyrokowi w sprawie Zborowskich. Brat Mikołaja, Kazimierz, należał do najczynniejszych uczestników rokoshu Zebrzydowskiego.

W Lublinie od pierwszego dnia zasypano ciekawego Bajbuzę paskwilusami przeciwko Zygmunтови, wierszem i prozą, w kształcie rozmów ziemian i najgrubszych napaści. Chodziły one przepisywane z rąk do rąk, bo się ich jeszcze drukować nie ośmielono. Oprócz tego sprzedawali pisarkowie po kancelariach opisy rokoshu pod Glinianami, A cechowi czeladnicy malarscy rozmaite rysunki, na których poznać było łatwo, po szwedzkiej bródce i koronie, po Snopku, Zygmunta w różnych postaciach, śmiech i pogardę obudzić mogących.

Zjazd do Luyblina, już się licznym być obiecywał, A naprzód stawili się przywódcy, którzy nim pokierować się spodziewali. Szlachta, tak długo już przeciwko królowi jątrzona, cała

niemal była przeciwko niemu, lecz wielu poważniejszych i dalej widzących ludzi, samą gwałtownością i przesadą napaści tych zrażonych, poczynano się od warcholów tych odwracać.

Miasto i przedmieścia A okolice się już roiły szlachtą, gdy Bajbuza, nadjechawszy, A chcąc być dobrze o wszystkim oświadczonym, na Winiarach dwór najął obszerny, z którego ustąpił gospodarz, i zajął go dla siebie, A dla gości szeroko otwierając wrota. Rozumie się, iż przez cały dzień, A często późno w noc stoły musiały ciepłym i zimnym być zastawione, A dzbany ponalewane, Aby jadła i napoju nie brakło nigdy. W ten sposób rotmistrz, nie wychodząc prawie z dworku, wiedział wszystko, co się w kole i na mieście działo i zapowiadało. Przy pilniejszych zaś sprawach na koń siadał i do koła sam jechał.

Zaraz po przybyciu Bajbuzy, z okazałością wielką, z orszakiem ogromnym, dworem i wojskiem, nadciągnął kasztelan krakowski, księżę Ostrogski. Rzekomo stawiał się na zawołanie Zebrzydowskiego i tak jakby z nim trzymał, Ale mu wiary nie dawano. Rozpowiadano, iż jak z jednej strony o tym, co się działo na dworze, mówił wojewodzie, tak z drugiej potajemnie z Lublina listy do króla wyprawiał, donosząc o tym, co się tu knuło.

Lecz potęga to była zbyt wielka, Aby z nim porywczó zrywać się ważono. Postrzec tylko łatwo było, iż mu niespełna wiary dawano, bo jak skoro w kole stanął, milkli wszyscy, oglądali się na siebie i mowy się stawały umiarkowańszymi. Nie cisnęła się też tak bardzo szlachta do stołów i namiotów księcia, choć ją tam marszałek dworu jego zapraszał i ściągał. Sam Zebrzydowski, szanując pozornie i okazując życzliwym, ostrożność zalecał, A w poufalszym kole otwarcie głosił, że mu wiary nie dawał.

Okolo księcia Ruś się gromadziła, wschodniego obrządku ludzie, oprócz tego dysydyntów tłumy się zbiegły swoją tu sprawę popierać i wszyscy przewódcy ich się stawili. Oni też tu najczynniej się krzątali, przeciwko królowi i nieprzyjaciołom swym głównym, jezuitom, wniebogłosy wykrzykując.

Już zjazd był bardzo licznym i obrady rozpoczęte, gdy na ostatek oczekiwany hetman Żółkiewski nadjechał. Ale poprzedziła go tu wiadomość, iż od króla wprzódy wezwany, do Warszawy jeździł, z nim się widział i jakoby więcej ku niemu już się miał skłaniać.

Tymczasem Zebrzydowski, sam nie występując na wodza i kierownika, zręcznie na marszałka koła zalecać począł księcia Janusza Radziwiłła, znając pychę jego i możność, bo w razie potrzeby księżę głosił, iż bodaj dziesięć tysięcy Albo i więcej przeciwko regalistom gotów był swoim kosztem postawić. Zrazu się Radziwiłł wymawiał od laski, młodością składając, lecz widać było, iż ją przyjmie z ochotą i wdzięcznością, kilka tylko dni na ceremonialnych targach upłynęło.

Ponieważ trybunał najwyższy zasiadł w Lublinie, Zebrzydowski powagą deputatów jego chcąc rokosz wesprzeć, zawezwał ich, Aby w nim udział wzięli; lecz tu opór napotkał.

Odpowiedzieli mu, iż obowiązkom sędziów zadość uczynić muszą, A dwom bogom naraz służyć nie mogą. Koło zaś trybunału rozwiązać nie ma prawa.

Ponieważ zaraz w początkach nalegać poczęto na Zebrzydowskiego, A Bajbuza do tego szlachtę popychał, Aby owe wielkie A straszne tajemnice, które za nadrą nosił, chciał na ostatek objawić, choć naciskany mocno, zbył ni tym, ni owym, nie powiedziawszy nic. Zostały więc "Arcana" w zawieszeniu, Ale szlachta już niedowierzająco się o nich i szydersko odzywać zaczynała. Dały się nawet w kole słyszeć głosy:

- Kto i jakim prawem nas tu zwołał? Po co? Z tego, co słyszymy, celu nie widzimy jasno.

Na to marszałek Radziwiłł, przez Zebrzydowskiego nauczony odparł, że sejm został zamknięty siłą, Aby szlachcie usta zawrzeć, więc choć tu ona swe grawamina wypowiedzieć może. Radziwiłł, jako młody i nieopatrzny, idąc torem Zebrzydowskiego, A chcąc się dalej niż on posunąć, gwałtownie i grubiańsko przeciwko królowi wystąpił:

"Upominano króla! - wołał. - Milczał! Poprawiłże się potem? A tak, poprawi się, Ale na głowy wasze! Powiedzcie, co on przez te lat osiemnaście panowania uczynił dobrego? Co potomności godnego? Co godnego króla? Nauczcie mnie, jakie były jego sprawy i postęпки? Jest tu który z zauszników jego i pochlebców, niech wyjdzie i powie, jakie są jego zabawy? Naprzód grać w piłkę, Alchemią robić, piece wymyślać, \* mieszkać w seraju i tam syna młodszego ćwiczyć i niegodnie wychowywać, żyć w sodomskim grzechu, pojawiwszy siostrę własnej swej żony. Teraz po tym sejmie w pierwszą niedzielę. Słyszałem na kazaniu te słowa księdza Skargi: "Król kiedy gra w karty, nie jest królem, Ale wtenczas tylko, kiedy siedząc na majestacie, poważne rzeczy odprawuje." A ja zapytałem? "Albo król grywa w karty?" I odpowiedzieli mi komornicy jego: "Grywa, skoro wstąpienie od stołu." Otóż macie wszystkie walne sprawy stanu królewskiego.

Oczywiście piece dla doświadczeń Alchemicznych.

Nie wiecie, jakim on fortelem wyprowadził żołnierza z Inflant, powiadając, że dopiero na sejmie pieniądze wziąć mieli, Ale cnotliwi żołnierze, widząc, że ich przeciw Rzeczypospolitej ściągają, opowiedzieli się przy nas. A czyż go to poprawi? Prosimy go i na tym sejmie, Aby według prawa rozdawał urzędy; nie mogli i tego uprosić. Cóż nam po prawach, gdy on ich nie szanuje? Niech więc kto, jak chce, czyni, ja się z tym oświadczam, że ja króla Zygmunta za pana nie mam i poddaństwo mu wypowiadam. Nie mam go za pana, bo mi prawo mieć nie każe. Możeż to serce szlacheckie przenieść na sobie, Aby nam krzywoprzysięzca i sodomczyk panował? A to nas wszystkich szlachciców ziemia poźre! Wiedzą i to wszyscy, jak mi teraz dawał chleba w gębę i mnie, i wszystkiemu domowi Stadnickich? A na sejmikach nie maszże praktyki? Wiedzą tam pierwej, kto posłem ma być, nim go obiorą; na sejmie ma król marszałka, wyżenie ludzi dobrych, A pochlebcy zostaną. Praktykuje on o Inflanty, pruską ziemię sprzedaje. Powiadają, że poprawa

potrzebna; jakoż wkrótce nastąpi za ogłoszeniem elekcji. Nie jesteśmy poddanymi, Ale wolnym narodem. Zdanie moje jest Abyśmy się spisali, pieczęcie nasze przyłożyli i tak kupą jechali do niego, wypowiedzieli mu poddaństwo, A na nową elekcję uniwersały rozpisali”.

Młodość Radziwiłła, który się od laski wymawiał, w tym głosie nieopatrzny najdobitniej się wyraziła, bo nawet najzapaleńszych, krom Stadnickiego i Herburta, gwałtowność tej napaści, łajania te, krzywoprzysięzcy i sodomczyka przezwiska razić musiały i oburzać. Zuchwalstwo przechodziło miarę wszelką. Milczenie głuche naprzód, potem szmer powstał złowrogi, wreszcie się niektórzy ostentacyjnie z koła oddalać i opuszczać je zaczęli. Jawnie to zaraz uczynił hetman Żółkiewski, A Bajbuza, który oczy miał na niego zwrócone, o mało nie klasnął w dłonie. Hetman odchodził, więc i on tu już nic do czynienia nie miał. Ciężar mu spadał z ramion. Chciał tylko przekonać się, Azali hetmana nie potrafią powstrzymać, A potem iść i oświadczyć, że mu z chorągwią swą stanie do boku.

Pomiędzy najbardziej rozbujaną szlachtą powtarzano przydomek sodomczyka, krzywoprzysięzcy i spoglądano sobie w oczy. Na żadnego z królów nigdy nikt nie śmiał rzucić tak obelżywych wyrazów, po których w istocie nie pozostawało już nic, tylko wypowiedzenie posłuszeństwa.

Zdawało się zuchwałemu młodzieńcowi, że te słowa uniosą, pociągną i wywołają przyzwolenie większości, za którą by onieśmielone reszty pójść musiały. Stało się inaczej. Milczenie naprzód zapanowało groźne, potem, choć nikt nie powstał przeciwko, Ale też żywa dusza nie objawiła zgody.

Wszyscy stali niemi, przybici, bo każdy rachował następstwa. \*

Opis zjazdu w Lublinie oparł Kraszewski na przekazach źródłowych. Niemniej jednak według dzieła Niemcewicza obelgę na króla ( sodomczyk) miał rzucić w swojej mowie Diabeł Stadnicki, A nie Radziwiłł. O stadnickich są nawet wzmianki w tekście mowy, rzekomo przez Radziwiłła wygłoszonej. Stanisław Żółkiewski, szwagier Zebrzydowskiego, istotnie opuścił zjazd i Lublin.

- Sodomczyk - szeptano - sodomczyk!

## Rozdział II

Jeszcze w kole mrużano, A następni mowcy układali się, kto po Radziwille wystąpi, bo ten pierwszy głos nie małą był trudnością, gdy hetman obejrzał się na swoich przyjaciół, ruszyli się wszyscy i w milczeniu, które więcej mówiło nad wszelką protestację, z powagą wychodzić poczęli. W najdalszych szeregach przykład hetmana znajdował naśladowców. Zebrzydowski stał patrząc na to drżący, on i Radziwiłł mierzyli się oczyma. Nie można było odgadnąć, czy rzecz była umówioną między nimi, czy książę dał się unieść niewczesnemu zapałowi, sądząc, że za sobą pociągnie. Tymczasem porażka była widoczną, A Żółkiewskiemu ją zawdzięczał Radziwiłł.

Wojewoda wysunął się naprzeciwko wychodzącego hetmana, udawał podziw wielki i zafrasowanie.

- Dałem - rzekł - Radziwiłłowi łaskę, Ale mi tego żal, nieopatrzny jest i nad językiem swym panować nie umie, Ale młodości wiele wybaczyć trzeba.

- Nie wszystko jednak, panie wojewodo! - zawołał Żółkiewski oburzony. - To nie mowa senatora, Ale karczemne łajanie, którego szanujący się ludzie, co tego króla wybrali, słuchać nie mogą. Ja przynajmniej wychodzę z koła i nie powrócę do niego, nie mam już tu co robić. Nie rada, nie zjazd, Ale zwada uliczna się wszczyna, jaką ciurom obozowym tylko prowadzić przystało.

To mówiąc obejrzał się na swoich i na tych, którzy jak on zburzeni wychodzili z szeregów, skinął zaledwie głową wojewodzie i podanego sobie konia dosiadł.

Zebrzydowski chciał go wstrzymywać, Ale czuł, żeby to było bezskutecznym. Powrócił więc nazad do swoich, Ale pomiędzy nimi znalazł ten sam niepokój, jaki jego ogarnął. Po cichu narzekano na Radziwiłła, A w oczy nikt mu nie śmiał czynić wymówek. On zaś pysnić się zdawał swoim zuchwalstwem.

Na równi prawie z nim stanęli wyrzutami czynionymi królowi Stadnicki, wołający o kaptur, Pękosławski, wreście Herburt, który wszystko złe zwał na jezuitów, pozyskanych przez dwór rakuski. W jego mniemaniu oni byli wszystkiego złego przyczyną, oni koronę tę dla Rakuszan targowali i tak jak kupili. Zygmunt miał powrócić do Szwecji. Mniejsze to już zrobiło wrażenie, A że wieczór nadchodził, koło się rozpręgać zaczęło. Niecierpliwi, ponieważ już dosyć czasu upłynęło, naglili o ogłoszenie rokoszu.

Pierwszy raz, po odjeździe Żółkiewskiego, na wspomnienie rokoszu usłyszano Zebrzydowskiego głośno mu się sprzeciwiającego. Ponętowski uszom nie wierzył. Stał naprzeciw niego, ręce rozstawił szeroko, oczy podniósł i tak w postawie zdumionej potrwałszy chwilę, odszedł, nie mówiąc słowa.

Zaraz za hetmanem precz jadącym z koła podążył, nie czekając końca, niecierpliwy nasz Bajbuza. Dla niego usunięcie się Żółkiewskiego było hasłem, Ale chciał z jego ust posłyszeć

rozkaz. Podążył więc tak, że niemal razem z pocztem otaczającym hetmana stanął na jego podwórze.

- Panie hetmanie - zawołał gorąco - ja z wami!

Żółkiewski dał mu znak tylko i wprowadził go do Alkierza.

Tu Bajbuza powtórzył oświadczenie z tą radością, jaką mu dawało bezpieczeństwo, iż nareście znalazł drogę pewną.

- Panie hetmanie, ja z wami, ja i sto kopijników moich.

- Bóg zapłać - z uśmiechem poważnym rzekł Żółkiewski. - Kopijnikom, A jeszcze więcej wam, rad będę, Ale nie opuszczajcie Ani Lublina, Ani koła. Chcę, Abyście świadkami byli tego, co tu się dzieć będzie, bo waszym słowom zawierzyć mogę, gdy inni mi nieprawdę powiedzą, rzecz Albo rozedmą, lub skurczą. W tej chwili jeszcze was nie tak pilno potrzebuję, ordynans więc mój, pozostańcie tu, dopóki się to burzliwe koło nie skończy. Natychmiast potem w Warszawie się łączcie ze mną. Po tym, co Radziwiłł wyzionął z siebie, już nic nie pozostało, tylko karków zuchwałych ugiąć orężem. Przybywaj więc, Ale dobądźcie tu do ostatka.

Tak rozstali się, A Bajbuza pełen otuchy, wesół i rad, że się niepewność dręcząca go skończyła, pośpieszył do domu. Teraz już mu pilno było tylko Szczypiora z kopijnikami doczekać, bo czuł, że obrady w kole nie potrważą długo. Nie uszło to bacznym oczom wielu, że się do Żółkiewskiego przyłączył, Ale gdy go nazajutrz ujrzano znowu miejsce swe zajmującego w kole, sądzili wszyscy, iż rozmyślił się i pozostał przy Zebrzydowskim. Ten prawie go był pewnym.

Dano jeszcze głosować we wtór Radziwiłłowi innym, Aż nareście Stabrowski, kasztelan Parnawski, który do późnej nocy siedział u Zebrzydowskiego, powstał i w krótkich słowach ogłosił rokosz, A kto by się z nim nie łączył, nieprzyjacielem ojczyzny miał być obwołany.

Na to powstał pan wojewoda krakowski z tarzą ułożoną, jakby go największy strach i ból ogarnął i począł rokosz odradzać.

Słuchano go w rodzaju osłupienia, wiedzieli bowiem wwszyscy, że on przecie sam pierwszy go żądał, do niego popychał, był stwórcą wszystkiego. Ale nie chciało się na wszelki przypadek brać na siebie odpowiedzialności. Przypomniął sobie Zamoyskiego, szedł w jego ślady. Komedia odegrana była doskonale. Zebrzydowski ofiarował się sam na sejm jechać, stawać, w oczy królowi zarzuty czynić i dowodzić ich. Twierdził, że bez rokoszu się wszystko potrafi załatwić.

Zakrzyczano go natychmiast. Jego własni zausznicy, zmówieni do tego, powstałi precowko niemu, zaczęto się domagać rokoszu, uznawano go niezbędnym.

- Rokosz, rokosz! - dawało się słyszeć ze wszech stron i garść krzyczących zagłuszyła mniej śmiałych.

Zebrzydowski jeszcze raz zaklinał, potem w ostatku - "vox populi, vox Dei!" - zdał się na opinię i wolę ogółu. Poświadczał się jednak wszystkimi, że on od rokoshu odwoodził i nie życzył go.

Obwołano rokosh na dzień 6 sierpnia między Sandomierzem i Pokrzywnicą, A królowi polecono dać znać poselstwem tylko, Aby się sam, bez wojska, z senatorami stawił przed ten trybunał stu tysięcy poburzonej szlachty i tłumaczył... Pochlebiało to temu tłumowi w chodaczkach, w odartych opończach, na chudych konikach, że miał sądzić i wyrokować o królu... Pociągało to każdego, choćby o suchym kawałku chleba, pod Sandomierz.

Stabrowski, Ponętowski, Pękosławski, Herburt, Smogulecki przy rozstaniu z panami bracią powtarzali jej, że powinna wyjść jak na pospolite ruszenie, ktokolwiek konia dosiąść może. Ten tłum miał Zygmunтови okazać potęgę narodu, którą pyszałki głosili jako największą na świecie. Dopiero tu szlachta miała okazać, co może miłość swobody. Zanosilo się na burzę ogromną, na wylew taki, któremu żadna siła się oprzeć nie mogła. Naród cały miał stanąć pod Sandomierzem i spytać Zygmunta o rachunek z powierzonej mu władzy.

Nie dosłuchawszy już mów płomienistych, Bajbuza do swego dworku pobiegł, A że Szczypiora nie było, jemu zaś do Warszawy pilno się chciało, wyprawił gońca, Aby kopijnicy pośpieszali.

Tymczasem się trafiło tak, że gdy on jedną drogą wyjeżdżał po Szczypiora, on nieco bliższą stanął w Lublinie.

Bajbuza wybiegł przeciwko niemu oszalały.

- O, toś mnie wybawił! - krzyknął. - Niech ludzie spoczyawją, my chwili nie mamy do stracenia, ciągnąć musimy.

Na zapytanie: - Dokąd? - Bajbuza nie odpowiedział, dał mu znak i weszli do izby.

- Jużem o kopijników spokojny! - zawołał, po wtóre ściskając Szczypiora - A Spytkowa?

- Na mnie się zdajcie - rzekł chorąży. - Nie zostawiłem jej bez ochrony. Ani Rożkowi, Ani Przygodzkiemu nie mogłem zlecić nadzoru, Alem ludzi wybrał, A nad nimi postawiłem Korabiaka, którego znacie. Na wojnę dla krótszej nogi się nie zdał, Ale w domu, choćby od Tatarów, potrafi obronić.

- Dobryś wybór uczynił - rzekł rotmistrz - choć Korabiak by i przy obozie naszym nie był zbytyczny, Ale my się bez niego obejdziemy. Będą cię-li tu pytać ludzie, dokąd idziemy, mów, że nie pewna rzecz, do kogo my się przyłączymy, tak Aby sądzili, że z nimi idziemy, Ale ja z wojewodą nie pójdę.

- A z kimże? - zapytał zdziwiony Szczypior. - Zwaliście go sami spadkobiercą Zamoyskiego?



- Tak jest, lecz znalazł się bliższy - dodał z uśmiechem Bajbuza. - Ten wojnę gotuje i nigdy z nim pokoju nie będzie. Króla błotem obrzucili. Ja go też nie kocham tak bardzo, Ale królem jest, królem jest, A "omnis potestas A Deo!" \*

Omnis potestas A Deo ( łac.)- - wszelka władza od Boga ( pochodzi).

Szczypior spojrzał zdziwiony.

- I my króla może o rachunek spytamy - rzekł rotmistrz - Ale go szkalować nie będziemy.

- Ale z kimże idziecie? - powtórzył Szczypior.

Na ucho rzucił mu Bajbuza:

- Z Żółkiewskim!

Szczypior jeszcze niedobrze rozumiał.

- Toż szwagrem jest Zebrzydowskiego?! - zawołał.

- Ale tak go zna, jak i ja, A wiązać się z nim nie będzie - dodał rotmistrz. - Widzisz więc, gdy go szwagier opuszcza, cóż za dziw, że ja nie pójdę z nim? Zebrzydowskiemu się władzy chce, buławy, pieczęci, panowania pod królem, pierwszeństwa przed wszystkimi w tej Rzeczypospolitej.

Potrząsnął głową.

- Dość tego! - dokończył. - Ludzie niech mało co spoczną i natychmiast do Warszawy! Do Warszawy!

Zwrócił się znowu do chorążego:

- Cóż Spytkowa? Mów ty mi o niej, niech troski rokoszowej zapomnę. Widziałeś ją?

- Pozdrowić was kazała - rzekł Szczypior - A nie wie biedne kobiecisko, ile wam winna, bo nie jest tego świadoma, że gdyby nie my i czuwanie nasze, już by w rękach Spytka była, który ciągle na nią czatuje. Dwa razyśmy szpiegów jego łapali.

- A daż sobie Korabiak radę? - syknął rotmistrz.

- Lepiej może niż ja - mówił Szczypior. - Gardłem odpowiadam za niego.

Bajbuza westchnął.

- Z tym zbójem Spytkiem, co takie pocziwe imię nosi - rzekł - raz się nam rozprawić potrzeba, tak Aby mu ochotę odjąć od dalszej imprezy.

- Chyba gdy mu oczy piaskiem przysypimy - zamruczał Szczypior.

- Płakać po nim nie będzie nikt - dorzucił rotmistrz - A tu los tak zdarzyć może, iż jeszcze w tej wojnie, gdy do niej przyjdzie, staniemy z nim w jednym szeregu!

Ręce załamał.

Wieczorem szlachtry rozjeżdżającej się dużo zeszło na pożegnanie do gościnnego rotmistrza. Mogli więc najlepiej usposobienie jej wybadać. Szli niektórzy posępni, znużeni już ciągłą wędrówką na zjazdy, na których nic nie uchwalono prócz coraz nowych zgromadzeń.

Niektórym króla było żal, inni go zrzucić zaraz chcieli, A byli tacy, którym Ponętowski wmówił, że elekcji nowej czynić nie było potrzeba, wprost tylko taką respublikę fundować, Aby ona się sama rządziła bez pana.

- Mieliśmy już tych elekcji chybionych dosyć, Henryk nam uciekł i srom uczynił, Stefan mordował jak chłopów, A Zygmunt sprzedaje. Wybierzemy nowego, gorzej jeszcze będzie! - wołał Ponętowski. - Piasta chcą, zerwie się równość szlachecka, A Piast nam może zależeć za skórę gorzej niż obcy.

Takich mów szlachta się nasłuchawszy, z wielkim znużeniem do domów powracała.

Byli i tacy, co mówili, że senatorowie się dla siebie starali o urzędy i ziemię, A szlachcie za to pokutować kazali. Narzekano na prywatę. Z tym wszystkim żaden się nie zarzekał jechać pod Sandomierz, Aby swego przywileju sądenia króla nie stracić.

Bajbuza milczał, nie wyjawiając zdania swego. Napał go który, odpowiadał zimno:

- Jam żołnierz, nie statysta.

Drugiego dnia, choćby był rad pośpieszać do Warszawy, Bajbuza, ludzie i konie wypoczynku potrzebowali. Zebrzydowski przysłał po niego na rozmowę.

Chociaż się rozstali bardzo zimno, wojewodzie stu doborowych kopijników żal stracić było.

Przyjął rotmistrza z senatorską powagą.

- Nie byłem ja za rokoszem - rzekł. - Słyszeliście, Ale trudno powstrzymać rozbolałych, oszalałych, pokrzywdzonych. Musiałem się poddać zdaniu powszechnemu. - Cóż wy czynicie z sobą? - dodał zwracając się do Bajbuzy.

- Stoję pod rozkazami pana hetmana Żółkiewskiego - rzekł rotmistrz. - To uczynię, co mi on poleci.

Wojewoda się zmarszczył:

- Myślałem, że będziecie ze mną, boć mi to po nieboszczyku należało.

- Dałem już słowo panu hetmanowi - odezwał się Bajbuza - A juściż nie sądzę, Aby Ichmość panowie, tak blisko z sobą połączeni, nie razem być mieli.

Zebrzydowski nie odpowiedział na to.

- Ludzi dosyć mam - rzekł obojętnie po chwili - Ale was, panie rotmistrzu, szacuję i przez tę miłość, jaką wam okazywał Zamoyski, obchodzi mnie los wasz.

Skłonił się Bajbuza.

- Losu się ja żadnego nie dobijam - odezwał się - byłem Rzeczypospolitej skutecznie służyć mógł.

Zebrzydowski zaczął potem na Radziwiłła narzekać, że mu sprawę swą gwałtownością zwichnął, Ale go potrzeba było oszczędzać, bo siłę miał i na Litwie wpływ wielki. Doświadczyli obojga Chodkiewiczowie.

Spelzła tak roznowa na niczym, A Bajbuza grzecznie, lecz zimno, pożegnawszy pana wojewodę, powrócił do dworku.

Nazajutrz do dnia, skwaru unikając, oddział cały ku Warszawie wyruszył, A że tu nie wiadomo, co go czekało, wysłał rotmistrz przodem, Aby mieć pomieszczenie dla siebie i ludzi. sam też powolniej ciągnących kopijników wyprzedził. Przewidzieć mu łatwo było, że się teraz znajdzie w całkiem odmiennym położeniu i obozie, niżeli był dotąd. Z Zamoyskim stał przeciwko królowi, z Żółkiewskim musiał go bronić. W sumieniu był spokojnym, Ale się oglądał, dziwiąc sam sobie, jak zaszedł na to nowe stanowisko.

- Rzeczypospolitej bronię, nie króla - tłumaczył się sam przed sobą.

Wszystko to, czego się przez czas długi nasłuchiwał przeciwko Zygmuntowi, przypominało mu się i trudnym stawało do wytłumaczenia.

- Ale z kimże iść? - mówił zadumany. - Z Zebrzydowskim sumienie broni, Żółkiewski dał dowody, że Rzeczpospolitą miłuje. Należała mu się buława wielka, nie dopominał o nią. Jeżeli on króla zmuszony bronić, cóż my?

Czasem pomyślawszy, że wśród regalistów się znajdzie, ramionami poruszał.

- Kto by się tego był po mnie spodziewał? Ja najmniej.

W Warszawie zastali poruszenie ogromne, król się w podróż wybierał. Dokąd? Przejeżdżającym właśnie przez most wskazano statki u brzegów stojące, które ładowano pośpiesznie. Około zamku roiły się tłumy.

- Król do Torunia i Gdańska ciągnie - powiadano. - Po co? - nie umiano powiedzieć.

Zaledwie z konia zsiadłszy, posłał po Kalińskiego, Ale go się nie doczekał do nocy. Tymczasem na mieście języka dostał, że w istocie król z piechotą cudzoziemską swą i strażą przyboczną miał iść w stronę Gdańska dla uśmierzenia jakiegoś niepokoju. Gdy Kaliński spocony nadbiegł, już Bajbuza na łożu odpoczywał. Nie byli, tylko we trzech w izbie sami.

- Cóż? Na Toruń i Gdańsk ciągniemy - zawołał do niego Bajbuza - bo i ja z wami! Z panem Żółkiewskim idę!

Kaliński ramionami ruszył.

- Na Gdańsk, na Toruń! - zawołał. - Niechaj dla ludzi tymczasem i tak będzie, Ale wam jutro hetman powie, że droga wypadnie inna. Panom rokoszanom zda się, że króla Jego Miłość nastraszyli. Dobry pan długo cierpliwość miał, Ano zuchwalstwo skarcić trzeba. Jawnie się zbierają przeciwko panu swemu, maż on czekać?

Bajbuza się z łóżka zerwał.

- Tak jest! - zawołał. - Tym ci lepiej. Prędeż się to skończy, gdy zobaczą, że się ich nie lęka. - Oczy mu zaświeciły.

Kaliński, który już w ogniu tym od dni kilku był, drżał mówiąc, śmiał się, A ręce zacierał.

- No, i wyście przecież z nami! - zawołał. - Przyjdźcież na zamek, zobaczcie choć z bliska króla, królowę, dzieci pańskie, dwór nasz. Wyście tylko z daleka i mało co widzieli, A nasłuchaliście się potwarzy. Nie tak przecież źle u nas i ohydnie, jak ludzie opowiadają. Król, prawda, nie tak rycersko wygląda i nie tak się lubi wojną parać, jak Stefan, Ale na koń siędzie, gdy będzie potrzeba i kuli się Nie ulęknie, jeżeli własni poddani strzelać się ośmielą! O, co za czasy, co za czasy! - dodał Kaliński. - Czegośmy to dożyli! Rzucają królowi takimi obelgami w oczy, żeby ich najlichszy mieszczanin nie ścierpiał, A nareście i wojnę mu wypowiadają.

- Wojny jeszcze nie wypowiedzieli - odezwał się Bajbuza - Ale go pozywają jak winowajcę przed swój sąd! Dostyc i tego! Do tej pory król miał szafunek sprawiedliwości sam tylko, teraz kupy niesforne jego sądzić chcą!

- A wszystko to - wtrącił popędliwie Kaliński - przez powolność królewską, która nadto długo czekała na opamiętanie. Przecież teraz skłonili króla, Aby wystąpił przeciw jawnym rebelizantom. Żółkiewski z kwarcianymi, gwardie pańskie, piechota, A i ochotników wielu, gdy się razem zgromadzi, rokosz nie dotrzyma, choćby się zuchwale targnął do broni.

- Tylko znowu waszmość - przerwał Szczypior i rokoszan sobie zbyt lekko nie ważcie. Sam Radziwiłł się na siedem tysięcy pisał, Zebrzydowski tyle drugie postawi, jeśli nie więcej, pościąga się drugich po troszę tyle, że wojsko będzie znaczne.

- Na liczbę może to być - rzekł Kaliński - Ale u nas żołnierz jest, co już w ogniu bywał i zna się z wojną, A z tamtej strony kupy zbrojne. Takich lada kopijnicy popędzą.

- Lada kopijnicy! - podchwycił Bajbuza. - Z respektem, mosanie, o kopijnikach, bo i ja do nich należę.

Gwarzyli tak długo w noc.

Nazajutrz zwało się jeszcze na mieście ciągle, że król do Torunia się uda, A sposobiono się do podróży. Bajbuza się dał namówić na zamek, Aby lepiej dworowi i życiu pańskiemu przypatrzeć, Ale tu wszystko było tak zamknięte i od złośliwych oczu pookrywane, iż ledwie co widzieć mógł rotmistrz. Na zamku dziwnie cicho było i na pozór nieludno, A co się pokazywało, to miało pozór cudzoziemski, i w tym przeciwko królowi zarzut się wydawał słusznym, że się cudzoziemcami otaczał. Nawet Polacy króla otaczający po większej części się z hiszpańska lub po włosku, modą europejską, nosili i poznać w nich Polaków było trudno. Wiadomo, że i król stroju

tego zawsze używał, A dwór, komornicy i urzędnicy wszyscy prawie obco i cudzoziemsko wyglądali.

Od śmierci też starej królowej Anny Jagiellonki, od zgonu pierwszej Anny, rakuskiej, żony króla, język polski i służbę po troszę z dworu rugowano i za królowej młodszej, Konstancji, która Polaków nie lubiła, Niemcy przeważnie górę wzięli, A język ich niemal wyłącznie się słyszeć dawał. Z drugą królową przybyła też ta zagadkowa towarzysza jej, która wkrótce tak nadzwyczajne znaczenie i wpływ pozyskać miała, panna Urszula Meyerin. \* Arystokratycznej postaci, poważna, pięknego oblicza, rozumu wielkiego, na dworze rakuskim wychowana i wyćwiczona, pobożna wielce i jezuitom oddana, zajmowała i przy królowej, i przy dzieciach stanowisko wyjątkowe. Wszyscy, nie wyłączając króla, byli dla niej z respektem nadzwyczajnym. Domyślano się w niej jakiejś krwi kropelki, która ją z domem cesarskim łączyła. Rzeczywiste jednak znaczenie nadawał jej rozum, nauka i charakter. Radzono się jej we wszystkich sprawach, nawet Kościoła i królestwa tyjących, A tajemnic dla niej nie było żadnych. Wpływ jej na króla, z każdym dniem rosnący, był ogromny. Przez nią można było uzyskać wszystko, nic bez niej. Małomówna, uprzejma, ująć się nie dająca lada pochlebstwem, pełna powagi, panna Urszula naówczas jeszcze i pięknymi, Acz zimnego wyrazu rysami twarzy się odznaczała. Najznakomitszych rodzin synowie ubiegali się o rękę jej, Ale Ani o tym słuchać nie chciała. Ulubieńcem jej, Ale jako wychowaniec tylko, był młodziuchny syn pierwszej kólowej Anny Władysław, którego prowadzeniem, choć się niby Prowancy-władysławowski \* zajmował, Ale panna Urszula miała nadzór nad nim zwierzchni. Nie było na dworze nikogo, co by jej nie ulegał i nie słuchał, królowa Konstancja, król, duchowieństwo, urzędnicy. Rozkazywała tu niemal samowolnie. Trzeba też dołożyć, iż oprócz nadzwyczajnej dla jezuitów powolności, nic jej zarzucić nie było można, żadnych frymarków Ani chciwości, Ani nawet zbytnej chęci popisywania się z władzą swoją.

Urszula Meyerin - jej wpływ na króla oraz na wychowanie synów Władysława i Kazimierza był rzeczywiście ogromny.

Prowancy Gabriel - nauczyciel dzieci królewskich: po uszlachceni w roku 1609 przyjął nazwisko Władysławowski od imienia królewicza Władysława.

Prawie obok niej w łaskach pana stał Bobola, podkomorzy koronny, dworak niezmiernie zręczny, osobiście królowi dogodny swą służbistością, i Włochem przezywany margrabia Myszkowski, marszałek koronny, o którym powiadano, że więcej u niego pies włoski niż dziesięciu Polaków ważyło. Ci razem z królem po całych dniach się zamykali, dopomagając mu do Alchemicznych doświadczeń, grając z nim w kręgle, w karty, przypatrując się jego próbom złotniczym lub słuchając muzyki. Tej król był namiętym niemal miłośnikiem, A śpiewaków i

śpiewaczki kosztem wielkim z zagranicy sprowadzał; dopomagał mu w tym także swego czasu muzyków miłośnik Kostka. Słynęli naówczas do kapeli króla należący Claboni, Diomedes Kato (od Kostki na dwór wzięty), Ades śpiewak, Falvio, stary już bardzo Marcin Leopolda, znakomity Sandomierzanin Tobiaszek, Szymon z Piątka i mnóstwo innych. \* Muzyka w kościele, na zamku i w pokoju samego pana, który grywał także, każdego się dnia słyszeć dawała, a niekiedy i w naumyślnie urządzonej teatrze.

Wszystko to są historyczne nazwiska śpiewaków i muzyków dworskich Zygmunta III.

Ci, co króla bliżej znali, wiedzieli, że tłumnych a gromadnych, wrzawliwych zabaw nie lubił, a przynosił nad nie ciche i w małym kółku poufałych ludzi. Rzadko bardzo jednego lub kilku duchownych nie znajdowało się na pokojach, po większej części jezuitów zakonu, który mu służył gorliwie, ale też sobie służyć kazał i korzystał z nieograniczonego wpływu swojego.

Wśród imion osób do tego zakonu należących, a królowi najmiłszych, na których czele stał ojciec Bernard, spotykamy i sławne księdza Piotra Skargi. Miał król dla niego, i dla osoby, i dla znakomitego wymowy daru, szacunek największy, lecz ojciec Skarga nigdy wpływu szczególnego nie wywierał na króla ani się starał o to. Wiadomo, że zapytywany o łaski, jakie u króla sobie wyrobił, przyznawał się do tego, że staremu woźnicy, który go przez lat trzydzieści powoził, kawałek chleba łaskawego wyprosił. Tak było w istocie; na kazalnicy wszechmogący Skarga się nie mieszał do spraw powszednich; posyłał go czasem król, jak do rokoszan do Stężyicy, ale z małym skutkiem. Do takich robót, w których więcej przebiegłości było potrzeba i wyzyskiwania słabości ludzkich niż daru otwartego przekonywania, miał król innych w zakonie ludzi. \*

Opinia ta nie jest ścisła. Działalność Skargi, a także jego "Kazania sejmowe", oprócz cech religijnych i patriotycznych, miały całkiem wyraźny charakter polityczny, pokrywający się z dążeniami jezuitów i stronnictwa regalistów.

Na zamku, pomimo iż się wybierano na wojnę, Bajbuza wcale nie postrzegł przemagającej rycerskiej ludności, a ta, która się ukazywała, była jakby w gościnie. Uderzyło go to nieprzyjemnie też, o czym słyszał dawniej, że z pogardą obyczaju domowego, wszystko, szczególnie na dworze królowej, cudzoziemsko, niemiecko wyglądało i butnie nosiło tę swą cechę obcą, niby wyższość jakąś nadającą. Łatwo się domyśleć, że ci, co się przypodobać chcieli, strój przejmowali, język nałamywali i stosowali się do smaku królowej szczególnie, bo ta się nie tała z odrazą ku wszystkiemu, co polskie, i jej winien był Jan Kazimierz, swą nietajoną niechęć dla szlachty, z której się tu jawnie naśmiewać we zwyczaj było. Włoch trefniś dworski, Rialto, który łatwo przejmował i potem naśladował miny, chód, mową krzykliwą, ruchy szlachty, tym sobie

największe łaski pozyskał. Nie oszczędzał on nikogo i poczynając od chodaczkowych biedaków, tak dobrze przedrzeźniał Ostrogskich i Radziwiłłów, jak innych.

Bajbuzie na pierwsze wejrzenie się tu podobać nie mogło, w oczach dworaków czytał ich niechęć ku Polakom, teraz jeszcze rokoszem podburzoną i nie znającą granic. Królowa chodziła gniewna, król posepny.

Gwałtowność jednak wystąpień przeciwko Zygmunтови, takich jak Radziwiłła, bardzo wielu zwróciła z drogi rokoszu do króla.

Rotmistrz tego dnia widział się z hetmanem i odebrał od niego rozkazy, które jednak pozostały tajemnicą. Aż prawie do samej chwili wyjazdu z Warszawy.

Z panów senatorów naówczas niektórzy, widząc, że na starcie i walkę się zanosi, słysząc, że pod Lublinem siła już rokoszan było, a pod Sandomierz większej jeszcze się liczby spodziewano, wahali się, czy mieli towarzyszyć królowi na wojnę domową. Wymawiano się to zdrowiem, to nieprzygotowaniem.

Dostał tego zaszczytu nasz rotmistrz, iż ze swymi kopijnikami, razem ze strażą przyboczną króla, z nim miał ciągnąć. Dziwnym to się jemu, Szczypiorowi i ludziom zdawać musiało, bo dotąd nigdy tak blisko króla się nie znajdowali, a znaleźli się otoczonymi ludźmi, którzy na nich niemal jak na rokoszan spoglądali nieufnie.

Chwila wyjazdu była uroczystą. Czuł król i ci, co z nim szli, że krok, jaki uczynić mieli, ciągnął za sobą nieobrachowane następstwa. Było to wystąpienie przeciwko narodowi. Pozwany przed sąd, król odpowiadał, biorąc za oręż w obronie dostojenstwa swojego. Tłumaczyło go to, iż znaczna część narodu przy nim stając, zmuszała go niejako do objęcia dowództwa.

Spokojny ten pan, pierwszy raz we zbroi i hełmie mający dosiąść konia, płacząca z gniewu i obawy królowa, żegnające go dzieci, duchowni, dwór, który pozostawiał, składały się na obraz przejmujący i smutny. Wśród otaczających, którzy królowi towarzyszyli, jak Żółkiewski i sędziwy Hieronim Gostomski, wojewoda poznański, nie widać było ożywienia, zapału, ale smutek jakiś i zadumę.

Nie wątpił Żółkiewski, że rozprószy tych, którzy by się ośmielili wystąpić czynnie przeciwko królowi, ale ostateczność wojny bratniej była boleśną. Trafiało się, że wojujące z sobą rodziny, jak Stadnicki z Drohojowskimi, całe pólki stawili przeciw sobie, ale to były małe utarczki i waśnie, gdy tu zapowiadała się wojna krwawa i zjadła.

W milczeniu ponurym wyciągano z Warszawy i dopiero w tej chwili ostatniej gruchnęła już nie tajona wieść, że wojsko ciągnie przeciwko rokoszanom.

Zebrzydowski wcale się tego nie spodziewał, rachował na poselstwa, układy, targi, zwłoki, ale nigdy na tak energiczne wyciągnięcie w pole, które przypisał Żółkiewskiemu. W istocie jego

ono było dziełem. Po ogłoszeniu rokoszu nie zostawało nic, tylko za oręż pochwyć i zapobiec wojnie, okazując gotowość do niej. Miał jeszcze pięciuset ludzi swoich w Krakowie wojewoda, gdy go doszła wiadomość, że król z Żółkiewskim ciągnie wprost na Kraków. Tu zaś usposobienie umysłów nie było wątpliwym: Lubomirscy, Tęczyńscy, Myszkowscy, Potoccy, głośno się oświadczały z królem iść. Obawiając się swych żołnierzy tu stracić, Zebrzydowski pośpieszył z wyprowadzeniem ich ze stolicy.

Już w drodze dowiedział się o tym król przez Stefana Potockiego, starostę Felińskiego, który ze znacznym oddziałem wyszedł na jego spotkanie i połączył się z siłami, jakie król prowadził z sobą.

Rokoszanów część z Zebrzydowskim stała pod Wiślicą. Wojewoda krakowski, cofnąć się już nie mogąc, nie tylko nie złagodniał, lecz idąc za własnym popędem, postanowił z największą gwałtownością nastać na pozew królowi wydany. Był przekonany, że Zygmunt wojny domowej się ulęknie.

Cała ta podróż z Warszawy do Krakowa dla Bajbuzy była nowością i nauką, gdyż otoczonym się widział ludźmi, z którymi dotąd żadne go nie łączyły stosunki. Oprócz pułków kwarcianych hetmana, ci, których król prowadził z sobą, dowódców mieli cudzoziemców, znaczniejszą część pod chorągwiami Szlązaków, Morawian, Niemców, którzy się od Polaków odstrychali. Spoglądano na siebie nieufnie, na obozowiskach wybierano sobie miejsca jak najdalsze, co dzień zachodziły właśnie krwawe i zatargi u łada wodopoju i pastwiska. Ani z jednej, ni z drugiej strony w ciągnięciu śpiew się wesoly nie odezwał. Polskie tylko pułki z rana wychodziły z "Bogurodzicą", której stary obyczaj wojskowy odżywił Nowodworski, \* drukując ją dla żołnierzy. Brzmiała ona jak modlitwa i śpiewano ją ze skupieniem ducha, jak w kościele. Gdy ona raz przebrzmiała, wlokły się regimienta milcząco, ponuro, A Bajbuza w małej gromadce swoich osobno szedł, więcej się przypatrując drugim, niż zbliżając do nich.

Nowodworski - Bartłomiej Nowodworski, znany w tym czasie z męstwa i przygód rycerskich, fundator szkoły w Krakowie, która wzięła nazwę od jego imienia. Według ówczesnych danych miał istotnie kosztem swoim wydrukować pieśń "Bogurodzica" i rozdawać ją między żołnierzy.

U boku tylko hetmana miał dawnych znajomych, którzy go z jednej strony znali jako odważnego i doskonałego dowódcę, z drugiej, o czym nawet głośniejsz było, jako nieco postrzelonego człowieka, który prawdy szukał, z sumieniem miał nieustannie do czynienia, surowy obyczaj zachowywał jak mnich, A dla Rzeczypospolitej swej krew i mienie gotów był poświęcić.



- A, Bajbuza, Bajbuza! - powtarzano z przekąsem. - Rotmistrz, co z kopijnikami na własnym koszcie staje, gdzie tylko o wojnie zasłyszysz i o żołd się nigdy nie upomina, do żadnego związku naszego nie chce należeć, A w głowie ma pstro!

- Pstro, pstro - mówili drudzy - A mimo to człowiek rozumny! Hetman Zamoyski cenił go bardzo wysoko. Dziwak, toć prawda, Ale dobrze mu dziwaczyć, bo ma, słyszę, grosza dużo, A na siebie go nie wyda.

- He? Bajbuza? - wyśmiewali się inni, nazwisko dziwnie brzmiące wyszydając. - Powinien sobie za kapelana wziąć księdza Kapustę, A za chorążego Bandurę.

- Chorążym u niego Szczypior - poprawiał ktoś z boku - A chorągiew w takim ładzie i dostatku, jak żadna druga. Dla ludzi ostry, gdzie o powinność chodzi, Ale płaci dobrze i na żołd nie czekają, bo ze swego mieszka go daje.

Inni po cichu pomrukiwali o nim, o Spytkowej, o Spytku, bo po ludziach chodziło coś. Spoglądano na niego ciekawie. Czasem wieczorem się kto do namiotu zbliżył, A przyjęto każdego bratersko, Ale spoufalić się z Bajbuzą było trudno, bo wiało od niego surowością jakąś niemal mniszą i rozmowa tłusta u jego stołu nie szła, A rycerskim obyczajem u nas zawsze się kończyło na podwice, choćby rozpoczęło od najpoważniejszej treści. Bluznął kto przy nim wyrazem grubym, marszczył się i spluwał rotmistrz; nie pofolgował nikomu. Więc choć go szanowano z daleka, nikt tak bardzo spoufalać się nie miał ochoty.

### Rozdział III

Nie nawykłym był król Zygmunt do zbyt serdecznego od tłumów przyjęcia, do okrzyków i objawów miłości. Spotykały go one bardzo rzadko, a i te mogły mu się nieszczerymi wydawać, bo usłudźni ludzie przynosili wszystko, co przeciwko niemu wymyślano. Żadna z tych obelg, którymi rokoszanie szafowali, nie pozostała dla niego tajemnicą. Powtarzano je, aby w nim niechęć obudzić tym większą ku nim.

Może po raz pierwszy za tego panowania wjazd do Krakowa mógł serce jego poruszyć. Wyszło mieszczaństwo, wyjechali senatorowie, wysypało się ludu mnóstwo, a król we zbroi, na koniu, otoczony rycerstwem, obudził zapał. Okrzyki żywe towarzyszyły mu. Uroczystym też był ten wjazd, niż się król spodziewał; znaczny zastęp wojska pięknego, jaki Zygmunt prowadził z sobą zwiększył się pod Krakowem pocztami licznymi i okazałymi, które na powitanie wyciągnęły.

Wspaniale wystąpił Myszkowski, marszałek koronny, królowi oddany cały, w ośmiuset ludzi doskonałej jazdy i piechoty, w nową barwę przybranej. Wyglądała ona z cudzoziemska, bo nigdy w Polsce piechoty własnej nie było, a ta, którą Stefan Batory począł zaciągać, na wzór niemiecki się zbroiła i ubierała, ale króla to razić nie mogło, bo ten strój i zbroja były mu najmilszymi. Piękny oddział towarzyszył księżęciu Kościoła kardynałowi Maciejowskiemu, którego dwór też i duchowny orszak okazałości dodawał. Stanisław Miński podkanclerzy, głuchy, ale bystry człek, ściągnął także chorągiew królowi w pomoc. Sebastian Lubomirski, kasztelan wojnicki, Jan z Tęczyna, \* nie licząc pomniejszych oddziałów, które razem zebrane siłę nie do pogardzenia stanowiły.

Wyraźny brak części zdania, które mogłoby brzmieć: "...wystawili też swoje chorągwie..."

Szpiegi Zebrzydowskiego z Wiślicy tu podesłane niezbyt musiały miłym okiem na te tysiące spoglądać, których policzyć było trudno. Lecz zdawało się Zebrzydowskiemu, otoczonemu najzuchwalszymi z rokoszan, któremu Herburt, Stadnicki i Smogulecki wmawiali, iż ustępować nie powinien bynajmniej, że zuchwalstwem nadrabiać było potrzebą i najlepszą rachubą. Wmawiali sobie, iż to wystąpienie Zygmunta tylko na postrach było wymierzone, a nie dając się ustraszyć i występując jawnie, było najpewniej zapobiec wojnie.

Postanowiono więc wyprawić ponownie do króla poselstwo z tym pozwem przed sąd, którego jeszcze formę zaostrzono. Smogulecki wysilił się na to, aby królowi dać uczuć, że się go nie lękają. Więc po radziwiłowsku sobie począł. Powoływał króla przed rokosz jak przed najwyższego sędziego, oskarżając o złe rządy Rzeczypospolitej, o złamanie wiary, o gwałt praw i nadań odwiecznych, o powodowanie się złym doradcom.

Przyniesiony pozew ten do Krakowa obudził oburzenie. Myszkowski i wielu z nim chcieli, aby król gromem i groźbą odpowiedział rokoszanom. Wojska już stały gotowe do rozprawy, nie

należało rebelizantów oszczędzać. Za tą radą jednak król nie poszedł, chcąc wszelkie środki powolniejsze wyczerpać. Żółkiewski zachował się neutralnie; głosowali inni, król się utrzymał przy swoim, odkładając, jak był zwykł, dając czas do namysłu. Odpowiedź króla była wymijającą, zdawał ją na senatorów i za ich radą pójść przyrzekał, napominał o to, Ażeby zuchwalstwem nie doprowadzono do ostateczności.

Gdy tu ważyły się zdania i przepowiednie, tymczasem rokosz się wysiłał na to, Aby okazać groźnym. Miał zjazd lubelski prawo zwoływania rokoszu? O to nie pytał nikt, Ale po całym kraju szło, iż pod utratą czci i majątku wszywscy się stawić pod Sandomierz byli powinni. Szlachty wiele ulękło się. Ci, co nie chcieli rokoszu, jechali z obawy, Aby górę wzięwszy, nie mścił się na obojętnych. Herburt wołał głośno, że neutralistowie gorsi są od jawnych nieprzyjaciół. Radzi więc nieradzi ściągali się pod Sandomierz.

W odpowiedzi na ten wjazd królewski do Krakowa, który był okazem niemałej siły, stojącej przy Zygmuncie, pod Sandomierz prowadził sam Zebrzydowski osiem chorągwi piechoty, A sześć jazdy; książe Ostrogski, kasztelan krakowski, jednaście chorągwi piechoty, szesnaście usarskich i działa polowe; Ligeża, kasztelan Czechowski, w czterysta pieszych, półtorasta usarzów, sto kozaków. Wiódł także działa z sobą. Stadnicki miał sześć chorągwi Węgrów, osiem chorągwi usarzów, jedną kozacką, A dziesięć piechoty z nowymi, długimi muszkietami.

Pola pod Sandomierzem zaległy ufce, jakich nigdy przeciwko nieprzyjacielowi tak nagromadzonych nie widywano. Obozy pańskie, namioty, tabory, broń, zdawały się dla popisu umyślnie zebrane i wyzywały też króla, jakby mu chciały powiedzieć: "Patrz, że się mierzyć z tobą mamy czym."

Na żądanie hetmana wyprawiony Szczypior, gdyż nie chciano wierzyć pogłoskom, powrócił wrędcę nie onieśmielony, bo strachu nie znał, Ale nie tając podziwienia swojego.

- Być może, iż tam wśród tego ludu - mówił - pozbieranego naprędcę i po różnych kątach lichoty i ciurów dla liczby zaciągnięto wiele, Ale to wygląda bardzo wspaniale i jest ich ćma.

- Wiele tego może być? - pytał Bajbuza.

Kat ich wie, Ale z ciurami, czeladzią, dworakami, służbą, gdy na sto tysięcy głów ich policzę, nie skłamię. Mówią, że sześćdziesiąt tysięcy Akt rokoszowy podpisało.

Bajbuza ramionami zżymnął.

- A ład tam jaki? - zapytał.

- Na początek jest go dosyć, bo i przepisy karności wytrębywano i wybębniano, i sądy doraźne ustanowiono, Ale przewidzieć łatwo, że się to rozluźni i rozprzęże.

Szczypior musiał iść do hetmana; ciągnano go od jednego do drugiego z panów senatorów, Aby opowiadał. Przybywali też inni spod Sandomierza, mniej więcej jednakowo opisując, co się tam działo.

Nie można było tego zataić przed królem, iż rokosz przybierał groźne rozmiary i wcale się nie miał ku rozprężeniu, które mu zapowiadano. Posępne stały się oblicza, oprócz hetmana, który pod zarzutem, że kwarcianych ściągał nieprawnie od granicy, wcale się nie myśląc z tego tłumaczyć, dodawał otuchy drugim.

- Zbierana drużyna - mówił krótko - A że ją w nowe sukno flamskie poubierano, świeci to... Ano! Nie wszystko żołnierz co przy szabli chodzi; ja moich jestem pewnym, że darmo jej nie przypasali.

Senatorów, których miał u boku swego, zwołał król na radę.

Bajbuza tymczasem spoczywał i ludzi swoich opatrywał jeszcze lepiej, do czego mu się Kraków nadawał, bo tu i o oręż, i o wszelki przybór, i o płatnerzy łatwiej było.

Szczypior, powróciwszy, tak był dni półtora chwytanym i rozrywany, że się prawie z rotmistrzem na osobności rozmówić nie mógł. Jak go u Floriańskiej Bramy pochwycono, tak prowadzono Aż do dworku, A potem już mu tchnąć nie dali. Dopiero drugiego dnia z południa, sam zostawszy z Bajbuzą, odezwał się:

- A to dla nas, zaprawdę, miła rzecz, że z panem Spytkiem w jednym przyjdzie szeregu stać.

- Gdzie?

- Ano, gdy wyciągniemy w pole.

- A tyś go gdzie namacał?

- Widziałem go w kilkanaście głów przy Lubomirskim.

Rotmistrz wąsa zakąsił.

- Niech sobie będzie, kędy chce - rzekł po namyśle. - Ja tyłkom rad wiedzieć, gdzie stoi, Aby w tamtą stronę nie patrzył.

Udawał rotmistrz, że mu z tym było, jak bez tego, Ale sam do siebie mówił:

- Otom wlaź! Przy pierwszym spotkaniu trzeba mu łeb rozwalić i zadać w oczy infamię. Co z tego będzie? Przecież on to powinien rozumieć i mnie unikać.

Zatem spytał Szczypiora nieco później:

- A wie Spytek, że my tu jesteśmy?

- Mnie się zdaje - odpowiedział Szczypior - że taki gatunek człowieka musi wiedzieć, co skórę jego obchodzi, Ano, z nim przecie nie gadałem. Kat go wie!

- Gdzieżeś go widział? Bardzo się on tu snuje?

- Przy Lubomirskich wisi, A czasem przy Potockich - zamruczał Szczypior.

- My tam go nie pójdziemy szukać, A że on mnie w drogę nie wlezie, tak mi się zda, chyba mu życie niemiłe było.

Tymczasem pobyt w Krakowie zbliżał się do końca. Senatorowie, chcąc rozbić rokosz, zwołali drugi taki zjazd do Wiślicy, tak że szlachty dużo zamiast pod Sandomierz ściągnęło się tutaj. Tu umysły były spokojniejsze, Ale i na warchołach nie zbywało, bo ich Zebrzydowski nadsyłał. Tak samo jak w Sandomierzu rokoszowi wojsko pościągane zewsząd dodawało powagi, do Wiślicy też posłano, naprzód hetmana z kwarcianymi w jedenaście tysięcy ludzi i dwadzieścia cztery działa, A obok niego stanęli wierni królowi Potoccy, Jan, starosta kamieniecki, Jakub i Stefan, którzy wszyscy kopijników samych prowadzili jak Bajbuza, tylko na setnie ich liczyli.

Niespodzianie więc dano znać z wieczora rotmistrzowi, że nazajutrz rano już ciągnąć było potrzeba. To go jednak najmniej obeszło, więcej daleko, iż mu się zdawało niekoniecznie dostojęństwu króla odpowiadającym takich środków się chwytać jak Zebrzydowski, A ponieważ go naśladować. Zamruczał pod nosem, że mu się to niedobrym widziało, Ale Szczypiorowi rzekł:

- My tu nie panowie rada, Ale żołnierze, więc na posterunek!

Ten dla kopijników na pagóreczku wśród błota i moczaru znalazł się pod Wiślicą, bo kwarciani i Potockich pułki co lepsze miejsca sobie zabrali.

I tu więc szlachta poczyniała się zjeżdżać, Ale tak różnej barwy, że w kole co godzina się można było spodziewać, iż za czupryny się chwycą.

Szczęściem mitygował dobrze wybrany marszałek Hieronim Sieniawski, cześnik koronny.

- Teraz - rzekł do Szczypiora Bajbuza, gdy już na pół w błocie namioty i szałaszy porozbijali - zobaczysz nową komedię, której takem pewny, jak zem żyw. Przyśle do nas Zebrzydowski, Aby nam pod gardłem stawić się kazać i pod infamią do Sandomierza. My do niego wyprawimy posłów, Aby szli na sejm sprawę toczyć, nie w takim kole rebelizantów. Potem pan Zebrzydowski nas złaje, A my jego, A potem...

- A potem co? - zapytał Szczypior.

- Zobaczymy - dokończył widocznie zniechęcony Bajbuza.

Najgorsza i nieprzewidziana rzecz była, że w samej Wiślicy szlachta już z głową rokoszem nabitą nie tylko króla znać nie chciała, Ale i panów senatorów gnała precz, słuchać ich nie myśląc. Rzucano im w oczy, że szpiegami króla i jego zausznikami byli. I tu, i tam dnie upływały na wrzawie i rzucaniu się do siebie wzajemnym.

Stadnicki tylko Diabeł, ze swą logiką diabelską, powtarzał: "Delenda Carthago \* czego czekać? Róbmy konkluzję rokoszu kaptur ogłosić, nową elekcję".

Delenda Carthago ( łac.) - Marcus Portius Cato ( Katon) ( starszy), rzymski mąż stanu, wielki wróg Kartaginy, kończył każdą swoją mowę powiedzeniem: Ceterum censeo Carthaginem esse delendam. ( Zresztą sądzę, że Kartaginę należy zburzyć). Skrót: delenda Carthago oznacza tu uparte, bezwzględne dążenie do jednego celu. Stadnicki uparcie i konsekwentnie dążył do detronizacji króla.

Ciągnęło się nudnie w Wiślicy, gdy dnia jednego Bajbuza poszedł do namiotu Żółkiewskiego.

- Chciałem prosić miłości waszej - odezwał się - jam tu tak dalece nie potrzebny, kopijników moich zostawiam, panowie senatorowie znowu jadą do rokoszan, pozwólcie mi im towarzyszyć, niech zobaczę, co się tam święci.

Hetman się rozśmiał.

- Abyście się nie dali nawrócić szagrowi mojemu! - odparł.

- O to obawy nie ma - otworzyście - rzekł Bajbuza. - Mnie i tu, i tam nie wydają się roboty udatnymi, Ale widzieć je... od tegom człowiek grzeszny!

Wziąwszy tylko dwóch z sobą najlepszych czeladzi, przyłączył się do orszaku senatorów Bajbuza, A że mu wojewoda ziem ruskich Goślicki \* znany był, z nim ruszył pod Sandomierz.

Omyłka Kraszewskiego. Ze strony senatorów posłował do rokoszan Stanisław Golski, wojewoda podolski, A nie Goślicki.

Tu żałował może, iż pojechał, bo do widzenia nowego nie było nic, tylko trochę rozrosła Stężyca. Ci sami ludzie, krzyki, zuchwalstwo i ciżba niesforna. Gdy się senatorowie od króla ukazali, A poznano ich, zaraz na wjeździe o mało nie ciskano błotem. Podnosiły się groźne pięście, krzyczano za nimi: - Lizuny królewskie! - błyskały szable z daleka, Ale to posłów nie nastraszyło. Juści choć bezpieczeństwa osób zdawali się móc być pewnymi.

Posłuchanie w kole na dzień następny dano, A wróżył Goślicki, że będzie co do przełknięcia. Puszczono ich i Goślicki czytał poselstwo ( od) senatorów, A Smorzewski, pisarz lwowski, od stanu rycerskiego, lecz z biedą im dano dokończyć. Smorzewski nie skonkludował jeszcze, gdy z koła szlachta jakby pijana, wprost z szablami dobytymi wypadła na Goślickiego i na gromadkę, z którą był Bajbuza. Ten też się miał do korda, A mógł sądzić, że ostatnia godzina wybiła, bo mogli ich na szablach roznieść w okamgnieniu. Na każdego z nich były tysiące. Skoczył w porę ze swymi ludźmi Radziwiłł, otoczył posłów nimi i za koło wyprowadzić kazał, gdzie straż postawił. Bajbuza mówić nie mógł z gniewu i gdyby nie to, że mu się posunąć nie dawano, byłby rzucił się i zginął.

Ledwie się to poczęło uśmierzać, gdy warchoły nierade, iż im się bez ran i krwi obeszło, za ławami senatorskimi siedząc, poczęli się z sobą kłócić i ucierać. Podniosły się głosy i wprost

łajania, kupa jedna cisnęła na drugą, A potem razem na senatorskie ławy. Zdawało się, że ich jakiś obłąd opanował.

Tu taka gąszcz była, że nawet rozpoznać nie mogli dalej stojący, kto z kim, na kogo szedł. Wszyscy się rwali do broni, do koni, do muszkietów, wywrócono ławy, powstał wrzask, zamieszanie. I znowu Radziwiłła zakłęcia, głos, jego ludzi wtargnięcie śmiało rozerwało już walkę bratobójczą, A bez celu. Wszystko to trwało dobry czas, tak że pod koniedc dnia nie było co robić, A posłowie też, nie mogąc się pokazywać, odprowadzeni przez Radziwiłłowskich ludzi, pojechali na kwaterę, przy której im straż postawiono.

- Panie wojewodo - rzekł do Goślickiego rotmistrz, gdy na miejscu stanęli - święte to są słowa nieboszczyka hetmana Zamoyskiego, za Batorego wyrzeczone, że zmać wodę lada żaba potrafi, Ale ją uczynić spokojną i czystą i mądrym trudno.

Nazajutrz posłowie do koła nie mieli po co iść. Odpowiedź, jaką im dać miano, chodziła już po obozie. Rokosz się nie cofał. Królowi przykazywano rozpuścić wojsko natychmiast i w pięć dni stawić się pod sąd panów rokoszanów, szczęściem jeszcze, że nie z powrozem na szyi i boso.

Wojewoda ruski, odbierając ten skrypt od Radziwiłła, nie okazał po sobie nic. Kazano konie siodłać.

Przez dzień oczekiwania Bajbuza nie próżnował. Wśród stu tysięcy głów nie poznanemu przejść i rozsluchać się było łatwo. Mało kto go tu mógł po nazwisku wiedzieć, A mniej było jeszcze takich, którzy o obrotach jego byli uwiadomieni. Uchodził więc za rokoszanina i słuchał bezpiecznie rozpraw w polu i w kole.

Widocznym było, że ognia podkładano, bo miejscami szlachta zrażona chciała się do domów rozjeżdżać:

- Dla prywaty swej nas ciąga Zebrzydowski, Herbert i drudzy; solą im w oku, że starostwo rawskie dał król Stefanowi Potockiemu itp.

Tym, z czym wracali do Wiślicy, nie było się chwalić, Ale tu się może innego nic nie spodziewano. Bajbuza, jak stał, poszedł do hetmana. Żółkiewski, choć wiedział, co się działo, ciekaw był, co mu stary żołnierz powie.

- A cóż, rotmistrzu?

- Co? Ludzi siła, zwłaszcza gąb niecierpliwych - rzekł Bajbuza. - Są i chorągwie nie do pogardzenia, Ale pospolity lud niewiele wart. Nie trzeba się likiem trwożyć, bo choć nas mniej, Ale my silniejsi jesteśmy.

- Dajby to, Boże! - westchnął Żółkiewski.

- A mnie się zda, że do boju nie przyjdzie; będą się srożyć do samego końca, A gdy działa zagrają, nie dostoją. Niech tylko król nie mięknie, bo na jeden włos ustąpiwszy im, wszystko stracone.

Z obu stron nastąpiło jakby zawieszenie dalszych kroków.

Bajbuza chodził i ziewał. Jednego dnia, gdy tak około zamku i kolegiaty wiślickiej, murom się przyglądając, chodził błędny, na podwórku kościelnym nastęczył mu się ksiądz Skarga. Szedł z brewiarzykiem do kościoła wśród ciszy odmawiać godziny, bo na zamku pokoju nie było. Postrzegł rotmistrza, o którym słyszał, że do rokoszan jeździł, A pamiętał go z dawna, i zatrzymał się. Bajbuza przystąpił do niego.

- Cieszy mnie to bardzo - odezwał się ksiądz Piotr - że ja was tu widzę z nami. Wielu się dało na piękne A zawodne wężowe słowa pochwycić. Smakuje Aurea libertas, pięknie się wydaje równość i nieposzanowanie Ani godności, Ani wieku, Ani zasługi, Ale to małych umysłów i serc rzecz w tym się kochać. Byliście, słyszałem, w ogniu rokoszowym?

- Alem nie poparzywszy się, wrócił - uśmiechnął się rotmistrz. - Dobrze by temu koniec raz położyć, bo później co dalej będzie, to trudniej. Król łagodny jest.

- Nie szkodzi to - rzekł Skarga - A na wiele się oglądać musi. I ci, co z nim są, nie wszyscy z sobą zgodni, nie na jedno przystają. Książę Ostrogi chce pośredniczyć, A mąci... innych też wielu.

Tu ksiądz Skarga oczy spuścił i przypomniawszy sobie zapewne widoczne ostygnięcie kardynała Maciejowskiego, nie dokończył już.

W chwilę potem oczy powoli podniósł:

- Wyście z panem Żółkiewskim?

- Tak jest.

- Królowi zbywa na ludziach, co by mu uczciwą A beznamietną prawdę o ludziach i sprawach mówili. Panowie senatorowie z góry patrzą i wierzchołki tylko widzą. Nie byłoby wam wstrętnym przed królem stanąć i czasem mu powiedzieć, co u was w wojsku chodzi, jak wy się na to zapatrujecie?

Zmięszał się Bajbuza nieco.

Ja bo dworakiem nie byłem i nie potrafię być - rzekł. - Prawdę inaczej, jak całą, powiedzieć nie umiem. A na co się zdało to, co ja królowi przyniosę?

- Aby wiedział, co jego naród myśli, pragnie i sądzi - rzekł Skarga. - Nie on naród, który mu grozi i bezcześci, Ale ten, co go szanując, może nie tak widzieć, jak on, najlepszy pan.

Spojrzał na zadumanego rotmistrza.

- Ojczy mój - odparł Bajbuza - Gdy mnie król zawoła, A pytać będzie, pewno nie zamilczę.



- Pamiętajcież, iżeście mi to przyrzekli.

To mówiąc Skarga zwrócił się ku kościołowi, A rotmistrz do domu. W głowie mu się to nie mogło pomieścić, Aby do pana miał być przypuszczonym. Dumnym wcale z tego nie był, ważył po swojemu, jak ciężkie to wkładało na niego obowiązki. Rad by wypowiedział się Szczypiorowi, Ale z drugiej strony milczenie też zdawało się obowiązkiem.

Nazajutrz komornik królewski przyszedł po niego, do marszałka Myszkowskiego prosić na zamek. Wiedział już, co to znaczyło, Ale omylił się, sądząc, że go wprost puszcza do króla. Myszkowski owemu człowiekowi do pana przystęp mając ułatwić, potrzebował się o nim dobrze zapewnić. Włoch wyobrażał sobie w Bajbuzie wedle opowiadania księdza Skargi, szlachcica z prostym rozumem domorosłym, A nie spodział w nim wykształconego we włoskich też uniwersytetach i podróżach oryginała, który jak pszczoła zbierał miód, nie patrząc kwiatów, i świat znał tak dobrze, jak on. Powierzchność, gdy wszedł ogromny, siwiejący, niepiękny, A dumno patrzący człek, nic mu nie oznajmiła. Myszkowski całe Włochem się wydał rotmistrzowi.

- Jakież jest curriculum vitae wawsze - odezwał się dość grzecznie do wchodzącego. - Ksiądz Skarga wielce nam waszmości poleca.

- Łaskaw jest - odparł Bajbuza dosyć obojętnie. - Prosty ze mnie człek, A pospolicie mnie dziwakiem zowią. Podróżowałem wiele, uczyłem się siła, A nie umiem nic, krom może szablą władać; A mam ten nałóg brzydki, że co myślę, to mówię.

Myszkowski przystąpił bliżej i zagadnął go po włosku:

- Toście się na kortedzianina nie zdali!

- I ja tak sędzę - rzekł Bajbuza. - Dlatego nigdy dworu nie szukał.

Zamyślił się Myszkowski.

- Cóż mówicie o terażniejszych sprawach? - spytał.

- Smutne są tak - rzekł Bajbuza - że i "Treny Jeremiaszowe" Wacława z Szamotuł, \* które Tobiaszek śpiewa, smutniejszymi być nie mogą.

Wacław z Szamotuł - muzyk polski za czasów Zygmunta Augusta. Napisał muzykę do wielu pieśni religijnych.

- Prawda - westchnął Myszkowski - A rada na to jaka?

- Mnie o nią chyba nie pytajcie - odezwał się Bajbuza. - W początkach obwiniałem strony obie, zdało mi się, że i król powinien był warchołom folgować; dziś już nie czas, bo wszystko wywróca. Nie o samego króla idzie, Ale o Rzeczpospolitą. Obawiają się Rakuszan; cóż gdyby dziś na nas padli rozbitych na obozy? Łatwe by mieli zwycięstwo.

Myszkowski ciekawie słuchał.

- Biedny jest ten pan nasz - dodał. - Litość obudza. Męczeński to tron, jako ruszt Wawrzyńca. \*

święty Wawrzyniec, diakon rzymski, został spalony na ruszcie w roku 258 n.e.

Poszła powoli rozmowa o ludziach i o rzeczach. Myszkowski rad, że mógł po włosku się z nim porozumieć, bo się służby lękał, Aby nie podsłuchiwała, bardzo sobie upodobał Bajbużę.

W końcu rzekł:

- Dobiorę chwilę, gdy was królowi przedstawię. Będzieli pytał, mówcie mu prawdę, Ale z należną majestatowi powolnością. Nie zaszkodzi wam łaska królewska, bo nie wiem, Ażebyście już cokolwiek wysłużyli, choć wiem, że zasługi macie.

- Pozwolisz mi, miłość wasza - prędko wtrącił rotmistrz - iż tę rzecz objaśnię. Po rodzicach wzięłem mienie znaczne, nie mam ni żony, ni dzieci, chleba podostatkiem, więc łaską nie gardząc, potrzebnym ( tu: potrzebującym - przyp. red.) jej nie jestem.

Myszkowski się uśmiechnął.

- Heroizmus to zbytyczny - rzekł. - Biorą bogatsi od was - dorzucił - Ale taka bezinteresowność nie szkodzi też.

Spytał potem, gdzie by go szukać należało.

- Przyprowadziłem stu kopijników hetmanowi - rzekł Bajbuza - u niego się o mnie zawsze dowiedzieć można.

Tak pierwszy krok uczynił mimo woli swej rotmistrz, A czy mu bardzo rad był, trudno sądzić było. Chmurny chodził i milczący.

Gdy się to działo w Wiślicy, pomiędzy nią A rokoszem ciągle krążyły bezskuteczne poselstwa. Król tym umiarkowańszym być musiał, iż czuł i wiedział, że wielu jego zwolenników gorących stygło. A gdy z jednej strony Zygmunt nie był spokojny o przyszłość, Zebrzydowski też zawieruchę wprawdzie wywołał, Ale co dzień dawał dowody, że nią rządzić nie umiał. Chciał władzę wszelką w rękę swym skupić, Aby potem Albo królowi się sprzedać, lub go obalić. Zaczynano to wietrzyć i przeciwko niemu też podnosiły się głosy. Nie bez wpływu były poselstwa króla cierpliwe, poważne A karcące; wszakże domyślał się, że pewną siłę miał za sobą, A nie lękał się pogróżek. Wedle zwyczaju ciągle wojewoda tajemnicami jakimis, które miał objawić kiedyś, potrząsał, A nie mówił nic; zaczęto naglić, Aby raz tej niepewności koniec położył.

Po tylokrotnych już rejestrowaniach grawaminów przeciw królowi, przystąpiono do spisywania ich na nowo. Znaczyło to, że układać się chciano. Zaniesiono je do Wiślicy, poszła odpowiedź zimna. Król nie był dalekim od rozpoznania tych zażaleń, Ale sposób, w jaki mu je rzucano zuchwale od zjazdu, który się samowolnie zwołał, nie mógł być uznanym. Inaczej trzeba było przedsiębrać naprawę Rzeczypospolitej.

Wszystko to, choć nie obrachowane, Ale zbytnio się przeciągając, polską wytrwałość wyczerpało. Z tłumów zebranych już część tylko na placu stała. Z tej części, która na próżno chodziła do koła i powracała z niczym, częśćka już po szałasach i namiotach siedziała przy piwie i Radziwiłł przybywał do koła, A w nim nie znajdował nikogo. Ostyganie było widoczne. Skończyło się na rozpaczliwym uniwersale do rokoszowego pospolitego ruszenia pod Sandomierz w październiku, gdy już trawa wyschła, A wichur zimny w polu stać długo nie daje.

Król tymczasem, nie widząc sposobu dokończenia sprawy inaczej, za poradą Potockich, za zgodą Żółkiewskiego, zabierał się wyruszyć z Wiślicy.

Dniem przedtem Bajbuza, leżący w namiocie z księgą pod ręką, został na zamek wezwany. Komornik szepnął mu:

- Nie zawadzi się tak odziać, Abyś miłość wasza nie potrzebował wracać do domu.

Zrozumiał to rotmistrz i ubrał się dostatnio, bogato, Ale niepokażno, A czarno, bo ten kolor nad inne przekładał.

Czekał na niego w swej izbie marszałek. Dzień się miał ku wieczorowi.

- Do króla Jego Mości prowadzę was - odezwał się Myszkowski. - Jutro wyciągniemy w pole, kto wie, czy się rychło nadarzy zručność, A Jego Królewska Mość z zalecenia księdza Skargi kilka razy o was pytał.

Gdy weszli, siedział Zygmunt u stołu, z twarzą bladą, spokojną, ułożoną tak, Aby nie zdradzała myśli, i dawszy sobie przedstawić Bajbuze, rękę mu dał do pocałowania. Był to już dowód życzliwego usposobienia. Marszałek cofnął się powoli, zostawując ich samych, chociaż zdało się rotmistrzowi, iż go czuł za zwieszoną we drzwiach oponą.

Postać królewska oprócz dostojności, którą wyrażać chciała, nie mówiła nic, Ale wejrzenie było bystre i żywe i twarz rozumna. Strój zwykły cudzoziemski, ciemny, białe bardzo ręce, z palcami długimi, na których parę pierścieni świeciło, lice też nieco żółte i beze krwi jeszcze jaśniejszymi czynił. Na szyi miał król łańcuch, który zdawał się zegarek jajowaty, umieszczony za spięciem, utrzymywać. Na stoliku przed nim stał krucyfiks z kości słoniowej, pod którym z kamieni i złota różaniec spoczywał rzucony, książka z klamrami złotymi tuż obok, była, z pozoru sądząc, pobożną.

Słabym głosem, cicho, rzucił Zygmunt kilka pytań, dotyczących się osoby rotmistrza, na które on odpowiedział wcale nie strwożony. Zagadnął potem, czy był w rokoszanów obozie i co o nim sądził.

Bajbuza mówił o liku wielkim, A małym porządku, dodając w końcu, że im się ostateczna rozprawa przeciągała, tym król pewniejszym być mógł zwycięstwa, bo rokoszanie, wielce już znużeni, narzekali.

- Lecz niech nas Bóg uchwata od tego, Abyśmy Aż orężem krnąbrne karki uginać mieli - westchnął Zygmunt.

- Smutna by to była ostateczność, lecz Zebrzydowski i mała jego gromadka, przywódców, nie spodziewając się przebaczenia, któż wie, do jakiej ostateczności się rzuci.

Pomiędzy zadawanymi pytaniami, odpowiedziami i nowym badaniem, wiele upływało czasu, król ważył słowo każde, mówił nieśmiało, A ograniczał się bardzo niewielu słowami. Z pozorów sądząc, wnosić było można, iż dosyć dobrej był myśli.

Po kilkakroć, gdy Zygmunt o sprawę rokoszową zagadnął, rotmistrz odparł:

- Najjaśniejszy Panie, jam żołnierz, nie przypisuję sobie, Abym jasno widział. Daleko trzeba szukać przyczyn tego niepokoju, A przyszłoby może obwiniać tych, co nie przewidywali, jak niebezpiecznie z ogniem igrac. Dziś pożar płonie, wiatr dmucha, Ale zgasić jest w mocy waszej.

- Siłą? - zapytał król.

- W ostateczności - rzekł rotmistrz. - A kto wie, czy i łaskawością nie dadzą się ująć zapamiętali.

- Stadnicki? Herburt? - odparł król, głową potrząsając.

- Ci są narzędziami w ręku innych - szepnął Bajbuza.

Na ostatek, nie wiedzieć już, jak do tego przyszło, iż król na leżące na stole grawamina wskazał i sam owe zarzuty frymarku korony podniósł.

Bajbuza nie mógł zmilczeć.

- To było początkiem - odezwał się Bajbuza - A na nieszczęście uczynił go ten, którego ja pamięć czczę, nieboszczyk hetman Zamoyski; lecz nie spełniłże on obowiązku i mógłże on to utaić? Przebaczysz mi Wasza Królewska Mość, w tym nie on winien.

Spuścił oczy Zygmunt i zamilkł; odezwanie się to otwarte dało mu miarę człowieka, lecz nie rozgniewał się.

- W początkach i ja - rzekł - z innym wyobrażeniem o Polsce przybyłem do niej. Źle mnie informowano. Godziwym sądziłem, co niemożliwym było. - Westchnął. - A ten wstręt do cesarskiego domu? - rzekł cicho?

- Ten wiekami się tworzył - odezwał się Bajbuza. - Winniśmy rakuskiemu dworowi, że Węgry i Czechy dla nas stracone zostały. Polska się lękała o swoje swobody.

- Zbytek ich ma! - wtrącił król.

Na tym przerwaną została dosyć już przedłużona i nużąca dla Zygmunta rozmowa. Myszkowski wszedł razem z księdzem Bernardem, który wprost do króla pośpieszył. Wstał z krzesła Zygmunt i głową poruszeniem, A uśmiechem uprzejmym odprawił rotmistrza, który

natychmiast zniknął za oponą i odetchnął swobodniej dopiero, gdy się w podwórzu znalazł. Tu czekał na niego ksiądz Skarga.

- Byłeś u króla?- zapytał.

- Powracam od niego.

Badająco spojrzął mu w oczy, w których nic, może oprócz wielkiego nie wyczytał znużenia.

- Lękam się - odezwał Bajbuza - iż król na mnie wielkiego zawodu doznać musiał. Nadtoście mnie łaskawie mu polecili i nie spodziewał się pewnie znaleźć prostego żołnierza w zapowiedzianym mu domorośłym może statyście.

Z wolna rękę białą położył mu na ramieniu ksiądz Pawęski.

- Mój rotmistrzu - rzekł - wielkiej to ceny rzecz, gdy wiemy, iż z człowiekiem mamy do czynienia, który kłamać nie umie. Największa wasza cnota, że czystą prawdę z was dobyć można. Choćbyście nie powiedzieli nic nowego, powiecie wiele, potwierdzając to, co widzieli i czuli drudzy.

Bajbuzie, który z zamku na okolicę spoglądał i w blasku pogodnego wieczora rozłożone u stóp swych widział obozy, nagle się uradowało serce.

- Ojczy - rzekł - jutro na koń siadamy, jutro ja idę po rozkazy i nie potrzebuję myśleć, tylko o tym, Abym je spełnił. Co za radość!

- Taka, dziecko moje - odezwał się Skarga - jak zakonnika, który wolę swą złożył w ręce zwierzchnika i spełnia, co mu nakazują. Wszędzie zaprawdę tak jest, że rozkazywać chcą ci, co ciężaru władzy nie znają, A cieszą się, że słuchać mogą, tacy, co w sumieniu chcą być wolni.

I poszedł do kościoła, A Bajbuza pobiegł do namiotu, w którym Szczypior pod niebytność jego licznych towarzyszków broni przyjmował.

- Jutro więc w pochód! - zawołał, wpadając z młodzieńczą żywością Bajbuza. - Wieczór złocisty, dzień się nam obiecuje piękny, "omen" na wyprawę doskonały. Bóg da, że pokój przywrócim tej skołatanej, biednej Rzeczypospolitej naszej.

Kubek wziął ze stołu i nie mówiąc czyje: vivat! - spełnił go duszkiem.

- Vivat in Aeternum! \* - krzyknęli towarzysze.

Vivat in Aeternum! ( łac.) - Niech żyje na wieki!

## Rozdział IV

Pogodnym, prześlicznym rankiem jesieni, na równinach pod Wiślicą, Żółkiewski stanął z całą swą siłą na popis przed królem i w pochód przeciwko rebelizantom. Kilkanaście tysięcy jazdy dobornej, pancernych, usarzów, kopijników, kilka tysięcy piechoty, kilkanaście dział składały wojsko to całe, niewielkie liczbą, Ale nadzwyczaj świetne, w karności utrzymane, A strojne i zbrojne z przepychem, na który każda chorągiew się wysadzała, każdy pojedynczy żołnierz zmagął i łożył ostatki.

Przepyszne siodła, blachami objane srebrnymi i złocistymi, okrycia na konie szyte, rzędy świecące od drogich kamieni, czuby kosztowne na łbach rumaków, skrzydła usarzy, kopie złożone i malowane, z proporcami długo rozwiniętymi, zbroje szmelcowane i złożone rycerstwa, lamparcie i tygrysie skóry, szyszaki z piórami, misiurki, tarcze malowane, sahajdaki szyte bogato, wszystko Aż do strzemieni złożonych na turecki kształt wyrabianych misternie, składało się na obraz do tego podobny, który ujrzawszy na granicy Henryk Walezy, zawołał, że tu dopiero uczuł się królem.

Tu też nierycerskiego ducha Zygmunt Waza uczuł może, iż temu narodowi rycerzy panować było zaszczytem, Ale myśl tę zatruwało, iż znaczniejsza część jego stała w obozie przeciwnym. W tej jednak chwili wojsko, któremu hetman dowodził, zdawało się i potężne, i niezwyciężone, A król idący z nim razem stał za mnogie pułki. Nie bez wewnętrznego wzruszenia, po błogosławieństwie w tym kościele, który przypominał Łokietka i losy jego, siadł król na konia, otoczony przedniejszymi urzędnikami dworu swojego. Milczeli wszyscy, pochód ten był pogonią przeciwko zbuntowanej braci. W szeregach jej nie jeden, Ale tysiące miało rodzonych swych, pokrewnych, ukochanych, sprzyjażnionych.

Pękoślawski, starosta sandomirski, między innymi spoglądając z dala na pułki zadumany, szeptał do stojącego przy sobie Oborskiego:

- A co, jeżeli mi się brat Prokop nawinie? Pewnie on mnie oszczędzać nie będzie, A ja?

Tu się przeżegnał.

- "quod Deus Avertat!"

Z Pękoślawskim tym pewnie tysiące równie myślało. W szeregach przejeżdżający Bajbuza słyszał mruczących:

- Na swoich nam iść każą! Dla ich kłótni, że się jednemu chciało krzesła, drugiemu laski, jurgieltu Albo starostwa, A nie dano im, my się zabijać mamy? Brat brata?

- Nie będziemy się bić! - wołał rzeško drugi. - Niech się sobie kłócą i godzą, ja tam rodzzonego mam, mają ich drudzy. Gdy przyjdzie do rozprawy, A zatrąbią, staniemy i nie pójdziemy.

- A jak z dział do nas każe walić wojewoda? - wtrącił ktoś z boku.

Nastąpiło milczenie smętne.

Weselszy z ciurów wtrącił:

- Co wam głowy boleć mają o to, czego jeszcze nie ma i nigdy może nie będzie. Na to czas jeszcze i rozmyślać, i stanować. Ja też z Andruszką bym się nierad na polu spotkał.

- Ale bo nie pójdziemy - krzyczał inny - na swoich nie pójdziemy! Król ma na to Niemców, Szwedów, Szlązaków, ja nie wiem, może i Węgrów, niech tych popchnie.

- Aha - zaśmiał się inny - i my z boku będziemy spokojnie patrzyli, jak te pludry, lancknechty naszych braci mordować będą. To także miła sprawa!

Na krótki czas widok tego wojska, które jesienne promienie słońca ozłacały i opromieniały jakimś blaskiem i świetnością, które w dumę wprawiały, rozweselił żołnierzy. W niektórych pułkach zanucono "Bogurodzicę", inne jechały milczące. Twarze się zaczęły okrywać chmurami, choć na niebie ich nie było i dzień był cudownie piękny, A powietrze jesienne jakby edo pochodu stworzone. Ale każdy, spoglądając przed siebie, widział tam, w sienie dali, jakby widmo obozu braterskiego, któremu Zebrzydowski dowodził.

Z tej niechęci do rozlewu krwi bratniej rodziły się mimo woli wątpliwości: Miałli król słusność, czy ci, co swobód odwiecznych narodu bronili? Kto tu walkę podzegał? Dysydenci, myśleli jedni, oo. Jezuici, szemrali drudzy. Tuż za królem konno jechało ich kilku nieodstępnych, A wśród tych, co sukni zakonnej nie mieli, pokazywano palcami przywiązanych i posłusznych zakonowi.

Gdy ci, co najmniej myśleć byli nawykli i ważyć czynności swoje, teraz zaczęli rachować się z sumieniem, cóż dopiero dźać się musiało z takim marzycielem, jak Bajbuza, który przez życie całe z sobą walczył, drogi szukając prawej A wąpiąc, czy ją znalazł? Przysłuchiwał się pilno każdemu szmerowi, "vox Dei" chciał z ust największych prostaczków wybadać. Przy nim jadący Szczypior wystawiony był na ciągłe pytania. Ten znowu, raz na koń wsiadłszy i otrzymawszy ordynans, tak już był spokojny w sumieniu, iż Ani sobie myślał łamać głowę, co dalej będzie.

Wojsko posuwało się, niezbyt pośpieszając, ku Połańcowi, w tropy za rokoszanami. Wszyscy dowódcy byli tego zdania, że raz trzeba było skończyć.

Ze strony rokoszan też szlachta, wsadzona gwałtem na koń, już się troskała wiele o gospodarstwo.

- Tu sam czas siać, rola jeszcze nie gotowa, jejmość z włodarzami rady sobie nie da, pośladami zasieją, rolę źle uprawią, A na przyszły rok choć rzepę suchą gryź, chleba nie będzie. Króla wypędzim może, Ale przyjdzie z głodu umierać.

śmielsi, z noclegów, gdy się im jejmość i dzieci przyśniły, do dnia wsiadali na koń, w las i do domu... Nie mogli wytrzymać dłużej.

Trzecim obozem \* królewscy stanęli w Połańcu. Znalezione dla króla dwór i wyporzędzono go jako tako, reszta leżała w polu, A noce były zimne.

Trzecim obozem - po trzykrotnym zakładaniu obozu; trzeciego dnia.

Tu nadciągnął z małym, jak na siebie, Ale świetnym poczem książę Ostrogski, kasztelan krakowski. Wszyscy widzieli go od początku niepewne zajmującego stanowisko. W obozie rokoszanów nakłaniał do zgody z królem, przy królu tłumaczył rokoszanów i namawiał do układów z nimi.

- Jam nie raz, Ale sto razy gotowość do nich ukazał, lecz trzeba, Aby i druga strona inaczej do króla swego przemawiała.

Rola ta pośrednika uśmiechała się księciu, wnosił, że to była właśnie pora, gdy ją powinien był wziąć na siebie. Zagadnął o to ojca Bernarna. Jezuita wprowadził go do króla, Ale ostrożność radząc. Szło o to, Aby książę i wschodniemu Kościołowi, i dysydemtom zbyt swobód nie wymagał poręczenia. Tymczasem jednak Ostrogski tylko ogólne przebaczenie chciał wyjednać, bezkarność, zapomnienie uraz, wynagrodzenie szkód rozdawnictwem starostw itp.

O to rozdawnictwo rozbiło się zaraz traktowanie.

- Mości książę - zawołał Myszkowski - więc nie dosyć przebaczenia za to, za co innego czasu na gardle karzą, trzeba jeszcze nagrodzić Zebrzydowskiego za bunt, A księcia Radziwiłła, że Najjaśniejszego Pana sodomczykiem nazywał?!

Nikt nie chciał słuchać takich zgody warunków i książę Ostrogski wyjechał z Połańca za rokoszanami, Ale bardzo jakoś prędko już nie sam, \* bo tu na niego patrzano krzywo, z listem tylko wysłał dworzanina. Donosił w nim, że rokoszanie gotowi byli o warunki się układać i godzili na zjazd w Iwaniskach lub Osieku, na który by z obu stron zjechało po czterech senatorów i tyluż ze stanu rycerskiego, z nie większym poczem nad dwóchset ludzi. Przez ten czas, gdy się umawiać miano, wojska z obu stron poza sobą swobodnie na picowanie, to jest po żywność wyjeżdżać miały.

Wyraźny brak orzeczenia: powrócił.

Ale królowi Osiek był już pod boki i stanowniczo wyprawieni, zażądał ( więc), Aby naznaczono w to miejsce Pokrzywnicę. Żądano glejtów, król nie widział ich potrzeby. Powolność ta Zygmunta, czy jakieś nowe rachuby kazały naprzód Zebrzydowskiemu zwlec układy, A nazajutrz uznano w propozycjach króla obrazę majestatu rokoszowego! A zatem nie było ze wszystkiego nic.



Wojsko dochodziło do Osieka, gdy krzątający się bardzo Ostrogski dał znać królowi, że rokosz do niego wysłał Pękosławskiego, Lubomirskiego i Jasickiego. Tymczasem wbrew temu oznajmieniu Bajbuza, wyprawiony na podjazd przez Żółkiewskiego, nadbiegł z wiadomością, że rokoszanie precz spod Sandomierza wyciągają i na wszystkie strony gońców wyprawiają o posiłki.

Żółkiewski rotmistrza, jak stał, zabłoconego poprowadził z sobą do króla, który jeszcze się był nie rozłożył.

Bajbuza mu opowiedział, co przynosił.

- Cóż myślicie? - spytał król.

- Ja - rzekł Żółkiewski - jestem tego zdania co rotmistrz ( wskazał Bajbuzę). Chcemyli rozlewu krwi uniknąć, trzeba pośpieszać, siąść im na kark.

Zygmunt oczy smętne zwrócił na Bajbuzę, jakby go pytał:

- Ciągnąć?

- Dziś by nam natychmiast potrzeba za nimi iść - rzekł rotmistrz. - Im śmielej i pośpieszniej, tym skuteczniej. Któż wie? Posiłki możemy uprezdzić, sam ten pośpiech trwogę wrazi!

Zrezygowany król zwrócił się do konia, z którego zsiadł dopiero i nic nie mówiąc, cugle sobie podać kazał.

- Na koń - zawołał Żółkiewski.

Ta determinacja tak skora w królu ożywiająco podziałała na wszystkich. Rażno się rozległo "Na koń! Na koń!" - i na dany znak trąbki odezwały do pochodu.

Ci, co już się zbierali obozować i odpoczywać, musieli biec popręgi ścisnąć, konie uzdać i sakwy na nowo do siodeł przymocowywać.

- Na koń! Na koń!

Wtem za królem się ukazał nie spodziany tu wcale książę Ostrogski, który też od rokoszan przybywał.

- Najjaśniejszy Panie! - zawołał zdyszany, zbliżając się ku niemu - daremna rzecz z szalonymi mówić rozumnie, oni słuchać wcale nie chcą, zuchwalstwo przechodzi wszelkie granice. Ja nie pojedę do nich więcej. Stracone moje dobre chęci, pozostaję wierny przy Waszej Królewskiej Mości.

Zygmunt skłonił głowę i uśmiechnął się, Ale i tym razem nie odpowiedział.

Postępowano naprzód żywo.

Bajbuza, który oświadczeniu Ostrogskiego przytomnym był, pobiegł o nim oznajmić Żółkiewskiemu.

- Waszmość temu wierzysz? - zapytał hetman i zdumionemu dodał: - Patrzajże, gdy ciągnąć będziemy, zobaczysz, iż kasztelan zawaha się znowu.

Bajbuza wzruszył ramionami.

- Gdyby król był - dodał Żółkiewski - oświadczenie księcia zaraz nagroził jakimś dostojenstwem, któż wie? Ale nie odpowiedział nic.

Wojsku dano rozkazy pośpiechu. Nazajutrz Bajbuza tuż wczoraj za królewską strażą jadącego Ostrogskiego już nie znalazł na miejscu. Spytał o niego. Odpowiadano, iż przystał, gdyż oddział jego i on sam ciągłym przenoszeniem się z obozu do obozu był bardzo znużony. Jakoż wcale go już widać nie było. Hetman dobrze wyprorokował. Kasztelan zniknął.

Teraz istna już pogoń następowała. Rokoszanie z pośpiechem nadzwyczajnym uchodzili ku Wiśle i ich ranne, nie dogaszone ogniska wieczorem królewscy rozpalali. Bajbuza, który ze Szcypiozem i kilkunastu ludźmi ciągle w przedniej straży był, dał znać, że Zebrzydowski, Stadnicki i Radziwiłł pod Pokrzywnicą ustawili się jak do boju i czekali. Ale nim król tu dociągnął, oni już się znajdowali w Ożarowie. Cierpliwy, milczący, posłuszny radom król już zaczynał niespokojnie wyglądać rokoszanów tych, o których co dzień mu oznajmywano, A dognać ich dotąd nie mógł, gdy pod Janowcem pokazały się rozłożone ich ufce. Niemal z radością je powitano, chociaż różne uczucia widok ich wzbudzał.

Co chwila przynoszono nowe jakieś wiadomości. W obozie króla panowała wielka niepewność i rozstruj. Niektórzy nalegali na to, Aby nie folgować, inni się spodziewali jeszcze układów, A gdy doniesiono, że Diabeł Stadnicki, nie wiedzieć z jakiego powodu, ze znacznym oddziałem opuścił Zebrzydowskiego i przeprowił się przez Wisłę, osłabiając rokoszanów, Żółkiewski chciał natychmiast iść na nich. Już niemal rozkazów tych wydania był pewien, gdy sam podjechawszy do króla, znalazł go wahającym się.

- Najjaśniejszy Panie - zawołał - tracimy najdroższą chwilę!

Król westchnął ciężko i z ust dobył się tylko wyraz: "Krew! Krew!"

Począł się Niespokojnie oglądać dokoła i szeptać. Nie opodal siedzący na koniu Gajewski skinieniem został przywołany.

- Jedź - zawołał król krótko urywanymi wyrazami - jedź, czas jeszcze, niech nie zmuszają do krwi przelewu... Jedź, śpiesz.

Gajewski puścił się natychmiast, A hetman chmurny zsiadł z konia.

W obozie królewskim widać było poruszenie, którego charakteru trudno było odgadnąć. Ważyły się losy. Jeszcze chwila, jeden krok może i krew się polać miała.

Wybór Gajewskiego, dworzanina królewskiego, choć niemal przypadkowy, bo się nastrezył oczom, gdy o nim nie myślano wcale, był dosyć szczęśliwy. Odważny, prędki, zawsze

jasnego oblicza, Gajewski stworzonym był na to, Aby prznosił, co mu dano, Ani psując, Ani naprawiając, Ani dodając nic, Ani się domyślając, "proprio motu" \* co czynić miał.

Proprio motu ( łac.) - z własnej inicjatywy.

Król wiedział, znając go, iż Ani nadto, Ani za mało nie powie. Gajewski nie miał się za statystę wcale, lecz pamięć doskonała dozwalała powtórzyć, co mu zwierzano, nie zmieniając Ani słowa. W mgnieniu oka, konia nie oszczędzając, puścił się jak strzała ku miejscu, w którym po namiotach i chorągwi łatwo się było wodzów domyślać. Stosunkowo do spokojnego jeszcze dosyć obozu króla, w którym przytomność jego była już sama rękojmą porządku, rokoszanów tabor wydał się Gajewskiemu jakby spłoszonym i niezmiernie zburzonym. Zbierano się kupami, wywoływano, biegali ludzie, dawano i odwoływano rozkazy, klótnie się rozlegały. Ponieważ z dala już widziano przybiegającego Gajewskiego, wojewoda wyjechał konno kilkadziesiąt kroków naprzeciw niego pod pozorem oglądania obozu.

Poselstwo to widocznie otuchę jakąś znowu wlało w Zebrzydowskiego. Król się wahał. Razem z Radziwiłłem wpadli do namiotu. - Jaką im dać odpowiedź?

Radziwiłł o zgodzie myśleć nie mógł, dał znak ręką, że pójdzie do ostatka do krańca, do boju, A nie ustąpi. To podbudziło Zebrzydowskiego. Szło tylko o formę, w jaką odpowiedź odmowną ubrać miano.

Gajewski chodził przed namiotem, obleżony dokoła przez rokoszan, którzy go pytaniami ścigali, choć im żadnej nie dawał odpowiedzi.

- Niemy jest! - wołał Ponętowski śmiejąc się. - Król Zygmunt jak sułtan turecki takich do poselstw używa. Ci nie zdradzają, bo im język urżnięto.

Wyszedł Zebrzydowski w ostatku i wziął posła do namiotu.

- Rokosz dzień powszechnego zjazdu naznaczył i nie cofa go. Niech król będzie posłuszny głosowi narodu, A nie śpieszy się z rozlaniem krwi, która na niego spadnie. To nasza odpowiedź - dodał. - Powiedzcie, Aby pomyślał dobrze. Krok uczynić łatwo, Ale pamięci jego zatrzeć nikt nie potrafi. Niech król czeka i na zjazd się stawi.

Gajewski nie odpowiedział nic.

Zebrzydowski powtórzył mu to raz jeszcze.

- To wszystko? - zapytał dworzanin.

- Zda się dosyć wyraźnie mówię - odparł wojewoda.

- Czołem! - rzekł Gajewski i wyszedł.

Konia mu podano, siadł i puścił go czwałem. Po drodze ledwie mógł na obóz rokoszan rzucić okiem, Ale łatwo poznał, że go rozbijać na długo nie myślano; niektóre oddziały już się sposobily przeprowiać za Wisłę, inne za nimi postępowały, brak tylko promów wstrzymywał. Dla

niego jawnym było, że rokosz słabym się czuł i uchodził, A odpowiedzią chciał złudzić. Dworzanin pośpieszył tym prędeż. Ze wzgórza, na którym stał król z hetmanem i głównymi dowódcami, widać było, jak po Stadnickim łące do rozróżnienia ufce Radziwiłłowskie także za Wisłę się cofać zaczęły. Szło to jednak opieszale.

Zebrzydowski pomimo to, nieulekniomy czy zrozpaczony, pozostawszy sam ze stosunkowo niewielką garścią i trochę ludzi Radziwiłłowskich, zdawał się gotować do przyjęcia bitwy z nierównie już większą siłą króla.

Wojewoda ruski pośpieszył, korzystając z położenia tego, do odcięcia mu odwrotu i osaczenia dokoła, Ale z rozpoczęciem boju zawahał się. Nie miał odwagi wziąć na siebie odpowiedzialności stanowczego kroku. Posłał po rozkaz do króla.

Chwila ta rozstrzygała, A nikt nie mógł odgadnąć nawet, jakie Zygmunt miał usposobienie, co myślał. Przez cały ranek naradzał się cicho z ojcem Bernardem, przywoływał Skargę, wołał Myszkowskiego. Żółkiewski po pochodzie nużącym leżał chory, Ale oświadczał, że ostatkiem sił na koń sięść gotów. Znajdowali jednak Potoccy i księżę Zbarański, iż bez niego obejść się nie potrafią.

Zapytanie ostateczne wojewody ruskiego wywołało rumieniec na bladą twarz Zygmunta. Nie ulegało wątpliwości, że po tylu wezwaniach do zgody, które tylko zuchwalstwo zwiększały, ustąpić nie było podobna. To słowo jednak: wojna, bój, krew, nie mogło przejść przez usta pobożnemu panu. Na krótką chwilę cofnął się do namiotu, padł na kolana, modlił się.

Czekano tymczasem. Senatorowie patrzyli po sobie. Zdania ich były podzielone. Spierano się od rana i jedni utrzymywali, że król nie zawaha się dać hasła do boju, drudzy zaręczali, że “cunctator” zwlecze jeszcze, A rokoszanie ujdą.

Żółkiewski, więcej może znużony głuchą walką, jaką już przeciwko niemu prowadzono, leżał pod swoim namiotem.

Nasz Bajbuza niespokojny czekał niedaleko królewskiego namiotu na rozstrzygnięcia ostatecznie, gotów je zanieść hetmanowi. Z nim razem dosyć starszyzny wojskowej, również niespokojnej o koniec, stało z twarzami, na których najrozmaitsze uczucia czytać było można. W jednych budził się niesmak i znużenie, drudzy zdawali niecierpliwi dobyć raz oręż i skończyć niezdolne targi. Nikt jednak się nie odzywał i nie śmiał wyprzedzać rozstrzygnięcia, A ci, co po cichu szeptał między sobą, wszyscy byli przeciwko bratniej walce.

Pękoślawski, starosta sandomirski, stojący tu, też powtarzał swoje:

- Ciekawym spotkania z bratem Prokopem, jeżeli los nas zbliży na poboju. Czy ja go rąbnę, nie wiem, Ale że on oszczędzać nie będzie, gdy się zapali, to pewna.

Smutny uśmiech krzywił mu usta. Wtem namiotu opłotki się podniosły, drgnęli wszyscy, król wychodził, Ale i teraz, gdy już niósł dojrzały wyrok, na jego zimnej, martwej twarzy, nic wyczytać nikt nie mógł. Królewską tę moc nad sobą miał nawet w najboleśniejszych chwilach życia, słuchając obelg i wyzywań. Szedł powoli i opodał nieco stojącemu Januszowi, księciu Zbarażskiemu, dał znak ręką, Aby się zbliżył. Dla wtajemniczonych starczyło to za słowo.

- Oddaję wam straż osoby mojej - rzekł głosem słabym jak zwykle - A razem dowództwo nad wojskiem. Bóg widzi, że się nie spodziewałem przeciwko tym kiedykolwiek walczyć, którzy mnie bronić są obowiązani. Stało się, pycha nieukrócona przywiodła ( ich) do tej ostateczności; niech Bóg, co w sercach naszych czyta, który nas sędzi, rozstrzygnie między nami. Jeżeli krew się bratnia poleje, was wszystkich biorę za świadków, że do chwili ostatniej pragnąłem tego uniknąć. Zmusili mnie zuchwali.

To mówiąc król rękę wyciągnął i dworzaniego spod namiotu poskoczył, niosąc złocony hełm, który Zygmunt powoli, drżącymi rękami, włożył na skronie.

Księżę Zbarażski dał znak i w szeregach trąby zagrały. Co naówczas zaszło, trudnym jest do wytłumaczenia. Ze strony królewskiej w szeregach panowało rozdrażnienie i zapal nieopisany. Widziano, ( że) ile razy Zygmunt próbował skłonić do układów, zuchwalstwo strony przeciwnej przechodziło wszelką miarę.

W niektórych regimentach, nie czekając rozkazów, kopijnicy, złożony drzewce, już chcieli się rzucić na szeregi naprzeciw stojące. Piechota cudzoziemska, ludzie zaciężni, którym tylko łup pachniał, wołali wszystkimi językami: "Naprzód, naprzód!"

Tymczasem, gdy pułki już się ruszają naprzód, senatorowie siadającego na koń otoczyli króla.

- Najjaśniejszy Panie - zaczęli wołać starsi - tyle już czasu zeszło, jeszcze spróbujmy, Azali okropnej bratniej nie unikniemy walki!

Król, jakby na to czekał tylko, zatrzymał się zaraz:

- Czyńcież, co się wam zda lepszym. Raz jeszcze zdaję się na was, Ale koniec temu położyć musimy.

Senatorowie jedni dziękować, drudzy natychmiast o konie i ludzi wołać zaczęli. Księciu Zbarażskiemu posłano życzenie króla, Aby zwłóknął jeszcze. Być bardzo może, że krok ten starszyzny wywołany był widokiem tego, co się działo w obozie przeciwnym, A raczej w szeregach. Z dala nawet można było rozpoznać, że Zebrzydowski nie był panem rokoszanów. Łamały się ich linie, kupami zbiegali niektórzy, naciskano na dowodzących, kilka chorągwi obalono na ziemię. Wrzawa dochodziła aż tutaj. Kto pierwszy rzucił tę iskierkę buntu w buncie,

rokoszu przeciwko rokoszowi, dojść było niepodobna, Ale jak ogień, po suchej trawie poszła płomieniem.

- Wy, coście tego nawarzyli, no, idźcie wy się bić, my nie chcemy! To wasza sprawa. Przepróście króla. Nam co po tym, czy wy, czy inni, czy ktokolwiek na krzesłach kurulskich \* siedzieć będzie i starościński chleb zjadał? Nam co po tym?

Krzesła kurulskie lub kurulne - krzesła urzędowe dygnitarzy starożytnego Rzymu; tu: dygnitarskie w ogóle ( przyp. red.).

Zebrzydowski osłupiał. Muszkiety mu i drzewca rzucano pod nogi.

- Idźcie wy się bić! Nam co z tego?!

Sam wojewoda musiał na koń sięść i objeżdżać szeregi zaklinając, Aby pod bronią pozostali przynajmniej w porządku. I tego się było trudno doprosić. Wyrzekano na niego i odgrażano się, bo widziano, do czego kraj przyprowadził i rokoszanów.

Gdy tak w chwili pogromu senatorowie wszystko wstrzymali, A król się na ich rozum zdał, Zebrzydowski został zmuszony pogroźkami, krzykiem i zupełnym buntem wysłać do króla sam z prośbą o rozmowę.

Ponieważ z tamtej strony przewodził Radziwiłł, król wyznaczając od siebie senatorów, wybrał nieprzyjaciela jego Aleksandra Chodkiewicza, wojewodę trockiego, Adama Czarnkowskiego, łęczyckiego wojewodę, Ossolińskiego, podskarbiego i Prytwica, kasztelana kamienieckiego, z tych sławnych pogromców tatarskich.

Zebrzydowski sam przybył z Radziwiłłem, Ale znowu ustępstw żadnych i pokory nie przyniósł, żądał zadośćuczynienia żądaniom rokoszan, A dopiero naówczas obiecywał wiarę królowi poprzysiąc. W końcu uderzył się w piersi zaklinając się, że od tego nie odstąpi, choćby miał życie stracić. Dodać należy, iż między żądania rokoszanów włożył wynagrodzenie ich za poniesione sstraty.

Zuchwalstwo to w tej chwili wyglądało na urągowisko. Porwali się senatorowie oburzeni, A dwu Stadnickich, wiernych Zygmunтови, przyskoczyło do Zebrzydowskiego krzycząc:

- Ty herszcie buntowników, zabójco własnej ojczyzny! Ty, czy i teraz jeszcze szatańskiej nie ukożysz dumy?

Zebrzydowski zbladł i milczał, bo wiedział, że ze Stadnickimi Ani na słowa, Ani na pięści walczyć nie było wygodnie. Zaczęto łagodzić i uśmierzać, tymczasem biegały poselstwa do króla i od króla, choć słaba była nadzieja, Ażeby z Zebrzydowskim można co dokazać.

W imieniu króla zażądano od Zebrzydowskiego wiadomości, od kogo wiedział, iż król zamierzał królestwo swe sprzedać? W czym król "Absolutum dominium" sobie przywłaszczał? Kogo z panów senatorów obwiniają o złą wiarę i o niebezpieczne rady? Oprócz tego król żądał

zaprzestania zwoływania tych zjazdów, budzenia niepokoju, robienia rokoszów, A kazał czekać spokojnie przyszłego sejmu. Ponieważ wieczór nadchodził, zaraz Zebrzydowski miał z Radziwiłłem przyjść do ucałowania ręki króla.

Oparł się wojewoda. - Co za gwałt? Na co ten pośpiech? Będzie na to czas, Aby królowi okazać należne poszanowanie.

Oczywistym było, że Zebrzydowski tylko zwłokę tym sposobem targował, A o zgodzie naprawdę nie myślał. Senatorowie tedy znowu posłali Daniłowicza z groźbą, że Albo zaraz przyjdzie, ukorzy się i przyjmie warunki, Albo przebaczenia nie otrzyma.

Wojewoda zwrócił się do swoich, podchodząc wściekły do szeregów rokoszan:

- No, to lepiej ginąć! Do broni! Za mną! Precz z tym jarzmem!

Ale go zagłuszono, ciskając ze szczękiem oręż na ziemię. Odstępowali go wszyscy:

- Nie chcemy! Dosyć tego wodzenia nas po rozstajach! Nie będziemy się bić dla senatorskich kieszeni i tytułów!

Zaczynały się chorągwie poruszać nad głowami i lud ruszać, chcąc do króla iść z submisją. Opuszczony od swoich wojewoda pieniał się z gniewu. Nie takiego się spodziewał końca.

- Dobrze - poskoczył do Czarnkowskiego - dobrze, ukorzę się przed królem, Ale dostojeństwa wojewody nie mogę walać i kalać, mnie się też względ jakiś należy. Ja to sobie waruję; wyjedzie król na koniu, to i ja mam prawo mu się stawić na koniu i tak go będę witał. Zechce król zsiąść, to będziemy przeciwko sobie iść równo, nie ja sam do niego, Ale tak dobrze on do mnie, jak ja ku niemu.

Stadniccy śmiać się poczęli. - Suknię mu wzięto - zawołał jeden, A ten się o guzik oberwany klóci!

Znowu te szalone wymagania poniesiono do króla, który podniósł oczy w niebo milcząc, A o. Bernard szepnął: - Szatan go opętał.

Tymczasem wieczór się zaczynał robić, rozpalono mnóstwo pochodni i ludzie wołali:

- Idą! Idą! - A drudzy krzyczeli:

- Zgoda! Zgoda!

Kto tu w tym ostatecznym momencie rej wiódł, kto prowadził i kierował tak z jednej strony, jak z drugiej, nie można było Ani naówczas widzieć, Ani później dojść. Coś było w tym wszystkim, można powiedzieć, opatrnościowego. Popychano Zebrzydowskiego, głuszono go. Konie szły naprzód jakby same. Wszyscy czuli i widzieli, że się zbliżają do miejsca, w którym król stał, i w istocie ukazał się Zygmunt we zbroi, konno, z szyzsakiem na głowie opasanym koroną, A dokoła niego senatorowie konno też. Wszyscy oni stali w miejscu, wcale się nie myśląc na spotkanie Zebrzydowskiego poruszać.

Tymczasem gromadka ta, w której on był z Radziwiłłem, jechała dalej, Ale wtem Chodkiewicz krzyknął:

- Stój! Zsiadajmy z koni!

Wszyscy też poczęli posłuszni zsiadać, tylko Zebrzydowski się nie ruszał.

Ale ze wszystkich stron krzyczano na niego:

- Zsiadaj!

Stadnicki Adam porwał go za delię i ciągnął:

- Złaż z konia!

Nie mogąc się opierać, wojewoda zmuszony, widząc, że nie da już nic sprzeczką, skoczył z siodła rozjuszony, rozpychając tych, co stali koło niego. Ci, co go otaczali, zmusili go posunąć się naprzód. Szedł z głową spuszczoną, A z krwawych powiek łzy gniewu się dobywały. Ani wiedział już, jak znalazł u ust swoich białą rękę królewską, do której wargi rozpalone przyłożył.

- Mów! mów! - naciskano zewsząd.

Zebrzydowskiemu tchu, siły, odwagi brakło. Podniósł nareście głos:

- Za świadka biorę Boga, przed którego strasznym sądem stanę, żem od początku Aż do tego czasu, gdy gotów byłem krew przelać dla Rzeczypospolitej, wszystko czynił tylko w widoku dobra jej. ślubuję odtąd wiarę Waszej Królewskiej Mości, Ale w nadziei, że żądaniom narodu zechcesz uczynić zadość!

Równie dumnie po nim oświadczył się Radziwiłł:

- Com czynił - rzekł - to nie dla obrazy majestatu, Ale przykładem przodków mych stałem przy wolnościach naszych i tych, choćby gardło dać przyszło, jako prawy szlachcic nie odstąpię!

Wystąpił z odpowiedzią zamiast podkanclerzego marszałek Myszkowski.

Tak przy blasku dogasających pochodni skończyła się, nie przeciągając już, scena, której nikt z rana przewidzieć nie mógł, A teraz jeszcze ledwie ci, co mniej byli czynni, umieli ją sobie wytłumaczyć.

Król natychmiast znużony wrócił do namiotu, naprzód Panu Bogu dziękować. Radziwiłła i Zebrzydowskiego, przygniecionych, milczących, jawnie jeszcze targających pęta, które czuli na sobie, Czarnkowski na noc wziął do namiotu swojego. Jaki tam był spoczynek ich, łatwo odgadnąć. Patrzyli na siebie, nawzajem niemal wyrzucając ten koniec nieszczęśliwy.

Hetman Żółkiewski był sam w namiocie. Przybiegł do niego rotmistrz, gdy już wszyscy się rozeszli.

- A cóż? Szczęśliwy koniec beze mnieście osiągnęli? - odezwał się Żółkiewski. - Tym lepiej. Będę mógł kwarcianych nazad poprowadzić nad Dniepr, gdzie są potrzebni, A i moje miejsce nie tutaj.



Spojrzał na Bajbuzę, który wcale na szczęśliwego nie wyglądał zwycięzcę.

- Wasza miłość to nazywacie końcem! - odparł rotmistrz. - "utinam sim falsus vates", \*

Ale daleko do końca.

Utinam sim falsus vates! ( łac.) - Obym był fałszywym prorokiem!

Głową potrząsał.

- A toż co? Zebrzydowski króla przecież przeprosił i w rękę całował, rokoszanie jutro broń składają, reszta na sejm zdana.

Bajbuza milczał.

- Nie wiem - rzekł - Ale z twarzy Zebrzydowskiego Ani Radziwiłła skruchy, żalu, poddania się nie było widać. Gryźli wędzidło pieniać ( się), A będąli mogli je zrzucić... Zresztą nigdy by do tego nie przyszło, gdyby szlachta gwałtem nie zmusiła, widząc, że rzeź nieuchronna. Pchano wojewodę.

Żółkiewski nie mówił nic.

- A wy, mości rotmistrzu - odezwał się w kolńcu - co ze swymi kopijnikami myślicie, gdy ich tu nie będzie król potrzebował?

- Miłościwy panie - westchnął Bajbuza - tak jakoś mimo mej woli zabrnąłem daleko, iż sądzę, że czas by do domu na rozpamiętywanie mych grzechów powrócić. Ze swobodnego ziemianina stałem się prawie kortezanem; król mi już po dwakroć podkomorstwo jakieś dawać chciał, Ale ja się do tego nie zdał. Ludzi przy panu dosyć jest, ja się nie czuję potrzebnym.

- Ja też rad bym stąd daleko być - odparł Żółkiewski - bo żołnierzowi tylko w obozie zdrowo. Panowie Potoccy we trzech na teraz królowi starczą. Ja mam co czynić na kresach. Cieszę się, że kwarciarz samym przybyciem szalę przeważyli, Ale dalej gdybym tu pozostał, już by mi ludzie zazdrośni pod nogami doły kopali. Szkoda waszmościnych kopijników, że się znowu rozejdą, boś miał ich dobranych szczęśliwie, Ale ja was do siebie nie namawiam, bo wiem, że bez żołdu służycie z dawna, nie godzi się więc, Abyście ponosili ofiary bez wynagrodzenia.

- I owszem - odparł Bajbuza żywo - jam wolny, A lepszego nie mam do czynienia nic, Ale niebezpieczeństwo teraz nie grozi żadne. Spocznię.

Westchnął, Ale w tejże chwili uśmiechnął się i dodał:

- Byle się jutro nie okazało, żeśmy rokoszowi głowy nie ucięli Albo mu ona przez noc odrosła! Naówczas i miłość wasza, i ja, pozostaniemy Aż do tej godziny strasznej, gdy się krew poleje.

- Niech się ona nie przelewa! - przerwał Żółkiewski.

Na te słowa wszedł stary Pękosławski.

- A co, panie starosto, wieszować sobie mamy - rzekł hetman. - "Si finis bonus, laudabile totum". \*

Si finis bonus, laudabile totum ( łac.) - jeżeli koniec dobry, całość godna pochwały.

Ino że ja końcowi nie dowierzam - mruknął Pękosławski.

- Zebrzydowski do namiotu wchodził jak pijany upokorzeniem. Czarnkowski chciał ich karmić i pić, zamknęli się z Radziwiłłem na radę, A co jutrzejszy ranek nam przyniesie...

Ruszył ramionami.

- Nagle się to jakoś bardzo stało! - dołożył starosta.

## Rozdział V

Dzień następny rozpoczął dla Zebrzydowskiego długi szereg dni ciężkiej pokuty, który śmierć dopiero zamknąć miała. Jasne światło poranka wszystko, co wczoraj w gorączkowym usposobieniu działo się przy gasnących pochodniach, wśród nocnych mroków, czyniło niemal nieprawdopodobnym. Gdy po naradach burzliwych, trwających niemal do świtu, ujęci snem twardym, duszącym jak zmora, Zebrzydowski i Radziwiłł oprzytomnieli, przypominając sobie, co się działo wczora, wojewoda krakowski załamał ręce. Srom i gniew krwią mu oblewały czoło. Byli jeszcze we dwu sami. Radziwiłł chodził milczący, dysząc jakby ze znużenia.

- Nie! To nie może być, to się musi naprawić! Niegodziwa ta hałastrą, ci tchórze! Zostaliśmy sami... nie było co począć... Ale na tym nie koniec.

Spojrzał na Radziwiłła, który posępny stał i poruszał ustami tylko, jakby w zębach chciał zgryźć wrogów. Radziwiłł uchylił w namiocie okienko. Słysząc było pod nim głosy pomieszane, wśród których Zebrzydowski rozeznawał znane rotmistrzów swoich. Przypomnienie wczorajszego ich nalegania, oporu, zdrady, oczy mu zapaliło nowym ogniem. Radziwiłł przysłuchiwał się rozmowie ich ze starszyzną kwarcianą, wśród której i nasz rotmistrz Bajbuza się znajdował, wysłany przez Żółkiewskiego. Jeden z dowódców rokoszowych, mąż pięknej postawy, rycersko wyglądający, strojny wytwornie, wołał głośno:

- Nie czyńcież nam tego sromu, jesteśmy bracią waszą przecie, choć nas zwaśniono. Nie my winni, bośmy nie poczynali. Starszyzna wołała, niech ona odpowiada, im by karki nagiąć i na nich poszukiwać wszystkiego złego. Nie każcież nam, jak lada jakim ciurom, w obce wojska składać broni... srom, zakała! Postąpcież po ludzku, po bratersku, złożym za szeregami broń na wozy.

Bajbuza się wyrwał pierwszy.

- Trzeba na to przyzwolenia królewskiego, ja idę natychmiast na zamek. Czekaście mało, nie wątpię, że je przyniosę. Żądanie wasze poczciwe, stanie mu się zadość. Nam dziś o tym myśleć, jakby zatrzeć ślady rokoshu, A nie wytykać tych, co się nim dali obalamucić.

Szybkim krokiem poszedł, A tuż pod namiotem rokoshowi narzekać poczęli, tak że ich wyrazy do uszu dowódców dochodziły.

- Rokosh ich sprawą! - wołali - jednemu buławy, drugiemu wojewodzińskiego stolka odmówił król, innemu starostwa, więc rokosh, A my biedacy mieniem, życiem, ba i czią musieliśmy się oddać. Bodaj ich Bóg karał i pomsta nie minęła!

Zebrzydowski chwycił się za głowę.

Po krótkiej chwili wrócił Bajbuza z twarzą wesołą i z dala zawołał:

- Stanie się, jak waszmość żądaliście, A gdy broń złożycie, przyjdźcież do króla pokłonić się, przyjmie was.

Rotmistrze pospieszyli z radością wiadomością za szeregi.

Dwaj dowódcy rokoszu za ledwie mieli czas po zrzucane suknie kazać sobie podać, gdy wszedł Czarnkowski, wojewoda łęczycki. Powitanie z jego strony było dosyć uprzejme. Zebrzydowski za ledwie głową skłonił.

- Czekamy, panie wojewodo - rzekł do niego - Abyście wczoraj umówionych dopełnili warunków.

Na to Zebrzydowski odskoczył, udając podziwienie:

- Jakich warunków? Ja o żadnych nie wiem.

- Jak to? - obrażony odparł Czarnkowski. - Wszakżeście się zobowiązali wyjawić te tajemnicze pobudki, które was do tak stanowczego kroku jak rokosz skłoniły? Król się domaga objawienia tej tajemnicy, winniście ją dla własnego usprawiedliwienia. Nam na ostatek, senatorom, zależy na tym, Abyśmy wiedzieli, kto spośród nas doradzał królowi zdradę, kto mu "Absolutum dominium" radził, kto frymarki ułatwiał. Ogólne obwinienie nas wszzystkich podejrzany czyni.

Zebrzydowski, jak był nawykł po czasie rokoszu, począł się zżymać, rzucać, burzyć i opierać.

- Cóż to tak pilnego?! - zawołał. - Na to się znajdzie czas i miejsce. Chcecie mi tu jak pojmanemu jeńcowi jakieś narzucać warunki, jam tu dobrowolnie przyszedł, ja nie dam się oprymować. \* Przed sejmem stanę, tam miejsce.

Oprymować ( z łac.) - uciskać, gnębić ( przyp. red.).

- Królowi też przysięgę wierności złożycie - dodał Czarnkowski.

- Ja mu jej nie złamałem! - krzyknął wojewoda. - Na nowo przysięgać nie będę! Co to są za eksorbitancje, \* co za opresja! Ja tego nie zniosę!

Eksorbitancja ( z łac.) - wykroczenie przeciw prawu, bezprawie.

Czarnkowski słuchał cierpliwie. Chciał z początku zawiązać z nim o to rozprawę, Ale parę razy rzuciwszy po słowie, gdy Zebrzydowski mówić mu nie dawał, milczący wyszedł.

Upłynęła chwila długa. Dworzanie Czarnkowskiego przynieśli ranną polewkę i przekąski, Ale wojewoda ich nie tknął. Napił się wody. Radziwiłł spory kubek wina wychylił jeden po drugim. Dokoła namiotu słyhać było przesuwające się głosy rotmistrzów, idących do króla. Zebrzydowski zamknięty w namiocie, jak w więzieniu, podnosił opłotki, wyglądał i czekał z coraz większym rozdrażnieniem. Tym razem nie Czarnkowski wszedł na powrót, Ale komornik królewski, oznajmując, że panowie senatorowie z księdzem biskupem przemyskim zgromadzeni oczekują na ichmościów.

Radziwiłł i Zebrzydowski spojrzeli po sobie znacząco, wzięli za czapki i milcząc szli do izby, w której na nich oczekiwano. Tu dla Zebrzydowskiego zapowiadała się walka. Radziwiłł mało się do niej chciał mięszać. Zagadnięty odpowiadał krótko, dumnie i jakby gardząc wszelkim usprawiedliwieniem. Zebrzydowski z zuchwalstwem, które go nigdy nie opuszczało, naprzód do izby wszedłszy, na ławach między senatorami miejsce sobie wyszukał i zajął je, cisnąc się, jak przystało krakowskiemu wojewodzie, co najwyżej. Z czołem podniesionym wcale nie wyglądał na obwinionego, raczej na mściciela.

Biskup Pstrokoński, kanclerz, począł dosyć łagodnie od powtórzenia tego, co Czarnkowski zapowiedział. Głośnym było nie tylko między rokoszanami, Ale po całej Rzeczypospolitej to nieustanne odgrażanie się Zebrzydowskiego, że tajemnice wiedział straszne, że one go zmusiły do rokoszu, że miał dowody zbrodniczych zamiarów króla i niecných rad, jakie mu dawali senatorowie. Wychodziły tu znowu na jaw owe tak zwane rakuskie praktyki, frymark koronę, zamysły narzucenia Rzeczypospolitej "Absolutum dominium". Ale te wieści kilkadziesiąt już lat powtarzane do znurzenia, które pierwszy na sejmie inkwizycyjnym Zamoyski objawił, raz na ostatek dowodami poprzeć było potrzeba. Owa tajemnica Zebrzydowskiego nie mogła być czym innym, tylko odsłonięciem straszego spisku. Wszyscy senatorowie domagali się objawienia, kto był sprawcą, kto winowajcą; król niemniej nalegał.

Zebrzydowski począł się tłumaczyć, Ale gniew i rozdrażnienie tylko dawały się czuć w jego mowie; domagano się faktów, imion, dowodów, tych nie dawał. Płatał się, oburzał, motał, A naciskany coraz bardzoej wybuchał, ostatecznie powtarzając tylko rzeczy po tysiąc razy już na wiatr rzucane. Naciskany, opasany zewsząd, zmuszony wręście, Aby niezwłocznie odkrył te tajemnice, o których ciągle w czasie rokoszu głośił, opierając na nich zwoływanie wszystkich zjazdów, ogłoszenie rokoszu itp. Zebrzydowski w ostatku wymienił Myszkowskiego marszałka, którego między senatorami nie było w izbie, jako człowieka, który o zamiarach króla pozbycia się korony głośno mówił.

Posłano do Myszkowskiego, który chorym się tego dnia uczynił, Aby z Zebrzydowskim nie spotykać. Marszałek jak najuroczyściej zaprzeczył, iż nigdy z wojewodą o niczym podobnym mowy nie było; żądał okazania miejsca i czasu. Zebrzydowski mięszał się coraz bardziej. Przyznał wręście, że on sam o tym z Myszkowskim nie mówił, Ale mu powtarzali te słowa ichmość panowie Stefan Kazimirski i Stanisław Chełmski; pierwszy miał w Tarnowie słyszeć z ust marszałka, drugi w Krakowie. Odniesiono to choremu Myszkowskiemu, A tymczasem półgłosem, szydersko na ławach senatorskich szeptano: "Nascitur ridiculus mus". \*

Nascitur Ridiculus mus ( łac.) - rodzi się śmieszna mysz. Jest to urywek z powiedzenia poety rzymskiego Horacego: "Parturiunt montes, nascitur ridiculus mus", co znaczy: Góry wydają

plód, rodzi się śmieszna mysz. W tym miejscu powiedzenie owo oznacza, że szumne zapowiedzi Zebrzydowskiego dają śmiesznie skąpe wyniki.

W istocie wielkie te i straszliwe tajemnice, co wstrząsały Rzeczpospolitą, schodziły do rozmiarów baśni i plotek ulicznych. Myszkowski z oburzeniem przeczył, A dodawał, że niegodnym było imiona Kazimirskiego i Chełmskiego stawić, gdy ich tu nie mieli pod ręką i za świadków pozwać nie było podobna.

Nic więcej nad to nie było podobna wydobyć z wojewody, który tym mocniej się burzył i rzucał, im sam czuł, jak jego zeznania błaży i niedorzeczny powód ogromnemu zawichrzeniu Rzeczypospolitej nadawały. Dlatego więc, że ktoś królowi przypisywał niczym nie dowiedzione jakieś frymarki, wojewoda musiał Aż rokosz i pospolite ruszenie wywołać! Ze wszech stron najgwałtowniejsze mu czyniono zarzuty i wymówki, na które wielkimi, Ale czczymi wyrazy z dumą i lekceważeniem odpowiadał. Na tym się to miało mizernie skończyć, z upokorzeniem nieznośnym dla Zebrzydowskiego, gdy szmer i rozmowa żywa u drzwi słyszeć się dały i prawie gwałtem je rozwarłszy, weszli całą gromadą główniejsi rotmistrze ze starszyzną rokoszową. Na widok ich wojewoda pobladł z gniewu, domyślał się wystąpienia sobie nieprzyjaźnego.

Na przedzie stojący Górski zwrócił się nie do Zebrzydowskiego, Ale głównie do senatorów i księdza Pstrokońskiego:

- Myśmy dla onych tajemnic pana wojewody na koń siedli, słuszna, Ażebyśmy wiedzieli, czego omal życiem nie przyplaciliśmy.

Z rodzajem szyderstwa wymówione wyrazy i spojrzenie na zgnębionego Zebrzydowskiego miało już wybuch jakiś z jego strony ściągnąć, gdy zapobiegając mu, odezwał się łagodnie Gostomski:

- Mamy za co Panu Bogu podziękować, iż rozpędził chmury nad Rzeczpospolitą wiszące. Z tego, co nam tu pan wojewoda krakowski objawił, widocznym jest, że Ani król praw żadnych nie złamał, Ani senator go żaden do tego nie skłaniał. A co było powodem do podniecenia rokoszu, o tym się waszmość dowiecie z pism jego, które ogłosi:

- My byśmy bo radzi o tym z jego ust posłyszeć - rzekł Górski, śmiało się zwracając ku niemu. Inni rotmistrze butniej jeszcze i natarczywiej zaczęli się cisnąć ku wojewodzie, A postawy były tak groźne, iż wojewoda poznański musiał pośredniczyć, Aby Zebrzydowskiego od nieprzyjemnych następstw ochronić.

Tak się rozegrała jedna ze scen tej tragikomedii rokoszowej w izbie senatorskiej, z której, jak wówczas mówiono, Zebrzydowski wyszedł istotnie jak z łaźni. Łatwo jednak było przewidywać, że za ten srom, upokorzenie, za to stanie kilkogodzinne pod pręgierzem, na spytkach, taki wychrzyciel gwałtowny, człowiek tak zręczny, powetować zechce i musi.

Nie upłynął dzień ten cały, gdy się to już czuć dało. Po złożeniu broni rokoszanie się zaczęli rozchodzić i rozjeżdżać, Ale sąsiedzi, znajomi, krewni, mający swoich w wojsku królewskim nie mogli się nie dowiadywać o nich. Spotykano się na drodze. Następowaly zaproszenia pod namioty i do szałasów pod wiechę, których wiele obozy otaczało. Tu się tedy poczęły serca otwierać. Z rokoszan wielu już kleło wojewodę, Ale znaczniejsza część broniła siebie, jego broniąc.

Bajbuza, który na wszystko miał oko baczne, przechadzając się po obozie, przysłuchując, rozmawiając sam z rokoszanami, poczuł w tym potajemną jakąś robotę Zebrzydowskiego. Zbyt jednostajnie w różnych stronach, z ust różnych powtarzały się dane z góry nauki. Rokoszanie się użalali nad losem wojewody i u niektórych znajdowali posłuch.

Najzabawniejszym ze wszystkiego było, że przechadzający się tak Bajbuza natrafił pod jednym z szałasów znajomego sobie Gubiata, ze swadą nadzwyczajną broniącego wodza rokoszan, do których nigdy nie należał. Był to widocznie świeżo zaciągnięty szermierz, który sobie za język zapłacić kazał i nosił się z nim od namiotu do namiotu. Gubiata miał ten dar, że do szlachty drobnej, z której był krwi i kości, umiał mówić jej językiem, jej pojęciami. Nie postrzeżony w mroku, Bajbuza stał i słuchał. Gubiata grał rokoszanina doskonale:

- A godzi się to, mospanowie bracia, Abyśmy tak tego wodza naszego w nieszczęściu opuścili? Pośliznęła się noga! Czy on winien temu? Toż go zdrajcy tacy jak Diabeł i inni opuścili i na łup królowi dali. Czy on to złego chciał? He? Czy my, co jesteśmy nasieniem narodu i jego najlepszą częścią, ukorzym się tak panom senatorom, żeby im go wydać na męki? Oni go ukrzyżują! Trzeba, żeby wszystka szlachta i królewskie wojsko też broniło go, nie dopuściło infamii i potępienia! Gdyby mu się było powiodło? He? Dopiero by go na ołtarz nieśli... padł ofiarą...

- Ależ bo winien - zawołał ktoś z boku - winien, niech pokutuje!

- Nie winien! - krzyknął Gubiata. - Chciał dla nas dobrego...

- A narobił licha! Po cóż się brał, kiedy nie zdurzał!

- Gadaj waszmość zdrów - przerwał Gubiata. - On by był na swym postawił, Ale go zdradzano na każdym kroku. Zazdrościli mu, że rósł, zlekli się, że on tu całą Rzeczpospolitą zawładnie.

- A pewnie - zawarczał inny - ma kto władać, to wolę króla, co nam go Pan Bóg dał, niż takiego, co się chytrością narzucił!

Gubiata wziął się w boki.

- Siła by o tym mówić - rzekł. - Dziś na obalonego łatwo krzyczeć, Ale to był mąż, to był mąż!

Ktoś się rozśmiał.

- Herburtównej mąż! - zażartowano.

Nie zmięszal się Gubiata.

- Widzisz waszmość - wtrącił - i w tym był rozum nawet, że się z Herburtówną żenił, bo wiadomo, że Herburtowie są wszyscy nie dworacy, nie lizuny, Ale rokoszanie. A kto mu testamentem zlecił syna i majątek, no i cały rozum statysty przekazał? Hetman Zamoyski!

- Tym się nie chwal - rzekł drugi - bo hetman w wojsku był żelazną ręką.

Gubaita zwrócił rozmowę.

- Jak Boga kocham, trzeba go bronić - dodał.

- Ano jak?

Nastąpiło milczenie.

- Jak? - zamruczał Gubiata. - Nim się na cztery strony świata rozleziemy, powinniśmy pójść do panów rotmistrzów i nasiąść na nich, Aby oni do króla w poselstwie się udali za Zebrzydowskim. Senatorowie go zgryzą, zjedzą, zniszczą. Wiedzą, że on ich wszystkie niepoczciwe tajemnice, konszachty, targi, frymarki zna i penetruje. Przepadnie Zebrzydowski, A z nim szlachta cała, bo to był jej obrońca.

śmieli się jedni, Ale byli i tacy, co potakiwali.

- Albo to nie było piękne - mówił dalej niepoczciwy burzyiciel - widzieć, jak przed tym stutysięcznym tłumem naszym bledli starszankowie senatory i cicho odmawiali zdrowaśki. Co to my znaczyli pod Zebrzydowskim! Nie stanie go, nie stanie nas, rozpędzą i znowu toż samo jarzmo nam nałożą.

- Jakie jarzmo? - zapytał ktoś.

Gubiata musiał się namyśleć trochę, nim do wyjaśnienia jarzma przystąpił, Ale figurą retoryczną zręcznie się z tego wyplątał.

- Waszmość pytasz, jakie jarzmo - zawołał - Albo go na szyi namulanej nie czujesz? Nie wiecie więc, jakie jarzmo nosimy? "O, tempora, o, mores! A więc już tak odrętwieliśmy, iż nawet sromoty i niewoli naszej nie czujemy i że pytamy, kędy jarzmo, gdy ono nas dusi?"

Uśmiechał się Bajbuza i chciał z pogardą odchodzić już, gdy się głosy zerwały, że do króla poselstwo za Zebrzydowskim powinni rokoszanie wyprawić, A do niego i inni z rycerstwa się przyłączyć.

Popierano wojewodę, wołano, że go dworakom, Niemcom i Włochom na pastwę się dawać nie godzi. Czynniesi tego ruchu motorowie krzątali się już, gdy rotmistrz, z tyłu stojący za Gubiata, za kołnierz go ujął i jak piłką nim rzucił. Przerażony krzyknął Litwin, Ale poznawszy Bajbużę, oniemiał. Zląkł się okrutnie.



- Za mną! - zawołał rotmistrz - słyszysz? Za mną!

Nie mógł się opierać Gubiata, bo wiedział, że z rotmistrzem żartów nie było, poszedł ze spuszczoną głową posłuszny. Nie mówiąc do niego słowa, Bajbuza go do swojego namiotu zaprowadził i na wstępie rzekł do Szczypiora:

- Wziąć go pod straż, A jeśli się będzie wyśliznąć próbował, to go zwięzać.

Z oburzeniem wskoczył zaraz za rotmistrzem do namiotu niezmiernie poruszony Litwin.

- Za pozwoleniem - zawołał - Ale ja jestem, zdaje mi się, wolny człek, szlachcic, i mnie tu nikt nie ma prawa sekwestrować i więzić!

- Więc o to się rozprawisz później - rzekł Bajbuza. - Ja ci nie ucieknę, Ale ty mi kwarcianych tu buntujesz, tego ja dopuścić nie mogę.

- Albo mnie rokoszaninem być nie wolno? - odparł łagodniej Gubiata. - Bądź waszmość sprawiedliwym, tak jak bywałeś dotąd. Proszę o ucho łaskawe. Nic nie jestem winien! Nic. Mówię, co myślę, A myślę, co mi...

- Kazano myśleć i mówić - przerwał Bajbuza. - Ile ci za to dali?

Gubiata spuścił głowę i potrząsnął nią.

- Nie dano mi nic - rzekł krótko.

śmiał się rotmistrz.

- Nie wyklamiesz mi się - dodał. - Do jutra, póki się rokoszany nie rozejdą i wszystko to nie skończy, posiedzisz pod strażą.

Gubiata tarł czuprynę.

- Mniejsza z tym - rzekł - Ale jmuszę przypomnieć, że nawet jeńcom wojennym należy się głodu i pragnienia ich zaspokojenie.

Nie odpowiadając Bajbuza się zbliżył ku niemu.

- Słuchaj, trutniu - rzekł - mów mi prawdę! Kto cię najał, Abyś siał tu rozterki, co ci dali?

- Sumiennie mogę wyznać, iż poważnej osobistości, która mnie skłoniła do tego, zem w imię miłosierdzia za Zebrzydowskim przemawiał, nie znam. Ale miał na sobie delię dostatnią i rysiem podbitą, A rysia lada kto nie nosi. Neguję jak najuroczyściej, Ażeby mnie miał przekupić, nie jestem sprzedajny. Dał mi odchodząc, gdy już byłem przekonany, dwa talary, widząc, że butów będę potrzebował bardzo rychło, Ale od brata szlachcica się przyjmuje pomoc, na czci nie szwankując.

To mówiąc złagodniał znacznie Gubiata.

- Ja do rotmistrza najmniejszej urazy nie mam za przytrzymanie - dodał - chociaż jest ono ograniczeniem swobody mi należnej, A u mnie "Aurea libertas Ante omnia", \* Ale znając serce miłości waszej, wiem, że to się stało omyłką. Nie ruszę się stąd i, owszem, pozostaję Aż do końca.

Gdybym kącik miał, tobym mógł dalej przepisywać "Rokosz gliniański", \* który rozpocząłem właśnie.

Aurea libertas Ante omnia ( łac.) - złota wolność przede wszystkim.

"Rokosz gliniański - W r. 1537 miał w Glinianach ( pode Lwowem) miejsce rokosz szlachty przeciw królowi Zygmuntowi I. Tu mowa o broszurze o tym rokoszu.

I pomacał za żupan wsunięte papiery.

- Historia bardzo ciekawa - rzekł - A może miłości waszej nie znana.

- Daj mi pokój - mruknął Bajbuza. - Kłamstwa są.

- Kłamstwa?! - zawołał Gubiata. - A któż by mógł wymyśleć wszystkie okoliczności?

Nie słuchał już Bajbuza i precz mu kazał iść.

To, co podobni Gubiacie, mniejsi i więksi, przygotowywali po cichu, nazajutrz na jaw się ukazało. Poselstwo jakieś od rycerstwa w ogóle poszło do Myszkowskiego, domagając się, Aby je do króla przypuszczono. Lecz że i ludzie byli podejrzani, i cel wątpliwy, marszałek wyszedł się rozmówić z nimi. Od pierwszych słów wydali się z tym, że w sprawie Zebrzydowskiego przychodzili, A niezręcznie wyrywające się wykrzykniki zdradzały, czego żądać mieli. Myszkowski poszedł się naradzić i powrócił do nich z tym, że król przyjąć nie może, nie uznając, Aby do niego mieli prawo się zwracać od rokoszan już rozwiązanych posłowie. Na sejm zresztą wszystko się odkładało, A król wyjeżdżał natychmiast do Krakowa, gdzie go łatwo znaleźć mogli.

Już też Jakub Potocki, dowodzący strażą królewską i kopijnikami, wydał do wojska rozkazy, Aby zapobiegając wszelkim znowom, kwarciani, i wszelki żołnierz do namiotów Zebrzydowskiego się zbliżać nie śmiał, A rokoszan w obozie nie cierpiano. Poruszenie umysłów było widoczne, obawiać się mógł łącno, Aby zręczny wojewoda nie korzystał z tego, tym bardziej, że namyśliwszy się i on, i Radziwiłł udawali zupełnie przejednanych, przyrzekali, co chciano, zobowiązali się słownie i na piśmie nie zwoływać więcej zjazdów itp.

W całym ciągu tego pochodu za rokoszanami i pod Janowcem nasz Bajbuza bardzo był czynnym, w części z powodu że chętnie się nim posługiwano, wysoko ceniąc człowieka, A daleko więcej z własnego popędu, który go zmuszał badać, przypatrywać się i pragnąć wyrozumieć wszystko, co mu się nastęczało. Król, który dla niego, jak dla znaczniejszej części otaczających go osób, okazywał się obojętnym, niekiedy Bajbuzie życzliwie się uśmiechał, kazał mu przychodzić, słuchał i z liczby tych, co się do służby poufałej nie rachowali, wyróżniał go. Przepowiadano mu, że dostanie urząd na dworze, co on ruszeniem ramion przyjmował. Czasem go o to zagadywał Szczypior:

- A co to będzie, jak król was poprosi: "Zostań, waszmość przy mnie"?

- To mu ślicznie dziękuję - mówił Bajbuza. - Nie mogę. Mamże ci się tłumaczyć? Dopóki to nieszczęsne rokoszowanie trwa, muszę mu służyć, bo mi go żal, A juści królem naszym jest, Ale gdy wszystko wejdzie w karby należyte, jadę do Nadstyrza. Mówiłem ci, króla mi żal i szanuję go, choć pokochać trudno, A dalej poza nim co stoi, nie podoba mi się. Królowa pobożna, prawda, Ale ostra, szorstka i tak nas nie lubi, jak my jej nie cierpimy. Prawda, że znowu trudno od niej wymagać, Aby nas kochała, gdy wie, że ją szkalują, męża za nią prześladują, A przeciw niemu spiski wiążą i nie dają mu tchnąć. Dalej cały dwór jak wyspa na morzu obcy, cudzoziemski i wyjąwszy kilku Polaków, Skargę, Myszkowskiego, Wolskiego, co najmiłsze królowi, to zagraniczne. Wejdiesz tam, zobaczą, że Polak, milkną wszyscy i patrzą jak na raroga, A poza plecami co się dzieje, nie patrzeć!

Król znużony tymi politycznymi sprawami, umęczony, targany, A lubiący spoczynek i zajęcia inne, jestem pewny, że teraz dlatego się najbardziej cieszy ze skończenia rotmistrzu, iż będzie mógł swobodniej z Wolskim i Sędziwojem prażyć jakieś ingredience, co oni Alchemią zowią, potem śpiewu posłuchać, potem się pomodlić, na klawicymbale pobrzakać i tym podobnie. Jeżeli był stworzony na monarchę, to na takiego, co by tylko w niedziele i święta reprezentował majestat, pięknie się ubrawszy, i potem wrócił do ulubionych zabawek. Dobrym jest, Ale u nas nie dosyć dobrym być.

Królowa więcej ma charekteru, A może najwięcej ta Meyerynka, co wszystkim wodzi, A nawet biednego Władysława, nie lubionego przez królowę, broni, osłania i pieści. Wszystko to, oo. Jezjici, Meyerynka, Alchemicy, muzyka, złotnicy, gdy się na to z bliska patrzy, w końcu męczą. Naród się nie przywiąże do takiego dworu, to darmo, A familia królewska, poczawszy od małych dzieci, nauczona z okien zamkowych na szlachtę przechodzącą pluć... Nie, nie - kończył rotmistrz - na dworze mi tchu by brakło. Króla przeprowadzę do Krakowa z jego gwardią, Ale dalej nie pójdę, pożegnam i wrócimy. A już bo mi się stęskniło za naszym kątem - mówił rotmistrz.

- Żebyście wiedzieli, jak mnie! - wyjąkał Szcypior. - Nie żal by było, żebyśmy na wojnę szli, Ale to Ani pokój, ni wojna. I z kim wojowanie? Z biedną szlachtą, którą tacy panowie Zebrzydowscy miotają!

Wkrótce potem ruszono do Krakowa, nie bardzo spiesząc.

Jedną z okoliczności, która Bajbuzę zrażała ode dworu, \* było i to, że choć się nigdy Żółkiewski nie skarżył, widocznym było, iż wpływ jego i znaczenie przez Potockich zostało zachwiane. Mąż to był nadto rozumny i wielkiego Ducha, Aby zbyt na utracie faworów cierpiał, lecz niesprawiedliwość bolała. Król dla niego był chłodnym, nie dopuszczał mu się zbliżyć; szacował go, Ale może więcej uniżoności i Akomodowania się wymagał, więcej głośnych oświadczeń, z którymi Żółkiewski był oszczędny. Czuł tak swą godność, iż nie przypuszczał, Aby

jej można było ubliżyć. Nie tak niecierpliwy i gwałtowny jak Chodkiewicz, w spokoju, swym daleko był więcej imponującym. Żółkiewski już był w początku pocieszył się tym, że rokosz nareście skończony i pogrzebiony, lecz pomimo że na dworze także się tym łudzono, zaczął powoli wątpić, równie jak Bajbuza.

Zrażała “ode dworu” - zamiast “do dworu”. Forma spotykana często w powieściach Kraszewskiego.

Cały ten przebieg czasu, spędzony na pół w obozie, po troszę na dworze, na starym rotmistrzu zrobił wrażenie smutne bardzo. Szczypior coraz częściej słyszał go powtarzającego:

- Im człowiek żyje dłużej, tym ludzie mu się wydają bardzoej politowania godnymi, A strasznie maluczkimi stworzeniami. Na kogo tu i na co rachować?!

W ciągu podróży do Krakowa rotmistrza wcale do króla nie pozywano, rad był, iż o nim zapomniano, Ale się mylił. Na ostatnim noclegu Marszałek Myszkowski wezwał go do siebie i winszując łaski pańskiej, zapowiedział, Ażeby po przybyciu do Krakowa, do niego się stawił, bo król z nim się chce widzieć.

- Wdzięchen jestem panu naszemu za jego łaskawość dla mnie - odparł uprzedzając Bajbuza - Ale właśnie chciałem się też pożegnać, bo mi do domu potrzeba.

- Cóż waszmość w domu robić będziesz? - rozśmiał się marszałek, który z nim zawsze rozmawiał po włosku. - Wasze miejsce tu, jesteś człowiekiem wychowanym do służby królewskiej. Na żadnym z przymiotów pożądanym ci nie zbywa.

- Dziękuję miłości waszej - skłonił się Bajbuza - Alem już mówił i powtarzam to, właśnie największego dworaka przymiotu nie mam: mówię prawdę.

- Tak, Ale umiesz ją powiedzieć gładko i zręcznie - dodał marszałek. - Prawda potrzebną jest, A to właśnie sztuka podawać ją tak, Aby się nią przyjmujący nie dławił.

Z tym Bajbuzę pożegnał, A gdy wyszedł, Kalińskiego spotkał, który z wielką pociechą swą winszował mu, iż jak słyszał, u króla miał wielkie zachowanie pozyskać.

- No, zobaczysz - dodał Kaliński - że się jeszcze krzeselka dosłużysz i łańcucha.

Łańcuch, o którym wspomniał Kaliński, był rodzajem oznaki szczególnej łaski króla i ozdobiony był wielkim wizerunkiem jego. Powiadano, że w części łańcuchy te sam rkól robił z pomocą złotników. Mieli je naówczas już Mniszech, Bobola, Wolski i Nowodworski. Na dworze ich oznaczano żartobliwym nazwiskiem panów łańcuchowych.

Bajbuza ramionami ruszył. Wcale się nie dobijał tego odznaczenia, choć wieley nawet panowie, którzy łańcuchów od króla nie mieli, kładli zwyczajne i udawali, że są obdarzonymi, Ale się to wprędce wydawało.

Wjazd do Krakowa, choć go chciano uczynić triumfem, nie był wcale tak świetny, jakim go widzieć pragnęli niektórzy. Ludności się wysypało dosyć ciekawej, Ale stała zimna. Król nie obudzał sympatii, pogrom rokoszan nie wydawał się zupełnym. Coś w powietrzu zwiastowało, że ta obrzydliwa domowa wojna skończoną nie była. Starsi rokoszanie zamiast się garnąć do dworu, Aby przejednać i uzyskać przebaczenie, wyraźnie od niego stronili. Z ziem różnych przychodziły wiadomości, że główni warchołowie zjeżdżali się, radzili i wcale nie dawali za skończoną. Tylko zaślepieni dworacy wmawiali w siebie i w króla, że już nic nie pozostawało, tylko rany goić, jakie rokosz zadał. Wszyscy obwiniali jednego Zebrzydowskiego, chociaż oprócz niego zajadłych rebelizantów było wielu, A ci uszedłszy zawczasu spod Janowca, nie rozpuszczali swoich oddziałów i na coś się zdawali oczekiwać.

Wedle rozkazu rotmistrz stawiał się na zamek do marszałka, który po krótkim oczekiwaniu do króla go wpuścił. Stał właśnie Zygmunt u stołu i w rękę trzymał bardzo piękny wizerunek młodziuchnego królewicza Władysława, do którego się uśmiechał. Położył go na stole i siadłszy pozdrowił ręką ruchem Bajbużę. Zawsze mówienie, zwłaszcza do tych, z którymi się rzadko widywał, przychodziło Zygmuntowi z trudnością. I tym razem rotmistrz oczekiwać musiał, nim cicho się odezwał:

- Rad bym, Ażebyś mi waszmość pozostał. Słyszę, że do domu powracać życzysz?

- Tak jest, Najjaśniejszy Panie - rzekł Bajbuza. - Gdyby, uchowaj Boże, potrzeba wypadła, w której bym Waszej Królewskiej Mości zdać się mógł, stawić się nie omieszkam, Ale teraz mamy choć chwilowe uspokojenie.

- Chwilowe?

- Podchwycił król.

Rotmistrz skłonił głowę.

- Nie dowierzam niespokojnym duchom.

Zygmunt westchnął.

- Więszego pobłażania trudno było okazać - dodał po małej przerwie. - Czegóż oni mogą żądać?

- Odgadnąć to trudno.

Król kazał sobie opowiedzieć potem o ostatnich chwilach rokoszu, o rozejściu się jego, o pogłoskach, jakie chodziły, A rotmistrz krótko i chłodno głównejsze rzeczy, podług swego przekonania, zebrał i wyłożył. Nie taił, że w przejednanie nie wierzy.

Następnie ostrożnie Zygmunt zapytał o Żółkiewskiego, chcąc się o jego usposobieniu dowiedzieć, tak Aby Bajbuza tego nie postrzegł. Nie było to bardzo zręcznym. Rotmistrz się złożył nieświadomością swoją i tłumaczył tym, że hetmana widywał mało. Wrócił raz jeszcze Zygmunt

do niego samego i próbował go przy dworze zatrzymać, Ale Bajbuza usilnie prosił o odpuszczenie go do domu zaręczając, że stawić się będzie na zawołanie.

- No, to jedź waszmość - odparł na ostatek król. - Jedź! Kopynicy ci ciężą, rozpuść ich, jeśli chcesz, lub oddaj komu, A na sejm do mnie przybądź sam. Mam ci sług dużo, Ale...

Zawahał się.

- Dobrzy są, nie narzekam, wszakże ci, co chcę, nie umieją - i z uśmiechem dodał: - Waszmość, który umiesz, powinienesz chcieć!

Tak odprawiony Bajbuza, nad wieczorem się dowiedział, że mu król parę pięknych koni ze swej stajni kazał przyprowadzić. Był to podarek, bo wiadano, że pieniędzy rotmistrz nie żądny..nv

Część III ( c.d.)

## Rozdział VI

Zebrzydowski niedługo namyślał się, dokąd miał się schronić po rozprószeniu rokoszan. Majętności jego były zniszczone, zasoby wyczerpane, synowi nadana Lanckorona za blisko leżała od Krakowa, pozostawał mu Zamość i ogromne dobra po hetmanie, którymi jako opiekun zarządzał i władał. Zdawało mu się, że myśl tego oporu wziął w spadku po Zamoyskim, dlaczegóż nieboszczyk do spełnienia jej przykładać się nie miał? Pojechał więc wprost i osiadł na zamku w Zamościu, Ale starając się nadać pobyтови temu pozór wypoczynku i usunięcia się od spraw publicznych. Niewiele osób mógł oszukać, gdyż nigdy może czynniejszym nie był. Charakter i temperament czyniły go nadzwyczaj zmiennym w postępowaniu. Cel pozostawał jeden, Ale drogi i środki zależały od okoliczności, od osób, od wpływów, nawet od humoru chwili. Wrota zamku stały od miasta zamknięte, z tej strony panowała cisza, Ale przez furty boczne, z za tyłów nieustannie się wkradali przybywający, jedni z wyrzutami, drudzy z pytaniami i radami. Znaczniejsza część całe niepowodzenie składała na Zebrzydowskiego, który był wodzem i hetmanem. Wszystkie klęski zrzucano na barki jego.

W tych, co niedawno jeszcze widzieli wojewodę w sile wieku, zdrowia i energii rycerskiej, mężem wierzącym w swą przyszłość, obudzał on teraz litość, tak straszliwie zestarzał nagle, zapadły mu oczy i policzki, zmieniły się rysy, taka boleść niewysłowiona malowała się na zmęczonym obliczu. Ręce mu drżały, chwiały się chodząc, A gdy się postrzegł, że zdradzał osłabienie, prostował się nagle, dobywał sił i pragnął pokazać, że złamanym nie był. Wkrótce potem opadał znowu. Najmniejsza rzecz drażniła go i gniewała. Dostyc dawniej obojętny w rzeczach wiary, stał się teraz pobożnym do fanatyzmu, co go od namiętnych gniewu porywów nie ratowało. Z rodziną swą na przemiany najczulszy, niekiedy zamykał się od niej i nie dopuszczał do siebie. Domownicy, dawniej już nawykli do tego burzliwego usposobienia pana, drżeli teraz, nie mogąc odgadnąć nigdy, co go wprawi w największą złość i uniesienie, A co pozostawi obojętnym.

Z kolei wszyscy dowódcy rokoszan, jeśli nie jawnie, to potajemnie przybiegali do niego na rady. Z kolei Herburt, Stadnicki, Pękosławski, Łaszcz Piotr, zięć wojewody, nawet Ostrogski i Radziwiłł skrycie się wciskali na zamek; kto nie chciał być postrzeżonym, przyjeżdżał nocą, stawiał konie w podwórku i uchodził, gdy rozedniało. Częstokroć przybyły poczynał od zajadłej kłótni, od krzyków, którymi się komnaty rozlegały; potem ucichała wrzawa i rozstanie zwykle bywało zgodne i spokojne. Wojewoda listy i posłów rozsyłał na wszystkie strony, odbierał ich też wiele. W izbie, w której siedział zamknięty, spoczynku nie było ni dniem, ni nocą. Służba się mieniała u drzwi na czatach, nie zasypiając. Wojewodę budzono, gdy usnął, bo takie były rozkazy. Wszyscy prawie zaczynali od najgwałtowniejszych wyrzutów, A kończyli na tym, że rokoszu za rozbity i

rozwiązany nie uważali. Zebrzydowski słuchał, nie sprzeciwiał się, popychał drugich. Sam się Nie zarzekał współuczestnictwa, lecz na oko chciał, Aby się wydawało, że o niczym nie myśli.

Przyjechał kto z tych wątpliwych pośredników, którzy, jak ks. Ostrogski, obu stronom schlebiali, czekając, z której potrafią skorzystać, naówczas Zebrzydowski opowiadał, że zrzekł się już dowództwa i wszystkiego, że chce i potrzebuje odpocząć, że do niczego mięszać się nie będzie. Utyskiwał na straty, A królowi wszelkimi możliwymi drogami dawał do zrozumienia, że tych strat spodziewał się wynagrodzenia. Ale rada otaczająca króla na samą myśl kupowania tego herszta rokoszan oburzała się.

Nikt zresztą pochwalić się nie mógł, Ażeby całą myśl wojewody odgadywał. Sprzecznym był z sobą samym. Gdyby nawet jednak chciał zupełnie dalszych wicherzeń zaniechać, nie byłby w możności zerwać wszystkich węzłów, jakie go łączyły z rokoszanami, którzy nie myśleli sromotną klęską pod Janowcem dać się związać. Ci, których on rokoszanami uczynił, jak Smogulecki, teraz jego trzymali w związku.

Natychmiast po rozjechaniu się spod Janowca dało się słyszeć, że Zebrzydowski był oszukany, sponiewierany niegodnie, że wszystko poświęciwszy, padł ofiarą.

Cały ten ruch nurtujący podziemnie dworowi wydawał się mało znaczącym i nie mogącym następstw pociągnąć za sobą. Doniesieniom o nowych knowaniach nie dawano wiary lub je lekceważono. Myszkowski tylko, którego dotknął swym oskarżeniem Zebrzydowski, nie mogąc mu go darować, pragnąc się pomścić, wskazywał w nim królowi nieprzebranego wroga.

- On, póki żyw, spokojnym nie będzie - powtarzał marszałek. - Dobrze mu wszelkie środki, potwarz, kłamstwo, krzywoprzysięstwo. Rokosz rozbity, powiadacie, A ja nie wiem, czybym uwierzył Zebrzydowskiemu, gdybym go na marach widział.

To pewna, że czy z naprawy wojewody, czy mimo jego woli, nie przestawano w szlachcie utrzymywać niechęci przeciwko królowi i dworowi. Na samym zaś dworze dawały się postrzegać pewne odcienia przekonań. Tak kardynał Maciejowski żądał powolności dla Zebrzydowskiego, gdy Myszkowski nastawał na zgubę jego; w wojsku Potoccy różnili się zdaniem z Żółkiewskim; Chodkiewicz królowi wierny, dumą swą zrażał; księcia Ostrogskiego pewnym być nikt nie mógł.

W samych rodzinach różnice przekonań były wielkie; dwu Stadnickich szło z królem, jeden przeciw niemu. W sposobie postępowania z rokoszanami król zawsze łagodność zalecał i dawał jej przykład, senatorów wielu doradzało surowość i postrach A grozę. Wiedzano, że Herburt z Batorymi spiskował i ich na tron prowadził, chciano na nim przykładu kary, która by postrach wraziła.

W pośrodku Rzeczypospolitej każda ziemia niemal, idąc za ludźmi wpływowymi, dzieliła ich przekonania. W Wielkiej Polsce Smogulecki ze swymi pomocnikami rokosz utrzymywali i



podpalali, w Sandomierskim, po części w Krakowskim, chciano pokoju, Ale tu Zebrzydowski miał swych tajemnych podburzycieli. W Zamościu się jednoczyły wiadomości z całej Rzeczypospolitej i z pewnością wojewoda daleko był lepiej oświadczony ze stanem umysłów, z tym nawet, co się działo na dworze i między senatorami, niżeli sam król i rada jego.

Uspokajając Zygmunta łudzili się tu wszyscy. Rokosz uważano za niemożliwy. Zebrzydowskiemu nic uczynić nie chciano, nie miałoż starczyć, że go puszczono bezkarnym?

Tak stały sprawy niejasno jeszcze, A w Krakowie mówiono o zwołaniu sejmku, którego się domagali szczególnie rokoszanie, gdy jednego dnia stary rotmistrz Urowiecki, który teraz młodemu Tomaszowi Zamoyskiemu był dodany dla nauki rycerskich ćwiczeń, ujrzał zdumiony wchodzącego do swej izby starego, dawno nie widzianego przyjaciela i towarzysza broni, Bajbuzę.

- A cóż ciebie, ty regalisto, mogło do nas, rebelizantów, sprowadzić? - zawołał, wesoło go witając.

Rotmistrz nasz z Urowieckim o sprawach ogólnych nie zwykł był nigdy rozprawiać, znał go jako doskonałego dowódcę na polu i w obozie, Ale nie sądził, Aby Urowiecki rozbierał kiedy zbyt ściśle, za co, z kim i przeciw komu walczy.

- Włóczę się, jak widzicie, po kraju - począł Bajbuza - A będąc w pobliżu Zamościa, ponieważ dawniej panu wojewodzie byłem znany, chciałem mu się pokłonić.

- Biedny człek! - westchnął Urowiecki. - Zobaczycie, żal patrzeć na niego. Męczennik! Co go ta impreza kosztowała! Fraszka pieniądze, Ale krwi i żywota. Od czasu tego rokoshu chwili nie miał spokojnej, A teraz wszystkiemu on winien, za wszystkich pokutuje!

Urowiecki, mówiąc, ręce łamał.

- Będę ja mógł go widzieć? - spytał Bajbuza.

- Nie wątpię o tym - rzekł rotmistrz. - Chociaż tam u niego zawóz \* wielki... drzwi się nie zamykają.

Zawóz - tu w znaczeniu: "tłumny" zjazd.

I Urowiecki przerwał nagle.

- Ale wy, wy, z Żółkiewskim przy królu! Jam się tego nie spodziewał. Mnie się zdawało zawsze, że wy pójdziecie z nami, torem przez nieboszczyka Zamoyskiego wybitym.

- Mój rotmistrzu - unikając rozpraw, odparł Bajbuza - składają się dziwnie czasem ludzkie rzeczy. Człowiek nie tylko idzie, nie gdzie chce, A dokąd musi, Ale i drugich prowadzi. Dajmy temu pokój.

Urowiecki, popatrzawszy na chmurne jego oblicze, urwał nagle i począł o tym, co go teraz najgoręcej obchodziło, o młodym Tomaszu, który tak piękne rokował nadzieje, iż godnym ojca następcą być obiecywał.

Bajbuza, nasłuchawszy się pochwał, przynaglał ciągle swą rozmowę z Zebrzydowskim, Ale do wieczora się ściągnęło, A dostąpić do niego nie było można... O zmroku już wypuszczono do przyciemnionej komnaty Bajbuzę. Zebrzydowski siedział w krześle zgarbiony i twarzy jego wcale nie mógł rozeznaczyć. Przywitanie było bardzo zimne. Wojewoda miał pamięć doskonałą, mógł się więc domyślać Bajbuza, iż wiedział, po której on stronie się znajdował. Czuć było, że mu tego nie przebaczył.

- Z Krakowa pewnie ode dworu jedziecie - odezwał się Zebrzydowski. - Nietajno mi, że i u pana Żółkiewskiego, i u króla macie łaski. Cóż was do mnie sprowadzać może?

Bajbuza pomilczał chwilę.

- Wierność moja pamięci hetmana, którego miłość wasza byliście wybranym i wyznaczonym spadkobiercą.

Zebrzydowski zamruczał coś niewyraźnego.

- Nie będę się tłumaczył - mówił dalej Bajbuza - dlaczego stanąłem i stoję przy panu Żółkiewskim, Ani winił miłości waszej, żeście tak srogo przeciw królowi wystąpili, Ale ta miłość, jaką mam dla spadkobiercy hetmana, zmusza mnie tu z prośbą i przestrogą.

Zebrzydowski przerwał mu, nie dając kończyć i oburącz sparszył się na poręczach krzesła, powstał.

- Wy do mnie, z przestrogą?

- A dlaczegoż by nie? - przerwał z dumą rotmistrz. - Wiem, co się dzieje na dworze, w kraju i około was, panie wojewodo, obawiam się o was, sumienie mi każe ostrzec. Na miłość Bożą, dajcie już pokój rokoszowi!

Zebrzydowski cały się zatrzęsł.

- A skądże, jak wiesz, że ja o rokoszu myślę? Ja siedzę spokojnie, jam jeszcze nie wydychał tego, com wycierpiał. Nie mięszam się do niczego, czekam na sejm, choć mi słowa nie dotrzymują, choć ze wszystkich obietnic dotąd nic!

To mówiąc padł na krzesło.

- Wasza miłość możesz to mówić, komu się ǳie podoba - począł powoli Bajbuza. - Jestem wielkim miłośnikiem Rzeczypospolitej, gotówem dla niej wszystko poświęcić, nie mam nic do czynienia, więc sprawy bierzące badam i znam lepiej niż inni. Wasza miłość, jak byliście, tak jesteście głową i duszą rokoszu, A ten rokosz, o którym mówią, że skończony jest, wiąże się na nowo, sposobi i znowu grozi zaburzeniem. Ale nie sprawi on nic, tak jako i pierwszy; król ma po sobie dosyć sił i ludzi, uprzedzi was. Daj Bóg, Aby nie gorszy był koniec niż pod Janowcem.

- Ależ to zuchwalstwo niesłychane! - krzyknął wojewoda. - Wy do mnie przychodzicie bakałarzować i uczyć, co czynić mam! Toć śmiechu godna! Zaprawdę! Ale razem to oburza! Coście wy, A co ja?

- Ja jestem szlachcicem wam równym! - zawołał Bajbuza. - Wy macie prawo króla lając, A ja bym nie miał prawa słów prawdy wam powiedzieć? Dlaczego?

Zebrzydowski śmiał się gorzko.

- Cóż więcej? - zapytał. - Co więcej? Na tośmy przyszli, my senatorowie, że nas lada kto rozumu uczyć chce. Co więcej, mości Rotmistrzu?

- Że wszystkie te spiski nowe Smoguleckiego i wykrzykiwania Łaszcza, i podburzania Pękosławskiego są wiadome, że każdy wasz krok śledzony, że wszystko to wysiłki próżne, A teraz, gdyście królowi na nowo wierność ślubowali, podwójnie winne zdrady.

- Milcz! - przerwał wojewoda. - Kto cię tu posłał?

- Nikt, ja sam - rzekł zimno Bajbuza. - Więcej wam powiem o tym, co ja wiem z robót waszych. Mało kto tak jest uwiadomionym, jak ja, może nikt. Przychodzę z przestrogą, bo nie życzę wam zła. Na miłość Bożą, cofnijcie się, powstrzymajcie, zerwijcie z tymi, co wam niegodziwe rady dają!

Z tego, co mówił Rotmistrz, jedno tylko utkwilo w pamięci wojewody:

- Wiesz więcej niż drudzy? Szpiegujesz więc mnie? korzystasz z tego, żeś tu miał przyjaciół i znajomych; A wiesz, co szpiegów spotyka na wojnie?

- Szpiegiem nie jestem! - zawołał Bajbuza. - dosyć do Wielkopolski pojechać, A pobyc między szlachtą, Aby się dowiedzieć, co tam z rozkazu waszego się gotuje. Myślicie znowu rokosz zwoływać i bezkrólewie ogłaszać, A Herburt ma już króla gotowego za nadrą.

Wojewoda powtórnie zerwał się z krzesła, nie był już panem siebie.

- A wiesz ty, komu w szpony wpadłeś z tym słowem zuchwałym?! - krzyknął. - Znasz ty Zebrzydowskiego?!

Nie odpowiedział Bajbuza. Wojewoda walczył z sobą jeszcze:

- Instygatorem \* myślisz być przeciwko mnie, jeżeli ci się zastraszyć nie uda! Poniesiesz się z tym na dwór, Aby królowi w łaski wkupić! I myślisz, że ja ci stąd dam wyjść cało?

Instygator ( z łac.) - tutaj oskarżyciel, prokurator.

Rotmistrz na to zagrożenie odparł chwilą milczenia, jakby dawał czas do namysłu.

- Nie chcecie słuchać zyczliwej rady - rzekł - nie pozostaje mi więc, tylko boleć nad tym, co na siebie i na kraj ściągniecie. Uczyniłem, co sumienie kazało. Czołem!

Ruszył się wychodzić już Bajbuza, gdy Zebrzydowski w ręce bić i wołać począł na czeladź swoją, która natychmiast przerażona przez dwoje drzwi wpadła razem. Zebrzydowski ręką dygocącą wskazywał na odchodzącego Bajbuzę:

- Wziąć go, do wieży! Wziąć go! Napadł na mnie!

Nie przyśpieszając kroku, Ale nie zważając też na wołanie, rotmistrz, rękę położywszy na szabli, wychodził powoli i przestąpił próg; żaden z dworzan i sług nie śmiał się zbliżyć do niego.

Zebrzydowski nie przestawał powtarzać:

- Imać go! Na wieżę z nim!

Cała gromada dworzan posypała się za wolno postępującym Bajbużą. Niektórzy z nich przewidując, że opierać się będzie, bocznymi korytarzami zabiegli naprzód, Aby drzwi zamknąć i zbrojno stanąć w takiej liczbie, by się im bronić nie mógł.

Zebrzydowski wstawszy ścigał odchodzącego oczyma i powtarzał:

- Wiązać go! Imać!

Wrzawa i szmer całą ludność w tej części zamku wywołała z izb. Nikt nie rozumiał, co się stało. Stary Urowiecki, posłyszawszy hałas, wpadł pierwszy i dowiedział się o tym, że wojewoda kazał ująć kogoś przed chwilą do niego wpuszczonego. Nie wątpił, że szło o Bajbuzę. Spotkali się oko w oko.

- Na Boga, co się stało?! - krzyknął Urowiecki.

- Wojewodę mimo woli obraziłem, kazał mnie uwięzić, Ale nie może być, Aby chciał wolnego szlachcica, z dobrym słowem przychodzącego, we własnym ukrzywdzić domu.

Rotmistrz pospieszył do wojewody, Ale nim usta otworzył, ten mu je zamknął:

- Ani słowa! Wziąć go! Wziąć go! Ja odpowiem. Bronić się będzie, rozsiekać, rozsiekać! Ja odpowiem!

I coraz głośniej, namiętniej dodał:

- Urowiecki, gardłem odpowiesz, jeśli wyjdzie, wziąć go!

Rotmistrz widząc go tak roznamiętnionym, nie śmiał się sprzeciwiać, Aby nie drażnić. Zawrócił się nazad i zawołał do Bajbuzy:

- Za mną!

Milczący, wcale nie nastraszonego rotmistrza, ręki nie odejmując od szabli, szedł za Urowieckim. Ale jeszcze na dół nie zaszli, gdy wysłanych sześciu hajduków i starszy nad nimi otoczyli Bajbużę, Urowieckiemu oświadczyli, że ma ustąpić, i ściśniętego tak poprowadzili ku więziennej wieży. Bronić się nie było sposobu, Ani myślał też rotmistrz, pewnym będąc, że wojewoda ochłonawszy, puścić go rozkaże. Sklepiona izba z oknami w kraty opatrzonymi, pusta i zatęchła, otworzyła się; przestąpił próg, A ciury pośpiesznie drzwi żelazne za nim zarygłowały.

Takiego końca rozmowy z gwałtownym wojewodą nie spodziewał się Bajbuza, lecz dotąd więcej go to dziwiło, niż przestraszało. Nie przypuszczał, Aby na naleganie Urowieckiego, po rozmyśle Zebrzydowski wolności mu nie przywrócił. Znany z popędliwości i mnogich popełnionych gwałtów, popełnić je mógł w chwili zapamiętania, Ale rozmyślnie... Bajbuza usiadł na ławie przy ścianie i zadumał się. W izbie zupełnie było ciemno, A przez okna z podwórza zaledwie słabe jakieś wpadało światelko. Dokoła panowała cisza. Uderzenia o podłogę stajenną kopyt końskich kazały się gdzieś stajen domyślać w pobliżu. Potrzeba było mieć cierpliwość, A na tej Bajbuzie nie zbywało. Co chwila oczekiwał, że posłyszysz kroki, głosy i że stary Urowiecki przyjdzie go wyswobodzić.

Gdy się to działo z nim, na górze wojewoda wściekły się po swej izbie rzucał odgrządzając, gdy Pękosławski, który przed kilku godzinami przybył tu, usłyszawszy o jakimś zajściu, przybiegł do wojewody. Ze wszystkich rokoszan tego imienia godnych, którzy się rodzą nimi i umierają, Prokop Pękosławski był ze krwi i kości najczystszy, był nim w każdej dnia godzinie, w każdym położeniu, nie mógł żyć i trwać bez jakiegoś rokoszowania. Rokosz nieustający wiódł w domu, woził go po sąsiedztwie, narzucał najspokojniejszym. I teraz, po rozprószeniu pod Janowcem, on był najgłówniejszą sprężyną do odrodzenia rokoszu. Zastawszy wojewodę w tym stanie rozdrażnienia, w jakim go rzadko widywał, Prokop uradował się mocno:

- Mów, co się stało!

Dławiąc się i krztusząc, Zebrzydowski począł całą historię swej rozmowy z Bajbuzą, o którym Pękosławski już dawniej słyszał.

- I wziąłeś go? - zapytał w końcu.

- Kazałem zamknąć.

Tu Zebrzydowski tłumaczyć począł, że go znalazł doskonale ze stanem rzeczy oświadczonym i że był człowiekiem niebezpiecznym.

- ściąć go, bestię! - rzekł krótko Pękosławski.

- Nie można - odparł wojewoda - ma nadto przyjaciół. Będą się mścić na mnie.

- Myślisz go puścić?

- Nie mogę! - zawołał Zebrzydowski. - Niebezpiecznym jest! Jednym takim kretem mniej, co ryje po ziemią, zawsze coś znaczy... Zamknę go.

- Tu? - zapytał Pękosławski.

Oba głowami potrząsali. Zamość był nadto na widoku, ukryć go tu na zamku trudnym się zdawało, A dać o tym mówić wiele, niedobrym było. Zebrzydowski namyślał się.

- Poślij go do Lanckorony - rzekł Pękosławski.

Myśl ta podobała się Zebrzydowskiemu. Wiedział o tym, że dawne stosunki łączyły Bajbużę z Urowieckim, nie użył go więc do niczego. Kazał przywołać Węgra, Janasza, którego miał z dawna w usługach i po cichu mu wydał rozkazy.

Gdy w parę godzin potem Urowiecki przyszedł wstawiać się za uwięzionym, Zebrzydowski z tą chytrą, którą czasem się posługiwał, odpowiedział mu zimno:

- Już go nie ma, wyjechał.

Rotmistrz skłonił się, pewnym będąc, że uwolniono Bajbużę. Zjrzał do więzienia, w istocie tam go już nie było.

Janasz odebrawszy rozkaz, Ani chwili nie zwłóczęc, ludzi sobie dobrał i z nimi wszedł do więzienia.

- Z rozkazu pana wojewody - rzekł wchodząc - mam was odwieść tam, gdzie wam przeznaczono. Nas jest dosyć, Aby zmusić, gdybyście się opierali, A rozkaz mam, choćby ubić przyszło, to spełnić, co wojewoda postanowił. Siadajcie na koń między nas i po wszystkim!

Bajbuza Ani się bronić, Ani z żołdakami rozprawiać nie myślał, ulegał przemocy spokojny i pewny, że mu ktoś w pomoc przyjść musi. Szabli Węgier nie próbował odbierać. Noc była, gdy na konia siadł i otoczony ciasno przez hajduków wyruszył z zamku małymi, krętymi uliczkami w pola otaczające. W pół godziny później byli już na gościńcu wśród lasów.

Całą tę przygodę lekce sobie ważył Bajbuza; obrażony Zebrzydowski mógł go tak więzić czas jakiś, jak nieraz chwyтали i trzymali Stadniccy Herburt i nawzajem, Tarnowskiego wojewoda itp., lecz o życie się obawiać nie miał powodu. Pewnym był też, iż począwszy od Urowieckiego przyjaciele jego przybiegną Zebrzydowskiego przebłagać i wyjedną mu swobodę. Tymczasem jednak zatrzymanie go nie było na rękę, bo zamierzał, przeciwko na nowo wiążącemu się rokoszowi czynnie wystąpić i miał już po temu obmyślane środki, ludzi i drogi. Ufał, że oczekujący na niego Szczypior, jak tylko się Albo dowie o tym, co go spotkało, lub zaniepokoi zniknięciem nagłym, nie pozostanie bezczynnym, A na dworze też nie opuszczą go przyjaciele.

Z kierunku, w jakim, opuściwszy Zamość, jechali, domyślać się, dokąd go wieziono, nie mógł, Ale wnosił, że w jednym z zamków, należącym do Zebrzydowskiego, gdzieś w głuchym kącie go osadzą. Lanckorona wcale mu na myśl nie przyszła, bo ta i nadto była bliską Krakowa i liczyła się jako posiadłość nadana jego synowi. Wojewoda wybrał ją na poddaną myśl Pękosławskiego może dlatego, że tam właśnie szukać znikłego Bajbuzy nikt by nie próbował. Z kilku słów, które się rotmistrzowi wyrwały z ust, czuł Zebrzydowski, że o jego robotach był uwiadomiony; przytrzymać go więc, A choćby sprzątnąć ze świata wydawało mu się koniecznością. Janasz Węgier miał polecenie nie tylko go zawieźć do Lanckorony i w Dorotce tamtejszej osadzić ( bo Dorotkami wówczas wieże więzienne w tych okolicach nazywano

powszechnie), Ale pozostać na straży, gdyż miejscowym nie ufał. Przykazano mu więźnia tak trzymać, Aby z nikim Ani z się widywać, Ani mówić nie mógł. Węgier wiedział, że głową swą za niego odpowie.

Tego wieczora Zebrzydowski nie uspokoił się, Aż mu doniesiono, że Janasz wyjechał z więźniem, A w rozmowie z Pękosławskim powracał ciągle do Bajbuzy i do zdrady, której się lękał.

- Przed czasem mnie wskażą - mówił niespokojny - A ja wiele mam do czynienia, nim rokosz się na nowo zwoła i nie chcę, Ażeby mnie najeżdżano i niepokojono od króla. Tylko co nie widzieć, jak tu senatorów wysłaż z napomnieniami do mnie. Ten łotr mnie już palcem wytykał i mówił, że wie o wszystkim. Kto wie? Gotowi byli przejąć listy do Smoguleckiego?

Szcypior, pozostawiony w Nadstyrzu, tyle tylko wiedział o rotmistrzu, iż w pilnej sprawie na dni najdłużej kilkanaście się oddalił i czekać na siebie kazał. Przed nim się Bajbuza nigdy nie tłumaczył ze swych czynności, chyba gdy do nich mu Szcypior był potrzebny. Oczekiwano więc powrotu rotmistrza, gdy zamiast niego porzuceni ludzie, wóz i konie w Zamościu, o których przetrzymaniu nie pomyślano, nie doczekawszy pana wieczorem, na próżno go wyglądając przez noc całą, przestraszeni rozbiegli się dowiadywać o niego. Wiedzieli, że ku zamkowi się udał, Ale tu o nim nikt im nie umiał nic powiedzieć. Urowiecki był przekonany, iż go już wolno puszczone, gdy z rana na miasto wyszedłszy, przypadkiem się spotkał z hajdukiem Bajbuzy i dowiedział od niego iż nie powrócił do gospody. Na myśl mu przyszedł Pękosławski, potem wyprawienie nagle w nocy Janasza i zląkł się o rotmistrza. Z Zebrzydowskim pod te czasy żartów nie było. Przed lada sługą się wygadać ze swych podejrzeń nie mógł i podumawszy trochę, podszeptał mu:

- Nie macie czego tu czekać, powracajcie do domu, A dajcie znać, komu należy, iż rotmistrza wam tu w Zamościu nie stało.

A gdy hajduk chciał rozpytywać więcej, dodał niecierpliwie:

- Wybierajcie się stąd, póki cali, rozumiesz?! Rady nie dacie panu żadnej, A w domu trzeba, Ażeby wiedzieli, że go nie ma.

Ruch nakazujący i naleganie Urowieckiego sprawiło, że hajduk, już nie namyślając się, do gospody pobiegł, konie kazał posiodłać i natychmiast wymknął się z miasta.

W czas się to stało, gdyż w kilka godzin potem Pękosławskiemu myśl przyszła ludzi Bajbuzy szukać i ich też zagarnąć, Aby nie rozsieli trwogi, Ale pobiegł ich dopytywać za późno, nierychło się dowiedział i zmiarkowawszy ile godzin mieli przed nim cdo ucieczki, nie puszczał się w pogoń.

Nieliczny więc ów poczet, przestraszony, pociągnął wprost do Nadstyrza i właśnie gdy Szcypior się zaczynał już o rotmistrza troszczyć, przybył berzpański do domu.

Chorąży, dowiedziawszy się od hajduka, co się stało, jak szalony począł się rzucać, nie wiedząc, co począć. Przypuszczenia najstraszniejsze mu na myśl przychodziły. Hajduk tyle tylko mógł mu powiedzieć, że wyszedł na zamek do wojewody i więcej nie powrócił. Szczypior wiedział, co teraz trzymał Bajbuza o wojewodzie; znał go, że prawdy nie taił, A Zebrzydowski gwałtownym był i zapamiętał nad miarę. Mógł go więc zabić nawet.

W całym dworze, gdzie wszyscy tak do pana byli przywiązani, niezmierna trwoga, żal, niepokój poruszyły sługi, rezydentów, komorników i resztę kopijników, która się pozostała jeszcze przy Szczypiorze. Wszyscy gotowi byli biec, jechać, ratować. Chorąży bodaj ( gotów był) na nowo oddział zebrać dla odsiecz. Ale przeciw komu? Dokąd? Z Zebrzydowskim walczyć z taką garścią? Łamał głowę Szczypior, A czując, że wszystko na nim polegało, natychmiast listy do hetmana Żółkiewskiego, do marszałka Myszkowskiego i do innych, około króla bawiących osób wyprawił z oznajmieniem, iż rotmistrz w Zamościu prawdopodobnie przez Zebrzydowskiego został albo ujęty... Albo nawet... stracony!

Sam, rzucając się na wsze strony po radę, tegoż dnia pobiegł zaraz do Spytkowej i w progu z wielkiego żalu, nie przygotowując ją do tego, krzyknął:

- Rotmistrza naszego nie ma! W Zamościu go jakieś nieszczęście spotkało. Poszedł na zamek do Zebrzydowskiego i więcej nie wrócił. Jak w wodę wpadł. Ludziom jakaś dobra dusza poradziła uchronić do domu. Dali mi znać! Co mam począć?

Spytkowa jak stała, wybiegłszy naprzeciwko Szczypiorowi, tak ręce załamawszy, krzyknęła i padła zemdlona. Szczęściem, że ją na ręce dziewczęta chwyciły w porę, Aby głowy nie rozbiła, na wznak runąwszy. Gdy ją potem otrzeźwiono, poczęła płakać, zawodzić i nierychło dopiero męstwa nabrawszy, oświadczyła Szczypiorowi, że gotowa jest sama, byle on jej dał ludzi, jechać do Zebrzydowskiego. Było jakieś dalekie pokrewieństwo między nią A rodzinami im bliskimi, za młodu znała wojewodę; zresztą nie ustraszało ją nic, na wszystko się chciała ważyć, Aby rotmistrza ocalić, jeżeli czas jeszcze było.

Szczypior, jak oszalały, na przemiany to wołał: - Zabili go - to się porywał i sam sobie zaprzeczał: - Nie może to być, nie ważyliby się...

Nie zdawało mu się, Aby Spytkowa pomóc co mogła i zrozpaczony potem gotów był przyjąć pośrednictwo, nie wiedząc, co czynić.

Jejmość zaś, jak w pierwszej chwili oświadczyła się z gotowością do podróży, tak trwała w tym. Szczypior ofiarował się jej sam towarzyszyć. Obojgu im zdało się, że jednej godziny do stracenia nie było, jejmość więc natychmiast się wybierać poczęła, A chorąży do Nadstyrza po woźniki, kolebkę i ludzi popędził, chcąc, Aby jak przystało, wystąpiła i w drodze miała wygodę. Przygotowania odbywały się z takim pośpiechem, iż nazajutrz spłakana Spytkowa mogła ze swą



towarzyszką już się do kolebki, A Szczypior we dwadzieścia koni ciągnął za nią. Wprost tak wyruszyli do Zamościa.

Bajbuza tymczasem, z którym Janasz Węgrzyn obchodził się jak z jeńcem wojennym i z oka go na chwilę nie spuszczał, tak że nad śpiącym straż stawał z gołym mieczem, doprowadził go wręście do Lanckorony. Tu, do osadzenia w wieży przywiezionego od wojewody więźnia, nie pytając, kto był, nie robiono najmniejszej trudności. Więzienie dolne było natenczas puste, do niego więc wtrącono Bajbuzę, nimby obmyślano, gdzie i jak go potem umieścić. A że w Lanckoronie oprócz burgrabi nad zamkiem starszego nie było nikogo, ten zaś wojewody się lękał jak ognia, wszystkie Janasza rozkazy spełniał jak najściślej.

Stary, otyły, ciężki już ów zamkowy pan był nie z ręki Zebrzydowskich nad nim przełożonym. Trzymał się on już tu z dawnych czasów i o to tylko dbał, Aby miejsca nie utracił. Zresztą Zebrzydowscy, czy ktokolwiek Lanckoronę trzymał, wszystko mu było jedno, byle on ze swą liczną rodziną mógł się w niej mieścić i konie wypasać, ordynarię pobierać, A z różnych na zamek dostarczanych zapasów i robocizny do niego przeznaczonych korzystać.

Marek Bruszka zwał się pan burgrabia. Pod jego klucz dostał się znużony podróżą Bajbuza i zaledwie mógł rozglądać po izbie, zgniłą słomą na pął zarzuconej, gdy burgrabia przyszedł zajrzeć mu w oczy. Z ubioru i postawy poznawszy, iż nie z lada więźniem miał do czynienia, Bruszka bardzo się tym ucieszył.

Bajbuza na wstępie mu zapowiedział:

- Wiedz, wasze, że ja tu wiecznie przecie siedzieć nie będę, A jak za dobre się wypłacić mam czym i mogę, tak za złe odpowiecie.

Marek na to po namyśle zamruczał:

- Nie jestem złym człowiekiem, na męki was brać Nie będę.

Spojrzeli sobie w oczy i Bajbuza wyczytał z wejrzenia burgrabiego, iż mu na wstępie coś dać należało. Sięgnął do kalety i wcisnął garść groszy, które Marek szybko do kieszeni wpuścił i nie mówiąc już nic, wyszedł natychmiast precz, zamykając trtoskliwie za sobą.

## Rozdział VII

Rotmistrz nasz miał dosyć mocy ducha, Aby w położeniu najprzykrzejszym nie rozpaczać. O sobie zawsze chodziło mu najmniej, wytrzymać mógł wiele, A przeszłe życie zahartowało go na wszystko. Zdawało mu się więc, że i więzienie, które znał dotąd tylko z powieści, potrafi, nie bolejąc, nie jęcząc, przecierpieć z męstwem niezłomnym. Ale nie szło tu o niego, był potrzebnym, zobowiązał się do wielu czynności, miał sobie do wyrzucenia, że się naraził nierozważnie na niewolę. Ale któż się mógł spodziewać takiego gwałtu po wojewodzie? Jedyłą pociechą jego było, że się o niego wiele osób upominać musiało i że wojewoda zmuszonym w końcu być mógł do wypuszczenia go. Uwzięzenie, jak sądził, nie mogło pozostać tajemnicą. Liczył na marszałka Myszkowskiego, na hetmana, na Urowieckiego nawet, na wszystkich przyjaciół swych. Najmniej się spodziewał po Szczypiorze.

W Lanckoronie dziedziniec, wśród którego stała Dorotka, stara wieżycyca okrągła, był odosobniony i ruch zamkowy wcale tu nie dochodził. Dniem i nocą panowała głucha, martwa cisza grobowa, przerywana tylko, ilekroć ze strony ogołoconej z murów wicher się zrywał, który wył, świszczwał, szumiał najdzikszyimi głosy.

Marek burgrabia obrachował to, że najkorzystniej będzie dla niego nikomu więźnia nie powierzać, Ale strzec go samemu. Pierwszego dnia zaraz z pachółkami przyszedł słomę odmienić i najpotrzebniejszy sprzęt dostarczyć, Ale klucza nie dał nikomu. Nosił go za pasem pod pozorem, iż się lękał odpowiedzialności.

O jedzenie Bajbuza nadto był dumnym, Aby się upominał, chleb by mu starczył, A gdy burgrabia przyniósł w garnuszku krupniku i piwo, był zupełnie zaspokojony. Płaszcz służył mu w części za posłanie, A trochę za pokrycie. Nawykły do czynnego życia, w początku miał tyle do myślenia, iż próżnowanie uczuć mu się nie dało, Ale w kilka dni był wycieńczony, znękany, gorzej niż po najcięższym pochodzie. Okno jedyne było wysoko i widok z niego niewiele by go rozerwał; na ścianach gdzieniegdzie wyrzeżane głoski i liczby prędko przeczytał wszystkie. Sen nie brał go, godziny zaczęły wydawać się niezmiernie długimi. Pierwszy raz zrozumiał, jak straszliwą karą było odjęcie swobody. Duch jego wrywał się na próżno, umysł pracował gorączkowo, nie mógł nic. Przemówić nawet nie miał do kogo. Bruszka, który w pewnych godzinach zjawiał się, do rozmowy nie okazywał najmniejszej ochoty. Słuchać mrucząc był gotów czas jakiś, Ale na pytania odpowiadał niechętnie Albo nawet milczeniem. Pieniądze brał zawsze bez trudności, lecz tak, jak gdyby go one do niczego nie zobowiązywały. Co najgorszym się zdawało rotmistrzowi, że takim, jakim był dnia pierwszego, bez najmniejszej zmiany pozostał następnych dni. Postępu w spoufaleniu niepodobna było uczynić. Grosz nie skutkował, dobre słowo nie rozbrajało. Wygody życia, gdyby o nie szło, burgrabia się ofiarował dostarczać za pieniądze, Ale od niego się o czymś

dowiedzieć, nawet o nazwisko zamku, było niepodobna. Oprócz Bruszki, Bajbuza nie widywał nikogo, potem nawet i pacholki nie przychodzili, tylko do progu.

Na trzeci, czy czwarty dzień Bajbuza zażądał jakiegokolwiek bądź książki. Burgrabia okazał zdziwienie wielkie, nic nie odpowiedział, A później zapytany mruknął, że nie ma. Na próżno mu rotmistrz wmawiał, że książka jakiś być musi, A gdzie jest książka, musi być księga. Potrzeby jej nie rozumiał Bruszka. Papieru zaś i Atramentu wręcz grubiańsko odmówił.

- Bajbuza się niecierpliwił.

- Czegóż się ty lękasz?! - zawołał w końcu z gniewem. - Murów tych półtorałokciowych ci nie rozbiję, nikogo nie widzę, papier sam nie wyleci, A nie mam co robić, choć wściec się!

Nazajutrz jako zajęcie Bruszka ofiarował materiał do strugania strzał, Ale więzień go zburczał.

“Z bydlęciami tym - rzekł w duchu - nawet rozmówić się trudno.”

Przestał więc nie tylko mówić, Ale patrzeć na burgrabiego i dawać mu podarki. Dało się to odczuć w jedzeniu zaraz, Ale Bajbuzę rozgniewanego na suchy chleb mógł skazać, nie upomniałby się o nic.

Liczył dni niecierpliwie, co chwila, co godzina oczekując na próżno oswobodzenia, na które w początku bardzo rychło rachował na pewno. Tymczasem upływały tygodnie, A nic się nie zmieniło. Bajbuza tylko począł żółknąć, chudnąć i słabnąć. Powietrze więzienne, którym oddychał, nie odnawiane, ciężkie, duszące, wilgotne, zgniłe, zabijało go powoli. Zrozumiał, że takim więzieniem można było po pewnym przeciągu czasu tak zamordować z wolna skazanego na nie, jakby mu toporem głowę ucięto. Duch mógł być krzepkim jak pierwszego dnia, A nawet cierpieniem się podnosić; ciało, w którym mieszkał, stawało się nań niegościnnym. Wyprosić lub kupić u Bruszki pozwolenie wyjścia na powietrze - upokarzało go. Nie mogło to przecież trwać długo. Jednostajność dni następujących po sobie, jak dwie rkople wody do siebie podobnych, stawała się sama męczarnią. Bruszka nie dawał z siebie dobyć nic. Pytania obijały się o jego uszy na próżno.

Bajbuza uląkł się wreszcie znękania, które czuł co dzień więcej. Milczenie otaczające było mu niepojętym. Nikt więc się nie upomniał o niego? Nikt nie szukał? Nie starał wyswobodzić? Gorzkimi wyrzutami zaczynał miotać na ludzi, A po namyśle tłumaczył ich, składając wszystko na mściwość niepocziwego Zebrzydowskiego. W początkach z rachubą dni szło jako tako, później i z nią się jakoś splątał Bajbuza. Po burgrabi i jego odzieży mógł rozpoznawać niedziele i święta i postrzegł, że rachunek swój zmylił. Począł więc kreskami na murze upływające dni znaczyć. Najsilniejszy nawet umysł nie mógł długo przenieść takiej męczarni bezkarnie. Bajbuza uląkł się o rozbłąkane i zbujające myśli własne. Marzył niesłychane rzeczy.

Z rachunku kresek już się składały miesiące, gdy jednego dnia w otwartych drzwiach, zamiast Bruszki, ujrzał Bajbuza wchodzącą z garnuszkiem i miską kobietę starą, brudną, której pacholek drzwi otworzył. Spojrzała ona bojaźliwie na siedzącego więźnia, zbliżyła się do stołu, postawiła prędko przyniesioną strawę i śpieszyła się cofnąć, gdy rotmistrz ją zatrzymał.

- A gdzie Bruszka?

Stara głosem drżącym, słabym zamruczała:

- Chory, chory!

Pośpiesznie dobył pieniędzy Bajbuza i wstawszy dopędził uchodzącą u progu. Wcisnął jej garść pełną.

- Posłuż mi dobrze - rzekł - nie będziesz żałować.

Stara zdziwionymi oczyma, chciwie się długo przypatrywała groszakom. Twarz się jej mieniła.

- Czegoż chcesz? - zapytała cicho.

- Od księdza jakiegokolwiek książki, to naprzód - zawołał Bajbuza - A potem rozmówimy się, zapłacę, co zechcesz!

Szybko zaczęła chować pieniądze stara, odwróciła się, skinęła głową i palec położywszy na ustach, wyszła.

Powrotu jej oczekiwał nazajutrz Bajbuza z niecierpliwością wielką. Tym razem ostrożna stara przyszła sama jedna, bez pacholka. Na twarzy jej malowała się ciekawość gorączkowa. Pod płachtą niosła coś zawiniętego. Była to gruba książka, którą położyła na stole. Bajbuza otworzył ją i znalazł brewiarz stary łaciński z Agendą. \* I to mu bardzo pożądanym było. Stara sparła się na stole i czekała widocznie, aby jej powiedział, czego więcej żądać może. Rotmistrz zaczął od ogólników. Obiecywał za pomoc i usługi nie tylko pieniądze, ale dom, grunt i ziemię.

Agenda ( z łac.) - zbiór modlitw rytualnych.

Staruszce oczy pobłyskiwały.

- Bruszka chory - rzekł w końcu Bajbuza - ja się tu duszę, ja tu zginę. Gdybym choć nocą na godzinę wyjść mógł w zamknięte podwórze, powietrzem tchnąć. Przecież nie ucieknę, zamek ma wysokie mury, pozamykajcie furty, postawcie straż.

Stara na to bardzo głową potrząsać zaczęła, nie odpowiadając, ale dając do zrozumienia, że rzecz była bardzo trudna.

Bajbuza kusił. Wydobył złoto i dał jej sztuk parę, obiecywał, co tylko chciała.

- Bruszka mnie zabije! - zamruczała stara.

- On o niczym wiedzieć nie będzie.

Potrząsała głową. Nie obiecywała nic, Ale więzień widział, że obietnice jego złotych gór nie przebrzmiały bez skutku. Wyszła zadumana.

We dwa dni potem, nocą wypuszczony w podwórko ciasne, Bajbuza przez krótką chwilę przechadzać się mógł po nim, pomiędzy murami, nad którymi tylko kawał nieba gwiazdzistego powitał z niewysłowionym uczuciem. Stara czatowała gdzieś za drzwiami, nie dała mu długo oddychać tym czystym, orzeźwiającym powietrzem wieczora. Musiał powrócić nazad do ciasnej swej izby, Ale i krótka chwila wytchnienia orzeźwiła go. Myślał już, czyby się całkiem wyswobodzić nie mógł, jeśli Bruszka chorować będzie dłużej?

We dnie teraz czytał modlitwy, o ile mu światło pozwalało. Myśli miały się czym zająć. Lecz cóż znaczyło to opuszczenie okrutne, nielitościwe przez wszystkich? Stara wyciągała chciwie dłonie, otwierała wieczorem drzwi na podwórko, służyła z obawą jakąś razem i chęcią zasłużenia się, Ale z niej dobyć, dowiedzieć się czegoś nie było podobna. Jedno tylko nazwisko zamku szepnęła.

Spytana o zdrowie Bruszki potrząsała głową:

- Leży - rzekła - leży - i pokazała na piersi, minę przybierając bardzo smutną.

Najrozmaitsze A najdziwaczniejsze myśli oswobodzenia wiły się po głowie rotmistrza. Mógł siłą opanować klucz, lecz cóż by mu pomogło z jednego podworca wydobyć się na drugi i zostać tam nieochybnie ujętym? Potrzeba było czekać na jakiś cud, na pomoc z zewnątrz, której Bajbuza nie przestawał się spodziewać. Tak z niesłyszana powolnością wlokły się te więzienne dnie bez końca, noce nie przespane.

Jednego dnia stara, wedle zwyczaju przynosząc jedzenie, położyła przed Bajbuza drugą książkę. Zrozumiał z jej zwycięskiego uśmiechu, iż się naprzód domagała nagrody, którą dał chętnie, potem że ksiądz był taki litościwy, iż sam książkę ofiarował, Ale prosił, Aby mu pierwszą jutro zwrócono.

Chwyciwszy przyniesioną Bajbuza na pierwszej karcie jej znalazł znaną rękę Szypiora napisane wyrazy:

“Jam już tu, będzie wszystko dobrze”.

Radość i lekki okrzyk, który mu się wyrwał, byłyby go zdradziły przed kim innym, dla starej były one tylko oznaką, że książki pożądał wielce.

Natychmiast po wyjściu starej musiał obmyśleć rotmistrz, jak by na brewiarzu coś nakreślić. Nie miał innego inkaustu nad ten, którym się cyrografy szatanowi pisały na duszę - własną krew. Zamiast pióra użył słomki z posłania i rozciąszy palec, napisał:

“Laus deo in Aeternum. Salvum me fac Ab omnibus persequentibus me, et libera me!” \*

Laus Deo in Aeternum. Salvum me fac Ab omnibus persequentibus me, et libera me! (łac.) - Chwała Bogu na wieki. Ocal mnie od wszystkich moich prześladowców i oswobodź mię!

Nie śmiał pisać Ani wyraźniej, Ani więcej.

Szcypior tu, na tropie, to była tak dobrze, jak swoboda! Wiedział, że po nim się wszystkiego spodziewać może, odżył, siły mu zdawały się powracać; lękał się tylko, Aby mu stara z twarzy nie wyczytała, iż stał się innym. Każdego wieczora, gdy umilkło wszystko, przy każdym wypuszczeniu na podwórku, spodziewał się czegoś. Niecierpliwość rosła. Stara tymczasem przychodziła w zwykłej porze, nie przynosząc nic nowego i nie odpowiadając na pytania, tylko swym niewyraźnym mrużeniem i ruchami rąk, i głowy. Szcypior nie dawał znaku życia.

Jednego wieczora, gdy rotmistrz wcale się już nie spodziewał nikogo, bo go z podwórka, po którym się przechadzał, nazad do izby zamknięto, usłyszał brzęk kluczków i chód męski, wcale niepodobny do przewlekłego chodu swej stróżki. W progu ukazał się naprzód obwinięty chustami o kiju wlokący się Bruszka, za nim baaba, A za nimi w podróżnym stroju, uzbrojony... Szcypior.

Szedł tak właśnie, jakby tu panem był i miał prawo rozkazywania, głośno mówiąc, z podniesioną głową, A Bruszka i jego wyręczycielka słuchali z uszanowaniem.

Stanąwszy w progu, dał znak rotmistrzowi i spytał głośno:

- To ten jeniec?

Bruszka zamruczał.

- Idźciez sobie - dodał, na drzwi wskazując Szcypior - ja was tu nie potrzebuję za świadków, gdy go badać będę. Ty stary możesz nazad iść do łóżka, A klucze zostawić kobiecie.

Bruszka się pokłonił w milczeniu i natychmiast wysunął, stara też poszła za nim, A Szcypior zobaczywszy, że się oddalili w podwórko, dopiero sam drzwi zamknął.

Bajbuza rzucił mu się na szyję.

- Na rany Chrystusowe - zawołał - czyń, co chcesz, waż, co tylko można, A wyswobodź mnie! Niewola gorzej tatarskiej, bo tam choć w dybach i łykach człowiek powietrzem oddycha wolnym i oprusza się, A tu... Ale jakimże by sposobem tu rozkazujeś? - dodał.

- A cóż? Udaję posłanego od wojewody - rzekł Szcypior. - Gdyby mi się powiodło na mocy tego ciebie stąd wyrwać... Ale... nie wiem... Z Bruszką poszło dobrze, Ale jest przy załodze człek, który wcale inaczej na mnie patrzy i coś zdaje się podejrzewać.

- Ale jeżeli inaczej nie można - wykrzyknął Bajbuza - zbierz ludzi stu, półtorasta, ile chcesz, prosz o nich u Żółkiewskiego, wprost padnij na zamek i wydobądź mnie siłą!

Szcypior nie dał mu mówić:

- Bądź spokojnym, byłem żyw był, nie zaśpię.

Bajbuza od tak dawna pozbawiony możliwości nawet poskarżenia się na nieszczęście swoje, wylał się teraz z całą boleścią, która się w nim nagromadziła. Szczypior wyrzucał mu własną winę, niepotrzebne nastęczenie się wojewodzie. Rotmistrz chciał, Aby go z sobą natychmiast wyprowadził, Ale chorąży uznał to niemożliwym. I tak zuchwalstwu winien swemu był, że go tu wpuszczono, kłamstwo mogło się wydać na progu, A naówczas życia nie byłiby pewni. Nie było według niego innego środka, tylko niespodziany napad na Lanckoronę, która Ani załogi wielkiej, Ani przygotowania do obrony nie miała. Szczypior jednak warował sobie, że i innych sposobów wyswobodzenia próbować mu wolno. Miał proboszcza i wikarego, którzy do zawiązania stosunków na zamku pomocą i pośrednikami być mogli. Bajbuza nalegał. Wśród tych krzyżujących się pytań i odpowiedzi czas upływał, tak że Szczypior ledwie już mógł zawiadomić rotmistrza, iż Spytkowa w jego sprawie jeździła do wojewody. Zebrzydowski tak jak przed posłami od senatu zapierał się, że do rokoszuu teraz i nowych knowań wcale się nie mięsza, zaparł też, Aby Bajbuzę więził.

- Stawił mi się zuchwale - rzekł - kazałem go wziąć pod wartę, Alem go wypuścił. Pojechał, nie wiem, gdzie się znajduje. Jeżeli gdzie na drodze, burdę zrobiwszy, zabity, to nie moja rzecz. Ja o nim nie wiem nic.

Wypadkiem od pijanego Janasza dowiedział się, szpiegując, Szczypior o jeńcu zaprowadzonym do Lanckorony, A resztę doszedł na miejscu.

Nalegał Bajbuza o pośpiech.

- Zlituj się, Abym tą niewolą nie udusił się, nie zadławił, nie przepadł marnie, pośpieszaj. Dam okup, jaki zechcą.

- O okupie mowy nie ma, kiedy nie chcą przyznać, że was trzymają - rzekł Szczypior. - Inaczej radzić musimy. Spytkowa jeździ i wszelkie porusza sprężyny nadaremnie, zapierają się was.

Zbyt długo pozostawszy na rozmowie, musiał się w końcu chorąży oddalić, A Bajbuzę tylko może więcej jeszcze podrażnionego, niż przedtem, zostawił.

I znowu powróciły dni oczekiwania milczącego, ciszy głuchej A jednostajnej i próżnych badań starej stróżki, która nie odpowiadała prawie na pytania. Bruszka znowu leżał w łóżku.

Dni, które rotmistrz znaczył na ścianie, szeregiem nowym stały jak wieki długie, A o Szczypiorze słyhać nie było. Nie zmieniono jednak postępowania z Bajbuzą, nie obostrzono dozoru i stąd wnosić mógł, że Szczypiora zuchwałe wtargnięcie przeszło nie postrzeżone. Po dosyć długim wyczekiwaniu, które zniecierpliwionemu rotmistrzowi dłuższym się jeszcze wydało, niż było, nowa książka, przyniesiona przez starą stróżkę, zawierała list chorążego, przylepiony do okładki. Był on długi i chociaż przynosił znak życia od Szczypiora, więcej może zniecierpliwiał,

pogniewał rotmistrza skazanego na bezczynność, niż pocieszył. Czytał go i odczytywał wiele razy, przeklinając dolę swoją, która mu ręce wiązała. Szczypior zaklinał, Aby miał cierpliwość, rozpisując się zarazem o rokoszu i wszystkim, o czymkolwiek mógł dowiedzieć.

“Kochany rotmistrzu - brzmiało pisanie chorążego - nie przeklinaj mnie, nie poczytuj tego za niedołęstwo, za tchórzostwo; Bóg widzi, dotąd nie można było nic uczynić, bo ważyć się mi nie godzi, tylko na pewno. Gdybym się porwał, A nie udać się miało, zgubiłbym was. Gdy pocznę, to chyba najpewniejszy, iż wyzwolić was muszę, więc i obmyśleć trzeba wszystko bacznie. Życia mojego dla was nie pożałuję.

Wojewoda siedzi przyczajony, cicho jako zając w kotlinie, czyni się chorym i pokutującym, powtarza wszystkim, którzy do niego przyjeżdżają: Nie mieszam się do niczego, o niczym wiedzieć nie chcę - Ale nikogo nie oszuka tą układnością i wiadomo wszystkim, że jest sprężyną A pobudką do nowego rokoszu, który nieochybnie stoi przed nami. Nie chcą mu wierzyć w Krakowie, Ale się za późno bodaj przekonają.

Z naprawy wojewody zięc jego Smogulecki, i Grudziński, wojewoda rawski, rozgniewany na króla, że mu sochaczewskiego starostwa odmówiono, A najgłówniej warchoł i krzykacz Piotr Łaski, którego znacie dobrze, bo kędy był, wszędzie bez burdy nie wyszedł, gardłują i buntują w Wielkiej Polsce. Łaskim się posługują, Aby Smogulecki nie był widoczny, bo wiadomo, że on A Zebrzydowski jednym są. ściągnęli szlachty różnej, tych szczególnie, co tumult i wrzawę łatwo zrobić umieją i krzyczą jeden za dziesięciu dokoła, w połowie Februarii \* i tam Łaski rej wiodł. Postanowili Zebrzydowskiego nie opuszczać, bolejąc, że on został zdradzonym i zaprzędanym; rozesłali stąd uniwersały po całej Rzeczypospolitej, jakim prawem, to oni sami tylko wiedzą, zwołując rokoszowy zjazd znowu na 20 Martii \* do Jędrzejowa. Z tego ich uniwersału, którego kopii nie mogę tu załączyć, tyle wypisuję, że na miłość ojczyzny zaklinają, na krwawe łzy uciśnionej szlachty, Aby się wszyscy stawili.

Februarius ( łac.) - luty.

Martius ( łac.) - marzec.

“Item” piszą w nim: “Zaledwie rokoszowi spod Janowca rozjechali się, ścigano ich, wyśmiewano, prześladowano wszędy; podskarbi jak wprzódy trwoni dochody publiczne, na każde rozkazanie królewskie spisują się wojska zagraniczne, pomnażają liczbę dział i narzędzi wojennych, jak gdyby król na nieprzyjaciół wiary chrześcijańskiej miał ciągnąć; zwleczone sejmowi zwołanie, już ciężkie jarzmo niewoli tłoczy się na karki nasze...” “et sic porro”. \*

Item... et sic porro ( łac.) - Znowu... i tak w dalszym ciągu.

W kole marszałkował Ponętowski, taki gardłacz jako i Łaski, A w Krakowskim i Sandomirskim wysadzili równego im Pękosławskiego, który do króla zuchwałe poselstwo



wysztyftował z wyrzutami. Próbowali też, nie wiem z jakim szczęściem, pozyskać sobie kardynała Maciejowskiego, Ale wątpię, Aby zjednać potrafił.

Król posyłał monitując Zebrzydowskiego za te knowania, na co on, jako wyżej pisałem, odparł, wyrzekając się wszelkiego udziału i świadomości.

Ponieważ nigdzie na tych nie zbywa, co w mętnej wodzie coś ułować się spodziewają, i ten rokosz odgłos znajdzie, Ale nie wszędzie. Sieradzanie oświadczyli się przy królu, z czym starego Bokse Radoszewskiego Albo posłali, lub wysłał. Król na sejmiki uniwersały rozsyła.

Tyle “de publicis” - pisał Szczypior - A co się tknie Nadstyrza i majątności waszych, cale spokojni być możecie, że tam ich jako własnego dobra sługi wasze strzegą. Jejmość pani Leszczakowska, mimo wieku, dosyć rzeźwa i trzyma się dobrze, Rabski, choć na nogi podupadł; na umyśle rzeżywy. Zaklinam - kończył - Abyście cierpliwości zażyli, dopóki mi Bóg nie dozwoli was wyswobodzić, co kosztem własnego żywota rad bym przyśpieszył”.

Po tym liście słotny i zimny miesiąc marzec przeszedł na próżnym oczekiwaniu, począł się kwiecień, A niecierpliwość Bajbuzy dochodziła do ostatecznej granicy. Po nocach już oka nie zmrużył, tak mu się ciągle zdało, że nadchodzącego dla wyzwolenia go Szczypiora słyszy. Na ostatek kwiecień też do terminu swego dochodził, A Szczypiora jak nie było, tak nie było. Książki też, to jest listu od niego, nie odebrał Bajbuza, co go utwierdzało w przekonaniu, iż lada godzina nadejść musi.

Gdy tak nocy jednej na barłogu swym bezsenno spoczywał rotmistrz, Albo raczej zzymając się rzucał i męczył, do Boga próżno wzdychając o pomoc, A do obrazów cudownych wota różne ofiarując w duchu, usłyszał pukanie jakieś do ściany, jak mu się naprzód zdało. Zerwał się więc nasłuchując, skąd by ono pochodziło i doszedł, że niedaleko legowiska jego w mur młotem uderzano pośpiesznie. Nie czekając więcej, natychmiast odziewać się począł i zbierać oręż, jaki miał, Aby w gotowości być, gdyby wyłom w murze zrobiono, czego się tejże nocy spodziewał.

Tymczasem prawie do rana samego trwało coraz go wyraźniej dochodzące bicie w mur gruby i z twardego kamienia polnego przed wieki zlepiony, który jako jedna zlał się skała. Razem ze dniem ustały uderzenia młotem i wszystko ucichło. Cały dzień potem spędził czuwając rotmistrz, Ale musiał przy starej stróżce udawać, jakby o niczym nie wiedział.

Z nocą, jak się spodziewał, znowu łamać mur rozpoczęto i późno już było, gdy na ostatek Bajbuza kamienie w nogach łoża ujrzał poruszające się nieco i rzucił pomagać do ich wydobywania. Nim jednak otwór rozszerzono do tyła, Aby on się nim mógł wydobyć z więzienia swojego, wiele znowu czasu upłynęło i gdy Bajbuza ważył się w ciasną szyję, jaką mu rozprzestrzenić się starano, dzień zaczęło. Że się w niej nie udusił, winien był temu, że go ludzie, za nogi pochwyciwszy, siłą wyciągnęli, A potem, między siebie wzięwszy, po gruzach i piasku wyprowadzili Aż w zarośla u

stóp zamkowego muru. Szczypior był ciągle przy nim. Niedaleko stały gotowe konie, Ale Bajbużę winem i wodą musiano krzepić po wielkim wysiłku i znużeniu, nim się na siodło mógł podnieść. Raz zaś siadłszy, Szczypior pewnym był, że się bądź co bądź utrzyma, dopóki w nim życia stanie.

Nie było chwili do stracenia, gdyż jak skoro by ucieczkę więźnia odkryto, pogoń wysłać musieli. Rachował przecież rotmistrz, iż nie wprzódę się spostrzegą, Aż o zwykłej godzinie, o której mu ranną polewkę stara stróżka przynosiła, A do tej było jeszcze daleko.

Z Lanckorony w żadną stronę bezpieczniej uchodzić się nie zdało jak do Krakowa, Ale właśnie na tym gościńcu i pogoń ścigać mogła. Szczypior miał z sobą ludzi dwudziestu, których on nazywał elierami, tak jako w wojsku wybór zwano naówczas najdzielniejszych i najsprawniejszych. Z nimi choćby i dwa razy liczniejszą napaść mógł odeprzeć, A wielki gościniec do stolicy prowadzący, na którym zawsze prawie się spotykało poczty różne i kupców z towarami, do pewnego stopnia od napaści zabezpieczał. Puścili się więc, Bajbużę w pośrodek wzięwszy, który rychło się powietrzem i ruchem orzeźwił, bez namysłu do Krakowa, koni nie lutując. \* Dwie lub trzy godziny mając przed pogonią, Szczypior ująć przed nią się spodziewał.

Lutować ( st. pol.) - żałować.

Podkop pod mur, który tyle ciężkiej pracy kosztował i do którego Szczypior górników Aż przybierać musiał, okrywały zarośla z tej strony zamku, mur w części otaczające, tak że otwór chyba przypadkiem mógł być znaleziony. Liczono więc na pewną ucieczkę, Ale zawiodła rachuba.

Uderzenie w mur zwróciło z wieczora uwagę jednego z pachołków zamkowych, który do ziemi ucho przyłożywszy, długo się przysłuchując z ciekawości, wieczorem o tym, nie burgrabiemu choremu, Ale dowódcy małej załogi, staremu też, Ale bardzo ruchawemu i czynnemu Czabińskiemu doniósł. Zgromił go zrazu Czabiński utrzymując, że się przywidziało niezdarnemu chłopu, lecz nocą niepokój go opanował. Zbudził pachołka i poszedł z nim sam nasłuchiwać. Tu dopiero się przekonawszy, iż w istocie kucie jakieś podziemne słychać było, choć nie domyślał się, co to być mogło, ze dniem postanowił na zamku zrobić pilne poszukiwanie.

Gdy dobrze rozedniało, A Bajbuza jeszcze niedaleko był od Lanckorony, Czabiński po zamku wszędzie z tej strony, gdzie się uderzenia słyszeć dały, izby jedną po drugiej otwierać sobie kazał. Do rotmistrza nie wpuszczano go nigdy i tym razem burgrabia się sprzeciwił temu, Ale stary Czabiński, nałajawszy mu, klucz prawie siłą pochwycił i poszedł do więzienia. Chory Bruszka mu nie towarzyszył, szła tylko stara stróżka, która od progu zobaczywszy tapczan próżny, dziurę u stóp jego w murze, kilka kamieni na środek izby wytoczonych, ziemi kupę, z krzykiem jak oszalała pobiegła do burgrabiego.

Czabiński, się tylko obejrzawszy, zmiarkował, że jeśli pośpieszy, może sobie pozyskać wielkie względy wojewody, chwyciwszy uchodzącego; kazał więc natychmiast najlepszym z załogi ludziom na koń siadać, sam zbroję wdział i na oślepu puścił się gościńcem ku Krakowu.

Zamiast spodziewanych godzin jakich pięciu lub sześciu Szczypior z Bajbuzą nie mieli teraz nad dwie może. Starczyłyby one przy pośpiechu, gdyby nie zbytnie zaufanie Szczypiora, który rotmistrza widząc wycieńczonym bardzo, namówił go z gościńca w bok do szlacheckiego dworu dla posilenia się i trochę spoczynku. W tym to dworze u niejakiego Laskowskiego, dalekiego krewnego Szczypior przez cały czas podkopywania się przesiadywał i miał tu z ludźmi bezpieczne schronienie. Bajbuza się opierał, utrzymując, że nic mu nie potrzeba oprócz swobody, lecz chorąży go zmusił, a za bezpieczeństwo głową chciał ręczyć.

Zajechali więc przed dwór, koniom tu tylko wody i trochę siana dając, sami zaś wstąpili na miskę krupniku i piwo. Przeciągnął się jakoś popas, przy dobrej myśli mimowolnie, tak że gdy na koń siedli znowu i na gościniec krakowski wyjechali, mieli za sobą Czabińskiego o niewiele staj. Ratowało ich to, że pogoń wcale nie znała uchodzących i nie bardzo się ważyć mogła na pierwszy lepszy poczet, spotkany na drodze. Czabiński byłby ich może pominął nawet, ale się ludzie Szczypiora zdradzili sami. Zaledwie się bowiem pogoń ukazała, niespokojni chwycili za broń i widocznie gotować poczęli do walki. Czabiński, któremu szło wielce o to, aby się zasłużył i okazał gorliwość swoją, bez namysłu rzucił się na Szczypiora, który zbiwszy się z ludźmi w kupę, hakownicę kazał gotować, aby ognia dać natychmiast. Nastąpiło starcie, w którym siły z obu stron były równe, ale żołnierz rotmistrza daleko dzielniejszy i śmielszy musiał wziąć górę.

Pomimo wielkiej wrzawy i zachęcania Czabińskiego, który krzyczał nieustannie: - Bij! Zabij! - hajducy jego, ledwie się spróbowawszy ze Szczypiorowymi, w części tył podali. Ugodzony kulą padł sam dowódca, a to było hasłem dla reszty, aby poszła w rozsypkę. Bajbuza, chociaż osłabły długim więzieniem, nie mógł się powstrzymać, aby szabli nie dobyć i razem ze Szczypiosem nie rzucić się za uchodzącymi. A tu go hajduk, któremu na karku siedział, odwróciwszy się, koncerzem ciężkim znowu w ramię też same, które już raz ranione było, cięciem silnym z konia zwalił. Padł i on sam wprawdzie, zaraz rozsiekany przez kopijników Szczypiora, lecz Bajbuzę potem już na koń posadzić nie było można, musiano po wóz słać i na nim się wlec z rannym do Krakowa.

Drugiej pogoni nie lękano się już wcale, lecz rana rotmistrza do rozpaczki przyprowadzała, bo go w tej chwili, gdy najczynniejszym pragnął być, znowu na czas jakiś uczyniła bezwładnym. Przodem posłał chorąży do Krakowa, aby i doktora, i wszystko, co rannemu potrzebnym być mogło, przygotowano, a sam przy wozie jadąc, dopiero drugiego dnia rano z nim dostał się do

stolicy. Tu dwór właśnie, król i wojsko przygotowywało się do wyjścia dla sejmu zwołanego do Warszawy.

Wiadomość o oswoobodzeniu Bajbuzy byłaby zaraz rozeszła się po mieście, Ale on sam i Szczypior nie chcieli, Aby o tym szeroko rozprowadano i o ile mogli, taili całą przygodę.

Przywołany doktor ranę uznał dosyć ciężką, zwłaszcza że prawie w tym samym miejscu przypadła, gdzie już pierwszą kość naruszyła. Bajbuza się tym pocieszał, iż jak on utrzymywał, wszelkie rany u niego prędko się goić były zwykły. A że się na swobodzie czuł, powiadał, że ją jeszcze okupił tanio, tak mu zamknięcie dolegliwym się stało.

Doktor, niejaki Ochocki, \* który naówczas słynął zwłaszcza z tego, iż około rannych bardzo dobrze i szczęśliwie chodzić umiał, obiecywał, że pomimo ciężkiego obrażenia ręki, on prędko zdoła wygoić ją i władzę przywrócić. Lekarz to był dla rycerstwa stworzony, wesół, żartowniś, do kielicha ochoczy, sam po troszę żołnierz, bo za obozem nieraz jeździł czasu wojny, znający obyczaje i naturę polskiego rycerstwa, z którym doskonale obchodzić się umiał. A że Bajbuza na wstępie mu wielkie wynagrodzenie przyobiecał, jeśli go rychło na nogi postawił, Ochocki po całych dniach i nocach się ofiarował siedzieć przy nim i czuwać nad raną.

Ochocki - znany lekarz ówczesny, profesor i rektor Akademii Krakowskiej.

W Krakowie, ponieważ wozy już królewskie stały do podróży gotowe, A hetman Żółkiewski rycerstwo sprawiał mającem mu towarzyszyć, z nikim się widzieć nie było można oprócz jednego Kalińskiego, który nadbiegł, razem uradowany i przestraszony. Od niego dowiedzieli się, że król do rokoszan pod Jędrzejowem zebranych posyłał znowu Wołłowicza i księcia Zbarażskiego, do upamiętania ich przywodząc; A drudzy byli tego zdania, Aby zamiast poselstwa do nich słać, wprost ciągnąć po drodze na Jędrzejów i rozpędzić, co by łatwo stać się mogło. Król zawsze przelewu krwi unikając, do ostatniej chwili nie zgodził się na to i wprost kazał do Warszawy iść z sobą Żółkiewskiemu i Potockim.

## Rozdział VIII

Kaliński dla miłości rotmistrza, któremu chciał służyć, bo Ani Szczypior, ni on z Krakowem dosyć obeznani nie byli, wyprosił sobie zwłokę i pozwolenie późniejszego do Warszawy przybycia. Pozostał więc przy rannym razem z doktorem Ochockim; A przydał się wielce, nie tak dla przynoszenia leków, plastrów, napoju i jadła, jak dla rozerwania go i opowiadania o tym, co się na dworze i po świecie działo pod ten czas, gdy nieszczęśliwy Bajbuza ciężką niewolę swą cierpiał na zamku w Lanckoronie.

Nie zmieniła ona wcale Ani charakteru, Ani sposobu myślenia rotmistrza, który już za starym był, Ażeby go cokolwiek bądź na nowego człowieka przerobić mogło. Pozostał tak samo marzycielem gotowym do wszelkich poświęceń dla dobra publicznego, jakim był od młodości, Ale mniej niż kiedykolwiek jasno widział, dokąd, jak i po co iść było potrzeba, Ażeby usłużyć Rzeczypospolitej. Opowiadania Kalińskiego co chwila okrzyki podziwienia z ust jego wyrwały. Nie mógł tego pojąć, jak wielcy mężowie, do których liczył Żółkiewskiego i Chodkiewicza, mogli tam, gdzie o "salus rei publicae" \* chodziło, sprzeczać się o pierwszeństwo i odmawiać posłuszeństwa; nie rozumiał kardynała Maciejowskiego, gdy dla niezrozumiałych mu pobudek zdawał się skłaniać ku Zebrzydowskiemu i przemawiać za nim; zdumiewał się Ostrogskiemu, który nie wiedział, na którą się przechylić stronę i zdawał targować o to, co dla siebie na tym zyska... Często więc, gdy Kaliński w prostocie ducha opowiadał mu, jak rzeczywiście stały rzeczy, jak się ludzie obracali na kształt wietrzników za lada powiewem, jak mieniały się z dnia na dzień przekonania, Bajbuza na łóżku swym rzucał się, zapominając o zbandażowanej ręce i wołał:

Salus rei publicae ( łac.) - dobro Rzeczypospolitej.

- Plotki prawisz, czernidła mi powtarzasz, gdzieżby tacy ludzie mieli tak małymi być!

Naówczas Kaliński obrażony mnożył dowody i przekonywał, że mówił prawdę, A nieszczęśliwy rotmistrz rozpaczał:

- Gdzież są ludzie? Gdzie są bohaterowie? Na co zejdzie ta Rzeczpospolita, gdy prywatą z każdym dniem górę nad wszystkim brać będzie? A toć służba Rzeczypospolitej kapłaństwem jest, A nie kramem, w którym o zarobku myśleć przystało. Za kimże tu teraz i iść, na kogo patrzeć? Kompas nie ma! Człowiek mały jak ja zbłąkać się musi!

Szczypior i Kaliński, którzy nigdy tak górnio rzeczy nie brali, A zapatrywali się na sprawy wszelkie ze stanowiska poziomego, śmieli się, niedobrze rozumiejąc Bajbuzę, A może nawet posądzając, że nieco musiał być postrzelony.

Szczypior od dawna niepomierną ofiarność Bajbuzy miał za rodzaj szału.

- Gdzież to rzecz słyszana - mówił - żeby tu kto skarbiec swój wycieńczył, ludzi na swoim żołdzie trzymał, sam szedł krew przelewać, wszystko rzucał dla służby, A Ani o żołd, Ani o

jurgielt, Ani o żadną bonifikację się nie upomniął nigdy, nic nie chciał, o nic się nie starał! Magnaci się o starostwa rozbijają i gdy im odmówi król, do rokoszu idą, A ten Ani prosił nigdy, Ani gdy mu obiecywano, upomniął się i nie żąda nic.

Kaliński to tłumaczył wielką żądzą rycerskiej sławy, Ale naprawdę i tej Bajbuza tak nie był żądnym, że niejeden raz drugim ustępował zasługę tego, co sam uczynił, mówiąc z prostotą śmieszną:

- Ależ tu nie idzie o to, czylim ja to uczynił Albo ty, czy kto trzeci, tylko Aby rzecz była dokonana... "Salus rei publicae suprema lex". \* A mnie co z tego, gdy imię moje wybębniac będą? Tyle tylko, że mogę się w próżność wzbić, rozum postradać i nadać się jak drudzy pyszałkowie.

Salus rei publicae suprema lex ( łac.) - dobro Rzeczypospolitej najwyższym prawem.

Więc żartobliwie między sobą go zwali świętym, za co się też gniewał.

- Jestem człowiekiem dobrej woli - mówił - Ale pono słabego umysłu, gdy do siwego włosa drogi sobie nie znalazłem i spokoju na duchu nie mam. rad bym świat widzieć godnym tego Boga, co go stworzył, A więcej w nim czuję szatańskich mętów niż jasnej myśli Bożej! ślepym chyba być muszę.

Doktor Ochocki, który najmniej może Bajbuzę rozumiał i miał go za jakiegoś komedianta, prawiącego Ambaje, \* Aby ludzi durzyć, przerywał zwykle utyskiwania Bajbuzy najprozaiczniejszymi w świecie uwagami.

Ambaje - wyraz mało używany, tyle co mrzonki, urojenia.

- Ale bo po co świdrować mędrować tak bardzo? Ja robię to, co dziś powinienem uczynić, A o resztę się nie troszczę. Każdy tej Rzeczypospolitej poczciwie służy, kto swój obowiązek spełnia, szewc, co buty szyje, ja, co rany zaszywam i ichmość, co je nieprzyjaciołom zadajecie. Więc po co tu sobie suszyć głowę?

Bajbuza się obruszał.

- Dobrze to wam mówić - wołał - bo lekarz ma zadanie bardzo proste, Ale ci, co służą Rzeczypospolitej czasu faksji i rebelii, \* gdy nie wiedzieć gdzie iść, muszą się przecie z sumieniem swym rachować.

Faksja ( z łac.) - partia, stronnictwo; także: niezgoda, rozruch; rebelia ( z łac.) - walki, zamieszki wewnętrzne.

- "Errare humanum est!" - przerywał Ochocki - więc gdyby się omylili? Jeżeli szli wedle sumienia i przekonania, nie są winni!

- A jeśli prywatą nimi kierowała?! - wołał Bajbuza.

- Tedy powołani na sędziów sądziecie ich, karzcie - mówił doktor - Ale pamiętajcie na to, że "caro infirma" \* i że człowiek stworzenie słabe.

Caro in firma ( łac.) - ciało chore, słabe.

- A, toż to właśnie nieszczęście nasze, żeśmy słabi - dodawał Bajbuza. - Potrzeba nas hartować od kolebki, po spartańsku chować, A nie miękczyć i psuć, jako dziś czynią. Zbytków się wyrzec należy, płochość zawczasu karcieć.

Gdy tą drogą puszczał się Bajbuza, naówczas słuchacze spoglądali na siebie z politowaniem, bolejąc nad tym, że człowiek tak poczciwy, takie mógł w głowie chować zajęcia. Doktor mu wyrzucał, że chyba ze świata klasztor chce zrobić, co nie może być, Szczypior ramionami poruszał, Kaliński śmiał się. Więzienie, w czasie którego długo sam ze swymi myślami mieszkał rotmistrz, jeszcze go uczyniło więcej egzaltowanym i dziwaczniejszym. Choroba też przyczyniała się do tego, że umysł niecierpliwy, niewolą cielesną znękany, najosobliwszymi wybrykami się rozrywał.

Z Warszawy po wyjeździe króla i wyjściu wojsk przychodziły na zamek wieści powoli i niezbyt szczegółowe. Mało kto pozostał tu z osób wyższe zajmujących stanowiska, bo wszyscy na sejm pociągnęli. Wiedziano tylko, iż król z wielką powściągliwością, jak zawsze, do rokoszan się odzywał, łagodnie ich wzywając do opamiętania, do posłuszeństwa, gdy oni ze swej strony tym gwałtowniej i zuchwalej grozili i bezkrólewie wprost już ogłaszali.

Ale oprócz Zebrzydowskiego, który znowu jako głowa i wódz najwyższy występował na czole, nie miał rokosz ludzi wielkiego znaczenia. Radziwiłł i on przodowali, Herburt tylko rwaniem się i śmiałością swą coś znaczył, mieniem zaś i wziętością nie mógł się chwalić, Grudziński mało znanym był, A reszta, jak: Smogulecki, Pękosławski, Kazimirski, Łaszcz - gębą tylko dokazywali wiele. Żadne z wielkich imion nie stało na Aktach rokoszu nowego, który wiele utracił od pierwszego zawiązku swojego, A trzymał się tylko jakąś rozpaczliwą siłą.

Grawamina zaś, które zapowiadano jako straszliwy oręż przeciwko Zygmuntowi, ciągle były powtarzaniem jednych i tych samych praktyk rakuskich, frymarków koroną, zdrady kraju itd. Z tymi ludziami się już tak osłuchali, A dowodów na poparcie zarzutów tak brakło zawsze, że nikt już ich słuchać nie chciał. Dla tych, co więcej byli wtajemniczeni w Zebrzydowskiego myśli i zamiary, to było jawnym, że groźnym się stawił, Aby ostatecznie, znużywszy niepokojem i rebelią, skłonił króla do układów, mogących mu ogromnie wynagrodzić straty. Nie tylko bowiem majątności własne, Ale i Zamoyskiego małoletniego mocno nadszarpnięte były wydatkami na rokosz i wojsko zaciągane poczynionymi. Nieprzyjacielem zaś wojewody, A na ich czele Myszkowski, wołali, że dosyć dla niego będzie, gdy przebaczenie uzyska; nagradzać go zaś byłoby zgorszeniem i zachętą dla podobnych jemu warchołów.

Nie chciał temu wierzyć Bajbuza, gdy od tych, co bliżej hetmana Żółkiewskiego stali, doszła wieść, iż i on teraz skłaniał króla, o ile mógł, do powolności dla Zebrzydowskiego.

Wprawdzie szwagrami byli, Ale od pierwocin rokoszu hetman zrozumiał to, iż przy królu stać był obowiązany. Pomawiano go po cichu już o pobłażliwość dwuznaczną, przeciwko czemu rotmistrz mocno się oburzał i brał go w obronę, gdyż po Zamoyskim najwyżej go stawiał ze wszystkich otaczających Zygmunta ludzi. Tymczasem Potoccy, którzy mu zazdrościli, Chodkiewicz, A na dworze króla co z nim trzymało, nieufność do niego starało się obudzić.

Wieści o tych intrygach dworskich rotmistrza wprawiały w niezmiernie gniewy przeciwko potwarcom; chciałby był biec na miejsce, stać przy hetmanie i nie dać się szerzyć uwłaczającym mu posądzonom.

Rana, przy największych staraniach doktora Ochockiego, nie dawała się tak rychło zgoić, jak pragnął Bajbuza.

- Gdybym ją wam lada jako zalepił - mówił doktor - cóż po tym? Odnowiłaby się, ręka by władzy nie miała, A wy byście mnie potem przez całe życie przeklinali, zem was mańkudem uczynił. Cierpliwość miejcie, na sejm bardzo nie byliście potrzebni, jest tam bez was dosyć, A do rozprawy z rokoszanami przed końcem sejmu trudno żeby przyszło i kto wie, czy przyjdzie nawet. Król powolny i dobry, da się uprosić i puści winy w zapomnienie...

- Gdyby do wojny przyjść miało, A jam tu związany jak baran leżeć musiał, Gdy ojczyzna wołała, doktorze... rozpacz by mnie zabiła.

Ochocki śmiał się.

- Cierpliwości! - powtarzał. - Mnie się zdaje, że choćby do domowej, braterskiej wojny przyszło, na biedę, to szczęśliwy, kto do niej nie będzie zmuszony, A wy, mości rotmistrzu, tak się na nią rwiecie, jakby ona przysmakiem była?

- Rwę się do niej, choć wiem, że ona świętokradzką jest i niegodziwą - wołał Bajbuza - Ale właśnie największy to dowód poświęcenia dla Rzeczypospolitej, gdy człowiek jej służy Aż do takiego terminu, krwi braterskiej! Płakać będę na pobojuwisku, Ale gdy idzie o uspokojenie, o zakończenie tego zgorszenia, tej sromoty, chcę iść jako drudzy i obowiązku dopełnić.

Więc, chociaż rotmistrz jeszcze zaledwie mógł się z łóżka dźwignąć, Szczypiora wyprawił, Aby kopijników na nowo dobierał i dopełniał, bo przyrzekł hetmanowi, że z nimi przyciągnie. Chorąży chwilami tylko do Krakowa mógł zaglądać, resztę czasu kopijnikom poświęcając.

O całej tej przygodzie rotmistrza, jego samowolnym uwięzieniu i wyswobodzeniu, innego czasu pewnie by mówiono wiele, Ale teraz tyle było co dzień nowych powieści, tyle rokoszowych gadek, że o Bajbuzie nikt nie myślał.

Cały miesiąc kwiecień i maj upłynęły tak w pustym Krakowie na przysłuchiwaniu się temu, co tu z Warszawy dochodziło. Jednego dnia powiadano, że sejm się odprawiał niczym nie zamącony, A rokoszanie coraz słabli, bo ich odstępowali nawet przyjaciele wojewody, drugiego



głoszono, że w pobliżu od Warszawy stojący obozem rebelizanci mieli na miasto najść i sejm rozpędzić.

Wszystko to tak niecierpliwiło już Bajbużę, że gdy rana bliska była zupełnego zagojenia, A on czuł się na siłach, wręcz Ochockiemu zapowiedział, że pod koniec czerwca bądź co bądź, choćby z ręką na opasce, z kopijnikami do Warszawy wyruszy.

- Rób sobie co chcesz, A ja com postanowił, nie cofnę - mówił Bajbuza - dłużej czekać nie mogę. Wedle moich wiadomości i przewidywania, jeśli się rzeczy nie zmienią, król po skończonym sejmie w pole przeciwko rokoszanom wyciągnie, A ja naówczas przy hetmanie muszę być.

Szczęściem dla doktora i dla rotmistrza, rana się około tego czasu całkowicie zabiła, smarowaniami tylko i wannami \* z ziół różnych Ochocki chorego starał się pokrzepić, tak Aby mógł niewygody wyprawy znieść bez szwanku. Sam zaś Bajbuza tak się już czuł i na duchu, i na ciele silnym, że nie czekając końca czerwca, z Krakowa postanowił wyruszyć. Zabierał z sobą Kalińskiego, który jako dworak za życiem w Antykamerze i łapaniem w niej płotek zatęsknił. Wiosna była bardzo piękna i podróż ta z kopijnikami, ludem wesołym A ochoczym, obiecywała się jak przejażdżka przyjemna, bo po drodze o rokoszanach słyhać nie było.

Wanny - tu: kąpiele ( przyp. red.).

Jednego więc poranku pogodnego, za Bramą Floriańską połączywszy się z chorągwią swoją, którą powitał niemal ze łzami, Bajbuza po mszy świętej i błogosławieństwie, "Bogurodnicę" kazawszy zaśpiewać, wyjechał w towarzystwie Kalińskiego i Szczypiora. Czuł się jakby odrodzonym, znowu na koń wsiadłszy, z szabłą u boku, z koncerzem u nogi, z sahadakiem na plecach, wśród starych towarzysów broni.

- Boże mój - zawołał - na coś się i niewola przydała, bom nigdy tak swobody rozkoszy nie czułem, A nią się nie cieszył jako teraz, A już w tym zamknięciu srogim niejednym raz myśli przychodziły, że mi Bóg nie dozwoli swobodnie oddychać powietrzem tej ziemi!

I łzy miał na powiekach.

W najweselszym usposobieniu, bez pośpiechu zbytniego jechali tak, koni nie zmęczając, ku Warszawie, A po drodze już dochodziły ich wiści, że król właśnie się sposobił wyjść w pole, bo wszelkie próby porozumienia się rozchwiały, A Zebrzydowski króla już w Zyguncie znać nie chciał.

Siły jego, połączone z Radziwiłłowskimi, Herburtowymi i szlachta z Wielkopolski przez Smoguleckiego ścięgnięta, przewyższać miały te, którymi Żółkiewski, Potocki i Chodkiewicz rozporządzali. Ale regaliści rachowali na to, iż kwarciany żołnierz karniejszy był i stał jeden za wielu rokoszan.

Wieczorem jakoś przyszło oddziałowi Bajbuzy do miasta wchodzić, A nikt tego nie przewidywał, że rozchodzący się właśnie sejm, rozjeżdżający senatorowie, ich dwory, kupcy, których do miasta ściągęło sejmowanie, tak ulice zapełniali, iż wcisnąć się było trudno. Opóźniło to znacznie na wieczorną godzinę obrachowane przybycie rotmistrza, A Szczypior, pomimo najsilniejszych starań, z kopijnikami swymi inaczej jak noga za nogą ciągnąć nie mógł, co chwila to ogromnymi wozami, to ścisaniem pijanej gawiedzi, to nawet trzodami bydła hamowany w pochodzie. Wjazd zaś, na który chorąży rachował, że oczy warszawianek i mieszczaństwa ściągnąć powinien, wcale nawet postrzeżonym nie był, tak Warszawa wypróżniająca się zajęta była tymi, których żegnała.

Rotmistrz z Kalińskim, choćby byli mogli pośpieszyć przodem do dworku, nie chcieli Szczypiora z jego kopijnikami zostawiać za sobą. Szło zaś w ciasniejszych uliczkach tak opornie i nie bez zatargów i kłótni, że nieustannie stawać musieli, niekiedy siłą wozy rugując i przejście sobie czyniąc. Nigdy żaden z nich Warszawy nie widział tak wzburzonej, tak nabitej ludnością najrozmaitszą, A tak razem rozszalałej i wrzawliwej. Zdawało się, jakby coś z rokoszu za murami jej rozkołysanego i tu się czuć dawało. Kaliński, który wprost na zamek jechał, pożegnawszy rotmistrza, nazajutrz mu się obiecał z wiadomościami, których jeszcze tego wieczora spodziewał się podostatkiem przyzbierać.

Na placu, który na obóz dla żołnierzy umyślnie najęty był i przeznaczony, kopijnicy znaleźli wozy nie uprzątnięte w porę i to znowu rozłożenie się opóźniło. Słowem, noc nadchodziła już, gdy Szczypior i Bajbuza, uznojeni, w ostatku do izby weszli, gdzie im wieczerzę zastawiono i rotmistrz zbroję z piersi zrzuciwszy, rękę wyciągnął, Aby okazać, że nią włada jak dawniej i znużenia nie czuje.

- Spoczynek się nam należy - rzekł - zarobiliśmy nań dziś lepiej niż dni innych, bo do Warszawy się dostać było trudno, jakby do twierdzy, której nieprzyjaciel broni; Ano, odetchniemy!

Szczypior okna otwierał. Oba byli wesołej myśli. Wtem z dala głucha wrzawa jakaś dziwna doszła ich uszów.

- Miasto dysze i chrapie - roześmiał się Bajbuza - sen ma ciężki.

- Ba - odparł Szczypior - coś to nie na sen patrzy! Posłuchajcie!

Oba stanęli w otwartym oknie. Od strony Starego Miasta i Zamku głuche warczenie tłumu, przerywane krzykami, słyhać było. Szum oprócz tego i trzask jakiś ponad tę falę głosów zmieszanych się wyrywał.

- Ależ to północ blisko, A ta gawieź miejska uspokoić się nie może! - zawołał Bajbuza.

- Gawieź miejska? - podchwycił Szczypior. - Nie, to chyba poczty jakie i ciury od pańskich dworów burdy wyprawiają; Ależ przy królu straż są i marszałek od tego, Aby w pobliżu zamku wrzawy takiej nie dopuścił. Cóż to ma znaczyć?

- W istocie niepojęty nieład pod bokiem dworu, pod zamkiem samym.

Mówili jeszcze, gdy na ciemnym niebie, w stronie, z której wrzawę słycać było, naprzód słabe światło się rozlało szeroko, potem jasny płomień buchnął do góry.

- Gore! Gore! - dały się słycać krzyki w ulicy.

- Gore!

Gorzało w istocie i pożar już był tak gwałtowny, że wkrótce nawet oddalone ulice czerwonym odbłaskiem swym rozjaśnił. Dzwony u fary, u Panny Marii, u Bernardynów i Jezuitów jęczać poczęły.

Z początku stłumiony ów gwar zmienił się w straszliwy ryk jakby zrozpaczonej ludności. Co żyło, wybiegało na ulicę, kupcy uciekali z wozami, które sobie drogę zapierały, ścisk nie dawał Ani uchodzić, Ani przybiec na ratunek.

W mgnieniu oka Bajbuza i Szczypior, lekkie tylko zbroje na piersi wzięwszy, krzyknęli na czeladź i biegli już ku Zamkowi, gdyż ogień zdawała się w tamtej szerzyć stronie. Ale szablami przyszło torować sobie drogę, tak wszędzie tłumu obcych i mieszczan pełno było i nabito. Uchodzący wołali, że budy i kramy na Starym Mieście zajęły się pierwsze, A ogień szybko rozniósł po sąsiednich domach. Zamek, fara, budowy bliższe ogniem pożaru całe były oblane. Przed bramami zastali strażę królewskie. Myszkowskiego na koniu, kupy mieszczan lamentujących, którzy nie wiedzieli, jak ratować siebie i miasto. Wydawano rozkazy na próżno.

Tymczasem ten sam motłoch, co ogień podrzucił pod bogate sklepy kupców perskich na sejm przybyłych, rozrywał już towary, plądrował i rabował nie tylko budy płonące, Ale domy mieszczan, z których starano się coś ratować. Popłoch wśród ciasnego rynku, na uliczkach wąskich panował straszny; nitk nie umiał i nie śmiał Ani płomieni szerzących się zalewać, Ani budowli i dachów od płonących już oddzielić, Aby szerzenia się ognia nie dopuścić.

Bajbuza wśród tego zamętu znalazł się w swoim żywiole, otrzeźwiony, przytomny, mężny. Jednym rzutem oka objąwszy położenie, obrachowawszy niebezpieczeństwo zagrażające Zamkowi, przypomniał sobie, iż rokoszanie stali nie dalej, jak pod Jeziorną, i że wzniecony pożar mógł być ich dziełem, z którego zamierzali korzystać, sam pobiegł ku zamkowej bramie, A Szczypiora odprawił z rozkazem, Aby kopijnicy na koń siedli i na straż do króla przybywali.

Gdy przerynąc się przez skupione w ulicach i przerażone gromady ludu, dworskie czeladzie senatorów, czeladź rzemieślniczą, Bajbuza dobił się do wrót Zamku już zapartych i przez Myszkowskiego obwarowanych strażą, znalazł w pierwszym podwórku króla samego, ubranego jak

do wsiadzenia na koń, otoczonego urzędnikami i dworem swoim. Zygmunt III i w tej chwili tak groźnej, w której w istocie nadejścia rokoszan spodziewać się było można, nie stracił swej zimnej krwi i przytomności. Stał, w ręku cisnąc różaniec z krzyżykiem i niekiedy półsłowy rozkazy wydając. Ojciec Bernard, kilku jezuitów, dowódcy straży byli przy nim. Myszkowski konno u wrót ustawiał wojsko, którego część hetman sam wyprowadził za miasto ku Jeziornie, Aby na wszelki wypadek nie dopuścić napaści do murów. W tej chwili właśnie królowa z Urszulą Meyerin, z dziećmi i całym fraucymerem swoim wychodziła z Zamku i skierowała się ku kościołowi farnemu, gdzie już przed wielkim ołtarzem kapłan stał z błagalną modlitwą i organ się rozlegał wielkim głosem pieśni: “święty Boże”!

Powaga tego królewskiego dworu, obojga państwu, sług nawet, które przestraszu okazać nie śmiały, zapatrując się na króla i królowę, wzbudzała poszanowanie. Jakby za procesją ciągnęły zakwefione niewiasty królowej, mierzonym krokiem z modlitwą na ustach spokojną. Tylko na oczach królowej, gdy pomijała męża, który wydawał rozkazy i odbierał doniesienia, blask pożaru odbił się we łzach u powiek zwieszonych.

Nawet w tej strasznej godzinie Zygmunt umiał majestat swój utrzymać i wszelki okaz wzruszenia przytłumić w sobie. Gdy marszałek Myszkowski, podkomorzanie, komornicy zaledwie zdyszani i rozgorączkowani mówić mogli, król odzywał się ze spokojem i chłodem dni powszednich.

Ukazanie się Bajbuzy, którego umiał cenić Myszkowski i wszyscy dworacy króla, powitano z radością. Sam Zygmunt dał mu znak głową, że go poznał i rad mu był, A że z dala Ani go przywołać, Ani przemówić nie mógł do niego, wysłał komornika z rozkazem, Aby się w zamku zatrzymał.

- Doniesicie Najjaśniejszemu Panu - zawołał rotmistrz - że ja wprost z Krakowa przybywam i jeszcze nie miał czasu obozem się położyć, A kopijnikom moim kazałem, Aby się tu natychmiast do strzeżenia osoby pańskiej stawili!

Zajął się miejsce u samej bramy rotmistrz, razem z dowódcami straży cudzoziemskich czuwając, Aby ciżby nie dopuszczać, która Aż pod wrota się parła, oszalała strachem i zuchwalstwem grabieżników, na Starym Mieście sklepy i domy pod pozorem ratunku obdzierających. Pomiędzy senatorami, u boku króla się znajdującymi, panowało to przekonanie, iż ogień, o którego podłożeniu nie wątpiono, umyślnie dla obudzenia przestraszu i nieładu rzucony, miał posłużyć rokoszanom do najścia na Warszawę i króla. Pomimo iż Żółkiewski już przeciwko domniemanego napadu z częścią wojsk wyciągnął za mury i czuwał, nie uspokoił się dwór i wyglądano wśród miasta samego jakiegoś wybuchu wcześniej przygotowanego. Być też bardzo mogło, że rokoszanie, zwłaszcza zuchwały Herburt, coś podobnego osnuli, lecz przytomność

hetmana i Myszkowskiego nie dopuściła wykonania. Skończyło się na rabunku kupieckich sklepów i wozów, na ogromnych stratach w rynku Starego Miasta, którego domostwa zajmowały się z kolei jedne po drugich, stając łupem płomieni i grabieży. Ratunek był prawie niemożliwy, gdyż ogień wkrótce takie przybrał rozmiary, tak gwałtownie się rozlał na wszystkie strony, że dostąpić nawet do płonących kamienic nie było podobna. Ludzie z życiem tylko starali się z nich wydobyć. Co chwila jakaś część zajętych domostw zapadała się z łoskotem, rozpryskując iskrami i głowniami po dachach sąsiednich i łoże ognia nowe ścieląc dokoła rynku; co chwila luna szerzej się rozlewała po niebiosach nad miastem całym, A głos nawet dzwonów zaledwie wśród straszliwego wycia tłumów i trzasku ognia niekiedy jękiem bolesnym słabo słyszeć się dawał.

Nadciągających kopijników swoich Bajbuza wprowadził na Zamek i na pierwszym u bram miejscu postawił ze Szczypiozem.

Noc już ustępowała brzaskom poranka, Ale ponad Zamkiem i miastem gęste dymy i wyziewy pożarne dnia nawet dojrzeć długo nie dawały.

Król z częścią dworu zwrócił się ku kościołowi, gdzie kapłan wyszedł z pierwszą mszą świętą, wysłuchał jej razem z rodziną, klęcząc i modląc się zawsze z tym samym spokojem, którego dochodzące do kościoła wrzaski nie mogły zmącić, i zostawując królowę na modlitwie, gdyż dopóki trwał ogień, nie chciała na Zamek powracać, sam stanął wpośród swych straży, Aby wiedzieć, co się w mieście i na przedmieściach działo.

Spodziewane jednak wtargnięcie rokoszan, gdy dzień biały przez nagromadzone dymy przedarł się nareście, coraz mniej okazało się możliwym. Hetman dawał znać, iż jego straże, które rozesłał dla powzięcia języka, nigdzie oddziały żadnego, oprócz luźnych picowników, nie spotkały.

Jedno więc niebezpieczeństwo groźne zażegnane zostało, Ale pożar w rynku tak się wzmógł i spotęźniał, że nie tylko bliższym kościołom i gmachom, Ale samemu zagrażał Zamkowi. Musiał Myszkowski na dachach ludzi posadzać opatrzonych w haki i kubły z wodą, którzy padające tu nieustannie żuźle i iskry gasili.

Z tej pieczołowitości o gaszenie ognia, która o wszystkim zresztą zapomnieć kazała, korzystali rabusie, bezkarnie uchodząc z łupami za miasto i wybierając drogi, na których wojsko ich nie mogło przytrzymać. Mała tylko liczba kupców, którzy już towar swój w wozach mieli naładowany i przed pożarem za mury miejskie wyciągnęli, zdołała mienie swe ocalić.

Nadchodzący dzień straszliwy odkrył obraz zniszczenia w rynku, w którym dokoła stały tylko okopcone murów szczątki, ściany szerniałe kamienic, kominy, A w środku gorzały jeszcze kupy gruzów, do których ludność dostać się nie mogła, Aby z nich coś ocalić. Ani pachołkowie miejscy, Ani urząd nic tu nie mógł w chwili rozprężenia powszechnego i nieładu, gdy każdy myślał tylko o sobie, życie lub ostatki własnego ratując mienia.

Nad rankiem ogień cokolwiek uśmierzać się począł, Ale niebezpieczeństwo trwało jeszcze, i tak wojsko, jak dwór króla pozostać musiał na straży. Królowej dotąd z kościoła wyprowadzić nie zdołano. Około południa dopiero szerzeniu się dalszemu ognia zapobiec się udało, Albo raczej sam on grubymi murami wysoko podniesionymi został wstrzymany. Wojsko jednak nie zeszło ze stanowisk swoich i dwór tylko z królem i senatorami do komnat mógł powrócić. Na ostatek i królowę panna Urszula Meyerin, która po kilkakroć wchodziła i powracała do kościoła, zdołała namówić, Aby z dziećmi na Zamek spocząć po tej straszliwej nocy wróciła.

Ochłonięto z przestachu, A chociaż straty poniesione przez miasto były bardzo dotkliwe, musiano sobie wieszować jeszcze, że się nie ziściło przewidywanie, jakoby rokoszanie z zamieszania tego korzystać chcieli. Czujność hetmana, dwóch Potockich i marszałka Myszkowskiego zapobiegła może zuchwałemu targnięciu się, które wszyscy przewidywali. Że pod Jeziorną w obozie czuwano i oczekiwano na jakieś hasło noc całą i powitano łunę na niebie radośnie, o tym później się przekonano z opowiadań pobranych jeńców.

Bajbuza, chociaż po podróży ludzie i konie wielce wypoczynku potrzebowali, nie zszedł też ze swego stanowiska u wrót zamkowych, Aż dobrze z południa, gdy kwarcianych część powróciła do miasta i zastąpić mogła jego kopijników. Sam marszałek Myszkowski, który o nim wiedział i pamiętał, powołał do siebie. Rotmistrz znalazł go rozciągniętego na łożu i ledwie dyszącego ze znużenia, po całonocnym niepokoju i krzątaniu się wśród płomieni i ciżby ludu. Słabym głosem przywitał go Myszkowski:

- Pan Bóg was tu w porę przyprowadził - rzekł - bo choć na pozór próżną straż sprawialiście u wrót, przekonany jestem, że tylko czujność nasza i prędkie opamiętanie się ocaliło nas od gorszego daleko. Rokoszanów i Zebrzydowskiego ręka w tym widoczna. Posłużyli się tylko motłochem, który dla siebie z tego skorzystał. Teraz zaś, gdy niebezpieczeństwo to przeszło, jedno nam pozostaje, dłużej już rokoszu nie cierpieć, który nam tchnąć i spocząć nie daje. Iść potrzeba na nich, rozprószyć i okazać, że bezkarnie nadal mącić nie da król dla prywaty pokoju Rzeczypospolitej; Ale pan to jest łagodności niewyczerpanej, dobroci serca zbyt wielkiej, chrześcijańskiego miłosierdzia i cierpi za te swe cnoty.

Myszkowski przypomniał sobie dopiero uwięzienie Bajbuzy i podnosząc się na łożu, spytał:

- Cóżes to, waszmość, w szponach był u Zebrzydowskiego? Jakim cudem ci się z nich wydobyć udało?

- Nie warto opowiadać - rzekł Bajbuza. - Ze wszystkiego najcięższą dla mnie była niewola, A potem rana odniesiona, która mnie w Krakowie tak długo wstrzymała. Teraz jestem na posługi

króla i pana hetmana, A głosuję też, Aby sprawę tę nieszczęśliwą zatargu braterskiego jakimkolwiek kosztem raz zakończyć.

- Bez krwi nie będzie jej końca! - zawołał Myszkowski. - Straszna to rzecz wyrok taki wydawać, lecz dopóki Zebrzydowski A Herburt żywi będą, póty my spokoju nie skosztujemy. Król posły za posłami, uniwersały słał za uniwersałami do obłąkanych, zwlekał, cierpiał, na ostatek mieczem musi rozstrzygnąć, czego łaskawością nie mógł. Nagrody chcą za to jeszcze, że króla zbezczęściwszy, Rzeczpospolitę na obozy rozdarłszy, grawaminów nie dowiódłszy, raczą się skłonić do pacyfikacji! A cóż by dla cnotliwych pozostało?

Westchnął Myszkowski.

- Gdybyś waszmość z kopijnikami swymi, razem ze strażą króla przy dworze mógł pozostać, chętnie by to król widział. Jeżeli więc pan hetman was nie pożąda gwałtem, bądźcie z nami i dotrwajcie do spodziewanego rychło końca.

- Rad posłusznym będę - odparł Bajbuza - byleśmy istotnie końca i pokoju doczekać mogli i "Te Deum laudamus" zaśpiewać... A, gdyby bez krwi rozlewu się obeszło!

Marszałek potrząsnął głową.

- Dałby Bóg, Ale są winy, których nic obmyć prócz krwi nie może.

## Rozdział IX

Noc dnia 29 czerwca 1607 roku w obozie królewskim, który na krótki spoczynek zaledwie rozłożono, sposobiąc się do dalszego pochodu, dozwalała przeczuwać, iż dzień po niej nastąpić mający Albo sprawę rokoszu rozstrzygnie, lub przynajmniej o krok posunie dalej.

W bliskości królewskich namiotów, których część tylko rozbito, Bajbuza ze swym wiernym Szczypiolem leżeli na ziemi, rozelawszy wołki, i gwarzyli po cichu. Przed nimi na drewnianej misce rzucone było pokrajane mięso jakieś i połamany chleb, obok stała bańka i dwa kubki, Ale oba oni o jadłach i napoju najmniej myśleli w tej chwili. Bajbuza dumał z czołem namarszczonym, zestarzały jakąś boleścią wewnętrzną. Szczypior odrętwiały się zdawał ze znużenia. Kiedy niekiedy oglądali się na siebie i mieniali słów kilka urywanych.

Od obozowisk szeroko rozłożonych na równinie dochodził tylko szmer głuchy i rzenie, poruszanie się wozów i koni; ludzkich głosów słyhać prawie nie było. Cisza jakaś uroczysta, podobna do tej, które poprzedzają burze, przygniała te tłumy. Rotmistrz w sobie był zatopiony.

- Hetman ich przecież zdołał nawrócić - zamruczał do Szczypiora. - Nie obwiniam ich, samiśmy na to niemal patrzyli, że się pomiędzy naszych ciągle rokoszanie nasyłani przez hersztów wciskali i przeciwko rozlewowi krwi braterskiej Apostołowali. Z tego poszło, że teraz kwarciani poczęli się wahać i głośno zapowiedzieli, że na rokoszan iść A z bracią bić się nie chcą. Jeszcze to szczęście, że poczciwie się z tym oświadczyli, A nie zdradzili w ostatniej godzinie!

- Aboż pewnymi być możemy, że się to nie stanie? - zamruczał Szczypior. - Prawda, hetman ich przekonał, że przy królu i prawie stać powinni, że rozlewu krwi oni na sumieniu mieć nie będą, bo króla i wojsko zmuszono do tego, poszli skonwinkowani, \* Ano, kto to przewidzi, czy ich nie pobałamuca znowu? Niepodobna się dopilnować - mówił dalej Szczypior. - Któż tu dojdzie, z jakiego człek obozu, do kogo należy? Rokoszan mnóstwo się włóczy; żeby jak pilnować...

Skonwinkowany ( z łac.) - przekonany.

- Tak, tak, straszna to wojna - odzywał się Bajbuza. - Bodaj była pierwszą i ostatnią!

Wtem od namiotów królewskich nadbiegł Kaliński, otulony opończą, bo go febra trzęsła.

- Wiecie - rzekł głosem poruszonym - wiecie? Ostrogski stoi osobno obozem za Wisłą. Posyłali do niego... odpowiada ni to, ni owo. Król na niego rachował, A kat go wie!

- Jam nigdy nie liczył! - przerwał Bajbuza. - Jak był od początku, tak pozostał na dwu stołkach. Czeka końca, A potem skoczy gryźć powalonego na ziemi. Ale kiedy Stadnickiego bracia odciągnęli, to też coś znaczy. Bez Diabła Zebrzydowski słabszy.

- Jest Herburt - zamruczał Szczypior.



Z mroków nocnych ukazała się postać nowa; był to rotmistrz, stary Gurski, którego Bajbuza jako żołnierza cenił bardzo. Wlókł się krokami powolnymi i stanął. Obie pięści sobie do czoła przyłożył.

- A bodaj ich milion kroć sto tysięcy... tych niegodziwych, co tę wojnę wymyślili! Przyjdzie do bitwy, któż tu rozpozna druha od nieprzyjaciela? A toż bracia przeciw rodzonym! Bodaj z piekła nie wyleźli!

Kaliński, któremu się usta trzęsły, rzekł:

- Dlatego ja dotąd kwiarcianych nie jestem pewny... mają wstręt.

Wszyscy ciężko wzdychali.

- Odpowie przed Bogiem, kto to sprawił! - potwierdził Bajbuza.

- Czy Diabeł przeszedł do nas? - zapytał Gurski.

- Nie - rzekł Bajbuza - Ale od wojewody odstał i porzucił go.

- Skąd mu ten rozum?

Milczeli wszyscy.

- Strategia może - zamruczał Bajbuza. - Z diabłami trzeba być ostrożnym.

- Choć Ostrogski się nie przyłączy, A Stadnicki go opuścił, przecież Zebrzydowski z Herburtem mają ludzi kilkanaście tysięcy.

Gwarzyli tak, gdy w oddaleniu od hetmańskiego namiotu trąbka się słyszeć dała, A na to hasło zaczęły się odzywać zaraz inne i w całym obozie wszystko się poruszyło.

- W pochód! Na konie! - zawołał, śpiesznie zawracając się, stary Gurski. - Nie dali czasu nawet nakarmić koni, Ale... Niech się raz to skończy!

Szczypior zerwał się z ziemi i pobiegł na zwiady do niedalekiej królewskiej straży. W namiocie, który umyślnie na ten cel za królem wożono, odprawiała się pierwsza msza święta, której on i kilkanaście osób, klęcząc, pobożnie słuchało. Żółkiewski stał już we zbroi i hełmie, gotów na koń, buławę mając za pas zatknietą. Z drugiej strony byli dwaj Potoccy; Chodkiewicza nie dostrzegł chorąży. Zaledwie ksiądz przeżegnał, gdy wszyscy śpiesznie rozpierzchać się zaczęli.

- Zebrzydowski stoi pod Warką i przeprowił się już przez Pilicę, Ale go pośpieszywszy zastaniemy jeszcze w tym miejscu. Musimy ciągnąć zaraz - rzekł hetman, witając króla.

Zygmunt posłuchał, i dodał z rezygnacją człowieka, który musi się poddać konieczności:

- Ciągnijmy więc.

- Trzeba pośpieszyć - rzekł zbliżający się Stefan Potocki.

Z tą samą chłodną obojętnością łagodną król szepnął:

- Pośpieszajmy.

Zygmunt zbroję też już lekką miał na sobie. W oczach jego, twarzy, postawie, ruchu, głosie, wyrazie rysów było to niewolnicze zdanie się na Opatrzność, które męstwo i nieustraszonność zastąpić mogło. Trwogi nie okazywał najmniejszej. Wiedział on jak inni, że losy się za kilka godzin rozstrzygnąć miały, Ale nie czyniło to na nim najmniejszego wrażenia. Modlił się w duchu. Wiara w Opatrzność czyniła go podobnym muzułmanowi wierzącemu w fatalność. Nie drgnął mu żaden mięsień twarzy, gdy na koń wsiadać przyszło; bębny się odezwały, rozwinięto szeleszczące w powietrzu chorągwie, trąby wesoło, Ale krzyżąc grać zaczęły. Ucichło potem i wielkim chórem odezwała się jak kościelny chorał poważna, odwieczna, tylekroć zwycięska "Bogurodzica" ze swą zwrotką o miłosierdzie do Boga: "Kyrie elejson"

Król z głową spuszczoną jechał zadumany.

Dzień poczynał się robić szybko i wiatr powstał nagle, który z tyłu wojska wiejąc, zapowiadał, że w razie spotkania z nieprzyjacielem, po dość długiej suszy wyschłej ziemi, poruszone pyły w oczy mieć będzie. Pierwszy uradował się temu Żółkiewski. Konie rżały i prychały wesoło. Chmury nagromadzone na wschodzie rozstępowały się i znikwały. Wojsko szło, skończywszy pieśń, w uroczystym milczeniu, gdyż z dala już, poza morkymi łąki i oparzeliskami za Pilicą, jak okiem zajrzeć widać było szeroko bardzo rozłożone rokoszanów siły.

W wojsku kwarcianym bystre oko Bajbuzy dostrzegło podejrzanego ruchu jakiegoś. Dano znać do szykowania się ku boju; kto miał dać pierwszy znak i uczynić krok stanowczy, dopiero się tu miało rozstrzygać. Rotmistrz jechał u boku króla, gdy Myszkowski dał mu znać, Aby się zbliżył do niego.

- Zaszło coś niespodziewanego - rzekł. - Widzę stąd skupionych dowódców kwarcianych przy hetmanie, który żywo rozprawia z nimi. Wstrzymano hasło do boju. Po pułkach biegają ludzie. Król pytał mnie już po kilkakroć oczyma, ja sam odjechać nie mogę, jedź proszę.

Bajbuza puścił się zaraz ku kwarcianym, Ale już po drodze mógł się przekonać, jak źle stały sprawy królewskie. Wśród pułków dawały się słyszeć głosy:

- My się bić nie będziemy! Niech wojewoda krakowski pokaże zdrajców, my ich osłaniać nie chcemy, niech giną! Za co się ma lać krew nasza?

Wszędzie poburzenie było ogromne, A wybuch jego, z dawna przygotowany, w samym momencie, gdy się już potykać miano, przeraził hetmana. Bajbuza znalazł go otoczonym wykrzykującą starszyzną:

- My się bić nie będziemy!

Gromadki po bokach rozprawiały głośno i okazywały rozdrażnienie wielkie.

Zobaczywszy Bajbuzę, hetman poszedł ku niemu.

- Potrzeba radzić - rzekł z krwią zimną. - Nie zwątpiłem jeszcze, iż zapobiegnę złemu, Ale o wydaniu dziś bitwy mowy być nie może, A jeśli nas teraz napadną, zginęliśmy. Rokosz weźmie górę. Zdrajców mieliśmy w szeregach. Z chorągwi pancernej Wiktorzyn Leśnicki, Podwalski, Zubek, kilku innych uszli do rokoszan, hasło obozowe im wydając i zapewniając, że połowa kwarcianych bić się nie będzie. Spójrz, waszmość, co się dzieje, pułki się mieszają, ładu już dowódcy zaprowadzić nie mogą. Niech król będzie spokojny, radzić musimy, lecz źle stoimy na Boga! Jedź... ja z pomocą Bożą działać będę.

Przerażony wiadomościami tymi Bajbuza zawrócił do króla i straży jego, przed którą wyjechawszy, czekał na niego Myszkowski.

- Panie marszałku - odezwał się Bajbuza - przygotujcie króla do niefortunnej wieści. Hetmanowi kwarciani wypowiadają posłuszeństwo, bić się nie chcą. Z pancernych zbiegło kilku z hasłem do Zebrzydowskiego, wojsko żąda układów. Jeżeli w tej chwili ruszy na nas wojewoda, zgniecie nas nieochybnie i o samą osobę króla obawiać się można, Ale Żółkiewski nie stracił energii.

Nie mając siły odpowiedzieć nawet, Myszkowski zawrócił do króla. Natychmiast wydano rozkazy gwardiom, Aby otoczyły pagórek, na którym namiot rozbito. Zygmunt zsiadł z konia. Chociaż Myszkowski całej nie wyznał mu prawdy, Ale i to, co przyniósł, starczyło, Aby strwożyć. Zygmunt jednak i teraz jeszcze nie okazał obawy. Przywołał do siebie jednego z potockich, wysłał go do hetmana, A sam wszedł do namiotu.

Po całym wojsku szerzyła się już wieść o ucieczce Leśnickiego, o oporze kwarcianych; w innych oddziałach odzywały się też głosy przeciwko wojnie.

- Po co się bić mamy? To sprawa domowa, niech się sobie król układa z wojewodą, my za to i naparstka krwi wytoczyć nie powinniśmy.

Szcypior, który to rozumowanie słyszał, odparł głośno:

- Pytam ja waszmościów, czyście żołnierze, czy nie?

- Albo co?

- Bo u mnie żołnierzem tylko ten, co słucha rozkazu i spełnia go, ja rozumu jego nie potrzebuję. A z moich kopijników kto mi się zawaha iść, gdy krzyknę: "Naprzód!" - w łeb mu strzelę.

Niektórzy zamilkli, inni burczeli:

- Niech nas prowadzą na Turka!

- A gdy swój gorszy zdrajca i rabuś niż on, to co.

Takie i tym podobne rozprawy się toczyły wszędzie po szeregach, wśród których rokoszowie drożdże widocznie robiły \*

Robiły - tu: fermentowały, burzyły ( przyp. red.).

Szcześciem dla króla Zebrzydowski z tej godziny rozstroju nie umiał skorzystać. Leśnicki zawiadomił go o tym, co słyszał, iż na wojnę do Inflant w tych dniach miano tysiąc ludzi odłączyć i wysyłać. Czekał, Aby się to spełniło i król jeszcze przez odejście ich stał słabszym. Zamiast więc uderzyć, wojewoda pociągnął dalej do Orońska.

Tymczasem Żółkiewski nie znużenie był czynnym, z dawna do niego przywiązani dowódcy pomagali mu dzielnie. Na gwałtowne domagania się o nowe układy, zniósłszy się z królem, hetman się zgodził z tym, Aby nazajutrz rano z obu stron po trzydziestu mężów z rycerstwa się zjechało w miejscu bezpiecznym, pomiędzy dwoma obozami, i warunki pokoju ułożyli. Posłano z wezwaniem tym do rokoszan, A tymczasem hetman nie zasypiał. Nie pozostał sam Ani na chwilę, przywołując do siebie panów regimentarzów, rotmistrzów, pułkowników, starszyznę, tak że im Ani sobie nie dał spoczynku:

- Uczyniono mnie, hetmanowi, i wam wszystkim, i całemu narodowi srom. Znaleźli się zdrajcy, co wojenne hasło wydali; znaleźli się, co zbiegli z szeregów; znaleźli tacy, co królowi przysięgłszy, chcieli go wydać w ręce nieprzyjaciół. Srom ten obmyć musimy.

Dowódcy rozgrzali się także. Wszyscy oni potakiwali hetmanowi. Wieczór zapadł, Ale nikt na spoczynek iść nie myślał, tym bardziej, że ów Leśnicki i Rudziński, którzy hasło z obozu wynieśli, zuchwale nazad do obozu powrócili i dalej w nim mącić się starali, Ale ich natychmiast pod straż wzięto. Noc upłynęła na burzliwych naradach po namiotach, które wypadły wszystkie przeciwko rokoszanom.

- Mógł kto chciał iść sobie do rokoszan i los Zebrzydowskiego dzielić - mówili hetmańscy.  
- Nikt nie trzymał Ani bronił, Ale kto przy królu został i wierność czią rycerską poprzysięgł, strzymać ją powinien.

Z nadzwyczajną niecierpliwością oczekiwano skutku narad, na które trzydziestu najprzedniejszych dowódców wybrano. Opierał się, jako mógł, Bajbuza, Aby go i cześć ta, i męka minęła, lecz król go mieć chciał między wybranymi.

Do dnia ruszyli poczem pięknym do wsi między Warką A Orońskiem położonej, w której zjazd był naznaczony. Wojsko tymczasem miało godzin kilka pożądanego spoczynku. Sposobiono się tu nawet pozostać dłużej, bo najspieszniejsze układy godzin sporo zająć musiały. Przepowiadano dni kilka, gdy około południa wysłani z obozu ukazali się już z powrotem. Zbiegło się, co żyło, pod namiot hetmana, który triumfował, bo zgadywał, co się stało, A właśnie przeczuł, że inaczej być nie może. Zamiast stawić się do układów, rokoszanie pociągnęli ku Orońskowi. Domyślać się było można, iż na Kraków zmierzali i ubiec go śpieszyli.

- Patrzcież na ich dobrą wiarę i na ich chęć zgody i pokoju! - zawołał do zebranych dowódców hetman. - Oto jest przybyły z ich obozu pułkownik piechoty wojewody, Jan Dałmata, ten wam poświadczy, że na Kraków idą. Sto razy im wyciągaliśmy rękę, odpychali ją lub wyśliznęli się, A wy dajecie im uwodzić? Wchodzą w zbrodnicze zmywy i konszachty z rebelizantami?

Głos Żółkiewskiego grzmiał gniewny.

- Srom mi za wojsko, którym dowodzę! - dodał.

Starszyzna cała rzuciła się ku niemu.

- Niech winni pokutują, uczynicie przykład, Ale nas wszystkich nie oskarżaj. Ukarać ich!

- Złóżcie na nich sami sąd wojenny - rzekł hetman.

Rotmistrz nasz, posłyszawszy co się święci, pod pozorem zdania sprawy Myszkowskiemu, Aby w sądzie uniknąć, wysunął się zaraz. Nim jednak z konia zsiadł u namiotów królewskich, marszałek usłyszawszy, co się stało, i zapowiedziany sąd mając, zmusił go powracać.

- Jedź waszmość do nich! - zawołał. - Niechże zdrajców ukarzą przykładnie, A nie, to się jeszcze raz toż samo powtórzy. O króla nie jesteśmy bezpieczni, gdy jego własny żołnierz się rokoszować w obozie waży.

Znowu więc Bajbuza wrócił do koła, w którym sądzono Leśnickiego i Rudzińskiego, Ale koniowi kroku zwolnił tak, że gdy się zbliżył do tłumu zebranego przy sędziach, już Leśnickiego na wbitych dwu kołach wieszano, ledwie z niego zbroję zdarłszy. Rudziński klęczał ze złożonymi rękami i jak bóbr płakał A zaklinał się, ziemię całując, że go Leśnicki uwiódł i prawie gwałtem za sobą pociągnął. Rudzińskiemu więc na to błaganie jego rotmistrzowie życie darowali z tym, Aby przy pierwszym spotkaniu z nieprzyjacielem na harc wyszedł i jawnie męstwa swojego dowiódł. Innych ciurów, którzy im dopomagali, natychmiast od czci odsądzając, precz wyświecono z obozu, zapowiadając im, że który by się w nim pokazał jeszcze, bez sądu powieszony zostanie.

Tym sposobem udało się hetmanowi przywrócić ład, spokój i karność, Ale zburzenie i rozdrażnienie pozostały w umysłach. Żółkiewski czuł to, iż pośpiesznie działać było potrzeba, dopóki by znowu duch niespokojny nie wziął góry. Natychmiast więc za poradą jego i zgodą wszystkich hetmanów ( do zwierzchniego dowództwa żaden z nich nie miał z powodu Chodkiewicza, który się o nie upominał, i Żółkiewskiego, prawa swego nie mogącego ustąpić) ruszono śpiesznym pochodem ku Orońskiemu i na noc król z całymi siłami swymi był w Przytyku.

Bajbuza wraz z innymi pilno się teraz przysłuchiwali i przyglądali temu, co się w szeregach kwarcianych działo i po innych pułkach. Poskutkowało powieszenie Leśnickiego, Ale milczenie posępne nic też dobrego nie wróżyło. Bić się chciało co rychlej, Aby raz skończyć; ochoty jednak do tego boju A dobrej myśli nikt nie miał. Żołnierze z nieufnością się oglądali na

siebie, A ze słowem każdy wahał odezwać. Znużeniu też wojska wiele przypisywać było potrzeba i dobrze się stało, że cały dzień wychnąć mogło w Przytyku.

O Zebrzydowskim wiadano, że stał, jakby już czekał na regalistów, postanowiwszy bitwę przyjąć w Orońsku, gdzie mu się położenie zdało dla rokoszan korzystnym. Ale i tu do starcia by nie przyszło jeszcze, bo wojewoda dzień cały przeleżawszy, już się sposobił ciągnąć dalej, gdyby Żółkiewski, przekonany o potrzebie rozstrzygnięcia sprawy, nie pośpieszył ku Orońskowi i nie ukazał się, gdy już wozy wojewody ruszały, A on sam popasywał. Oba wojska stanęły wręcz naprzeciw siebie, tak że przednie czaty ścierać się zaczęły i ów Rudziński zaraz na harc się puścił.

Kto by był wówczas przy króla namiotach \* stanął, A spojrzął w ciasne przejście pomiędzy nimi, zobaczyłby męża lat średnich, w czarnej sukni zakonnej, z podstrzyżoną bródką, z odkrytą głową, ze złożonymi rękami modlącego się gorąco, A po twarzy jego strumieniem łzy płynęły. I nie spod jednych powiek na widok tych wojsk, w których ród, krew, wszystko było bratnim, A mimo to zajadła sobie zapowiadających walkę, łzy wytrysnąć musiały.

W tekście pierwodruku jest ten wyraz w liczbie pojedynczej ( namiocie). Ze względu na dalszy ciąg zdania i zaimek “nimi” zmieniono na liczbę mnogą.

Bajbuza na koniu stał i z pagórka spoglądał mrużąc:

- Przeklęty, co tę wojnę zapalił! - mówił w duszy. - Niech dla niego Ani na tym, Ani na drugim świecie przebaczenia nie będzie; przeklęty, kto ten ogień zapalił, niech na jego duszę spadnie ta krew, która się tu przeleje, i wszystka, co się z niej jeszcze w przyszłości wytoczy... Przeklęty! przeklęty! przeklęty!

Szykowały się już z obu stron oddziały. Wtem Żółkiewskiemu król przysłał rozkaz, Aby wysłał po raz ostatni do Zebrzydowskiego, powołując go do zgody. Z pagórka, na którym stał, rotmistrz mógł widzieć śpiesznie wyjeżdżających posłów z białą płachtą na włócznie. Dobiegli do rokoszan straży, która ich napadłszy zerwała chorągiew, otoczyła i pod strażą precz za wozy, powiązanych, zapędzić kazała. Dzikie okrzyki dawały się słyszeć od rokoszan szeregów.

Nie było już co oczekiwać na zgodę. Król, któremu doniesiono o losie wysłanych, krokiem powolnym zawrócił do namiotu i wkrótce potem wyszedł z niego we zbroi, w hełmie, przy mieczu. Twarz miał bladą, posępną, Ale tak marmurowo zastygła, jak wprzód. Odzywające się trąby, ruch i wołanie, cała ta wrzawa, którą szykowanie się do boju wywołało, przeszły po nim, nie tknąwszy go. Oczy miał spuszczone, modlił się.

Na straży przy królu postawiony z kopijnikami swymi, na ten raz, mimo męstwa i ochoty do boju Bajbuza Panu Bogu dziękował, gdyż na tym stanowisku mniej niż gdzie indziej narażonym był na dobyte szabli z pochew. Razem z usarzami Koniecpolskiego obowiązany był tylko osłaniać króla i czuwać nad tym, Aby osoba jego narażoną nie była na niebezpieczeństwo.

W lewo rozłożył się hetman Żółkiewski z kwarcianymi i całą siłą, którą dowodził; na prawym skrzydle, osłonionym trzęsawicami, niedostępnymi dla rokoszan, położył się Chodkiewicz; w pośrodku, nieco dalej, stał Potocki Jan, starosta kamieniecki, A za nim w odwodzie król, senatorowie duchowni i świeccy na koniach, usaria nadworna, usarze Gostomskiego, Koniecpolskiego, Czarnkowskiego, pułk Myszkowskiego i starosty najdzielniejsze, dlatego też nimi króla otoczono.

Piechota i działa wedle ówczesnego wojowania sposobu ustawiła się na skrzydłach. Chodkiewicz zżymał się już i krzyczał, dano mu tylko osiem oddziałów jazdy, gdy Żółkiewski prowadził ich we dwujnasób, Ale Chodkiewicza osłaniały trzęsawiska i bezpieczniej czyniły. Rozgniewany zapowiadał on głośno, że niczyich rozkazów słuchać nie myśli. Piechota nowo zaciężna i niewiele warta, którą też do niego posłano, jeszcze go rozjątrzyła bardziej i że nie cisnął buławy, jak był nawykł, sprawiło to tylko, że czasu nie miał bo wszystko się ustawiać musiało i miejsca swe zajmować, A do sporu nie stawał nikt.

Można było, nim działa z obu stron grać poczęły i dymem osłaniać szerokie pobojuwisko, dojrzeć rokoszan, którzy naprzeciw Żółkiewskiego postawili Herburta, naprzeciw Chodkiewiczowi jakby z umysłu Radziwiłła, sam zaś Zebrzydowski z dobozem najlepszego żołnierza i najzapamiętalszej szlachty zajął miejsce w pośrodku. Skąd pierwsze odezwały się działa, rozeznac było trudno, gdyż natychmiast odpowiedziano im z drugiej strony, A co śmielsi na harc przed szeregi wyrwać się poczęli. Bitwa, gdy raz zawrzała, z zaciętością wzrastającą co chwila, z rosnącym szaleństwem jakimś zajęła się i ufce zmieszła. Nic już rozpoznać nie było można. Wiatr i tego dnia sprzyjając królewskim, od nich niósł ogromne tumany kurzawy na rokoszan, których jak obłokiem płowym okrywał. Sine kłęby dymu od strzałów mieszały się z gęstymi chmurami pyłu, kopytami koni podniesionymi na polu świeżo zaorany, które rokoszanie zalegali.

Z miejsca tego, które król otoczony senatorami i dworem zajmował, cały plac boju można obejrzeć było, Ale z trudnością rozpoznać się dawały oddziały i tylko ruch ich naprzód lub cofanie się coś wnosić dozwalało. Było już około południa, gdy Radziwiłł ze swymi pułkami, poznawszy zniechęconego Chodkiewicza, nieprzyjaciela rodu swojego naprzeciw siebie, z zaciętością wielką na prawe skrzydło uderzył. Ale w początku Chodkiewicz zatrzymał z przedniejszymi pułkami napaść tę gwałtowną i nawzajem rzucił się ku Radziwiłłowskiemu, którzy się rozpręgać zaczęli. Sam wódz, otoczony elierami, których czerwone przepaski na zbrojach z dala rozpoznać dawały, powstrzymał pierzchających, gdy wtem cztery posiłkowe oddziały dodane Chodkiewiczowi cofać się szybko i pierzchać ku trzęsawiskom zaczęły. Elierowie Radziwiłła natychmiast się na nich rzucili. To uderzenie czerwonych pasów, znanych z zaślepienia i zapamiętałości w boju, straszliwie Chodkiewiczowskie pułki zgmiotło i rozbiło. Z pagórka widać

było, jak się wdarli w sam środek prawego skrzydła i przez nie przebiwszy, część ich Aż pod namioty króla się dostała.

Kaliński, który w jednym z nich z febrą leżał w gorączce, ujrzał jednego z elierów, który opłotki namiotu podniósłszy, krzychał:

- A gdzie ten Szwed? Dajcie nam tego Szweda!

Nie dano mu długo szukać, bo Bajbuza dopadł z kopijnikami i śmiałką w miejscu rozsiekanym.

Zbliżenie się to rokoszan do obozu tak wszystkich poruszyło, iż król został w pięćdziesiąt koni tylko sam na wzgórzu.

Z zakrwawioną jeszcze szablą przypadł w tej chwili ku niemu Bajbuza, wołając:

- Najjaśniejszy Panie! Lewe skrzydło nie poruszone stoi, bezpieczniejsi tam będziecie, pozwólcie nam, Abyśmy was odprowadzili.

Zygmunt podniósł z wolna wejrzenie jakby szklane na niego. Nie spieszo mu było.

- Piechota moja stoi? - zapytał.

- Nie strzelała nawet jeszcze - odparł rotmistrz.

Milczał Zygmunt chwilę.

- Więc i ja tu zostanę - odparł obojętnie po namyśle.

Zdaje się, że to zimne męstwo i ufność w swe siły dodała wojsku też odwagi. Inni też przyczynili się do powstrzymania uciekających Chodkiewicza ludzi.

Biskup przemyski Pstrokoński, który mimo stanu i dostojęstwa swojego na koniu z innymi stał przy królu, pierwszy się rzucił naprzeciw spłoszonych. Chorążemu wyrwał z rąk proporzec i goniącemu za nim siostrzeńcowi swemu Albertowi Starzyńskiemu go oddał.

- Nie tędy droga polskiej chorągwi! - krzyknął. - Ty ją nieś na nieprzyjaciela!

Starzyński pomknął natychmiast, a za nim i zawstydzeni pierzchający wracać poczęli. Chodkiewicz też sam osobą swoją czynny resztę pułków tak rozgrzał, iż elierów i Radziwiłłowskich odparł silnie. Zmieniło się natychmiast całe pole bitwy, które już zdawało przez rokoszanów zdobyte. W pośrodku Jakub Potocki rzucił się na Zebrzydowskiego i tu najzjadlejszy bój krwawy się zawiązał, z którego tylko chwilami, gdy tumany pyłu wiatr odniósł, coś było można dojrzeć. Było to jakby jedno olbrzymie cielsko potwory, wijące się wałem, kłębiące i rozpadające na sztuki, zrastające znowu i miotające konwulsyjnymi rzuty.

Węgierska piechota zaciężna Herburta, którą po stroju łatwo rozeznąć było można, pierwsza tył podała przed Potockiego pułkami. Za nią inne oddziały rozbijać się i w sztuki rozpraszać na wszystkie strony zaczęły.



Z bijącym sercem Myszkowski, stojący przy królu, patrzył i przewidywał już zwycięstwo. Zygmunt też oczy miał wlepione w ten obraz, który się odsłaniał teraz przed nim w całym swym majestacie i grozie. Na polu widać było leżące trupy ludzi i koni, pierzchające oddziały, goniące je \* pułki, pojedyncze kupki, ucierające się jeszcze z sobą. Okrzyki, jęki, trąby, tętent rozbiegających się koni, szum wichru, który rzucał kłębamii pyłu, wszystko to mięszało się razem z wołaniem radosnym, które dochodziło z lewego skrzydła. Zebrzydowskiego pułki środkowe złamane uchodziły i niekiedy stawały jeszcze, rozpaczliwy stawiając opór.

W pierwodruku błędnie "ich".

Król poruszał z wolna ustami, modlił się, Ale twarz posępna nie rozjaśniła się smutnym tym zwycięstwem. Wśród oczekiwania i milczenia, jakie króla otaczało, szybki bieg konia zwrócił oczy. Z lewej strony hetman Żółkiewski biegł samotrzeć, wołając:

- Zwycięstwo! "Victoria!" "Vivat" król nasz! "Vivat"

Za nim ogromnym wtórem huknęło ze wszech stron: "vivat!"

Zygmunt przyłożył rękę do szyszaka i uśmiechem smutnym dziękował.

- Panie hetmanie - rzekł cichym głosem do Żółkiewskiego - wam to winniśmy. Bogu niech będzie chwała. Wstrzymajcie pogon wszelką, nie pozwalajcie ścigać.

Rękę podniósł do góry i spuścił ją z wolna.

- Miłosierdzie mieć potrzeba - dodał.

Nie wszyscy może z otaczających króla dzielili to przekonanie, Ale umilkli i skłonili głowy. Pomimo rozkazów wydanych, boju i pogoni długo powstrzymać nie było można. Nawet tak smutne zwycięstwo, jakim było dnia tego, upaja. Jeden król może tym samym zastygłym okiem patrzył na nie, jakim by zwyciężony spoglądał na upadek. Dwór i regaliści, wodzowie dnia tego, żołnierz, który się łupem radował, senatorowie widzący w tym koniec rozterek i niepokojów, chodzili rozpromienieni i weseli. Co chwila przyciągano nowe zdobycze przed namiot króla, nowych jeńców panom hetmanom. Cillemu, włoskiemu sekretarzowi króla, który uwięziony w karcie Radziwiłłowskiej z nią potem przybył do obozu, darował Zygmunt i ją i co się w niej znajdowało; bogate siodła, konie, rzędy dostały się biednej szlachcie, rycerstwu i piechotom, które je zaraz, jak na targu, więcej dającemu sprzedawały, Aby zwycięstwo uroczyście zapisać. Cały stos chorągwi złożono przed namiotem króla; dział i hakownic zebranych mnóstwo podzielili między sobą dowódcy.

I nie samym tym szalem wręście znamionowało się zwycięstwo. Na poboju slysząc rannych, jęczących w tym samym języku, który im wszystkim był wspólny, nikt nie pytał, do jakiego kto należał obozu; zabierano ich, opatrywano, karmiono i pojono, A pod namiotami toczyły się tak ożywione opowiadania i rozmowy, jakby wszyscy oni razem z jednej uczyt powracali.

Ze znakomitszych jeńców dwóch Buttlerów, Pękosławski Prokop, Pac wojewodzie witebski, Branicki, Dobek i wielu innych się dostało regalistom; Ale z niedobitkami i złością okrutną w sercach uszli Zebrzydowski, Herburt i Radziwiłł.

Próbowali oni jeszcze i zjazdy zwoływać, i bezkrólewie głosić, Ale nadaremnie. Herburt wzięty życie zawdzięczał łasce Zygmunta, Zebrzydowskiego przywiódł szwagier Żółkiewski do ukorzenia się i przeproszenia króla. Radziwiłł na pozór przynajmniej musiał się poddać i rokosz ten pamiętny skończył się, pozostawując po sobie chorobliwe zarody.

W ciągu dnia tego Bajbuza był przy królu, i jakżeśmy widzieli, stawał czynnie w obronie jego, gdy elierowie Radziwiłłowscy wpadli, rozbiwszy oddział Chodkiewicza, na dworskie namioty. Oprócz tych czerwonymi przepaskami na zbrojach odznaczonych rycerzy, słynnych z zapamiętałego męstwa, innego też ochotnika znalazła się garść u namiotów, gdy Bajbuza przypadł z odsieczą. Rotmistrz zwykle panujący nad sobą i Aż do zbytku rozmyślający, powściągający się zawsze, gdy raz był w boju, stawał się jednym z najszaleszych. Ogarniała go jakaś wściekłość niemal zwierzęca, której się wstydził, Ale pohamować jej nie mógł. Trzymany snadź długo na hamulcu temperament mścił się potem, gdy raz go swobodnie puszczono. Teraz też po długim spoczynku Bajbuza z furią się rzucił na napastników. I ręka jego siekła i płała straszliwie, A co się mu nawinęło, padało naciśnięte, zrąbane, przerażone. Sam on, opowiadając o tej chwili, przyznawał się, że gdyby był przed sobą naówczas ujrzał przyjacielską jaką twarz dawno znaną, nie wiedział, czyby mógł tę swą wściekłość powstrzymać.

Właśnie wśród tego oblędu stanął przed nim, nie wiedzieć skąd się wyrwawszy, Spytek, o którym on prawie był całkiem zapomniał. Czy walczył z rokoszanami razem, czy po stronie króla? Rotmistrz nie wiedział wcale, lecz nagle ujrzał go przed sobą z koncerzem oburącz podniesionym, zmierzającego się do cięcia. W tym momencie mignęła mu twarz tylko znajoma, Ale sobie nawet nazwiska jej nie przypomniał. Nim Spytek, który go widocznie szukał, zebrał się miecz spuścić, już straszliwy raz w głowę hełm z niej strącił, A drugie cięcie czaszkę mu rozplatało. Spytek zwałił się z konia pod kopyta nadciągających pancernych i padł zgnieciony nimi. Stało się to tak szybko, tak piorunowo, A natychmiast potem trzeba było walczyć z elierami, że Bajbuzie po bitwie zostało wspomnienie mętne, niepewne i sam on wiedzieć nie mógł, czy istotnie Spytka miał przeciwko sobie, czy ranił go lub zabił.

Lecz zaledwie się po skończonej walce uspokajać zaczęło nieco, gdy ranny lekko Szczypior przyszedł do niego trochę upojony, wesół, śpiewający, szczęśliwy, zastał pogrążonego w jakiejś zadumie, jakby go największe nieszczęście spotkało. Szczypior szanował Bajbuzę i ulegał wszystkim fantazjom jego, Ale tego dnia, gdy obóz brzmiał całą radością, ten smutek wydał mu się

nieprzebaczonym dziwactwem. Ośmielił się więc, stanąwszy naprzeciw rotmistrza, zawołać na głos, co mu się rzadko trafiało:

- E, co bo u kata! Wszyscy się weselą, A wy, kochany rotmistrzu, jakby na przekór całemu światu! A, jak Boga kocham, że to się nie godzi! Cóż wam u licha jest? Ja was kocham, Ale diabeł mnie bierz, jeżeli rozumiem.

Bajbuza się podniósł jak sprężyną poruszony.

- Co za dziw, że ty mnie nie rozumiesz, kiedy ja często sam nie rozumiem siebie - zawołał

- Ale dziś nie masz racji mnie łajać, nie masz. Nie wiesz nic.

- No, A cóż mam wiedzieć - zapytał Szczypior.

Bajbuza chciał już jakby zacząć mówić, strzymał się, zasepił, węża potargał.

- Tajemnice mieć będziecie dla Szczypiora? - wtrącił chorąży.

Rotmistrz odwrócił się szybko.

- Wiesz - rzekł trwożliwie - zdaje mi się... nie jestem pewnym... zdaje mi się... zabiłem Spytka.

Chorąży stał czas jakiś milczący.

- Jakiego Spytka?

- Jej męża.

- Ależ on był z naszej strony - przebaknęła Szczypior. - Jakże to może być?

- Napadł na mnie. Ja teraz nic nie pamiętam, nie wiem, byłem jak nieprzytomny! Nie byłeś ty ze mną? Nie widziałeś?

Chorąży nic też sobie nie mógł przypomnieć.

- Cóż się z nim stało?

- Padł! - zawołał Bajbuza. - Padł zabity i końmi go zaraz stratowano.

Szczypior począł czło trzeć.

- Gdzież to było?

- Podle namiotów, gdy elierowie do nich dotarli - rzekł rotmistrz.

- Hm - odezwał się Szczypior - w nocy sypać będą kurhany i grzebać trupa, teraz jeszcze on leży, bo dopiero ciury obdzierają, chodźmy się przekonać.

Zawahał się Bajbuza nieco.

- Idź ty! - rzekł.

- We dwu pewniejsi będziemy - odparł chorąży. - Chodźcie ze mną!

Bajbuza się dał pociągnąć.

Noc zapadała, A na pobojuwisku istotnie roily się ciury około trupów jak stado kruków. Z trudnością dotrzeć mogli do miejsca, w którym spotkanie się odbyło, A gdzie teraz wozy stały,

choć trupów pomiędzy nich nie uprzętnięto. Szczypior u służby królewskiej wyprosił pochodnię i pacholka; zaczęli się poległym przypatrywać, którzy już wszyscy niemal nadzy leżeli. Na niewielu pozostały podarte i krwawe koszule, na innych obuwie, którego ściągnąć nie umiano. Wszystkie też te ciała straszliwie i prawie do niepoznania porąbane, pogniecione były i pokaleczone.

Rotmistrz po kilkakroć do namiotów musiał powracać, Aby sobie dokładnie miejsce, w którym walka zaszła, przypomnieć. Rozgarniano trupy na kupę pozrucane. Wtem Baj-buza stanął i krzyknął.

Przed nimi leżał zestraszliwie rozciętą czaszką, z której mózg wylany zastygł na twarzy i szyi, pognieciony kopytami, z kośćmi potrzaskanymi, z piersią zapadłą, Spyttek. Włoska jego fizjognomia, mająca w sobie coś właściwego i odznaczającego owego pana na wpół zniewieściałego, nie dozwalała się omylić. On to był. Uśmiech ironiczny, nawet wśród męczarni zgonu, ułożył mu się na ustach do niego nawykłych.

Bajbuza stanął niemy. Szczypior popatrzył, zamienili wejrzenie.

- Chodźmy! - rzekł chorąży. - W istocie on to jest, Ale wszystko skończone. Bóg niech będzie litościw duszy jego.

Rotmistrz się nie poruszał.

- Dla mnie to skończonym nie jest - szepnął. - Ja ciała jego bez pogrzebu, do ogólnego kurchanu rzucić nie mogę dozwolić. Mój obowiązek sprawić mu go, oddać ostatnią posługę.

Szczypior podniósł zdziwione oczy.

- Nie dysputuj, proszę, A szukaj mi kogo, co by się tym zajął.

Odwodzić od tego zamiaru spełnienia chrześcijańskiego obowiązku nie śmiał chorąży.

- No, bądź spokojny - odparł. - Ja tu ludzi znajdę i wóz, na którym by do Orońska ciało przewieziono, A resztę nam proboszcz ułatwi. Idź odpoczywaj.

Gdy w godzinę potem wierny Szczypior, zupełnie już otrzeźwiony i chłodny, powrócił do namiotu, znalazł Bajbuzę w tym samym miejscu co przedtem, z tą samą chmurą na czole. Krótko opowiedział o tym, co spełnił.

- Ciało odprawiłem do Orońska - rzekł. - Wszystko się spełni, jak żądaliście. Albo z Woli Gózowskiej, lub z Krogulczej ksiądz, jeżeliby proboszcz oroński nie miał czasu, nabożeństwo odprawi.

Bajbuza poruszył się, z rękami załamany stając przed Szczypiosem:

- Patrzajże! - zawołał. - Trzeba było tego przeznaczenia mojego, Aby nie kto inny, Ale jam go sam zabić musiał! Rozumiesz ty to?!

Szczypior milczał.

- Kochałem tę kobietę życie moje całe, nie sądząc się jej godnym - dodał Bajbuza. - Walczyłem z sobą; teraz w ostatku gdyby owdowiała, powiedziałem sobie: Zechce ona mnie? Będę jej sługą... ożenię się.

Zaśmiał się dziko.

- A jakże tu do ołtarza podać wdowie rękę, która krwią męża została zboczona?!

To mówiąc, padł na posłanie i zamilkł.

Szczypior, który nie zgłębiał się tak bardzo w rozstrząsanie, co było godziwym, A co nie, byle było wedle prawa możliwym, ruszył ramionami i zmilczał.

Towarzyszyli potem królowi do Krakowa, gdzie Bajbuza o posłuchanie prosił i króla Jegomości pożegnał. Sam Zygmunt, marszałek Myszkowski, hetman Żółkiewski, wręście rycerstwo całe i wielu z panów senatorów znali dobrze zasługi Bajbuzy, wiedzieli, że mu nawet żołdu na kopijników nie dawano, że on sam nigdy o nic nie prosił, A słusznie mu się jakaś nagroda należała. Lecz gdy niespodzianie przyszedł do pocałowania ręki, stało się, że nie obmyślano wcale, co mu dać, A tylu miano do wynagrodzenia, iż na razie nawet nie wiedziano, gdzie dla niego szukać jakiegoś daru. Król nie tłumaczył się wcale, wybąknął słów kilka i zapewnił go tylko o swej łasce i pamięci; Myszkowski jaśniej przyrzekł mu, że go pierwsze starostwo, jakie na Wołyniu będzie do rozporządzenia, nie minie.

- Bóg widzi, że ja o tym nie myślę, Ani żądam - rzekł rotmistrz. - Chleb mam, służyłem Rzeczypospolitej jako syn matce, nic mi się nie należy.

Marszałek wziął to może za przechwałkę, Ale Bajbuza mówił szczerze. Z uczuciem wyswobodzenia opuścił Kraków razem ze Szczypiosem.

- Jużem się nawojował dosyć - rzekł mu. - Czas spocząć. Będziemy mieli co w Nadstyrzu przy olszowym ogniu na kominie wspominać.

W spokojnej wiosce swej rotmistrz wszystko znalazł nie poruszone, nie zmienione, jak porzucił, tylko staruszka Leszczakowska pożegnała się z tym światem.

O Spytkową, przybywszy, nie śmiał zapytać, choć winien jej był podziękować za to, iż wstawiać się za nim do Zebrzydowskiego jeździła. Drugiego i trzeciego dnia wyglądał, czy się nie dowie przypadkiem co o niej, obawiając zagadnąć. Na ostatek widząc, że Ani Szczypior, Ani nikt o niej nie wspomina, z cicha spytał chorążego:

- Nie wiecie? A jejmość gdzie jest?

- U siebie doma siedzi, A pewnie się was spodziewa - rzekł Szczypior - i powinniście pojechać.

Bajbuza spojrział na swe ręce, jakby się obawiał na nich ślady krwi znaleźć, na których jej nigdy nie było. Zmilczał.

Nazajutrz rano kazał konie siodłać. Dzień był jesienny, pogodny A piękny; myślano, że ze psy pojedzie w pole, Ale gdy wyszedł ubrany nie jak na łowy, domyślił się Szczypior, dokąd pojedą. Milczeli przez całą drogę. Przede dworem zsiadł z konia Bajbuza i niepewnym krokiem skierował się ku izbie gościnnej. Tu na progu czekała na niego już z rękami wyciągniętymi, z twarzą jakby odmłodzoną, Ale żalobą grubą okryta Spytkowa. Ulgę mu to sprawiło, iż wiedziała już o śmierci męża.

Wśród powitania mowy o nim nie było. Spytkowa przypominała niewolę rotmistrza i bolała nad tym, że oswobodzić go nie mogła.

- O śmierci mojego nieszczęśliwego męża - dodała nierychło - musieliście słyszeć w Krakowie. Ja wiem tyle tylko od rodziny, że zginął pod Wolą Guzowską, A tym się pocieszam, że nie po stronie rokoszan stawał. Jakaś pobożna ręka postarała się o to, Aby osobny pogrzeb miał na cmentarzu w Orońsku.

Bajbuza słuchał zaczerwieniony. Odbywała się w nim walka straszna, którą jego miłość prawdy wywołała. Zdawało mu się, że powinien był przyznać się do tego, iż on zabójcą męża się stał... mimo woli. Potem ogarniała go trwoga, nie śmiał i milczał.

Wdowa też nieboszczykiem wcale się zajmować nie miała ochoty, zwróciła rozmowę na inne przedmioty, A gdy Szczypior odszedł na chwilę, wzrokiem pełnym wyrazu rzuciwszy na rotmistrza, rzekła śmiało:

- No, kochany sąsiedzie, obojeśmy postarzelisi, ja już za mąż iść nie myślę, wy się żenić zarzekacie, cóż więc? Będziemy-li przyjaciółmi, nie lękając się złośliwych ludzkich języków?

- Pókim żyw, pani moja - krzyknął rotmistrz - jam twój!

Chciał już na kolana paść, bo się zapomniał, lecz właśnie Szczypior powrócił i po wesołej rozmowie rozstali się oboje uspokojeni.

Co się później stało i czy poczciwy A prostoduszny Bajbuza skrupuł przełamał i wdowę do ołtarza poprowadził, o tym z pozostałych papierów wnosić trudno. To pewna, iż zszedł bezpotomnie. W okolicy długo po nim pozostało legend wiele, Ale wszystkie prawie wystawiały go w świetle śmiesznym dziwaka jakiegoś, który sam nie wiedział, czego pragnął, i nigdy z sumieniem swym nie był w zgodzie.

Otwinowski, \* tłumacz wschodnich języków, który go osobiście znał i kochał, mawiał, śmiejąc się, o nim:

Otwinowski, tłumacz wschodnich języków - chodzi tu o Samuela Otwinowskiego, tłumacza perskiego poematu "Giulistan". Kraszewski miał w swoim posiadaniu rękopis tego tłumaczenia. "Giulistan" wydał drukiem J. Janicki w roku 1879. Wydanie to nie zawiera żadnych wzmianek o bohaterze naszej powieści. Trudno dziś stwierdzić, czy informacja Kraszewskiego,

jakoby Otwinowski znał Bajbuzę, ma charakter fikcyjny, czy też opiera się na podstawach źródłowych. Patrz nadto przypis 3 t. I.

- Bajbuza! "nomen omen!" gdybyście wiedzieli, co to nazwisko po turecku znaczy, Ale ja wam nie powiem. Złoty człowiek był... tylko... Piątej brakło mu klepki!

#### Posłowie

"Bajbuza" jest 23 z kolei ogniwem w cyklu 29 powieści historycznych Kraszewskiego, rozpoczętych "Starą baśnią", a zakończonych "Saskimi ostatkami". Zamierzeniem Autora było przedstawić w tym cyklu całość dziejów Polski, przy czym wybór okresów, faktów i postaci historycznych nie miał charakteru przypadkowego. Cykl powstawał w latach 1875-1886, w czasie pobytu pisarza w Dreźnie, po ciężkich doświadczeniach walki z politycznymi przeciwnikami w kraju, tj. z konserwatywnymi ugrupowaniami politycznymi, i wśród dręczącej pisarza troski z powodu zagrożenia bytu narodowego przez niebezpieczeństwo niemieckie, uosobione w Bismarcku oraz w zjednoczonym w roku 1871 pod hegemonią Prus państwie niemieckim. Ostatnie powieści cyklu pisał Kraszewski w oczekiwaniu procesu i w więzieniu pruskim. W twierdzy Magdeburdkiej powstał m.in. "Bajbuza".

Oba te momenty, tj. polityczna walka z reakcją magnacko-kościelną w kraju oraz groźba niebezpieczeństwa niemieckiego, decydowały w poważnym stopniu o wyborze tematyki historycznej poszczególnych powieści cyklu. Kraszewski chciał przez nie przede wszystkim uczyć i wychowywać. Wyciągał z przedstawianych faktów dziejowych wnioski w postaci określonych rad i ostrzeżeń. Cele rozrywkowe schodziły wyraźnie na plan ostatni. Tematyka historyczna "Bajbuzy" łączy się niewątpliwie również z wyznawanymi przez Autora powieści poglądami na przeszłość narodową, w szczególności zaś z oceną roli magnaterii świeckiej i duchownej oraz z mocnym przeświadczeniem pisarza o historycznym znaczeniu silnej władzy państwowej, zwłaszcza królewskiej. Ukazana w powieści obawa szlachty, aby tronu polskiego nie opanowała "rakuska", czyli Austriacka dynastia Habsburgów, jest też niewątpliwie historycznym odpowiednikiem tego niebezpieczeństwa germańskiego, przed którym Kraszewski od roku 1870 stale ostrzegał.

W powieści "Bajbuza" przedstawił Kraszewski okres naszej historii zawarty między 1586 a 1607 rokiem. Opisał przede wszystkim wypadki polityczne, epizodycznie tylko dotykając problemów społecznych i kulturalnych życia szlachty. Inne ugrupowania społeczne poza szlachtą nie weszły do obrazu powieściowego. Postępując uważnie za opracowaniami źródłowymi i opisami naukowymi powyższego okresu dziejów, odmalował Kraszewski nastroje w państwie po śmierci Stefana Batorego. Następnie pokazał powstawanie ugrupowań politycznych, związanych z poszczególnymi kandydatami do tronu, głównie z kandydaturą rakusko-habsburską Arcyksięcia

Maksymiliana oraz szwedzką królewiczą Zygmunta Wazy. Zygmunt Waza był synem Jana III Wazy i potomkiem Jagiellonów po kądzieli, popieranym usilnie przez swą ciotkę, królową wdowę, Annę Jagiellonkę, córkę Zygmunta I, a żonę Stefana Batorego. W "Bajbuzie" jesteśmy świadkami sejmiku konwokacyjnego i podwójnej elekcji Zygmunta i Maksymiliana (1587), przeżywamy walkę zbrojną Jana Zamoyskiego z Maksymilianem i zwycięstwo pod Byczyną. Dowiadujemy się o pierwszych objawach i przyczynach niechęci i nieufności króla do hetmana i kanclerza Jana Zamoyskiego. Nieufność ta sprawia, że król staje się obcy całej szlachcie i części magnaterii. Na takim tle rodzi się wrogość mas szlacheckich wobec władcy. Pogłębia się ona na zjazdach w Lublinie i na sejmie inkwizycyjnym (1592), gdzie padły oskarżenia przeciw królowi, że zamierza odstąpić koronę polską Habsburgom. Obraz sejmiku w Krakowie w roku 1603, jak i następnego, w Warszawie w roku 1605, przedstawia przyczyny rosnącego napięcia między królem a szlachtą. Walka przeobraża się z wolna w otwarty bunt, w rokosz, którego zarysy formują się na opisywanych przez Autora zjazdach szlacheckich w Stężycy i - znowu - w Lublinie (1606). Ma tam już miejsce proklamowanie rokoszu. Przywódcą owego buntu przeciw królowi zostaje następca Jana Zamoyskiego, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski. Końcowa część powieści ukazuje przebieg rokoszu, znanego w historii pod nazwą rokoszu Zebrzydowskiego, aż do rozbicia jego oddziałów przez wojska królewskie pod Guzowem w roku 1607.

Stosunek powieściopisarza do opisywanych faktów historycznych, do przedstawianych postaci historycznych oraz ich czynów nie jest stosunkiem obojętnego sprawozdawcy. Kraszewski wypowiada sądy własne o Zamoyskim, o królu Zygmuncie III, o Zebrzydowskim, nawet o postępowaniu wielu podrzędnych postaci; pochwała je lub częściej gani, zarówno w bezpośrednich wypowiedziach Autorskich, jak i przez usta innych postaci, głównie zaś samego bohatera powieści, Bajbuzy. Sąd Autora o rosnącej przewadze magnatów, podporządkowujących swoim wpływom politycznym masę szlachecką, jest wyraźnie krytyczny. Dopóki przywódcą szlachty jest Jan Zamoyski, Kraszewski dostrzega sens opozycji przeciw królowi, usiłuje odkryć motywy patriotyczne działalności tego wielkiego męża stanu i znakomitego wodza. Przede wszystkim zaś wierzy w jego rozum polityczny, choć nie ukrywa momentów osobistych, szczególnie zaś nie tai podrażnionej Ambicji jako motoru działalności popularnego trybuna szlachty polskiej.

Postawa pisarza wobec tego samego zjawiska historycznego, tj. wobec przybierającej na gwałtowności opozycji szlacheckiej przeciw polityce wewnętrznej Zygmunta III i przeciw jego polityce zagranicznej, zmienia się jednak, kiedy przywódcą tej opozycji zostaje po śmierci Jana Zamoyskiego Mikołaj Zebrzydowski. Wspomaga króla w jego dążeniach kontrreformacyjna działalność Kościoła, którego reprezentantami na dworze królewskim byli Jezuici. Popiera go też dworsko-magnackie stronnictwo regalistów. Protest szlachecki wymierzony był jednak również



przeciw zdekonspirowanym próbom “odstąpienia” tronu Habsburgom przez Zygmunta III. “Praktyki rakuskie” króla i jego otoczenia, mające na celu wprowadzenie na tron zniechęconej dynastii Austriackiej, groziły przecież w stopniu o wiele znacznie większym ukróceniem wolności szlacheckiej, Anizeli mógł jej zagrozić Zygmunt III Waza, choćby nawet dla celów swoich pozyskał cały senat. Szlachta była również przeciwna dynastycznym interesom króla w Szwecji, które wciągały kraj w wojnę z tym państwem.

Mimo zmiany przywódcy ruchu szlacheckiego, mamy do czynienia w całej powieści z tym samym zjawiskiem historycznym. Niechęć Kraszewskiego do osoby nowego przywódcy, Mikołaja Zebrzydowskiego, podyktowana została nie tylko potępiającym na ogół głosem historii w stosunku do tej postaci, lecz także - i to głównie - krytycznym zasadniczo stosunkiem do metod zbrojnego działania, do rewolucyjnego buntu przeciw prawowitemu władcy, jaki wprowadził do ruchu opozycji szlacheckiej Zebrzydowski. Kraszewski deklaruje się - wiemy to z wielokrotnych jego wypowiedzi publicystycznych - jako przeciwnik rewolucyjnych form rozstrzygnięcia konfliktów wewnętrznych. Poza tym nie ulega wątpliwości, że rokosz Zebrzydowskiego był przejawem rosnącego warcholstwa magnackiego, dezorganizującego i osłabiającego państwo i, niezależnie od błędów polityki królewskiej, zjawiskiem szkodliwym, także i przez demoralizujący wpływ na masy szlacheckie. Kraszewski kilkakrotnie wspomina, że Zamoyski nie dopuściłby nigdy do zbrojnej walki wewnętrznej, choć kanclerz w sposób bezwzględnie krytyczny oceniał na sejmach działalność króla.

Tak więc potępienia rokoszu dokonał Kraszewski również jako przeciwnik magnaterii, której zgubną dla Polski działalność demaskował podobnie w innych powieściach cyklu historycznego.

Mimo to jednak, że bohaterowi swojemu każe Autor ostatecznie przejść z obozu, w którym niegdyś wraz z uwielbianym przez siebie Zamoyskim pozostawał, i walczyć w czasie rokoszu po stronie królewskiej, nie jest Kraszewski entuzjastą Zygmunta III i prowadzonej przez niego polityki. Na kartach powieści zbiera bardzo starannie wszystkie ujemne rysy charakteru króla, opisuje jego podejrzliwość, zamknięcie w sobie, pychę, skłonność do intryg wraz z obłudą; ma mu za złe, że otacza się Jezuitami; nie pochwała jego małżeństw z dwoma Austriaczkami, małżeństw przygotowywanych dyplomatycznie, wbrew woli całej szlachty, które to związki pociągnęły za sobą zniemczenie i wyobcowanie królewskiego dworu ze środowiska polskiego. Autor krytycznie ocenia zdolności polityczne króla nie tylko w odniesieniu do stosunków wewnętrznych, lecz także potępia jego politykę szwedzką, gdzie fanatyczny katolicyzm Zygmunta, nie liczący się z protestancką opinią i wiele innych błędnych pociągnięć naraziły go na kompromitującą klęskę, a Polskę wciągnęły w wojny dynastyczne. Za błąd poczytuje mu również stopniowe usuwanie Jana

Zamoyskiego od wpływów i znaczenia oraz obsadzanie stanowisk rządowych ludźmi wrogimi kanclerzowi.

Wyrazicielem poglądów Kraszewskiego na opisywane w powieści zjawiska i postaci historyczne jest jej bohater "Iwaś" Bajbuza. Bajbuza to bardzo ciekawa kreacja Autorska. Odsyłamy czytelnika zasadniczo do przypisu 28i, gdzie podano informacje genealogiczne o rodzie Bajbuzów oraz ich herbie. "Iweasia" traktować trzeba jako postać fikcyjną, mimo uwagi Kraszewskiego przy końcu powieści, że poeta polski z XVI wieku, Samuel Otwinowski, tłumacz perskiego poematu "Giulistan", znał bohatera powieści. Analiza elementów poglądu na świat i cech charakteru Bajbuzy wskazuje, że w postaci tej mamy do czynienia ze świadomą konstrukcją Artystyczną, w której się mieszczą zarówno poglądy pisarza na przedstawiony w powieści okres historyczny, jak pewne cechy Autocharakterystyki Kraszewskiego. Autor konstruuje postać bohatera jako wzór doskonałości rycerskiej. Bajbuza to nie tylko żołnierz i gorący patriota, Ale również człowiek o wysokim poziomie kultury umysłowej. Odbył studia we Włoszech, jest zatem człowiekiem o kulturze renesansowej. Jeden z jej elementów to duch tolerancji religijnej, której Bajbuza gorąco przestrzega. W sposób bardzo znamieny łączy pisarz ów rys przekonań swego bohatera z wpływami wzmiankowanego w powieści Wejhera, byłego dysydenta, żarliwego wyznawcy któregoś z wyznań protestanckich, później katolika. Podkreślając fakt naukowej kultury bohatera oraz to, że "wiara jego była oświeconą i gruntowną", Kraszewski przygotowuje grunt do wyodrębnienia postaci od masy szlacheckiej w dalszym ciągu powieści. Rycerskość i patriotyzm bohatera łączy pisarz z jego "humanitarnym", czyli humanistycznym wykształceniem i zasadami tolerancji religijnej.

Za fikcyjnością tej postaci przemawiają też fakty historyczne z dziejów rodu Bajbuzów, zawarte w przypisie 28i. Wynika z nich, że historyczni Bajbuzowie zjawiają się w dziejach później Anizeli powieściowy przedstawiciel rodu, który w chwili rozpoczęcia Akcji utworu, w r. 1586 ma już około 40 lat. Autor zaś wspomina również o jego ojcu. Tymczasem historyczne dane o Bajbuzach pojawiają się dopiero około 1580, kiedy ich protoplasta, tatarskiego pochodzenia, miał otrzymać herb za waleczność.

Powieściopisarz przeciwstawia Bajbuzę zarówno tłumowi szlacheckiemu, jak i całej masie opisywanych i wzmiankowanych tylko osobników ze świata magnackiego. Przy wszystkich cechach dziwaczności i oryginalności usposobienia, Bajbuza jest przede wszystkim zatroskanym o dobro Rzeczypospolitej obywatelem, który wykształcił swoje pojęcia o służbie dla ojczyzny zarówno w toku humanistycznych studiów, jak i w czasie służby wojskowej pod Zamoyskim. Wzorem władcy jest dla niego król-żołnierz, energiczny i stanowczy Stefan Batory. Wysoka, jak na szlachcica, kultura umysłowa łączy się u Bajbuzy z cnotami rycerskimi i patriotyzmem. Swój

niemalże magnacki majątek poświęca Bajbuza w części na utrzymanie oddziału kopijników, z którymi wyrusza na wyprawy wojenne. Jednak właśnie owa kultura umysłowa nie pozwala mu w sposób bezkrytyczny połączyć swych przekonań i sympatii z żadnym ze ścierających się obozów politycznych. Bajbuza jest zawsze pełen wątpliwości, zawsze poszukuje człowieka, który by w sposób wolny od osobistych uprzedzeń i Ambicji, od partyjnego zaślepienia, widział prawdziwe dobro państwa i do nie dążył. Niestety, doznaje wszędzie zawodu. Dostrzega skazy, chwiejność i egoizm nawet u Zamoyskiego. Gorszą go osobiste Ambicje Potockich, intrygujących przeciw Żółkiewskiemu, gorszą go również pewne pociągnięcia Chodkiewicza, nie mające na celu prawdziwego interesu państwa. Staje wszędzie wobec Ambicji rodowych, frakcyjnych i osobistych, które na szwank narażają dobro ogólne. Do końca szuka i znaleźć nie może, mimo iż przeszedł do obozu królewskiego i, zdawałoby się, powziął decyzję, kogo popierać. Nawet w osobistym życiu uczuciowym nie może się zdobyć na ostateczny krok, mimo iż o damę swego serca gotów walczyć, jak na rycerza przystało, mimo że z powodu miłości do niej zostaje ranny. W końcu zabija przypadkowo w bitwie pod Guzowem jej drugiego męża, który zwyczajnie uciekł od uwielbianego przez Bajbuzę ideału.

Taka konstrukcja charakteru i losów głównej postaci jest przede wszystkim wyrazem trudności, jakie Kraszewski napotykał przy ideowej ocenie Aktorów dramatu historycznego. Bez większych wątpliwości można było jedynie potępić warcholstwo Zebrzydowskiego i jego kliki magnackiej, choć wśród znanych pisarzowi historyków rokoszu był również jego obrońca, mianowicie Henryk Schmitt, Autor rozprawy: "Rokosz Zebrzydowskiego" ( Lwów 1853), człowiek poza tym bliski pisarzowi poglądami. Czy można było jednak potępić sam ruch opozycji szlacheckiej przeciw niefortunnym pociągnięciom Zygmunta III, kierującego się nieomalże wyłącznie dynastycznymi interesami oraz interesami Kościoła, nie zawsze zgodnymi z dobrem państwa? Z drugiej strony, czyż u przeciwników rokoszu spośród magnaterii nie przeważały egoistyczne, rodowe metody działalności? A znowu czyż magnaci "rokoszowi" nie wiedli na pasku mas szlacheckich, które w czasie rokoszu toczyły swą ostatnią walkę polityczną o władzę w państwie? I tu, i tam cirpiałoby dobro Rzeczypospolitej, której kosztem prowadzono wewnętrzne walki polityczne, A nawet wojnę domową. To były historyczne oraz ideologiczne podstawy konstruowania postaci bohatera jako człowieka rozdartego wątpliwościami.

Podobnie jak Bajbuza odnosił się do zdarzeń i ludzi na przełomie wieku XVI i XVII, tak Kraszewski ustosunkowywał się do procesów historycznych, które sam przeżywał w drugiej połowie XIX wieku. Rozdzierały go wątpliwości, pełen był sprzecznych ocen i poglądów, jeśli chodzi o sens i skuteczność zbrojnej walki o niepodległość narodu polskiego. Rozumowe przeświadczenie o szkodliwości konspiracji i powstań starał się pogodzić z głębokim, uczuciowym

kultem dla tradycji tych walk oraz dla ich bohaterskich uczestników. Podobnie zasadnicze potępienie rewolucyjnych form rozstrzygnięcia konfliktów społecznych nie godziło się z głośzonym wielokrotnie przez pisarza poglądem, że np. robotnicy mają faktyczne i moralne podstawy do walki z kapitałem, że są ofiarami klasowego wyzysku. Obrońca prześladowanych komunardów, który wiele razy wyrażał swą sympatię dla francuskiego robotnika, “w niebieskiej bluzie”, pozostawał w niezgodzie z przeciwnikiem idei socjalistycznych oraz rewolucyjnych. Tak więc pewne rysy osobistego stosunku pisarza do swojego wieku przejął na siebie bohater powieści, którego patriotyzm i troska o dobro Rzeczypospolitej odpowiadają również wielkiemu patriotyzmowi Autora powieści.

Kompozycja dzieła oraz inne jego cechy Artystyczne nie odbiegają od wzorca wykształconego w czasie tworzenia cyklu historycznych powieści, A także przy pisaniu wcześniejszych utworów historycznych. Fakty dziejowe przytacza Kraszewski zasadniczo dokładnie według źródeł i opracowań historycznych, wykorzystując właściwie cały współczesny mu zasób możliwości naukowych. Wśród zdarzeń dziejowych nie dokonuje selekcji, nie szuka obrazów typowych, Aby je poddać Artystycznej przeróbce, typizującemu uogólnieniu. Dbą o chronologiczną ciągłość opowiadania i historycznej relacji. Utwór jego oglądany od tej strony ma zatem charakter raczej kroniki historycznej niż powieści ze wszystkimi jej fabularnymi i epickimi cechami.

Istotny składnik utworu Artystycznego, to jest fikcja, zmyślenie, zjawia się w powieści wraz z osobą bohatera i z najbliższym jego otoczeniem. Postacią fikcyjną jest heroina powieści, piękna księżna Teresa, jak i jej drugi mąż, Spytek Jordan, dalej - chorąży Szczypior i wszystkie postaci z dworu w Nadstyrzu, której to miejscowości też nie zna “Słownik geograficzny”. Zaliczymy tu również charakterystyczną sylwetkę Gubiaty oraz szereg z nazwiska tylko wymienionych, na chwilę zjawiających się i wnet znikających osób. Gdybyśmy jednak nawet dla Bajbuzy zdołali znaleźć odpowiednik historyczny, nie zmieni to faktu, że bohatera swego traktuje Autor jak postać zmyśloną. Podobnie nie zmienia fikcyjności postaci Skrzetuskiego z “Ogniem i mieczem” fakt, że rzeczywiście istniał szlachcic takiego nazwiska, który wykradł się z oblężonego Zbaraża. Bajbuza jest w całości dziełem wyobraźni Autora. Przeważnie oczyma Bajbuzy oglądamy wypadki historyczne, on otrzymuje listy i wiadomości ustne o tych zdarzeniach, których Kraszewski w powieści ukazać nie potrafił. Z nim rozpoczyna się beletryzacja historii, proces twórczości Artystycznej na miejsce sprawozdania historycznego.

Istotną cechą usposobienia Bajbuzy jest ciekawość, chęć uczestniczenia w życiu publicznym, żądza poznania, kto ma rację wśród ścierających się stron. Dlatego wraz z nim jeździmy na sejmy i zjazdy szlacheckie, oglądamy obozy wojskowe, Zamość, Kraków i Warszawę,

rozmawiamy z Zamoyskim, Zebrzydowskim i królem Zygmuntem III. Tam, gdzie Autor nie mógł samego Bajbuzy wysłać, wyręczają go listy, które albo sam pisze, albo otrzymuje; jako przykład może posłużyć list od wiernego Szczypiora, kiedy bohater nasz siedzi zamknięty przez Zebrzydowskiego w więzieniu. W tym miejscu zresztą jedyny raz powieść zyskuje znamiona romansu Awanturniczego z jego typowymi cechami, jak ucieczka z więzienia, pogoń i walka ze ścigającymi. Najkapitałniejszym jednak przykładem bardzo pomysłowego beletryzowania historii, jest wprowadzenie szlacheckiej "silva rerum", książki domowych zapisków szlachcica polskiego, w której, jak bohater czy bohaterka niejednej powieści w pamiętniku, Bajbuza notuje wzmianki o swych wyprawach wojskowych przeciw Wołochom i Tatarom. Należy zwrócić uwagę, że w ten sposób Autor uniknął konieczności opisywania wprost owych wypraw wojennych, dość konsekwentnie zajmując się w powieści badaniem tylko wewnętrznych spraw politycznych kraju. Samo zaś wprowadzenie "silva rerum" przyczyniło się poza tym do nadania powieści rodzajowego, szlacheckiego charakteru. Po raz drugi uniknął Autor konieczności opisu bitwy (i to bitwy pod Kircholmem) oraz udziału w niej bohatera, dzięki temu, że kazał po prostu Spytkowi Jordanowi napaść nocą Bajbuzę i zranić go. Bajbuzie przyszło tylko żałować, iż go pod Kircholmem nie stało.

Dalszy element fikcji powieściowej stanowią dzieje dziwacznej trochę miłości Bajbuzy do księżnej Teresy. Oboje nie mogą się zdecydować, aby wyznać to, co czują i czego pragną. Autor próbuje rozmaicie motywować to wahanie się bohatera, ale jest rzeczą jasną, iż gdyby ożenił Bajbuzę z księżną Teresą wcześniej niż na końcu powieści (a i tam sprawę tę podaje w wątpliwość), utrudniłby sobie, o ile nie uniemożliwił, odpowiednio interesujące ukształtowanie wątku romansowego.

W "Bajbuzie" w stopniu jeszcze znacznie większym niż w innych powieściach cyklu kładzie Kraszewski nacisk na Akcję i rozwój wypadków, na ich dramatyzację, bardzo pobieżnie traktując elementy epickie, tj. obrazy z życia i obyczajów oraz wszelkiego rodzaju opisy. Dlatego też rzadkie są usiłowania Autora, aby charakteryzować jakieś zjawiska społeczne, malować sceny z życia szlacheckiego. Wyjątek w tej mierze stanowi skromna zresztą relacja o rozwoju Zamościa pod rządami kanclerza oraz poszczególne obrazy z wesela Zygmunta III z Arcyksiężniczką Anną. Szerzej rozbudowany jest tylko obraz życia szlacheckiego w Nadstyrzu na dworze Bajbuzy, połączony z charakterystyką zamieszkałych tam rezydentów. Służy on zresztą do lepszego uwydatnienia różnych domowych cnót Bajbuzy. W powieści nie ma prawie samodzielnych opisów przyrody poza drobnymi, nieistotnymi wzmiankami. Pospiesznie i całkiem marginesowo opisuje Autor dwie bitwy: pod Byczyną i pod Guzowem - i to, jak się zdaje, tylko dlatego, że wiążą się one z wewnętrznymi konfliktami politycznymi. Cały wysiłek Autorski skierowany jest ku Akcji i

kreśleniu przygód i losów bohatera, powiązanych ściśle z referowanymi po kronikarsku wypadkami historycznymi.

W kreśleniu ich opiera się Kraszewski zasadniczo na dziele J. U. Niemcewicza: "Dzieje panowania Zygmunta III" (Warszawa 1819), idąc za tokiem jego relacji oraz ulegając niekiedy jego ideowej ocenie wypadków i postaci. ściśle trzymanie się Niemcewicza sprawiło również, że utwór jest miejscami rozwlekły, także przez wprowadzenie postaci (a raczej nazwisk), które z tokiem Akcji nic nie mają wspólnego. Jeśli chodzi o charakterystykę licznych, choć w powieści tylko epizodycznie występujących, względnie wyłącznie wzmiankowanych postaci historycznych, posługiwał się Kraszewski ciekawym słownikiem biograficznym do dziejów Polski za Zygmunta III, mianowicie Franciszka Siarczyńskiego "Obrazem wieku panowania Zygmunta III..." (Warszawa 1828). W kilku miejscach stwierdzić też można, że czerpał ze źródłowego dzieła Stanisława Łubieńskiego: "De motu civili 1606-1608", wydanego po polsku w "Pismach pośmiertnych", rozdział: "Rozruchy domowe 1606-1608" (Petersburg 1855).

Lektura powieści wymaga pomocy objaśnień i przypisów historycznych. Aby nie przerywać zbyt często toku czytania, przypisy wprowadzono wyłącznie, gdy chodzi o postaci i wypadki najważniejsze, względnie najbardziej charakterystyczne, pozostawiając bez przypisów nazwiska osób historycznych, ale wymienionych tylko, które w powieści nie odgrywają ważniejszej roli. Czasem zachodziła konieczność szerszego wyjaśnienia pewnych zjawisk czy procesów dziejowych, co też w poszczególnych przypadkach uczyniono.

(Wincenty Danek)

Nota wydawnicza

Niniejsze wydanie powieści opiera się na jej pierwodruku z r. 1885. Jest to jedyne wydanie za życia Autora. Tekst utworu nastrocza szczególnie wiele trudności edytorskich. Jak wiadomo, "Bajbuza" był pisany w więzieniu magdeburskim. Stan zdrowotny pisarza był ciężki. Tylko niezwykła wytrzymałość i odporność psychiczna, w połączeniu z długoletnim nawykiem do systematycznej pracy, pozwalały mu tworzyć. Twórczość zaś przynosiła ulgę i zapomnienie o dramatycznej sytuacji osobistej. Pisarzowi brak było jednak pomocy własnej, tak zasobnej w źródła historyczne, biblioteki. Musiał się więc oprzeć na tym, co mu można było dostarczyć, tj. głównie na wymienionych w "Posłowniu" dziełach Niemcewicza i Siarczyńskiego.

Zły stan zdrowia, bezsenność i dolegliwości nerwowe sprawiły, że tekst powieści posiada pod wieloma względami brulionowy charakter. Odnosi się to głównie (ale nie wyłącznie) do języka i stylu utworu. Niewyraźne pismo człowieka chorego stało się z kolei przyczyną błędów zecerskich i korektorskich w pierwodruku.

Wobec takich jego cech, wydawca musiał postępować szczególnie ostrożnie, Aby z jednej strony nie uszkodzić specyficznych, znanych skądinąd właściwości języka i stylu pisarza, A z drugiej zwrócić czytelnikowi uwagę na te miejsca w tekście, gdzie jego zepsucie nie może budzić wątpliwości. posłużyliśmy się w tym celu przypisami. Szczególnie wiele pracy nastęrczało usuwanie, oczywiście z całą ostrożnością niepotrzebnych Akapitów ( odstępów w tekście), których nadmierna ilość jest manierą Autorską, utrudniającą czytelnikowi odbiór treści. W obecnym kształcie tekst jest niewątpliwie bardziej czytelny.

Z całym pietyzmem zachowano cechy języka kresowego, którym pisarz się posługiwał. Scharakteryzowano je w Notach do innych tomów ( “Królewscy synowie”, “Kraków za Łokietka”).

Oprócz pierwodruku “Bajbuza” miał jeszcze 6 edycji: w latach 1889-1891 ukazał się w wydaniu zbiorowym powieści historycznych M. Gl~ucksberga w Warszawie, następnie u tegoż Gl~ucksberga w roku 1898, u M. Arcta w Warszawie w r. 1927, w wydaniu “Czytelnika” w r. 1950 oraz Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w latach 1957, 1959 i 1972. Niniejsze wydanie jest zatem dziewiątym z kolei.

( W. D.)